

Pismo Akademii Pedagogicznej w Krakowie

ISSN 1509-6726

konspekt

nr 20

jesień 2004

Wojciecha i Izabellę

Gość Konspektu

Jerzy Stuhr rektor Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie

Polonistykę w AP przedstawiają

profesorowie **Bolesław Faron i Henryk Markiewicz**

O zjazdach polonistów Jerzy S. Ossowski

Krakowska szkoła językoznawczej logopedii

Wspomnienia sylwetki uczonych

Wiersze **Józefa Barana, Wojciecha Kawińskiego,
Juliana Kawalca, Arkadiusza Pilarza**

Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej

ul. Studencka 5

31-116 Kraków

tel./fax (012) 430 09 83

e-mail: wydawnictwo@wsp.krakow.pl

Poleca

bogaty wybór skryptów,
podręczników i innych pomocy
dydaktycznych dla studentów
poradniki i materiały metodyczne
dla nauczycieli i wychowawców
monografie naukowe
ze wszystkich dziedzin wiedzy

Do nabycia

w księgarni Academicus
(gmach Akademii Pedagogicznej)
w wybranych księgarniach naukowych
na terenie całego kraju
w sprzedaży wysyłkowej

**Zespół doświadczonych
autorów i redaktorów
to gwarancja
wysokiego poziomu
naszych publikacji**

Na życzenie przysyłamy aktualny katalog

Od redakcji

„Konspekt” oddajemy do rąk Czytelników w przededniu wielkiego wydarzenia w życiu nauki, jakim jest Zjazd Polonistów w Krakowie. Naszym pracom redakcyjnym towarzyszyło stale przekonanie o doniosłym znaczeniu polonistyki i szczególnym miejscu współczesnej wiedzy o literaturze w krajowej humanistyce. Ten numer „Konspektu” jest zatem tematycznie związany z problematyką Zjazdu obradującego pod hasłem „Polonistyka w przebudowie”. Nadarza się przy tej okazji sposobność do prezentacji osiągnięć Instytutu Filologii Polskiej AP — wspominamy więc wybitnych teoretyków dydaktyki i historyków literatury, między innymi profesorów Wincentego Danko i Stanisława Sierotwińskiego, Władysława Szyszkowskiego i Eugeniusza Pawłowskiego, przedstawiamy sylwetki pracowników naszego Instytutu, zwłaszcza ich wkład w rozwój dydaktyki kształcenia nauczycieli, a także do nauki tak niezbędnej społeczeństwu i szkole jak logopedia.

Nasza sonda na temat tego, co „robimy” z literaturą dzisiaj — do czego nam jest potrzebna literatura i jak ją czytamy we współczesnej postmodernistycznej i masowej kulturze — przynosi interesujące spostrzeżenia Henryka Markiewicza, Franciszka Ziejki, Jana Pieszczachowicza, Zbigniewa Bauera i Piotra Krywaka.

Prezentujemy wybitnych pisarzy i artystów z naszą uczelnią od lat zaprzyjaźnionych — Juliana Kawalca i Mariana Pankowskiego, a także Stanisława Tabisza, oraz tych, którzy kończyli w niej studia polonistyczne — Józefa Barana i Wojciecha Kawińskiego. Bez ich obecności trudno sobie wyobrazić aktywność literacką i artystyczną studentów i uczonych, a także pełnię życia naukowego i kulturalnego każdej dojrzałej uczelni.

Właśnie mija 5 rok pracy redakcji, do naszego kwartalnika dołączamy więc bibliografię jego zawartości (od numeru 7 do 20).

Życzymy przyjemnej lektury!

Konspekt

numer 20



Pismo Akademii Pedagogicznej
im. Komisji Edukacji Narodowej
<http://www.ap.krakow.pl/konspekt>

30-084 Kraków

ul. Podchorążych 2, pok. 7p

tel. (0-12) 662 61 28

fax: (0-12) 635 88 85

e-mail: konspekt@ap.krakow.pl

RADA PROGRAMOWA

prof. Henryk W. Zaliński

— przewodniczący

prof. Tadeusz Budrewicz

prof. Jacek Chrobaczyński

dr Edward Chudziński

prof. Zbigniew Długosz

dr Czesław Michalski

prof. Ryszard Pado

prof. Helena Siwek

prof. Stanisław Sobolewski

REDAKCJA

Henryk Czubala

(redaktor naczelny)

Iwona Pietrkiewicz

WSPÓŁPRACA

Stanisław Jasionowicz,

Marek Karwala, Piotr Krywak,

Czesław Michalski, Janusz

Morbitzer, Romuald Oramus,

Miroslaw Oset,

Marta Widurska

ZDJĘCIA

Marian Pasternak

Mieczysław Więclawek

WERSJA ONLINE

Stanisław Skórka

WYDAWCA

Akademia Pedagogiczna im. KEN
w Krakowie, ul. Podchorążych 2

DRUK

Wydawnictwo Naukowe AP

31-116 Kraków, ul. Studencka 5

tel./fax (0-12) 430 09 83

e-mail: redakcja@wydawnictwoap.pl

<http://www.wydawnictwoap.pl>

SKŁAD

Krzysztof Porosło

PROJEKT OKŁADKI

Grażyna Borowik

Redakcja zastrzega sobie prawo do
skracania tekstów i zmian redakcyjnych.
Proponujemy reklam i ogłoszeń prosimy
przekazywać na adres redakcji

5 Gość Konspektu

Moje pokolenie w stosunku do generacji przedwojennej różniło się w zasadniczy sposób doborem środków, estetyki, gustu. Uważam, że dziś w aktorstwie następuje regres
— mówi **Jerzy Stuhr**, rektor
Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej
w Krakowie



11 życie Uczelni

„Świat się zmienia, a my z nim”

**Dorobek Instytutu
Filologii Polskiej AP**

przedstawia profesor **Bolesław Faron**

18 Nauka

O literaturoznawstwie

w Instytucie Filologii Polskiej krakowskiej AP
pisze profesor **Henryk Markiewicz**



31 Sonda konspektu

Co „robimy” z literaturą?

Mówią Henryk Markiewicz, Franciszek Ziejka, Jan Pieszczachowicz
Zbigniew Bauer, Piotr Krywak

47 Wspomnienia o profesorach

Wincentym Danku, Władysławie Szyszkowskim,
Stanisławie Sierotwińskim, Eugeniuszu Pawłowskim

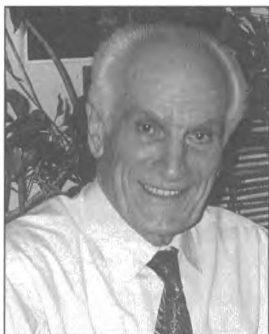
69 Nauka

Krakowską szkołę językoznawczej logopedii
prezentują Jagoda Cieszyńska i Mirosław Michalik

112 Słownik pracowników Instytutu Filologii Polskiej AP

144 Wiersze

Józefa Barana, Wojciecha Kawińskiego, Arkadiusza Pilarza, Marka Antosza,
Emila Bieli, Jagody Cieszyńskiej, Pawła Dziadkowca, Eryka Ostrowskiego



155 Esej

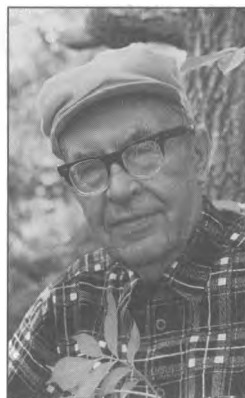
Był to czas ideologii uproszczonych często do obelgi i kalumnii. Zarówno w Polsce, jak i w Londynie liczyła się tylko postawa manichejska...

— esej **Mariana Pankowskiego** o sytuacji pisarza polskiego na obczyźnie

198 Rozmowy konspektu

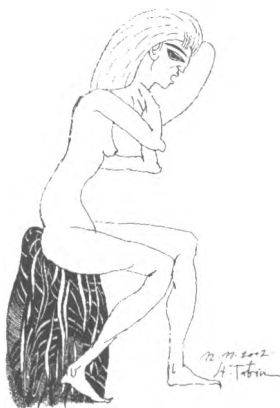
*Piękno nie może być puchem, nie może unosić w „dziedzinę uludy”,
musi być obciążone trudem życia, mierzyć się z ludzkimi lękami,
zwłaszcza z tym przed śmiercią*

— mówi **Julian Kawalec**



209 Nadrealne wędrówki Stanisława Tabisza przedstawia Marek Karwala

*W jego pracach widoczna jest
niezwykła troska o słowo, ujawnia-
jąca się nie tylko w starannie
dobieranych tytułach, ale też
w sięganiu po „poetyckie” środki
ekspresji: groteskę, metaforę, aluzję...*



KONSPEKT W INTERNECIE

Zajrzyj na naszą stronę, która jest też stroną naszych współpracowników i autorów
www.ap.krakow.pl/konspekt

Do Organizatorów i Uczestników Zjazdu Polonistów w Krakowie

Szanowni Państwo

Pragnę bardzo gorąco i serdecznie powitać wszystkich w Krakowie. Jestem rad, że Akademia Pedagogiczna im. Komisji Edukacji Narodowej jest współorganizatorem tego niezwykle ważnego wydarzenia humanistyki polskiej. Nasza Uczelnia dzięki Instytutowi Filologii Polskiej czynnie włączyła się w jego organizację.

Z okazji tego wielkiego spotkania polonistów z kraju i zagranicy oddajemy w Wasze ręce nasz kwartalnik „Konspekt”, w którym prezentujemy w skrócie historię i współczesność polonistyki krakowskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej – Akademii Pedagogicznej, główne kierunki badań w zakresie literaturoznawstwa, językoznawstwa i dydaktyki oraz sylwetki naszych pracowników.

Witam Państwa w najstarszej uczelni nauczycielskiej w Polsce. Akademia Pedagogiczna pod nazwą Wyższej Szkoły Pedagogicznej powstała w maju 1946 roku, przeszła ewolucję od szkoły zawodowej do w pełni akademickiej uczelni, posiadającej uprawnienia doktorskie i habilitacyjne.

Podstawowym naszym zadaniem jest kształcenie nauczycieli dla wszystkich typów szkół w Polsce. Staramy się łączyć wykształcenie merytoryczne z dydaktycznym, posiadamy najstarsze katedry metodyczne w kraju. W ostatnim czasie odpowiadamy na potrzeby rynku pracy i tworzymy nowe specjalności, na których absolwentów czekają instytucje oświatowe.

Z upoważnienia Senatu i w imieniu własnym życzę Państwu owocnych obrad, wielu przeżyć kulturalnych podczas pobytu w Krakowie, a także miłych wrażeń z pobytu w murach naszej Uczelni.

A large, elegant handwritten signature in dark ink, reading 'Michał Śliwa'. The signature is fluid and cursive, with a long, sweeping underline that extends to the left.

Prof. dr hab. Michał Śliwa
Rektor Akademii Pedagogicznej im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie

Wykrzyczeć siebie ludziom

Rozmowa z Jerzym Stuhrem,
profesorem, aktorem i reżyserem,
rektorem Państwowej Wyższej Szkoły
Teatralnej w Krakowie

*Wierzę, że zawsze znajdzie się takie
miejsce, gdzie jeden człowiek będzie chciał
się spotkać z drugim... Teatr nie zginie
nigdy. Może być mniej jego wyznawców,
ale ludzie zawsze będą chcieli zobaczyć
— na scenie lub w kinie — jak ktoś
przeżywa podobną do mojej historię
— mówi profesor Jerzy Stuhr*

Aleksandra Budrewicz:

Panie Rektorze, kiedy chodzi Pan do teatru, poddaje się Pan jeszcze jego magii czy patrzy Pan na spektakle okiem analityka, nauczyciela, praktyka teatralnego?

Jerzy Stuhr:

— Myślałem, że magii teatru bardzo rzadko lub w ogóle nie potrafię się poddać, bo w ostatnich dziesięciu latach patrzyłem na wszystkie przedstawienia przez różne pryzmaty. Albo jak inni to odczytują, albo jak grają moi wychowankowie, a jest ich coraz więcej w całej Europie. Patrę na nich, jak się rozwinieli od ostatniego czasu, jakie postępy zrobili, czy mnie czymś zaskakują. Wtedy patrę na nich jak na ludzi, z którymi kiedyś miałem kontakt jako nauczyciel. Moi koledzy rzadko mogą mnie czymś zaskoczyć. Tak dobrze ich już znam, cały ich arsenał środków teatralnych, bo w filmie to jest jeszcze inaczej. Myślałem, że już jestem wyjałowiony. I we Francji zobaczyłem przedstawienie Teatru De Soleil *Odyseja*, które mnie rzeczywiście poraziło swoją magią i wróciło mi wiarę w teatr w ogóle. To było piękne widowisko i zarazem tak dziwne i nietypowe, że może właśnie tą swoją nietypowością mnie urzekło? Tam nie grali aktorzy wykształceni tak, jak kształcimy ich



Fot. A. Budrewicz

Jerzy Stuhr — aktor, reżyser, pedagog, rektor PWST w Krakowie. Urodził się 18 kwietnia 1947 roku w Krakowie. W roku 1970 ukończył polonistykę na UJ, w 1972 Wydział Aktorski krakowskiej PWST. W latach 1990–1997 był rektorem krakowskiej PWST, jego ponowna kadencja na tym stanowisku trwa od 2002 r. W roku 1994 uzyskał tytuł profesora w dziedzinie sztuk teatralnych. W latach 1991–1993 był członkiem Rady ds. Kultury przy Prezydencie Rzeczypospolitej. Stworzył wiele wybitnych kreacji teatralnych (np. Piotr Wysocki w *Nocy listopadowej*, Porfiry Pietrowicz w *Zbrodni i karze* Andrzeja Wajdy) i filmowych (m.in. Lutek Danielak w *Wodzireju* Feliksa Falka, Filip Mosz w *Amatorze* Krzysztofa Kieślowskiego, Maks w *Seksmisji* Juliusza Machulskiego). Jest autorem książek: *Sercowa choroba czyli moje życie w sztuce* (1992) i *Udawać naprawdę* (2000) oraz laureatem wielu nagród, m.in. Nagrody Miasta Krakowa (1989 i 1995), Narodowego Syndykatu Włoskich Dziennikarzy Filmowych *Nastro d'Argento* dla najlepszego twórcy europejskiego (1998). Od 1998 r. jest członkiem Europejskiej Akademii Filmowej. Wyreżyserował nagradzane i cenione filmy, m.in. *Spis cudzołożnic* (na podstawie powieści Jerzego Pilcha), *Historie miłosne*, *Duże zwierzę* (wg scenariusza K. Kieślowskiego), *Pogoda na jutro*.

my, w Polsce. To było przedstawienie o emigrantach, ludziach, którzy są w wiecznej ucieczce. Grali w nim Afgańczycy, Irańczycy, Ukraińcy – mieszkańcy krajów, które mają problem z emigracją. I właściwie to oni napisali to przedstawienie: tworzą je inscenizowane ich listy do rodzin, które są potem wyświetlane w trakcie przedstawienia. Piękne widowisko...

A.B.: A czy w polskim teatrze są spektakle, które podobnie Pana zaskakują bądź „oczarowują”? Czy teatr, jaki proponują wychowankowie Pańskiej Szkoły: Krzysztof Warlikowski, Grzegorz Jarzyna, podoba się Panu?

– Mam kłopoty z oceną ich przedstawień. To nie jest mój teatr. Ja nazywam go – tak dla siebie – teatrem „introwertycznym”. A mój teatr, Jerzego Trela, Jana Nowickiego, był ekstrawertyczny. Chcieliśmy wykrzyczeć siebie ludziom, jak największej ilości ludzi wykrzyczeć nasz bunt, niezgodę, postromantyzm (bo kwalifikujemy się jeszcze, być może, do ostatniego pokolenia postromantycznego). Natomiast teatr, który teraz obserwuję, jest teatrem, który trochę leczy swoje kompleksy. Zapada się w głąb siebie, penetruje swoją seksualność, która nas kiedyś w ogóle nie interesowała. Ten teatr zwraca się do człowieka. Jemu nie są potrzebne duże widownie ani nawet skomunikowanie się z kimś, kto jest po drugiej stronie rampy. Patrzę na to dość obco. Poza tym, kiedy obserwuję z warsztatowego punktu widzenia przedstawienia wymienionych przez Panią autorów, które pozostają pod patronatem Krystiana Lupy, to myślę, że my już tak graliśmy w filmie w latach siedemdziesiątych! Ja tak grałem u Krzysztofa Kieślowskiego, w kinie moralnego niepokoju. Co to dla mnie za nowość?

Tadeusz Budrewicz:

Czyli w sztuce aktorskiej też można mówić o generacyjności?

– Musi się mówić. Moje pokolenie w stosunku do generacji przedwojennej różniło się w zasadniczy sposób doбором środków, estetyki, gustu. Uważam, że dziś w aktorstwie następuje regres. Kiedy patrzę na nich, myślę, że to aktorstwo jest łatwiejsze od

naszego, które było też wyrazem środków naturalnych, ale docierających do każdego kąta sali. Może właśnie dlatego tak uparcie gram tego *Kontrabasi*, i gram go tu, w Szkole, aby pokazać, że ta stara szkoła gry jeszcze nie odchodzi w zapomnienie, że jeszcze ktoś ją kultuwyje.

T.B.: A co jest znakiem rozpoznawczym „starej szkoły”?

– Czujemy się głównie spadkobiercami szkoły rosyjskiej – realizmu psychologicznego.

A.B.: Kiedy przygotowywał Pan ze studentami spektakl dyplomowy „Kubuś i jego pan” Milana Kundery, w wywiadzie dla „Dziennika Polskiego” z 2002 r. (z dn. 5 II), zwierzył się Pan, że szkoła wywodząca się z francuskiej myśli kartezjańskiej jest inna, ciekawsza. Według niej najważniejsza jest „myśl”. Inne szkoły byłyby Panu obce?

– To wiązało się z konkretnym repertuarem, ale rzeczywiście – gdybym miał dokonać autoanalizy dzisiaj, to spostrzeżenie nadal jest dla mnie ważne. Doszedłem do tego po latach: logika przewodu jest tak samo ważna, jak towarzyszące mu emocje. To Konrad Swinarski uczył mnie tej logiki, dialektyki, myśli. Tego, że najpiękniejszy dialog na scenie jest wtedy, kiedy aktorzy mówią coś do siebie, ale myślą co innego, informują się, myśląc o czymś innym niż tylko o tym, co mówią w tej pierwszej, bezpośredniej fazie. W dramatach Shakespeare’a mamy na to dowód, np. w pierwszej scenie poznania Katarzyny i Petruchia w *Poskromieniu złoŹnicy*. Bohaterowie zakochują się w sobie od pierwszego wejrzenia, ale nie chcą tego pokazać, bo jedno chce zdominować drugie. To jedna z najpiękniejszych scen między kobietą a mężczyzną w literaturze.

Nie chciałbym być aktorem u Kantora, przedmiotem, kukłą. W moim systemie pedagogicznym robię wszystko, żeby pokazać studenta inteligentniejszym, a nie zdolniejszym. On na scenie powinien wypowiadać zdania i myśli, rozumiejąc je

Natomiast schemat, struktura naszej Szkoły, ciągle wywodzą się z realizmu psychologicznego. I nawet nasze największe „odszczepienia” awangardowe, np. Jerzy Grotowski, absolwent tej Szkoły, też przyznawał się i powracał do Stanisławskiego. Co byłoby mi obce, to używanie aktora tak, jak używał go Tadeusz Kantor. Uwielbiam go jako jednego z największych artystów, mojego przewodnika nie tylko po teatrze, ale także po odwadze wypowiedzenia siebie innym. Ale nigdy nie chciałbym być aktorem u Kantora, przedmiotem, kukłą. W moim systemie pedagogicznym robię wszystko, żeby pokazać studenta inteligentniejszym, a nie zdolniejszym. On na scenie powinien wypowiadać zdania i myśli, rozumiejąc je. Uczyl mnie tego także humorystycznie przy kieliszku wódki Zdzisław Maklakiewicz. Mówił tak: „Synku, aktorstwo to jest prosta rzecz. W danym zdaniu jedno słowo podkreślasz, resztę puszczasz”. To jest prawda. Kiedy umarł Maklakiewicz, napisałem w mojej książce: „Panie Zdzisiu, niech Pan mi z nieba powie, które słowo podkreślić”. To jest tajemnica aktorstwa.

A.B.: Czy podobnie jest w dubbingu filmowym? Według wielu znawców, osiołek w polskiej wersji «Shreka» w Pana wykonaniu był najlepszy w Europie. Czy dubbing to trudna sztuka?

— Proszę pani, to nie jest praca artystyczna. Trzeba, owszem, wprawy i dobrego słuchu, wyczucia rytmu i ekspresji. Podczas nagrywania w słuchawce mam Eddiego Murphy’ego (odtwórcę roli osiołka w wersji oryginalnej — przyp. A.B.), słyszę jego wykonanie, co jest mi bardzo potrzebne i staram się to zimitować.

T.B.: Nie każdy jednak umiałby w podobny sposób dać tej postaci taki wyraz i charakter.

— Jeżeli Państwo to kwalifikują jako pewną umiejętność, to ja się z tym zgadzam, natomiast ze sztuką nie ma to nic wspólnego. Ja sobie trochę żartuję z tej postaci, patrzę, jak się ona rusza — i mówię jej głosem.

T.B.: W dzisiejszym „Dzienniku Polskim” (z 1 VI 2004 r.) jest wywiad z prof. Alicją Baluch, koleżanką z mojego Instytutu, w którym ona stwierdza: „Wśród nowych rodzajów książeczek dla dzieci pojawiły się bajki-grajki, czyli CD-romy, na których nagrane są utwory, wierszyki i bajki dla dzieci, w sposób mistrzowski czytane przez aktorów”. Zdaje się, że odczucie szerokiej publiczności temu właśnie zagadnieniu podkładania głosu pod animowane postaci przypisuje chyba większą rangę artystyczną, niż Pan.

— Może...

T.B.: Bo jednak są głosy bardzo charakterystyczne, rozpoznawalne.

— Ale ja nie chciałbym być aktorem rozpoznawalnym tylko przez *Shreka*. Już dwa razy dzieci się za mną oglądały i mówiły: „Niech Pan coś powie osiołkiem”. Pomyślałem wtedy, że za chwilę zostanie po mnie tylko *Shrek*...

T.B.: Zapewne słuchał Pan przed laty w niedziele „Koziołeczka Rudu-dudu”. I pewnie jak ja rozpoznaje Pan wciąż ten głos, który potem pamięta się przez całe życie.

— Tak, ale to już są zjawiska psychologiczno-socjologiczne, a nie *stricte* artystyczne. Zgadzam się z Panem absolutnie, natomiast nie mogę pozwolić na to, aby już nazwać to sztuką. To nie mieści się w moich kategoriach pojmowania sztuki. Sztuka to kreacja, a to?

T.B.: Dziś nie, ale za jakiś czas, kiedy internet opanuje cały świat, a CD będą zastępować wiele aspektów kultury audytywnej — kto wie, jaka będzie wtedy rola aktora?

— Nie chciałbym dożyć takiej wirtualizacji mojego zawodu. Wierzę, że zawsze znajdzie się takie miejsce, gdzie jeden człowiek będzie chciał się spotkać z drugim na żywo, żeby tamten opowiedział mu jakąś historię. Teatr nie zginie nigdy. Może być mniej

jego wyznawców, ale ludzie zawsze będą chcieli zobaczyć – na scenie lub w kinie – jak ktoś przeżywa podobną do mojej historię, w której ja mogę się troszkę zobaczyć, powiedzieć: „Tu mi się bardziej udało, niż temu na ekranie. A tu udało mi się trochę gorzej...” I to są dla mnie najpiękniejsze recenzje, kiedy ludzie przychodzą do mnie i mówią: „O mnie Pan zrobił film”. Ale potem wirtualizacja może być niebezpieczna. Niedawno byłem na premierze *Shreka 2* w Cannes. Trochę mnie to nużyło, bo nie lubię tego rodzaju filmów. Naokoło Amerykanie, ludzie w pięknych frakach, Eddie Murphy... W połowie zachciało mi się spać, bo znałem film, głos już miałem podłożony – i wtedy patrzyłem na technikę. Analizowałem np. jak temu osiołkowi każdy włos chodzi w drugą stronę... Pomyślałem wtedy, że do każdego takiego włosa musiał być osobny komputerowiec, który ten włos ustawił. Charakterystyczne, że nie wiadomo, kto jest reżyserem *Shreka*. Niby Adamson, ale przedstawieni zostali też inni reżyserzy: od animacji, inscenizacji, od techniki. To właściwie, który z nich jest tym najważniejszym twórcą filmu? Nie ma!

T.B.: *Czy nie kształtowano Panu głosu komputerowo? Wiem z rozmów z Romaną Bobrowską, że takie sposoby modulowania głosu są często używane.*

– Owszem. W filmie *Kingsajz* mój głos jest podwyższony, jakby metalizowany. Ale te zmiany, wirtualizacja, są nieuniknione. Pięknie powiedział o tym reżyser irański Kiara Stami, że w pokoleniu naszych rodziców potrzebna była rzeczywistość, żeby ją filmować. Nam, czyli mojemu pokoleniu, potrzebna była rzeczywistość i filmy, które oni zrobili. Naszym dzieciom rzeczywistość nie jest już potrzebna, tylko te filmy, które my zrobiliśmy. Ale ich dzieciom już nawet te filmy będą niepotrzebne, bo sami sobie je zrobią na komputerze. Fenomen *Shreka* polega właśnie na tym.

A.B.: *Pozostanmy jeszcze w „klimacie animalistycznym”. Historyjka, którą opowiem Panu Rektorowi, niech posłuży za pretekst*

do następnego pytania. Oto dwie kozy jedzą taśmę filmową. Jedna mówi do drugiej: – Dobry ten film. Na co druga odpowiada: – Dobry, ale książka była lepsza. Otóż to: jak ocenia Pan adaptacje filmowe powieści, których w polskiej kinematografii ostatnich lat tak przybyło?

– Właściwie nie mam zdania na ten temat. Jestem z pokolenia, które dwójkami szło na *Krzyżaków* Forda. Dwa razy się szło, proszę pani, bo za pierwszym nie dało się wszystkiego naraz ogarnąć. Sam zresztą zrobiłem filmową adaptację powieści Jerzego Pilcha *Spis cudzołóżnic*. Ale jest to powieść współczesna, więc i problemy adaptacyjne wyglądają inaczej. Rzadko czytam powieści historyczne, nie występuję też w filmach historycznych. Z jakich książek chciałbym zrobić film? Fascynują mnie utwory, zawierające myśli, które i ja mam, tylko że w książce są one lepiej sformułowane, opowiedziane.

A.B.: *A adaptacje teatralne powieści?*

– Tak, to już coś innego. Dzieło napisane traktuje się wtedy jak scenariusz, jako myśl, którą można przetworzyć w inną rzeczywistość teatralną...

A.B.: *... którą na dodatek trzeba zamknąć w obrębie dwóch, trzech godzin.*

– Nasza *Zbrodnia i kara* na przykład służyła tylko jako kanwa. Ale ja nawet sztukę teatralną adaptuję. W tej chwili pracuję nad *Ryszardem III*, ale to będzie moja adaptacja utworu Szekspira. Podobnie na egzaminach wstępnych na reżyserię do naszej PWST. Kandydaci przedstawiają swoje egzemplarze reżyserskie. Po nich mogę się już zorientować, co ich autorzy przez swoje przyszłe spektakle chcą publiczności powiedzieć, o czym ma być dane przedstawienie. Z samego *Ryszarda III* można zrobić 4, 5 przedstawień zupełnie różnych. I to jest piękne. Teatr jest sztuką. Kino czasami bywa sztuką.

Moje pokolenie w stosunku do generacji przedwojennej różniło się w zasadniczy sposób doborem środków, estetyki, gustu. Uważam, że dziś w aktorstwie następuje regres

A.B.: *W jednym z wywiadów powiedział Pan kiedyś, że studia polonistyczne były dla Pana rozwijające. Czy ten rodzaj studiów może rozwijać pewną wrażliwość, pogłębiony kontakt z dziełem literackim? Czy pomógł potem Panu w późniejszych doświadczeniach teatralnych?*

— Tak. Były mi potrzebne jako aktorowi i reżyserowi. Miałem większe rozeznanie w repertuarze, w stylach. Rozwinęły mnie jako człowieka. Do dzisiaj bardzo lubię czytać i wolę czytać, niż oglądać.

A.B.: *Podczas moich studiów teatrologicznych chodziliśmy na próby spektakli dyplomowych do PWST. Jak ocenia Pan tego rodzaju współpracę: teatrologa–teoretyka i aktora–praktyka?*

— Jeśli studenci teatrologii traktowali te próby poważnie, to mogli sporo skorzystać, dowiedzieć się, jak konstruuje się spektakl, jak reżyser pracuje z aktorami, jakiego typu są to kontakty, czego od nich wymagać na pierwszej próbie, na dziesiątej. Zresztą, bardzo mi pomagali, na przykład w kwestii robienia zapisu teatralnego spektaklu. Studentki teatrologii, bardzo miłe dziewczyny, pomagały mi zapisywać te sytuacje — one się przy tym wiele nauczyły i przy okazji pomogły aktorom. Wiedza studentów polonistyki, jej usystematyzowanie, mogą inspirować studentów Szkoły teatralnej i być dla nich dobrym przykładem. Nasza uczelnia nie może sobie

bowiem pozwolić na zwiększenie programu teoretycznego, bo jesteśmy szkołą zawodową.

T.B.: *À propos Szkoły, którą Pan Rektor kieruje. Dobrze wiemy, że Sejm zaczął prace nad ustawą o szkolnictwie wyższym. Zapewne Pana, jak i mnie, niepokoi jedna kwestia: jak będzie wyglądała relacja między uczelniami państwowymi a szkołami wyższymi niepaństwowymi. Czy Pana zdaniem, w przypadku szkół aktorskich, dostrzega się pewne problemy związane z tą relacją?*

— Tak, zgłosiliśmy zresztą nasze zastrzeżenia i uwagi do ustawy, podobnie jak szkoły plastyczne. Analogiczne wątpliwości mają uczelnie kształcące nauczycieli. Obawy budzi zasada drożności między licencjatem a kursem magisterskim. Odpowiedzialność za poziom polskiego teatru każe nam z uwagą przyglądać się programom kształcenia w nowych placówkach. Oczywiście, różne formy wstępnego przygotowania do studiów w naszej uczelni dają maturzystom większe nadzieje, a i nam, kadrze akademickiej, jest wtedy łatwiej...

T.B.: *W tym roku, we wrześniu odbędzie się w Krakowie ogólnopolski Zjazd Polonistów. Czy będziemy mogli liczyć na Pańską obecność?*

— Oczywiście, bardzo chętnie! Zawsze przyznaję się do moich związków z polonistyką, jestem ponadto uczniem prof. Dłuskiej. Ale chyba nie będę zabierać głosu...

T.B.: *W takim razie — do zobaczenia na Zjeździe Polonistów w Teatrze im. Juliusza Słowackiego, bo tam właśnie będą się odbywać obrady.*

— Tam czuję się najpewniej!

Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiali

Aleksandra Z. Budrewicz i Tadeusz Budrewicz

Kraków, 1 czerwca 2004 r.



„Świat się zmienia, a my z nim”

Mówi profesor Bolesław Faron,
dyrektor Instytutu Filologii Polskiej AP

Historia polonistyki w Wyższej Szkole, obecnie Akademii Pedagogicznej, jest tak długa, jak historia Uczelni. 11 maja 1946 roku na bazie ówczesnego Pedagogium utworzono Państwową Wyższą Szkołę Pedagogiczną jako szkołę zawodową, bez uprawnień magisterskich, dającą uprawnienia do nauczania w szkołach podstawowych. Początkowo miała to być trzyletnia szkoła nieakademicka, korzystająca z kadry i urządzeń uczelni krakowskich, a dokładniej rzecz biorąc – Uniwersytetu Jagiellońskiego, z którym zresztą wtedy sąsiadowała. Koncepcja PWSP, których w następnych latach powstało jeszcze kilka w Polsce, była następująca: w stosunkowo szybkim czasie uzupełnić braki w stanie nauczycielskim, spowodowane dużymi stratami wśród inteligencji polskiej, w tym również i nauczycieli podczas II wojny światowej.

Powstanie polonistyki łączy się z powstaniem Uczelni. Początkowo nie było tu wydziałów ani kierunków, jedynie sekcje. W obrębie Sekcji Humanistycznej, kierowanej przez profesora Stanisława Pigonia, już w 1946 roku powołano do życia dwie kolejne: Polonistyczno-Historyczną oraz Polonistyczno-Estetyczną. Jak widać, polonistyka nasza od początku zmierzała w stronę wielokierunkowego kształcenia nauczycieli, którzy mieli stać się przewodnikami młodych ludzi po świecie kultury i sztuki. Tak w każdym razie myślał o roli uczelni, nauczycieli i szkoły profesor Stefan Szuman, znakomity psycholog z UJ, a jednocześnie pierwszy dyrektor PWSP i kierownik Sekcji Polonistyczno-Estetycznej. W jego przekonaniu szkoła miała wychować kompetentnego odbiorcę dzieł sztuki, dziś powiedzielibyśmy – konsumenta kultury. Sekcja ta w niedługim



Fot. K.K. Pollesch

Bolesław Faron — literaturoznawca, krytyk literacki, publicysta. Prorektor i rektor WSP w Krakowie (1971–81), minister oświaty i wychowania (1981–85), radca ds. kulturalnych i naukowych Ambasady PRL w Wiedniu i dyrektor tamtejszego Instytutu Polskiego (1986–90), wiceprzewodniczący komisji Historycznoliterackiej PAN Oddział Kraków (1970–76), członek Komitetu Nauki o Literaturze PAN (1975–86), redaktor naukowy serii: *Biblioteka Polonistyki* w Wydawnictwach Szkolnych i Pedagogicznych (od 1982), członek Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza, redaktor naczelny „*Ruchu Literackiego*” (1975–81). Od 1993 związany z Wydawnictwem Edukacyjnym w Krakowie. Od 2000 dyrektor Instytutu Filologii Polskiej AP w Krakowie. Opublikował monografie twórczości Zbigniewa Uniówskiego (1969) i Stanisława Piętaka (1971), studium *Stefan Kołaczkowski jako krytyk i historyk literatury* (1976), monografię *Jama Michalika* (1995, 1997, 2002), szkice *Oświatowe przekroje i zbliżenia* (1985), *Spotkania i powroty* (1995), *Korzenie* (1997), *Powrót do korzeni* (2000), *Władysław Orkan* (2004). Jest redaktorem m.in. tomu *Prozaicy dwudziestolecia międzywojennego. Sylwetki* (1972, 1974) oraz edytorem dzieł W. Orkana i Z. Uniówskiego.

czasie została zlikwidowana, jednak jej idee przetrwały i dziś znów kształcimy studentów m.in. w zakresie kultury medialnej.

PROLETARIACKO-CHŁOPSKA SZKOŁA

W roku kolejnym powstała trzecia, ciesząca się dużą popularnością, sekcja Polonistyczno-Językowa. Ci ludzie naprawdę, z pasją i przekonaniem chcieli być nauczycielami. Służba nauczycielska po wojnie, zwłaszcza w wiejskich szkołach podstawowych, wymagała od nauczycieli gruntownej znajomości języka polskiego, bo stawali wówczas przed perspektywą dość dużego odsetka analfabetów w Polsce. Mielśmy ogromne zapóźnienia edukacyjne, wynikające z lat okupacji i nie tylko. Zawód nauczyciela wtedy nobilitował, a już przede wszystkim dzieci ze środowisk małomiasteczkowych i wiejskich. Zostać nauczycielem, to pierwszy stopień wydobycia się ze swojego środowiska, wejścia do grona inteligentów, poza tym owa profesja eksponowana była przez powojenną propagandę.

Opracowania dotyczące dziejów WSP w Krakowie wspominają o biedocie wiejskiej jako podstawowym źródle kandydatów na studentów. Nie przypominam sobie ze swoich studenckich czasów jakiejś selekcji ze względu na pochodzenie, przyznawania za pochodzenie premiovych punktów, natomiast mogę potwierdzić, że była taka tradycja, o której się w Krakowie głośno mówiło, że akurat do PWSP (od 1954 WSP) garnęła się młodzież ze środowisk niezbyt dobrze sytuowanych materialnie. To była taka



Studenci WSP w jednostce wojskowej w Tarnobrzegu, rok 1958

trochę proletariacko-chłopską szkołą, a dość dużo studentów to dzieci z rodzin urzędniczych i nauczycielskich, które uznawały, że zdobędą zawód w ciągu 3 lat, i że może będą miały potem jakąś szansę kontynuowania studiów. Moja decyzja pójścia tu, a nie na uniwersytet, wynikała właśnie z tego, że na tym etapie mojego myślenia bardzo pragnąłem być profesorem licealnym, chciałem być kimś na wzór moich nauczycieli — Zofii Oleksówny, Marii Hebenstreit, czy Eugeniusza Pawłowskiego z I Liceum im. Jana Długosza w Nowym Sączu. To był mój horyzont ambicji zawodowych. Koniec końców stało się jednak nieco inaczej.

MAGISTERSKIE STUDIA POLONISTYCZNE

Pierwsi dziekani Wydziału Humanistycznego Uczelni to profesorowie Stanisław Pigoń i znany językoznawca Witold Taszycki. W obrębie wydziałów istniały kierunki, między innymi filologia polska, a w 1954 roku powstały studia magisterskie. Pierwszego ich rocznika jestem absolwentem.

Jak widać, początkowo kadra naszej uczelni rekrutowała się, co było niejako naturalne, spośród pracowników Uniwersytetu Jagiellońskiego — w takim charakterze pracowali w PWSP profesorowie i docenci Szuman, Taszycki, Wyka. Drugim ważnym źródłem pozyskiwania kadry była szkoła: ze specyfiki



Studenci filologii polskiej podczas ćwiczeń wojskowych, rok 1958, cekaemista — Bolesław Faron

uczelni pedagogicznej wynikało, że cennymi dla niej pracownikami byli doświadczeni, posiadający dorobek naukowy, nierzadko stopień doktorski, nauczyciele szkół średnich. Z tej grupy wyrosła w przyszłości własna kadra: jako nauczyciel pracował ówczesny doktor Wincenty Danek, dyrektor krakowskiego liceum w Podgórzu, potem pracownik Kuratorium Oświaty, polonistą szkolnym o doświadczeniu przedwojennym był Jan Nowakowski, z liceum w Nowym Sączu przyszedł mój nauczyciel, doktor Eugeniusz Pawłowski.

Profesor Danek, zostając w roku akademickim 1956/57 rektorem Uczelni, którą to funkcję pełnił przez rekordowe szesnaście lat, postawił sobie za cel sformowanie własnej kadry naukowej i uniezależnienie się od kadry uniwersyteckiej. Od początku swojej działalności rektorskiej miał przekonanie, że jeżeli WSP ma być z prawdziwego zdarzenia wyższą uczelnią zawodową, to musi się posługiwać własną kadrą naukową. To przekonanie jest nam wszystkim nadal bliskie, na tych łamach głosił je kilka lat temu uczeń Wincentego Danki, profesor Stanisław Burkot, mówiąc, iż nie ma dobrej dydaktyki bez dobrej nauki („Konspekt” 1999, nr 1).

Podpis asystenta Stanisława Burkota widnieje w moim indeksie obok autografów innych pracowników, którzy wyrosli i ukształtowali się naukowo już w WSP: jest więc docent Wincenty Danek, Jan Nowakowski, Barbara Mańczakowa, która prowadziła przedmiot o nazwie współczesne życie literackie, magister Jan Zaleski, prowadzący ćwiczenia z gramatyki opisowej i magister Józefa Bodnarowska (dziś profesor Kobylińska), prowadząca ówczesnie ćwiczenia z gramatyki starosłowiańskiej.

W roku 1953 po raz pierwszy w historii Uczelni zostały utworzone katedry. Na polonistyce była to Katedra Historii Literatury Polskiej, którą kierował profesor Jan Nowakowski oraz Katedra Języka Polskiego, kierowana przez docenta Stanisława Jodłowskiego; kilka lat później, w 1958 roku, powstała Katedra Metodyki Języka Polskiego i Literatury Polskiej początkowo prowadzona przez docenta Władysława Szyszkowskiego, a od 1960 profesora Wincentego Danki. Kolejnym etapem rozwoju było powołanie w 1971 roku Instytutu Filologii Polskiej, którego pierwszym dyrektorem został Danek, po odejściu ze stanowiska rektora. Do IFP włączono dotychczasowe polonistyczne kate-



Przodujący rok filologii polskiej, rok 1958

dry, z tym, że zmieniły one nazwy na zakłady, powołano także zespół naukowy do badań nad teorią literatury. W 1975 roku powstał w obrębie IFP Zakład Bibliotekoznawstwa, który tak się rozwijał, że wreszcie usamodzielniał się i przekształcił w osobny instytut, obecny Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa.

KIERUNKI DZIAŁALNOŚCI NAUKOWEJ

Naukowa działalność w IFP od samego początku rozwijała się w trzech kierunkach – były to od zawsze: literaturoznawstwo, językoznawstwo i, co stanowi specyfikę naszej polonistyki, dydaktyka.

W obrębie językoznawstwa pracowali powszechnie znani za sprawą popularnego słownika ortograficznego Witold Taszycki i Stanisław Jodłowski, wybitny językoznawca Tadeusz Milewski, w pewnym momencie Uczelnia pozyskała z Nowego Sącza Eugeniusza Pawłowskiego, specjalistę zajmującego się gwarą, który oprócz tego, że był autorem publikacji naukowych, np. o gwarze podegrodzkiej czy nazwach miejscowych Sądeczyny, był także pisarzem. Jako asystent pracowała Maria Zarebina, późniejsza inicjatorka badań logopedycznych oraz nasi absolwenci: Józefa Bodnarowska (Kobylińska), zajmująca się gramatyką historyczną, Jan Zaleski parający się językoznawstwem ogólnym, a naukowo opracowujący język A. Fredry, Maria Schabowska,

która zajmowała się gramatyką języka polskiego oraz slawista Leszek Bednarczuk – kilkoro z nich już odeszło, pozostali nadal stanowią ośnowę językoznawstwa w naszej uczelni.

Podobnie w badaniach literaturoznawczych: nie ma już w naszym gronie pozyskanego niegdyś dla Uczelni Stanisława Sierotwińskiego, specjalizującego się przede wszystkim w życiu literackim, którego zaśluga są kroniki tego życia pod okupacją hitlerowską, nie ma Wincentego Danko i Jana Nowakowskiego, znakomych historyków literatury, z których pierwszy zajmował się powieścią historyczną, a w szczególności twórczością J.I. Kraszewskiego, drugi – literaturą Młodej Polski, dramaturgią S. Wyspiańskiego. Nie ma Mieczysławy Romankówny, która była historykiem literatury XIX wieku, są jednak jej naukowci spadkobiercy, kontynuujący badania przez nią rozpoczęte – profesor Halina Bursztyńska i profesor Tadeusz Budrewicz.

W cieniu tych wielkich nazwisk rozwijały się sylwetki młodszych pracowników, którzy przeszli wszystkie szczeble kariery naukowej w uczelni, myśle tu o Józefie Z. Białku, który realizował się w badaniu literatury dla dzieci i młodzieży – dziś ta dziedzina jest rozwijana w nieco innym kierunku przez Alicję Bałuch. Profesor Bialek ma jednak także na koncie parę książek na temat krytyki literackiej, zwłaszcza krytyki w okresie XX-lecia międzywojennego. Naszym absolwentem jest też Stanisław Burkot, którego zainteresowania zmieniały się, ciągle rozwijały. Najpierw, zgodnie z zainteresowaniami swojego mistrza, Wincentego Danko, zajmował się przede wszystkim twórczością Kraszewskiego, potem literaturą krajową, nurtem chłopkim, w ostatnim okresie literaturą najnowszą, współczesną – nie tylko twórczością Mirona Białoszewskiego czy Tadeusza Różewicza, ale i Manueli Gretkowskiej; sam profesor



Nominacje profesorskie w Belwederze, styczeń 1979 roku, przemawia Bolesław Faron. Pierwszy od lewej prof. Z. Moszner

nazywa swoją metodę pracy naukowej płodozmianem. Wreszcie i ja byłem asystentem na polonistyce, moje zainteresowania najpierw wiązały się z literaturą Młodej Polski, dorobkiem Władysława Orkana, a później dotyczyły twórczości prozatorskiej Zbigniewa Uniłowskiego i krytyki literackiej w okresie XX-lecia międzywojennego uprawianej m.in. przez Stefana Kołaczковского i Leona Piwińskiego.

Dość mocną tradycję miała literatura staropolska – jednym z pierwszych staropolań był profesor Jan Zaremba, zajmujący się twórczością m.in. Wacława Potockiego. Z kolei Jan Okoń został początkowo pozyskany z Biblioteki Jagiellońskiej na kierownika Zakładu Bibliotekoznawstwa, a później kierownika Zakładu Literatury Staropolskiej. Jego badania kontynuuje Roman Mazurkiewicz, zajmujący się średniowieczną pieśnią maryjną.

Najslabiej, i ciągle jest naszą piętą achillesową, rozwijała się teoria literatury. Mam nadzieję, że po powołaniu Katedry Teorii Literatury i po pozyskaniu z UJ profesora Adama Kulawika teoria literatury i poetyka będą równie mocne, jak pozostałe dziedziny badań.

DYDAKTYKA

Trzecim, jak już podkreślałem, specyficznym dla naszej uczelni ośrodkiem badań polonistycznych jest metodyka nauczania literatury i języka polskiego. Oprócz nestorów tej dyscypliny, jakimi byli Władysław Szyszkowski i Jan Kulpa, którzy byli jeszcze moimi nauczycielami, trzeba wymienić innego ich ucznia, obecnego kierownika katedry, Zenona Urygę. Przez lata pracowali u nas Jan Polakowski, Zenon Jagoda, Anna Dyduch, pracują nadal m.in. Maria Jędrychowska, Barbara Dyduch, Zofia Budrewicz. Specyfika polonistyki w Akademii Pedagogicznej i jej odrębność od uniwersyteckiej to pytanie zasadnicze w związku z tym, że w Krakowie są dwie polonistyki – uniwersytecka i specyficzna polonistyka Akademii Pedagogicznej, ukształtowana przez profil Uczelni. Oczywiście nie jest to wyjątek, od lat funkcjonują dwie polonistyki w Lublinie (UMCS, KUL), a także od kilku lat w różnych miastach w Polsce, tam gdzie powstają prywatne szkoły humanistyczne lub państwowe wyższe szkoły zawodowe. Dawna WSP,

w tym i polonistyka, przez lata – myślę tu o latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych – żyła w pewnym zagrożeniu, ponieważ istniały dość silne tendencje aneksji Uczelni do uniwersytetu. Wtedy pojawiało się pytanie: po co dwie polonistyki, dwie historie, dwie geografie? W tym kontekście polonistyka w WSP starała się określić, tak budować swój profil, aby nie było to jedynie proste dublowanie tego, co się dzieje na UJ. Przez lata głównym atutem naszej polonistyki był fakt, że jej podstawowym i jedynym celem jest kształcenie nauczycieli dla wszystkich typów szkół. To rzutowało na rozwój metodyki,



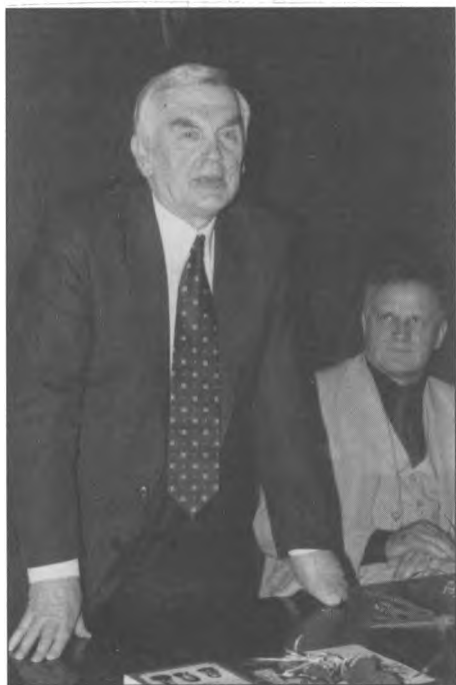
Wręczenie prof. J.Z. Białkowi książki pamiątkowej, rok 2001

a więc bloku przedmiotów, których zadaniem było przygotowanie nauczyciela do pracy dydaktycznej, ale także wychowawczej. Prowadziło to do poważnego rozwoju katedry metodyki, do jej rozbudowy do około dwudziestu pracowników. W wyniku tych zabiegów Katedra Dydaktyki Literatury i Języka Polskiego w Akademii Pedagogicznej jest na pewno katedrą najsilniejszą w tej dziedzinie w całej Polsce. Wyraża się to nie tylko w ilości pracowników, ale także i w tym, że w naszym instytucie, w zespole pod kierownictwem Agnieszki Kłakówny zrodził się nowoczesny cykl podręczników do nauczania języka polskiego „*To lubię!*”, który funkcjonuje na rynku pełne 10 lat i obejmuje program od 4 klasy szkoły podstawowej do końca szkoły średniej (w tym roku zespół kończy pracę nad ostatnią klasą liceum). Jest to jedyny taki przypadek w Polsce, że uczeń, który w 4 klasie szkoły podstawowej rozpoczął kształcenie

z „*To lubię!*”, ma szansę swoją polonistyczną edukację doprowadzić w tym cyklu aż do matury. Ten efekt udało się uzyskać dzięki dużemu doświadczeniu pedagogicznemu autorów – pracowników tej katedry oraz korzystaniu przy tworzeniu podręczników z pomocy wybitnych, czynnych nauczycieli. „*To lubię!*” prezentuje wyraźną koncepcję metodyczną nakierowaną na rozumienie tej wielości znaków, która jest domeną współczesnego świata. Sądzymy przy tym, że nauczyciel musi być przygotowany do pracy w zreformowanej szkole. Autorzy i sympatycy pracujący w Instytucie Filologii Polskiej wykorzystują tę koncepcję i swoje doświadczenia z podręcznikiem nie tylko podczas wykładów monograficznych i seminariów, ale także w codziennej pracy dydaktycznej. Stąd między innymi tak duże przeobrażenia studiów i wprowadzenie nowych specjalizacji polonistycznych w ostatnich latach. Katedra Metodyki nie zrywa z tradycją, przeciwnie – nawiązuje do niej część pracowników zajmująca się przeszłością i bibliografią dydaktyki.

NASZE KONTAKTY

Poza metodyką zmieniło się kilka innych rzeczy w IFP. Powrócono do tradycji organizowania konfe-



Prof. J.Z. Bialek przemawia podczas uroczystości wręczenia książki pamiątkowej, rok 2001

rencji naukowych (w tym roku odbyła się IV konferencja we wsi Maniowy), integrujących doświadczonych pracowników naukowych, młodszych pracowników i doktorantów, w ubiegłych latach zapraszano także studentów. Plonem konferencji jest zawsze książka referatów. Zorganizowaliśmy w ostatnich latach także inne konferencje: co dwa lata odbywa się Jesienna Szkoła Dydaktyków Literatury i Języka (w 2003 roku – XI), były sesje o życiu i twórczości Kornela Filipowicza, o świecie Michała Bałuckiego, a ostatnio, w ramach Roku K.I. Gałczyńskiego ogromna konferencja poświęcona jego dziełu i życiu. Historycy literatury XIX wieku zorganizowali w terenie konferencje o Elizie Orzeszkowej i Marii Konopnickiej.

Żywe są kontakty międzynarodowe z Kresami Wschodnimi: Wilnem i Grodnem. Od lat istnieje wymiana pracowników, organizujemy wspólne konferencje, studenci z Litwy przyjeżdżają do nas na półroczne stypendia. Kresy interesują nas nie tylko ze względu na fakt, że kilkoro pracowników ma takie zainteresowania badawcze, ale także dlatego, że tamtejsze polonistyki bardzo potrzebują wsparcia. A my to wsparcie możemy dać. Powoli nawiązujemy istniejące niegdyś kontakty naukowe z Ukrainą, Rosją, Słowacją, Czechami. Corocznie organizujemy kurs metodyczny dla nauczycieli języka polskiego z zagranicy. Poza tym nie ma zbyt intensywnych kontaktów z Zachodem, może prócz Wolnego Uniwersytetu w Brukseli, z profesorem Alainem van Crugtenem i Marianem Pankowskim. Póki co, nie wydajemy międzynarodowych suplementów do dyplomu i nie ma wśród naszych studentów wielkiego zainteresowania programami w rodzaju Socrates-Erasmus. Raczej skupiamy się na przemianach wewnętrznych. Nasze osiągnięcia to np. aktywizacja studentów, o co na tych łamach apelował profesor Zenon Uryga („Konspekt” 2000, nr 2).

Reaktywowano Studenckie Koło Naukowe. Staramy się rozbudzać potencjał tkwiący w studentach: Koło zorganizowało w ostatnich latach dwie ogólnopolskie studenckie sesje naukowe, działa w nim kilka sekcji, m.in. twórczości oryginalnej, studenci współpracują z klubem „Bakalarz”, gdzie odbywają się wieczory autorskie, konkursy poezji i prozy, recytatorskie itp. Wśród laureatów są często studenci

polonistyki. Z kolei dziennikarskie aspiracje owocują studenckimi gazetkami. Wyraźnie widać, jak rozbudzone są apetyty studentów. I to uważam za zjawisko pozytywne.

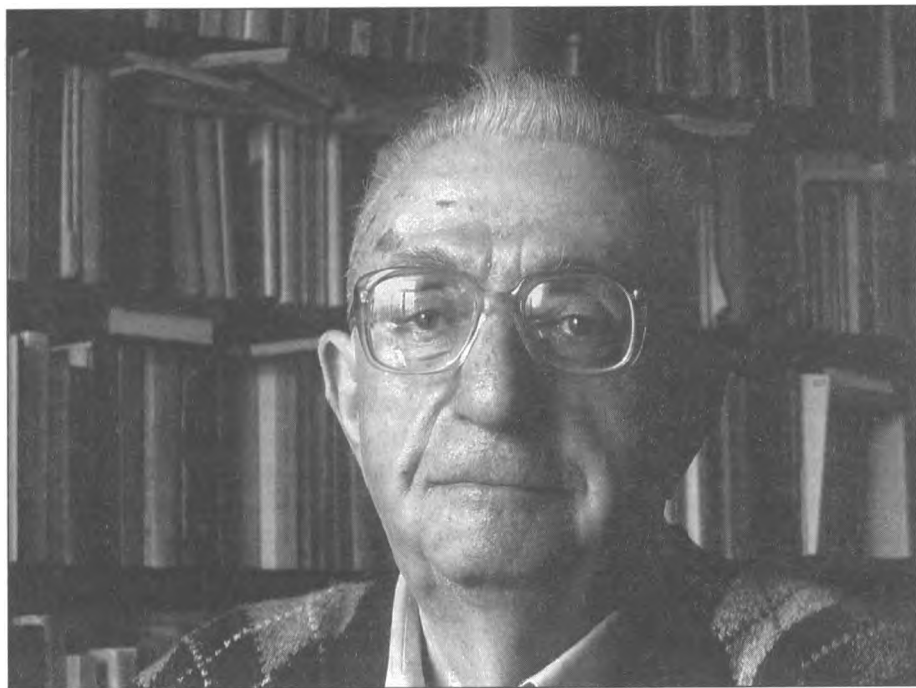
ŚWIAT SIĘ ZMIENIA, A MY Z NIM

Zaszły ostatnio zmiany w procesie dydaktycznym: świadomi przeobrażeń na rynku pracy, kurczącego się zapotrzebowania na nauczycieli i coraz mniejszej liczby uczniów wprowadziliśmy oprócz podstawowej specjalizacji nauczycielskiej dodatkowe specjalizacje, zarówno w trybie dziennym, jak i zaocznym. Mianowicie: na studiach zaocznych funkcjonuje także specjalizacja edytorstwo i komunikacja medialna, a od roku akademickiego 2003/2004 mamy po cztery specjalizacje: nauczycielską, logopedyczną, edytorstwo z komunikacją medialną oraz całkiem nowe studia o nazwie komunikacja społeczna. Te ostatnie przygotowują do pracy w biurach, instytucjach, na stanowiskach sekretarzy i asystentów. Zdajemy sobie sprawę, że po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej zapotrzebowanie na kompetentnych pracowników administracji wzrośnie znacznie. Na studia zaoczne w tym kierunku przychodzą ci, którzy już pracują. Specjalizacja logopedyczna powstała na bazie doświadczeń Studium Logopedycznego od lat istniejącego przy IFP, a prowadzonego przez pracowników Katedry Logopedii i Lingwistyki Edukacyjnej pod kierunkiem profesora Jana Ożdżyńskiego oraz w odpowiedzi na sygnalizowane przez nauczycieli coraz większe problemy dyslektyczne i dysgraficzne uczniów. Komunikacja medialna raczej nie przygotowuje dziennikarzy – to czyni nadal znakomicie Studium Dziennikarskie – natomiast kształci absolwentów na potrzeby rynku wydawniczego.

Mimo tych przemian jesteśmy nadal skupieni na kształceniu nauczycieli – ponad połowa studentów jest na kierunku nauczycielskim. Nie tracimy ich z oczu. Właściwie wszystkie specjalizacje cieszą się popularnością: na 180 miejsc przyszło w tym roku 800 kandydatów, na wszystkie specjalizacje startowało mniej więcej po równo kandydatów, bez deficytów, bez dysproporcji. Pojawiło się za to zjawisko nowe: wielu studentów, którzy wybrali daną specjalizację, pyta, czy nie może równolegle studiować na drugiej. Na razie takiej możliwości nie ma: dla chętnych są studia fakultatywne i podyplomowe.

Trudno przewidzieć dalsze zmiany w IFP. Poniekąd żyjemy w zawieszeniu, uzależnieni od decyzji centralnych, czekamy na nową Ustawę o Szkolnictwie Wyższym. Jeśli mogę się pokusić o futurologiczną przepowiednię, to wyobrażam sobie, że kolejne lata przyniosą dalszą weryfikację systemu kształcenia. My na pewno zmieniliśmy już trochę nachylenie – nowością w kształceniu jest edukacja medialna, istnieje cały zespół osób specjalizujących się w mediach, zbudowaliśmy nowoczesnie wyposażoną pracownię multimedialną, będziemy się starać o nową pracownię komputerową, w wakacje poddamy „liftingowi” korytarz – także i w ten sposób zmieniamy swoje oblicze. Nasze zainteresowania nadal skupiają się wokół kilku osi: literatury, języka i dydaktyki, jednak w każdym z tych kierunków wyrastają osobowości, których przygotowanie pozwala na pełnoprawne zatrudnienie ich na innych kierunkach, część pracowników zapewne przekwalifikuje się lub doksztalci – tak trzeba. Świat się zmienia, a my z nim.

Spisała Magdalena Roszczynialska



Fot. J. Maziański

Henryk Markiewicz

O polonistyce literackiej w krakowskiej AP

Moje kontakty z polonistyką literacką tejże Uczelni, rozpoczęte blisko pół wieku temu, były częste i różnorakie. Nazwisko moje jako „redaktora naukowego” (takie były wówczas obyczaje wydawnicze) figuruje na książce Wincentego Danki „Publicystyka Józefa Ignacego Kraszewskiego” z roku 1957. Występowałem potem wielokrotnie jako recenzent w przewodach doktorskich, habilitacyjnych i profesorskich młodszych kolegów. Znam więc niezłe znaczną część historycznoliterackiego dorobku tej Uczelni. Dopiero teraz jednak, zaproszony przez redakcję „Konspektu” do wypowiedzi o tym dorobku, uświadamiam sobie ile mu współczesna wiedza o literaturze polskiej zawdzięcza

Henryk Markiewicz (ur. w 1922 r.) — historyk literatury, emerytowany profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek krajowy czynny PAU, członek krajowy rzeczywisty PAN, były dyrektor Instytutu Filologii Polskiej (dziś — Instytutu Polonistyki) UJ. Wieloletni zastępca redaktora naczelnego „Pamiętnika Literackiego” i redaktor „Polskiego Słownika Biograficznego”, redaktor serii „Biblioteka Studiów Literackich”, członek redakcji naczelnej *Obrazu Literatury Polskiej XIX i XX w.* Doktor honoris causa WSP (aktualnie AP) w Krakowie (1996) i Uniwersytetu Gdańskiego (1996).

Zajmuje się historią literatury polskiej lat 1864–1939, teorią literatury i metodologią badań literackich, historią nauki o literaturze i krytyki literackiej. Autor m.in. książek *Prus i Żeromski* 1954, 1964, *Tradycje i rewizje* 1957, monografii literatury pozytywizmu (*Literatura pozytywizmu* 1986; *Pozytywizm* 1978, 1999), dzieł z zakresu teorii literatury i metodologii literaturoznawstwa (*Główne problemy wiedzy o literaturze* 1965, *Przekroje i zbliżenia dawne i nowe* 1976, *Wymiary dzieła literackiego* 1984, *Literaturoznawstwo i jego sąsiedztwa* 1989, *Teoria powieści za granicą* 1995, *Polskie teorie powieści* 1998) oraz historii nauki o literaturze i krytyki literackiej (*Polska nauka o literaturze* 1981, *Świadomość literatury* 1985). Współautor (wraz z Andrzejem Romanowskim) słownika cytatów *Skrzydlate słowa* (seria 2 — 1998). *Prace wybrane* Henryka Markiewicza ukazały się w 6 tomach w latach 1995–1998.

Z e względów chronologicznych i merytorycznych zacząć trzeba od literatury XIX w. Takie ukierunkowanie nadali badaniom „ojcowie założyciele” polonistyki literackiej w WSP – Wincenty Danek i Jan Nowakowski. Pierwszy z nich ze zdumiewającą energią i systematycznością przeorał się przez całą twórczość Kraszewskiego, ale główną uwagę skupił na jego powieściach historycznych, publicystyce, udziale w życiu kulturalnym i literackim. Osiągnął rezultaty, które stanowią do dziś niezbędny fundament dalszych studiów nad tym fenomenem pisarskim. Kontynuowali je w WSP owoć Stanisław Burkot (popowstaniowe powieści współczesne) i Jerzy Jarowiecki (powieści historyczne). Tym pracom interpretacyjnym towarzyszyły ważne przedsięwzięcia edytorskie – wydanie kilku bloków korespondencji Kraszewskiego. W sąsiedztwie studiów nad Kraszewskim znajdują się prace Burkota o sporach wokół powieści w XIX wieku i romantycznym podróżopisarstwie oraz sumienne studia Antoniego Jopka nad „współzawodnikami Sienkiewicza” – Zygmuntem Kaczkowskim i Adamem Krechowieckim.

W kręgu zainteresowań Jana Nowakowskiego, który debiutował rozprawą *Spór o Zolę w Polsce*, powstała jedna z najlepszych w swoim czasie książek popularyzatorskich – monografia Danuty Brzozowskiej o Dygasińskim oraz analizy techniki nowelistycznej tegoż autora (Barbara Dyduchowa) i Sewera-Maciejowskiego (Eugenia Łoch).

Główną domeną własnych badań Nowakowskiego stała się jednak międzypowstaniowa poezja w kraju i dramaturgia Wyspiańskiego. W pracach swych wydobywał walory artystyczne liryki Lenartowicza, w nowych wymiarach (np. funkcja mitu, sposoby organizacji czasu i przestrzeni), ukazywał twórczość autora *Nocy listopadowej*. Łączył w nich „wnikliwość i subtelność interpretacji z podejmowaniem zadań popularyzacyjnych i gruntowną filologiczną robotą edytorską”. Pod kierunkiem Nowakowskiego powstała też monografia Zenona Jagody o literaturze Wolnego Miasta Krakowa.

„Ojcowie założyciele” kierowali prace swych uczniów poza tereny własnej praktyki badawczej –

w stronę literatury XX wieku. Początkowo była to przede wszystkim ówczesna krytyka literacka. Ludwik Fryde i Karol Wiktor Zawodziński dzięki Józefowi Zbigniewowi Białkowi, Stefan Kołaczkowski – dzięki Bolesławowi Faronowi otrzymali kompetentną prezentację swych poglądów. Faron stał się też monografistą Zbigniewa Uniłowskiego. Burkot zajął się kolejno Młodożeniem, Różewiczem i Białoszewskim. Uprawiał też z powodzeniem krytykę literacką, zarówno w dziedzinie poezji, jak i prozy. Wszystkie te jego prace zaowocowały z czasem klarowną i wyważoną w sądach syntezą literatury polskiej lat 1939–1999. Poezję krakowskiego „Helionu” i „Litar-tu” przypominała Regina Lubas-Bartoszyńska.

Z czasem w dorobku polonistycznym krakowskiej WSP ważne miejsce zajęły prace o okresie II wojny światowej – i trzeba podkreślić, że były to prace pionierskie. Zapoczątkował je Stanisław Sierotwiński kroniką okupacyjnego życia literackiego, kontynuowali Jerzy Jarowiecki, pisząc o prasie i literaturze podziemnej oraz Krzysztof Woźniakowski, który zajął się z kolei ich obiegami legalnymi w Generalnej Guberni.

Z natury rzeczy stałym przedmiotem zainteresowań badawczych była na WSP literatura dla dzieci i młodzieży. Spośród licznych prac Białka wymienić należy przede wszystkim syntezę tej literatury w latach 1918–1939. O poezji i baśni dla dzieci, jej aspektach zarówno mitycznych i ludycznych pisała wnikliwie Alicja Baluch.

Omawiałem dotąd te dziedziny literatury polskiej, których badania uprawiane były w Instytucie Filologii Polskiej na szerszą skalę. Ale front badań stale się poszerzał. I tak, w dziedzinie staropolszczyzny cenione są przez znawców studia Jana Okonia o epice romansowej Samuela Twardowskiego i teatrze szkolnym oraz Romana Mazurkiewicza o idei *deesis* i średniowiecznej pieśni maryjnej. Na teren wielkiego romantyzmu wkroczyła Ewa Łubieniewska śmiałą interpretacją *Fantazego* i rozważaniami o antropologii poetyckiej Słowackiego. Badania nad wielkimi pisarzami pozytywizmu, dawniej ubogie, są reprezentowane studiami Haliny Bursztyńskiej o Sienkiewiczu, rozprawą Haliny Kosętki o recepcji

Trylogii, a przede wszystkim ważną książką o *Lalce* Tadeusza Budrewicza, która zainaugurowała nową fazę interpretacji tej powieści oraz erudycyjnymi rozprawami tegoż autora, m.in. o Marii Konopnickiej. H. Bursztyńska i T. Budrewicz byli zarazem redaktorami wydanych przez Akademię Pedagogiczną prac zbiorowych poświęconych Konopnickiej, Orzeszkowej i Bałuckiemu.

Przegląd to na pewno niepełny. W zastosowanym tu uporządkowaniu materiału nie zmieścił się np. pierwszy w Polsce i w swoim czasie bardzo użyteczny *Słownik terminów literackich* Sierotwińskiego, monografia Maryli Wolskiej tegoż autora, gruntowne studium Marka Busia o losach edytorskich pism Norwida, bibliografia prasy lwowskiej XIX i XX wieku sporządzona przez Jarowieckiego. Należy się przynajmniej wzmianka przynależnej tu twórczości polonistów i romanistów zarazem, zatrudnionych w Instytucie Neofilologii. Regina Lubas-Bartoszyńska poszerzyła znacznie wiedzę teoretyczną o tak ważnym dziś piśmarstwie autobiograficznym. Jan Prokop zaś w swych esejach podejmuje

odważnie i poważnie problemy współczesnej kultury polskiej.

Mimo nieuniknionych pominięć i przeoczeń w tym przeglądzie, rozmiary literaturoznawczego dorobku Instytutu Filologii Polskiej, jego poziom i wielopostaciowość rysują się z dostateczną wyrazistością. Ale właśnie ta wielopostaciowość – tematyczna i metodologiczna – utrudnia uogólniającą charakterystykę. Próbuując ją sformułować, należałoby w pierwszym rzędzie uwzględnić pieczołowitość wobec całego dziedzictwa literackiego, a w konsekwencji koncentrację na jego sektorach dotąd nieoświetlonych naukowo lub zaniedbanych przez historiografię literacką, odwagę podejmowania zadań trudnych i wytrwałość w ich realizacji. A dalej faktograficzną skrupulatność, otwarcie na innowacje metodologiczne, ale zarazem wystrzeganie się efekciarskich nadinterpretacji. Cechy to w dzisiejszym literaturoznawstwie bynajmniej nie-powszechne, więc tym bardziej zasługujące na wyeksponowanie i szacunek.

Henryk Markiewicz

Jerzy S. Ossowski

Plejady polonistów

*Nasze poczynania były jakby ciągiem przybliżeń do przedmiotu,
który stopniowo okazywał się tym bogatszy i bardziej złożony –
im więcej pytań rozmaitych byliśmy mu w stanie zadać*
J. Sławiński (1981)

*Usnęła bowiem wola zadawania pytań podstawowych
dotyczących dziedziny wiedzy wspólnie przez nas uprawianej
– jej zasad pierwszych*
J. Sławiński (1993)

Pierwszy Zjazd polonistyczny im. Jana Kochanowskiego odbył się 28–30 maja 1884 w Krakowie¹. Poza nielicznymi językoznawcami (K. Morawski), uczestnikami byli historycy literatury UJ i zarazem członkowie Akademii Umiejętności (M. Bobrzyński, K. Estreicher, S. Tarnowski), ponadto uczeni ze Lwowa (A. Małecki, R. Pilat), Warszawy (B. Chlebowski, P. Chmielowski) i Poznania (K. Jarchowski). Zjazd, którego patronowi poświęcono tom *W trzechsetną rocznicę Jana Kochanowskiego* (1884), wpłynął na unaukowanie i usamodzielnienie polonistyki. Zainicjowano nowe badania historycznoliterackie, folklorystyczne, tekstologiczne, podjęto prace dokumentacyjne i edytorskie.

Dotychczas – pod zaborem austriackim, pruskim i rosyjskim – analizą i interpretacją dzieł, twórczości pisarzy, prądów i okresów literackich zajmowali się sami literaci, historycy dziejów politycznych i społecznych, bibliotekarze, bibliografowie, archiwiści, nauczyciele. Wśród nich badaniami filologicznym i komparatystycznym profesjonalnie oddawało się zaledwie 30–40 znawców piśmiennictwa polskiego. Na Zjeździe krakowskim wszczęto po dziś dzień trwające dyskusje i spory na temat domeny nauki (wiedzy) o literaturze, jej zadaniach i metodach, historii, krytyce i teorii dzieł, zjawisk oraz procesów literackich.

W dwa lata po Zjeździe powołano we Lwowie Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza (TLiAM), które rozpoczęło wydawanie czasopisma prze-

mianowanego na ogólnopolski kwartalnik naukowy „Pamiętnik Literacki” (1902–51, w 1952 przejęty i wydawany do dzisiaj przez IBL PAN). Na syntezy historii literatury polskiej P. Chmielowskiego, A. Brücknera, S. Tarnowskiego, I. Chrzanowskiego trzeba było jeszcze poczekać do początków nowego wieku.

Kolejny Zjazd, na czterechsetlecie urodzin M. Reja, odbył się 1–4 lipca 1906 pod patronatem Akademii Umiejętności w Krakowie. Referaty przedstawili m.in. A. Małecki, T. Grabowski, T. Korzon, J. Łoś, J. Baudouin de Courtenay, J. Ujejski, którzy w dyskusjach nawiązywali do wcześniej ogłoszonych studiów i książek o Reju i kulturze XVI wieku S. Windakiewicza, A. Brücknera, J. Chrzanowskiego, B. Chlebowskiego. Mimo przewagi historyków, dzięki aktywności W. Bruchnalskiego i J. Kallenbacha, polonistyczne zagadnienia historycznoliterackie znalazły się na poczesnym miejscu, a potwierdził to *Pamiętnik Zjazdu Historycznoliterackiego im. M. Reja* (1910) i zainicjowana wówczas przez S. Estreichera idea kompendium encyklopedycznego, poniekąd urzeczywistniona w zbiorowych *Dziejach literatury pięknej w Polsce* (1918).

Kolejny ogólnopolski Zjazd historycznoliteracki, z okazji stulecia urodzin J. Słowackiego, obradował 29–30 października 1909 we Lwowie pod patronatem Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza. Wśród referentów zabrakło prof. J. Tretiaka, przed kilkoma laty autora głośnej i kontrowersyjnej, ale

cennej i ciekawej monografii *Juliusz Słowacki* (1903–4). Nic nie zakłóciło więc ostentacyjnie hołdowniczej atmosfery spotkania, na które wystosowano 2500 zaproszeń, co daje wyobrażenie o bezgraniczności kultu Słowackiego wśród literatów i polonistów zrzeszonych w towarzystwach naukowych i literackich całej Polski, a także krajów słowiańskich. Oprócz autorów referatów programowych B. Gubrynowicza, T. Grabowskiego, głównymi aktorami sceny naukowej byli też W. Lutosławski, M. Szykowski oraz redaktor pieczętowanej *Pamiętnika Zjazdu* (1910) W. Hahn, czciciel i znakomity znawca twórczości autora *Lilli Wenedy*. Ale najjaśniej zabłysła wówczas gwiazda J. Kleintera, najznakomitszego dotychczas badacza rękopisów i przyszłego najwybitniejszego edytora krytycznego wydania dzieł Słowackiego.

Ponieważ w stulecie urodzin Z. Krasieńskiego nie zdołano zorganizować ogólnopolskiego kongresu naukowego, historycy literatury wzięli udział w upamiętnieniu trzechsetlecia śmierci Piotra Skargi, w dn. 25–26 września 1912 r. w Krakowie. Wydany staraniem ks. J. Pawelskiego *Pamiętnik Zjazdu Skargowego* (1912) zawiera m.in. prace S. Tarnowskiego, I. Chrzanowskiego, S. Windakiewicza. Dla tego ostatniego możliwe do ogłoszenia dopiero teraz, pod nowymi rządami kardynała A.S. Sapiehy, który w mowie zamykającej *Pamiętnik* doradzał pozostawienie wiecowania socjalistom, a uczonym pozytywną pracę nad oświatą społeczną. Gorączka modernistyczna sprawiała, że nie było większej sposobności do debatowania o wartościach literackich.

Najwartościowszym dokumentacyjnym zwieńczeniem pierwszego w Polsce niepodległej, tym razem regionalnego Sejmiku polonistów, który zorganizowano 28–29 września 1929 r., był *Pamiętnik Zjazdu Naukowego im. Sz. Szymonowicza w Zamościu*, wydany staraniem tamtejszego Koła Miłośników Książki. Gromadził prace naukowe m.in. T. Grabowskiego, W. Bruchnalskiego, K. Hartleba, Z. Łempickiego. Ten ostatni, badawczo pasjonujący się mecenatem Zamoyskich, już wcześniej zredagował tom studiów *Szymon Szymonowicz i jego czasy*, pozyskując znamienitych autorów: J. Kallenbacha,

T. Sinke, H. Życzyńskiego, W. Weintrauba, J. Krzyżanowskiego, R. Pollaka. Zjazd Szymonowiczowski był organizacyjnym dziełem zamojskiej elity nauczycieli i bibliofilów oraz prof. Z. Łempickiego.

Następny Naukowy Zjazd im. J. Kochanowskiego, w czterechsetną rocznicę urodzin poety, odbył się między 8–10 czerwca 1930 r. w Krakowie, pod auspicjami PAU i miał rangę uroczystości państwowej. Napłynęły zgłoszenia od ponad tysiąca uczestników (170 nauczycieli akademickich, 71 bibliotekarzy i archiwistów, 435 nauczycieli, 105 studentów, 33 literatów i dziennikarzy, nie licząc pozostałych). Program merytoryczny, uwzględniający obecność wybitnych historyków kultury staropolskiej, opracował S. Kot; oprócz niego znakomite wykłady zaprezentowali: I. Chrzanowski, J. Krzyżanowski, S. Łempicki, S. Pigoń, R. Pollak, T. Sinko, by poprzestać na kilku mistrzach ówczesnej humanistyki. *Pamiętnik Zjazdu Naukowego im. J. Kochanowskiego*, odnoszący się do czarnońskiego poety (1931) oraz druga okazała księga — *Kultura staropolska* (1932), prezentowały nową problematykę i przykłady nowych metod badawczych. Zapoczątkowany na I Zjeździe im. Kochanowskiego etap wyodrębniania w historii zagadnień literackich, na II Zjeździe wchodził w fazę równorzędnego z historią kultury tychże zagadnień traktowania, co dowodziło, że dojrzewał proces uznawania badań literackich za odrębną gałąź nauk humanistycznych. W pracach badawczych obowiązywały normy rzetelności naukowej oraz waloryzowania tego, co wnosiły one do wiedzy o dziele i twórczości pisarza.

Z okazji dwustulecia urodzin I. Krasickiego inicjatywę przygotowania Zjazdu naukowego podjęło Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza. Lwowskie spotkanie świata polonistów (w tym m.in. 48 prof. akademickich, 68 nauczycieli, 20 bibliotekarzy, 18 dziennikarzy, 10 duchownych, 8 ziemian) odbyło się dn. 8–10 czerwca 1935 r. w Uniwersytecie Jana Kazimierza. Wybitni — na czele z J. Kleinerem — badacze: L. Bernacki, Z. Leśnodorski, W. Floryan, S. Łempicki, oddawali sprawiedliwość sztuce poetyckiej Krasickiego. Jednak największe zainteresowanie i namiętą dyskusję wzbudzały w wystąpieniach

K. Górskiego, T. Grabowskiego, R. Ingardena, M. Kridla, J. Krzyżanowskiego i E. Kucharskiego nowe zagadnienia teoretyczne, które stanęły przed badaczami i dydaktykami literatury polskiej. Z pozytywistyczną „polonistyką od pana Zagłoby” walkę kontynuowali formalści, czy jak wówczas mawiano, formiści polskiej literaturologii. Ale też po raz pierwszy tak donośnym i ważkim głosem rozbrzmiała w referatach Z. Klemensiewicza, S. Kołaczkowego, Z. Salonięgo, W. Szyszkowskiego i H. Ułaszyna problematyka dydaktyki języka polskiego. W sporze o poczucie specjalnej misji pedagogicznej szkolnego polonisty przeważała opinia, że w nauczaniu literatury punkt ciężkości z kryteriów rzeczowych należy przesunąć na formalne. Panującą na Zjeździe atmosferę intelektualną delegat PAL K. Irzykowski bardzo trafnie nazwał „monachomacją humanistyczną”. Trwałym rezultatem lwowskich sporów kompetencyjnych — o tożsamość naukową i kryteria profesjonalizmu — były nowe ideologie („izmy”), dyscypliny i techniki badawcze, co znakomicie dokumentowała *Księga referatów* (1936).

Wzniesionymi we Lwowie problematami teoretycznoliterackimi świat naukowy i literacki byłby się pasjonował nadal, gdyby nie tragiczne skutki II wojny i stalinowska opresyjność pojałtańskiego systemu. Spomiędzy uczestników wspomnianych zjazdów odeszli: L. Bernacki, W. Bruchnalski, A. Brückner, I. Chrzanowski, L. Ćwikliński, A. Drogoszewski, J. Gołąbek, K. Irzykowski, K. Kolbuszewski, S. Kołaczkowski, Z. Lempicki, F. Siedlecki, S. Windakiewicz i H. Życzynski. Odbytemu w dn. 8–12 maja 1950 r. warszawskiemu Zjazdowi polonistów „hetmanił” S. Żółkiewski, który do przeprowadzenia marksistowskiej rewolucji literaturoznawczej zaangażował młodych pracowników nauki. Zasłużonych polonistów nie zaproszono (ze S. Pigoniem na czele), z obecnych polemizowało niewielu (zdecydowanie J. Krzyżanowski), głosy broniących się lekceważono (jak J. Kleinera), a innym pozostawało milczenie (jak W. Borowemu). Pokłosiem Zjazdu była książka *O sytuacji w historii literatury polskiej* (1951), w której programowe referaty przypadły m.in. S. Żółkiewskiemu, J. Kottowi, K. Budzykowi i K. Wyce; tytuł wy-

stąpienia tego ostatniego — *Stan badań i potrzeb nauki o literaturze epoki imperializmu* — starcza za komentarz. Referaty sekcji teorii literatury (M. Dłuska, Z. Klemensiewicz, T. Milewski, M.R. Mayenowa, S. Skwarczyńska) uznano za „naukowo zafowane”, ale wydrukowano w ówczesnych czasopiśmie. W tej sytuacji szczególnie potem pamiętano i ceniono odwagę cywilną prof. M. Rzeuskiej, która z łamów „Tygodnika Powszechnego” wołała: „Ratujmy polską naukę o literaturze!”

Pewnym zadośćuczynieniem za ponizanie autoritetów pokolenia przedwojennego było przyznanie prof. S. Pigoniowi roli moderatora i przewodniczącego Zjazdu, odbytego, także pod auspicjami IBL PAN, w dn. 10–13 grudnia 1958 r. Nie był to, bo być nie mógł, Zjazd „obrachunkowy”, ale w dyskusjach wyrażano zgodną niechęć do okresu „błędów i wypaczeń”, z którego prof. K. Wyka starał się „wybrońnić” zasługi badawcze i dokumentacyjne IBL. Nieśmiało, bo inaczej być nie mogło, chciano udoskonalać marksizm (M. Janion i H. Markiewicz), za to śmiało starano się łączyć problematykę języka i form literackich (M. Dłuska, M.R. Mayenowa). Jednakże główne role znów odgrywali dawni mistrzowie polonistyki dwudziestolecia: K. Górski, J. Krzyżanowski, R. Pollak, W. Szyszkowski, sekundowali im inni wybitni uczeni, co dokumentuje książka *Zjazdu Naukowego Polonistów...* (1960), w której pomieszczono referaty Z. Szymdowej, S. Skwarczyńskiej i B. Zakrzewskiego.

Od lat sześćdziesiątych poetykę, teorię, a nawet całą naukę o literaturze traktowano niemal jako część językoznawstwa strukturalnego, więc w tej sytuacji literatura stawiała się niejako pretekstem badań, którym nawet „przeszkadzała”, jeśli za pomocą specyficznego metajęzyka nie dawała się ujarzmić w jakiś system, walkę struktur, gatunków, itd. Przez półwiecze orientacja strukturalno-semiotyczna, niezłomnie przeciwna wszelkiej aksjologii i estetyce, zdominowała literaturoznawstwo, niekiedy nawet przed badaniami historycznoliterackimi stawiając trudne do sprostania ambicje i wymogi metodologiczne (dzieje literatury „bez autorów”). Trudno się dziwić, że w stale trwającej „monachomachii huma-

nistycznej” światową reakcją na ten swoisty fundamentalizm strukturalistyczno-semiotyczny, na „totalizm” uprawomocniania wiedzy o literaturze przez językoznawstwo, stały się estetyka odbioru i hermeneutyka oraz buntowniczy dekonstruktywizm. Jednak owe kontestacyjne kierunki, chociaż krytycznie zjednoczone w swym sceptycyzmie wobec „beziproduktywności” teorii literatury, ze strukturalizmem podzielały podobne uprzedzenia: negatywny stosunek do autora (spadek po pozytywistycznym psychologizmie) oraz brak filologicznej krytyki tekstu. W ten sposób zaprzeczano literaturoznawczym ideałom naukowym dawnych Zjazdów polonistycznych. Intelektualni fundatorzy naszej dyscypliny – Ingarden, Kleiner, Kołaczkowski, Kucharski, Łempicki, Wóycicki – dążyli nie tylko do uzyskania autonomii przez nowoczesną naukę o literaturze, ale także nie wykluczali podmiotowości z badań literackich, nie pomijali intencji autora przy odczytywaniu znaczeń jego tekstów. W kontekście postępującej depersonalizacji przedmiotu badań indywidualność twórcy i nachylone ku tradycji, personalizmem przesycone dzieła naukowe K. Wyki (i jego najwybitniejszych uczniów J. Błońskiego, J. Kwiatkowskiego, M. Podraza-Kwiatkowskiej) ze szczególną mocą i urokiem oddziaływały na kilka pokoleń polonistów uniwersyteckich i szkolnych. Lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte, które upływały pod znakiem dominacji semiotycznych i socjologicznych teorii komunikacji literackiej, pogłębiły także impas gatunku monografii pisarza, który dawniej należał do dzieł koronnych w polonistyce naukowej.

Dzisiaj dynamicznym rozwojem teorii literatury kieruje wiara w ideały nowoczesności. Stosunek badacza polonisty do metateoretycznych dociekań i wtajemniczających w te dociekania dyskursów, znajomość całej biblioteki prac poświęconych permanentnej reorientacji zainteresowań i metod nowoczesnej teorii literatury – stanowią swoiste kryteria kompetencji zawodowych i profesjonalizmu. Stosowanie reguł metodologii poststrukturalistycznych zapewnia uznany autorytet i wynikającą z niego pozycję nie tylko w ramach własnej dziedziny badań.

Zanim doszło do ogólnorośnowiskowej konferencji tej rangi, jaką miały Zjazdy poprzednie, trzeba było czekać 37 lat; a zatem przeżyć wszystkie tragiczne kolizje epoki pojałtańskiej i jej dramatyczne zakręty historyczne w PRL, znaczone ważnymi datami: 1968, 1970, 1976, „Sierpień” 1980, 1981, 1989. Spośród tych dat ostatnia – z racji zniesienia cenzury, i rok 1976 – z racji powstania drugiego obiegu, są szczególnie ważne dla polonistyki. Dyscypliny opartej na wolności oraz prawdzie słowa i powołanej do ich obrony, czego w minionym okresie polonistki nader liczne i ofiarne dawali dowody.

W latach 70. zaczęły odchodzić, uhonorowane w *Słowniku współczesnych pisarzy polskich* (seria I, t. 1–4 1963–66) dwie generacje polonistyczne. Pierwsza, „plejada młodopolska”: J. Nowak-Dłuzewski, R. Ingarden, S. Pigoń, R. Pollak, Z. Szmydtowa, Z. Szwejkowski, oraz „plejada dwudziestolecia”: M. Dłuska, W. Danek, A. Hutnikiewicz, J. Nowakowski, M.R. Mayenowa, M. Rzeuska, S. Skwarczyńska, J. Trzynadłowski, K. Wyka, Cz. Zgorzelski, S. Żółkiewski. Z kolei w latach 70. ich miejsca zajmowali koledzy i uczniowie, których zasługi naukowe udokumentowała seria II wspomnianego *Słownika* (t. 1–3 1977–80), mianujemy ich „plejadą współczesną”: T. Aleksandrowska, K. Bartoszyński, J. Czachowska, Z. Goliński, S. Grzeszczuk, Cz. Hernas, M. Janion, M. Klimowicz, T. Kłak, E. Kuźma, A. Lam, H. Markiewicz, M. Podraza-Kwiatkowska, S. Sawicki, J. Starnawski, Z. Stefanowska, A. Witkowska, J. Ziomek. Te dwie generacje współkształtowały formację literaturoznawców, którą reprezentują także: J. Abramowska, J. Bachórz, E. Balcerzan, J. Błoński, J. Bartmiński, A. Borowski, S. Burkot, B. Chrzastowska, K.M. Dmitruk, B. Faron, M. Głowiński, S. Jaworski, T. Kłak, T. Kostkiewiczowa, A. Kulawik, J. Kwiatkowski, J. Lalewicz, R. Loth, J. Łukasiewicz, E. Sarnowska-Temierusz, J. Sławiński, W. Stróżewski, J. Święch, Z. Uryga, T. Żabski, M. Wyka, F. Ziejka. Ta formacja poprzez oddziaływanie własnych prac i nowe inicjatywy badawcze, poprzez inspirację intelektualną „Tekstów” (1972–1981), kształcąc gust badawczy i kompetencje następnej generacji – plejady naszej teraźniejszości – z jej udziałem, tworzą arty-

kułowanym w „Tekstach Drugich” (od 1990), zmieniły paradygmat polskiej nauki o literaturze. Nie tylko ugruntowały w nim stałe – równorzędne względem historii literatury – miejsce teorii literatury, ale były także promotorkami ekspansji wykrystalizowanych dziedzin poetyki (np. genologii, stylistyki, intertekstualizmu). Wystarczy sięgnąć, do zeszytów *Bibliografii nauki o literaturze polskiej i teorii literatury w Polsce*, by przekonać się, że w tej fazie dziejów „monachomachii humanistycznej” zwycięstwo odnieśli formiści polskiej literaturologii. Różnorodność i bogactwo ich dorobku badawczego potwierdza i dokumentuje *Bibliografia teorii literatury* J. Andrzejewskiej (1988, 1994) oraz antologia prac badaczy powojennych, opracowana przez H. Markiewicza, pt. *Problemy teorii literatury* (seria 1–4, 1967–1998).

W szerokim znaczeniu wszyscy dziś jesteśmy postmodernistami, ponieważ za pomocą języka naszych czasów i postmodernistycznych pojęć – interpretujemy i oceniamy świat. W latach 80. zadanie rozwoju nauk o literaturze przejęło pokolenie literaturoznawczych postmodernistów: S. Balbus, S. Barańczak, M. Czermińska, K. Dybciak, A. Fiut, K. Jakowska, J. Jarzębski, J. Jastrzębski, M. Jędrzychowska, J. Kryszak, A. Z. Makowiecki, A. Stoff, oraz ich nieco młodsi koledzy: S. Bereś, W. Bolecki, G. Borkowska, T. Budrewicz, S. Chwin, B. Dopart, A.S. Kowalczyk, W. Ligęza, R. Mazurkiewicz, R. Nycz, M. Stala, A. Sulikowski, T. Walas, A. Zawada, a wreszcie najmłodsi, forpocza generacji następnej: P. Czapliński, A. Nawarecki, P. Śliwiński, a więc wszyscy ci, którzy znaleźli się w przewodniku encyklopedycznym *Literatura polska XX wieku* (2000) tudzież w słowniku biobibliograficznym *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury* (t. 1 1994–t. 9 2004), albo lada chwila się tam znajdują.

Plejadom dawnych mistrzów, pojmującym badania naukowe jako heroiczne odkrywanie prawd, treści, idei, zbliżyć się do siebie pozwalała konserwatywna płaszczyzna ideałów i tradycji szkoły filologiczno-historycznej, której niedościgłe wzory i niezbywalny dorobek naukowo-badawczy na trwale związał się z nazwiskami: S. Pigonia (romantyzm)

J. Krzyżanowskiego (folklorystyka), K. Górskiego (edytorstwo), S. Skwarczyńskiej (genologia), M. Dłuskiej (wersologia), T. Ulewicza (literatura staropolska), I. Sławińskiej (teatrologia). Dziś polonistów łączyła modernistyczno-liberalne, scjentystyczne wzory i metodologia badań semiotyczno-strukturalistycznych i poststrukturalistycznych (najchętniej anglo-amerykańskich), wspólna dla międzynarodówki literaturoznawczej na świecie. Czołówka tej generacji badaczy akademickich dla całej społeczności zawodowej polonistów, wśród której rozesłano 1180 imiennych zaproszeń, przygotowała zestaw diagnoz i prognoz za okres bez mała lat czterdziestu, więc w dziejach dyscypliny więcej niż epokę, kiedy ze sceny życia naukowego zeszły dwa pokolenia i wyłoniły się trzy nowe generacje.

Księga referatów *Wiedza o literaturze i edukacja* (1996) zawiera 61 z 65 tekstów zaprezentowanych na IX Zjeździe Polonistów, który pod przewodnictwem prof. J. Sławińskiego i pod egidą Komitetu Nauk o Literaturze PAN, Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza, IBL PAN, WSP w Krakowie i Wydziału Polonistyki UW, odbył się w dn. 22–25 maja 1995 r. w Warszawie. Dzięki demokratyzmowi programowo-organizacyjnemu, na tej swoistej giełdzie intelektualnej polskich literaturoznawców, w której w obradach sekcyjnych uczestniczyło codziennie w sumie ok. 500 osób, znalazło się wielu młodszych badaczy, tworzących reprezentatywny przekrój pokolenia. Najliczniej reprezentowani byli znawcy historii literatury, następnie edukacji, potem teorii literatury i tzw. „pogranicza i kontekstów” w badaniach literackich, a w końcu specjaliści w dziedzinie dokumentacji i edytorstwa. Pomijając nieuniknione kontrowersje obsady personalnej widać, że zainteresowanie Zjazdu przesunęło się w stronę edukacji, problemów pozostających (nadal), zwłaszcza w epoce hegemonii kultury masowej, podstawowym wyzwaniem intelektualnym i społecznym polonistyki akademickiej i szkolnej. Najliczniejszej grupie dydaktyków chodziło o takie reformowanie kształcenia polonistycznego w zakresie językowym i kulturowym, by upodmiotowić proces nauczania, pomagać studentom i uczniom w odnajdywaniu właściwe-

go i własnego stosunku do literatury (K. Bakula, S. Bortnowski, B. Chrząstowska, R. Handke, M. Inglot, M. Jędrzychowska, Z. Budrewicz, B. Kryda, A. Książek-Szczepanikowa, P. Marchesani, E. Polański, A. Rosa, W. Sawrycki, S. Sawicki, Z. Uryga). Podkreślano też potrzebę przebudowy kanonu lekturowego (referat J. Prokopa), który zdaniem dyskutantów powinien być „przewodnikiem” (J. Jarzębski) opartym na światowych arcydziełach (A. Kowalczykowska) lub klasyce rodzimej (R. Handke), ale także uwzględniać literaturę współczesną (M. Inglot) i ludową (J. Bartmiński), chociaż na dobrą sprawę wszystko zacząć by trzeba od „technologii czytania” (A. Sulikowski). Badania czytelnicze potwierdziły przy tym zanik zainteresowań wśród współczesnej młodzieży utworami staropolskimi (referat A. Guzka). Przy malejącej roli literatury we współczesnej kulturze integralności polonistyki zagraża – ostrzegali Z. Libera – zalew naukowego bełkotu.

Referaty (i dyskusja w sekcjach) zazwyczaj wierne były zasadom klasycznych rozpraw naukowych: geneza stanu rzeczy – struktura sytuacji bieżącej – funkcjonalne postulaty reformatorskie. Tak rzecz się miała w sekcjach literatury dawnej, gdzie cztery pierwsze referaty poświęcono epokom literackim (T. Michałowska, A. Borowski, A. Nowicka-Jeżowa, T. Kostkiewiczowa), pozostałe – wybranym problemom teoretycznym i metodologicznym (J. Abramowska, E. Sarnowska-Temierusz, L. Ślękowa). W sekcji literatury XIX wieku mówiono o przebudowie problemowej i metodologicznej warsztatu badacza (D. Siwicka, I. Opacki, G. Borkowska), a także reinterpretacji zjawisk i procesów historycznoliterackich (J. Bachórz, A. Kowalczykowska), co najlepiej streszczał tekst Z. Stefanowskiej *Nowe hierarchie w badaniach nad literaturą romantyczną*, załączony do *Księgi referatów*. Podobnymi zagadnieniami zajmowali się badacze literatury XX wieku (S. Chwin, E. Balcerzan, K. Kłosiński, M. Czermińska, D. Ratajczakowa, T. Żabski, W. Głowała). Natomiast współczesne prace historycznoliterackie stały się przedmiotem osobnej metarefleksji (W. Bolecki, J. Maciejewski). Takie metanaukowe rozważania dotyczyły również teorii literatury i poetyki (R. Nycz,

E. Kuźma) ze szczególnym uwzględnieniem interpretacji (H. Markiewicz, J. Sławiński), językoznawstwa (M. Indyk), teorii tekstu (T. Dobrzyńska, S. Balbus), stylizacji (W. Tomasik), wersologii (L. Pszczołowska, D. Urbańska). Analizowano też aspekty nowych rozwiązań w zakresie komparatystyki (M. Cieśla-Korytowska) oraz w dziedzinach badań interdyscyplinarnych, na styku literatury z etnografią (W. Panas), religią (M. Jasińska-Wojtkowska), filozofią (W. Stróżewski), teatrem (J. Degler), filmem (M. Hendrykowski), malarstwem (S. Wysłouch), socjologią (Z. Łapiński), folklorem (J. Bartmiński). Jeśli niepokojące było wystąpienie w sprawie projektów komputerowych baz danych do badań życia literackiego (K.M. Dmitruk) czy uwagi odnoszące się do rozwoju badań i prac dokumentacyjnych, bibliograficznych (B. Dorosz) i faktograficznych (E. Głębicka), to już najdramatyczniej rozległy się głosy dotyczące latami pogłębiającego się kryzysu edytorstwa naukowego w dziedzinie filologicznego opracowania i wydawania dzieł klasyków oraz pisarzy epok dawniejszych (Z. Goliński). Troska o rozwój szkolenia bibliograficznego i edytorskiego na szczeblach akademickich (S. Grzeszczuk) znalazła potwierdzenie w dyskusji, w której prof. J. Czachowska wystąpiła z postulatem zwołania zjazdu na temat kształcenia naukowego i akademickiego w zakresie bibliografii i dokumentalistyki polonistycznej.

Podobnie więc jak na zjazdach poprzednich typ wystąpień reasumujących i prognostycznych, reorientujących zainteresowania i metody, przeważał we wszystkich sekcjach dyscyplinarnych i uświadamiał najbardziej palące potrzeby polonistyki akademickiej i szkolnej. Jednak na aktualne pytanie: czym zagrożona jest nauka o literaturze i edukacja polonistyczna, innej odpowiedzi udzielała referenci (np. wpływy metodologii na badania), a innej osoby reprezentujące izolowane środowiska uczelniane czy pozauczelniczne, zaprzątnięte własnymi problemami (np. poziom kształcenia nauczycieli). Jeśli w epoce dawnych mistrzów do sukcesów historii literatury przyczyniali się tzw. nauki pomocnicze, bibliografia i edytorstwo, to w ustępującym półwieczu panowania teorii nastąpiła tych nauk degradacja, co znaczą-

co odbiło się na poziomie warsztatu badawczego i dokumentacyjnego polonistów.

Przed krakowskimi uczestnikami X Zjazdu Polonistów, stoi dziś zadanie sformułowania odpowiedzi na pytania: „co, jak, po co robiono” w polskiej nauce o literaturze w poprzednim dziesięcioleciu oraz oceny polonistyki naukowej. Łatwo zapewne zauważyć, że współczesny badacz pod wpływem pobudzającej siły własnych pomysłów, często za punkt honoru poczytuje sobie pójście własnym traktem, bez oglądania się nie tylko na drogę wytkniętą przez poprzedników, ale i na stan badań danej dyscypliny lub domeny. Czy jest to jednak tylko wynik importu pragmatycznych teorii literatury, metodologicznych postaw i wzorów zachowań badawczych, którymi rządzą komercyjne mody? O ekspansji tego stylu uprawiania badań świadczy także widoczne dziś łączenie dyskursu krytycznego i eseistycznego z naukowym, niczym nieskrępowana produktywność językowa, metaforyka zamiast dosłowności i retoryczna perswazja zamiast argumentacji, stopienie roli badacza z rolą krytyka, tudzież roli pisarza z rolą literaturoznawcy. Za przykład tego symbolicznego zrównania statusu pisarza ze statusem znawcy literatury niechaj posłuży *Słownik współczesnych pisarzy i badaczy literatury*, który w zgodzie z liberalnym duchem naszych czasów, zrównuje niejako status kulturowy W. Gombrowicza z jego badaczami, a status prof. J. Jarzębskiego ze sprawnością dziennikarską J. Siedleckiej...

Czy badaniom literackim grozi utrata tożsamości, „pomieszanie języków”? — przed czym na Zjeździe ostatnim przestrzegali H. Markiewicz i J. Sławiński. Oczywiście można powiedzieć, że w czasach poprzednich Zjazdów znaczenie literatury i jej twórców było bez porównania większe niż dzisiaj, a wielkie monografie Kleiner'a miały rangę wydarzeń literackich i zapewniały ich autorowi członkostwo PAL. Że badacze dawni, których wybitny dorobek gromadzą serie *Biblioteka Filologii Polskiej* i *Biblioteka Studiów Literackich*, żyli w niebywale bogatych czasach innowacyjnego przezwycięzania pozytywistycznego wzorca naukowości, wiedzy skromnej, ale kierowanej użyteczną ideą zbliżania się do prawdy

o pisarzu i jego dziele, cieszącej się prestiżem społecznym. Jak łatwo zauważyć, społeczna kondycja literatury wpływa na społeczne usytuowanie nauki o literaturze; widać również, że dzisiaj muszą one wzajemnie wspierać się swoim autorytetem, który w technokratycznej cywilizacji maleje. Czy skazani na nowoczesność, nieustanną innowacyjność teorii, twórczą, nicowanie strukturalizmu na poststrukturalizm, pigoizmu na epigoizm, rearanżację osiągniętych wyników, zacieranie granic między wypowiedziami naukowymi, krytycznymi i artystycznymi, zaskakujące gry słowne, kapryśną stylistykę, osiągamy postęp w zbliżaniu się do prawdy, która jako jedyna ma prawo kształtować sensy rzeczywistości badanej?

Nauka to dobrze pojęty konserwatyzm. Fenomenologia w badaniach literackich dzisiaj miewa się zatem całkiem znośnie, a marksizm i strukturalizm jakby zmizerniały. Obserwujemy też kryzys epistemologicznego fundamentalizmu. Ale trudno nam uwolnić się od uczucia żalu i niedosytu, gdy obserwujemy zanikanie zainteresowania tak dynamicznie niegdyś rozwijającą się polską komunikacjonistyczną metodologią badań literackich, instytucjonalną kulturą literacką (S. Żółkiewski, K.M. Dmitruk, M. Hopfinger, J. Lalewicz, K. Rudzińska, J. Stradecki), poetyką historyczną (K. Bartoszyński, M. Głowiński, A. Okopień-Sławińska, J. Sławiński), albo formami komunikacji językowej (W. Grajewski, P. Stasiński). Ten kryzys socjologicznie zorientowanych badań literackich ma miejsce w kraju, który wydał Bystronia, Czarnowskiego, Znanięckiego, Ossowskich, Szczyńskiego, Kłoskowską!

Pojawiają się jednak odkrywcze i bogate fakto-graficznie, ciekawe książki na temat życia kulturalno-literackiego w Polsce i środowiskach polonijnych (B. Konarska-Pabiniak, R. Taborski, E. Sławińska, F. Ziejka), a co ważne — także na Kresach (J. Poklewski, A. Romanowski, A. Wierciński, T. Zienkiewicz). W latach 90. kresowa literatura i kultura literacka stały się obiektem badawczym w kilku ośrodkach polonistyki uniwersyteckiej (M. Ankudowicz-Bieńkowska, R. Chodźko, T. Bujnicki, E. Feliksiak, B. Haczek, J. Hernik-Spalińska, M. Ingot, M. Jackiewicz,

J. Kolbuszewski, M. Kozłowska, A. Romanowski, D. Sapa, M. Szydłowska, S. Uliasz). Wśród literaturoznawców penetrujących nowe horyzonty tematyczne i nowe zagadnienia docenić trzeba też rozwój badań literatury (kultury) popularnej, które dzięki fascynującym i pożytecznym rozprawom M. Bujnickiej, J. Jastrzębskiego, J. Ługowskiej, A. Martuszewskiej, P. Kowalskiego, S. Uliasza, R. Waksmundy zdobyły sobie prawo obywatelstwa w nauce o literaturze, zaś przewodzący tym pracom – pod auspicjami prof. T. Zabskiego – poloniści wrocławscy naukowo wydali pionierską serię *Literatura i kultura popularna* (t.1–10, 1991–2002) oraz *Słownik literatury popularnej* (1997). Podobnie pionierskie i oryginalne są KUL-owskie studia ogłaszane pod red. S. Sawickiego w cyklu *Literatura w kręgu wartości* (1986, 1992, 1997). Świadomość badań literackich wzbogacają też filozofowie estetycy (M. Gołaszewska) i postmoderniści (B. Baran, M. P. Markowski).

Natomiast obserwuje się kryzys kadrowo-instytucjonalny i programowo-badawczy edytorstwa naukowego, którego chlubne tradycje pielegnowali teoretycy i mistrzowie praktyki tekstologicznej tej miary, co J. Kleiner, K. Górski, W. Florian, L. Płoszewski, J.W. Gomulicki, J. Trzynadłowski, Z. Goliński, T. Mikulski, J. Starnawski, J. Degler, R. Loth. Ów kryzys ma charakter bardzo rozległy, objął całą społeczność zawodową, wszystkie ośrodki pracy polonistycznej i bibliologicznej. Czy jest to wynikiem rozpadu autorytetu tradycji i wyobrażenia o niej jako historycznej ciągłości? Bez zaplecza edytorsko-dokumentacyjnego nie powstają monografie pisarzy, a tym bardziej nowe syntezы ogarniające całość dziejów piśmiennictwa literackiego...

Jerzy S. Ossowski

¹ Zob. A. Biernacki, *Historia ośmiu Zjazdów polonistycznych. Od Michała Bobrzyńskiego do Stefana Żółkiewskiego*, Warszawa 1997.



O pracach Senatu AP

pisze Iwona Tomasiak

Na majowym posiedzeniu Senat przyjął uchwały w sprawie wymiaru pensum dydaktycznego, rodzaju godzin obliczeniowych zaliczanych do pensum, zasad wynagradzania za godziny ponadwymiarowe, a także rodzajów i liczebności grup ćwiczeniowych w roku akademickim 2004/2005. Oba dokumenty nie przyniosły istotnych zmian w stosunku do roku poprzedniego. Ustalono także limity przyjęć na studia doktoranckie w nowym roku akademickim i wysokość opłat za zaoczne studia doktoranckie.

Dużą część obrad majowego Senatu poświęcona była sprawom personalnym. Senat pozytywnie zaopiniował m.in. powołanie Tomasza Fałęckiego na stanowisko profesora nadzwyczajnego. Do grona profesorów nadzwyczajnych AP, zatrudnionych na czas określony dołączyli: Zofia Budrewicz, Bożena Popiołek, Zdzisław Noga, Andrzej Piasecki. Natomiast mianowania na czas nieokreślony otrzymali Krystyna Gąsiorok i Krzysztof Siuda.

Rektor Michał Śliwa podziękował prof. Jackowi Chrobaczyńskiemu i dr inż. Januszowi Morbitzerowi za zorganizowanie i nadzorowanie ze strony naszej uczelni Festiwalu Nauki (14–15 maja br.), a za ich pośrednictwem wszystkim, którzy brali w nim czynny udział promując naszą Alma Mater – a zwłaszcza przedstawicielom Instytutów Biologii, Informatyki i Naukowej i Bibliotekoznawstwa, Historii, Wydziału Pedagogicznego oraz Wydawnictwa Naukowego. Akademia Pedagogiczna przygotowała dwa panele dyskusyjne, które cieszyły się bardzo dużym zainteresowaniem – *Trudna sztuka wychowania* oraz *Polityka a etyka*.

Czerwcowe, przedwakacyjne posiedzenie Senatu rozpoczął Rektor Michał Śliwa od gratulacji dla chóru EDUCATUS, który pod kierunkiem prof. Adama Korzeniowskiego odnosi poważne sukcesy. Jest laureatem „Złotego Pasma” w IV Małopolskim Konkursie Chórów, a ostatnio w kwietniu br. otrzymał „Złoty dyplom” w kategorii chórów mieszanych na

Międzynarodowym Konkursie Chóralnym w Riva del Garda we Włoszech.

Rektor poinformował także senatorów, że prof. Tadeusza Szymańskiego nagrodzono Honorową Odznaką Marin Drinow na wstędze. Jest to najbardziej prestiżowa nagroda przyznawana przez Bułgarską Akademię Nauk. Wyróżniono także prof. Adama Płockiego przyznając mu godność doktora honoris causa Uniwersytetu w Ustii nad Łabą. Uroczyste wręczenie dyplomu odbędzie się w październiku br.

Kolejnym punktem obrad była analiza działalności Wydziału Humanistycznego przedstawiona przez prof. Tadeusza Budrewicza. W swoim wystąpieniu przypomniał on krótko historię Wydziału oraz przedstawił jego obecną strukturę organizacyjną, kadre, uprawnienia do nadawania stopni naukowych oraz liczbę studentów. Dziekan poinformował również o perspektywach rozwoju Wydziału. Do końca 2005 r. wzbogaci się on o 10 profesorów tytularnych i 14 doktorów habilitowanych. Planowane jest otwarcie nowego kierunku studiów – filologii hiszpańskiej. Dziekan wyraził też nadzieję, że wszystkie instytuty Wydziału będą starać się o prawo nadawania stopnia doktora. Rektor Michał Śliwa podziękował Tadeuszowi Budrewiczowi za bardzo dobre kierowanie Wydziałem oraz wkład w jego rozwój.

Kolejny punkt obrad dotyczył spraw personalnych. Senat wyraził zgodę na mianowanie prof. Lucjana Orzecha (IS) i prof. Janusza Sowińskiego (IINiB) na stanowiska profesorów zwyczajnych. Pozytywnie zaopiniował wnioski w sprawach mianowania dr hab. Haliny Kosętki na stanowisko profesora nadzwyczajnego na czas nieokreślony, a dr hab. Teresy Grabińskiej i dr hab. Mirosława Zabierowskiego na stanowisko profesora nadzwyczajnego na czas określony.

Senat przychylił się również do prośby Rady Wydziału Pedagogicznego o przekształcenie Katedry

Pedagogiki Przedszkolnej i Szkolnej w Instytut Pedagogiki Przedszkolnej i Szkolnej.

Senat wysłuchał także raportu prof. Marka Wilczyńskiego, przewodniczącego Senackiej Komisji ds. Monitorowania Procesu Bolońskiego w Uczelni, z jej prac. Komisja za podstawowe zadanie postawiła sobie przeprowadzenie analizy przygotowania poszczególnych wydziałów naszej uczelni do podjęcia prac nad przemianami mającymi na celu stworzenie Europejskiego Obszaru Szkolnictwa Wyższego. Prof. Marek Wilczyński stwierdził, że skoncentrowano się na opracowaniu przez poszczególne wydziały zagadnień dotyczących m.in.: wprowadzenia studiów dwumodułowych, systemu punktów kredytowych, wspólnych studiów z innymi uczelniami europejskimi (podwójny dyplom), mobilności studentów AP i możliwości prowadzenia zajęć lub przyjmowania egzaminów w językach konferencyjnych.

W dalszej części obrad prorektor ds. dydaktycznych prof. Eugeniusz Wachnicki przedstawił wstępne informacje dotyczące przebiegu rekrutacji na studia

w roku akademickim 2004/2005. Rejestracja kandydatów była po raz pierwszy przeprowadzana wyłącznie elektronicznie. Metoda sprawdziła się, zadowolona jest nie tylko nasza Sekcja Rekrutacji, ale wszyscy kandydaci, którzy mogli się zarejestrować w domu i szkole – wszędzie tam gdzie mieli dostęp do internetu. Kandydat po zarejestrowaniu się otrzymuje hasło do swojej prywatnej „skrzynki”. Tam może sprawdzić kiedy, w jakiej sali i o której godzinie ma egzamin, znaleźć wynik egzaminu oraz informacje o pomocy materialnej dla studentów. W bieżącym roku zarejestrowało się 11 110 osób, a 9165 złożyło podania na studia. Trwa jeszcze rekrutacja na filozofię i filologię angielską. Największą popularnością cieszyły się filologia polska z edytorstwem i komunikacją społeczną (ponad 13 kandydatów na miejsce), pedagogika rewalidacyjna (11 na miejsce), geografia (ponad 10 kandydatów na miejsce), politologia (9 na miejsce), pedagogika społeczno-opiekuńcza (ponad 7 kandydatów na miejsce).

Iwona Tomasiak

Co „robimy” z literaturą?

pytamy w naszej sondzie

Profesor Henryk Markiewicz:

— Potrzeba czytania literatury pięknej w ostatnich dziesięcioleciach bardzo się zmniejszyła na skutek różnych zjawisk, które nazywamy przejściem czy powrotem do cywilizacji obrazkowej. Czas, jaki współczesny Polak, nie tylko zresztą Polak, przeznaczają na czytanie książki należącej do literatury pięknej również wyraźnie się zmniejszył. W obrębie słowa pisanego zresztą działa także i konkurencja, wydaje mi się, że dzisiaj czytelnik polski, jeżeli już czyta, to chyba chętniej sięga po rozmaitego rodzaju literaturę faktu (od opracowań popularnonaukowych do pamiętników, dzienników itd.) oraz po książkę kryminalną czy sensacyjną. Trzeba powiedzieć, że jest to książka napisana sprawnie, na wysokim poziomie, z właściwym dla tego gatunku profesjonalizmem, jeżeli weźmiemy np. książki Carré'go, są to w swoim rodzaju rzeczy znakomite. We współczesnej literaturze brak jest utworów na miarę Nałkowskiej, Dąbrowskiej, czy Kuncewiczowej, które należą do powieści wybitnych i jednocześnie potrafią dostarczyć czytelnikowi rozrywki. Dzisiejszym arcydziełom stawia się często zarzut, iż są nudne; wyjątkiem jest Umberto Eco.

Czego współczesny czytelnik poszukuje w literaturze?

— Różne są powody, dla których ludzie czytają. Jedni, jak to się mówi, po prostu dla zabicia czasu, inni dla doznania rozmaitych wzruszeń, często o charakterze kompensacyjnym, inni jeszcze dla zaspokojenia swojej ciekawości świata, żeby siebie lepiej zrozumieć, czy — zwłaszcza, jeżeli chodzi o poezję — żeby znaleźć formuły dla tego, co odczuwają, a czego sami nie potrafią sformułować. Tak wyobrażam sobie rozmaite oczekiwania i potrzeby, z jakimi współczesny Polak podchodzi do literatury.

Jak Pan Profesor postrzega współczesną polską krytykę literacką?

— Mówiąc szczerze, nie śledzę tak pilnie krytyki współczesnej, żebym mógł ją oceniać. Znam nazwiska wybitnych krytyków współczesnych, także i młodszych pokolenia, ale jeżeli potrafię uświadomić sobie indywidualność krytyczną autorów z pokolenia Jerzego Jarzębskiego czy Mariana Stali, to — jeżeli chodzi o młodszych — już tego zrobić nie potrafię. Ogólne moje wrażenie — ale powiadam — jest to tylko wrażenie i odpowiadam na to pytanie z wewnętrznymi oporami: otóż bardziej przemawiają do mnie krytycy zajmujący się prozą niż ci, którzy zajmują się poezją. Ci ostatni częstokroć poprzestają na jakichś próbach zrekonstruowania sensu przesłania twórczości danego poety, nie odpowiadając albo odpowiadając w sposób tylko bardzo pośredni na pytanie o poziom, o wartość tego, o czym piszą, a także o powody, dla których cenią to, o czym piszą.

Jak współczesna krytyka przedstawia się na tle krytyki wcześniejszej, np. pozytywistycznej?

— Odwoływanie się aż do czasów pozytywistycznej krytyki może nie byłoby w tym wypadku celowe, bo to jest właściwie prehistoria krytyki współczesnej. To były czasy, kiedy krytycy zajmowali się przede wszystkim, a często wyłącznie charakterystyką świata przedstawionego w utworze literackim, jeżeli chodzi o powieść, zaś sformułowaniem idei zawartej w utworze, jeżeli to była poezja. Generalnie biorąc, na pewno krytyka w zakresie prozy artystycznej, zwłaszcza umiejętność scharakteryzowania budowy dzieła literackiego, po lekcji strukturalizmu osiągnęła znacznie wyższy poziom niż dawniej.

Rozmawiały Agnieszka Bali i Joanna Miczałowska

Zbigniew Bauer

Cóż po krytyce

w czasach postmodernizmu?

„...przychodzi mi do głowy myśl taka, że obecny kryzys władzy w Polsce i zagrożenie lepperystem to jest zjawisko głębsze niż się zdaje, to jest zjawisko obejmujące też krytykę. Krytyk przecież ma (ma mieć) władzę w literaturze, ma być jej jak nie zarządcą, to gospodarzem, ma budować hierarchie, dawać nominacje, pokazywać konteksty i źródła, doglądać tej krainy, porządku pilnować, rządzić. Partia krytyków, co dzisiaj rwie się do władzy w literaturze, ma wszelkie atrybuty Samoobrony, są oni mianowicie gruntownie niewykształceni, ordynarni w argumentach, niechlujni w rozumowaniu, chamscy w natarciu, aroganccy i wzgardliwi w stosunku do twórczości, a przestępnie fałszowanie danych to jest dla tych kmiotów chleb powszedni. Nie literatura jest przedmiotem ich podstawowej lektury, a pisma brukowe, z chłopską pazernością potrafią też całymi akapitami rozwodzić się o kasie. Ja rozumiem, że gazetowym recenzentom redakcje płacą marnie, ale za co niby miałyby im płacić obficie? Na głupocie własnej, nawet jak jest bezbrzeżna, na ogół zarobić trudno. Jedna wszakże cecha szczęśliwie to ugrupowanie od prawdziwej Samoobrony różni – nie mają oni mianowicie żadnego wpływu i żadnego znaczenia.

Czy potrafią państwo jakiś znaczący a w ostatnich latach ogłoszony, tekst krytycznoliteracki wymienić? Ja także nie”¹.

Tak pisze Jerzy Pilch – prozaik modny, a także wpływowy, gęsto cytowany i uchodzący za postać, z którą „dobrze pokazać się na mieście”. Prozaik,

który obficie korzysta z zainteresowania nim i jego prywatnym życiem „pism brukowych”, wypowiada się chętnie na tematy niemające wiele wspólnego z literaturą i pilnie dbający, by jego medialny i mocno zmitologizowany *image* – „zbuntowanego lutra” – obrastał w kolejne, palimpsestowe warstwy. Nie ma w tym zresztą nic zdrożnego: pisarz dzisiaj, utrzymujący się z siły pióra (lub komputera) musi myśleć o sprzedaży własnych płodów – które to określenie wydaje się zasadne w kontekście przywoływanego przez Pilcha ugrupowania Andrzeja Leppera. Tak postępują zdecydowanie nieuwielbiane przez Pilcha feministki; dbają też bacznie o siebie pisarze z obszarów fantastyki naukowej i tzw. czystej, zaś poważni komentatorzy polityczni – w rodzaju redakcyjnych kolegów Pilcha, Adama Szostkiewicza czy Krzysztofa Mroźewicza – nie wahają się przed udziałem w raczej nieadresowanych do wybitnych intelektualistów czasopismach, takich jak „Magazyn Młodych i Dynamicznych”, występując tam jako znawcy wyrafinowanego seksu.

Powtarzam – nie ma w tym nic zdrożnego: Pilch z „Tygodnika Powszechnego” przeszedł wprost do pisma uchodzącego za pornograficzne, a stamtąd do opiniotwórczego tygodnika, na warszawskich salonach kojarzonego z rejonami Pałacu Namiestni-

kowskiego. Wylansowana przez Pilcha Dorota Maśłowska z wrodzonym sobie wdziękiem opisuje w „Przekroju” wrażenia z bankietów, których miała być ozdobą (a okazała się kłopotem). Wybitne umysły damskie wdają się w publiczne, choć marginalne polemiki z równie wybitnymi umysłami męskimi w sprawach, które znać może jedynie bywalec kawiarni warszawskich, pubów na krakowskim Kazimierzu (oraz „Dymu” na ulicy św. Tomasza), o ile odwieździ je w stosownej porze, tzn. wtedy, gdy znajduje się tam zawartość wieczornych pociągów ekspresowych z Warszawy. Problem Pilcha – poważny

Ciąg dalszy na s. 34–36 i 38–43

Profesor Franciszek Ziejka
rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego

Nigdy nie prowadziłem badań nad tym, co współczesny Polak robi z literaturą, bo jest to raczej zadanie socjologów. Sądzę natomiast, iż z faktu istnienia dużego rynku księgarskiego wynika, że Polacy czytają, chociaż niekoniecznie literaturę najwyższych lotów. Nade wszystko jest to rynek biznesu, na którym rządzi pieniądź. Niewiele natomiast jest wydawców dawnego typu, których nadrzędna idea brzmi: „My chcemy określoną literaturę upowszechniać i będziemy ją zamawiać u takich, a nie innych pisarzy”. Byłaby to sytuacja optymalna, ale tak było w XIX wieku, a nie dziś

Odbiorcy literatury pięknej od zawsze byli zróżnicowani i dlatego potrzebowali różnego typu dzieł. Zastanawiając się, czy literatura współczesna odpowiada gustom dzisiejszej publiczności czytającej, dochodzę do wniosku, że chyba nie jest w stanie zaspokoić jej potrzeb. Pisarze, a przynajmniej niektórzy, chcą za wszelką cenę zaistnieć na rynku, w związku z tym gotowi są dokonać najdziwniejszych eksperymentów z tworzywem literackim.

Nie wiem, czy współczesny Polak w ogóle sięga po literaturę piękną; nie wiem, kto dzisiaj czyta. Czytają ludzie w pociągach, prawdopodobnie także emeryci i renciści, jeśli sobie nie dorabiają; inni – pochłonięci pogonią za pieniędzmi, nie mają czasu na czytanie. Pojawiają się różne akcje typu „czytanie dzieciom”, ale jest to specyfika już nie literatury wysokiej, tylko dziecięcej (co nie wyklucza jej wysokiej jakości!), więc może tym bardziej należy ją wesprzeć. Są i tacy, którzy czytają klasykę, skoro na przykład wydawnictwo Universitas uruchamia serie zapomnianych tekstów XVIII, XIX-wiecznych i je sprzedaje. Jest to prawdopodobnie niewielka grupa ludzi, którzy są zainteresowani tym, co napisał Woronicz czy Drużbacka.

Zgadzam się z tym, że w literaturze neologizmy, a także wyrażenia, które zostają przejęte na przykład z dialektów, są dopuszczalne. Nie odpowiada mi jednak nurt polegający na próbach wprowadzania przez niektórych pisarzy do literatury pięknej języka brutalnego, pełnego inwektyw i chamstwa. Tego typu literatura oczywiście także zyskuje czytelników, ale jest chyba obliczona na krótki dystans: aby – jak meteor – zaistnieć, a potem zgasnąć. Prawdziwa literatura powstaje wówczas, kiedy pisarz ma coś ważnego do przekazania czytelnikowi, czym chciałby się podzielić, natomiast samo rzekome odkrycie języka chuliganów, marginesu społecznego czy grypsów więziennych i epatowanie nim odbiorcy prowadzi do powstawania zupełnie innej literatury, chyba nie najciekawszej. Sądzę, że mamy jeszcze szereg znakomitych nurtów i znakomitych twórców w literaturze pięknej współczesnej, którzy nadają jej ton i cieszą się dużym zainteresowaniem. Nie wszystko jednak z dzisiejszej literatury (bo jest to olbrzymia produkcja) ma szansę przetrwać. Polacy są chyba jedynym narodem tak głęboko literacko zaangażowanym. Podejrzewam, że mamy więcej poetów niż polityków, a za polityków uznają się prawie wszyscy. Uważam, że z tej ogromnej magmy, która się pojawia, wyłoni się kilka wybitnych pozycji.

Mimo pewnych podobieństw współczesności z sytuacją polityczno-społeczną w Polsce końca XIX i początku XX wieku, zasadnicza różnica polega na tym, że Polacy wówczas nie mieli własnego państwa, a zatem i władzy. W związku z tym literatura, już od początku niewoli, miała dodatkową funkcję – prowadzenia rządu dusz i równocześnie zastępowania władzy publicznej. Jednym słowem, była to próba wychowywania narodu, jak na przykład w epoce pozytywizmu. Młoda Polska częściowo się od tego uwolniła (np. w wypad-

ku Przybyszewskiego), natomiast w twórczości Wyspiańskiego czy Żeromskiego widoczne są wyraźne związki z życiem narodowym.

Czy istotnie literatura nie może pełnić dzisiaj takiej funkcji? Myślę, że mogłaby, pod warunkiem, że nie będzie zastępowała polityków. Literatura dzisiejsza (także i światowa) współuczestniczy w formowaniu charakteru czytelników (nie całego narodu, bo to byłaby utopia, ale niektórych czytelników), wzbogaca ich osobowość.

Myślę, że we współczesnym życiu literackim duże znaczenie ma próba wgłębiania się w psychikę człowieka wystawionego na zupełnie nowe doświadczenia, na zupełnie nową sytuację. Któż jest tym architektem wnętrza ludzkiego, jak nie pisarz, poeta? Ważne, żeby nie podchodził do tworzenia literatury jako człowiek, który chciałby za wszelką cenę pisać.

Trudno powiedzieć, w jaki sposób obecnie literatura sięga do tradycji narodowej i z jakich korzysta wzorców; chociażby lektura pytań na egzaminie maturalnym uzmysławia nam, jak daleko odeszliśmy od tego, co wniosła np. literatura XIX wieku. Literatura piękna wówczas (mówię o wysokiej literaturze) sięgała do źródeł kultury ludowej, jak dla przykładu dzieła Reymonta. Współcześnie także powinna odwoływać się do tego, co jest najważniejsze w życiu współczesnych Polaków. Przeżywamy rzeczywiście historyczny moment, sytuację, o której marzyli nasi przodkowie przez cały wiek XIX: jesteśmy w europejskich strukturach. Dzisiaj przed pisarzami stają nowe zadania i obowiązki, pojawia się zjawisko globalizmu. Czy podolają oni wyzwaniom współczesności? Jak zachować swoją tożsamość narodową, a jednocześnie być obywatelem Europy? Jakie stoi zadanie przed literaturą w czasach, kiedy żyjemy w globalnej wiosce i wystarczy kliknięcie myszką komputerową, żeby mieć dostęp do informacji na całym świecie? Radio i telewizja bezustannie karmią nas straszliwym szumem informacyjnym. Pisarz powinien umieć znaleźć się w tym trudnym świecie, nie może tkwić tylko w wieży ze słoniowej kości, nie dostrzegając zmian, jakie zachodzą w świecie, lecz grzebiąc jedynie w swoim wnętrzu. Pisarz na ogół nie tyle odpowiada na pytania, ile stawia je czytelnikowi, tak jak Wyspiański czy Żeromski, a wcześniej – Mickiewicz i inni romantycy.

tekst krytycznoliteracki – jest, jak sędzę, w czasach dzisiejszych równie nieistotny, jak narzekania, iż tekstu takiego nie ma. Nie ma – bo widocznie nie jest potrzebny. Tekst taki, opublikowany w jakimś „niszowym” czasopiśmie, na chwilę zelektryzowałby autora i jego akolitów (względnie wrogów), po czym zniknął w otchłaniach zapomnienia.

Pocieszające jest wszakże, że prozaik taki jak Pilch, wskrzesza postać krytyka literackiego znakomicie pasującą do tych, których można było spotkać na redakcyjnych korytarzach „Wiadomości Literackich”. To oni byli, a raczej bywali, „gospodarzami literatury”: dawali nominacje, budowali hierarchie, pokazywali konteksty, rzadzili i pilnowali porządku (oczywiście takiego, jaki sami ustanowili). Dzisiaj rolę tę przejęło środowisko „Gazety Wyborczej” (wszelkie pozamerytoryczne powody tego skojarzenia odrzucam a priori), częściowo „Znaku”, „Res Publici Nowej” i „Odry”. Bez większego echa pozostają recenzje w wielce zasłużonych dla polskiego ruchu wydawniczego „Nowych Książkach”, adresowanych wyłącznie do autorów i sfrustrowanych bibliotekarzy. Recenzje w pismach, a raczej pisemkach kolorowych lub biuletynach wydawanych np. przez operatorów sieci telefonii komórkowej, pisują gwiazdy filmowe i telewizyjne i istotne w nich jest jedynie to, że pani X lub pan Y czytali coś fajnego (np. *W poszukiwaniu utraconego czasu*, wprawdzie do strony 67, niemniej jest to dobre).

Znaczenie opinii – zwłaszcza w sferze kultury – jest dziś w Polsce zerowe. Wartościowanie – zaznacza się jedynie wtedy, gdy przypisze się je konkretnej osobie. Hierarchie można zbudować jedynie wtedy, gdy zastosuje się metodę jasnych porównań: Krystian Zimmerman np. może zostać bez wahania określony „Małym polskiej pianistyką” i w nikim nie budzi to zdziwienia, nie wspominając o zgrozie. Z porównania tego można wywnioskować, że Zimmerman to równy facet i lubią go na świecie. Tak właśnie wygląda „budowanie kontekstów”, o które chodzi, jak rozumiem, Pilchowi. Joyce jest Davidem Beckhamem anglojęzycznej prozy. Nie szkodzi, jest!

Czy zatem uprawianie krytyki literackiej w czasach postmodernizmu – kwestionującego istnienie

jednorodnego pojęcia prawdy, relatywizującego wartości, umożliwiającego budowanie wręcz fantastycznych powiązań między zjawiskami i faktami – jest potrzebne? Jeśli przyjmujemy anglosaskie, tradycyjne pojmowanie „krytyki” jako interpretacji, jako pewnego hermeneutycznego postępowania, prowadzącego do odkrycia ukrytych sensów – z pewnością natknijemy się na argumentację, iż sens jest w gruncie rzeczy równoznaczny z dyskursem, z samą formą przekazu. Sens poza tekstem nie istnieje. Tekst nie reprezentuje świata, człowieka, Boga, konfliktu, tragedii: tekst reprezentuje siebie – i nic ponad to. Oznacza to, mówiąc w pewnym uproszczeniu, zanik mocy odsyłania „ku”, istnienia „ku” – tak istotnego jeszcze dla wielkich umysłów XX wieku, chociażby dla Heideggera. Naturalnie – można tu widzieć cienie postmodernistyczne: to efekt kryzysu reprezentacji, kryzysu referencji znamionującego całą sztukę. A jeśli sztuka wyrzeka się referencjalności – to czy krytyka sztuki może posługiwać się językiem bazującym na referencji? Czy może „wysyłać” dzieło w obszary, w których ono samo znaleźć się nie chce? Znajdować dlań konteksty, które nie są w żaden sposób uprawnione?

Krytyka literacka – i szerzej, artystyczna – jest dziś o wiele bliższa reklamie i *public relations* niż tradycyjnym strategiom literaturoznawczym: interpretacyjnym, analitycznym i wartościującym. Przeglądy krytyczne są poza tym wpisywane w szersze konteksty i konstrukty, w takie strategie przekazu, jakie dominują w mediach. Dominują zaś strategie zawierające w sobie część *entertainment* – rozrywki. Mamy więc edutainment, infotainment, militainment czy, jakby to paradoksalnie nie brzmiało, eatainment (rozrywka związana z poradnictwem kulinarnym), irritainment (formy rozrywki, które mają celowo doprowadzić odbiorcę jeśli nie do wściekłości, to przynajmniej do podwyższonego stanu emocji²). Nie jest to zresztą zjawisko obejmujące wyłącznie przekazy medialne: w obiegu jest np. określenie *fictommercial*. Odnosi się ono do krótkich form fabularnych (micro-fictions), zamawianych lub kupowanych u znanych pisarzy, a używanych następnie – poprzez stosowne uformowanie typogra-

Cokolwiek powiem o tym, jacy współcześni pisarze zasługują na uznanie, to natychmiast będę miał kłopoty z następnymi kandydatami do Nobla. Każdy z obecnych twórców jest na swój sposób wielki. Cieszymy się, że mamy w Krakowie dwoje noblistów, a także kandydatów na kolejnych, bo przecież każdy z twórców marzy o tym, żeby być uznanym na całym świecie. Może jestem staroświecki, ale dla mnie np. twórczość Wiesława Myśliwskiego – stosunkowo niezbyt bogata – jest bardzo wartościowa, oryginalna i głęboka. Jest to pisarz, który, krocząc poza modami, stawia podstawowe pytania egzystencjalne współczesnemu człowiekowi wywodzącemu się z warstwy wiejskiej, ale – z drugiej strony – to nie jest literatura chłopska.

Na pytanie: czego czytelnik szuka w literaturze, mogą odpowiedzieć tylko odbiorcy, gdyż każdy ma odrębne oczekiwania. Za kilka miesięcy otrzyma doktorat honoris causa UJ Ryszard Kapuściński, pisarz, który wyrósł z dziennikarstwa i reportażu, który odkrywa prawdy o współczesnym świecie. Rzesze jego czytelników są ogromne, mimo że są to dzieła niefikcyjne, oparte na faktach i wynikających z nich koncepcjach historycznych.

Współczesny odbiorca idzie do teatru na sztukę Wyspiańskiego prawdopodobnie dlatego, że pamięta jeszcze ze szkoły i może wtedy nie wiedział, jak sobie poradzić z tym tekstem, ale coś go zafrapowało, kiedy czytał. Taki człowiek ogląda spektakl *Wesela*, a po obejrzeniu nie bardzo sobie uświadamia, co przeżył, jednak w trakcie oglądania sztuki znajdował się w kręgu najważniejszych spraw, które przedstawił autor. To jest to, co starożytni nazywali katharsis, oczyszczenie. Zawsze powtarzam, że przy lekturze dzieł literackich najważniejsze jest zdziwienie, zaskoczenie. Jeden odpowiedzi znajduje, inny nie znajduje, ale sam fakt zdziwienia, przeżycia wewnętrznego, to podstawowa forma odbioru literatury.

Franciszek Ziejka

Spisały Agnieszka Bal i Joanna Miczałowska

ficzne, połączenie z obrazem fotograficznym czy rysunkiem — jako nośnik reklamy³.

Warunki te wymagają zawieszenia tradycyjnych, znanych krytyce procedur, zmiany orientacji z poszukiwania wartości uniwersalnych (takich jak dobro, piękno, wiarygodność, rzetelność etc.) na rzecz eksponowania jedynie takich wartości, które są nimi ze względu na funkcje, jakie tekst krytyczny pełni w danym medium. Nie jest to bynajmniej prosty relatywizm, lecz postępowanie, które w teorii *public relations* nazywa się niekiedy „fokalizacją” (czyli taką wstępną selekcją informacji, która determinowana jest celem, jaki chcemy osiągnąć przez dany przekaz: np. ze znaną aktorką nie rozmawiamy o jej rolach, lecz o preferencjach przy wyborze lektur). Trudno wszakże nie zauważyć, że takie postępowanie pozostaje w związku z paradygmatem czy lepiej modelem światopoglądu postmodernistycznego. Teore-

tyk *public relations* pisze: „Postmoderniści próbują ogarnąć jak najszersze obszary, w gruncie rzeczy nie ma tematu, którego nie dałoby rady sklasyfikować jako humanistycznego. Obserwować można stopniową tematyczną ekspansję dyskursu postmodernistycznego, szczególnie w kierunku aktualnych, interdyskursywnych problemów. W pierwszym rzędzie symplifikacja objęła problemy komunikacyjne. Skutki są dalekosiężne: nowy układ medialny wymaga od tekstów maksymalnej ekonomiczności przy minimum użytych środków. Wszelkie manifestacje winny osiągać zamierzone efekty możliwie skutecznie i bezpośrednio, unikając strategii pozwalających na powstawanie zróżnicowań i niegospodarnego okupowania przestrzeni tekstowej. Znalazły tu zastosowanie mechanizmy o dużej mocy manipulacyjno-perswazyjnej (...) Natychmiastową efektywność uzyskuje się, stosując na różne sposoby techniki skracania, upraszczania. W dyskursach postmodernistycznych nie ma miejsca i czasu na rozwlekłe, drobiazgowo analizy problemów — to nie nauka, tu

liczy się promocja, inkluzja, sukces kulturowy, a nie poznawczy”⁴.

Cytowana tu diagnoza zwraca uwagę na permanentny brak w tekstach argumentacji własnych poglądów, przewagę sądów definitywnych, niepozostawiających miejsca na wątpliwości, tworzenie faktów dokonanych, przedstawianie stanów pożądanych i atrakcyjnych (również językowo) jako rzeczywistych, co prowadzi do konkluzji, których uzasadniać już nie warto. Autor wspomina też i o tym, że zbyt szeroka przestrzeń komunikacyjna (powstająca m.in. w wyniku przesunięcia krytyki artystycznej z pism wyspecjalizowanych — jest ich bowiem bardzo niewiele — do popularnych) sprawia, że

z tekstami krytycznymi o takich właśnie cechach, praktycznie nikt nie polemizuje. Miejsce tradycyjnych zabiegów krytycznych zajęły — w wyniku chęci skracania, syntetyzowania — ha-

**Krytyka literacka — i szerzej,
artystyczna — jest dziś o wiele bliższa
reklamie i *public relations* niż
tradycyjnym strategiom
literaturoznawczym: interpretacyjnym,
analitycznym i wartościującym**

sła, mgliste sformułowania, slogany i stereotypy, które mistyfikują argumentację. Za argument może służyć efektowna lub zabawna metafora, za syntezę — złośliwość lub wręcz inwektywa, wcale niezwiązana z opisywanym zjawiskiem artystycznym czy z ocenianą działalnością twórczą.

Na dodatek: większość tekstów z tego kręgu ma — według słusznego poglądu przywoływanego tu badacza — charakter „prezentacyjny”: są one raczej wykładem pewnego manifestu czy programu literackiego. Zauważyć można, że są to programy nierzadko konstruowane *ad hoc*, na użytek konkretnego zadania krytycznego. Tym samym trudno tu mówić, że teksty krytycznoliterackie tego typu mają funkcję metatekstową wobec prezentowanych zjawisk kultury. Nie są sformułowane w wyrazistych, czytelnych kodach: są raczej „wyspami” znaczeń, izolowanymi od siebie i tym samym nietworzącymi archipelagów. Jest to sytuacja, w której — w myśl sławnego sformułowania — „mapy wyprzedzają terytoria”:

Jan Pieszczachowicz

Minimum przyzwoitości

Pytanie „co Polacy zrobili ze swoją literaturą?” wymaga sprecyzowania. Przede wszystkim — którzy Polacy? Około połowa rodaków nie bierze książki do ręki, więc zapewne uważają, że to nie ich sprawa. Pośród tych, którzy od czasu do czasu po nią sięgają, wielu uwzględnia tylko podręczniki, poradniki i inne formy piśmiennictwa użytkowego, a tzw. literatura piękna w ogóle ich nie interesuje

Głód fabuły z powodzeniem zaspokajają filmy i seriale telewizyjne, o świecie uczą wszelakie *talk shows* i *reality shows*, *harlequiny*, proza popularna w rodzaju twórczości Katarzyny Grocholi. Powodzeniem cieszą się także książki związane z głośnymi ekranizacjami, w rodzaju przygód Harry'ego Pottera. To i tak swojego rodzaju osiągnięcie, bo przecież mamy do czynienia z czytelnikami młodego pokolenia, którzy lubią internetowe rozrywki i elektroniczne gry w stylu „zabili go i uciek”.

Nadgorliwi zwolennicy nowoczesności nieustannie proklamują „koniec ery Gutenberga”, starając się przenieść swą aktywność autorską do internetu, gdzie każdy może być sobie sterem, żeglarzem i okrętem, czyli wydawcą, redaktorem oraz krytykiem w jednej osobie. Nie mam nic przeciwko internetowi i najdalej posuniętej swobodzie twórczej, ale całkowite wyjęcie dorobku spod osądu niezależnego, jakiejś fachowej weryfikacji, pod dość bezmyślnie stosowanym haselkiem „precz z hierarchią”, nie jest mądre ani przezorne. Musi prowadzić — i już widać skutki — do dewaluacji, obniżenia poziomu i rozgardiaszu w sferze wartościowania, co na dłuższą metę nikomu i niczemu na dobre nie wyjdzie.

Miernotom i grafomanom to na rękę, pozostali powinni jednak zgłaszać sprzeciw. Bo jeśli rzeczowego analizowania i oceniania zupełnie się zaniecha, po co pisać? Chyba że dla milego grosza (rzecz skądinąd ważna), bądź krótkotrwałego i hałaśliwego rozgłosu fabrykowanego przez środki masowego przekazu, zdolne wykreować „wielkość” według swojego widzimisię lub z jeszcze bardziej przyziemnych powodów, np. związanych ze stanem kasy redaktorów. Zresztą za krytyka może bezkarnie podawać się każdy, kto tego pragnie, bez względu na kwalifikacje — wystarczy dostęp do zaprzyjaźnionych „przekazników”, choć nasza epoka preferuje podobno ekspertów. Na obszarze literatury okazuje się to w Polsce coraz częściej zbędnym luksusem, w związku z czym resztką czynnej, poważnej krytyki literackiej funkcjonuje marginalnie.

A poloniści akademiccy piszą swoje sążniste rozprawy, jakby ilustrowali frazę Wyspiańskiego „Niech na całym świecie wojna...” Może mają jednak rację, uprawiając w naukowych niszach to, co traci grunt pod nogami w szerszej, publicznej przestrzeni? Nawet gdyby miało być utopią ładu humanistycznego, zawieszonego ponad mętными wodami ogarniętej anomią rzeczywistości, w świecie fascynującym się tym, jak i ile mieć, a nie jak być? Bowiem — już ktoś to zauważył — człowiek naszego czasu nie tyle chce być zbawiony, co za wszelką cenę uszczęśliwiony. Także za cenę porzucenia istotnych wartości. I to jest wielki temat dla pisarzy oraz humanistów.

Pytanie wyjściowe powinno być uzupełnione o jeszcze jedno: a co sama literatura zrobiła ze sobą? I czy może mieć pretensje, że jest niedoceniana i spychana na ubocze? Niewątpliwie wpływ na jej ewolucję miały przemiany społeczne po upadku PRL, obejmujące również stosunek do kanonu klasycznej twórczości literackiej. „Przerabiani” chwalebnie na lekcjach języka polskiego bohaterowie z przeszłości zawisnęli nagle w pustce. Wskrzeszony polski kapitalizm, pazurek i nuworyszowski, postawił w dwuznacznym świetle nie tylko romantyczno-tyrtejski kult spiskowania i bezgranicznej ofiary, dostosowany do realiów walki

z komunizmem, ale także postaci pokroju Wokulskiego czy Judyma.

Ten pierwszy miał zarabiać pieniądze, nawet w okolicznościach trochę niejasnych (interesy na Bałkanach, handel z Suzinem), i nadawałby się zapewne do nowej rzeczywistości, czyli III Rzeczypospolitej Korupcyjnej, gdyby nie młodzieńcze spiskowe grzeszki, naiwne sentymentalizmy, trwonienie pieniędzy z powodu rozkapryszanej pannicy i biedaków. A taki Judym, który zamiast dobrze i bez skrupułów zarabiać, bawił się w idealizm, kolegom po fachu psuł interes (dzisiaj też nie byłoby mu za to wdzięczni)? To przecież postać archaiczna i frajerska, by nie rzec – szkodliwa...

Z owego pomieszania starego i nowego nikt nie wyszedł z tarczą: ani poloniści, ani krytycy, ani współcześni pisarze, zwłaszcza tzw. roczniki sześćdziesiąte i siedemdziesiąte. Pierwsi nie poradzili sobie z reinterpretacją klasyki w świetle wyzwań nowego czasu. Drudzy w większości pogubili się, bądź skapitulowali wobec cichego szantażu, że mogą się okazać niewspółcześni i nie-nowocześni, co skłaniało do pilnego zapoznania się z poglądami koryfeuszy postmodernizmu (lub bodaj ich streszczeniami), a także demonstrowania dystansu do prawd, uważanych dotychczas za prawdziwe.

Wreszcie młodzi pisarze, zwłaszcza prozaicy, demonstracyjnie porzucili poczucie współodpowiedzialności za otaczający świat, zanurzając się w egocentryzmie oraz niechęci do określenia swojej tożsamości. Górę wziął – jako narrator i bohater – typ wiecznego chłopca (*puer aeternus*), skłonnego do uprawiania nostalgicznej (szczególnie na obszarze „małej ojczyzny” dzieciństwa) mitologii, na przeciwnym biegunie zaś brutalizacji i obrzydzenia w stosunku do rzeczywistości (świat widziany jako ponury i absurdalny „wysięg szczurów”).

Towarzyszą temu jałowe popłuczyny formalne, „komplikacjonistyczne” wygibasy pokrywające nierzadko epistemologiczną i aksjologiczną pustkę, brak prawdziwej innowacyjności artystyczno-intelektualnej. Nie ma tu na ogół cienia sprzeciwu, o buncie społecznym czy moralnym nie mówiąc; to raczej dziecięce rozżalenie na paskudny świat, połączone z bezradnością i frustracją, bądź w znacznej mierze reżyserowany cynizm. W gruncie rzeczy mamy do czynienia z zaniechaniem życiowego i intelektualnego aktywizmu, z czymś w rodzaju literack-

„Ważną cechą prezentacji jest jej niewielka relatywność, tylko w niewielkim stopniu spełnia ona funkcje pośredniczące (jak program czy manifest), jest tekstem, który nie tyle ma wyjaśniać inne (wcześniejsze, późniejsze), co samego siebie. (...) prezentacja jest to odmiana umasowionego programu literackiego zbliżonego do hasła encyklopedycznego o charakterze popularyzatorsko-legitymizującym. (...) Ewidentnie prezentacja powstała w efekcie uzyskania przez system stanu autoreferencji – przejmowania reguł i strategii obowiązujących w nienaukowych rejonach kultury”⁵.

Konkluzją tego rozpoznania sytuacji jest stwierdzenie, że dekonstrukcjonizm jest bliższy krytyce literackiej niż klasycznym dyskursom literaturoznawczym, że teksty dekonstrukcjonistów są swoistą hybrydą literackiego i nieliterackiego.

Spójrzmy na to odwrotnie: czy krytyka literacka, zwłaszcza w sytuacji, w jakiej znalazła się po 1989 roku, nie odkryła w specyfice dekonstrukcjonistycznego dyskursu swego koła ratunkowego dla siebie? Szczególnie mocno widać to w pierwszych latach 90., co podkreśla m.in. Przemysław Czapliński, omawiając magiczne, jego zdaniem, zabiegi językowe i meta-językowe mające odpowiadać, w sferze retorycznej, aurze „końca” i „początku”: „Paradoks nie w tym, że krytycy i historycy literatury, zadając klasyczne pytania dotyczące roli pisarza, funkcji literatury, kategorii estetycznych, rozpoznali i w znacznej mierze zdefiniowali podstawowe parametry przełomu – zmianę gustu społecznego, nową rolę literatury i pisarza, brak mitu sztuki – obywając się przy tym bez przełomowych dzieł literackich. Paradoks raczej w tym, że klasyczność narzędzi wartościowania i opisu spowodowała, że początek nowego okresu w literaturze polskiej jawi się jako seria powrotów”⁶.

Trudno o bardziej wyrazisty dowód, że krytyka – głosząc na początku lat 90. koniec epoki PRL (przypomnijmy, że był to także okres, gdy fascynowano się „urynkowaniem sztuki”) i głoszono potrzebę zlikwidowania wszelkich form mecenatu państwowego – co szybko ustąpiło lękowi, upadły bowiem pisma literackie, w dramatycznej sytuacji znalazły się teatry, wydawnictwa, kinematografia, ogra-

niczono także udział programów kulturalnych w mediach elektronicznych) – zaczęła poniekąd „zastępować” literaturę. Język krytyki, dzięki giętkości, kumulatywności czy też inkluzywności dyskursu postmodernistycznego, począł obejmować obszary niemające wiele wspólnego z literaturą: politykę, ekonomię, życie towarzyskie. Powstawał w ten sposób paradoksalny amalgamat języków, który służył nie tyle opisaniu i zdiagnozowaniu sytuacji, ile ekspresji przeczuć, sentymentów i resentymentów. Był także – dzięki swej samozwrotności – utwierdzeniem czytelników w przekonaniu, że tak właśnie należy mówić o nowych czasach, bowiem nie istniała tu alternatywa w postaci istotnie nowych utworów, „zmienionego głosu” literatury. Krytyka słuchała i słyszała tylko siebie – i to miało wystarczyć. Przywołajmy raz jeszcze Czaplińskiego: „Najbardziej zaskakujące jest jednak to, że »przełom jako powrót« był przewidywalny i pożądaný, że dokonał się niejako na życzenie krytyków. (...) efektem diagnoz przełomu formułowanych w językach początku okazała się redukcja narodzin nowego okresu do uwarunkowań rynkowych, co znaczyło, że początek objawił się w zmienionym położeniu sztuki wobec polityki i gospodarki, nie przyniósł natomiast przełomowych dzieł w literaturze. (...) Oznakami początku nowej epoki według ankiet i prognoz miały być powroty dawnych form literackich, to zaś zaopatrzyło twór-

Za argument może służyć efektowna lub zabawna metafora, za syntezę – złośliwość lub wręcz inwektywa, wcale niezwiązana z opisywanym zjawiskiem artystycznym czy z ocenianą działalnością twórczą

ców i czytelników w przekonanie, że w zakresie literackim przełom może mieć charakter zupełnie nieprzełomowy”⁷.

Komercjalizacja kultury – w tym także literatura – wywołała „powroty” nie tyle dawnych idei (te bowiem nadal znajdowały się w rejonach kultury wysokiej), ile wyrazistych struktur gatunkowych (w prozie były to modele prozy kryminalnej, sensa-

kiej choroby woli – abulii, modnej w okresie modernizmu przed wiekiem.

Pora na konkluzję. Nie będzie ona mimo wszystko katastroficzną, bo pojawiają się od czasu do czasu książki godne uwagi, choć jest ich o wiele za mało, by wieszczyć nadejście wiosny. Niedawno z przyjemnością wręczyłem nagrodę Krakowskiej Książki Miesiąca Wojciechowi Kuczkowi, pisarzowi śląsko-podwawelskiemu, za prozę *Gnój* – krwistą, mądrą, choć pesymistyczną. Spotkania ze znanymi poetami nadal gromadzą wielu miłośników poezji. Są zatem – choćby ich nie było zbyt wielu – czytelnicy wierni dobrej literaturze oraz nieliczni krytycy, którzy pod żadnym pozorem nie podpisują się pod literacką miżerią, co czynią bez skrupułów różni pseudokrytycy oraz przypadkowi dziennikarze. Pozostali na placu boju wydawnictwa, które obok konieczności zarabiania pamiętają o poziomie: w Krakowie np. Wydawnictwo Literackie, Znak czy Zielona Sowa.

Ale nie powinniśmy się pocieszać w stylu: „Nie jest źle, i nie jest dobrze, a więc jest nieźle”, bo w sumie jest niedobrze. Trzeba, by pisarze, krytycy i literaturoznawcy uświadomili sobie, że o to, co dzieje się w literaturze trzeba walczyć – zamiast biadolić i pogrążyć się w bezruchu – każdy wedle swojej skromnej możliwości. A więc nie godzić się nawet na bierny udział w promowaniu miernot, odmawiać uczestniczenia w różnych zabiegach wynoszących literacką marniznę, w jej wychwalaniu, tolerowaniu nachalności autorów *minorum gentium*, w przyznawaniu nagród i wyróżnień wedle „kolesiowatych” kryteriów.

To praktyki szkodliwe, zwłaszcza wobec postępującego zaniku wartości, a nawet poczucia przyzwoitości w świecie literatury i w tym, co ją otacza. Trzeba mieć odwagę powiedzenia – jak to czynił zmarły niedawno o. Stanisław Musiał – że „czarne jest czarne”, grafoman pozostaje grafomanem, nieudaczny humanista lub krytyk – nieudacznikiem, a o pozycji pisarza nie powinien przesądzać czyniony wokół niej hałas.

To nie jest wygórowany program, to tylko minimum uczciwości i poczucia elementarnego poczucia obowiązku ludzi pióra. Ale to i tak dużo, zwłaszcza gdyby było stosowane solidarnie i w miarę szeroko. Cóż nam zresztą innego pozostało, jeśli nie zachowanie godności własnej, a także całej sfery literatury, której powinniśmy strzec?

Jan Pieszczachowicz

cyjnej, inicjacyjnej, romansu czy Bildungsroman). Służyły one nie tyle jako gotowe konwencje czy „formy” — ile jako tworzywo, które ulegało deformacji, parodiowaniu, pastiszowaniu, demontażowi. Paradigmat postmodernistyczny zezwalał na uruchamianie skomplikowanych mechanizmów trans- i intertekstualnych, na przekraczanie granic gatunkowych („gatunki zmaczone”). Tym samym proza — zwłaszcza proza powstająca po 1995 roku, gdy minęła już pierwsza euforia „końca” i „początku” sama przyjęła na siebie obowiązki krytyki i interpretatorskie, „literaturoznawcze” zabiegi przeniosła do obszaru literatury, sprowadzając je w większości do takiego „czytania” cudzych tekstów (dawnych i współczesnych), które dawało coraz gęstszą siatkę nawiązań, cytatów, zapożyczeń, deformacji. Dekombinacyjność krytyki tradycyjnej, starającej się raczej rozplątywać semantyczne węzły, została tu zastąpiona mechanizmami rekombinacyjnymi, obejmującymi nie tylko konwencje, style i teksty — ale także idee. Oznacza to przyjęcie zasady, iż znaczenia mogą powstawać poniekąd stochastycznie, jako rezultat „dialogów” całkowicie obcych sobie tekstów. Obcych i — dodajmy — czasami wręcz wrogich.

Znika więc to, co w tradycyjnym ujęciu musiało towarzyszyć postępowaniu krytycznemu: odkrycie zasłoniętych sensów. Nie ma bowiem odczytań prawdziwych i błędnych, nie ma też sensów „ukrytych” i „powierzchniowych”. Krytyk jednocześnie ma prawo się mylić i mylić mu się nie wolno. Jednym wyjściem z tego paradoksu jest komunikowanie znaczeń niejasnych, opalizujących, niestabilnych, co odpowiada właśnie sygnalizowanemu przeze mnie wcześniej cechom dyskursu dekonstrukcjonistycznego, drugim — pisanie o sprawach dla sztuki i kul-

tury drugorzędnych lub atrakcyjnych jedynie dla odbiorców popularnych.

Zapewne interesującą rzeczą byłoby porównanie języka krytyki literackiej (w tym również tekstów typowo „recenzenckich”) lat 70. i 80. ze sposobem opisu i wartościowania literatury, do jakiego przyzwyczaiły nas czasy nam współczesne. Recenzje publikowane 20–30 lat temu w tygodnikach społeczno-kulturalnych (których dziś po prostu już nie ma) często nosiły wyraźny ślad „scjentyzmu”, typowo strukturalistycznej pedanterii. Bywały „ciemne” — ale była to ciemność innego, niż dzisiaj rodzaju. Owa „ciemność” w ówczesnych warunkach była alternatywą dla innego paradygmatu krytycznego, opierającego się na języku wyrażnie zideologizowanym, upolitycznionym, dla krytycznoliterackiej nowomowy. Mówię jednak wyraźnie — bywała, a nie była, bowiem i tekstów o tak jaskrawie ideologicznym tonie było raczej niewiele, a zdarzało się wcale nierzadko, że na łamach pism kierowanych przez partyjnych mogółów w rodzaju Włodzimierza Sokorskiego („Miesięcznik Literacki”), Jerzego Putramenta („Literatura”) czy Władysława Machajki („Życie Literackie”) postaci z kręgu młodego, „gniewnego” IBL-u sąsiadowały z dyspozycyjnymi krytykami, czerpiącymi natchnienie z rozmaitych „Notatników lektora”.

Język tej krytyki, aczkolwiek wówczas irytujący swoim scjentyzmem, był jednakże sygnałem istnienia ukrytej warstwy znaczeń, znakiem wzywającym do trudu ich odczytania — i to nie tylko w perspektywie strukturalistycznych procedur analitycznych. Niezmiernie interesującym przykładem stopniowego przeistaczania się literaturoznawstwa w światopogląd, modeli opisu i rozpoznania zjawisk kultury (i to dawnej, głównie XIX-wiecznej) są dzieje kręgu badaczek i badaczy skupionych wokół Marii Janion i jej gdańskich seminariów, prowadzonych w drugiej połowie lat 70. To, co było dyrektywą metodologiczną, wyznacznikiem postępowania hermeneutycznego, a nawet — po części metaforycznie traktowanym terminem (np. transgresja — dająca tytuł serii publikacji pod redakcją M. Janion) — nieoczekiwane przekształciło się w model światopoglądowy, w okreśło-

**Wszystko jest zabawne i niegroźne, dla
galaretowatej kultury śmiechu, w której
jedynymi stałymi elementami jest
wydawniczy sukces, połączony
z atrakcyjnością samej gry.
„Zdziecinienie” Polski ma dzisiaj
zupełnie inne oblicze, bowiem dawny
potwór Pana Cogito nie ma już oblicza
pustki. Ma oblicze nadmiaru**

na hierarchię wartości, determinującą postawy i wybory nie jednostek, a całego pokolenia (zwanego *ex post* „pokoleniem nowej prywatności”).

Dotyczyło to bynajmniej nie tylko eseistyki czy twórczości naukowej, lecz przenosiło się w formie wcale nie szczątkowej do klasycznej działalności recenzyjnej, stanowiło oś ocen, okazywało się użyteczne w próbach rozmaitych uogólnień. „Prawda jest wartością estetyczną” – twierdzą intelektualisci w książkach i esejach z tamtego okresu, m.in. Adam Michnik⁸, Stanisław Barańczak⁹, A. Zagajewski i Julian Kornhauser¹⁰. Postawę taką P. Czapliński określa jako „etyzm”: „Jego podstawą było przekonanie, że literatura, albo szerzej: sztuka, ma obowiązki wobec społeczeństwa i że obowiązki te dają się zmierzyć miarą etyczną. Etyzm, rozpatrywany z perspektywy dzisiejszej, zdaje się sta-

nowić spis szlachetnych powinności, mówiących, że w świecie realnej fikcji stworzonym przez język ideologii rola literatury polega na ujawnianiu prawdy, na odwadze nazywania rzeczy po imieniu, na obronie jednostkowej godności, na upominaniu się o prawo do wolności, na pochwaleniu dobra i piętnowaniu zła”¹¹.

Ważne jest to zastrzeżenie poznańskiego badacza: „etyzm widziany z dzisiejszej perspektywy”. Oznacza to, że perspektywa ujmowania roli literatury i kultury uległa w ciągu trzydziestu lat zmianie dostatecznie gruntownej, by dawne poglądy stały się po trosze muzealne. Czy dla wszystkich? Z pewnością nie dla wszystkich przedstawicieli mainstreamu „Nowej Fali”, bowiem w 1994 roku Stanisław Stabro publikuje takie oto wyznanie: „Pozostał w mocy, i to tym bardziej w obecnej sytuacji, ów postulat opisu i wartościowania rzeczywistości w imię kategorycznego imperatywu prawdy i sprawiedliwości. Ideal nieulegania żadnym zbiorowym wmówieniom i histeriom, choćby najbardziej uzasadnio-

nym przez rozpacz i klęskę. Pozostał żywy nakaz przeciwstawiania się przemocy i obłudzie społeczeństwa, głupstwu i hipokryzji *middle class*. Państwu, jeżeli staje się tylko aparatem nacisku, kulturze, jeżeli tylko służy do sterowania masami, zafałszowywaniu rzeczywistości i kreacji światów mitycznych”¹².

Nie możemy jednak odmówić prawa krytykowi – myślę o Czaplińskim – młodszemu od autora *Dzieci Leonarda Cohena* o lat 14, do traktowania „etyzmu” jako *wishfull thinking*. Imperatyw „praw-

da jest estetyczna” domaga się – w myśl postmodernistycznego wzorca – prawa przemienności: „to, co estetyczne jest prawdziwe”. Albo inaczej – „to, co poddaje się ocenie estetycznej, poddaje się również wartościowaniu etycznemu”.

Język krytyki, dzięki giętkości, kumulatywności czy też inkluzywności dyskursu postmodernistycznego, począł obejmować obszary niemające wiele wspólnego z literaturą: politykę, ekonomię, życie towarzyskie. Powstawał w ten sposób paradoksalny amalgamat języków, który służył nie tyle opisaniu i zdiagnozowaniu sytuacji, ile ekspresji przeczuć, sentymentów i resentymentów

I wiemy doskonale – że to nieprawda. Wiemy, że to, co się podoba lub nie podoba – wcale nie musi być „prawdziwe”. Poddajemy się z przyjemnością kłamstwu, bredni, przyjmujemy ze spokojem fikcje i mity – pod warunkiem, że „dobrze się czytają”, „dobrze oglądają”, są uroczne w swej niedorzeczności. Surowa powaga, „kategoryczny imperatyw prawdy”, swoisty „prezentyzm” zawarty w postulatach skierowanych pod adresem literatury i kultury, a także w samych dziełach – obowiązujące w latach 70. i 80. – zostały zneutralizowane przez „grę z prawdą”, „grę z rzeczywistością”, przez dialogi masek i symulacji. Naturalnie – lata 80. muszą tu zostać potraktowane w sposób szczególny, bowiem właśnie w tych latach, pod naciskiem tendencji, które Czapliński określa mianem „realizmu antysocjalistycznego”¹³ krytyka stopniowo stawała się dyskursem nie tyle o literaturze, ile o polityce, społeczeństwie, wymiarze życia codziennego. W mniejszym stopniu chciała podejmować spory o wartości uniwersalne, a częściej włączała się w bieżące polemiki,

„demaskowała”, atakowała, dezawuowała zjawiska w niewielkim stopniu należące do „wiecznych” porządków aksjologicznych, co musiało wiązać się z poważną symplifikacją, odchodzeniem od wymogu rzetelnej argumentacji na rzecz tworzenia faktów intencjonalnych, a te jak wiadomo, nie poddają się procedurom oceny.

Nietrudno dostrzec w tym załazek zjawisk, z którymi mamy do czynienia dziś. Spytajmy więc – „z dzisiejszej perspektywy” – czy możliwy jest „pi-ar” wartości uniwersalnych? Czy możliwa jest reklama – dajmy na to – przeżyć metafizycznych?

To nie są pytania abstrakcyjne, skoro stwierdziliśmy na wstępie, że dzisiejsza krytyka – czy tego chce, czy nie; czy potrafi sobie z tym poradzić, czy nie potrafi – pozostaje w bliskim związku z *public relations* i reklamą oraz że na jej kształt wpływa obecna rzeczywistość medialna. Krytyka jest więc dziś albo odmianą dziennikarstwa, albo wprost działaniem z zakresu kształtowania wizerunku (książki, wydawnictwa, wreszcie autora). Te zaś działania są swoistą „grą z prawdą”: prawda jest tu stopniowana i relatywizowana, zaś samo stopniowanie prawd i ich relatywizacja podaje się w atrakcyjnej formie – przeważnie felietonu, zwalniającego autora z „scenetystycznej” rzetelności.

Warto z tej perspektywy przyrzeć się dyskusji o *Pasji* Mela Gibsona – najbardziej wyrazistemu sprowi krytyków i interpretatorów w ostatnich czasach. Padają w niej argumenty teologiczne, moralne, estetyczne; spierano się o „prawdę” filmu (spory takie, jako żywo, przypominają krążący w środowisku historyków sztuki dowcip o studenckim opisie jakiegoś religijnego obrazu: „anioł naturalnej wielkości”), o antysemityzm, o antypapizm, pojawiła się nawet teza, że jest to chrześcijańskie wcielenie mitu Edypa i kazirodztwa. Nazywano np. *Pasję* hollywoodzkim *reality show*, zarzucano „telewizyjność”, niespójność myślową (nie pokazując wszakże, co mogłoby w tej historii być jej „spoiwem”)¹⁴.

Pamiętać także warto, że równoległe z tą debatą toczyły się – o wiele bardziej agresywne – spory o ten film w polskich portalach internetowych. Większość wypowiedzi internautów po prostu lekce-

waży głosy krytyki, ośmiesza je, wyszydza np. nadmierną uległość wobec środowisk żydowskich lub zbytnią aprobatę dla opinii oficjalnej Kościoła katolickiego, fascynuje się np. przypadkami zaślubienia w czasie seansu lub zwyczajnie wulgaryzuje rozmaite wątki tego dzieła. W sumie – ta najpoważniejsza od lat dyskusja o konkretnym dziele sztuki ugrzęzła w stereotypach, na dodatek została wpisana w porządki kultury masowej – m.in. w przekazy telewizyjne, stając się jednym z wielu *talk shows*.

Czy zatem krytyka artystyczna, szczególnie zaś literacka, jest możliwa w świecie wolnej gry postaw i poglądów, wartości i prawd zrelatywizowanych? Cytowany przeze mnie na wstępie pisarz wydaje się być skażony tradycyjnym pojmowaniem tej dziedziny literaturoznawstwa: pobrzmiewają w jego złości echa głosów Brzozowskich, Kołaczekowskich, Wyków, a także naszych pokoleniowych „starszych braci”: Zagajewskiego, Kornhausera, Barańczaka. Nie bez powodu Zagajewski upomniał się o pierwiastek „żarliwości”¹⁵ w kulturze, bowiem nie wszystko oparte być może, według niego, na „ludus”, nie wszystko też – a funkcje obecnej krytyki, sprowadzającej się często do sporządzania „list rankingowych” rozmaitych zjawisk zdają się to potwierdzać – może być „agonem”, gdyż nie nadaje się na areny współczesnych cyrków.

W *Świecie nie przedstawionym* – książce, która wydaje się najpoważniejszym, choć liczącym sobie już 30 lat manifestem (i zarazem testamentem) – generacji „dzieci Leonarda Cohena” – Zagajewski i Kornhauser pisali o „zdziecznialej Polsce” i o „zdziecznialej Polsce”. Ale wtedy jeszcze kto inny i coś zupełnie innego mogło być wrogiem modelu projektowanej kultury przyszłości („kultury socjalistycznej” – dodawali autorzy): „Każdy, kto pisze o literaturze, o przemianach form świadomości artystycznej, o awangardzie, o wartościach, nie może zapominać, że na co dzień kultura żyje innymi sprawami, że cień, jaki rzuca wysoka kultura, jest większy niż ona sama. To, co dzieje się z literaturą popularną, z kulturą masową, kulturą zdegradowaną, jest równie ważne, jak losy ezoterycznej poezji. Kultura jest jednością, gdy ponosi klęskę na powierzchni,

przegrywa jako całość. (...) Opera wytwarza operetkę, powieść inspiruje romans kryminalny, obraz oleodruki. (...) Opera wytwarza operetkę, ale operetka wkrada się do opery. Słabość kultury zdegradowanej jest odbiciem słabości pierwowzoru sztuki, literatury i myśli¹⁶.

Ta projektowana, przyszła kultura ma się przeciwstawić zakłamaniu, hipokryzji, dwulicowości, swoistej schizofrenii polegającej na dwuwartościowym myśleniu o świecie w kategoriach serwilizmu i nihilizmu.

„Literatura – pisali autorzy *Świata*... – musi tu współpracować z humanistą i ze wszystkimi dziedzinami kultury. Uchwycenie i opanowanie rzeczywistości jest zadaniem równie trudnym i równie nagłym dla wszystkich regionów kultury. Jest to akcja pomocy dla człowieka zagubionego w ruchomym uniwersum faktów i wartości, akcja wytwarzania siatki współrzędnych, kultury cywilizującej żywioł świata”¹⁷.

Co dziś znaczy „cywilizować żywioł świata”? Dla pokolenia *screen agers*, generacji ekranowej, pokolenia światów wirtualnych i metaświatów, znaczy to z pewnością co innego niż dla „dzieci Leonarda Cohena”. Wybitna amerykańska badaczka internetu i mediów ekranowych, Sherry Turkle, pisze: „Funkcjonujemy w stanie ciągłej konstrukcji i rekonstrukcji; jest to świat, w którym wszystko może podlegać negocjacji. Każdorazowa rzeczywistość własnego »ja« prowadzi do refleksywnego poddawania w wątpliwość, ironizowania i w efekcie prowadzi do gry, polegającej na próbowaniu coraz to nowej rzeczywistości. Centrum nie jest możliwe do uchwycenia”¹⁸.

„Cywilizowanie żywiołu świata” to dziś wpisywanie tego świata w porządk i modele dyktowane przez kulturę popularną, której dziś nikt rozsądny nie nazwie „zdegradowaną” i jedynie „niszowi” humaniści mogą utrzymywać, że prawda, dobro i piękno nie podlegają negocjacji, nie mogą stawać się zarazem pionkami i szachownicą „gry”. Powieści, filmy, wiersze rodzące się z protestu, obrzydzenia, niechęci, a nawet znudzenia – zawierają w sobie, jak pierworodny grzech, jak zdeformowany gen coś, co pozwala traktować je jako własną parodię, umożliwiają autozaprzeczenie i autoironię. Coś, co pozwala wpisywać je w po-

rządek kultury nieustannej zabawy. Mamy bowiem do czynienia nie tyle z krytyką artystyczną – ile ze swoistym „crititainment”: zabawą w krytykę, odwołującą się do dekonstrukcjonistycznych dyskursów, opartych na traktowaniu faktów kreowanych jako prawdziwych i na połączeniu arbitralnych manipulacji semantycznych z mglistością, pragmatycznością i rytualnością¹⁹. To wszystko jest zabawne i niegroźne, dla galaretowatej kultury śmiechu, w której jedyne stałymi elementami jest wydawniczy sukces, połączony z atrakcyjnością samej gry. „Zdziecinienie” Polski ma dzisiaj zupełnie inne oblicze, bowiem dawny potwór Pana Cogito nie ma już oblicza pustki. Ma oblicze nadmiaru.

Zbigniew Bauer

¹ J. Pilch, *Komunikat komisarza konkursu*, „Polityka” 2004 nr 15.

² Po raz pierwszy tego określenia użyła Angela Gunn, w artykule *Online Grapevine*, „Computer Shopper” 1995 August 1; jako przykład poważniejszy irritainment podaje się transmisję z procesu zabójcy O.J. Simpsona; u nas zapewne byłoby to transmisję z przesłuchań przed Sejmową Komisją Śledczą ds. Rywina, jednak ich przebieg świadczy również o realizowaniu schematów typu politainment.

³ Przykładem jest tu opowiadanie kanadyjskiego nowelisty Mordechaja Richlera, stanowiące urywek jego książki *Barney's Version* i wydrukowane w 1997 wokół zarysu butelki wódki firmy Absolut (z podpisem „Absolut Mordecia”); szwedzki producent wódki wykorzystał także opowiadania Douglasa Couplanda i Johna Irvinga.

⁴ D. Lewiński, *Dyskurs dekonstrukcjonizmu. Szkic metodologiczny*, „Kultura i Komunikacja” 2003, nr 2, s. 102-103.

⁵ Tamże.

⁶ P. Czapliński, *Świat podrobiony. Krytyka i literatura wobec nowej rzeczywistości*, Kraków 2003, s. 36-37.

⁷ Tamże, s. 39.

⁸ A. Michnik, *Z dziełw honoru w Polsce*, Warszawa 1991.

⁹ S. Barańczak, *Zmłotony głos Settembriniego*, „Literatura” 1975, nr 29; „Pokolenie 68”: próba przedczesnego bilansu, w: *Teatr a poezja. Sztuka otwarta*, Wrocław 1975.

¹⁰ J. Kornhauser, A. Zagajewski, *Świat nie przedstawiony*, Kraków 1974.

¹¹ P. Czapliński, *Ślady przełomu. O prozie polskiej 1976-1996*, Kraków 1997, s. 22.

¹² S. Stabro, *Zamknięty rozdział. Szkice o polskiej poezji współczesnej*, Warszawa 1994, s. 191-192.

¹³ P. Czapliński, loc. cit. s. 34-62.

¹⁴ T. Sobolewski, „*Pasja*” *Mela Gibsona już w kinach*, „Gazeta Wyborcza” 2004, 5 marca.

¹⁵ A. Zagajewski, *Obrona żarliwości*, Kraków 2002.

¹⁶ J. Kornhauser, A. Zagajewski, *Świat nie przedstawiony*, s. 200-204.

¹⁷ Tamże, s. 207-208.

¹⁸ S. Turkle, *Life on the Screen. Identity in the Age of the Internet*, MIT Press 1995, s. 257. Cyt. za: W. Godzic, *Telewizja jako kultura*, Kraków 2002, s. 211.

¹⁹ Por. W. Skalmowski, *Dekonstrukcjonizm literacki jako „nowomowa”*, „Teksty Drugie” 1990 nr 2.

Piotr Krywak

„Pełno nas, a jakoby nikogo nie było...”

O tym, co jest, a czego nie ma, czyli o literaturze popularnej słów kilka

Niech mi wybaczy Ojciec Polskiej Poezji, Mistrz Jan z Czarnolasu, że fragment jednego z najpiękniejszych trenów, jakie wyszły spod Jego pióra, wykorzystuję — jakże niestosownie! — by nadać tytuł szkicowi o wiele mniej subtelnej literaturze poświęconemu! Cóż jednak począć, gdy pasuje, jak ulał, do tego, o czym piszę...

Upowszechnienie informacji zapoczątkowane przez wynalazek Gutenberga, a przyspieszone i zintensyfikowane dzięki postępowi technicznemu w kolejnych stuleciach, doprowadziło w połączeniu z rosnącym poziomem wykształcenia społeczeństw, a tym samym ze wzrostem szans na korzystanie z informacyjnych źródeł, nie tylko do umasowienia kultury, lecz również — w dalszej kolejności — do efektu zwanego przez socjologów homogenizacją.

Istota tego zjawiska — postrzeganego jako nieunikniony skutek umasowienia — polega, jak wiadomo, na tym, że składające się na kulturę osobliwości ulegają jakościowemu spłaszczeniu: między twórcami o charakterze elitarnym a formami prymitywnymi rozciąga się coraz szerszy obszar zjawisk pośrednich, możliwych do skonsumowania przez większą niż dawniej, bo lepiej do tego przygotowaną część społeczeństwa. Niekonwencjonalne, szlachetne, lecz wciąż intelektualnie nie wszystkim dostępne formy ulegają pod presją umasowienia trywializacji, przybierając postać prostszą, dostępną percepcji maluczkich. Formy zaś schematyczne, ubogie, z natury eskapistyczne i kompensacyjne, nawiązują do części przyswajalnych już przez większość, wyrafinowanych wzorów kultury elitarniej, wznosząc się na wyższy od dotychczasowego poziom. Zjawiska biegunowo skrajne przenikają się, tworząc fakty pośrednie, lepsze lub gorsze, ani wysokie, ani niskie. W sferze

kultury artystycznej jednych nie sposób określić mianem arcydzieł, innych opatrzyć etykietą kiczu.

Homogenizację kultury, tendencję do wyrównywania poziomu, widać dziś gołym okiem, gdyż daje o sobie znać ilością reprezentatywnych dla niej zjawisk. Wszelako masowość uśrednionych pod względem wartości twórców kultury, wywołując znużenie swym schematyzmem, powtarzalnością i monotonią, determinuje narodziny innych tendencji, tym razem odśrodkowych, jednak — biorąc pod uwagę rozmiary centrum — elitarnych, czy, bo i tak rzecz można — jednak marginalnych. Na jednym biegunie lokuje się zatem kultura skrajnie wysublimowana, której proces umasowienia nie zdołał sprasować i wchłonąć, a która — broniąc się przed nim — ucieka od przeciętności, coraz bardziej się wszakże alienując; na drugim zaś — kultura zbyt prymitywna, by zaakceptowało ją centrum. To ostatnie skądinąd nie pozostaje, jak mogłoby się z pozoru wydawać, jednolite. Zjawiska dlań reprezentatywne charakteryzuje znaczne zróżnicowanie, jeśli wziąć pod uwagę głębokość skłonu ku pięknu, bądź brzydocie, ku wartościom lub ich brakowi. Kultura jako całość — zachowując nadal skrajności — zdaje się wszakże mimowolnie zapadać, uśredniać, wyrównywać, poszerzając ilość obszarów zazębiających się, jakościowo sobie bliskich. Maleje przez to wyrazistość i znaczenie biegunów.

Nic dziwnego, że w sferze zjawisk literackich znajdujemy odzwierciedlenie opisanych wyżej procesów: literatura jest przecież częścią kultury artystycznej. Polaryzacja dzieł sztuki słowa istniała zapewne od czasów, w których człowiek zauważył, iż tak układanie słów w ciągi, których porządku nie da się uzasadnić wyłącznie potrzebami komunikacji językowej, jak i czytanie uszeregowanych w ten sposób wyrazów przynosi mu zadowolenie, brzmia bowiem inaczej niż zwykle: ładniej i przyjemniej. Tak było w czasach starożytnych i w średniowieczu, kiedy to rodziły się dworskie poematy Chrétiena de Troyes czy *Roman de la Rose* Wilhelma z Lorris i Jana z Meung, a równolegle — mieszczańska *Opowieść o Lisie*; tak było w wieku XVI, w dobie renesansu, gdy herosom z eposów Ariosta i Tassa oponował niemiecki Till Eulenspiegel. Tak było i później, aż po wiek XX. Z każdym jednak stuleciem ostrość dawnych przeciwieństw słabła, zarówno w następstwie upadku feudalizmu i zainicjowanych przez Rewolucję Francuską procesów demokratyzacyjnych, jak i skutkiem upowszechnienia oświaty czy postępu technicznego, sprzyjających powstawaniu uproszczonych „dzieł środka” i coraz szerzej otwierających przez nie masom dostęp do kultury. Zwiększała się ilość poziomów, na jakie wspinali się autorzy, a przejścia z poziomu na poziom stawały się coraz bardziej płynne.

Końcowym rezultatem przypomnianych tu przemian okazuje się stan aktualny: śledzimy działalność nielicznej grupy literatów ambitnych, wyjątkowo zdolnych, których twórczość wywołuje rezonans w kręgach specjalistów i koneserów oraz — równie słabym cieszące się oddźwiękiem — grafomańskie, często obsceniczne produkcje anonimowych autorów *graffiti* z kamienicznych murów i ścian WC. Pośrodku zaś rozlewa się morze literatury zhomogenizowanej — w miarę sprawnej warsztatowo, lecz intelektualnie niewyszukanej — ciężającej raz ku jednemu, raz ku drugiemu.

Charakterystyczne dla kultury postmodernizmu „mieszanie wszystkiego ze wszystkim” nie jest zapewne wyłącznie efektem programowych idei jego teoretyków. Jest też, jak sądzę, skutkiem homogenizacji. Wystarczy sięgnąć po prozę Teodora Par-

nickiego, by w jakże awangardowej powieści historycznej dostrzec wpływy utworów kryminalnych i fantastycznonaukowych, wystarczy sięgnąć po teksty Lema i Dürrenmatta, by zauważyć to samo. Na tle współczesnych mechanizmów determinujących przebieg kariery w *show businessie* ukazał postać Owidiusza Jacek Bocheński (*Nazo poeta*). Z kolei w jednym z mniej znanych utworów *science fiction* Andrzej Niewiadowski doszukał się form narracyjnych, dla których wzorem miała być *Miażga* Jerzego Andrzejewskiego. A żaden z wymienionych autorów nie był postmodernistą.

Postać i jakość zjawisk literackich zdaje się w co najmniej równym stopniu zależeć od czynników społecznych a nawet genetycznych, od tego choćby, ilu geniuszy, ilu intelektualnych średniaków i ilu idiotów przychodzi na świat w danym pokoleniu, a — co za tym idzie — jak kształtuje się popyt na określone rodzaje twórczości literackiej. Rozkład ten, jak się zdaje, jest — niezależnie od generacji — podobny. Zarówno ilość talentów, jak i debili bywa ograniczona, podczas gdy zasadniczy trzon społeczności tworzą jednostki uzdolnione oraz wykształcone (kreatywnie i konsumpcyjnie) mniej lub bardziej przeciętnie. Z tej właśnie, coraz bardziej rozrastającej się grupy, wywodzi się większość twórców i głównych odbiorców dzisiejszej, zhomogenizowanej kultury.

Wniosek stąd, iż literaturę najwyższego lotu tworzyć będą w przyszłości coraz węższe i coraz bardziej oddalone od mas intelektualne elity i przez równie wąskie kręgi będzie ona użytkowana. To samo, stosując wszakże pojęcie antyelit, powiedzieć można o kulturze prymitywnej. Jutro zdaje się należeć do centrum. Marzenie fantastów, że wraz z postępem cywilizacyjnym zwiększy się ilość wolnego czasu, który ludzkość przeznaczy na uprawianie lub konsumowanie sztuki, urzeczywistnia się tylko w przypadku form *minorum gentium*, zsimplifikowanych, popularnych. Geniusze i kretyni nie rodzą się na kamieniu.

Po przemianach ustrojowych, w latach transformacji załapała nas fala amerykańskich powieści sensacyjnych, starych i nowych kryminałów, romansów Harlequina, westernów, fantasy i *science fiction*.

Wkrótce po nich usadowiły się na naszym rynku, tworząc nowe wzorce popularnych czytań, obyczajowe powieści Hermana Wouka, Jamesa Clavella, Williama Whartona i innych, podobnych, których nazwiska mówią czytelnikowi niewiele. Ostatnio dołączyli do nich literaci uprawiający prozę historyczno-obyczajowo-przygodową w stylu Wilbura Smitha. Na przyzwoitym poziomie, reprezentującą sprawne, choć pozbawione większych ambicji literackie rzemiosło. Będzie tych przekładów, bo wszystko niemal, co dotąd wydano, pochodzi z importu, znacznie więcej, a widząc komercyjne sukcesy tłumaczeń, w ślad za autorami anglojęzycznych bestsellerów podążą niebawem, o ile znajdą nakładców, rodzimi twórcy. Tych ostatnich będzie z kolei więcej niż literatów znajdujących się dziś – z racji ambitniejszych dokonań – na ustach krytyków.

Środowiska opiniotwórcze wciąż jednak ignorują fakty i perspektywy. W Okopach Świętej Trójcy uparcie czekają na geniuszy: na Mickiewiczów, Sienkiewiczów, Reymontów czy Miłoszów XXI wieku, im tylko pragnąc okazać podziw i zainteresowanie. Poszerzenie zakresu badań literackich dokonało się tylko o tyle, że ostatecznie doceniono dzieła o rodowodzie plebejskim, lecz dopiero w minionym bodaj stuleciu zainteresowano się poważnie piśmiennictwem dla dzieci i młodzieży, uznając je wreszcie za istotną część literatury narodowej. Utwory dla mas wciąż pozostają twórczością niedostrzeganą, niechcianą. Mało kto spośród profesjonalnych krytyków ma odwagę Stanisława Barańczaka, który w niezbyt po temu sprzyjających okolicznościach potrafił zabrać głos zarówno w sprawie poezji lingwistycznej, jak i powieści milicyjnej, a nawet pisać o treści, funkcji czy odbiorze haseł umieszczanych na transparentach przez piłkarskich kibiców!

Zauważmy: spośród licznych odmian prozy popularnej tylko fantastyka znajduje stałych, fachowych komentatorów i doczekała się kilku periodyków jej wyłącznie poświęconych (m.in.: „Nowa Fantastyka”, „Fenix”, „Fantasy”, „Science Fiction”). Inne nie znalazły uznania. Zawdzięcza to jednak inicjatywom swych entuzjastów, niegdyś amatorów, a nie uwadze profesjonalistów.

Wśród recenzji zamieszczanych na łamach czasopism coraz trudniej znaleźć opinie o nowościach z kręgu literatury „lekkiej, łatwej i przyjemnej”. Istnieją na szczęście „Nowe Książki”, lecz któż je – poza bibliotekarzami – czyta? Książka krytyczna, naukowa monografia o literaturze popularnej, to wciąż jeszcze rzadkość. Wrocławski *Słownik literatury popularnej* z 1997 r., pozycja nadzwyczaj cenna, bo pionierska, jedyny do dziś tego rodzaju leksykon krajowy, mocno się już zdezaktualizował. Tymczasem piśmiennictwo popularne rozwija się w zawrotnym tempie, z dnia na dzień tworząc i stając się historią. Jeszcze kilkanaście lat temu hitami wydawniczymi były książki Alistaire’a MacLeana. Lecz, kto dziś pamięta o kupowanych niegdyś „spod lady” *Komandosach z Navarony*, *Tylko dla orłów* czy *Lalce na łańcuchu*?! Kończy się era sukcesów Fredericka Forsythe’a, Roberta Ludluma, Stephena Coontsa, Toma Clancy’ego. Przemija chwała Kena Folleta, Michaela Crichtona i Johna Grishama. Nawet John Le Carré, przez wielu uznawany za najlepszego autora powieści szpiegowskich, przestał być oryginalny. Teraz triumfy święcą Alex Kava (*Dotyk zła*, *Włamku sekundy*) i Dan Brown (*Anioły i demony*, *Kod Leonarda da Vinci*). Z pisarzy krajowych popularność traci coraz słabsza proza Joanny Chmielewskiej, a u szczytu powodzenia zdaje się być Andrzej Sapkowski (*Narrenturm*).

Ulotność sukcesu i ludyczne funkcje „dziel środka” nie mogą być jednak kryteriami, na których opiera się dostrzeganie i rejestrowanie bądź usuwanie utworu z dziejów piśmiennictwa. Jako fakt artystyczny i przedmiot kultury materialnej książka popularna – mimo kosych spojrzeń, jakie rzucają na nią krytycy – prędzej czy później znajdzie dla siebie miejsce w badaniach historyczno- i teoretycznoliterackich, a także bibliologicznych. Bo to ona właśnie – tak w produkcji, jak i w odbiorze społecznym – dominuje. A niezależnie od tego, lepsza czy gorsza, jest przecież częścią Literatury i dokonaniem edytorskim. Choć na razie, trawestując Mistrza Jana, wciąż pełno jej, a jakoby nijakiej nie było...

Piotr Krywak

Moje kontakty z Wincentym Dankiem

Urodził się 8 października 1907 roku w Krzeszowicach. Ukończył gimnazjum w Krakowie, a studia na Wydziale Filozoficznym UJ rozpoczął w 1926 roku. Lewicowe przekonania, bliskie PPS, spowodowały, że nie znalazł zatrudnienia w szkołach państwowych; w latach 1931–1939 pracował w gimnazjach prywatnych w Kolbuszowej, Krakowie i Toruniu. W 1934 roku obronił pracę doktorską napisaną pod kierunkiem profesora Ignacego Chrzanowskiego. W 1934 roku zdał także egzamin nauczycielski upoważniający do nauczania języka polskiego i łaciny. Wykonywany zawód stał się jego życiową pasją i prawdziwym powołaniem.

Okupację spędził w Krzeszowicach, pracując jako urzędnik w kamieniołomach w Miękinii. Prowadził prywatne tajne nauczanie, za co w grudniu 1944 roku został aresztowany podczas pisemnej matury i osadzony w więzieniu na Montelupich. Natychmiast po wyzwoleniu przystąpił do organizowania gimnazjum w Krzeszowicach. Dziś szkoła ta nosi jego imię. W 1947 roku został dyrektorem IV gimnazjum w Krakowie, następnie naczelnikiem wydziału szkół średnich i kuratorem okręgu szkolnego. Usunięty z urzędu rozpoczął w 1951 roku pracę w Państwowej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. Był organizatorem Studium Zaocznego dla Pracujących, którego celem było uzupełnienie wyższego wykształcenia nauczycieli o niepełnych kwalifikacjach, których było wielu po wojnie. Dr Wincenty Danek został Dziekanem Wydziału Zaocznego, zaś praca *Poglądy pedagogiczne Adolfa Dygasińskiego* pozwoliła mu na uzyskanie w 1954 roku tytułu docenta (nie było wówczas habilitacji).

W 1956 roku wybrano go rektorem WSP i funkcję tę pełnił przez lat piętnaście. Po złożeniu urzędu został dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej, kierownikiem Katedry Metodyki Nauczania, przewod-



Wincenty Danek

niczącym Rady Naukowej IBL w Warszawie, redaktorem naczelnym „Ruchu Literackiego”. Od 1957 roku jego publikacje naukowe dotyczyły twórczości Józefa Ignacego Kraszewskiego; był znakomitym komentatorem jego dzieł, znawcą biografii, wydawcą listów. Badania profesora Danki nad twórczością Kraszewskiego zachowują do dziś wszystkie walory poznawcze; niemożliwa jest jakkolwiek kontynuacja bez odwołań do jego ustaleń.

Jakim był człowiekiem? Najważniejszą cechą osobowości Profesora Danki była solidność, rygorystyczne poczucie obowiązku, niezwykły talent organizacyjny, bezinteresowna praca dla rozwoju oświaty i macierzystej uczelni, która nadawała sens jego życiu. Nie dbał o własne korzyści materialne.

Jestem jego uczniem i nieraz miałem okazję doświadczyć życzliwości swojego Mistrza. W stosunku do młodszych kolegów utrzymywał dystans, co wyrażało się w formie zwracania się – nigdy poufale „ty”, także nie „pan” (zarezerwowane dla obcych), lecz nieco patriarchalne „wy”. Zdarzało mi się jeździć z Profesorem na wakacje, chodzić na mecze piłki nożnej, wyprawiać się na piesze wędrówki w góry, ale granica „wy” nigdy nie została przekroczona. Jakim był mistrzem? Nigdy niczego nie nakazywał, nie decydował o wyborze zadań badawczych. Tylko temat pracy magisterskiej został mi подарowany (*Powstanie styczniowe w powieściach J.I. Kraszewskiego*). Sam ustaliłem temat pracy doktorskiej, także pracy habilitacyjnej. Do Mistrza trzeba było przyjść z gotową tezą, pomyślałem, i dopiero od tego momentu zaczynała się jego rzetelna pomoc. Kontrolował szczegółowe koncepcje, mówił „tak” lub „nie”, nigdy jednak nie komentował złośliwie pomyłek. Byłem niepokornym uczniem – w badaniach nad Kraszewskim zdarzało mi się „mieć inne zdanie”, zawsze – po przedyskutowaniu – pozostawiał mi ostateczną decyzję. Nie gromadził z tego powodu niechęci, wręcz przeciwnie – dawało mu to widoczną satysfakcję.

Jedną z ujmujących cech jego osobowości była niechęć do form patetycznych, do wszelkich deklamacji ideowych i politycznych, do akcentowania swoich zasług. Skrywał się najczęściej za rubasznością, specyficznym, pozornie prostym, w istocie wyrafinowanym humorem. Oto jak została mi opowiedziana historia aresztowania przez Niemców w czasie matury w 1944 roku. Temat, jaki zadał uczniom brzmiał: *Straty kultury polskiej spowodowane przez okupanta*. A opowieść Profesora zaczęła się w czasie jazdy na mecz w Chorzowie, gdy zatrzymaliśmy się w Krzeszowicach. Do samochodu podeszła elegancka pani, by ukłonić się Profesorowi i zamienić z nim kilka zdań. Okazało się, że była jedną z uczennic owej konspiracyjnej matury. Niemcy przeprowadzali szczegółową rewizję; najpierw zebrali pisemne prace, które odłożyli na stół, Profesor zdążył je włożyć do kaflowego pieca, ale zostały znalezione i znów odłożone na stół. Ponowne ukrycie

okazało się skuteczne. Prace pisemne schował profesor w... majtkach tejże właśnie kłaniającej się uczennicy. Nasze półśmieszki wywołały dopowiedzenie: „Dziś ta pani ma troje dzieci”. Na co ja: „Wcale się nie dziwię”. Przyjęte to zostało z uznaniem i w nagrodę usłyszałem relację z pobytu w więzieniu na Montelupich. To było przed świętami Bożego Narodzenia. W odwiedzinach do więźnia – z odpowiednimi paczkami żywnościowymi – przyszły dwie panny. Niemcy pozbawieni byli całkowicie taktu: przed rozmównicą stanęły bowiem równocześnie obie narzeczone więźnia, które nic o sobie nie wiedziały...

To, że zostałem dostrzeżony i wybrany przez Profesora, jest osobną historią. Słuchałem jego wykładów z romantyzmu – były solidnie obudowane faktami, datami, tytułami, miały wyrazisty porządek. Przed wakacjami w 1953 roku wiedziałem, że zostanę zatrudniony w Uczelni. Rzecz nie została jednak formalnie załatwiona. Absolwentów obowiązywały wówczas „nakazy pracy”. Miałem przed 15 sierpnia zgłosić się w kuratorium rzeszowskim i podjąć pracę w gimnazjum w Kańczudze. Nie zgłosiłem się i przyszedł po mnie do domu rodzinnego milicjant z odpowiednim nakazem. Pojechałem do Krakowa, aby wszystko wyjaśnić. Na Uczelni dyżur miał tylko dr Wincenty Danek. Napisał pismo do kuratora w Rzeszowie, które brzmiało: „Wyjaśnia się, że ob. Stanisław Burkot nie zgłosił się do pracy i nadał się nie zgłosi”. I podpis. Za to aroganckie pismo zostałem karnie przeniesiony z Kańczugi do Kolbuszowej. Zobaczyłem prawdziwą radość w oczach Profesora, było to bowiem jego pierwsze miejsce pracy.

Kolbuszowa odegrała psychologicznie pewną rolę w wyborze podopiecznego. Bo kiedy z woli ówczesnych władz nie dostałem pozwolenia na kontynuowanie studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim, otrzymałem natychmiast temat pracy magisterskiej od Profesora. W tym samym czasie rozpoczynał on własne studia nad Kraszewskim. Wcześniej był przede wszystkim nauczycielem. Chodziło mu zawsze o nauczycielską szkołę akademicką, przygotowującą do pracy z młodzieżą – zarówno na poziomie podstawowym, jak i średnim. W szkoleniu na-

uczyciela ważne było przygotowanie merytoryczne w zakresie wybranego przedmiotu na najwyższym poziomie oraz ukształtowanie sprawności dydaktycznych. Zwracał uwagę na predyspozycje psychiczne kandydatów na studia nauczycielskie.

Wspomnienia o Profesorze Wincentym Danku są dla mnie trudne z powodu trwałych emocji. Chciałbym na zakończenie – na prawach wspomnienia – opowiedzieć o pewnym zdarzeniu. Do dziś wstydzę się tego, co zrobiłem swojemu Mistrzowi. Po doktorze Lesławie Eustachiewiczu, znakomitym wykładowcy, odziedziczyłem pewną nieudaną studentkę zaoczną. Przy jej siódmym egzaminacyjnym podejściu bardzo się dr Eustachiewicz zdenerwował, omal nie doszło do „przemocy”, skończyło się na głośno wykrzyczanych określeniach. Egzaminator zrezygnował z pracy i przeniósł się do Warszawy, a ja jeszcze trzy razy ją egzaminowałem – bez powodzenia. Złożyła na mnie skargę w Komitecie Wojewódzkim PZPR; kierownik odpowiedniego „wydziału” zadzwonił do rektora, który mnie poprosił, abym *pro forma* przepisał ją jeszcze raz. A adiunkt Burkot uparł się i odmówił rektorowi. Zaproponowałem jednak, choć nie było takiej formy, egzamin komisyjny. Rektor w listopadową pluchę przyjechał tramwajem z ul. Rydła, gdzie mieszkał, na ul. Podbrzezie, gdzie mieściła się polonistyka. Zaczął się egzamin z litera-

tury współczesnej. Mnie jednak wpadł do głowy głupi pomysł. Zadałem pierwsze pytanie: „Proszę pani, kto napisał *Pana Tadeusza*?” Na co delikwentka: „*Panna Tadeusza*? Zaraz, zaraz, ja sobie przypomnę”. Rektor Danek popatrzył tylko na mnie, wstał i wyszedł bez słowa. Miał prawo się obrazić: przez cały tydzień nie rozmawiał ze mną w Bibliotece Jagiellońskiej, nie chodziliśmy razem do bufetu na kawę. Po tygodniu stanął nad moim stołem, sięgnął do kieszeni, rzekł: „Macie tu cukierka, chodźcie na kawę”. Niby drobny incydent, ale odbija się w nim, jak w lustrze, osobowość uczonego o niezwykłym charakterze i wielkiej wyrozumiałości dla innych.

Pokolenie, do którego należał, miało swój styl bycia – trwale wyrobione poczucie obowiązku, pracy dla dobra zbiorowości. Spłacało swój dług wobec poprzedników, bo było pierwszym pokoleniem rozwijającym się i pracującym w niepodległej Polsce. Ale ten odrębny styl przejawiał się także prywatnie – w specyficznym poczuciu humoru, w zabawie, w „zrzucaniu togi dostojeństwa”. Profesor Wincenty Danek i jego bliski przyjaciel – profesor Kazimierz Wyka – byli najwierniejszymi kibicami Cracovii. Na meczach zachowywali się jak inni ówcześni kibice: były okrzyki, zarty, była zabawa. Nie było agresji. Ale to inne czasy i inni ludzie.

Stanisław Burkot

Zenon Uryga

Poszukiwacz metod

Władysława Szyszkowskiego poznałem w 1953 roku, gdy na trzecim, ostatnim roku studiów słuchałem jego wykładów i uczestniczyłem w ćwiczeniach z metodyki nauczania języka polskiego w ówczesnej Państwowej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Uczelnia była wtedy młodziutka i maleńka, liczyła sobie dopiero siedem lat i gromadziła nie więcej niż siedmiuset studentów



Władysław Szyszkowski

Mieściła się w budynku przy ulicy Straszewskiego 22, teraz gruntownie przebudowanym i oddanym PWST. Rektorem był w tym czasie profe-

sor Zygmunt Mysłakowski, a na polonistyce wykładali Stanisław Jodłowski, Wincenty Danek, Jan Nowakowski, Tadeusz Milewski, Maria Grzędzińska. Studia były trzyletnie, a po nich – ponieważ brakowało nauczycieli – każdy z nas dostawał nakaz pracy w różnych miejscach kraju, a dopiero później, niekiedy po wielu latach, dorabiał się swojego magisterium trybem zaocznym w naszej lub innych uczelniach. Nielicznych mógł przyjmować na drugi stopień studiów Uniwersytet Jagielloński i oni stawiali się pierwszymi absolwentami Uczelni, zasilającymi jej kadrę naukową.

Właśnie teraz pokolenie pierwszych absolwentów, które zastąpiło dawnych mistrzów na stanowiskach profesorskich, odchodzi w stan spoczynku. W wymiarze trwania Uczelni jest to niewątpliwie świadectwo jej stabilizacji, wejścia w wiek dojrzały, ale w wymiarze tradycji – to trudne chwile zrywania żywych więzi bezpośredniej pamięci o ludziach, którzy stworzyli oryginalną wizję wyższej szkoły kształcącej nauczycieli i określili jej profil naukowy. Może zatem warto przywołać ich sylwetki we wspomnieniu, zwłaszcza że zaciągnęło się kiedyś dług wdzięczności.

Szyszkowski zmarł w Krakowie w 1975 roku w wieku 85 lat, ale przewieziony do Warszawy, spoczął obok swej żony na Powązkach. Gdy się z nim zetknąłem, miał 63 lata, uczył polskiego w Nowodwor-ku i tam pokazywał nam doskonale lekcje. Przechodził właśnie do grona etatowych wykładowców naszej polonistyki jako wybitny nauczyciel i autorytet

w dziedzinie dydaktyki literatury. Byliśmy wtedy młodzi i niewiele o nim wiedzieliśmy poza doświadczeniami bezpośrednich kontaktów. Potrafililiśmy doceniać jego powagę i mądrość, z jaką mówił o sztuce nauczania, powściągliwość w stosunku do uczniów i nas, studentów, dostrzegać dyskretną elegancję postawy i stroju starszego pana. Szczególną uwagę przyciągała jednak niezwykajna umiejętność kierowania myśleniem i wypowiedziami zespołów uczniowskich, przy bardzo oszczędnym udziale własnym – celne, problemowe pytania, uważne słuchanie odpowiedzi, czasem pytanie dodatkowe, gest powątpiewania, zawieszenie głosu czy wyraz aprobaty, albo też wskazanie na innego rozmówcę, zawsze zwięzłe podsumowanie wyników analizy problemu. To samo przy omówieniach naszych próbnych lekcji – życzliwych, choć krytycznych, uwydatniających problem dydaktyczny, taktownych wobec nieudolnych poczynąń.

Nie znaliśmy jego naukowej i edukacyjnej przeszłości. Dopiero z rozmów prowadzonych w toku późniejszej współpracy z Profesorem dowiedziałem się o jego studiach w UJK we Lwowie pod kierunkiem znakomitego Wilhelma Bruchnalskiego i doktoracie uzyskanym w 1918 r., o wcześniejszym egzaminie nauczycielskim składanym w 1915 r. w Wiedniu i dwuletnim tam pobycie podczas wojny, o pracy w seminarjach nauczycielskich w Jędrzejowie i Kielcach w latach 1916–1917 oraz w gimnazjach warszawskich od 1918 r., a wreszcie o intensywnej działalności w latach 1929–1939 w Ministerstwie WRO na stanowisku instruktora nauczania języka polskiego w szkołach średnich i kierownika Centralnej Pracowni Dydaktycznej Języka Polskiego.

Gromadzenie materiału do bibliografii metodyki nauczania języka polskiego z lat międzywojennych pozwoliło mi zapoznać się bliżej z ówczesnymi publikacjami Szyszkowskiego – przeglądami zagranicznych głosów o nauce języka ojczystego, artykułami promującymi nowoczesne metody, a przede wszystkim z wyznaczającymi kierunek edukacji polonistycznej referatami na konferencjach nauczycielskich i ogólnopolskich zjazdach polonistów oraz z syntetycznym zarysem *Dydaktyki literatury*

z 1936 r. Wertowanie czasopism odsłoniło mi też rolę autora tych publikacji w tworzeniu w latach trzydziestych Towarzystwa Polonistów Rzeczypospolitej Polskiej oraz w organizowaniu sieci przedmiotowych ognisk metodycznych i pracach redakcyjnych „Polonisty”, pisma związanego z obu tymi inicjatywami. Zrozumiałem wtedy, dlaczego w ostatnich latach przed wojną powierzono Szyszkowskiemu prowadzenie wykładu z metodyki w Uniwersytecie Warszawskim, dlaczego w powojennym okresie środowisko polonistyczne tak szanowało jego autorytet w dziedzinie dydaktyki literatury, słuchało uważnie jego głosu i liczyło się ze zdaniem. Obserwowałem z bliska przejawy tego szacunku, gdy zostałem asystentem w powołanej dla niego w 1958 r. Katedrze Metodyki Nauczania Literatury i Języka Polskiego.

W rozmowach przy okazji wspólnych naszych prac nad bibliografią Szyszkowski sporo mówił o wspaniałej atmosferze zespołowych działań polonistów z lat trzydziestych. Za to niechętnie wracał do doświadczeń czasu wojny i okupacji. Wspominał wprawdzie parokrotnie o pracy w tajnych kompletach gimnazjalnych i o wykładach na konspiracyjnych kursach dla nauczycieli, ale nie chciał dotknąć przeżycia katastrofy powstania warszawskiego, w którym stracił wszystko, m.in. skrzętnie zgromadzone materiały z prawie już ukończonej wysiłkiem zespołowym metodyki nauczania. Wysiedlony po powstaniu, osiadł jesienią 1944 r. w Krakowie z pustymi rękami i musiał zaczynać pracę nauczycielską i naukową od nowa, w gruntownie zmienionej rzeczywistości oświatowej.

Podjęcie pracy nad rozwijaniem nauczycielskich umiejętności studentów skłaniało Profesora do uważnego i krytycznego studiowania aktualnych publikacji, ale zarazem budziło wiarę w sens trwania przy własnej wizji kształcenia. Doświadczaaliśmy tego podczas ćwiczeń, które nie zamykały nas w gorce wymagań ówczesnej pedagogiki oficjalnej, lecz uwrażliwiały na przeżywanie wartości literatury. W praktyce lekcyjnej Profesora, czego niezupełnie byliśmy świadomi, wyzwalały się wówczas pierwiastki niezgody na przymus wpisany w hasła programu nauczania. Rychło wszakże – w atmosf-

rze rozbudzonych po październiku 1956 nadziei na liberalizację systemu — ów dystans krytyczny zawoocował ogłoszonym w księdze wydanej na 10-lecie WSP artykułem *Dwanaście lat nauczania języka polskiego w Polsce Ludowej*, zawierającym surową ocenę negatywnych skutków powojennego zwrotu ku historii literatury, płasko i schematycznie ujmowanej jako wyraz ideologii i odbicie stosunków społecznych. W rok później ukazała się *Analiza dzieła literackiego w szkole* (1958), która próbowała przeciwstawiać temu szkodliwemu stereotypowi kształcenia ideę skupiania uwagi na dziełach literackich i odkrywania ich wartości (próbowała, bo zamiar uwolnienia analizy dzieł od nawisu zideologizowanej historii literatury powiódł się wyraźnie dopiero w drugim, o sześć lat późniejszym wydaniu). Książka, przy wszystkich wymuszonych na autorze obciążeniach ideologiczną interpretacją, miała znaczenie przełomowe dla praktyki szkolnej lektury, przywracała zasadę rzetelnej analizy tekstu artystycznego i jej wiązania z przeżyciem estetycznym. Ale już obszerny zarys dydaktyki literatury, zamieszczony w zbiorowej *Metodyce nauczania języka polskiego w szkole średniej* (1968), mógł swobodnie czerpać z rozwoju badań literackich inspirację dla koncepcji równoważenia szkolnej lektury z poznawaniem obrazu przemian literatury. Był ten zarys dziełem wyważonej, dojrzałej myśli, wyprowadzonej z gruntownych studiów nad tradycją kształcenia literackiego.

Dydaktycznej twórczości Szyszkowskiego towarzyszyła nieustannie refleksja nad kształceniem nauczycieli. Miała ona ważne znaczenia dla uformowania się pedagogicznej tożsamości Uczelni. Profesor wypowiadał się na ten temat wielokrotnie na forum

wewnętrznym, a szerokim echem odbił się w kraju jego referat na Zjeździe Naukowym Polonistów w 1958 r. *Nauczanie literatury w szkole średniej a uniwersyteckie studium polonistyczne*, który uzasadniał potrzebę budowania uczelni konsekwentnie nauczycielskich, o dobrze przemyślanym profilu studiów, wszechstronnie, teoretycznie i praktycznie przygotowujących polonistę do zadań edukacyjnych i formujących jego osobowość. Postulat ten nie pozostawał w werbalnej próżni, wprowadzał go Profesor w życie krakowskiej WSP, tworząc oryginalne plany i programy naszych studiów polonistycznych, różniące się od uniwersyteckich doborem i układem przedmiotów, ograniczeniem wykładów na rzecz aktywnych form pracy studentów i szerokim otwarciem na szkołę. Warunkiem powodzenia tak pomyślnych studiów w Uczelni dorabiającej się swej samodzielności pod bokiem UJ miał być solidny warsztat naukowy pracowników — to przekonanie Szyszkowski dzielił z całym zespołem nauczycieli akademickich.

Starał się zwłaszcza zadania badawcze stawiać dydaktyce literatury i języka. Kierował uwagę na potrzebę służących praktyce nauczania studiów diagnostycznych nad recepcją literatury i zainteresowaniami czytelnickimi uczniów oraz empirycznych badań nad metodami kształcenia, jak też na wartość analizy dokumentów odłaniających tradycje nauczania polonistycznego (nie przypadkiem patronował pracom nad bibliografią metodyki). Wyznaczył tym samym pola badań płodne i do dzisiaj uprawiane. Zamykając wspomnienie o pierwszym kierowniku Katedry, mogę związek z nim obecnych jej pracowników określić zapożyczoną z dobrego źródła formułą — „my wszyscy z niego”.

Zenon Uryga

Jerzy Jarowiecki

Bibliotekarz, bibliograf, historyk literatury i kultury literackiej

Czy można po latach pisać o polonistyce krakowskiej, nie pamiętając o niezwykle barwnej, wyróżniającej się indywidualności, o Stanisławie Sierotwińskim, który pracę w Katedrze Historii Literatury, a następnie w Instytucie Filologii Polskiej łączył z pracą w Bibliotece Jagiellońskiej? Jego nazwisko figuruje w moim indeksie studenta filologii polskiej (nr albumu FHp/241/53) w 1954 r. Po wtajemniczeniu mnie i moich kolegów w arkana sztuki bibliotekarskiej, po zapoznaniu nas ze zbiorami Biblioteki Jagiellońskiej, jej atmosferą, ale też i ploteczkami, których nieraz był bohaterem, zaliczył nam ćwiczenia z bibliotekarstwa. Od tych zajęć rozpoczął kontakt z dydaktyką akademicką dr Stanisław Sierotwiński, by później, po mianowaniu go w 1957 r. zastępcą profesora na Wydziale Filologiczno-Historycznym, prowadzić ćwiczenia z zakresu nauk pomocniczych, poetyki, wykłady z historii literatury oraz seminaria magisterskie (pod jego kierunkiem napisano na studiach dziennych i zaocznych ponad 200 prac).

Studenci i młodzi pracownicy pamiętają go jako człowieka niezwykle uczynnego, który szczerze obdarzał ich swoją wiedzą. A był wytrawnym badaczem, uczonym o ogromnej wiedzy źródłowej, pasją jego była przecież bibliografia i dokumentacja naukowa. Cechowały go też i słabości: zbyt impulsywnie reagował na niektóre wydarzenia i ludzi, których nie darzył sympatią, nie kryjąc się z tym. Anegdoty krążyły o jego namiętnych sporach w Bibliotece Jagiellońskiej (m.in. z Julianem Przybosiem, Adamem Barem) na temat gromadzenia zbiorów, gorących dyskusjach z badaczami podziemnego życia literackiego podczas okupacji, w których to sporach



Stanisław Sierotwiński

często wspierał go Władysław Bartoszewski. Sam też doświadczyłem owej „gorącości” dyskusji, gdy wkroczyłem na ten obszar badań.

Kim był Stanisław Sierotwiński? Miałem okazję zapoznać się z różnymi opiniami uczonych, którzy towarzyszyli mu na różnych etapach kariery naukowej. Zwróciła mą uwagę informacja prof. Kazimierza Wyki, której odbicia nie znalazłem w biogramie Stanisława Sierotwińskiego w *Słowniku współczesnych pisarzy polskich*. To o nim napisał profesor: „Wychowanek Uniwersytetu Jagiellońskiego, był dr S. Sierotwiński niezwykle czynny w życiu nauko-

wo-organizacyjnym krakowskiej młodzieży polonistycznej w latach, kiedy i ja do tej młodzieży (1928–1932) należałem. Kilkakrotny prezes Koła Naukowego Polonistów UJ ujawnił już podówczas wybitne talenty organizacyjne”. Urodzony 6 lutego 1909 r. w Krakowie, po ukończeniu w 1927 r. prywatnego gimnazjum Stanisława Jaworskiego, studiował filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zainteresowany literaturą romantyczną jako student debiutował artykułem o Mieczysławie Romanowskim („Na tropie” 1929, nr 1/3), zaś pracę magisterską, pisaną pod kierunkiem Ignacego Chrzanowskiego, poświęcił Ryszardowi Berwińskiemu, uzyskując w 1933 r. tytuł magistra. Swoje zainteresowania badawcze rozwinął podczas pracy w Bibliotece Polskiej Akademii Umiejętności. Porządkując archiwum medyczne, wszedł w kontakt z rodziną Pawlikowskich, gromadził materiały do pracy doktorskiej o Mieczysławie Pawlikowskim, pisanej pod opieką prof. Tadeusza Grabowskiego. Doktorat uzyskał w Uniwersytecie Poznańskim w 1936 r. Wiele pisał i publikował (m.in. o K. Ujejskim, J.I. Maciejowskim, S. Żeromskim), nie znalazł jednak zatrudnienia odpowiadającego jego kwalifikacjom i zamiłowaniom.

W lutym 1945 roku podjął pracę w Bibliotece Jagiellońskiej, zajmując się zagospodarowaniem książek z bibliotek podworskich, zajął się też poszukiwaniem książek zagarniętych przez Niemców i wywiezionych na Śląsk. Jako bibliotekarz S. Sierotwiński ogłosił liczne artykuły z zakresu teorii bibliografii, nauki o książce, dokumentacji naukowej, współpracował też z czasopismami: „Przegląd Biblioteczny”, „Życie Nauki”, „Bibliotekarz”. Współtworzył *Słownik biograficzny pracowników książki* (był autorem 20 życiorysów) oraz *Polski Słownik Biograficzny* (zamieścił w nim ok. 60 biogramów). Można stwierdzić, że wśród znawców bibliografii, książki i bibliotekoznawstwa był jednym z najwybitniejszych po 1945 roku.

W roku 1957 mianowany został zastępcą profesora w krakowskiej WSP, prowadził równoległe zajęcia na UJ i katowickiej WSP. Jako historyk literatury i kultury literackiej podejmował badania nad romanizmem krajowym, zwłaszcza nad twórczością Sewe-

ryna Goszczyńskiego, wskazując jego związki z Tatrami i Podhalem. Stworzył także monografię *Maryla Wolska, środowisko, życie, twórczość* (1963), w której zademonstrował urozmaicony aparat analizy biograficznej, artystycznej i historycznoliterackiej.

Inny obszar zainteresowań badawczych to piśmiennictwo polskie w okresie okupacji – literatura i czasopiśmiennictwo polskie w podziemiu. Na posiedzeniu Komisji Historycznoliterackiej PAN sformułował program badań, a jego pionierskie poczynania wzbudziły akceptację środowisk badawczych. Znalazłem się w Podkomisji do Badania Literatury Krajowej, a po śmierci Profesora przejąłem nad nim kierownictwo. Jemu zawdzięczam inspirację do badań nad różnymi przejawami literackiego życia i kultury oraz nad prasą konspiracyjną. Bez prac Sierotwińskiego nie do pomyslenia byłaby swego czasu pełna rekonstrukcja okresu literatury polskiej lat 1939–45. Prace jego nacechowane są dokładnością filologa, sumiennością zawodową historyka literatury i pedanterią bibliografa.

Badacz swe nazwisko w polskiej nauce o literaturze utrwalił opracowaniem i wydaniem *Słownika terminów literackich*, stanowiącego nieocenioną pomoc w polonistycznej dydaktyce i pracy wielu nauczycieli. Przez lata podejmował cenne inicjatywy edytorskie, wśród których znalazły się powieści J.I. Kraszewskiego (*Masław, Boleszczyce, Macocha*). Do zainteresowania Kraszewskim doprowadził niewątpliwie Jego przyjaciel – prof. Wincenty Danek, twórca „szkoły Kraszewskologów” (m.in. S. Burkot, H. Bursztyńska, J. Jarowiecki, A. Jopek, T. Nowacka). Bibliografia publikacji S. Sierotwińskiego zawiera blisko 200 pozycji, świadczy o rozległych zainteresowaniach tematycznych autora. Aktywności naukowo-organizacyjnej dowodzą udziały w pracach licznych redakcji, instytutów i towarzystw. Był m.in. członkiem zarządu Konwersatorium Naukoznawczego w Krakowie, przewodniczącym Sekcji Dokumentacji, uczestniczył w działalności Komisji Bibliotekarsko-Bibliograficznej Polskiego Komitetu Normalizacyjnego, był do śmierci członkiem Komisji Historycznoliterackiej PAN.

Jerzy Jarowiecki

Harcerz, literat, dialektolog

Eugeniusz Pawłowski urodził się 13 grudnia 1902 r. w Krakowie, w rodzinie Witolda i Zofii z Pazdanowskich. Od najwcześniejszego dzieciństwa wychowywał się w Nowym Sączu. Tamże uczęszczał do szkoły powszechnej i I Państwowego Gimnazjum im. Jana Długosza, które ukończył z odznaczeniem w 1920 r. Od roku 1918 należał do Związku Harcerstwa Polskiego. W latach 1920/21–1923/24 odbył polonistyczne studia wyższe na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Równocześnie ukończył Studium Pedagogiczne, roczny Kurs Wychowania Fizycznego zorganizowany przy Wydziale Medycznym UJ oraz Wyższe Seminarium Językoznawcze prof. Kazimierza Nitscha. W tym okresie był instruktorem objazdowym (lustratorem) Komendy Chorągwi Męskiej.

Od 1 maja 1924 do wybuchu II wojny światowej pracował jako nauczyciel w I Państwowym Gimnazjum w Nowym Sączu (1924–1932) i II Państwowym Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego (później II Państwowym Gimnazjum i Liceum) w Nowym Sączu (1932–1939). W roku 1926 zdał egzamin na nauczyciela szkół średnich z językiem polskim jako przedmiotem głównym i wychowaniem fizycznym jako przedmiotem dodatkowym. Kontynuował działalność w harcerstwie, pracując w komendzie hufca i uzyskawszy stopień harcmistrza (przed 1932). Od czasów studiów współpracował z prof. K. Nitschem, dostarczając materiałów badawczych dotyczących gwary i prowadząc badania terenowe. W roku 1935 opublikował na łamach „Języka Polskiego” swój pierwszy ściśle naukowy artykuł, a w latach 1938–39 zebrął materiał do *Gwary podegrodzkiej*, tematu swojej późniejszej dysertacji. W roku 1939 na łamach „Rocznika Sądeckiego” ogłosił swoje pierwsze studium dialektologiczne. Równocześnie w latach



Eugeniusz Pawłowski

1931–39 był współpracownikiem „Gazety Podhalańskiej” (później „Gazeta Podhala”), publikując w niej szereg artykułów z zakresu kultury ludowej oraz gawęd, opowiadań i humoresek góralskich, które również wygłaszał na antenie Polskiego Radia. W latach trzydziestych wydał trytomową powieść *Chochółowscy*, której fabuła rozwija się na tle powstania chochołowskiego (1934, 1936, 1937). Był autorem widowisk scenicznych *Gody podhalańskie* (1935) oraz *Wesele na Podhalu* (1935). Od 1933 do 1939 r. należał do Towarzystwa Szkoły Ludowej, gdzie wykładał w niedzielnych uniwersytetach ludowych. Do 1939 r. był także sekretarzem nowosądeckiego Oddziału Związku Podhalańców oraz członkiem Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Eugeniusz Pawłowski całe życie był związany z Nowym Sączem. Jego związki z Sądeczyną zaowocowały pracami dotyczącymi tego regionu. Efektem eksploracji terenowej oraz badania źródeł historycznych jest zebranie i opracowanie bogatego nazewnictwa toponimicznego tej ziemi. W roku 1965 wydaje *Nazwy terenowe Sądeczyny*. W książce *Nazwy miejscowości Sądeczyny*, cz. 1: *Nazwy miast, wsi, przysiółków, dzielnic miejskich i wiejskich* autor omówił ponad 1000 nazw miejscowości dziś istniejących i 94 nazwy zaginione. Cenna jest także praca z 1975 r. *Nazwy osiedli*, gdzie podkreśla autor, że nazywanie nawet najmniejszych osiedli jest przejawem swojej kultury ludowej, zwłaszcza małopolskiej.

Ostatnia część zebranego przez Pawłowskiego nazewnictwa onomastycznego ukazała się w 1996 roku i nosi tytuł *Nazwy wodne Sądeczyny*. Trzeba dodać, że profesor wiele artykułów, omawiających poszczególne nazwy miejscowości, drukował w „Onomastyce”, „Języku Polskim”, „Roczniku Sądeckim”. Osobne rozważania poświęcił przeżwiskom ludowym w artykule *Przezwiska ludowe mieszkańców wsi Sromowce Wyżne* (1968 r.)

Drugim obszarem zainteresowań E. Pawłowskiego była dialektologia. Przez wiele lat współpracował z Pracownią Dialektologiczną PAN w Krakowie, opracowując punkty dla Małego Atlasu Gwar Polskich.

Profesor był mocno związany z „małą ojczyzną”, w licznych artykułach publicystycznych popularyzował region i jego gwarę. Warto też wspomnieć, że E. Pawłowski pisał nowele, opowiadania, gadki, jest autorem powieści *Chocholowscy*. Prowadził zajęcia z dialektologii i historii języka. Jako opiekun Koła Naukowego Językoznawców przekazywał studentom swą wiedzę i zainteresowania.

W pamięci tych, którzy Go znali, pozostał jako bardzo skromny oraz pełen dobroci człowiek i nauczyciel.

Anna Spólnik

W czasie okupacji przez cały czas brał czynny udział w tajnym nauczaniu zorganizowanym i niezorganizowanym oraz w pracy tajnych komisji egzaminacyjnych. W latach 1940/41 i 1941/42 pracował jako nauczyciel na polskich jawnych kursach przygotowawczych do szkół zawodowych w Nowym Sączu. Natomiast od jesieni 1942 r. do 1945 r. jako urzędnik w Zarządzie Wodnym (później Ekspozyturze Głównego Urzędu Technicznego – tj. drogowego).

Po wojnie pracował ponownie jako nauczyciel w Państwowym Liceum Pedagogicznym w Nowym Sączu (1945–1950) i I Liceum Ogólnokształcącym w Nowym Sączu (1950–1962). W tym samym czasie przez kilka lat był instruktorem języka polskiego w Powiatowym Ośrodku Doskonalenia Kadr Oświatowych i kierownikiem Powiatowego Ośrodka Metodycznego języka polskiego w Nowym Sączu. Był także w latach 1945–49 członkiem komendy hufca, a następnie zastępcą hufcowego i hufcowym harcerzy w Nowym Sączu. Należy dodać, że swoje pasje – zainteresowania kulturą i folklorem góralskim wprowadzał także do harcerstwa. W 1950 r. obronił na Wydziale Filozoficznym UJ pracę doktorską na temat *Gwara podegrodzka wraz z próbą zaznaczenia południowo-zachodniej granicy gwar sądeckich* (1955) napisaną pod kierunkiem prof. K. Nitscha.

Od 1951 r. był współpracownikiem Pracowni Atlasu Gwar Polskich PAN, prowadząc badania terenowe, kontrolę materiału atlasowego oraz opracowując 27 map atlasowych. Opracował montaż na Rok Mickiewiczowski *Ja i Ojczyzna to jedno* (1955) oraz widowisko sceniczne *Moje za grobem zwycięstwo* (1950, 1959, wydane w 1959). Współpracował z redakcją „Rocznika Sądeckiego” i był członkiem zespołu redakcyjnego audycji lokalnych w radiowęźle nowosądeckim. Należał do Związku Teatrów i Chórów Ludowych oraz współpracował z Teatrem Domu Kultury Kolejarsza w Nowym Sączu. Po reaktywowaniu harcerstwa w 1956 r. wrócił do działalności w tej organizacji, pełniąc w Komendzie Hufca Nowy Sącz-Miasto funkcje kierownika referatów kształcenia kadr, drużyn starszych, hufcowego, a następnie I zastępcy hufcowego ds. programowych i członka Ko-

mendy Hufca „Ziemi Sądeckiej”. Na początku lat 60., w okresie usztywnienia kursu politycznego, został usunięty z funkcji, co przeprowadzono w sposób nietaktowny i niezgodny z zasadami postępowania harcerskiego. Wartość metody harcerskiej wysoko cenił, a wspomnienia pięknych harcerskich przeżyć towarzyszyły mu zawsze.

Od 1961 r. pracował jako póletatowy adiunkt, a od 1962 r. otrzymał etat adiunkta przy Katedrze Języka Polskiego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie. Współpracował także ze Śląskim Instytutem Naukowym w pracach nad *Śląskim Atlasem Językowym* i brał udział w pracach nad *Ogólnosłowiańskim Atlasem Lingwistycznym*. W 1964 r. na Wydziale Filologicznym UJ odbyła się jego habilitacja, a praca *Nazwy miejscowe Sądeczyny* (t. 1 *Ogólna charakterystyka nazewnictwa miejscowego Sądeczyny*) w 1965 r. została wydana drukiem. W 1966 r. uzyskał stopień docenta, a w 1972 r. tytuł profesora nadzwyczajnego nauk humanistycznych, w tym też roku został powołany na stanowisko profesora WSP w Krakowie.

Głównym przedmiotem jego zainteresowań naukowych była dialektologia, a później także onomastyka, zajmował się również stylistyką i poprawnością językową, zaś w ostatnim okresie, pod wpływem brata Bogumiła, znanego botanika, nazewnictwem botanicznym. W zakresie onomastyki jego wybitnym osiągnięciem było wydanie 4-tomowej mo-

nografii *Nazwy miejscowe Sądeczyny*, opublikowanej w latach 1965–1984. Zainicjował pracę zespołową nad słownikiem polskich nazw roślin, gromadząc do niego materiał i zorganizował Pracownię Słownika Nazw Roślin. Poza tym zajmował się popularyzacją nauki, publikując na ten temat wiele artykułów i działając czynnie w Polskim Towarzystwie Językoznawczym a zwłaszcza w jego oddziale nowosądeckim, którego był twórcą. Był także świetnym dydaktykiem i wychowawcą, o czym świadczą rzesze jego uczniów, a także rozprawy teoretyczne z zakresu dydaktyki. Przez wiele lat był kuratorem Naukowego Koła Językoznawców. Łącznie pozostawił po sobie ponad 100 publikacji, głównie dotyczących dialektologii, w tym 5 książek i ok. 60 artykułów. Jako zamilowany turysta należał przez wiele lat do PTTK, posiadał uprawnienia przewodnika beskidzkiego i był członkiem Straży Ochrony Przyrody.

Został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem KEN, Srebrnym Krzyżem Zasługi (1938), Medalem 40-lecia, Krzyżem „Za Zasługi dla ZHP”, Złotą Odznaką ZNP, Złotą Odznaką „Zasłużonego dla rozwoju Sądeczyny”, Złotą Odznaką „Za Zasługi dla Województwa Nowosądeckiego”, Złotą Tarczą Herbową Nowego Sącza”.

Zmarł 11 listopada 1986 r. w Nowym Sączu i tam został pochowany.

Janusz Wojtycza

Janina Koza

Zmiana pokoleń

Mężczyzna o spokojnej, rozjaśnionej twarzy i uważnym spojrzeniu, w koszuli z kołnierzem „Słowackiego” – to Profesor Eugeniusz Pawłowski. Był wówczas nauczycielem gimnazjalnym w II Państwowym Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego w Nowym Sączu, równocześnie szczęśliwym mężem i ojcem rodziny.

Dwa lata temu, w grudniu 2002 r. Miejsca Biblioteka Publiczna w Nowym Sączu przygotowała wystawę poświęconą setnej rocznicy urodzin Eugeniusza Pawłowskiego. Przypadek sprawił, że szukałam wtedy oryginalnego tematu pracy magisterskiej, bo dwa wcześniejsze „nie wypaliły”. Portret Profesora przykuł moją uwagę. W wyrazie jego twarzy wyczytałam spokój, a jednocześnie zaciekawienie, zadziwienie. Zdecydowałam, że podejmę się opracowania monografii o działalności oświatowej, naukowo-dydaktycznej i społecznej promotora pracy magisterskiej mojej promotorki, prof. Marii Teresy Lizisowej. Tak zaczęła się moja przygoda intelektualna z Profesorem i fascynacja Jego osobą.

Z nadzieją i lekkim dreszczykiem emocji rozpoczęłam poszukiwania. W czytelni sądeckiej biblioteki dowiedziałam się, że starsza córka Profesora, Irene już od dwóch lat nie żyje. Rozmowa z druhną Ludwiką Remi – żoną harcmistrza i drużynowego Zenona Remi („Sokole oko”), znanego architekta sądeckiego, a także z druhną Marią Kolkową, rzuciła nowe światło na przedwojenne, „prawdziwe” harcerstwo i pracę w nim druha Gienka („Pazdur” to leśne imię Profesora Pawłowskiego).

Byłam zachwycona wartościami, które zaszczepiała ta organizacja w sercach młodych ludzi. Wymagania harcerskie były wysokie. Wśród ćwiczeń, gier i sportu młodzież kształciła swoją osobowość. Odpo-



wiedzialność, bezinteresowność, pogoda ducha, abstynencja od alkoholu i nikotyny, codzienny dobry uczynek – to cechowało młodzież harcerską. Powiedzenie harcerskie: „Miej nogi ze stali, a serce z kryształu” oznaczało zdrowie fizyczne i moralne. Eugeniusz Pawłowski tak wspomina czasy harcerskie: „To, co przeżyłem w harcerstwie, nie da się z niczym porównać (...) harcerstwo dokończyło dzieło formowania mojej osobowości, a te najdroższe wspomnienia pozostaną we mnie na zawsze!” Jako nauczyciel był przez kilka lat opiekunem I Męskiej Drużyny Harcerskiej im. Stefana Czarnieckiego (tzw. „Czarnej Jedyńki”). Pieśń harcerska *Hej w góry*, której był twórcą, stała się hymnem tej drużyny. Jego zasługą było wprowadzenie do życia harcerskiego folkloru góralskiego i sądeckiego. Zastąpił jako autor i współorganizator wspaniałego widowiska, regionalnych jasełek pt. *Gody podhalańskie*. W jednej

z gawęd pt. *Przy ognisku. Fragment z życia sądeckich obozów* mówił: „Chciałbym, byście kształtowali swe charaktery i czerpali siły do żmudnej pracy całego życia dla Polski, życia opromienionego wspomnieniami tu przeżytych chwil i jasnymi blaskami naszego Prawa i Przysiężenia harcerskiego. Czuwajcie!” Przyznam szczerze, że poznając bliżej to „prawdziwe” harcerstwo zazdrościłam spontaniczności i radości niepowtarzalnych przeżyć. Moje doświadczenia w socjalistycznym harcerstwie były całkiem inne – zupełny brak trwałych wartości, stawianie na ilość, a nie na jakość.

Nie ukrywam, że trudności ze znalezieniem materiałów do pracy zniechęcały mnie. Dopiero potem, po skontaktowaniu się z córką Profesora – Panią Zosią – wszystko zaczęło układać się jak kawałki barwnej mozaiki tworzące obraz. Praca powoli „wciągała mnie”. Uświadomiłam sobie, że w latach licealnych codziennie przechodziłam obok domu Pawłowskich przy ulicy Długosza 59. Nieżyjącą już Irenę Pawłowską poznałam w latach osiemdziesiątych w środowisku ludzi związanych z teatrem DKK oraz z Klubem Jeździeckim w Starym Sączu. Mam nawet w swoich zbiorach wspólne, pamiątkowe zdjęcie z 1985 roku. W tym czasie uczestniczyłam w zajęciach plastycznych w Pracowni DKK integrującej sądeckich artystów. W tym miejscu warto zatrzymać się przy dorobku teatralnym Profesora. W Teatrze Robotniczym DKK Eugeniusz Pawłowski prezentował kilkadziesiąt lat temu swoją sztukę teatralną *Świt na Podhalu* według swej powieści *Chochotowscy* i własne montaże poetyckie *Ja i Ojczyzna – to jedno* (z okazji Roku Mickiewiczowskiego) oraz *Moje za grobem zwycięstwo. Rapsod o Juliuszu Słowackim z jego utworów zebrany*.

Sylwetkę naukową Profesora ukształtowali wspaniali profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dla przyszłego językoznawcy liczyła się tylko nauka. Widziałam jego notatki z wykładów – piękne, staranne, kaligraficzne pismo. Piękna forma i treść. Dzisiaj nikt już tak nie pisze. Sama próbowałam. Nie jest to aż tak trudne, wymaga jednak czasu i cierpliwości, a tego ciągle brak, bo żyjemy w wielkim pośpiechu. Niedokończony pamiętnik *Dawne czasy,*

dawni ludzie. Wspomnienia był dla mnie źródłem nie tylko ciekawych informacji, ale również niezapomnianych wzruszeń. Jego pismo, już nie tak piękne jak kiedyś, kreśliło bardzo osobiste wyznania.

Kim zatem był E. Pawłowski? Przede wszystkim uważał się za nauczyciela i wychowawcę. Pisał, że „ukochana praca z młodzieżą i nad młodzieżą ukazała mi możliwości (...), o doktoracie nie myślałem...”, choć dialektologią „zaraził” go już wcześniej prof. Kazimierz Nitsch. Pod jego kierunkiem Pawłowski obronił pracę doktorską, dotyczącą gwary podgrodzkiej. Wiele lat spędził na zbieraniu materiału, zapisywaniu tysięcy wyrazów, podglądaniu kultury materialnej i duchowej ludności wiejskiej różnych grup etnicznych. Tak powstały *Gwara podgrodzka*, *Gwara Sromowiec Wyżnych*, *Nazwy miejscowe Sądeckizny* i inne prace naukowe, a także liczne artykuły w czasopismach naukowych: *Gwara w literaturze polskiej*, *Gwara w «Krzyżakach»*. Przeglądałam te prace, zapoznałam się z metodologią badań dialektologicznych. Jestem pod wrażeniem. Nie należę do znawców tematu, ale widzę tu olbrzymi wkład pracy, rzetelność, zaangażowanie.

Ulubionymi motywami Profesora są wyrażenia związane ze światłem. O swoim pobycie i pracy w WSP mówił, jak o „prześwieconym światłem i ciepłem okresie życia”. Niedokończoną powieść: *Szkoła w Suchotłęce* umieścił w cyklu *Ścieżki ku światłu*. Nic dziwnego – jego życie było pełne światła i ciepła. Był wielkim autorytetem nie tylko dla swych uczniów. Wzbudzał głęboki szacunek m.in. dzięki urzeczywistnianiu głoszonych wartości. Niepowtarzalne spotkanie z E. Pawłowskim wzbogaciło mnie zarówno w sferze intelektualnej, jak i duchowej. Jego wskazania będą mi towarzyszyły w dalszej, nielatywnej pracy dydaktyczno-wychowawczej, a jego działalność utwierdziła mnie w przekonaniu, że „warto grać dobrze nawet dla jednego widza”. Życie ludzkie można by porównać do mniej lub bardziej udanego dzieła sztuki: mozaiki, witrażu, obrazu. Każdy z nas jest jego twórcą-artystą. Życie Profesora Pawłowskiego jest jak barwny witraż, rozświetlony światłem z innego, lepszego świata.

Janina Koza

Otylia Pulit-Parszewska
Wiesław Polmiński

Sądecka rocznica

Ważnym wydarzeniem w sądeckim kalendarzu imprez stała się konferencja naukowa, która odbyła się 4 czerwca bieżącego roku w sądeckim ośrodku Małopolskiego Centrum Doskonalenia Nauczycieli. Organizatorami konferencji byli: Wydział Pedagogiczny Akademii Pedagogicznej w Krakowie oraz MCDN Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli w Nowym Sączu. Okazją do zorganizowania naukowych obrad stało się 30-lecie Kolegium Akademii Pedagogicznej w Krakowie Zamiejscowego Ośrodka Dydaktycznego w Nowym Sączu, który funkcjonuje nieprzerwanie przy Ośrodku Doskonalenia Nauczycieli i w ciągu minionego trzydziestolecia wykształcił ponad 2000 nauczycieli, magistrów różnych specjalności. Dobrze przygotowana kadra pedagogiczna zasiłała szeregi nauczycieli szkół ziemi sądeckiej i powiatów ościennych. Kolegium AP w dalszym ciągu prowadzi swoją działalność przy MCDN Ośrodku Doskonalenia Nauczycieli w Nowym Sączu i daje młodym ludziom możliwość zdobycia licencjatu bądź magisterium, a także doskonalenia swoich umiejętności zdoby-

cia dodatkowych kwalifikacji na studiach podyplomowych.

Jubileusz 30-lecia stał się więc okazją do zorganizowania konferencji naukowej pod hasłem „Kształcenie nauczycieli – tradycja i współczesność”. Spotkanie zgromadziło około stu osób – kadre naukową Akademii Pedagogicznej na czele z rektorem, prof. Michałem Śliwą i prorektorem, prof. Eugeniuszem Wachnickim, kadre pedagogiczną Małopolskiego Centrum Doskonalenia Nauczycieli z dyrektorem Danutą Sołtys i wicedyrektorami ds. ośrodków w Nowym Sączu i Tarnowie, Otylią Pulit-Parszewską i Tadeuszem Wickim, przedstawiciele sądeckich szkół wyższych, PWSZ oraz WSB-NLU oraz nauczycieli, przede wszystkim absolwentów Kolegium AP Zamiejscowego Ośrodka Dydaktycznego w Nowym Sączu. Wśród zaproszonych gości znaleźli się: poseł na Sejm RP, Kazimierz Sas, wiceprezydent Nowego Sącza, Stanisław Kaim, starosta powiatu nowosądeckiego, Jan Golonka, dyrektor Wydziału Edukacji w Nowym Sączu, Waldemar Olszyński, dyrektor Wydziału Edukacji w starostwie powiatowym, Zbigniew Czepelak, wizyta-

torzy Małopolskiego Kuratorium Oświaty z dyrektorem Delegatury KO w Nowym Sączu, Ewą Gadowską. Szczególnym gościem konferencji była dr Linda Tafel, profesor National-Luis University w Chicago, która współpracuje z WSB-NLU w Nowym Sączu oraz z Małopolskim Centrum Doskonalenia Nauczycieli, szcze-



gólnie z Ośrodkiem Doskonalenia Nauczycieli w Nowym Sączu.

Uroczystego otwarcia konferencji dokonał JM Rektor AP, prof. Michał Śliwa, który przedstawił historię tworzenia Kolegium AP w Nowym Sączu. Zwrócił uwagę na fakt, że działalność tej Uczelni na terenie Sącza ma ogromne znaczenie dla sądeckiej oświaty, gdyż stwarza możliwość zdobycia wykształcenia bądź uzupełnienia kwalifikacji na miejscu, bez uciążliwych i kosztownych wyjazdów do Krakowa czy innych miast uniwersyteckich. Trzydziestoletnia działalność AP w Nowym Sączu przyczyniła się w sposób niebagatelny do podnoszenia poziomu jakości pracy sądeckich szkół. Współpraca Uczelni z Ośrodkiem Doskonalenia Nauczycieli pozwala na bieżąco rozpoznawać potrzeby nauczycieli w zakresie doksztalcania i doskonalenia, dlatego też oferta edukacyjna Akademii zaspokaja na bieżąco potrzeby w tym zakresie i wychodzi naprzeciw potrzebom związanym z reformą systemu edukacji. Z dużym sentymentem rektor wspominał historię tworzenia Kolegium w Nowym Sączu i ludzi, którzy przyczynili się do jego otwarcia. Szczególnym akcentem historycznych wspomnień stało się wręczenie odznaczenia Akademii Pedagogicznej dr. Władysławowi Biernackiemu, byłemu dyrektorowi Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli w Nowym Sączu, a później Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego, który był wykładowcą w AP, nauczycielem rektora i człowiekiem, który dołożył wielu starań, aby Kolegium AP mogło rozwinąć swoją działalność na terenie Nowego Sącza.

Wyrazem uznania dla działalności i osiągnięć Akademii Pedagogicznej w naszym mieście stało się wręczenie przez starostę powiatu nowosądeckiego, Jana Golonkę „Złotych Jabłek”, najważniejszych odznaczeń sądeckich rektorowi AP, prof. Michałowi Śliwie i prof. Józefowi Kuźmnie.

Obradom plenarnym konferencji przewodniczyła: dziekan Wydziału Pedagogicznego AP, prof. Bożena Muchacka i dyrektor MCDN w Krakowie, Danuta Sołtys. Tematyka wystąpień skupiała się wokół problematyki kształcenia i doskonalenia nauczycieli ze szczególnym uwzględnieniem potrzeb wynikających ze zmian cywilizacyjnych i reformowania polskiego systemu edukacji. Wprowadzenia do tej problematyki dokonał w swoim referacie zatytułowanym *Nauczyciel wobec reformującej się oświaty* prof. Czesław

Banach. Prof. Józef Kuźma, kontynuując rozważania, przedstawił *Refleksje na temat wizji przyszłej szkoły a potrzeby zmian koncepcji kształcenia nauczycieli*. O *Formach i treściach kształcenia nauczycieli w toku przemian społeczno-ustrojowych w Polsce* mówiła prof. Danuta Waloszek, a podsumowaniem tego wątku był referat zagranicznego gościa, dr Lindy Tafel, która zaprezentowała współczesne trendy standaryzacji kształcenia nauczycieli w USA na tle przemian oświatowych w różnych krajach. Problem doskonalenia nauczycieli poruszyła w swoim wystąpieniu Danuta Sołtys, dyrektor MCDN, która mówiła o doświadczeniach i kierunkach zmian w zakresie pomocy udzielanej nauczycielom i placówkom oświatowym w dobie reformowania polskiego szkolnictwa.

Kolejnym etapem konferencji naukowej były obrady w trzech sekcjach. W sekcji I i II kontynuowana była problematyka kształcenia i doskonalenia nauczycieli. Obradom I sekcji przewodniczyła prof. Bożena Muchacka, a II dr Wiesława Kogut. Między innymi omawiana była problematyka kształcenia pedagogicznego przez działalność praktyczną studentów, rola technologii informacyjnych w kształceniu i doskonaleniu nauczycieli, umiejętności psychoedukacyjne w systemie ich kształcenia, psychologiczne kompetencje, warunki efektywności studiowania zaocznego w opinii studentów.

Inny charakter miały obrady w III sekcji, które prowadził dr Wiesław Polmiński. Odbyło się tam spotkanie rektora z absolwentami Kolegium AP w Nowym Sączu i zaprezentowane zostały przez tegorocznych absolwentów Kolegium komunikaty z badań prac magisterskich.

Konferencji naukowej towarzyszyła wystawa zatytułowana *Polska myśl pedagogiczna na przełomie XIX i XX wieku*, która prezentowała książki z przełomu wieków przeznaczone do kształcenia nauczycieli. Wystawa została przygotowana przez Janusza Staszka, kierownika Działu Informacji Pedagogicznej w MCDN ODN w Nowym Sączu, a książki pochodziły ze zbiorów biblioteki Ośrodka.

Sądecka konferencja była głosem w dyskusji nad stanem polskiej oświaty w dobie reformy.

Agnieszka Ogonowska

O krytykach i krytykantach

w Zajeździe Czorszyńskim

W dniach 14–16 maja br. już po raz czwarty we wsi Maniowy odbyła się konferencja naukowa Instytutu Filologii Polskiej, zorganizowana, jak co roku, przez dyrektora Instytutu, profesora Bolesława Farena. Tym razem referenci zajęli się problematyką polskiej krytyki literackiej, teatralnej i filmowej. Tematyka obrad okazała się niezwykle interesującym i inspirującym terenem poszukiwań intelektualnych nie tylko dla literaturoznawców, ale również dla reprezentantów innych katedr i specjalności naukowych: metodyków, językoznawców, logopedów.

Przed wszystkim dało się zauważyć przewagę zainteresowań współczesnością, i tu wymienić można wystąpienia Bolesława Farena, Krystyny Latawiec, Bogusława Gryszkiewicza, Jolanty Gumulki czy Anity Jodłowskiej. Duża grupa referatów dotyczyła metakrytyki uprawianej przez twórców (Ilaliny Bursztyńskiej, Jakuba Kozaczewskiego, Marka Karwali, Katarzyny Przebindy-Niemczyk, Magdaleny Roszczyńskiej, Jacka Rozmusa, Małgorzaty Cemerys i Krzysztofa Marczyka). Kilka referatów miało charakter przekrojowy, dla przykładu Stanisława Burkota, Agaty Pławeckiej czy Zbigniewa Bauera. Dotyczyły opisu określonych przemian i tendencji w krytyce literackiej wybranej epoki lub prądu kulturowego: w okresie romantyzmu (Burkot), na przełomie XIX i XX wieku (Pławeczka) lub też roli krytyki w czasach postmodernizmu (Bauer).

Inne wystąpienia koncentrowały się na twórczości wybranego krytyka; taki charakter miały referaty Kazimierza Gajdy, Marka Busia oraz Barbary Sykulskiej. Na konferencji pojawił się również tzw. blok medialny reprezentowany przez Agnieszkę Ogonowską i Bogusława Skowronka oraz związany z tymi wystąpieniami dwugłos na temat krytyki telewizyjnej i filmowej.

Do referatów niepoddających się klasyfikacji do żadnej z wymienionych grup należały z pewnością referaty: Teodozji Rittel na temat językoznawczej analizy twórczości poetyckiej Elżbiety Drużbackiej, Jagody Cieszyńskiej o psychoanalitycznych korzeniach krytyki oraz Klaudii Sosin poddający analizie wybrane reklamy, których obiektem była kobieta. Dwa ostatnie wystąpienia wprowadziły uczestników



Fot. K. Sosin

konferencji w nowe obszary badań naukowych, związane kolejno z psychologią twórczości, czy wybranymi metodami analizy i interpretacji tekstów ikonicznych należących w istocie do kultury popularnej. Co ciekawe, między nimi odnaleźć można pewne związki. Współcześnie podejmowane przez kulturoznawców badania sposobów reprezentacji kobiet w produktach medialnych odwołują się niekiedy do teorii feministycznych. Te z kolei w niektórych swoich odmianach są bardzo silnie inspirowane psychoanalizą i neopsychoanalizą.

Zakres interpretacji tematu konferencji przez uczestników był szeroki, co podnosiło jej walory poznawcze. Referenci poruszali się dodatkowo w ramach różnych paradygmatów naukowych oraz metodologii badań. W wyraźnej przewadze dało się zauważyć analizę tekstów i metatekstów, a w drugiej kolejności próbę sformułowania autorskich analiz wybranych zjawisk, epok literackich, czy dających się przewidzieć przyszłych tendencji na polu szeroko rozumianej krytyki (referaty Zbigniewa Bauera, Agnieszki Ogonowskiej i Bogusława Skowronka). Na konferencji ujawniło się również całe bogactwo warsztatu językoznawczego (Teodozja Rittel), metod badania reprezentatywnych dla socjologii literatury i badań kulturowych (Bolesław Faron), psychologicznych narzędzi badań twórczości krytycznej (Jagoda Cieszyńska), czy w końcu warsztatu semiotycznego (Klaudia Sosin).

Obradom konferencji przewodniczyli kolejno profesorowie: Bolesław Faron, który otwierał również posiedzenie, Stanisław Burkot, Teodozja Rittel oraz Jagoda Cieszyńska. Dzięki takiej obsadzie personalnej wszystko przebiegało sprawnie pod względem organizacyjnym, a referenci bez oporu poddawali się założonym wcześniej limitom czasowym. Jak widać, intelektualnej pożywki nie brakowało, a uczestnicy konferencji swobodnie serfowali między i wzdłuż epok, stwarzając niebywałą okazję przywołania wielu wybitnych twórców i krytyków literackich, którzy w takiej konstelacji personalnej, jestem tego pewna, nie mieliby nigdy okazji się spotkać. Nie przeszkadzało to znaleźć dyskutantom wspólny język i w przestrzeni tak skonstruowanego

dyskursu prowadzić uczone spory. Niektóre z wystąpień wzbogacone były o źródłowe materiały archiwalne lub schematy anatomiczne mózgu, co spotkało się z niezwykle żywą reakcją słuchaczy.

Co ciekawe, właściciel zajazdu wprowadził dla bardziej nerwowych właścicieli aut specjalny kanał telewizyjny, dzięki któremu mogli monitorować stan swojego pojazdu. Niektórzy oddawali się tej rozrywce z nieudawaną przyjemnością. Wszystkie te działania służyły wyeliminowaniu niedogodności, które mogłyby zakłócić namysł intelektualny. Kilku uczestników przeżyło w związku z miejscem zakwaterowania lekkie rozczarowanie wynikające z faktu, że nie spali w tzw. domu weselnym, który znajdował się w świeżo dobudowanym skrzydle motelu, a na dodatek w obiekcie w dużej części finansowanym z pieniędzy unijnych. Można chyba zdradzić wszystkim zainteresowanym, że w przyszłym roku będzie to jak najbardziej możliwe.

Trzeba stwierdzić, że pogoda sprzyjała referentom, ponieważ było zimno, mokro i nieprzyjemnie, co nie zachęcało do spacerów i innych aktywności sportowych na świeżym powietrzu (tak potrzebnym ludziom nauki), natomiast kierowało całą energię na aktywność intelektualną. Tym razem wszyscy niechętni spacerom lub pochłonięci pracą intelektualną mieli doskonałą wymówkę, by zaszyć się w motelowych pieleszach i poświęcić się całkowicie grupowej integracji, a jednocześnie dogłębnemu poznaniu innych pracowników Instytutu Filologii Polskiej.

Wśród uczestników konferencji dało się wyodrębnić przynajmniej dwie grupy: stały trzon oraz tzw. personel rotacyjny. Obecność pierwszej stanowiła gwarancję nieprzerwanej ciągłości obrad oraz istnienia tzw. audytorium. Do tej drugiej zaliczali się ci uczestnicy, którzy przyjechali wysłuchać swojego referatu lub kilku bezpośrednio z nim sąsiadujących i zaraz potem ułotnili się niczym kamfora, pozostawiając za sobą uczucie nieutulonego niczym żalu. Inni trwali dzielnie na stanowisku pod okiem Szefa, który zgodnie z dobrym obyczajem gospodarza i organizatora całej naukowej imprezy otwierał ją oraz kończył. W swoim wystąpieniu profesor Faron podkreślił walory naukowe oraz integracyjne konferen-

cji oraz zwrócił uwagę na jej rolę w promowaniu myśli młodych doktorantów. Oznajmił również, że posiada pomysł tematu kolejnej, ale mimo usilnych próśb i nalegań nie został on ujawniony, co uznać można za wyraz tradycji, a nie szczególnej złośliwości Dyrektora. W ostatnim dniu pobytu na twarzach uczestników malowała się radość, duma, ale i zmęczenie wynikające z udziału w wielogodzinnych obradach oraz toczących się do późnych godzin wieczornych rozmowach kularowych. Rozpoczynały się one w sali obrad, a były kontynuowane w trakcie posiłków i bezpośrednio po nich, a następnie wedle sił witalnych i mentalnych dyskutantów.

I jeszcze na koniec trochę statystyki. W bieżącym roku w konferencji uczestniczyło 24 referentów, w tym: 6 profesorów, 9 doktorów oraz 9 magistrów (w tym 8 słuchaczy studiów doktoranckich).

Agnieszka Ogonowska

Ps Przywołajmy nazwiska referentów oraz tytuły wystąpień, celem zobrazowania bogactwa przedstawionej problematyki oraz inwencji twórczej samych uczestników: Stanisław Burkot, *O krytyce literackiej w okresie romantyzmu*; Teodozja Rittel, *Krytyka tekstów wartościujących Elżbiety Drużbackiej na warsztacie językoznawcy*; Halina Bursztyńska, *Orzeszkowa*

— *Rydel* — Reymont, *Konteksty w literaturze*; Agata Pławecka, *Perspektywa religijna w krytyce literackiej (na łamach „Przeglądu Powszechnego” na przełomie XIX i XX wieku)*; Marek Buś, *Tadeusz Makowiecki jako badacz Norwida*; Kazimierz Gajda, *Konieczny o Wyspiańskim*; Bolesław Faron, *Literacka nagroda Nobla dla Reymonta w kontekście polityki i krytyki literackiej*; Barbara Sykulska, *Józef Maślirski jako krytyk awangardy*; Marek Karwala, *Stanisław Grochowiak jako krytyk*; Krystyna Latawiec, *Zasada estetycznego dyskursu w nowej prozie Mariana Pankowskiego*; Małgorzata Cemerers, *Adam Zagajewski jako krytyk. Wokół grupy Teraz*; Jolanta Gomulka, *Recepcja krytyczna twórczości Kazimierza Brandysa (na przykładzie „Obywateli” i „Matki Królów”)*; Jakub Kozaczewski, *O niektórych aspektach krytycznoliterackiej twórczości Ryszarda Krynickiego*; Jagoda Cieszyńska, *Krytyka jako sublimacja agresji?*; Zbigniew Bauer, *Coż po krytyce w czasach postmodernizmu*; Bogusław Skowronek, *Jak dziś pisze się o kinie. Modele krytyki filmowej*; Agnieszka Ogonowska, *O sposobach (nie?)istnienia krytyki telewizyjnej*; Klaudia Sosin, *Metafora somatyczna we współczesnym przekazie reklamowym*; Bogusław Gryszkiewicz, *Czarny humor w świadomości krytycznej dwudziestolecia*; Magdalena Roszczynialska, *Fantastyczna krytyka, krytyczna fantastyka*; Krzysztof Marczyk, *Językowe przesłanie felietonów literackich Czesława Miłosza w „Tygodniku Powszechnym”*; Katarzyna Przebinda-Niemczyk, *Elementy krytyki literackiej w felietonach Jerzego Pilcha*; Jacek Rozmus, *Słowo o tekstach krytycznych Zbigniewa Herberta*; Anita Jodłowska, *„Młodzi krytycy” o „młodej” poezji (spójrzcie na poezję pokolenia „bruLionu”)*.



Fot. K. Sosin

Joanna Kossewska

Jakość życia w autyzmie

— problemy etyczne, prawne i psychologiczne

29 maja br. w Akademii Pedagogicznej odbyło się Międzynarodowe Spotkanie Naukowe „Jakość życia w autyzmie — problemy etyczne, prawne i psychologiczne” zorganizowane przez Katedrę Psychologii AP oraz Krakowski Oddział Krajowego Towarzystwa Autyzmu

Katedra Psychologii Akademii Pedagogicznej w Krakowie od wielu już lat współpracuje z Krakowskim Oddziałem Krajowego Towarzystwa Autyzmu. Współpraca ta, dzięki uprzejmości prof. Henryka W. Żalińskiego — prorektora ds. nauki, ma charakter instytucjonalny — dotyczy wspólnych przedsięwzięć i organizacji międzynarodowych konferencji naukowych na temat autyzmu. W przeszłości były to m.in.: „Autyzm wyzwaniem naszych czasów” (1998), „System pomocy osobom z autyzmem w kontekście praw człowieka” (2000), „System pomocy osobom z autyzmem. Działania na rzecz krajowej i międzynarodowej współpracy” (2001).

Współpraca ta ma również — co szczególnie ważne — charakter osobistych, przyjacielskich więzów, jakie łączą pracowników AP i rodziców tworzących Krajowe Towarzystwo Autyzmu oraz koncentruje wspólne działania wokół poprawy jakości życia osób z autyzmem.

Ponownie zatem, wzorem lat ubiegłych, Katedra Psychologii Akademii Pedagogicznej wraz z Krakowskim Oddziałem Krajowego Towarzystwa Autyzmu podjęła trud zorganizowania Międzynarodowego Spotkania Naukowego „Jakość życia w autyzmie — problemy etyczne, prawne i psychologiczne”. Tym razem spotkanie naukowe zorganizowane zostało jako integralna część realizowanego także wspólnie międzynarodowego projektu „On-line trainautism”.

Projekt ten jest od trzech lat realizowany przez obie zaprzyjaźnione instytucje i obecnie zbliża się

do pomyślnego zakończenia. Efektem jego realizacji jest wytworzenie modułów szkoleniowych na CD-ROMie, które będą mogły być wykorzystywane przez rodziny osób z autyzmem, osoby prowadzące stowarzyszenia autyzmu i odpowiedzialne za opracowanie programów szkoleniowych w różnych instytucjach (dyrektorzy instytucji, psychologzy, pedagodzy, specjaliści szkolący innych specjalistów), pracowników placówek naukowych i wyższych uczelni, a także inne osoby zajmujące się problematyką autyzmu oraz zainteresowanych tą tematyką studentów. CD-ROMy zawierają następujące treści: opisy form pomocy dla osób z autyzmem realizowanych w krajach partnerskich, moduły teoretyczne, artykuły i biografię na temat autyzmu. Moduły szkoleniowe zawierają podstawową wiedzę z psychologii rozwojowej oraz informacje teoretyczne, dotyczące analizowanego zaburzenia, a szczególnie z obszaru psychopatologii autyzmu u dzieci (opis, diagnoza, etiologia, epidemiologia i leczenie) i części praktyczne oparte o analizę przypadku. Powstaje także podręcznik dla rodzin, dający podstawową wiedzę na temat autyzmu, zawierający następujące rozdziały: wprowadzenie do autyzmu, słownik, opis technik modyfikowania zachowań, program nauczania zachowań społecznie akceptowanych oraz samodzielności, narzędzia oceny.

Podczas obrad Międzynarodowego Spotkania Naukowego „Jakość życia w autyzmie — problemy etyczne, prawne i psychologiczne” audytorium zło-

żone z rodziców, profesjonalistów oraz zawsze mile widzianych studentów mogło wysłuchać referatów specjalistów z Hiszpanii, Irlandii, Czech, Słowacji oraz Polski.

Honorowym gościem był Pat Matthews – prezydent Światowej Organizacji Autyzmu, który kolejno już raz zaszczylił nas swoją obecnością. W swoim referacie zwracał szczególną uwagę na aspekty etyczne terapii i godność osoby.

Dzielił się także własnymi doświadczeniami związanymi z tworzeniem miejsc stałego pobytu dla dorosłych osób z autyzmem w Irlandii. Irlandzka farma zwana Dunfirth Community jest modelowym ośrodkiem, na którym wzorujemy się tworząc „Farmę Życia” w Więckowicach koło Zabierzowa. Takie miejsca dla autystycznych osób dorosłych – to właśnie jest to doskonale sprawdzone doświadczenie z krajów zachodnich, gdyż osoby autystyczne nie mogą funkcjonować w zwykłym środowisku, które jest dla nich zbyt przytłaczające i dostarcza zbyt wielu bodźców – jedynym zatem dobrym rozwiązaniem jest życie we wspólnotach wiejskich, jakimi są doskonale zorganizowane „Farmy Życia”. Tam osoby z autyzmem są częściowo samodzielne, a nawet przejmują pewne role zawodowe, pozostając jednak pod stałą opieką, stosowną do swoich indywidualnych potrzeb.

Oto model, który chcielibyśmy wypracować, a nasze konferencje dotyczące autyzmu – taką mamy nadzieję – mogą nam w tym bardzo pomóc. Dość trudno jest jednak przenieść zachodni system organizacji na grunt rodzimy, głównie z powodów fi-

nansowych, prawnych, wreszcie – mentalnych. Tegoroczne Spotkanie przypadło wyjątkowo w maju, ze względu na harmonogram prac związanych z realizacją projektu „On-line trainautism” – wcześniej odbywały się podczas grudniowego Tygodnia Autyzmu.

Celem Europejskich Tygodni Autyzmu jest podniesienie świadomości społecznej i zmiana postaw wobec osób dotkniętych tą chorobą. W przyszłości powrócimy do tej, zapoczątkowanej już wcześniej tradycji. Choć grudniowa aura nie sprzyja zwiędzaniu Krakowa, to jednak konferencje organizowane w Europejskim Tygodniu Autyzmu cieszą się uznaniem oraz zainteresowaniem coraz liczniejszego audytorium, w tym także władz rozlicznych szczebli, od których wiele, aby nie rzec – prawie wszystko zależy – poczynawszy od przychylnych decyzji wynikających ze zrozumienia potrzeb tej grupy osób, a skończywszy na decyzjach finansowych, które wspomagają działalność ośrodków i stwarzają możliwość współfinansowania budowy innych.

Mamy jednak nadzieję, że tegoroczne międzynarodowe spotkanie naukowe stanowi dobry zaczyn dla polepszenia sytuacji osób z autyzmem w Polsce i poprawy jakości ich życia oraz ich rodzin, a owoce pracy organizacyjnej wielu zaangażowanych osób będą widoczne.

Joanna Kossewska

Niniejszy artykuł został napisany dzięki pomocy finansowej Unii Europejskiej.



Renata Ciesielska-Kruczek

Polskie biblioteki akademickie

w Unii Europejskiej

*W dniach 23-25 czerwca 2004 roku
w Bibliotece Głównej Politechniki
Łódzkiej odbyła się konferencja
naukowa pt. „Polskie biblioteki
akademickie w Unii Europejskiej”,
w której uczestniczyli bibliotekarze
z Polski i zagranicy*



Organizatorem konferencji była Biblioteka Główna Politechniki Łódzkiej, która jest przykładem centrum biblioteczno-informacyjnego o standardzie europejskim. Biblioteka ta, łącząc przyjazną dla użytkownika architekturę wnętrz z bogatym wachlarzem usług, nabrała cech nowoczesnego ośrodka wspierającego proces naukowy, dydaktyczny i edukacyjny uczelni.

W czasie trzech dni trwania obrad odbyło się siedem sesji tematycznych. Referaty w sesjach pierwszego dnia obrad dotyczyły problemu standaryzacji funkcjonowania bibliotek i ich roli w „erze społeczeństwa informacyjnego”. W Polsce pomiary efektywności i statystykę biblioteczną prowadzi Zespół ds. Standardów dla Bibliotek Naukowych. Badanie dynamiki zmian zachodzących w bibliotekach przyczynia się do poprawy jakości usług, a także pozwala planować kierunki ich rozwoju.

Następnym blokiem tematycznym były zagadnienia prawne UE w odniesieniu do bibliotek. „Europejskim parasolem ochronnym” dla bibliotek, archi-

wów i informacji jest EBLIDA (*European Bureau of Library, Information and Documentation Associations*). Europejskie Biuro Stowarzyszeń Bibliotek, Informacji i Dokumentacji promuje i ochrania interesy wymienionych sektorów oraz profesjonalistów z nimi związanych.

Drugi dzień konferencji zdominowała problematyka finansowania bibliotek i gospodarowania tymi środkami. Przedstawione zostały możliwości i sposoby pozyskiwania środków finansowych przez polskie biblioteki w ramach działania Funduszy Strukturalnych Unii Europejskiej i krajowych programów rozwoju nauki. *Tempus, eTen, eLearning, 6 Program Ramowy, eContent, Socrates, Leonardo da Vinci, Kultura 2000* – to tylko wybrane programy przyczyniające się do budowania społeczeństwa informacyjnego opartego na wiedzy, w których mogą uczestniczyć biblioteki. A celem nadrzędnym tych starań jest stworzenie warunków szkołom wyższym i ośrodkom naukowo-badawczym o charakterze dydaktycznym do współ-

działania w tworzeniu Europejskiej Przestrzeni Badawczej.

Analizy i porównania przychodów i kosztów w bibliotekach krajów UE łączyły się z próbami odpowiedzi na pytanie o źródła finansowania i strukturę kosztów bibliotek akademickich.

Funkcjonowanie bibliotek, usługi informacyjne i obsługa użytkowników – to tematy trzeciego dnia obrad. Większość polskich bibliotek akademickich to biblioteki hybrydowe „wykorzystujące zarówno przestrzeń wirtualną, jak i fizyczną i oferujące dostęp do szeregu drukowanych i elektronicznych źródeł”. Taka biblioteka narzuca konieczność rozszerzenia i „hybrydyzacji” umiejętności zawodowych bibliotekarzy, a także użytkowników.

Studium porównawcze: *Usługi informacyjne w polskich bibliotekach szkół wyższych na tle usług bibliotek zachodnioeuropejskich* wysoko ocenia informację w bibliotekach naszego kraju. Jakość świadczonych usług sta-

wia je na równi z bibliotekami uczelni europejskich.

Jedną z sesji tego dnia dotyczyła zainteresowania odbiorców czasopismami dostępnymi w wersji online oraz ich zakupu. Istotnym kierunkiem zmian oczekiwanym przez świat nauki jest uzyskanie powszechnego dostępu do piśmiennictwa naukowego. Model *open access* jednoczy działania autorów publikacji, ich odbiorców, a przede wszystkim bibliotekarzy.

Podsumowując, należy stwierdzić, że biblioteki uczelniane czekają nowe wyzwania. Proces boloński zapoczątkowany w 1999 roku powinien doprowadzić do stworzenia w 2010 r. Europejskiej Przestrzeni Szkolnictwa Wyższego.

Wszystkie poczynania pracowników bibliotek akademickich (działalność naukowa i dydaktyczna, pozyskiwanie finansów, znajomość prawa w odniesieniu do bibliotek, analiza potrzeb użytkownika) służą podniesieniu usług bibliotecznych. Służą czytelnikowi.

Renata Ciesielska-Kruczek



Krakowska szkoła językoznawczej logopedii

Próby zorganizowania logoterapii w Krakowie sięgają roku 1900, kiedy to miesięcznik „Zdrowie” zdał sprawozdanie z przedsięwzięcia dr. Stanisława Domańskiego, neurologa i radcy miejskiego, mającego za zadanie rejestrację jękających się uczniów, celem udzielenia im właściwej pomocy. Wystąpił za granicę nauczyciele zostali zapoznani z metodami terapii tego zaburzenia komunikacji językowej. Dwa lata później zorganizowano już w Krakowie, pod kierownictwem Wojciecha Guzdką, pierwszy pięciodniowy kurs logoterapeutyczny, również adresowany do nauczycieli

W wejście logoterapii w krąg zainteresowań nauk medycznych nastąpiło dwadzieścia cztery lata później. W 1926 r. w Klinice Neuropsychiatrycznej prof. Jana Piltza otwarto Poradnię Zaburzeń Mowy, kierowaną przez Aleksandrę Mitrinowicz, a zajmującą się terapią wad słuchu, głosu i mowy. W latach 1926–1927 poradnia, po nawiązaniu ścisłej współpracy z Kuratorium Szkolnym w Krakowie, organizowała kursy dla nauczycieli szkół powszechnych i specjalnych w zakresie terapii zaburzeń mowy.

Prekursorski etap rozwoju krakowskiej logopedii przerwała II wojna światowa, nie niwecząc jednak prawie czterdziestoletnich doświadczeń. Na uwagę zasługuje fakt, iż w tym okresie logoterapia krakowska nierozdzielnie związana była ze środowiskiem nauczycielskim, które w sposób profesjonalny próbowało przeciwdziałać nieprawidłowościom zachodzącym w procesie porozumiewania się.

Lata powojenne to czas powstawania i rozwoju kilku specjalistycznych placówek służących pomocą logopedyczną dzieciom i dorosłym. Ich współorganizatorką była uczennica Aleksandry Mitrinowicz, dr Janina Kuligowa. Już w 1945 r. pracowała w Międzyszkolnej Poradni Zaburzeń Mowy oraz w Poradni Wad Wymowy I Miejskiego Ośrodka Zdrowia, zaś od 1953 r. prowadziła Gabinet Foniatryczny w Klinice Laryngologicznej Akademii Medycznej. Dzięki jej

staraniom otwarto Zakład Leczniczo-Wychowawczy dla Dzieci Afatycznych, mieszczący się obecnie przy ul. Myślenickiej 13.

Lata późniejsze stanowią okres powoływania i rozwoju nowych placówek pomagających osobom z trudnościami porozumiewania się oraz ciągłego samodoskonalenia warsztatu logopedycznego praktyków zajmujących się terapią zaburzeń komunikacji językowej. Na szczególną uwagę zasługuje działalność mgr Wacławy Zuziowej – długoletniego dyrektora Specjalnego Ośrodka dla Dzieci Nieśłyszących oraz organizatora zespołu surdologopedycznego, który jako Zespół Diagnostyki i Terapii jest obecnie kierowany przez prof. Jagodę Cieszyńską.

NOWOCZESNA JĘZYKOZNAWCZA LOGOPEDIA

Nie byłoby współczesnej krakowskiej logopedii, gdyby nie językoznawcy. Gdy przed wielu laty prof. Maria Zarębina, pracownik naukowy Instytutu Filologii Polskiej WSP, prowadziła badania dotyczące kształtowania się systemu językowego dziecka, zrodziły się u autorki zainteresowania logopedyczne. Później przyszła kolej na badania dezintegracji systemu językowego w afazji, które bez rzetelnej refleksji logopedycznej nie byłyby możliwe. Tym samym, po raz pierwszy w Krakowie odwrócony został kie-

runek patrzenia na logopedię, która przestała być dziedziną wyłącznie praktyczną, a stała się uprawianą również w teorii dyscypliną naukową. Ów logopedyczny „przewrót kopernikański” nieprzypadkowo dokonał się w obrębie Instytutu Filologii Polskiej. Jego lingwistyczne tradycje i dokonania pozwoliły na wyznaczenie logopedii orientacji ściśle językoznawczej, szczegółowej się precyzyjną metodologią, wchodzącą w powiązania z psychologią oraz naukami medycznymi.

Początek lat osiemdziesiątych to czas konstituowania się zespołu specjalistów mających kształcić przyszłych logopedów. 28 października 1983 r. powołano w krakowskiej WSP dwuletnie Poddyplomowe Studium Logopedyczne, którego kierownikiem został ówczesny doktor Jan Ożdżyński. Inauguracja działalności dydaktycznej Studium nastąpiła w roku akademickim 1984/85. W ciągu dwudziestu lat działalności Studium dyplomy ukończenia wręczono około ośmiuset absolwentom. Prof. Jan Ożdżyński zgrupował wokół Zakładu Logopedii i Lingwistyki Edukacyjnej liczny, kompetentny zespół naukowców, wykładowców i praktyków, bez reszty oddanych kształceniu logopedów w Polsce. Wśród wybitnych specjalistów wymienić należy nazwiska, które utrwaliły się w pamięci setek absolwentów PSL: dr Józef Surowaniec – autor serii pionierskich na tym gruncie słowników logopedycznych i opracowań dotyczących programów komputerowych w logopedii; dr Zofia Kordyl (specjalność: alalia i niedokształcenia mowy o typie afazji), dr Elżbieta Minczakiewicz (oligofrenologopedia), prof. Alicja Rakowska (surdologopedia), dr Alicja Maurer (dysleksja, trudności w czytaniu i pisanii), dr Stanisław Wojtowicz (genetyka, anatomia i fizjologia), dr Halina Majchrowicz (ortodoncja), dr Tomasz Zyss (neuropsychologia), dr Andrzej Gardziel (psychiatria i neurologia dziecięca), prof. Maria Pachalska i dr Bruce Duncan MacQueen (afazjologia i neurolingwistyka), dr Anna Smarzyńska (foniatria i audiologia pedagogiczna), mgr Barbara Krawczyk, mgr Elżbieta Przerwa-Szwedzicka, mgr Magdalena Katowicz-Konior, mgr Lucyna Mikosza, mgr Anna Paluch (logopedia szkolna), mgr Bolesława Ożdżyńska (logorytmnika),

mgr Bożena Ruta, mgr Małgorzata Miękus i mgr Grażyna Gryszkiewicz (surdologopedia) i in.

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX w., w ramach Instytutu Filologii Polskiej zaczyna rozwijać się nurt badań, którego celem jest eksploracja przestrzeni pomiędzy językiem a edukacją. Powstaje tym samym w Polsce nowa dyscyplina w obrębie językoznawstwa stosowanego – lingwistyka edukacyjna, będąca działem nauki wyrastającym z językoznawstwa ogólnego, a badającym i integrującym obszary odkrywane dotychczas przez psychologię, psycholingwistykę, socjolingwistykę, kulturę języka, metodykę języka polskiego, glottodydaktykę. Twórczynią lingwistyki edukacyjnej jest prof. Teodozja Rittel, która – skupiając wokół siebie współpracowników i uczniów – stworzyła polską szkołę tej ciągle rozwijającej się dyscypliny naukowej.

OD ZAKŁADU PO KATEDRĘ

W miarę rozwoju lingwistyki edukacyjnej i językoznawczo zorientowanej logopedii okazało się, że w wielu aspektach te pozornie autonomiczne gałęzie językoznawstwa stosowanego mają wiele wspólnych obszarów badawczych. Są to: diagnozowanie języka ucznia w dyskursie szkolnym oraz zaburzonym, dobór strategii i procedur w celu usprawniania realizacji językowych (wymiar aplikacyjny), analiza kompetencji językowej, komunikacyjnej i kulturowej ucznia i pacjenta, ocena kontekstów wypowiedzi językowych. Punkty wspólne pozwoliły wypracować szerszą płaszczyznę naukowego porozumienia, która w sferze organizacyjnej zaowocowała powołaniem 1 czerwca 1993 r. Zakładu Logopedii i Lingwistyki Edukacyjnej w Instytucie Filologii Polskiej krakowskiej WSP. Kierownikiem został prof. Jan Ożdżyński.

W roku akademickim 1993/94 Zakład Logopedii i Lingwistyki Edukacyjnej uruchamia pierwsze w Polsce, unikatowe trzyletnie logopedyczne studia fakultatywne dla studentów studiów stacjonarnych. Kierownikiem studiów została dr Maria Rachwałowa. Wymiar godzin dydaktycznych, przekraczający

o 30% wymagania ministerialne, kadra naukowo-dydaktyczna oraz rozbudowana sieć współpracujących, specjalistycznych placówek logopedycznych, gwarantują najwyższy krajowy poziom kształcenia logopedów. Tę formę zdobywania warsztatu logopedycznego podjęło około trzystu studentów, zaś pracujący w zawodzie absolwenci studiów fakultatywnych uchodzą za najlepszych w kraju.

Oprócz działalności dydaktycznej pracownicy Zakładu wnieśli znaczący wkład w rozwój naukowej refleksji na temat logopedii jako działu nauki oraz sukcesywnie rozwijali lingwistykę edukacyjną. Tematykę badań w tych latach wyznaczały kolejne konferencje i sympozja, których plonem jest seria wydawnicza *Studia Logopedyczne* redagowana pod naukowym patronatem Komisji Rozwoju i Zaburzeń Mowy Komitetu Językoznawstwa PAN. W minionej dekadzie ukazały się tomy: *Polska terminologia logopedyczna* (1994); *Językowy obraz świata i młodzieży* (1995); *Dyskurs edukacyjny* (1996); *Sprawności językowe* (1997); *Wartościowanie w dyskursie edukacyjnym* (1999). Ponadto ukazały się w tych latach monografie pracowników Zakładu: *Podstawy lingwistyki edukacyjnej. Nabywanie i kształcenie języka* (1993), *Metodologia lingwistyki edukacyjnej. Rozwój języka* (1994) autorstwa prof. Teodozji Rittel; *Morska wspólnota językowa w świetle faktów językowych* (1989), *Konteksty kulturowe słownictwa flisackiego* (1998) autorstwa prof. Jana Ożdżyńskiego oraz prof. Jagody Cieszyńskiej *Od słowa przeczytanego do wypowiedzianego. Droga nabywania systemu językowego przez dzieci niestyszące w wieku poniemowlęcym i przedszkolnym* (2000). W roku 2000 doszło do przeobrażenia dotychczasowego Zakładu Logopedii i Lingwistyki Edukacyjnej w Katedrę pozostającą w strukturach Instytutu Filologii Polskiej AP.

KATEDRA LOGOPEDII I LINGWISTYKI EDUKACYJNEJ

Obecnie Katedra koordynuje działalność naukową i dydaktyczną związaną z kształceniem logopedów i konstruowaniem programów kształcenia logopedów w Krakowie, w województwie małopolskim,

świętokrzyskim i podkarpackim. Dysponuje bazą dydaktyczną w postaci pracowni logopedycznej, kierowanej przez prof. Jagodę Cieszyńską oraz kilkunastu punktów metodycznych w przedszkolach, szkołach masowych i specjalnych, w poradniach psychologiczno-pedagogicznych, w gabinetach logopedycznych oraz placówkach służby zdrowia, gdzie studenci odbywają hospitacje i zajęcia praktyczne.

Katedra kształci logopedów na dziennych studiach polonistycznych (magisterskich) ze specjalnością logopedyczną, na zaocznych studiach dwustopniowych, na dwuletnich zaocznych studiach podyplomowych w Krakowie i Limanowej oraz na trzyletnich dziennych studiach fakultatywnych. Dysponuje odpowiednią kadrami pracowników naukowych o specjalnościach językoznawczych związanych z lingwistyką stosowaną i edukacyjną, logopedią (w tym surdologopedią, oligofrenologopedią, neurologopedią i glottologopedią). Pracownicy ci koordynują i rozwijają działalność naukową w kraju i za granicą w zakresie lingwistyki edukacyjnej, ściśle związanej z potrzebami dydaktyki szkolnej oraz akademickiej na różnych poziomach kształcenia. W skład zespołu, który określa naukowy charakter krakowskiej szkoły językoznawczej logopedii oraz lingwistyki edukacyjnej, wchodzi: prof. Jan Ożdżyński, kierownik Katedry (specjalności badawcze: lingwistyka kulturowa, polska terminologia logopedyczna), prof. Teodozja Rittel – koordynator naukowy w zakresie badań nad lingwistyką edukacyjną (lingwistyka edukacyjna, praktyczne aspekty badań kompetencji zaburzonej, przejściowej, przybliżonej, docelowej), prof. Jagoda Cieszyńska – kierownik Pracowni Logopedycznej (surdologopedia, bilingwizm, kulturowe aspekty nauczania języka polskiego jako języka obcego), dr Sławomir Śniatkowski – kierownik Podyplomowego Studium Logopedycznego IFP AP w Krakowie (rozwojowe aspekty fonetyki i fonologii, lingwistyka edukacyjna), dr Maria Rachwałowa – kierownik Fakultatywnego Studium Logopedycznego (kształtowanie i rozwój mowy dziecka, system adresatywny w dyskursie edukacyjnym), dr Mirosław Michalik – kierownik Podyplomowego Stu-

dium Logopedycznego w Centrum Kształcenia Nauczycieli w Limanowej (oligofrenologopedia, neurologopedia, diagnozowanie kompetencji lingwistycznej ucznia i pacjenta). Katedra współpracuje z ważniejszymi ośrodkami kształcenia logopedów w kraju: UMCS Lublin (prof. S. Grabias); Uniwersytet Śląski (prof. I. Nowakowska-Kępna, prof. H. Synowiec); Uniwersytet Gdański (prof. E. Łuczyński); Uniwersytet Warszawski, Akademia Pedagogiki Specjalnej w Warszawie (prof. B. Roślowski).

Działalność naukowa Katedry Logopedii i Lingwistyki Edukacyjnej nawiązuje do stuletniej krakowskiej tradycji wiązania logopedii z edukacją. Gwarantem językoznawczego profilu działań naukowych i dydaktycznych jest z jednej strony zakorzenienie w Instytucie Filologii Polskiej i czerpanie z jego językoznawczych osiągnięć i tradycji, z drugiej zaś strony – rozwijanie i pogłębianie studiów nad lingwistyką edukacyjną.

Mirosław Michalik

Logopedia i logoterapia?

Wkrótce minie dwadzieścia lat od chwili, gdy pierwsi studenci Podyplomowych Studiów Logopedycznych dowiedzieli się, iż logopeda to nie osoba poprawiająca przed lustrem nieudolne dziecięce artykulacje (głównie seplenienie międzyzębowe). Niektórzy adepci do dziś nie mogą pogodzić się z tym faktem. Krakowska Logopedia ma w pełni zasłużoną sławę kierunku szczególnie naznaczonego naukami językoznawczymi oraz metodologią postępowania logopedycznego o rodowodzie z psychologii humanistycznej

Istnieje dość rozpowszechnione, błędne mniemanie, jakoby każdy użytkownik języka mógł być jego nauczycielem. Stąd niechęć wielu studentów do nabywania wiedzy z fonetyki, fonologii, semantyki i syntaktyki. Wszak każdy wie, jak mówić w rodzimym języku. Psychologiem oczywiście także może być każdy. Studenci przychodzą z przeświadczeniem, że nauczą się metod wywoływania głosek i posiadając gotowe rozwiązania, zdobędą klucze do gabinetów logopedycznych.

Tymczasem wykładowcy serwują im wiedzę o systemie językowym, pragmatyce języka, językoznawstwie. Powoli słuchacze dowiadują się tej bolesnej prawdy, że logopedia jest nauką o języku. Stopniowo do nauk lingwistycznych dołącza psychologia i staje się jasne, że bez psychologii rozwojowej i podstawowej wiedzy terapeutycznej nie sposób pracować z osobami o głębokich zaburzeniach komunikacji językowej. Mam na myśli dzieci z porażeniem mózgowym, niesłyszące, upośledzone, autystyczne, dorosłe osoby z afazją.

Jednakże wymienione nauki nie wyczerpują zakresu przedmiotów, które są niezbędne logopedzie podczas codziennej pracy. Bowiem obok procedur budowania lub odbudowywania komunikacji językowej, logopeda powinien umieścić w zakresie swoich umiejętności także oddziaływanie poprzez słowo (logoterapię).

Przedstawione ujęcie podstawowych zadań logopedii umieszcza ją w ramach językoznawstwa ko-

gnitywnego, które zajmuje się nie tylko systemem, czy mechanizmami języka, ale człowiekiem mówiącym i bada związki językowego zachowania z myśleniem, naturą, kulturą, szeroko rozumianym najbliższym otoczeniem.

Cierpienia psychiczne, jakie są udziałem rodziców dzieci niepełnosprawnych i dorosłych osób z afazją, wynikają także z zablokowania głównego dynamizmu, podstawowej ludzkiej motywacji, jaką jest wypełnianie sensu życia poprzez realizowanie wartości. Umiejętność dokonania przewartościowań zgodnie z wiekiem i sytuacją socjopsychologiczną rodziców zależy w dużej mierze od osobistych doświadczeń logopedy, także od jego intuicji i umiejętności rozwijania empatii. Podstawowe przesłanki, jakimi kieruje się logopeda, muszą opierać się na znajomości realiów życia rodziny oraz preferencjach indywidualnych jej członków.

Człowiek musi mieć potrzebę sensu życia. Zatrącanie poczucia sensu bycia w świecie rozwija się powoli i niepostrzeżenie, prowadząc do depresji lub głębokich zaburzeń zachowania czy rozpadu więzi rodzinnych, dlatego tak istotna jest terapia słowem (sensem, logosem). A przecież tego nie można nauczyć się podczas wykładów i ćwiczeń. Ten rodzaj wiedzy zdobywa się, terminując w poradniach i pracując jako wolontariusz (szczególnie dotyczy to dziennych studentów Fakultatywnych Studiów Logopedycznych). Wolontariat stał się w ostatnich la-

tach kuźnią świetnych logopedów, wymaga dobrych mistrzów, którzy zechcą odsłaniać tajniki swego warsztatu. Nie każdy, jak poucza doświadczenie, chce się dzielić wiedzą, mimo iż nie może być ona niczyją własnością. Wolontariat posiada jeszcze tę zaletę, że pozwala studentowi formułować pytania, a jak twierdzą filozofowie, zdziwienie (pytanie) jest warunkiem rozwoju wiedzy. Wolontariusz prowadzi terapię logopedyczną w naturalnych kontekstach i dostrzega związki przyczynowe obserwowanych zaburzeń. To zwrot od mechanistycznego do osobowego ujmowania pacjenta.

Procedura logopedyczna, jeśli chce przeciwstawić się biologizmem i redukcjonistycznemu traktowaniu człowieka, musi zawierać w sobie postępowanie logoterapeutyczne. Taki ogląd problemu wpisuje się w widzenie logopedii jako dyscypliny integrującej wiedzę wielu dyscyplin naukowych, zajmujących się człowiekiem i jego działaniem w świecie. Otwiera szerszą perspektywę oddziaływań logopedycznych, ujmując także w zakres swych działań rodzinę osób z zaburzoną komunikacją.

Proces uczenia się bycia z człowiekiem o zaburzonej komunikacji językowej jest długotrwały i szczególnie trudny w pierwszym etapie, po zapoznaniu się rodziny z diagnozą. Obecność współprzeżywających i współuczestniczących osób rodzi poczucie wspólnoty. Tylko ona może być źródłem siły, pozwalającej na przyjęcie nowego systemu wartości. Proces ten nie urzeczywistnia się na podstawie podjętej jedynie rozumowo decyzji. Racjonalność także wymaga emocji. Logopeda musi wiedzieć, że diagnoza niepełnosprawności dziecka lub afazji u dorosłych osób zaburza tożsamość rodziców i współmałżonków, jest ona bowiem powiązana z systemami pojęciowymi budowanymi przed urodzeniem dziecka, przed chorobą czy kalectwem.

W skrajnych sytuacjach, kiedy rodzina dokonuje decydujących wyborów, ważna jest obecność terapeuty kompetentnego, współodczuwającego i współmyślącego. Szczególnie matki wielokrotnie zmuszone są do podejmowania decyzji zmieniających ich dotychczasowe życie i wyznawaną hierarchię wartości. Budowanie nowego systemu wartości w rodzi-

nie wychowującej dziecko niepełnosprawne przebiega między innymi w oparciu o emocjonalne przeżycia, spotkania z innymi ludźmi, rodzicami i ich dziećmi. Wówczas logopeda powinien umieć przełamać barierę dzielącą społeczność od pacjenta i jego rodziny. To otwarcie ze strony terapeuty w początkowej fazie polega na umiejętności słuchania, milczenia i rozumienia. Innymi słowy logopeda winien prowadzić nie tylko terapię ukierunkowaną na budowanie systemu językowego, ale także oddziaływać poprzez słowo. A więc prowadzić terapię logopedyczną oraz logoterapię.

Twórcą logoterapii jest Viktor Emanuel Frankl¹, który wyznaczył językowi w egzystencji człowieka szczególną rolę do spełnienia. Logoterapia, przy pomocy wypracowanego przez siebie języka, kreuje rzeczywistość sensu i wartości. Rodzice niepełnosprawnego dziecka zobaczą swoją sytuację tak, jak im to zaprezentują językowe wypowiedzi logopedy. Logoterapia pozwala na dokonanie zmian w zachowaniu rodziny, tak aby nie tylko biernie akceptowała rzeczywistość, ale także twórczo ją przekształcała. Celem takich oddziaływań jest pomoc w przekroczeniu niepełnosprawności u osoby z zaburzeniami i przezwyciężeniu uprzedzeń, lęków i trudności w kształtowaniu alternatywnych sposobów komunikacji u członków rodziny.

Każda nauka o człowieku musi ujmować istotę ludzką w całej jej osobowej pełni, a nie tylko precyzyjnie rejestrować zachowania na poziomie behawioralnym. Logopeda powinien dostrzegać także czysto subiektywne przeżycia, mogą one bowiem pełnić funkcje motywacyjne w przebiegu prowadzonej terapii. Nie można nigdy zapomnieć, że człowiek nie tylko reaguje na bodźce, ale jest zdolny przekraczać determinanty biologiczne i społeczne, twórczo kierować swoim rozwojem. Dzieje się tak tylko wówczas, gdy zostaną stworzone ku temu odpowiednie warunki.

Przyjęta przez logopedę koncepcja człowieka staje się punktem wyjścia w projektowaniu oddziaływań terapeutycznych. Dostrzeżenie roli języka w rozumieniu i opisywaniu świata, w kształtowaniu własnej osobowości, każe widzieć komunikację języ-

kową jako podstawowy wymiar egzystencji człowieka. To właśnie system językowy zapewnił człowiekowi ontyczną wyjątkowość w świecie przyrody. Logopedia humanistyczno-egzystencjalna w pełni uwzględnia subiektywne przeżycia pacjentów, cechuje się antyredukcyjnym, holizmem, czerpie z nauk filozoficznych.

Poszczególne metody i techniki logopedyczne będą więc o tyle skuteczne, o ile nie przestaną na wycinkowej korekcji, dotyczącej sprawności realizacyjnych i zwrócą uwagę na potrzebę całościowego oddziaływania na pacjenta i jego rodzinę. Jest to niewątpliwie zachęta do dostrzeżenia człowieka w jego naturalnym życiu, a nie tylko w sytuacjach diagnostycznych i terapeutycznych. Bowiem wówczas mogą ujawnić się wszystkie potencjalne możliwości i umiejętności ludzkie.

Człowiek, jak mówi Kazimierz Popielski², jest istotą temporalną: wynurza się z przeszłości, istnieje dla przyszłości i kreuje siebie w teraźniejszości. Treść życia psychicznego jednostka tworzy z dorobku przeszłości, z wizji przyszłości w sytuacji teraźniejszej. Niekorzystne okoliczności (niepełnosprawność własna lub dziecka) mogą utrudniać proces wiązania *teraz z przedtem* i *potem*, czy też absolutyzować jeden z wymiarów. Człowieka nie można w sposób techniczny programować na jakieś zadanie, on sam jedynie ma możliwość „przeprogramo-

wać się” na nowe cele, jakie przed nim postawiło życie.

W trakcie prowadzonej terapii powinno ujawnić się spontaniczne i pozytywne doświadczenie egzystencji poprzez rozwijanie twórczych możliwości, ale i dostrzeganie własnych ograniczeń. Takie doświadczenie obejmuje nie tylko pacjentów, także logopedę.

Logopeda powinien pamiętać, że człowiek funkcjonuje nie tylko zgodnie z tym, jaki jest, ale i według tego, jaki obraz samego siebie towarzyszy jego byciu. Wolontariusze, dzieląc się ze mną swoimi doświadczeniami, wskazują na zmiany, jakie dokonały się w ich umysłach i sercach. Inaczej słuchają wykładów, efektywniej czytają lektury, przestają się bać niepełnosprawnego dziecka. Potrafią dostrzec to, co z pozoru ukryte.

W ciągu ostatnich siedmiu lat około 80 dzieci uczestniczyło w zajęciach logopedycznych. W większości przypadków były to dzieci wychowujące się w trudnych warunkach ekonomicznych.

Jagoda Cieszyńska

¹ V.E. Frankl, *Der Mensch vor der Frage nach dem Sinn*, Muenchen—Zuerich 1979.

² K. Popielski, *Logoteoria i logoterapia w kontekście psychologii współczesnej*, w: *Człowiek — pytanie otwarte*, pod red. K. Popielskiego, Lublin 1987.

Między filologią a teologią

W różnorodnym nurcie prac badawczych podejmowanych przez środowisko polonistyczne obecnej Akademii Pedagogicznej, a dawnej WSP, poczesne miejsce zajmuje problematyka relacji i przenikania do literatury i języka polskiego wątków i tematów religijnych: teologicznych, biblijnych, bez rozpoznania których niepełna staje się nie tylko edukacja polonistyczna, ale też rzetelna ocena historii oraz miejsca ojczystej literatury i języka

Wymiernym efektem tych zainteresowań jest pokaźna liczba publikacji o charakterze monograficznym, jak też studiów i rozpraw związanych z tym zagadnieniem, autorstwa obecnych i dawnych pracowników Instytutu Filologii Polskiej AP. Nie było więc dziełem przypadku, iż na początku lat dziewięćdziesiątych minionego stulecia zrodziła się bliższa współpraca tego środowiska akademickiego ze świeżo wówczas powołanym Instytutem Teologicznym w Tarnowie, agregowanym do Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie. Intencją powstania tej placówki i priorytetowym przesłaniem stała się chęć poszukiwania związków pomiędzy teologią, a szeroko pojętą kulturą – tak w wymiarze eduka-

cyjnym, jak też badawczym i edycyjnym. W tym ostatnim wypadku nie bez znaczenia dla dalszej współpracy okazał się fakt powołania do istnienia diecezjalnego wydawnictwa Biblos, dziś uznanej oficyny wydawniczej oraz pisma „Religioni et Litteris”, dążącego do zintegrowania wokół zagadnień teologiczno-kulturowych środowiska teologów, filologów oraz kulturoznawców, reprezentujących głównie, choć nie tylko, małopolskie środowisko akademickie. Inicjatywom tym od początku nadawały rangę i wyznaczały perspektywę autorytetu ówczesnego ordynariusza Diecezji Tarnowskiej ks. bp. prof. Józefa Życińskiego oraz rektora Instytutu ks. prof. Michała Hellera. Trud-

na do przecenienia w tym względzie okazała się rola i osoba ks. prof. Stanisława Budzika, ongiś dyrektora Biblosu i rektora Seminarium, dziś biskupa pomocniczego Diecezji, oraz ks. mgr. Zbigniewa Adamka – polonisty, wykładowcy homiletyki, redaktora, a zarazem animatora wielu inicjatyw kulturalnych i edycyjnych Diecezji.

Współpraca ta przyjęła trojaki charakter: wspólnych inicjatyw konferencyjnych, wydawniczo-publicacyjnych oraz przedsięwzięć dydaktycznych, jako że priorytetową częścią działalności Instytutu Teologicznego stało się



Od lewej profesorowie: T. Ulewicz, F. Ziejka, J. Bartmiński, S. Dziedzic, J. Reichan

kształcenie studentów kilku specjalności na poziomie licencjackim i magisterskim. Odpowiedzialność za stronę organizacyjną i koordynację owych przedsięwzięć ze strony Tarnowa spoczęła na osobie ks. Adamka, mnie zaś przypadła rola reprezentacji środowiska krakowskiego.

Bodaj pierwszym, wymiernym efektem tej współpracy stał się udział licznej grupy polonistów, rusycystów i sławistów krakowskich w sympozjum *Teologia – kultura – współczesność*, jakie odbyło się w Tarnowie wiosną 1994, a które stanowiło kontynuację cyklicznych rozważań wokół tematycznej relacji nauka – wiara – kultura¹. To właśnie podczas tego spotkania zrodziła się inicjatywa wspólnej konferencji naukowej, będącej zarazem próbą całościowej refleksji nad fenomenem kulturowym i teologicznym kołеды oraz wielorakich form obrzędowości bożonarodzeniowej, nadających tak osobliwe oblicze polskiej religijności.

Pierwotne zamiary uczynienia konferencji okazją do przemyśleń nad rodzimym aspektem kołеды i kołędowania, z chwilą ich „upublicznienia” wzrostem zainteresowania zaskoczyły organizatorów, przesuując tematycznie inicjatywę w kierunku nie tylko polskim, ale też słowiańskim, a w niemałej części wręcz ogólnoeuropejskim. Czterodniowe sympozjum „Kołеды w Polsce i w krajach słowiańskich – geneza, rozwój, stan obecny”, zorganizowane na początku 1995 roku w murach ówczesnej krakowskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, zgromadziło ponad 60 referentów, reprezentujących niemal wszystkie ośrodki akademickie w Polsce oraz badaczy zagadnienia z takich krajów jak Białoruś, Czechy, Kazachstan, Rosja, Słowacja, Ukraina, Włochy. Konferencja podjęła pionierskie na te skalę zadania, poddając naukowym rozważaniom istotę i zjawisko kołеды i obrzędowości bożonarodzeniowej w wymiarze polskim i słowiańskich we wszystkich niemal ich obszarach uobecnienia: teologicznym, filologicznym, muzycznym, folklorystycznym, ikonograficznym, nie pomijając wątku astronomicznego (gwiazda betlejemka). Owemu krakowskiemu „kołędowaniu” atrakcyjności dodał, szczególnie dla gości zza wschodniej granicy, fakt przeniesienia na jeden

dzień obrad w tysiącletnie mury Opactwa Tynieckiego oraz bogata oprawa muzyczna (koncerty kołеды w wykonaniu chórów z Tarnowa i Krakowa), jaka towarzyszyła obradom. Interdyscyplinarny i zarazem międzynarodowy dobór referentów zapewnił konferencji nie tylko wszechstronność merytoryczną, ale też interkonfesyjny, ekumeniczny charakter, kierując refleksję także w stronę tradycji ukształtowanej na obszarze chrześcijaństwa wschodniego (prawosławnego, unickiego) oraz form obrzędowości pro-



Ks. Bp J. Zyciński i prof. T. Ulewicz

testanckiej. Pokłosiem owej debaty stał się obszerny, bo liczący ponad 600 stron, tom materiałów pokonferencyjnych *Z kołędą przez wieki*, nad którym pieczę redakcyjną sprawowali poloniści z Instytutu Filologii Polskiej: Tadeusz Budrewicz, Stanisław Koziała, Jan Okoń². Całość z niemałym trudem wydana została przez Biblos w roku jubileuszu 50-lecia krakowskiej WSP, przy wydatnym wsparciu finansowym Komitetu Badań Naukowych, Fundacji im. Ste-

fana Batorego, Ministerstwa Edukacji Narodowej oraz Urzędu Miasta Krakowa. Dziś księga ta, której próżno szukać na półkach księgarni i antykwariatów, stanowi jedno z głównych kompendiów wiedzy w tym względzie, a o jej randze gatunkowej i znaczeniu prof. Jerzy Starnawski napisał: „Po monumentalnej edycji najdawniejszych kołęd polskich dokonanej przez Juliusza Nowaka-Dłużewskiego jest to drugie ważne wydarzenie w dziejach badań nad kołędą polską... i nawet obcą”³.

Udana inicjatywa konferencyjna wokół kołęd i kołędowania w naturalny sposób ośmielała i zachęcała do kolejnych, wspólnych filologiczno-teologicznych przedsięwzięć. W nieodległej perspektywie czasowej okazja nadarzała się szczególna. Była nią przypadająca w roku 1999 okrągła, czterechsetna rocznica pierwszego wydania Biblii w przekładzie ks. Jakuba Wujka. I tym razem szybka akceptacja pomysłu przyszła ze strony tarnowskiego Instytutu Teologicznego, wpisującego konferencję jako temat kolejnego z cyklicznych spotkań wokół relacji nauka – wiara – kultura. Inicjatywie nie przeszkodziła w najmniejszym stopniu zmiana, jaka na przełomie roku 1997–98 dokonała się na stolicy Diecezji, a w osobie ks. bp. Wiktora Skworca – nowego ordynariusza, który zastąpił ks. bp. Józefa Życińskiego – organizatorzy sympozjum zyskali równie gorącego orędownika i protektora. Konferencja przyjęła ostatecznie dwojaki cel i charakter. Z jednej strony jej

ważnym zadaniem było jubileuszowe przypomnienie dzieła i znaczenia staropolskiej Biblii w przekładzie ks. Jakuba Wujka, której fenomen ponad 350-letniej obecności w roli kanonicznego (dla katolików w Polsce) tekstu Pisma Św. stał się źródłem kształtowania rodzimego stylu biblijnego, odciskającego trwale znamię w literaturze, języku i kulturze ojczystej⁴. Z drugiej zaś strony ten niecodzienny jubileusz uczyniono okazją do podjęcia refleksji nad współczesną kondycją i problemami polskiego języka religijnego w jego możliwie najszerszych przejawach: biblijnym, kaznodziejskim, duszpastersko-katechetycznym, teologicznym, liturgicznym oraz filologicznym. I tym razem do uczestnictwa w sympozjum udało się pozyskać szeroki, interdyscyplinarny krąg badaczy: teologów, językoznawców i literaturoznawców z Gdańska, Katowic, Krakowa, Łodzi, Lublina, Opola, Poznania oraz Warszawy, przy wsparciu przedstawicieli gospodarzy – Tarnowa. Dwudniowa debata, jaka odbyła się w kwietniu 1998, przy szczelnie wypełnionej auli Wyższego Seminarium Duchownego i wygłoszone podczas niej referaty wydatnie wzbogaciły stan wiedzy o warsztacie translacyjnym ks. Jakuba Wujka oraz jego *opus magnum* – Biblii, która, jak przypomnieli ks. prof. M. Heller, ciągle „tkwi nam w uszach i sercu”. Ale równie owocna, szczególnie wobec licznie zgromadzonych słuchaczy – przyszłych kapłanów, stała się ta część konferencji, która podejmowała refleksję z jednej strony nad

stanem i zadaniami dyskursu religijnego, z drugiej zaś zagrożeniami współczesnego języka religijnego w kontekście wyzwań, jakie niosą ze sobą przemiany cywilizacyjne, z kulturą masową na czele. Wydany w rok później, i tym razem przez Biblos, tom materiałów pokonferen-



cyjnych *Od Biblii Wujka do współczesnego języka religijnego* w redakcyjnym opracowaniu ks. Zbigniewa Adamka i Stanisława Koziary, należy dziś do kanonu prac z dziedziny polskiego języka religijnego, stanowi też ważny wkład w ogólnopolską debatę nad spuścizną biblijną ks. Jakuba Wujka⁵.

Równolegle do przedsięwzięć konferencyjnych toczyła się na przestrzeni lat 1994–2000 współpraca na niwie dydaktycznej oraz publikacyjnej. W pierwszym przypadku przy udziale wykładowców z Instytutu Filologii



Profesorowie T. Szymański, T. Ulewicz, J. Okoń

Polskiej WSP/AP w Krakowie, Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu Śląskiego oraz Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego wypracowano formułę wspólnego wykładu monograficznego z dziedziny *Teologii kultury* dla studentów IV roku tej specjalności, obejmującego tematykę teologiczną, literacką, językową oraz etnokulturową, ujętą w perspektywie zagadnień rodzimych, jak też „ekumenicznych” — głównie chrześcijaństwa wschodniego. W drugim zaś wypadku przed środowiskiem akademickim Krakowa szeroko otworzy się łamy pisma „Religioni et Litteris”, prezentując bogate tematycznie *spectrum* artykułów, esejów i recenzji, wychodzących w znacznej mierze naprzeciw profilowi studiów prowadzonych w Instytucie Teologicznym.

Upływ czasu i towarzyszące mu zmiany personalne w strukturze obydwu jednostek czynią dziś tę blisko dziesięcioletnią filologiczno-teologiczną „kooperację” coraz bardziej zespołem dokonań minionych. Należy jednak żywić nadzieję, iż o wiele bardziej trwale okażą się jej owoce ucieleśnione w postaci słowa drukowanego, ukazującego jak pożyteczny i konieczny staje się zespolony wysiłek i współpraca na niwie filologii i teologii⁶.

Stanisław Koziara

¹ Pokłosie tego sympozjum stanowi tom *Teologia — kultura — współczesność* pod red. Z. Adamka, Tarnów 1995, w którym znalazły się także artykuły polonistów z krakowskiej WSP: Jana Prokopa, Marka Karwali i Stanisława Koziary.

² *Z kołędą przez wieki. Kołеды w Polsce i w krajach słowiańskich*, pod red. Tadeusza Budrewicza, Stanisława Koziary, Jana Okonia, Tarnów 1996.

³ Opinią wyrażoną przez prof. J. Sarnawskiego w recenzji tomu.

⁴ Wymiar i znaczenie tego przekładu przypomniane zostały niedawno także na łamach „Konspektu”, zob. S. Koziara, *Biblia Wujka w języku i kulturze polskiej*, „Konspekt” 2003, nr 14–15, s. 129–133.

⁵ *Od Biblii Wujka do współczesnego języka religijnego. Z okazji 400-lecia wydania Biblii ks. Jakuba Wujka*, pod red. Zbigniewa Adamka i Stanisława Koziary, Tarnów 1999.

⁶ Do grona stałych współpracowników ze strony WSP/AP należeli: Leszek Bednarczuk, Marek Karwala, Stanisław Koziara, Roman Mazurkiewicz, Jan Prokop. Okresowo, publikując, współpracowali: Tadeusz Borucki, Bogusław Gryszkiewicz, Anna Spólnik. Spośród przedstawicieli środowiska akademickiego Krakowa zajęcia dydaktyczne w IT prowadzili: Irena Bajerowa (UŚ), Róża Godula (UJ), Ryszard Łużny, Aleksander Naumow (UJ), Grzegorz Przebinda (UJ), Anna Rażny (UJ).

Zbigniew Bauer
Andrzej Wojnach

Kształcenie dziennikarzy czy edukacja medialna?

Technologie — poznanie — komunikacja

W *Lapidarium II* Ryszard Kapuściński notuje, wspominając początki swojej kariery: „Kiedyś dominowali reporterzy prasy drukowanej, dzisiaj grupa ta stanowi mniejszość. (...) Dziś dominują ekipy telewizyjne. W tym nowym środowisku tylko nieliczni to dziennikarze. Przeważają operatorzy, dźwiękowcy, operatorzy świateł, elektrycy, słowem — ludzie, których bardziej niż dochodzenie sensu i istoty zdarzeń interesuje np. gdzie znaleźć gniazdko do wtyczki albo czy kabel nie jest zbyt krótki; (...) Jest coraz więcej stacji telewizyjnych, radiostacji i gazet. Tym samym jest coraz więcej dziennikarzy. W tym zawodzie zawsze było wielu amatorów, ale dziś amatorzy zdominowali profesję. Wielu z nich nie zdaje sobie sprawy, że być dziennikarzem to przede wszystkim ciągle nad sobą pracować, kształcić się, zdobywać wiedzę, starać się zrozumieć świat”¹.

Mniej więcej w tym samym czasie znakomity francuski socjolog Michel Croizier zauważa, że „Nikt dzisiaj nie może powiedzieć, jakie będą potrzeby zatrudnienia (zawody, specjalności jutra). (...) Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, które z nich przestaną istnieć”².

Jesteśmy zatem świadkami osobliwego procesu: dziennikarstwo, które przez lata uchodziło za profesję wymagającą po pierwsze — szczególnych dyspozycji psychologicznych, po drugie — talentu pisarskiego oszlifowanego przez wykształcenie i praktykę, po trzecie — znajomości technologii komunikacyjnych, popada we władzę amatorów, którzy są dla właścicieli mediów o wiele bardziej atrakcyjni od za-

wodowców, bo nie stawiają wygórowanych wymagań. Technologie cyfrowe sprawiły, że nawet materiał filmowy kiepskiej jakości, wykonany amatorską kamerą można wyemitować w profesjonalnej telewizji bez większego ryzyka, a korespondencja radiowa przez satelitarny telefon komórkowy zastępuje z powodzeniem skomplikowany proces przesyłania dźwięku przez profesjonalne łącza (więcej: jest nawet, przez swoją szorstkość, bardziej wiarygodna).

Z drugiej strony — jeśli wierzyć Croizierowi, a przecież nie mamy najmniejszego powodu, by jego opinię podważać — nie możemy stwierdzić z całą pewnością, że dziennikarstwo jest „zawodem przyszłości” i że za dziesięć, dwadzieścia lat nie zniknie, bowiem zadanie dostarczania wiedzy o faktach wymknie się spod kontroli wyspecjalizowanych instytucji medialnych i rozproszy w globalnej sieci, przez nikogo nie kontrolowanej i do nikogo nienależącej. Zapotrzebowanie bowiem na interpretację, analizę i syntezę faktów stopniowo zanika: światopogląd, obraz rzeczywistości, jaki prezentuje ten czy inny dziennikarz, to czy inne medium jest dziś traktowane jako „fakt”, a nie opinia, z którą można by identyfikować się bez reszty lub też bez reszty odrzucać. Jest to więc bardziej „materiał”, z którego budujemy sobie własne poglądy niż struktura aksjologiczna.

**Zbigniew Bauer — adiunkt w IFP AP;
teoretyk literatury, medioznawca
Andrzej Wojnach — wykładowca w Instytucie
Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej UJ
oraz Instytucie Sztuki AP; reżyser, menedżer
telewizyjny.**

Prostym przykładem jest tu degradacja funkcji komentarza: komentarze wychodzą spod piór ludzi bliżej nieznanym czytelnikom, analizy – ekonomiczne lub polityczne – piszą osoby o autorytecie potwierdzanym wyłącznie przez ich stopnie naukowe lub sprawowaną funkcję, a nie przez dokonania medialne. Świat opisują i oceniają gwiazdy *show businessu*, sportu i filmu, nawet wtedy, gdy jawnie przyznają się do ignorancji w danej dziedzinie.

Rola dziennikarza w takich sytuacjach sprowadza się jedynie do podtrzymywania mikrofonu, spisanie wypowiedzi, pokierowania kamerą. Wymagania wobec żurnalisty są tutaj minimalne: ma być w pobliżu zdarzenia i precyzyjnie przez tłum kolegów pragnących tego samego – dostępu do źródła informacji. Błędy techniczne skoryguje technika, błędy językowe – czytelnik czy słuchacz wybaczy, bowiem w świecie mejli i sms-ów nikt rozsądny, poza starymi żółciennikami, nimi się nie przejmując (w wielkiej gazecie naszego regionu dział korekty zlikwidowano; skutki można obserwować w każdym wydaniu tego dziennika). Oznacza to, że tradycyjne składniki wyposażenia dziennikarza – dyspozycje psychologiczne, talent, a nawet znajomość technologii przestały być w tym zawodzie znaczące, ważne i uznawane za cechy predestynujące żurnalistów do uznawania siebie za elitę społeczną.

Z drugiej strony z roku na rok wzrasta liczba ośrodków kształcących dziennikarzy: dziś nie ma praktycznie żadnej szkoły wyższej – publicznej czy prywatnej – która nie chciałaby mieć w ofercie kierunku studiów tak czy owak związanego z aktywnością medialną (dziennikarstwo, *public relations*, komunikowanie interpersonalne etc.). Są to na ogół studia płatne i – ze względu na wyposażenie technologiczne oraz konieczność sprowadzania wykładowców z dużych, atrakcyjnych mediów – drogie. Dyplom ukończenia takich studiów do niczego nie uprawnia i niczego, faktycznie, nie ułatwia. Owszem – posiadanie takiego dyplomu jest ważnym, ale wcale nie najważniejszym elementem CV kandydata, ubiegającego się o pracę w prywatnych mediach. Decydują niekiedy względy całkowicie pozamerytoryczne, a sprawny amator po maturze może okazać

się znacznie bardziej przydatny niż absolwent renomowanej szkoły czy kierunku dziennikarskiego.

Można zatem powiedzieć, że jesteśmy świadkami inflacji wartości wykształcenia dziennikarskiego, wywołanej zwyczajną nadprodukcją absolwentów. Mimo to w okresie rekrutacji obserwujemy prawdziwe obłężenie kierunków oferujących taki czy inny kontakt z mediami: na UJ w roku akademickim 2003/2004 było to blisko 10. kandydatów na miejsce, na AP (polonistyka ze specjalnością edukacja medialna) blisko 8. kandydatów na miejsce. Z pewną ostrożnością można by tu postawić taką diagnozę: w społeczeństwie coraz bardziej anomicznym pojawia się zapotrzebowanie na szybki, spektakularny sukces. Ten sukces zapewniają media; to one są siłą regulującą przebieg procesów demokratyzacji w Polsce postkomunistycznej. One ujawniają afery, one kreują wartości, one wyznaczają granice ważnego i nieważnego. Jest to o tyle zdumiewające, że – jak zauważa Kapuściński – stają się one zarazem obszarem wzmożonej aktywności amatorów, nuworyszysy.

Dziennikarstwo popada we władzę amatorów, którzy są dla właścicieli mediów o wiele bardziej atrakcyjni od zawodowców, bo nie stawiają wygórowanych żądań

Kogo kształcimy, przystępując do zajęć na kierunkach „dziennikarskich”? Musimy sobie zdać sprawę, że są to nie tyle dziennikarze w tradycyjnym rozumieniu, lecz – w najlepszym przypadku – *media workers*, „wyrobnicy mediów”. Zasilają oni, poważnie anonimową, cichą, zdominowaną przez „gwiazdy” (niekoniecznie z dyplomami dziennikarskimi w kieszeni) grupę pracowników, a najczęściej wykorzystywanych na zasadzie wolontariatu, współpracowników gazet, radia, telewizji. Stykamy się najczęściej z wysoką początkowo samooceną, z nietuzinkowymi pomysłami i wysoką inteligencją kreatywną, która – w trakcie trzyletnich lub pięcioletnich studiów – stopniowo gaśnie, ustępując przed ironią, autoironią i przedwczesnym zgorzknieniem. Prowadzi to do ustabilizowania się wśród studen-

tów dziennikarstwa postawy negatywnej – niechętniej światu i ludziom, podejrzliwej, w niektórych przypadkach prowadzących do agresji, zawsze jednak uzasadnianej potrzebą odkrycia „prawdy”, nawet jeśli ta prawda może okazać się prawdą „czyjaś” i na „czyjś użytek”.

Jest jeszcze inny aspekt tego problemu. Kandydaci na przyszłych dyplomowanych dziennikarzy wywodzą się z generacji, której do końca nie rozumiemy, po trosze się jej boimy, określając ją mianem „pokolenia Y”. Nie podejmujemy się tutaj próby opisanego tego pokolenia, gdyż żadne ze znanych nam badań nie potrafiło uczynić tego w sposób dostatecznie przekonujący. Niemniej z licznych studiów na ten temat można wynioskować, że jest to pokolenie, które do strumienia stale napływających informacji ma stosunek ambiwalentny: informacje męczy, ale zarazem nie pozwalają się ignorować, są składnikiem życia codziennego, a wielość źródeł, z których się je czerpie, jest częściej załącznikiem zabawy niż rzeczywistej wiedzy o świecie (*infotainment*). Postawa zabawy – wyrażająca się m.in. poprzez *surfing* czy *zapping* internetowy lub telewizyjny – może być tu interpretowana jako reakcja obronna na ustawiczne bombardowanie informacjami (*infopollution*). *Infotainment* – strategia mediów, będąca próbą reakcji na syndrom informacyjnego przemęczenia (*information fatigue syndrome*³) odbiorców jedynie częściowo rekompensuje poważne skutki socjopsychologiczne go zjawiska, których z reguły nie doceniamy u naszych studentów. Te skutki to m.in. niechęć do prezentacji własnego stanowiska w wyrażnie określonej kwestii, nieumiejętność podejmowania decyzji, a także – gdy przechodzimy już na płaszczyznę warsztatu dziennikarskiego – preferowanie technik prezentacji różnych faktów i cudzych opinii przy jednoczesnym unikaniu ujęć interpretacyjnych i analitycznych. Tym można tłumaczyć wyraźny odwrót od gatunków publicystycznych w różnych me-

diach i zastępowanie ich wywiadami, pseudosondażami, rejestracją faktów ukrytą kamerą etc. Prowadzi to do kryzysu dziennikarstwa interpretującego, zaniku „osobowości” i akceptacji roli „wyrobnika medialnego”. Warto zarazem zauważyć, że wybitnymi postaciami medialnymi są dziś prezenterzy serwisów informacyjnych: media kreują osoby (w Jungowskim rozumieniu), a nie osobowości⁴.

Psychologowie wskazują zarazem, że „generacja Y” to ludzie nadpobudliwi ruchowo, ustawicznie gotowi do przemieszczania się – w przestrzeni psychicznej również – niezdolni do dłuższej koncentracji na jednym zdarzeniu, łatwo gubiący wątki narracyjne, skłonni raczej do przyjmowania następstwa zdarzeń regulowanego przez asocjacje niż zasady skutkowo-przyczynowe, niezbyt cierpliwi, poddający się stałej fluktuacji uwagi⁵. Na pytania odpowiadają częściej równoważnikami zdań niż pełnymi zdaniami, myśli zawierają w hasłach, podświadomie oczekując, że pytający „dopowie sobie” resztę. Nie są podatni na szok: są przekonani, że wszystko może się zdarzyć i wszystko ma taką samą wagę, zaś zabiegi perswazyjne mediów traktują jako coś, co należy oceniać w kategoriach ekonomicznych, a nie etycznych. Nie ufają też swoim nauczycielom, przeważnie mając od nich większe umiejętności w dziedzinie technologii informatycznych. Są zarazem tolerancyjni i to do tego stopnia, że nie dziwi ich obecność w ich otoczeniu światopoglądów skrajnych, nawet faszystowskich. Faszizm postrzegają bowiem jako wyraz postawy konkretnego człowieka, a nie jako zjawisko społeczne, co wiązać można z dominującym w tym pokoleniu ujmowaniem wszelkich zjawisk w perspektywie indywidualnej: wszystko zależy od twojego wyboru.

I to z takiego, a nie innego pokolenia, próbujemy kształtować dziennikarzy, a raczej *media workers*. Gdybyśmy te cechy „pokolenia” zestawili z wyobrażeniami o idealnym reporterze, które wyraża

**Zapotrzebowanie na interpretację,
analizę i syntezę faktów stopniowo
zanika: światopogląd, obraz
rzeczywistości, jaki prezentuje ten czy
inny dziennikarz, to czy inne medium
jest dziś traktowany jako „fakt”,
a nie opinia**

m.in. Kapuściński, moglibyśmy darować sobie wszelkie zabiegi dydaktyczne. Po prostu – moglibyśmy sobie powiedzieć – pokolenie *screen agers* nie nadaje się do tego zawodu. Nie ma w nich otwarcia na świat, nie ma empatii, nie ma chęci do mozolnych studiów świata, który oglądają. Nie są podatni na epifanie, nie ma w nich pracowitej dociekliwości, nie ma wreszcie szacunku do słowa pisanego, gdyż nad świadomością zbiorową władzę sprawują media ulotne: telewizja, radio, internet.

Byłaby to jednak diagnoza zbyt pesymistyczna i tym samym nie do końca prawdziwa. Doskonale wiemy, że wśród naszych studentów są ludzie o bardzo dużej wrażliwości, świetnym odczuciu i talentach pisarskich, skłonni do słuchania – a nie tylko, co szczególnie częste wśród dziennikarzy telewizyjnych i radiowych – do „nadawania”. Trudno wszakże nie zauważać, że wraz z nadaniem epoki nowych mediów – interaktywnych, immersyjnych, cyfrowych, a przede wszystkim ekranowych – zmieniła się przestrzeń komunikacyjna, w której kształtuje się osobowość młodego człowieka, który zamierza zostać dziennikarzem. Dominująca wrażliwość ekranowa, nastawienie na widzialność sprawia, że to, co usiłujemy wpoić studentom jako otwarcie na niewidzialne strony rzeczywistości (syntezy, hipotezy, konstrukcje mentalne etc.) musi okazywać się wartością nieweryfikowalną przez praktykę mediów. Współczesny przekaz medialny nie wymaga od dziennikarzy, sprowadzonych przeważnie do roli *media workers*, takich predyspozycji. Dziennikarz musi rzeczywistość ujawnić, to znaczy uczynić widzialną, a raczej wizualną; to natomiast, co niewidzialne – niewidzialnym pozostaje. Zostaje zapisane w kodzie pytań otwartych, domysłów, a jeszcze częściej – w kodzie językowych gier, pozostawiających pole interpretacji aktywności odbiorców.

Tymczasem większość programów nauczania dziennikarskiej sztuki wyprowadzana jest z formuł właściwych czasom, gdy dominującym typem komunikacji był przekaz drukowy lub drukowo-fotogra-

ficzny. Zauważmy np., w jaki sposób konstruujemy definicje prawdy i fikcji w przekazie dziennikarskim, jak określamy granice rodzajów i gatunków dziennikarskich. Konstytutywne cechy np. felietonu prasowego usiłujemy przenosić na felieton telewizyjny, nie zadając fundamentalnego pytania o to, czy w ogóle taka forma, jak felieton, jest w telewizji

możliwa (nie rozstrzygamy tu bynajmniej, że możliwa nie jest: sygnalizujemy jedynie istotność pytania o rolę obrazu i montażu w definicji takiego gatunku).

Dzisiejszy kandydat na dziennikarza od niemal najmłodszych lat obcuje – mniej lub bardziej świadomie – z cyberprzestrzenią, której najważniejszą cechą jest nieustanne wychylenie w przyszłość, w zdarzenia które mają lub mogą nastąpić. Cyberprzestrzeń ma bowiem naturę wektorową, a nie punktową czy linearną. Istnieć w cyberprzestrzeni – oznacza: być elementem, węzłem sieci. Ma to istotne konsekwencje dla kształtowania świadomości człowieka, który zamierza stać się „komunikatorem” (niekoniecznie dziennikarzem).

Tymczasem, gdy patrzymy na schematy kształcenia dziennikarzy, odnosimy skojarzenia odwrotne. Jest to wrażenie, że w tym przypadku czas napływa z przeszłości i materializuje się w teraźniejszości, jakby bez względu na sytuację. Rodzi się w związku z tym pytanie, czy współczesny dziennikarz ma być wnikliwym obserwatorem świata, wyposażonym w precyzyjny aparat badawczy czy też sprawnym opowiadaczem historii wziętych z rzeczywistości, troskę o kształt tejże pozostawiającym badaczom kultury i przestrzeni komunikacyjnej.

Tradycyjnie rozumiana funkcja społeczna dziennikarza łączyła w sobie obie te opcje. Dziś, pogłębiająca się koncentracja mediów, ich globalny charakter obniża wartość wnikliwej obserwacji rzeczywistości na rzecz atrakcyjności opowieści. *Entertainment* wkracza na obszary korespondencji wojennej (*militainment*), do niedawna jeszcze zarezerwowane dla reporterów najwyższej próby, a podczas woj-

**W społeczeństwie coraz bardziej
anomicznym pojawia się
zapotrzebowanie na szybki,
spektakularny sukces. Ten sukces
zapewniają media**

ny w Iraku tworzonych przez dziennikarzy z regionalnych, niekiedy mało znanych stacji i gazet. Na dodatek – jesteśmy coraz częściej świadkami z jednej strony manipulowania informacją wojenną poprzez tzw. informacje wcielone (*embedded informations*⁶), z drugiej zaś coraz poważniejszą rolę odgrywa manipulacja „przeciekami”, wykorzystująca demaskatorską, „ujawniającą” funkcję mediów. Czy w związku z tym należy przyjąć, że następuje generalna zmiana roli dziennikarza w społeczeństwie i jego funkcji społecznej? Czy pierwszą ofiarą cichej, bo ewolucyjnej, wojny pomiędzy światem analogowym a światem cyfrowym stały się media i ich pracownicy? Co jesteśmy w stanie zaoferować kształconym przez nas młodym ludziom, uformowanym już w nowej rzeczywistości – rzeczywistości mediów po pierwsze cyfrowych, po drugie – wolnych?

Ten konflikt między typem wykształcenia, jaki oferujemy dziś studentom dziennikarstwa a praktyką, z jaką spotykają się w mediach, ma bez wątpienia charakter nie tyle technologiczny, co etyczny. Obecnie on również formowanie rodzaju nastawienia wobec świata: ucząc studentów budowania historii, niezmiernie rzadko uświadamiamy im, że nie są to wyłącznie struktury narracyjne i że to, co pokazują, jest po pierwsze częścią wielkiej narracji świata, po drugie – że opowiadamy „globalne” historie po to, by oznaczyć je w lokalnych społecznościach. Spraw-

ność opowiadania o świecie nie oznacza tym samym, że świat ten jest zrozumiany. I odwrotnie: bez umiejętności opowiadania nie posiadamy zdolności rozumienia otaczającej nas rzeczywistości.

Powstaje zatem pytanie: czy uczyć mamy samego formowania narracji – czy raczej zadawania światu odpowiednich pytań, bez których narracja nie powstanie? Mamy wrażenie, że w przestrzeni komunikacyjnej, którą tworzą nowe media, nie ma po prostu miejsca na „dziennikarstwo gatunków”. Dominuje tu taka sama płynność jak w literaturze, a także w dyskursie historiograficznym, antropologicznym czy filozoficznym. Chodzi raczej o formowanie pewnej postawy wobec rzeczywistości i wobec sytuacji komunikacyjnych, jakie wytwarzają nowe media. Chodzi również – co niesłychanie ważne w świecie o zaburzonych normach i podstawach konstytuujących tożsamość młodych ludzi – o kształtowanie takich zachowań wobec faktów, w których konflikt (i w rezultacie wybór) między tradycyjnymi, „esencjalistycznymi” definicjami tożsamości, a podejściami antyesencjonalistycznymi, czysto pragmatycznymi będzie w młodych ludziach wywoływał lęk i w rezultacie zaniechanie jakichkolwiek prób zdefiniowania siebie samych wobec rzeczywistości⁷.

Jest to wyraźny sygnał, że w programach i koncepcjach nauczania zawodu dziennikarza musi nastąpić w ciągu najbliższych lat istotne przesunięcie: z nauczania sprawności warsztatowych i technologicznych na kształtowanie pewnego typu osobowości i wpojenia pewnych umiejętności zarówno poznawczych, jak komunikacyjnych. I to komunikacji w takiej rzeczywistości, jaką stwarzają nowe media, a nie w przestrzeni modeli, idealizacji lub systemów odchodzących stopniowo do muzeum. Nie są one bowiem i najprawdopodobniej nie mogą być ważne dla pokolenia, którego reprezentantów szykujemy do zawodu dziennikarza już nie tylko z racji niskiej ich atrakcyjności, ale przede wszystkim ze względu na ich niską przydatność. Nie wytwarzają one struktur poznawczych, a na dodatek z wielkim trudem mieszczą się w nowych przestrzeniach komunikacyjnych. Jest rzeczą oczywistą, że jeszcze piętnaście lat temu w myśleniu o przyszłości mediów problem ich

**Dominująca wrażliwość ekranowa,
nastawienie na widzialność sprawia,
że to, co usiłujemy wpoić studentom
jako otwarcie na niewidzialne strony
rzeczywistości (syntezy, hipotezy,
konstrukcje mentalne etc.) musi
okazywać się wartością
nieweryfikowalną przez praktykę
mediów. Współczesny przekaz medialny
nie wymaga od dziennikarzy,
sprowadzonych przeważnie do roli
media workers, takich predyspozycji.
Dziennikarz musi rzeczywistość ujawnić,
to znaczy uczynić widzialną, a raczej
wizualną; to natomiast, co niewidzialne
— niewidzialnym pozostaje**

„lokalności” przeciwstawiany „globalności” był zaledwie marginesem; dziś musimy – by pojąć zachodzące zmiany – posługiwać się terminem „glokalizm”, zaś określając mentalność i horyzonty postinformacyjnych społeczeństw mówić o „netizenach”.

Zagadnienia fikcji i prawdy, tak istotne w definiowaniu przekazu typu dziennikarskiego, nie budziły półtorej dekady wstecz poważniejszych wątpliwości; dziś w dobie „informacji wcielonych”, które mimo zewnętrznych podobieństw nie dadzą się opisywać przy wykorzystaniu tradycyjnych defi-

nicii propagandy, zwłaszcza propagandy totalitarnej, bowiem owe „informacje wcielone” płyną drogami właściwymi systemom mediów wolnych i demokratycznych⁸. I to właśnie dlatego kształcenie dziennikarzy – jego efektywność i sensowność – zależy głównie od tego, czy przełamiemy wreszcie ewidentny impas w edukacji medialnej czy szerzej – edukacji komunikacyjnej. Jeśli z aprobatą i nawet podziwem odnosimy się do amerykańskich programów kształcenia dziennikarzy (choć i tam występuje niczym nieuzasadniona nadprodukcja absolwentów tych kierunków), to musimy zdać sobie sprawę z tego, że w USA i znacznej liczbie krajów UE kształceniem dziennikarskim obejmuje się ludzi, którzy o mediach, sposobie ich funkcjonowania, a także o sposobie korzystania z przekazów medialnych oraz komunikowaniu się za ich pośrednictwem lub poza nimi wiedzą znacznie więcej niż studenci dziennikarstwa w renomowanych polskich uczelniach. Tę wiedzę, nabytą w szkołach średnich, a niekiedy jeszcze na niż-

Ten konflikt między typem wykształcenia, jaki oferujemy dziś studentom dziennikarstwa a praktyką, z jaką spotykają się w mediach, ma charakter nie tyle technologiczny, co etyczny. Obejmuje on również formowanie rodzaju nastawienia wobec świata: uczyć studentów budowania historii, niezmiernie rzadko uświadamiać im, że nie są to wyłącznie struktury narracyjne i że to, co pokazują, jest po pierwsze częścią wielkiej narracji świata, po drugie – że opowiadamy „globalne” historie po to, by oznaczyć je w lokalnych społecznościach. Sprawność opowiadania o świecie nie oznacza tym samym, że świat ten jest zrozumiany. I odwrotnie: bez umiejętności opowiadania nie posiadamy zdolności rozumienia otaczającej nas rzeczywistości

szych piętrach edukacyjnych, można odpowiednio poszerzać, modyfikować, kształtować; my natomiast musimy uczyć równocześnie elementarza – i pisania powieści.

Uczymy poza tym udzielania odpowiedzi na pytania, a nie samego stawiania pytań w taki sposób, by odpowiedzi były po pierwsze „komunikowane”, po drugie zaś – „dobrze komunikowane”. Powstaje zatem pytanie: czy od np. mało efektywnego kursu historii prasy i analizowania jej zawartości, nie jest rzeczą o wiele bardziej godną, słuszną i zbawienną dla przyszłości tego zawodu pokazy-

wanie przemian zachodzących w sposobach porozumiewania się ludzi jako głównego budulca kultury i cywilizacji? Zrozumienie przez naszych studentów natury skomplikowanej sieci (właśnie myślenie „sieciowe” wydaje się kluczem do nowoczesnych form edukacji, nie tylko zresztą w dziennikarstwie) łączącej wiele aspektów, obszarów, przedmiotów, technik wytwórczych i dystrybucyjnych, modeli zachowań i decyzji podejmowanych przez ludzi różnych epok w związku z dominacją w tych epokach takiego, a nie innego wzorca i technologu komunikacji – może okazać się znacznie ważniejsze od studiowania historii „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” czy „Wędrowca”. Lub inaczej: kiedy dzieje koncernu Dąbrowskiego pokażemy młodym ludziom jako efekt pewnych technik komunikacyjnych, stosowanych przez Polaków w dwudziestoleciu międzywojennym – może to być początkiem rozumienia przez nich również sytuacji na współczesnym polskim i światowym rynku medialnym.

Wydaje się zatem, że konstruowanie pomysłów na kształcenie mądrych, wrażliwych dziennikarzy – nawet jeśli by w przyszłości mieli być zaledwie „wyrobnikami mediów”, bowiem ta kategoria pracowników będzie się liczebnie rozrastać, a nie kurczyć – zależy przede wszystkim od realizacji i przyjęcia przynajmniej podstawowych zasad edukacji medialnej, którą, jak by to absurdalnie nie brzmiało, zacząć trzeba już na etapie wczesnoszkolnym.

Trudno nie zgodzić się ze zdaniem Wiesława Goździca, który pisze: „krytyczna pedagogika medialna polega na (...) uczeniu siebie i innych. w jaki sposób krytycznie dekodować przekazy mediów i śledzić skomplikowany sposób ich oddziaływania. Należy starać się odczytywać rozmaite kulturowe kody, ideologiczne głosy, krytycznie odczytywać obrazy hegemonicznych ideologii i uczyć siły własnej, odbiorczej interpretacji przeciwko dominującym znaczeniom”⁹.

Z całą pewnością nie jest to zadanie łatwe, lecz nikt nie obiecywał nam, że będzie łatwo. Łatwo bowiem już było, tyle że nic dobrego z tego nie wynikało. Ani dla nauczycieli, ani dla uczniów.

Zbigniew Bauer, Andrzej Wojnach

¹ R. Kapuściński, *Lapidarium II*, Warszawa 1995, s. 28.

² M. Croizier, *Kryzys inteligencji. Szkic o niezdolności elit do zmian*, Warszawa 1996, s. 37.

³ N. Hudson, *Managers Suffering from Info Overload*, „Press Association Newsfile” 1996, 14 October.

⁴ R. Kapuściński w cytowanym *Lapidarium II* wspomina, że obszer-na książka H. Poniatowskiej o masakrze na placu Tlatelolco w Meksyku zawiera jedynie dwie strony tekstu odautorskiego, s. 24.

⁵ W. Cwalina, *Generacja Y – ponury młot czy obiecująca rzeczywistość*, w: *Internet – fenomen społeczeństwa informacyjnego*, pod red. T. Zasepy, R. Chmury, Częstochowa 2001, s. 29–42.

⁶ Por. np. R. Jensen, *Embedded Reporters' Viewpoint Misses the Main Point of War*, <http://uts.cc.utexas.edu/~rjensen/freelance/attack61.htm> lub znakomity raport z pierwszych dni II wojny w Zatoce: *Embedded Reporters: What Are Americans Getting?* www.journalism.org/resources/research/reports/war/embed/numbers.asp (adresy URL weryfikowane 19.11.2003).

⁷ Obszernie pisze na ten temat T. Miczka w artykule *Glokaltzacyjne i multimedialne horyzonty współczesnej edukacji*, w: *Media i edukacja w globalizującym się świecie. Teoria – praktyka – oddziaływanie*, red. M. Sokolowski, Olsztyn 2003, s. 22–24.

⁸ Nie bez wpływu na zmianę podejścia do zagadnienia fikcji i prawdy pozostają techniki cyfrowe, pozwalające dowolnie niemal kreować „światy” równolegle. Por. np. J. Jastrzębski, *Etyka dziennikarska i nowe media*, w: *Nowe media – nowe w mediach*, pod red. I. Borkowskiego i A. Woźnego, Wrocław 2001, s. 34 i n.

⁹ W. Godzić, *Zrozumieć telewizję*, Kraków 2001, s. 166.

Studium Dziennikarskie AP

Studium Dziennikarskie w naszej uczelni istnieje od 1981 roku (w maju 2005 roku będzie obchodzić jubileusz 25-lecia). Studia mają charakter fakultatywny, trwają cztery semestry (od 1992 roku) i są płatne. O przyjęcie mogą ubiegać się studenci i absolwenci wyższych uczelni, z którymi przeprowadza się rozmowę kwalifikacyjną. Absolwenci otrzymują dyplom ukończenia studiów specjalnych w zakresie dziennikarstwa.

Program studiów obejmuje zagadnienia z zakresu historii i teorii mediów, ale preferuje praktyczne przygotowanie do zawodu. Zajęcia – wykłady, konwersatoria, zajęcia laboratoryjne, praktyki wakacyjne i staże dyplomowe – prowadzą teoretycy i praktycy dziennikarstwa. Na Uczelni odbywają się one w nowoczesnej pracowni multimedialnej.

Studium Dziennikarskie współpracuje z Instytutem Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej UJ (wymiana kadrowa, współorganizowanie konferencji, prace nad przygotowaniem słownika terminów medialnych), z Instytutem Dziennikarstwa UW (udział w konferencjach i sesjach), ze Studium Dziennikarstwa Uniwersytetu Rzeszowskiego, z Telewizją Polską SA, z Radiem Kraków oraz z redakcjami pism krakowskich: „Dziennika Polskiego”, „Gazety Krakowskiej”, „Gazety Wyborczej”, „Miesięc w Krakowie”, „Sportowy Styl”.

Studium było współorganizatorem konferencji *Poetyka i pragmatyka gatunków dziennikarskich* (Rzeszów 1998), *Regionalizm – lokalizm – media* (Bochnia 2000) oraz dyskusji panelowej z okazji jubileuszu 20-lecia Studium Dziennikarskiego *Jak kształcić dziennikarzy?*

Sygnowało także kilka wydawnictw: *Dziennikarstwo i jego konteksty* (Wydawnictwo Naukowe WSP 1991), *Dziennikarstwo i świat mediów* (Universitas 2000), *Regionalizm – lokalizm – media* (Warszawa – Bochnia 2001).

Współ z Universitasem Studium wydaje serię wydawniczą *Dziennikarstwo i świat mediów*, pod redakcją E. Chudzińskiego i Z. Bauera. W serii tej ukazały się: Walery Pisarek, *Nowa retoryka dziennikarska* (Kraków 2002), Wiesław Godzic *Telewizja i jej gatunki. Po Wielkim Bracie* (Kraków 2004), Jerzy Mikułowski-Pomorski *Media europejskie* (w przygotowaniu). Pracownicy Studium opiekują się także gazetą internetową, w której zamieszczane są prace warsztatowe oraz dyplomowe studentów (7 wydanie w przygotowaniu).

Centrum Przeciw Wypędzeniom

a stosunki niemiecko-polskie

Rozwój niemiecko-polskich stosunków po 1989 r. na pewno można określić jako sukces. Słusznie mawia się, że stosunki te nie były na przestrzeni wieków nigdy tak dobre, jak na przełomie XX i XXI w. Rozwój stosunków niemiecko-polskich po 1989 r. jest jednym z najszcześniejszych doświadczeń minionego wieku. Takiego biegu rzeczy nie można uważać za sam przez się zrozumiały, nawet jeżeli weźmiemy pod uwagę korzystną sytuację międzynarodową i ponad trzydziestoletnią pracę przygotowawczą różnych grup i osób. Jeżeli chcielibyśmy zjawisko to mierzyć miarą tempa przemian historycznych, można powiedzieć, że w tym przypadku wydarzył się jednak mały cud.

Mimo to należy stawiać sobie także inne pytanie: Na ile to nowe partnerstwo jest odporne na kryzysy? Ostatnie lata pokazały, że obok postępu mogą pojawiać się nawroty ku dawnemu i problemy, o których sądzono, że zostały już przezwycone.

Spójrzmy na aktualne przykłady. Jak na bliskich sąsiadów, Niemcy i Polska porozumiewały się w ostatnich miesiącach wyjątkowo źle. Do konfliktu w sprawie wojny w Iraku i debaty wokół konstytucji europejskiej doszedł jeszcze spór o historię. Plan utworzenia w Berlinie Centrum Przeciw Wypędzeniom wywołał w Polsce wielkie zdumienie i nie mniejsze rozgoryczenie. Powstała obawa, że ponad dziesięć lat działań na rzecz pojednania zostanie zniweczone, jeżeli Niemcy w Berlinie, dawnym centrum państwa kierującego narodowo-socjalistyczną wojną totalną, podejmą próbę przedstawiania się w charakterze ofiar tej wojny. Emocje zaczęły zżerać wszystko to, co dotąd osiągnięto na płaszczyźnie stosunków niemiecko-polskich. (...)

Do napięć w stosunkach między naszymi krajami dochodziło w minionym czasie często: rezolucja

w sprawie wypędzonych, nieporozumienia i konflikty interesów w sprawie odszkodowań dla robotników przymusowych, zwrot dóbr kultury utraconych na skutek działań wojennych, polska dyskusja w sprawie Jedwabnego i jej rezonans w Niemczech. Z drugiej strony występują jak najbardziej aktualne problemy: problem zakupu ziemi przez cudzoziemców w Polsce, emigracja Polaków w poszukiwaniu pracy na Zachodzie lub działające ponad granicami struktury kryminalne. W takiej sytuacji emocje rosły błyskawicznie, przerażająco szybko reaktywowano dawne uprzedzenia i już mieliśmy gotowy konflikt.

W przeciwieństwie do lat dziewięćdziesiątych, mamy obecnie do czynienia z problemami większego kalibru. Spójrzmy choćby na problem Centrum Przeciw Wypędzeniom. Już w nazwie wskazano niewłaściwy kierunek oskarżenia. Równie dobrze można by proponować centrum przeciw aneksjom terytorialnym, przeciw śmierci żołnierzy, masakrom ludności cywilnej i bombardowaniom, pracy przymusowej, obozom jenieckim, głodowi i tyfusowi. Wszystkie te zjawiska spowodowały dużo więcej ofiar śmiertelnych niż ucieczka i wypędzenie. Wszystkie były fatalnymi następstwami wojny. Jeżeli chce się potępiać następstwa, a nie przyczyny, dotyka się problemu w sposób ograniczony i budzi iluzję. Sugeruje się, że można unikać konsekwencji wojen agresywnych. W tym przypadku konsekwencją było wypędzenie niemieckiej ludności, która w większości chciała wojny i popierała ją. (...)

Ktoś, kto niegdyś kapitulował bezwarunkowo, nie powinien rozpoczynać po połowie stulecia stawiania warunków. Alianci mylili się w jednym, ważnym punkcie. „Przeniesienie niemieckiej ludności w sposób humanitarny i zgodny z prawem”, jak przewidywano w traktacie poczdamskim, było

w krajach wschodnich, naznaczonych traumatycznymi przeżyciami spowodowanymi przez Niemców w trakcie II wojny światowej, zjawiskiem, którego nie należało się spodziewać. Mniemanie, że po bezlitosnych czynach narodowych socjalistów i okrucieństwach ustaw, mogli Polacy po dniu kapitulacji wykazać łagodność i działania praworządne, jest całkowicie oderwane od rzeczywistości. Ktoś, kto myśli w ten sposób, nie tylko oczekuje od ludzi ponadludzkiej gotowości do wybaczenia i pojednania, ale ignoruje fakt, że najhaniebniejsze krzywdy wojenne, które wyrządza się wrogowi, powodują także jego demoralizację. (...) Camus pisał: „Kto jest długo prześladowany – będzie winny”. Wehrmacht, SS i wszystkie instytucje nazistowskie prześladowały Polaków, Rosjan i Czechów, jak też inne europejskie narody tak długo, aż żądza zemsty uczyniła część z tych narodów winnymi wykroczeń. Dlatego uważam niemieckie dążenia do uzyskania odszkodowań za niesłuszne. Prezydent Havel przeprosił za ekscesy związane z wysiedleniami, ale nie za same wysiedlenia, a germanista František Černý, który był po przełomie najpopularniejszym czeskim ambasadorem w Niemczech mówi: „Myślę, że właściwie nie było innego rozwiązania. Ewentualnie można było czekać aż nienawiść i emocjonalny obraz wroga zostaną usunięte. Jak jednak mieliby Niemcy tutaj żyć? Byli wtedy, nie tylko u nas, pariasami i to na długi czas”. (...)

Zwolennicy Centrum Przeciw Wypędzeniom powołują się od początku na podstawy prawne. Jak dotąd, na płaszczyźnie polityczno-prawnej nie miało miejsca całkowite potępienie wysiedleń. W uchwalonym w Rzymie w roku 1998 statucie Międzynarodowego Sądu Karnego jako przestępstwa wojenne zostały napiętnowane jedynie te wypędzenia, które przebiegają niezgodnie z prawem. Na przyszłość, moim zdaniem, wynika z tego nie to, co nierealne – czyli zakaz wysiedleń po wojnach, lecz raczej zasada, że narody, które nie chcą być dotknięte wypędzeniami, powinny w odpowiednim momencie chwycić za rękę swoich polityków, jeżeli ci zdradzają ciągoty wojenne. Nie potrzeba nam Centrum Przeciw Wypędzeniom. Potrzebujemy Centrum Przeciwko Wojnie. Każdy rodzaj wspomnianych już powyżej cierpień może zna-

leć tu swoje miejsce. W tym kontekście miałby także swoje miejsce temat ucieczki i wypędzeń.

Historycy są zdania, że więcej niż 2/3 z 15 milionów Niemców, którzy utracili swoją ojczyznę, zostało zmuszonych do ucieczki przez własny rząd. Dla poszkodowanych jest to być może mało ważne, jednak dla historiografii ma niezmierne znaczenie. Należy mieć nadzieję, że w przyszłych centrach dokumentacji fakt ten zostanie dokładnie wyeksponowany.

O co więc w zasadzie chodzi w sprawie Centrum Przeciw Wypędzeniom? Czy rzeczywiście o prawo do własnej „ściany płaczu”, o zrozumienie i pojednanie, a może raczej o „przesunięcie” poczucia winy i bezprawia w kierunku Europy Wschodniej, z zamiarem przewartościowania świadomości? Doświadczenie wypędzenia nie musi prowadzić do samoidentyfikacji w duchu związków wypędzonych w Niemczech. To wynika na przykład ze stanowiska niemieckiego ministra spraw zagranicznych Joschki Fischera. W jednym z wywiadów odrzucił pojęcie wypędzenia i mówił o procesie niemieckiego samouniعةstwienia. Na pytanie, czy sam czuje się ofiarą, odpowiedział: „Nie, upadek narodowego socjalizmu był wyzwoleniem, także i przede wszystkim dla Niemców”.

Zjawiskiem, które ostatnio można zaobserwować w świadomości historycznej w Republice Federalnej Niemiec jest zmiana „kultury wspomnień” pewnej grupy społecznej – związków wypędzonych – stająca się punktem odniesienia dla pamięci całego narodu. Zgoda na to, by „ucieczkę i wypędzenie” stawiać w początku XXI wieku na równi z Oświęcimiem, albo przynajmniej by na zasadzie budowy ogólnoniemieckiego miejsca pamięci uzyskać faktor budujący wspólną świadomość, może irytować. Formę instytucjonalną ma znaleźć owa idea właśnie w Centrum Przeciw Wypędzeniom. (...) Gdyby projekt Centrum został rzeczywiście zrealizowany, to alternatywny sposób traktowania pamięci o Holocaulście na zasadzie rozliczenia i wyrównania win zyskałby konkretne miejsce, które implikowałoby relatywizację problemu winy i przesunąłoby pozycję berlińskiego pomnika Holocaustu w symbolicznym krajobrazie niemieckiej pamięci. Centrum Przeciw Wypędzeniom ma być wyrazem tego, że związki wypędzonych będą mogły występować

w polityce pamięci historycznej jako czynnik równoprawny z Centralną Radą Żydów w Niemczech.

Książki Güntera Grassa, programy telewizyjne np. *Wielka ucieczka – los wypędzonych* Guido Knoppsa, zeszyt tematyczny z serii *Spiegła Wypędzenie ze Wschodu*, jak też magazyny popularnonaukowe zintensyfikowały w 2002 roku dyskursy nad „ucieczką i wypędzeniem” do rozmiarów kompleksu o wielkiej sile medialnej. Nawet jeżeli nie powstanie Centrum Przeciw Wypędzeniom w zaplanowanej formie, to obrazy wypędzenia stoją już teraz w świadomości historycznej Niemców, obok tych dotyczących Holocaustu.

Niemiecka debata ukazuje godną uwagi tendencję w polityce kształtowania pamięci historycznej. „Przezwyciężanie przeszłości” stało się samo przez się zrozumiałe i zgodne z logiką rynku medialnego wymagającego ciągle nowych tematów. Coraz bardziej odchodzi się od dotychczasowych metod podejścia, polegających na krytycznym badaniu i zadawaniu sobie pytań. Obecnie chodzi o to, by kuszące, nadające się dla mediów tematy historyczne stawiać na forum medialnym. Zapowiedzi na temat „powrotu wygnanych”, tematów dotychczas „stanowiących tabu”, „przemilczanych”, tworzą w pewnym sensie prolog uzasadniający takie działania, chociaż przy temacie „ucieczki i wypędzenia”, absolutnie nie można mówić o milczeniu czy przemilczaniu.

W tych krajach europejskich, które po 1945 r. widziały w sobie ofiarę narodowego socjalizmu (a były to praktycznie wszystkie z wyjątkiem Republiki Federalnej Niemiec), jak też od lat dziewięćdziesiątych w krajach byłego Paktu Warszawskiego, debaty na temat winy i współwiny w odniesieniu do zbrodni reżimu nazistowskiego oraz krytyka wypędzeń i czystek etnicznych po zakończeniu wojny, spowodowały dyskusje wokół przeszłości. Republika Federalna Niemiec natomiast wydaje się pozostawiać za sobą konfrontację z własną przeszłością, która od lat osiemdziesiątych przebiegała pod znakiem pytania o poczucie winy.

Niemiecka dyskusja wokół Centrum Przeciwko Wypędzeniom spowodowała w Polsce silne reakcje, które doprowadziły do realnego obciążenia stosun-

ków pomiędzy obydwojoma krajami. W Niemczech szczególne zaskoczenie wywołała intensywność polskich reakcji. W aspekcie obecnych dyskusji stawiam sobie pytanie: Czy rozpoczęty na wielu płaszczyznach, od czasu słynnego ukłęknięcia Willy’ego Brandta w Warszawie, proces pojednania był daremny? To pytanie ma dla mnie bardzo osobisty charakter, dotyczy także moich wysiłków, by do tego procesu dodać jeszcze małą część. Chodzi w zasadzie o to, by młodych ludzi obydwojch krajów kontaktować ze sobą. W ramach naukowych seminariów naświetla się aspekty niemiecko-polskich stosunków. Celem było zawsze to, żeby młodzi ludzie w Niemczech i w Polsce zostali zachęcani i popchnięci ku temu, by w wiedzy o przeszłości w czasie teraźniejszym produktywnie działać dla wspólnej przyszłości. Janusz Reiter odpowiada na pytanie, które sobie stawiam w jednym z wywiadów dla „Süddeutsche Zeitung” – „Nie. Jeżeli nie byłoby tej pracy, Europa wyglądałaby zupełnie inaczej i wcale nie lepiej”.

Z całą pewnością zmieniły się warunki i kulisy stosunków niemiecko-polskich. Nie istnieje już sytuacja, że jeden kraj ubiega się o przyjęcie do Unii Europejskiej, a drugi popiera jego starania jako adwokat. Obecnie mamy sytuację, kiedy dwa państwa członkowskie Unii Europejskiej muszą uzgadniać swoje interesy. Być może nie jest to zaskakujące, że akurat teraz doszło do kryzysu we wzajemnych stosunkach. Niemcy i Polska muszą obecnie przededefiniować reguły gry tak, by te odpowiadały nowej sytuacji. Muszą się uczyć, jak żyć wspólnie również z odrębnymi interesami, a wątpliwości i problemy nie będą łatwiejsze, raczej trudniejsze.

W tej sytuacji, tak dzisiaj, jak i w przyszłości, konieczne jest zwalczanie nieufności i uprzedzeń pomiędzy obydwojma narodami. Także projekty wymiany studenckiej, jak ten który stał się już tradycją pomiędzy studentami historii Krakowa i Bochum, będą miały swoje miejsce w przyszłości. Czy należy je kontynuować w niezmienionej formie, czy też szukać nowych dróg, to problem na inną dyskusję.

Hubert Schneider

Tłumaczył Marek Wilczyński

Fragment większej całości

Zdzisław Noga

Zbliżanie do siebie narodów...

W dniu 10 maja 2004 roku doktor Hubert Schneider z Uniwersytetu Ruhry w Bochum otrzymał Medal Akademii Pedagogicznej w Krakowie. Został wyróżniony za wieloletnią organizację seminariów studentów historii z Krakowa i Bochum. Z jego inicjatywy doszło do pierwszego spotkania jeszcze w 1989 roku. Studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego i ówczesnej Wyższej Szkoły Pedagogicznej dyskutowali wówczas w Oświęcimiu. Rok później wybrani przez koła naukowe obu krakowskich uczelni młodzi historycy znaleźli się po raz pierwszy w Bochum. Od tego czasu w wymianie uczestniczyło ponad 200 studentów polskich i tyle samo niemieckich



Utarł się zwyczaj, że seminaria odbywają się dwuetapowo. W pierwszym studenci niemieccy przyjeżdżają do Polski i najpierw przebywają dłuższy czas sami w Oświęcimiu. Pracują tam w bibliotece, archiwum, prowadzą dyskusje dotyczące często spraw podstawowych dla ludzkiej egzystencji. Gdyby pobyt młodych Niemców ograniczył się wyłącznie do Oświęcimia, z jakim obrazem Polski powróciliby do domów?

Po kilku dniach studenci przybywają do najpiękniejszego polskiego miasta – do Krakowa. Tu spotykają się z polskimi koleżankami i kolegami, zwiedzają miasto i wreszcie odbywają seminarium, które prowadzą samodzielnie, ucząc się przy tym (co szczególnie dla polskich studentów ważne) zasad dyskusji, ustalania porządku obrad i podsumowania

wyników prac, co dzieje się na zebraniach plenarnych. Początkowo seminaria te odbywały się w Krakowie. Po jakimś czasie organizatorzy doszli do wniosku, że – dla lepszej integracji i efektywności – lepiej będzie odbywać seminarium poza miejscem zamieszkania. Dwukrotnie zorganizowano je w Sandomierzu, raz w Zakopanem. Studenci pracują w trzech grupach roboczych. W każdej z tych grup Polacy i Niemcy przygotowują referaty na podobne, wspólnie wcześniej ustalone tematy, a następnie rozpoczyna się dyskusja. Młodzi adepci nauki historycznej przekonują się bowiem, że te same zagadnienia w historiografii polskiej i niemieckiej są często przedstawiane inaczej. Mimo gorących debat nigdy nie brakło dobrej woli zrozumienia i koleżeńskich relacji. Tym bardziej, że druga część seminarium od-

bywa się w Niemczech. Studenci krakowscy poznają tam najpierw Uniwersytet w Bochum, warunki i sposób studiowania, styl życia niemieckich studentów (mieszkają w ich domach). Zapoznają się również z historią i teraźniejszością Zagłębia Ruhry. Mają okazję do poznania słynnych zabytków Kolonii, Akwizgranu i Münster. Natomiast seminarium odbywa się w zacisznym miejscu, gdzie młodzież sama przygotowuje posiłki i znajduje czas na zabawę. Od 15 lat corocznie grupa młodych Niemców wynosi z seminariów doktora Schneidera kompetentną i głęboką wiedzę nie tylko o historii Polski, ale też o jej teraźniejszości. Nie ulega wątpliwości, że to najlepszy sposób na przełamywanie barier, obalanie wzajemnych stereotypów, słowem – najlepsza inwestycja w przyszłość stosunków polsko-niemieckich. Warto tu jeszcze dodać, że wielu niemieckich uczestników tej wymiany związało się zawodowo z problematyką polską. Pracują obecnie w opiniotwórczych instytucjach i mediach. Wielu odbyło studia w Krakowie w ramach programu Socrates.

Inicjator i *spiritus movens* tej współpracy, Hubert Schneider urodził się w Karlsruhe 15 lutego 1941 roku. Pochodził z rodziny o silnych tradycjach socjalistycznych, antynazistowskich, i tym poglądom pozostał wierny przez całe życie. Nie miał jednak łatwego dzieciństwa. Właściwie nie znał swojego ojca, który zginął jak żołnierz pod Lwowem w 1944 roku. Po ukończeniu szkoły powszechnej nie

miał pieniędzy na dalszą naukę. Został przysposobiony do zawodu kupca i wykonywał go kilka lat, przygotowując się jednocześnie do matury w gimnazjum wieczorowym. Dopiero po maturze podjął studia nauczycielskie. W szkole pracował jednak tylko kilka miesięcy. Już w 1971 roku został asystentem w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Karlsruhe. Jednocześnie prowadził badania naukowe. Pod kierunkiem wybitnego historyka, prof. Gottfrieda Schramma przygotował rozprawę doktorską o sowieckim monopolu handlowym, którą bronił na Uniwersytecie we Freiburgu w 1972 roku. W 1974 roku podjął pracę w Uniwersytecie Ruhry w Bochum. Jego pasją było nauczanie. Znany jest w środowisku jako ten, który ma zawsze czas dla studentów, doradzi i pomoże. Jako odpowiedzialny z ramienia Uniwersytetu za kontakty z Polską, pomaga również stale polskim studentom w Bochum.

Jego aktywność społeczna nie ogranicza się wyłącznie do spraw polskich. W 1994 roku był jednym z założycieli stowarzyszenia *Erinern für die Zukunft* i od początku pełni tam funkcję przewodniczącego. Głównym celem Stowarzyszenia jest upamiętnienie byłych mieszkańców Bochum pochodzenia żydowskiego, którzy w okresie narodowego socjalizmu stali się ofiarami systemu. Zaangażowanie w problematykę polską i żydowską poświadcza dobitnie, że Hubert Schneider nie boi się trudnych wyzwań, że jego rozumienie historii ma nie tylko

aspekt naukowy, ale również wymiar moralny i polityczny. Za swoją działalność już został odznaczony Medalem Zasłużonych dla Uniwersytetu Jagiellońskiego (1999). Jego aktywność została doceniona również w macierzystym uniwersytecie, który wyróżnił go własnym Medalem (2003). Nie ulega wątpliwości, że i Medal Akademii Pedagogicznej doktor Hubert Schneider otrzymał w pełni zasłużenie.

Zdzisław Noga



Janusz Morbitzer

Festiwal Nauki 2004



W dniach 9–15 maja 2004 roku odbył się czwarty Festiwal Nauki. Wzięły w nim udział prawie wszystkie uczelnie Krakowa, a gośćmi byli: British Council, Instytut Fizyki Jądrowej PAN, Konsulat Generalny USA, Konsulat Republiki Francuskiej oraz Polska Akademia Umiejętności. Nasza uczelnia przedstawiła swoją propozycję w tej imprezie już po raz trzeci

Pomysł zorganizowania Festiwalu Nauki narodził się przed czterema laty w czasie przygotowań do obchodów jubileuszu 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Początkowo była to prezentacja własnych osiągnięć naukowych, dydaktycznych i kulturalnych UJ. W następnych latach swój udział w Festiwalu zgłaszały kolejne krakowskie szkoły wyższe, powiększając jego zasięg, ofertę i rangę. Festiwal, który początkowo posiadał przymiotnik „jagielloński”, w roku ubiegłym nazywany był „Festiwarem krakowskim”, a obecnie jest to Festiwal Nauki w Krakowie. Dla każdej z reprezentowanych na nim uczelni stanowi znakomitą okazję do promocji własnego potencjału naukowego i dydaktycznego oraz studenckiej aktywności kulturalno-społecznej.

Po raz pierwszy Festiwal Nauki zorganizowany został według nowej formuły. Trwał cały tydzień, od niedzieli 9 maja do soboty 15, tradycyjnie już zbiegając się w czasie z Juwenaliami. Festiwal rozpoczął się koncertem A. Vivaldiego *Cztery pory roku* w wykonaniu orkiestry Akademii Muzycznej. Organizatorzy niemal całkowicie zrezygnowali z cieszących się w ubiegłych latach niewielkim zainteresowaniem

wykładów. Dni od poniedziałku do czwartku wypełnione były głównie dyskusjami panelowymi oraz wycieczkami. Nasza uczelnia uczestniczyła w dwóch z siedmiu dyskusji panelowych: *Trudna sprawa – wychowanie* oraz *Etyka a polityka, czy etyka przeszkadza polityce?*

Gospodarzem pierwszej dyskusji panelowej, którą poprzedził spektakl dyplomowy A. Whiteheada 2+2 w reżyserii Jerzego Stuhra, była PWST. Przewodniczyli jej rektor tejże uczelni oraz dyrektor Instytutu Nauk o Wychowaniu AP prof. M. Szymański. Ożywiona polemika dotyczyła tezy postawionej przez prof. J. Stuhra, iż atrofia uczuć jest przyczyną aberracji zachowań międzyludzkich, prowadzących do braku porozumienia i agresji.

Drugiej dyskusji przewodniczyli prof. dr hab. Anna Karwińska z Akademii Ekonomicznej i dr Janusz Majcherek z naszej uczelni. Akademię Pedagogiczną reprezentowali także: prof. Czesława Piecuch i prof. Bronisław Łagowski. Rozmowa miała bardzo żywy przebieg, czynny udział w niej licznie zgromadzeni studenci filozofii AP. Uczestnicy zastanawiali się, czy moralność przeszkadza polityce. Mi-

mo że na tak postawione pytanie nie uzyskano jednoznacznej odpowiedzi, większość dyskutantów była zgodna, że nadmiar norm moralnych może być przeszkodą dla skuteczności działań polityków.

Najważniejszy i najbardziej dostępny dla szerokiej publiczności element Festiwalu stanowiły prezentacje w namiotach na otwartej przestrzeni w obrębie ulic Jagiellońskiej i Gołębiej. W tym roku Akademia Pedagogiczna zaprezentowała bardzo bogaty i atrakcyjny program.

Tradycyjnie interesującą ofertę zaprezentował Instytut Biologii. Oprócz wystawy fotograficznej



Przyroda wokół nas pokazano pod mikroskopem niezwykle ciekawe preparaty stawonogów, które nas kłują i gryzą. Taki sam tytuł nosiła też multimedialna prezentacja. Ofertę uzupełniała druga prezentacja pt. *Rośliny źródłem pokarmu*. Przez cały czas trwania Festiwalu pracownicy naukowo-dydaktyczni Instytutu Biologii służyli wyczerpującym komentarzem do oglądanych eksponatów. Ponadto, w przeddzień prezentacji namiotowych, Instytut Biologii zorganizował wycieczkę terenową *Przyroda wokół Krakowa*. Mimo niezbyt sprzyjającej pogody, impreza ta cieszyła się dużym powodzeniem.

Dr Henryk Kotarski z Instytutu Historii zaprezentował wystawę *Ogniem i mieczem — powieść i film w oczach historyka*. Obejmowała ona dokumenty i ikonografię wielu terenów oraz postaci historycznych. Zestawiony materiał wykazał zasadni-

cze rozbieżności między ujęciem filmowym Jerzego Hoffmana a rzeczywistością historyczną. Uzupełnieniem wystawy była prezentacja filmowa *Ogniem i mieczem J. Hoffmana a realia historyczne — zestawienie porównawcze*, którą wspólnie z dr. H. Kotarskim przygotował od strony technicznej mgr M. Pasternak. Wystawa wzbudziła duże zainteresowanie, zwłaszcza wśród turystów i starszych mieszkańców naszego grodu. Równie dużą frekwencją cieszyła się zorganizowana przez Studenckie Koło Naukowe Historyków z przyjaciółmi, studentami z Sandomierza, prezentacja wyrobów kulinarnych kuch-

ni starożytnej — greckiej, rzymskiej i egipskiej. Obiegający stoisko krakowianie mieli okazję do degustacji potraw sporządzonych według oryginalnych starożytnych receptur, z wykorzystaniem jedynej w Polsce rekonstrukcji grilla znalezionej w Pompei ponad 2 tysiące lat temu.

Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa przedstawił warsztaty pt. *W średniowiecznym skryptyorium*, pokazujące proces konstruowania i przyozdabiania średniowiecznych rękopisów. Odwiedzający nasze stanowisko goście mogli samodzielnie

wykonywać iluminacje, inicjały i wpisywać teksty do przygotowanych rękopisów.

Wzorem roku ubiegłego Instytut Sztuki zorganizował cieszący się ogromnym powodzeniem plenerowy warsztat plastyczny dla dzieci, tym razem pod hasłem *Dywan marzeń*, obejmujący płaskie kompozycje malarskie i formy przestrzenne. Prowadzący plener pracownicy naukowo-dydaktyczni i studenci Instytutu znakomicie zagospodarowali wolną przestrzeń, wynikającą z dobrej lokalizacji namiotu, dostarczając dzieciom fascynującej zabawy połączonej z nauką i rozwojem kreatywności. Warsztatom towarzyszyła także wystawa rzeźb oraz innych osiągnięć Instytutu Sztuki.

Wśród licznie odwiedzających naszą ekspozycję krakowian szczególnie dużym zainteresowaniem cieszył się konkurs karaoke pt. *Śpiewać każdy mo-*

że. Pomysł dr Wiesławy Kogut z INoW i realizacja tego wzorowanego na programie telewizyjnej *Szansy na sukces* przedsięwzięcia okazały się bardzo trafne. Swoich muzycznych sił próbowały osoby w róż-



nym wieku, w tym także wielu turystów zagranicznych. Konkurs ten stał się znakomitą okazją do integracji kulturowej studentów z kilku krakowskich uczelni, którym wspólne śpiewanie dostarczyło wiele satysfakcji, a przysłuchujący się oklaskami wyrażali uznanie dla wykonawców.

Katedra Pedagogiki Przedszkolnej i Szkolnej zaprezentowała laboratorium zabawki dydaktycznej miękkiej, pokazując najmłodszym prototypy pomysłów zabawek.

Przez obydwa festiwalowe dni Samodzielna Sekcja Promocji Uczelni i Karier Studenckich prezentowała ofertę edukacyjną Uczelni, materiały promocyjne oraz propagowała tak istotną we współczesnych czasach problematykę karier studenckich, czyli przygotowania studentów do dobrego zaistnienia na rynku pracy. Sekcja prowadziła także sprzedaż informatorów dla kandydatów oraz przygotowała prezentację multimedialną ukazującą potencjał i osiągnięcia naszej uczelni. Zaangażowanie pracowników Samodzielnej Sekcji Promocji Uczelni i Karier Studenckich z pewnością znajdzie swoje odzwierciedlenie podczas rekrutacji na nowy rok akademicki.

Trzecim – obok paneli dyskusyjnych i prezentacji w namiotach – nurtem Festiwalu są występy es-

tradowe. Wielu wzruszeń dostarczył występ zespołu artystycznego dzieci niepełnosprawnych ze Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego nr 1 w Krakowie oraz zespołu teatralnego dzieci z wadą słuchu z Zespołu Szkół dla Niedosłyszących. Obydwie placówki współpracują z Katedrą Pedagogiki Specjalnej naszej uczelni.

W ramach Festiwalu pracownicy Katedry Pedagogiki Przedszkolnej i Szkolnej przygotowali koncert edukacyjny *Muzyczne Zoo*. Odbył się on w auli budynku Wydziału Pedagogicznego i zgromadził liczne audytorium o silnie zróżnicowanym przekroju wiekowym. Koncert obejmował inscenizacje ruchowe do wykonywanej przez żeńską część chóru *Educatus* muzyki Saint-Saënsa *Karnawał zwierząt* oraz – w końcowej części – zabawę ruchową dla dzieci. Kierownikiem muzycznym i wieloletnim opiekunem chóru jest Adam Korzeniowski, autorkami inscenizacji ruchowej były R. Ławrowska i E. Cugowska, a o wystrój plastyczny zadbała prof. T. Żebrowska.

Atrakcją dla festiwalowych gości była hipoterapia oraz dogoterapia, zaprezentowana z udziałem żywych zwierząt, specjalnie przystosowanych do pełnienia funkcji terapeutycznych. Pracownicy Katedry Pedagogiki Specjalnej przygotowali stosowne plansze informacyjne. Na miejscu można było uzyskać wyczerpujące informacje, także na temat wczesnej opieki nad dziećmi niepełnosprawnymi. Ponadto KPS zorganizowała kiermasz prac osób dorosłych niepełnosprawnych z Warsztatów Terapii Zajęcio-



wej działających przy Domu Pomocy Społecznej przy ul. Łanowej w Krakowie.

Stałym punktem festiwalowym w namiocie naszej uczelni była również wystawa książek i informatorów, połączona ze sprzedażą, którą prowadziło Wydawnictwo Naukowe AP. W tym roku swoją obecność wydawniczą odnotował także Instytut Neofilologii, a pracownicy Katedry Informatyki i Metod Komputerowych zachęcali do podjęcia studiów na działającym od roku kierunku informatyka.

W ramach tegorocznego Festiwalu w murach Collegium Maius UJ odbyło się także spotkanie z profesorami, którym w maju br. przyznano godność doktora honoris causa. Miłym zatem dla naszej uczelni akcentem było wcześniejsze nadanie tej godności językoznawcom — profesorom Edwardowi i Kazimierzowi Polańskim. Profesorowie są braćmi, a jednocześnie nadanie przez tę samą uczelnię doktoratu honorowego dwóm braciom jest niewątpliwie ewenementem godnym odnotowania w *Księdze Rekordów Guinnessa*.

Warto podkreślić duże zaangażowanie wszystkich osób związanych z udziałem naszej uczelni w Fe-

wizualny zapewnił niezawodny, jak zwykle w takich sytuacjach, mgr Marian Pasternak. Koordynatorami wszystkich prac związanych z udziałem Akademii Pedagogicznej w tegorocznym Festiwalu byli: prof. Jacek Chrobaczyński z Instytutu Historii i dr inż. Janusz Morbitzer z Pracowni Technologii Nauczania. Prof. Henryk W. Żaliński, prorektor ds. nauki, jest członkiem Rady Programowej Festiwalu. Dzięki rzetelnej pracy całego zespołu nasza uczelnia po raz kolejny zaprezentowała się bardzo dobrze, a zdobyte doświadczenia zapewne pozwolą nam na jeszcze lepszy występ w roku następnym.

Impreza festiwalowa cieszyła się bardzo dużym zainteresowaniem krakowian, a także licznych turystów. Obawy organizatorów budziła pogoda, ale na szczęście i ta okazała się łaskawa, gdyż drobny, majowy deszcz pojawił się dopiero na zakończenie. Festiwal Nauki jest niewątpliwie imprezą godną pochwały, kontynuowania i jeszcze większego rozpowszechniania. Umożliwia on przeciętnemu człowiekowi bezpośredni kontakt z ludźmi nauki i studentami, przybliżając mu codzienną pracę prowadzoną w salach dydaktycznych i naukowych laboratoriach. Dla krakowskich uczelni zaś Festiwal jest znakomitą okazją do realizacji trzeciego — obok prowadzenia działalności naukowej i dydaktycznej — celu, jakim jest popularyzowanie nauki. Festiwal stwarza także znakomite szanse promocji Uczelni, jej osiągnięć i możliwości. W czasach rosnącej konkurencyjności pomiędzy uczelniami szeroka możliwość zaprezentowania swojej działalności jest ogromnie ważnym elementem walki o przyszłych studentów.

W zgodnej ocenie organizatorów tegoroczny Festiwal Nauki był przedsięwzięciem bardzo udanym i niewątpliwie największym z dotychczasowych. Organizatorzy już dziś zastanawiają się nad nową formułą Festiwalu, tak, by prezentowana oferta była jeszcze bardziej atrakcyjna i dostępna dla mieszkańców naszego grodu.

Janusz Morbitzer
Fotografował Marian Pasternak



stiwalu — od władz rektorskich, poprzez bezpośrednich uczestników, aż po służby z Działu Administracyjno-Gospodarczego i Samodzielnej Sekcji Transportu i Zaopatrzenia. Serwis fotograficzny i audio-

Nowa szkoła ćwiczeń AP

Rozszerzają się kontakty Akademii Pedagogicznej z Zespołem Szkół Ponadgimnazjalnych w Ryglicach. Po kwietniowym spotkaniu władz Uczelni z przedstawicielami tej placówki i powiatu tarnowskiego, poświęconym przygotowaniom do nadania Zespołowi imienia prof. Czesława Majorka, doszło do zawarcia umowy o współpracy między Uczelnią i ZSP. Akademię reprezentował prorektor ds. dydaktycznych, prof. Eugeniusz Wachnicki, zaś władze regionu starosta ziemskiego powiatu tarnowskiego Michał Wojtkiewicz.

Na mocy porozumienia absolwenci z Ryglic będą mieli ułatwiony dostęp do studiów w AP, w tamtejszej zaś szkole odbywać się będą – pod nadzorem pracowników naukowo-dydaktycznych Uczelni – praktyki studentów, zwłaszcza pochodzących z regionu tarnowskiego. Tym samym ryglicki Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych stanie się oficjalnie szkołą ćwiczeń AP.

Należy podkreślić, że jest to pierwsze porozumienie o współpracy dotyczące szkoły z regionu tarnowskiego z uczelnią mającą siedzibę poza Tarnowem.



НИ ПУХА, НИ ПЕРА!

znaczy POWODZENIA! A co znaczy TRKI?

W ostatnich latach wyraźnie zwiększyło się zainteresowanie nauką języka rosyjskiego. Nasi studenci nie tylko chętnie uczestniczą w zajęciach lektoratowych, ale również biorą udział w dodatkowych przedsięwzięciach dydaktycznych, które proponuje im SPNJO AP. Są także uczestnikami kursów języka rosyjskiego organizowanych przez zaprzyjaźnione z naszą uczelnią Państwowy Uniwersytet w Sankt Petersburgu i Uniwersytet Pedagogiczny w Moskwie. Biorą udział w „Spotkaniach z Kulturą Rosyjską”, organizują grupowe wyjścia na rosyjskie spektakle filmowe i teatralne

Zachęceni tą sytuacją postanowiliśmy stworzyć dla studentów (a także innych zainteresowanych) możliwość oficjalnego potwierdzenia znajomości języka rosyjskiego. W dobie, kiedy istnieje wyraźna tendencja do zdobywania przeróżnych certyfikatów, zaświadczeń i dyplomów, sięgnęliśmy po ów certyfikat do „źródła”, czyli do Rosji, a ściślej – do zaprzyjaźnionego z nami od dawna Uniwersytetu w Sankt Petersburgu. Zapoznaliśmy się z nieznanym do tej pory w Polsce systemem certyfikacji TRKI.

Rosyjski Państwowy System Testowania Obywateli Obcych Państw w Zakresie Znajomości Języka Rosyjskiego Jako Obcego (TRKI-TORFL) został opracowany w Ministerstwie Edukacji Federacji Rosyjskiej. Podstawowym organem, określającym politykę w dziedzinie testowania obywateli obcych państw w zakresie języka rosyjskiego, jest Rada Koordynacyjna ds. Rozwoju Systemu Testowania Obywateli Obcych Państw w Zakresie Języka Rosyjskiego przy Ministerstwie Edukacji Rosji. Przy Radzie

Koordynacyjnej działa niezależna komisja ds. ekspertyzy materiałów testowych, która rekomenduje przedstawiony materiał testowy do zatwierdzenia, a następnie – do stosowania. Podstawowym organem wykonawczym TRKI jest Główny Ośrodek Testowania Obywateli Obcych Państw w Zakresie Języka Rosyjskiego przy Ministerstwie Edukacji Rosji. Rosyjski, państwowy, wielostopniowy system testowania wchodzi w skład ALTE (*Association of Language Testers in Europe*) i jest reprezentowany w Międzynarodowym Stowarzysze-



niu ds. Oceny Poziomu Kształcenia (IAEA) oraz w innych zagranicznych organizacjach. Egzamin składa się z 5 części: leksyki i gramatyki, pisania, czytania ze zrozumieniem, rozumienia ze słuchu oraz mówienia.

W 2003 roku rektor naszej uczelni podpisał umowę o współpracy z Ośrodkiem Testowania Uniwersytetu w Sankt Petersburgu.

Na początku roku akademickiego 2003/2004 zdecydowaliśmy się na przygotowanie grup zaawansowanych na lektoratach języka rosyjskiego do zdawania egzaminu na Certyfikat Europejski w Systemie TRKI, na poziomie TRKI-1 (odpowiednik B1 w systemie Rady Europy). Studenci z dużym optymizmem podjęli wyzwanie. Od listopada rozpoczęliśmy zajęcia, które przygotowywały słuchaczy do tego egzaminu. Czas szybko mijał, zajęcia były bardzo intensywne, ale przed egzaminem zdenerwowanie studentów udzieliło się i nam, wykładowcom. Postanowiliśmy zatem przeprowadzić egzamin próbny, którego celem było pokazanie, jak wygląda właściwy egzamin. Studenci stanęli też przed dylematem: z jednej strony – możliwość zdobycia bardzo dobrego Certyfikatu, który jest zwieńczeniem wieloletniej nauki tego języka, a z drugiej strony – dość wysoka cena egzaminu, dla studenta niebagatelna. Do egzaminu próbnego przystąpiło 125 osób. Odpowiedź: – „Potrafię, a przynajmniej spróbuję” dało 81 osób.

*

W dniach 24–28 maja 2004 r. w Studium Praktycznej Nauki Języków Obcych AP odbył się pierwszy w Polsce egzamin języka rosyjskiego TRKI-1. Przystąpiło do niego 81 osób i wszyscy pomyślnie go zdali.

Komisja Egzaminacyjna składała się z czterech osób: dwie ze strony rosyjskiej, docent Tatiana Nesterowa, zastępca dyrektora Ośrodka Testowania Uniwersytetu w Sankt Petersburgu oraz docent Marina Łużkowska, i dwie osoby ze strony polskiej, z europejskimi uprawnieniami egzaminacyjnymi TRKI, pani Ewa Tarantowicz, tłumacz przysięgły języka rosyjskiego przy Sądzie Wojewódzkim w Krakowie i niżej podpisana Helena Ples.

Helena Ples: Kiedy wprowadzono obecny system testowania? Czy są inne systemy?

Tatiana Nesterowa: – TRKI to jedyny obowiązujący system w Rosji. Działa od 1995 roku. Od 1996 roku Rosyjski Państwowy System Testowania w zakresie Języka Rosyjskiego jest członkiem ALTE (*Association of Language Testers in Europe*). Państwowy test w zakresie języka rosyjskiego przeprowadzany jest na sześciu poziomach komunikatywnej kompetencji.



Kto podlega obowiązkowi testowania?

– W Rosji obowiązkowi testowania podlegają obywatele obcych państw, którzy rozpoczynają studia na rosyjskich wyższych uczelniach. Jako uzupełnienie egzaminów w zakresie ogólnej znajomości języka rosyjskiego przeprowadza się testowanie z języka rosyjskiego jako środka zawodowego porozumiewania się, a także z języka specjalistycznego. A zatem – dotyczy to wszystkich, którzy podejmują studia, studia doktoranckie oraz pracę na terenie Rosji.

Ile jest Ośrodków Testowania?

– W Rosji wiele. Główny Ośrodek znajduje się w Moskwie, a w całym kraju istnieją Ośrodki Regionalne, m.in. na Uniwersytecie w Sankt Petersburgu (SPGU). Ośrodek ten SPGU prowadzi testowanie obcokrajowców w wielu jednostkach naukowych Sankt Petersburga i Rosji, a także za granicą, na przykład we Włoszech, Japonii, Francji, Szwecji, Anglii...

Ośrodek Testowania SPGU i Akademia Pedagogiczna w Krakowie podpisały w zeszłym roku umowę o współpracy w zakresie testowania z języka rosyjskiego. Akademia Pedagogiczna jest jedynym ośrodkiem z takimi uprawnieniami w Polsce. Na certyfikatach, obok nazwy Uniwersytetu w Sankt Petersburgu, będzie umieszczona nazwa ośrodka, w którym przeprowadzono egzamin – Akademii Pedagogicznej w Krakowie.

Marina Łużkowska: – Egzamin, który właśnie zakończyliśmy, to nasza „premiera” w Polsce. Do tej pory żaden Polak do niego nie przystąpił.

Jak Panie oceniają poziom naszych zdających?

M.Ł.: – Bardzo wysoko. Wiele z tych osób mogłoby sięgnąć po wyższy stopień – TRKI-2, odpowiednik B2 w systemie Rady Europy. Na pewno związane to jest z naszymi wspólnymi, słowiańskimi korzeniami językowymi. Polacy lepiej pojmują zawiłości gramatyczne języka rosyjskiego, niż na przykład, Niemcy, dla których, jak to się mówi – dla zachęty, stworzono kiedyś uproszczony system testowania TELC.

Absolwenci polskich uczelni będą prawdopodobnie zobowiązani do znajomości języka

obcego, odpowiadającej poziomowi B2 Europejskiego Systemu Opisu Kształcenia Językowego Rady Europy. To poważne zadanie dla nauczycieli i wykładowców.

T.N.: – W zakresie języka rosyjskiego nie mam obaw. Miałymy tu przykład bardzo dobrego przygotowania do egzaminu. Przecież wszyscy zdali! Lepiej, gorzej... Ale zdali! Egzaminy na poziomie TRKI-2, tj. B2, będą trudniejsze, to oczywiste. Ale do stycznia, czy do czerwca 2005 roku, kiedy planujemy kolejne egzaminy, jest dużo czasu. Wszystkim życzymy wytrwałości i sukcesów.

M.Ł.: – НИ ПУХА, НИ ПЕРА! (powodzenia!, dosłownie: ani puchu, ani pióra)

T.N.: – К ЧЁПТЫ! (dosłownie: idź do diabła)

PS Uważam, że byłoby dobrze, gdyby absolwenci naszej uczelni obowiązkowo – kończąc naukę języków obcych – zdawali egzaminy na Certyfikat Europejski. Podniesie to jeszcze bardziej prestiż Akademii Pedagogicznej i SPNJO i będzie stanowił niezłą zachętę i motywację do uczenia się języków obcych, co w konsekwencji ugruntuje wiedzę absolwentów. A przed wykładowcami stanie nowe wyzwanie.

HP



Profesor Władysław Miodunka

o dwujęzyczności

13 maja gościł w murach Instytutu Filologii Polskiej profesor Władysław Miodunka, językoznawca, zajmujący się m.in. zjawiskiem bilingwizmu. Podzielił się z pracownikami naukowymi AP swoimi doświadczeniami z pobytu w Brazylii, gdzie prowadził badania nad dwujęzycznością Brazylijczyków polskiego pochodzenia. Szczególną uwagę zwrócił na kreatywne możliwości wykorzystania języka oraz poczucie tożsamości narodowej, etnicznej. Własne wnioski skonfrontował z założeniami lingwistyki kulturowej i humanistycznej.

Rozważania połączone były z prezentacją nowej książki profesora – *Bilingwizm polsko-portugalski w Brazylii*. Autor zauważył, że do rzadkości należy świadomość wartości własnej dwujęzyczności, a przecież jest to narzędzie rozwoju jednostki.

Swoje refleksje przeplatał żartobliwymi opowieściami, np. o filozofie polskiego pochodzenia, który tłumaczył teksty Władysława Tatarkiewicza, nieświadomie posługując się gwara mazurzącą. Zwrócił też uwagę na postawę szacunku dla języka, jaką reprezentuje Jan Paweł II, który w trakcie swoich pielgrzymek stara się przemawiać językiem narodowym danego kraju, wyrażając w ten sposób szacunek dla kultury i odrębności. Tworząc encykliki, posługuje się zaś językiem, w którym czuje się zadowolony (językiem polskim), a dopiero później tłumaczy się je na języki świata.

W części dyskusyjnej spotkania poruszono zagadnienie bilingwizmu młodzieży, używającej na lekcjach języka literackiego, natomiast w sytuacjach pozaszkolnych „nowomowy” niezrozumiałej dla starszych, która jest zlepkiem slangu komputerowego, wulgaryzmów i formuł zapożyczonych z angielskiego. W obliczu zagrożenia „zaśmieceniem” języka, prof. Miodunka doradza ukazywanie uczniom celowości posługiwania się staranną polszczyzną, która świadczy o kulturze człowieka, zapewnia czytelność wypowiedzi i właściwe zrozumienie intencji nadawcy.

Poruszono także problem języka narodowego w kontekście wstąpienia do Unii Europejskiej. Czy tożsamość językowa i kulturowa jest w stanie przetrwać? Obaw nie potwierdza zaproszony gość, twierdząc, że Polacy za granicą są uznawani za szczególnie przywiązanych do swego języka i kultury.

Marta Widurska

Dbajmy o integrację

Kierowanie dzieci do szkół specjalnych lub klas specjalnych na stałe powinno być wyjątkiem, a przy tym powinno być zalecane jedynie w rzadkich przypadkach, gdy bez wątpienia wiadomo, że nauczanie w salach lekcyjnych szkoły powszechnej nie zaspokoi edukacyjnych lub społecznych potrzeb dziecka, bądź gdy jest to wymagane z uwagi na dobro jego lub innych dzieci. To w ramach szkół integracyjnych dzieci ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi otrzymują takie wsparcie, jakiego wymagają w celu zapewnienia skuteczności ich kształcenia

Szkołnictwo integracyjne jest najskuteczniejszym środkiem budowania solidarności między dziećmi ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi i ich rówieśnikami, dlatego też o ten rodzaj edukacji dbać powinniśmy szczególnie i wspierać tego rodzaju placówki już istniejące. Z doświadczeń wiem, że aby proces integracji w szkole przebiegał prawidłowo, konieczna jest dobra wola kilku stron. Potrzebni są rodzice dzieci zdrowych, którzy ze zrozumieniem podchodzą do integracji. Potrzebni są rodzice dzieci niepełnosprawnych, którzy współpracują ze szkołą, potrafią zrozumieć obawy i racje rodziców dzieci zdrowych. Potrzebni są też nauczyciele, którzy chcą pracować w klasach integracyjnych, robią to z pasją i zaangażowaniem. Potrzebna jest dobra wola dyrekcji szkół i władz samorządowych. Wtedy istnieje duża szansa, że integracja się powiedzie i korzyści wyniosą zarówno dzieci niepełnosprawne, jak i zdrowe.

Podstawowe założenie systemu kształcenia integracyjnego brzmi: „każdy może się uczyć, choć nie wszyscy mogą się uczyć tego samego i w tym samym tempie”. Dbajmy zatem o edukację integracyjną, ma ona bowiem lepiej przygotować dziecko do normalnego życia w społeczeństwie. Kontakty z pełnosprawnymi rówieśnikami, wspólna zabawa, zajęcia, lepiej stymulują rozwój, wzmacniają i uruchamiają mechanizmy kompensacyjne, a w konsekwencji podnoszą jakość życia osób niepełnosprawnych.

Integracja taka jest tendencją niewątpliwie słuszną i uzasadnioną, jednakże w jej realizacji należy uwzględnić pewne kryteria. Jest wtedy celowa i uzasadniona, jeśli ułatwi dziecku integrację społeczną, jeśli zapewni mu korzystniejsze warunki ogólnego rozwoju. Pamiętajmy zatem, iż dziecko o specjalnych potrzebach edukacyjnych musi uzyskać dodatkową pomoc. Pomoc ta zawsze musi mieć charakter wieloaspektowy. W kształceniu integracyjnym, gdzie różne formy pracy z uczniami sprawnymi muszą być stale uzupełniane, modyfikowane i doskonalone, niezbędne jest zapoznavanie nauczycieli z problematyką pedagogiki specjalnej.

„Dbać o integrację” to zapewniać w placówkach stałą obecność specjalistów: psychologa, pedagoga, nauczyciela kształcenia specjalnego, logopedy, rehabilitanta. Ich obecność jest korzystna dla dzieci, ponieważ mogą mieć terapię w czasie pobytu w szkole; dla nauczycieli – bo na bieżąco mogą korzystać z wiedzy i wsparcia kolegów, no i dla rodziców, gdyż zwalnia to ich z uciążliwych dojazdów do różnych poradni.

Klasy integracyjne są częścią nowoczesnej szkoły, twórczej i przyjaznej. Są miejscem naturalnej nauki tolerancji, wrażliwości, otwartości i akceptacji, o które trzeba dbać i rozwijać. Kształtują wiarę we własne siły, odwagę twórczego działania, umiejętności poszanowania własnej i cudzej godności. Umożliwiają pełne uczestnictwo dzieci niepełnosprawnych

w życiu i rozwoju społecznym dzięki obcowaniu z rówieśnikami, akceptację odmienności drugiego człowieka, nawiązywanie kontaktów. Rozbudzają świadomość, że wszyscy ludzie mają równe prawa, choć różne są ich możliwości. Stwarzają optymalne warunki do wspólnego rozwoju osobowości dzieci zdolnych, przeciętnych, zaniedbanych wychowawczo czy opóźnionych w rozwoju.

Każde dziecko pragnie być akceptowane bez względu na stan swego zdrowia, sprawność, uzdolnienia lub środowisko rodzinne. Ta potrzeba jest nasiloną u dzieci, które mają trudności szkolne i przystosowawcze, gdyż jest wówczas zachwiane poczucie własnej wartości i zaniżona samoocena. Okazujemy więc akceptację dzieciom, gdyż spełnia to ważną funkcję regulującą ich zachowanie. Działania rodziców i ich postawy również winny zmierzać do tego, aby wszystkie dzieci w zespole klasowym czuły się szanowane, ważne, dostrzegane, uznane i zrozumiane, bowiem to właśnie postawy rodziców kształtują nastawienia, oczekiwania dzieci wobec rówieśników i świata, pozwalają korzystać z zasobu doświadczeń, na których dziecko buduje swoją hierarchię postępowania i wartości.

Oświata integracyjna stanowi szansę wychowania nowego pokolenia w inny sposób, aby miało zrozumienie, tolerancję i poszanowanie dla słabszych członków grup społecznych. „Dbać o integrację” jako nowy system pedagogiczny to wdrażać daleko idące reformy organizacji warunków nauczania, zmiany w metodyce prowadzenia zajęć, we współżyciu uczniów i relacjach między nauczycielami, a także współpracy z rodzicami. Dziecko psychicznie lub fizycznie niepełnosprawne winno mieć zapewnione pełne i normalne życie w warunkach zabezpieczających osiągnięcie niezależności oraz ułatwiających aktywne uczestnictwo w życiu społecznym.

W tak rozumianym podejściu do ciągłej pracy, polepszania, dbania o system kształcenia integracyjnego w szkole i klasie kładzie się nacisk na celowość nauczania, które powinno się skupiać wokół nadawania osobistego znaczenia zdobywanym doświadczeniom, różnorodność zajęć, rolę refleksji w uczeniu się, odpowiednią organizację czasu, dającą możliwość korzystania z pomocy tak, by nauczyciel miał szansę na maksymalną interakcję z dziećmi. Praktyka pedagogiczna w pracy z dziećmi o specjalnych potrzebach edukacyjnych wskazuje, iż właśnie te zabiegi wpływają korzystnie na rozwój osobowości dziecka.

Uogólniając, można przyjąć, iż każda placówka edukacyjna w celu efektywnego wspierania i rozwoju całego procesu integracji dzieciom niepełnosprawnym powinna zapewnić: szeroko pojętą komunikację z uczniem, w tym komunikację alternatywną i wspomagającą dla dzieci niemówiących i dzieci z zaburzoną mową; indywidualne programy edukacyjno-rewalidacyjno-terapeutyczne, dostosowane do potrzeb rozwojowych i możliwości dzieci; program wychowania usprawniającego przy uwzględnieniu specyficznej roli nauczyciela; spójność oddziaływań realizowaną we współpracy z rodziną i zmierzającą do jak największej samodzielności dziecka; nowoczesną technologię (komputerowe wspomaganie nauczania) oraz poszukiwanie sposobów aktywizacji dziecka poprzez tworzenie sytuacji umożliwiających samodzielne działanie, dokonywanie wyborów, podejmowanie decyzji i ponoszenie odpowiedzialności za wybór; integrowanie oddziaływań oraz realizowanych programów nauczania na szczeblu planowania pracy z poszczególnymi uczniami (rodzic powinien być pełnoprawnym członkiem zespołu specjalistów); zapewnienie pełnego rozwoju osobowości dziecka poprzez udział w życiu społecznym – integracja pozaszkolna.

Gabriela Chmielewska



Książka, którą czytam

Jan Pieszczachowicz

Dar serca i dowód wdzięczności

Tak właśnie określili intencje towarzyszące wydaniu zbioru prac „Zbliżenia historycznoliterackie” ofiarowanego prof. Stanisławowi Burkotowi na pięćdziesięciolecie jego pracy w Akademii Pedagogicznej redaktorzy. Oczywiście nie idzie wyłącznie o dar serca — ten jest niewątpliwy, zważywszy sympatię i poważanie, jakim cieszy się prof. Burkot nie tylko w swojej macierzystej Uczelni — ale i rozumu oraz trafnego namysłu

Bo ta książka jest paralelna w stosunku do naukowych zainteresowań jubilatą, do przebiegu jego kariery naukowej i krytycznoliterackiej. Trzeba bowiem podkreślić, że dorobek Burkota obejmuje szerokie obszary, od literatury XIX w. po dziś, i od bardzo poważnych, pracochłonnych i cechujących się rzadko dziś spotykaną sumiennością badawczą prac historycznoliterackich po wnikliwe analizy literatury najnowszej, gdzieś z pogranicza nauki oraz eseistyki.

Przestrzeń między J.I. Kraszewskim, którym Burkot zajmował się owocnie w początkach kariery naukowej i później pod wpływem swego mistrza prof. Wincentego Danka, oraz poezją i prozą współczesną jest ogromna, wypełniona solidnie, ze znanstwem i pomysłowością interpretacyjną. Podobnie jest w poświęconej mu księdze, podzielonej na dwie części: *Między dawnymi... a nowszymi laty*, począwszy od F. Karpińskiego po uwikłane w najnowsze metody dociekań teoretycznoliterackich rozważania Z. Bauera. Współbrzmienie autorów książki z jej patronem polega m.in. na tym, że starają się — każdy na swój sposób — wykazać dociekliwość i solidność, a także otwarty stosunek do dzieł i czasów, w jakich powstały. Polega to na łączeniu aspektu hi-

storycznego ze współczesnym punktem widzenia. Cechy te występują oczywiście w różnym natężeniu, w większej i mniejszej skali.

Wśród tej obfitości recenzent ma prawo przypomnieć prace, które szczególnie zwróciły jego uwagę z różnych powodów, bo na omówienie całości nie ma szans. Z zainteresowaniem przeczytałem relację F. Ziejki pod trafnym tytułem *Śmierć proroka* — o echach zgonu A. Mickiewicza. My dziś z trudem możemy sobie wyobrazić, czym była dla poprzednich pokoleń literatura, gdy S. Goszczyński pisał w *Pieśni pogrobnej Mickiewiczowi*:

„Na kolana, Polsko cała!

Czoło w proch i na kolana —

I uderzaj pierś twą w skrusze!”

Ujęła mnie relacja J. Kolbuszewskiego *Z dziejów romantycznego podróżopisarstwa...* o wyprawie M. Morzkowskiego na szczyt Brockenu — by sprawić przyjemność jubilatowi, który bardzo ciekawie opisał podróże romantyków i ich kulturowe znaczenie. A z prac dotyczących Kraszewskiego (wszystkie godne uznania) chciałbym wyróżnić — oczywiście bardzo subiektywnie — artykuł J. Bachorza noszący podtytuł *Kraszewski o lasach i drzewach*. No cóż, kiedyś o ekologii się nie rozprawiało, za to wszystko,

co rosło i żyło obdarzało się miłością, i łatwiej było z tym żyć. Zaś T. Bujnicki pomógł mi raz jeszcze uświadomić sobie, jak świetną mieliśmy ongiś nowelistykę w artykule *Jeden rok polskiej noweli (między Prusem a Sienkiewiczem)*: ten rok to 1880.

Wyraźnie *con amore* – choć z zachowaniem rygorów badawczych – zostały napisane prace Henryka Markiewicza *Żeromski w Krakowie i wśród krakowian* oraz Bolesława Farena o *Listach ze wsi Władysława Orkana* czytanych dzisiaj. Markiewicz interesująco kreśli ambiwalencję odczuć Żeromskiego w odniesieniu do Krakowa – od „patetyczno-szyderczej dwoistości” po „elegijne wzruszenie”. Farena, zaangażowanego w przeszłość kultury chłopskiej (czy też wiejskiej) kusi myśl, czy pisarstwo Orkana mogłoby pełnić dziś rolę inspiratorską w pewnych dziedzinach, m.in. w marzeniach o „prawdziwie demokratycznej Rzeczypospolitej”.

Wśród analiz tyleż subtelnych, co mądrych metodologicznie wyróżnić należy studium o jednym z wierszy Bolesława Leśmiana pt. *Dom na granicy świata* Elżbiety Feliksiak, rozważania Jerzego S. Ossowskiego *Egzystencjalizm Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego* (choć można się z autorem nieco popierać, jeśli idzie o snucie może nazbyt szerokich paralel), *Strategię obcego w prozie lat dwudziestych*

Stanisława Jaworskiego, *Pochwałę Fortynbrasa* Adama Kulawika nieulegającego narosłym już stereotypom twórczości Zbigniewa Herberta, a także pracę poświęconą temuż poecie Jacka Rozmusa. Sześciu horyzont poznawczy prezentują też: B. Tokarz w *Poetyckim dyskursie o poezji*, Bogusław Gryszkiewicz w *O czerni czarnego humoru* i Zbigniew Bauer w *Opowiedzcie chwilę*. Nie można pominąć rozprawy Czesława Kłaka *Stanisław Pigoń. Trzydziestolecie ostatnie*.

Uogólnień nie będzie, choć zaryzykujmy takie: metody zaprezentowane w książce poświęconej Stanisławowi Burkotowi zdają się dowodzić, że najlepsza jest – by tak rzec – metodologia stosowana, nie ulegająca zbyt modom oraz różnego rodzaju rygoryzmowi, elastyczna, humanistyczna w dawnym znaczeniu czyli ludzka, a nie mechaniczna, fascynująca się chwytami, z których często nie wynika nic, poza popisaniem się np. znajomością dekonstrukcjonizmu.

Cieszę się, że mój przyjaciel, prof. Stanisław Burkot, takiej książki doczekał.

Zbliżenia historycznoliterackie. Prace ofiarowane Profesorowi Stanisławowi Burkotowi, pod red. T. Budrewicza, M. Busia i A. Gurbiela. Wydawnictwo Naukowe AP, Kraków 2003, 522 s.

Sylwetki uczonych

Stanisław Jodłowski Z perspektywy dwudziestu pięciu lat, jakie upłynęły od śmierci Profesora Stanisława Jodłowskiego, wyraziście rysują się jego zasługi związane z kształceniem polonistów w krakowskiej WSP, ale także z organizowaniem środowiska językoznawców związanych początkowo z Uniwersyteciem Jagiellońskim. Był związany z kręgiem badaczy zajmujących się potrzebami polskiej szkoły i oświaty.



Dopiero z perspektywy ćwierćwiecza można określić prekursorskie dokonania profesora: rozwój nowych kierunków, tendencji i metodologii językoznawstwa, kategoryzacja językowa (filozoficzne i językoznawcze podstawy klasyfikacji części mowy). Interesował się żywo kulturą języka polskiego, zagadnieniami poprawności językowej w mowie i piśmie, w teorii i praktyce. Inspirował badania, które stworzyły językoznawcze podstawy dla dydaktyki nauczania języka polskiego i literatury, a tym samym był prekursorem wpisanej w nazwę Katedry Lingwistyki Edukacyjnej, która może stać się w przyszłości wyróżnikiem metodologicznym dydaktyk szczegółowych i studiów nauczycielskich w Akademii Pedagogicznej.

Profesor Stanisław Jodłowski należał do generacji naukowców krakowskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, która okres młodości spędziła w latach międzywojennych, wówczas rozpoczynała nauczycielską, dydaktyczną i pedagogiczną praktykę, która stworzyła koncepcję tej nauczycielskiej akademickiej uczelni i tej koncepcji broniła.

Stanisław Jodłowski urodził się 14 grudnia 1902 roku we wsi Tarnawka, zaś gimnazjum klasyczne ukończył w Przemyślu. Studia wyższe z filologii polskiej odbył w Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, kończąc je w roku 1929 doktoratem starego typu, a następnie uzupełniając dyplomem magistra.

Pracę naukową rozpoczął w tymże uniwersytecie, pełniąc obowiązki młodszego, a potem starszego asystenta w Katedrze Języka Polskiego, prowadzonej przez prof. Henryka Gaertnera, i w Katedrze Filologii Słowiańskiej, kierowanej przez prof. Witolda Taszyckiego. Podczas asystentury uczył zarazem języka polskiego w VI Gimnazjum we Lwowie. W trakcie tej pracy zrodziły się i umocniły zawiązki przyszłych zainteresowań dydaktycznych Profesora. Pełnił funkcję redaktora w wydawnictwie Książnica Atlas, a napotykanne w tekstach wątpliwości interpunkcyjne doprowadziły do zbadania problematyki i napisania książki *Zasady interpunkcji* (1935). Wspólnie z prof. W. Taszykim opracował podręcznik ortografii i interpunkcji w postaci książki *Zasady pisowni polskiej i interpunkcji ze słownikiem ortograficznym* (1936). W czasie wojny brał udział w tajnym nauczaniu.

W roku 1946 Stanisław Jodłowski przenosi się do Krakowa i powraca do pracy w szkole wyższej. Pracuje kolejno: w PWSP w Katowicach, w PWSP i WSP w Krakowie (1947–1969), w Uniwersytecie Jagiellońskim (od 1961 do śmierci jako kierownik Zakładu Metodyki Nauczania Języka Polskiego i Literatury Polskiej). W naszej uczelni pełnił funkcję kierownika Katedry Języka Polskiego (1955–1969), dziekana Wydziału Filologiczno-Historycznego (1950–1956), prorektora (1956–1962).

W krakowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej wykształcił liczne grono językoznawców (m.in. Jan Zaleski, Maria Schabowska, Józefa Kobylińska, Anna Dyduchowa, Leszek Bednarczuk, Elżbieta Koniusz, Halina Wiśniewska, Maria Teresa Liziośowa, Edward Stachurski, Edward Klisiewicz, Teodozja Rittel, Barbara Guzik).

Szczegółowe informacje dotyczące życiorysu naukowego i społecznego prof. Stanisława Jodłowskiego znaleźć można w Księdze pamiątkowej *Symbolae polonicae in honorem Stanisłai Jodłowski*, opublikowanej w 1972 roku w siedemdziesięciolecie urodzin Profesora.

W pierwszą rocznicę śmierci Profesora została zorganizowana konferencja poświęcona jego dokonaniom. W świetle wygłoszonych referatów ukazała się postać Stanisława Jodłowskiego jako jednego z najwybitniejszych polskich językoznawców. Jego zainteresowania naukowe były rozległe i wielostronne, obejmowały różne dziedziny wiedzy o języku i dyscypliny graniczne. Był niewątpliwie prekursorem w zakresie takich dyscyplin jak psycholingwistyka rozwojowa, socjolingwistyka (badania nad językiem mówionym i odmianami środowiskowymi polszczyzny), stylistyka językoznawcza. Rozwijał nowatorskie wtedy koncepcje na gruncie lingwistyki kognitywnej i kulturowej.

Był Stanisław Jodłowski nie tylko wybitnym naukowcem, lecz także znakomitym pedagogiem, autorem podręczników dla szkół podstawowych, średnich i wyższych, wychowawcą kilku pokoleń filologów-polonistów. Cechowała go ogromna serdeczność i życzliwość wobec ludzi, z którymi współpracował i których nauczał.

Prace naukowe Profesora weszły na trwałe do nauki polskiej i w wielu koncepcjach wyprzedzały najnowsze propozycje z zakresu pragmalingwistyki czy lingwistyki kognitywnej. Stawiają Stanisława Jodłowskiego w rzędzie najpoważniejszych uczonych językoznawców, polonistów i dydaktyków naszych czasów. Takim też pozostał w naszej pamięci.

Jan Ozdżyński

Tadeusz Milewski Urodził się 17 maja 1906 r. Studiował na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie językoznawstwo słowiańskie pod kierunkiem profesora Tadeusza Lehra-Spławińskiego i już jako student wydał w 1927 r. *Dwie bulle uroclawskie z lat 1155 i 1245* („Prace Filologiczne” XI), a w r. 1929 uzyskał doktorat na podstawie pracy *Przyczynki do dziejów języka połabskiego* („Slavia Occidentalis” VIII). W tym też roku, wraz z T. Lehrem-Spławińskim przeniósł się do Krakowa, gdzie podjął zajęcia dydaktyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1931 przedstawił na I Zjeździe Filologów Słowiańskich w Pradze referat o stanie badań nad językiem połabskim. Poglębiał studia indoeuropeistyczne w Paryżu, a w r. 1933 habilitował się na Uniwersytecie Jagiellońskim na podstawie rozprawy *Rozwój fonetyczny wygłosu prasłowiańskiego* („Slavia” XI) i objął wykłady w Katedrze Filologii Słowiańskiej.

Wraz z innymi profesorami UJ został aresztowany 6 listopada 1939 i do jesieni 1940 r. przebywał w obozach koncentracyjnych w Sachsenhausen i Dachau, ale nawet tam nie zaprzestał działalności naukowej. Pod wpływem profesora Tadeusza Kowalskiego zainteresował się językami tureckimi i powziął zamiar napisania syntezy języków świata. W czasie okupacji uczestniczył w tajnym nauczaniu, rozpoczął też pracę nad *Zarysem językoznawstwa ogólnego*, którego część pierwsza *Teoria językoznawstwa*, ukazała się w 1947 r. w Lublinie (cz. 2 *Rozmieszczenie języków* wyszła w 1948 r.). Planowana część 3 *Typologia*, nigdy nie została ukończona.

W 1946 r. Tadeusz Milewski został docentem etatowym UJ, w 1949 – profesorem tytularnym i członkiem Polskiej Akademii Umiejętności, a w 1954 – profesorem nadzwyczajnym w Katedrze



Językoznawstwa Ogólnego. W latach 1950–1965 prowadził wykłady z językoznawstwa w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie, gdzie dla słuchaczy Studium Zaocznego przygotował skrypt *Wstęp do językoznawstwa* (1954). W 1956 r. został profesorem Milewski dziekanem Wydziału Filologicznego UJ (1957–1960), a profesorem zwyczajnym w 1960 r. Przez kilka lat prowadził dla młodych pracowników naukowych konwersatorium na temat nowych kierunków (strukturalizm, lingwistyka matematyczna, typologia). Zmarł po długiej chorobie 5 marca 1966 w Krakowie. Uroczystościom pogrzebowym przewodniczył były student i wieloletni przyjaciel profesora, arcybiskup krakowski Karol Wojtyła.

Profesor Milewski zajmował się teorią języka, dziejami językoznawstwa, typologią i geografią lingwistyczną, zwłaszcza językami indiańskimi, kaukaskimi i afrykańskimi. Przede wszystkim jednak uprawiał gramatykę porównawczą języków indoeuropejskich, ze szczególnym uwzględnieniem języków słowiańskich, a ponadto bałtyckich, irańskich, hetyckiego, greki oraz indoeuropejskich języków Bałkanów. Wiele miejsca w swej twórczości naukowej poświęcił genezie i historii polskiego języka literackiego. Sięgał też do filozofii, etnologii, historii kultury i teorii dzieła literackiego. Przetłumaczył i filologicznie opracował spisane po aztecku w XVI w. *Zdobycie Meksyku* (1959) oraz *Wstęp do językoznawstwa indoeuropejskiego* (1957) A. Meilleta. Opublikował około 250 prac, w tym wiele rozpraw w postaci omówień i recenzji.

Z perspektywy lat za najważniejsze osiągnięcia naukowe profesora Milewskiego należy uznać *Zarys językoznawstwa ogólnego* (1947–1948), jako pierwszą i niezastąpioną do dziś polską syntezę języków świata, odkrywcze studia nad typologią języków Indian amerykańskich, teoretyczne podstawy typologii językoznawczej. Profesor Milewski miał wybitne zdolności syntetyzujące i szerokie horyzonty myślowe, co przy niezwyklej pracowitości pozwoliło mu objąć całość wiedzy o językach świata. Cechowała go oryginalność pomysłów badawczych, ostrożność i docieklivość, a zarazem jasny sposób formułowania myśli i przystępność wykładu naukowego. Jako człowiek był pełen życzliwości i dobroci, odznaczał się optymizmem i ogromnym poczuciem humoru. Miał odwagę głoszenia swoich poglądów i przekonań, a w sytuacjach krańcowych stać go było na determinację.

Leszek Bednarczuk

Mieczysława Romankówna W lipcu 1962 r. Rada Wydziału Filozoficzno-Historycznego WSP w Krakowie powołała na etat docenta w Katedrze Historii Literatury Polskiej kierowanej przez prof. Jana Nowakowskiego dr hab. Mieczysławę Romankównę. Spełniała ona oczekiwania grona zatrudnionych w Uczelni nie tylko polonistów. Łączyła bowiem doświadczenia wieloletniego nauczyciela szkół średnich z kompetencjami pracownika nadzoru pedagogicznego oraz doświadczonego, powszechnie cenionego literaturoznawcy, którego zainteresowania prozą polską XIX wieku, szczególnie romantyzmem mogły wzbogacić obszar badawczy zespołu Katedry.

Urodzona 18 sierpnia 1910 r. w Krakowie, edukację odbywała w Państwowym Żeńskim Gimnazjum Humanistycznym im. S. Sczanieckiej w Łodzi, a następnie studiowała filologię polską w Uniwersytecie Jagiellońskim, uzyskując dyplom magistra po napisaniu monografii czasopisma literackiego „Pszczółka Krakowska” (1918–1822) pod kierunkiem prof. Stanisława Piłgonia w 1935 r. Ujawniła w tej pracy umiejętności nieprzeciętne, skoro jej promotor rekomendował rzecz do druku w serii Biblioteki Krakowskiej (1939). Z perspektywy historyka prasy mogę potwierdzić celność decyzji promotora, do dziś pozycja ta wyróżnia się swym charakterem i stanowi przykład kompetentnie napisanej monografii czasopisma.



Mieczysława Romankówna została nauczycielką, ucząc języka polskiego i historii w Prywatnym Gimnazjum i Liceum Żeńskim Janiny Czapczyńskiej w Łodzi, zaś po dwuletniej praktyce nauczycielskiej uzyskała w 1937 r. Dyplom Nauczyciela Szkół Średnich, zdając egzamin przed Komisją Egzaminów Państwowych na Nauczycieli Średnich w Warszawie. Łódź stała się dla M. Romankówny miejscem żywszej działalności w środowiskach twórczych, rozwinęła działalność publikacyjną. W 1938 r. znalazła się w składzie redakcji „Kolumny Łódzkiej”, dodatku do „Kuriera Łódzkiego”, została członkiem Komisji Wydawniczej Łódzkiego Oddziału Towarzystwa Polonistów Rzeczypospolitej Polskiej. Rok później powołano ją w skład komitetu redakcyjnego jednego z ważniejszych czasopism naukowych w kraju – „Prac Polonistycznych”. Wybuch wojny w 1939 r. sprowadził ją do Krakowa, pracowała najpierw w szpitalu, a później w okienku pocztowym. Te zajęcia pozwoliły jej na stosunkowo bezpieczne prace w tajnym nauczaniu, a także na prace badawcze nad twórczością Elizy Orzeszkowej. Na podstawie napisanych wtedy rozpraw, które złożyły się na opublikowaną 3 lata później książkę *Na nowych drogach. Studia o Elizie Orzeszkowej*, w lipcu 1945 r. uzyskała tytuł doktora na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jej promotorem był prof. Stanisław Pigoń.

Po zakończeniu działań wojennych wróciła do zawodu nauczycielskiego, ucząc w średnich szkołach krakowskich (1945–1948); a od 1948 r. podjęła pracę w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych. Praca jej spotykała się z wysoką oceną, stąd też po powstaniu w Warszawie w 1954 r. Centralnego Ośrodka Pedagogicznego Szkolnictwa Artystycznego stała się jego konsultantem oraz kierownikiem Sekcji Przedmiotów Humanistycznych w Zespole Metodyczno-Programowym Szkolnictwa Artystycznego w Krakowie, hospitując szkoły artystyczne w województwach krakowskim i kieleckim (1954–1962). W 1956 r. Minister Kultury i Sztuki powołał ją w skład Prezydium Rady Naukowej Centralnego Ośrodka Pedagogicznego Szkolnictwa Artystycznego.

Mimo tych pedagogiczno-organizacyjnych obowiązków M. Romankówna nie zaniedbywała pracy badawczej. Nadal interesowała się twórczością Elizy Orzeszkowej, ale też zafascynowała ją biografia i twórczość Narcyzy Żmichowskiej, działalność entuzjastek, fascynowała się procesem emancypacji kobiet i twórczością romantyków, którym poświęciła uwagę edytorską. Przygotowywała do druku i komentarzami zaopatrzyła *Wiesława K. Brodzińskiego* (1946, 1947, 1948, 1949), *Zemstę A. Fredry* (1946, 1947, 1948, 1949), *Anhellego J. Słowackiego* (1946, 1947), *Śluby panieńskie* (1947) i *Dożywocie A. Fredry* (1949), *Pieśni Janusza i poezje wybrane W. Pola* (1949).

Główne miejsce zajęła jednak edycja korespondencji Narcyzy Żmichowskiej: *Listy* (t. 1 1957, t. 2 1960) i następne, która stała się podstawą przewodu habilitacyjnego przed Radą Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego w 1960 r. Recenzentami w jej postępowaniu habilitacyjnym byli znakomici uczeni, profesorowie: Konrad Górski, Stanisław Pigoń, Jan Nowakowski, Kazimierz Wyka. Edycja listów autorki *Poganki* potwierdziła sprawność metodologiczną i erudycję habilitantki, głęboką znajomość archiwaliów, przygotowanie edytorskie i wysoką kompetencję humanisty. Przedsięwzięcie zostało trafnie podjęte z uwagi na doniosłość i znaczenie tego rodzaju badań zarówno nad twórczością Żmichowskiej, jak nad ujęciem narodu w zaiste dramatycznym epizodzie jego dziejów. Zdaniem prof. Stanisława Pigonia „sposób wykonania oprawy filologicznej, krytycznej i komentatorskiej w wydaniu *Listów* Żmichowskiej może dobrze unaocznić, ile to nowych ustaleń i oświeleń, ile znacznych zdobyczy naukowych chowa się w porządnym na oko aparacie edytorskim, może dowieść do jakiego stopnia tak wykonane zadanie staje się samo dziełem naukowym”.

Pamięć o profesor Mieczysławie Romankównie jest też pamięcią jej sukcesów dydaktycznych i organizacyjnych w Instytucie Filologii Polskiej. Pod jej opieką powstało ponad sto prac magisterskich, dwie prace doktorskie, pisała kilkanaście recenzji prac doktorskich. Kierowała Studium Przedmiotów Fakultatywnych, była członkiem Senatu Uczelni, przez trzy lata pełniła funkcję prodziekana Wydziału Filologiczno-Historycznego (1965–1968), kierowała Komisją Dyscyplinarną dla Studentów (blisko 6 lat). Ale przede wszystkim była świetnym nauczycielem akademickim, przyjaznym, aczkolwiek wymagającym wiele od studentów, cenionym przez współpracowników i przyjaciół.

Jerzy Jarowiecki

Maria Schabowska Z Uczelnią związała się w roku 1948, kiedy to podjęła studia na polonistyce z estetyką (taką nazwę nosił kierunek w otwartej niedawno Państwowej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie). W lipcu 1951, po ukończeniu trzyletnich studiów, Maria Schabowska została zatrudniona jako asystentka najpierw w studium zaocznym, a następnie w Katedrze Języka Polskiego, kierowanej przez doc. dr. Stanisława Jodłowskiego. W roku 1951/1952 uzupełniła studia w Uniwersytecie Jagiellońskim, otrzymując tytuł magistra filozofii. Stopień doktora uzyskała w roku 1964 w WSP w Krakowie. Pięć lat później została mianowana docentem. Rozprawa *Słownictwo reklam i anonsów prasowych zamieszczonych w „Czasie” (1890–1895)*, wydana w roku 1990, stała się podstawą do uzyskania habilitacji. W roku 1991 dr hab. Maria Schabowska otrzymała tytuł profesora nadzwyczajnego w Zakładzie Języka Polskiego WSP w Krakowie.



Zainteresowania naukowe Profesor Marii Schabowskiej koncentrowały się wokół frazeologii i słownictwa ujętego w płaszczyźnie słotwórczej, historycznej i opisowej, a także jego funkcji stylistycznej. Z zakresu słownictwa trzeba wymienić takie rozprawy i artykuły, jak: *Pochodne przymiotniki barwy* (1960), *Polskie rzeczowniki ilościowe* (1965), *Nowsze związki frazeologiczne w języku polskim* (1975), *Polskie współczesne profesjonalizmy słownikowe* (wraz z M. Piwnik i M. Gryniewiczem) (1978), *O synonimii* (1994). Podejmowała także problematykę stylistyczną: *Charakterystyczne cechy języka powieści produkcyjnej* (1982), *Słownictwo i frazeologia recenzji teatralnych zamieszczonych w „Czasie” (1890–1895)*, *Osobliwości leksykalne „Konopielki” E. Redlińskiego* (1991), *W kręgu słownictwa batalistycznego* (1992).

Pragnąc przybliżyć studentom zagadnienia słownictwa, frazeologii i stylistyki opracowała wraz z Edwardem Stachurskim *Wybór literatury do słownictwa, frazeologii i stylistyki* (1971). Pamiętała również o swoich nauczycielach, współpracownikach i kolegach, którzy odeszli. Serdeczne wspomnienia poświęciła profesorom Stanisławowi Jodłowskiemu, Eugeniuszowi Pawłowskiemu oraz Janowi Zaleskiemu.

Przez cały okres pracy prowadziła wykłady i ćwiczenia, głównie z gramatyki opisowej języka polskiego oraz leksykologii. Do ostatnich swych dni prowadziła seminaria magisterskie i kierowała pracami magisterskimi. Kierowała też wieloma obozami naukowymi studentów i młodszych pracowników nauki w różnych rejonach Polski. Na obozach tych zebrano interesujące materiały gwarowe (m.in. z zakresu fitonimów).

Wynikiem zainteresowań dydaktycznych Marii Schabowskiej była współpraca ze środowiskami nauczycielskimi, udział w kursach dla nauczycieli-polonistów, audycjach radiowych oraz liczne odczyty w szkołach i ośrodkach kształcenia nauczycieli. Do końca czynnie uczestniczyła w pracach komisji przygotowującej nowoczesne programy studiów polonistycznych w WSP w Krakowie. Nie można pominąć Jej udziału w życiu Uczelni, pełnienia funkcji prodziekana Wydziału Filologicznego (1969–1978) i wicedyrektora Instytutu Filologii Polskiej (1978–1981).

Pani Profesor uczestniczyła w pracach Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego, Polskiego Towarzystwa Językoznawczego, Komisji Językoznawstwa Oddziału Krakowskiego PAN oraz Komisji Frazeologicznej Komitetu Językoznawstwa PAN.

Profesor Maria Schabowska zmarła 16 września 1995 roku po niespodziewanej, ciężkiej chorobie. Odeszła w pełni sił twórczych, nie ukończywszy wielu rozpoczętych prac. Pozostawiła po sobie pamięć człowieka prawego i życzliwego, odpowiedzialnego nauczyciela, twórczego pracownika naukowego.

Józefa Kobylińska

Jan Zaleski Urodzony w 1926 w Monasteryskach (woj. tarnopolskie) językoznawca, historyk języka, docent Wyższej Szkoły Pedagogicznej, egzamin maturalny złożył w Krzeszowicach, a studia I stopnia w zakresie filologii polskiej odbył w WSP w Krakowie. Studia II stopnia ze specjalizacją językoznawczą ukończył w Uniwersytecie Jagiellońskim. W czasie studiów zetknął się z wybitnymi nauczycielami akademickimi, m.in. z Kazimierzem Wyką, Tadeuszem Milewskim, Jerzym Kuryłowiczem, Zenonem Klemensiewiczem, Witoldem Taszyckim, Tadeuszem Lehrem-Spławińskim, Franciszkiem Sławskim. Seminarium historycznoliterackie odbył u prof. Juliusza Kleinera. W roku 1955 uzyskał stopień magistra na podstawie pracy *Wyrazy zdrobniałe w polszczyźnie XVI w.* i rozpoczął pracę jako asystent w Katedrze Języka Polskiego WSP w Krakowie. Zainteresowania historią języka polskiego oraz znajomość kultury Kresów południowo-wschodnich, w tym również języka ukraińskiego, ukierunkowały jego pracę badawczą na język utworów Aleksandra Fredry. Praca na ten temat, napisana pod kierunkiem prof. Taszyckiego, przyjęta została jako dysertacja doktorska (1965), co stało się podstawą nominacji na adiunkta.

Najobszerniejsze studia poświęcił Jan Zaleski językowi dzieł Fredry, który wykorzystał po części polszczyznę kresową okolic Przemyśla i Lwowa. Oprócz wymienionej monografii opublikował szereg prac, które wzbogaciły wiedzę o formie językowej i stylu dzieł Fredry. W. Kuraszkiewicz pisał w recenzji habilitacyjnej: „Studium J. Zaleskiego o języku A. Fredry należy do najlepszych monografii o języku wybitnych pisarzy i stanowi cenne osiągnięcie w zakresie historii polskiego języka literackiego”.

Oprócz prac związanych z twórczością A. Fredry, J. Zaleski napisał wiele artykułów i rozpraw związanych z historią języka polskiego, m.in. *Wyrazy zdrobniałe w polszczyźnie XVI w.* („Zeszyty Naukowe UJ” 1957), w której to rozprawie, opartej na bogatym materiale źródłowym, m.in. na dziełach Reja, dostrzega przyczynę pojawienia się dużej ilości deminutywów w literaturze polskiej XVI w., w zeświecczeniu literatury i wpływach języka ludowego na dialekt kulturalny.

Od roku 1971 Jan Zaleski kierował Katedrą Języka Polskiego WSP w Krakowie, wykształcił wielu magistrów filologii polskiej i kilku doktorów. Przez kilka lat sprawował obowiązki sekretarza Polskiego Towarzystwa Językoznawczego. Śmierć przerwała dalsze plany naukowe, dydaktyczne i organizacyjne. Zmarł w Krakowie 4 kwietnia 1981 r.



Edward Klisiewicz

Słownik pracowników Instytutu Filologii Polskiej AP

Anna Dyduchowa (1936–1993) – wybitny dydaktyk, wieloletni pracownik IFP, profesor AP. Brała udział w szkolnych pracach eksperymentalnych, współpracowała ze środowiskiem nauczycielskim jako prelegent, prowadziła także kursy i konferencje dokształcające dla polonistów. Opracowała wraz z zespołem projekt nowego programu nauki o języku dla szkół średnich. Jest współtwórcą nowatorskiego podręcznika do kształcenia literackiego, kulturowego i językowego „To lubię!”, zredagowanego przez zespół pod kierunkiem Z.A. Kłakówny. Utrzymywała żywe kontakty z zagranicznymi uczelniami pedagogicznymi (np. w Sztokholmie).

Maria Grzędzińska (1906–2000) – teoretyk i historyk literatury, prowadzący wykłady i ćwiczenia z poetyki, stylistyki i wersyfikacji. Wykładała historię literatury oświecenia i romantyzmu. Pisała prace dotyczące rymu klasycznego i romantycznego, interesowała się wersyfikacją w poezji różnych epok (zob. *Słownik pisarzy i badaczy literatury*).

Zenon Jagoda (1931–1981) – pracownik Katedry Historii Literatury Polskiej, potem Katedry Dydaktyki. Prowadził ćwiczenia z literatury polskiej i powszechnej oraz z metodyki nauczania języka polskiego.

Antoni Jopek (1923–1984) – pracował jako adiunkt i docent, prowadził wykłady i ćwiczenia z historii literatury polskiej i poetyki.

Jan Kulpa (1908–1983) – profesor zwyczajny, dydaktyk, prowadził wykłady z metodyki nauczania języka polskiego, pełnił też obowiązki kierownika Katedry Metodyki, następnie dyrektora Instytutu Nauk Pedagogicznych. Publikacje to m.in. *Nauczanie języka polskiego w klasach I–IV* (1959) oraz *Uczenie się i nauczanie problemowe*. W swojej działalności naukowej interesował się historią kształcenia nauczycieli w Polsce, procesem poznawczym utworów literackich, oraz problemem przygotowania uczniów do samokształcenia. (Zob. „Konspekt” nr 16)

Bogumiła Małek (1945–2002) – przedwcześnie zmarły pracownik, dysponujący rozległą wiedzą o literaturze i kulturze XX wieku. Pracowała w WSP na stanowisku adiunkta, najpierw w Katedrze Literatury XX w., następnie w Katedrze Literatury dla Dzieci i Młodzieży. Prowadziła ćwiczenia z literatury współczesnej, powszechnej (francuskiej) oraz seminaria magisterskie. Zajmowała się współczesną prozą dla młodzieży, problematyką behawioryzmu, weryzmu i autentyzmu w prozie XX-lecia. Szczególnie interesowała się prozą M. Białoszewskiego, T. Konwickiego i S. Dygata, uczestniczyła w pracach ośrodków metodycznych, prowadziła zajęcia ze słuchaczami kursów dla nauczycieli z Litwy, Białorusi, Ukrainy. Skierowana do pracy w charakterze lektora języka polskiego na uniwersytecie w Strasburgu, zorganizowała tam sekcję polonistyczną, rozbudziła zainteresowanie kulturą naszego kraju. (Zob. „Konspekt” nr 12)

Teresa Nowacka (1937–2002) – historyk literatury, wykładowca o dużej erudycji, cieszący się sympatią studentów, pracujący na stanowisku adiunkta w Katedrze Literatury XIX w. Wykazywała umiejęt-

ność przekazywania wiedzy w ciekawy i inspirujący sposób. Była świetnym nauczycielem-praktykiem. Organizowała spotkania ze studentami na spektaklach teatralnych, projekcjach filmowych, wystawach. Prowadziła wykłady oraz konwersatoria z literatury oświecenia, romantyzmu, pozytywizmu. Recenzowała na zlecenie MEN tzw. środki dydaktyczne zalecane do użytku szkolnego oraz podręczniki. Jest autorką wielu pomocy dla uczniów (opracowania lektur). (Zob. „Konspekt” nr 14)

Jan Nowakowski (1908–1991) – wybitny historyk literatury i edytor. Pełnił w krakowskiej WSP różnorodne funkcje: kierownika Katedry, Zakładu Literatury Polskiej, dyrektora Instytutu oraz dziekana Wydziału Filologiczno-Historycznego. Współredagował „Ruch Literacki”, zasłynął jako propagator literatury francuskiej w Polsce, badacz twórczości T. Lenartowicza, S. Wyspiańskiego. Pole badawcze Profesora obejmuje literaturę romantyzmu krajowego, symbolizmu, naturalizmu oraz zagadnienia z dydaktyki szkoły wyższej w zakresie kształcenia nauczycieli-polonistów. Najważniejsze jego dzieła to: *Spór o Żołę w Polsce, Wyspiański: studia o dramatach* (1972), *A ślad po mnie – pieśń złota* (1973). (Zob. „Konspekt” nr 7)

Leon Pietrzykowski (1912–1952) – teatrolog i historyk literatury, autor dramatów i słuchowisk radiowych. Współorganizował bibliotekę Uczelni (ówczesnej PWSP). Sekretarz Jerzego Szaniawskiego.

Mieczysław Piszczkowski (1901–1981) – profesor UJ, teoretyk i historyk literatury polskiej. Zajmował się w szczególności literaturą staropolską (praca *Moralisici staropolscy*), oświeceniową (*Kształt i ruch w poezji S. Trembeckiego*) i pozytywistyczną (*Kompleks Sienkiewiczowski*).

Jan Polakowski (1923–1997) – profesor AP, dydaktyk literatury polskiej, wcześniej związany z Ośrodkiem Metodycznym w Katowicach. Jego rozprawa doktorska dotyczyła radiowych adaptacji epiki w kontekście dydaktycznych problemów odbioru dzieła. Prowadził wykłady i ćwiczenia z elementów wiedzy o kulturze, dydaktyki literatury i języka polskiego, z wybranych zagadnień psychologii i socjologii odbioru dzieła literackiego. Zajmował się wykorzystaniem technik audiowizualnych w nauczaniu; współautor rozprawy *Badania odbioru prozy artystycznej w aspekcie dydaktycznym* (napisanej wspólnie z prof. Z. Urygą).

Ferdynand Rajchman (1918–1999) – doktor filozofii w zakresie filologii klasycznej. Wykładał literaturę powszechną, antyczną, uczył też języka łacińskiego z elementami wiedzy o kulturze. (Zob. „Konspekt” nr 2)

Władysław Szczygieł (1902–1960) – historyk literatury zajmujący się głównie twórczością romantyczną, a także dydaktyk, autor *Metodyki nauczania gramatyki w klasach V–VII szkoły podstawowej*. Żywo interesował się harcerstwem, aktywny działacz harcerski (na ten temat stworzył także wiele prac).

Jan Kazimierz Zaremba (ur. 1906–1983) – początkowo pracownik WSP w Katowicach, badacz i znawca literatury staropolskiej oraz piśmiennictwa śląskiego.

Nie sposób nie wspomnieć o kilku wykładowcach naszej uczelni, którzy budowali jej naukowy profil, choć na stałe związani byli z Uniwersytetem Jagiellońskim:

Adam Heinz (1914–1984) – profesor w Katedrze Językoznawstwa WSP, specjalizujący się w językoznawstwie ogólnym i słowiańskim. Zaliczany jest do grona najwybitniejszych polskich strukturalistów. Autor wielu prac, m.in. *Dziejów językoznawstwa ogólnego*, skryptu UJ do języka łacińskiego, współautor *Słownika terminologii językoznawczej* (z Z. Gołębiem i K. Polańskim). W WSP zatrudniony był od 1959 do 1970 roku.

Stanisław Pigoń (1885–1968) – badacz literatury polskiej XIX i pocz. XX wieku, zwłaszcza twórczości A. Mickiewicza, A. Fredry, S. Żeromskiego i W. Orkana, edytor, członek PAU i PAN. Wykładał w naszej uczelni teorię i historię literatury. Pracował w PWSP latach 1946–1949.

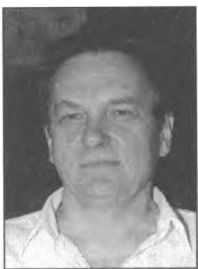
Witold Taszycki (1898–1979) – wybitny językoznawca, zajmujący się językoznawstwem słowiańskim, badacz polskiej dialektologii historycznej i onomastyki, członek PAN (*Rozprawy i studia polonistyczne*). Zatrudniony w WSP w 1946, pracował tu do 1950 roku.

Kazimierz Wyka (1910–1975) – wybitny znawca romantyzmu i modernizmu polskiego, historyk i krytyk literatury polskiej, członek PAN, w PWSP wykładający polską literaturę współczesną (*Modernizm polski, Pogranicze powieści, Rzecz wyobraźni*). Pracę w WSP podjął w 1946 roku, kontynuował ją do 1951.

W tym numerze „Konspektu” zamieszczamy także sylwetki uczonych i wspomnienia o profesorach Instytutu Filologii Polskiej:

Wincentym Danku (S. Burkot, s. 47), **Stanisławie Jodłowskim** (J. Ożdżyński, s. 106), **Tadeuszu Milewskim** (L. Bednarczuk, s. 107), **Eugeniuszu Pawłowskim** (A. Wojtyca, s. 55), **Mieczysławie Romankównie** (J. Jarowiecki, s. 108), **Marii Schabowskiej** (J. Kobylińska, s. 110), **Stanisławie Sierotwińskim** (J. Jarowiecki, s. 53), **Władysławie Szyszkowskim** (Z. Uryga, s. 50), **Janie Zaleskim** (E. Klisiewicz, s. 111).

*Na podstawie materiałów archiwalnych oraz danych zgromadzonych
przez p. Irenę Burkotową opracowała Marta Widurska*



Mutatis mutandis, sui generis, de facto, ad hoc

czyli jak uczynić styl naukowy jeszcze bardziej naukowym?

O to dwa przykłady wypowiedzi naukowych, w których powierzchniowe ukształtowanie tekstu może wpłynąć na odczucie czytelnika, iż dany tekst jest bardziej naukowy niż byłby nim w istocie pozbawiony owych wyrażen (pomijamy tu stopień zrozumiałości tekstu, pozostawiając to specjalistom):

„Wydaje się, że można tu widzieć realizację konstrukcji z tzw. rodzajnikiem prepozytywnym, który *de facto* jest wariantem kombinatorycznym postpozytywnego rodzajnika określonego, tj. *sui generis* ruchomym wyznacznikiem referencji”.

„To samo zapewne, *mutatis mutandis*, można stwierdzić o kontaminacji i derywacji frazeologicznej”.

Już w tych fragmentach z przypadkowo dobranych artykułów widoczne są prawie wszystkie podstawowe cechy stylu naukowego, nie ma więc potrzeby mnożyć przykładów. Mamy tu i bezosobowe *wyduje się, można zauważyć*, specjalistyczną terminologię i to, co nas najbardziej interesuje, słowa kluczowe stylu naukowego, to znaczy łacińskie: *de facto, sui generis* i *mutatis mutandis*. O ile jednak dwa pierwsze są jakoś uzasadnione, choć równie dobrze można by je z tekstu wymazać, to *mutatis mutandis* w tym kontekście nie pasuje, bo jeżeli stwierdzamy coś *mutatis mutandis*, czyli zgodnie ze znaczeniem tego zwrotu, „zmieniając to, co zmienione powinno być; dokonawszy niezbędnych zmian, któ-

rych wymaga specyfika sprawy; uwzględniając istotne różnice”, to inicjalne „To samo” przestaje być przecież tym samym i zaczyna należeć do sfery powierzchniowej organizacji tekstu naukowego.

Do tego zbioru wyznaczników należą wszystkie pozostałe, z reguły pochodzenia łacińskiego (ale też spotkać można zwroty angielskie, np. *last but not least*) formuły typu: *mutatis mutandis, expressis verbis, ad hoc, ex definitione, implicite, explicite, sui generis* itp. Harmonię burzy tu nieco metajęzykowy skrót „tzw.”, który niewiele ma wspólnego z pozostałymi cechami: ścisłością, precyzją jednoznaczności sformułowań, jasnością i zwięzłością wypowiedzi. We wszystkich definicjach stylu naukowego wymienienia się jako cechą charakterystyczną brak elementów emocjonalnych.

Według S. Gajdy, aby móc napisać pracę naukową, trzeba sobie przyswoić naukową normę stylową, a sam styl „jest nośnikiem informacji naukowych, pełni funkcję aparatury poznawczej, towarzysząc poznawaniu nauk i ujmowaniu jej wyników w celu opublikowania” (*Podstawy badań stylistycznych nad językiem naukowym*, Warszawa 1982). Czasem zdarza się – nie wiemy jednak jak często, ponieważ brak jest tego typu badań, że styl – zwłaszcza w wypadku gatunków naukowych – przytłacza zawartość merytoryczną tekstu, staje się wartością samoistną, przesłaniając lub wręcz zastępując przekazywane myśli, idee i wartości.

Co zatem oprócz wyboru tematu, który jest bardzo silnym czynnikiem stylotwórczym, wchodzi w skład tej normy? Odpowiedź na to pytanie znajdziemy w podręczniku praktycznej stylistyki, a więc m.in.: intelektualność, abstrakcyjność, nieemocjonalność, obiektywność, logiczność, ścisłość, dokładność, jasność, bezosobowość (tendencja do niwelowania różnic indywidualnych). Ta ostatnia cecha ma nie dotyczyć języka wybitnych uczonych. Bywa ona bowiem przypisywana tekstom określanym jako pseudonaukowe, w których w imię obiektywizmu narracji naukowej unika się form osobowych. Są też tacy, którzy otwarcie i bardzo zdecydowanie zaliczają bezosobowość do stylu pseudonaukowego. Zgodnie z takimi poglądami do pseudonaukowego piarstwa należy bezosobowy sposób prowadzenia narracji. Widoczny jest on w takich wyrażeniach jak: „jak się wydaje”, „można przyjąć”, „jak widać”, „jest wątpliwe” itp. Używanie formy „ja”, „moim zdaniem”,

„wątpię”, „udowodniłem” itd. — uchodzi wręcz za nietakt, zarozumiałość i samochwalstwo. Nie ma pewności, czy tak jest zawsze, ale sam fakt tępienia formy „ja” w nauce piarstwa naukowego (np. w różnego typu pracach magisterskich) na korzyść form bezosobowych jest zauważalny i obecny. Podobną aurę tekstu tworzy nadmiar zwrotów łacińskich wspomnianego typu. Ludzie mający styczność z językiem naukowym uważają, że ukształtowanie tekstu jest czymś powierzchownym w stosunku do przekazywanej informacji. Sprawa ta jednak różnie wygląda w zależności od typu tekstu, rangi uczonego i dyscypliny wiedzy. Z pewnością jednak — nawet w wypadku największych uczonych — nadmiar łacińskich zwrotów należących do struktury powierzchownej tekstu, a nie do jego warstwy merytorycznej, powinien zostać odnotowany przez specjalistów od stylu naukowego.

Maciej Kawka

Z dziejów Archiwum AP w Krakowie (2)

Zasoby — publikacje — rozwój

WĘDRÓWKI ARCHIWALNYCH ZESPOŁÓW MAŁYCH I DUŻYCH

Zasoby niektórych archiwów zakładowych składają się z 2 grup zbiorów: materiałów archiwalnych przechowywanych wieczyście (tzw. A) oraz dokumentacji niearchiwalnej przechowywanej od 2 do 50 lat (tzw. B). Pierwsza grupa (w przypadku AP) jest rezerwuarem źródeł dla historyków, druga stanowi składnicę akt zbiorczych, ewidencyjnych, dowodowych i manipulacyjnych, niezbędnych do utrzymywania ciągłości działań jednostek organizacyjnych instytucji macierzystej. Archiwum AP posiada obie grupy dokumentów. Dostęp do nich regulują wewnętrzne procedury i przepisy.

Dla badaczy dziejów oświaty i szkolnictwa wyższego najistotniejsze są archiwalia dotyczące najstarszej w kraju uczelni pedagogicznej, a zarazem od kilku lat pierwszej w ogólnopolskim rankingu szkół nauczycielskich. Warto jednak wspomnieć, że AP ma swoich, odległych w czasie, krakowskich antenatów. W latach 1871–1918 istniało Cesarsko-Królewskie Seminarium Nauczycielskie (początkowo przy ul. Brackiej 12, a od 1903 r. przy dzisiejszej ul. Straszewskiego 22). Początkowo szkołę określano w skrócie jako Kursy Pedagogiczne, później Państwowe Kursy Nauczycielskie. Od roku szkolnego 1928/29 do 1945/46 było to tzw. Państwowe Pedagogium, czyli 2-letnia pomaturalna szkoła półwyższa (kierowana przez dr Henryka Rowidę). We wrześniu 1946 r., w oparciu o majątek byłego Pedagogium, uruchomiono 3-letnią Państwową Wyższą Szkołę Pedagogiczną, którą przekształcono w 4-letnią Wyższą Szkołę Pedagogiczną (od 1958 r. w 5-letnią). Rada

Ministrów nadała w 1973 r. WSP imię — patronat Komisji Edukacji Narodowej, a w 1999 r. Sejm RP zmienił nazwę na Akademię Pedagogiczną. Na powojenne 60-lecie szkoły składa się praca i wizja 12 rektorów kierujących Uczelnią. W tym okresie dziejów zawiera się także 50-lecie Biblioteki Głównej oraz 45-lecie Archiwum AP (prowadzonego przez 12 pracowników).

Funkcjonowaniu Uczelni towarzyszy powstawanie małych i dużych zespołów akt oraz dokumentacji obrazującej życie szkoły. Suma tych zespołów tworzy narastający zasób archiwalny mierzony ilością jednostek, względnie wyrażany ilością metrów bieżących dokumentacji. Pojemność archiwum określają metry kwadratowe powierzchni oraz suma długości pól.

Podstawą „ukrytego życia archiwum” jest nieukończona ilość sekwencji przemieszczania zbiorów, selekcji, nowego znakowania i specyficznej sztuki „chomikowania” wielkich ilości akt na małej powierzchni. Przykładowo — w latach 1959–1973 zasób 308 metrów akt przechowywany był w gmachu przy ul. Straszewskiego 22... nawet na antresoli w auli oraz za sceną teatralną. W 1974 r., po przeniesieniu archiwum do gmachu przy ul. Podchorążych, zasób upychany był w parterowych pomieszczeniach Biblioteki Głównej, w szafach na korytarzach, w zakamarkach strychu oraz w tzw. Kiosku, będącym w pewnym okresie szatnią Senatu WSP. W latach 1974–1980 nastąpił gwałtowny przyrost dokumentacji o kolejne 374 mb., wypełniając wszelkie przyznane pomieszczenia w 99%. Przewidując taką sytuację, rektor WSP przekazał Bibliotece Głównej wnętrza przy ul. Grodzkiej 60 (po stolówce w byłym

Domu Studenckim „Podgrodzie”), w celu zorganizowania tam od podstaw nowoczesnego archiwum zakładowego. Ponieważ ekspertyzy budowlane nie wypadły pomyślnie, dokonano adaptacji 150 m² poddasza („nad geografią”) w skrzydle wschodnim głównego gmachu, a katalog i czytelnię ulokowano w p. 428, udostępnionym czasowo przez Instytut Geografii. Kilka lat później ponownie dokonano adaptacji 150 m² poddasza („nad polonistyką”) w skrzydle zachodnim. Przeniesiono pracownię archiwum do pokoju 573 (o powierzchni zaledwie 4,5 m² – za windą na V piętrze), z którego uprzednio wyprowadził się Zakład Praktyk Pedagogicznych. Odtąd udostępnianie archiwaliów odbywało się 6 kondygnacji niżej, w czytelni Biblioteki. W 1990 r. ilość akt liczyła 900 mb., a w 1996 r. magazyny były wypełnione w 100% i archiwiści ubiegali się o dodatkowe lokale. W 1998 r. przystosowano kolejne 59 m² poddasza.

Aktualnie Archiwum AP dysponuje 4 magazynami o łącznej powierzchni 360 m², w którym mieszczą się regały o łącznej długości 2 kilometrów pólek. Sam zasób w przybliżeniu obejmuje pół miliona jednostek archiwalnych, co stanowi 2500 metrów akt 20% zasobu składowane jest na podłodze – do czasu akcji brakowania, czyli makulaturowania dokumentacji, której kończy się okres przymusowej archiwizacji. 70% zasobów stanowi dokumentacja przechowywana okresowo od 5 do 50 lat. Pozostała część to materiały do zachowania wieczystego oraz zespół akt dotyczących przedwojennej poprzedniczki AP.

O ZASOBIE, ZESPOŁACH I ZBIORACH

PRAWIE WSZYSTKO

Świat archiwów emanuje tajemniczością, bowiem archiwa mimo podobieństwa funkcji i formy działania, bywają zupełnie niepodobne w odniesieniu do „materii”, którą reprezentują. Dla każdego archiwum co innego jest skarbem, w każdym – nawet najmniejszym – można znaleźć jakąś swoistą procedurę, specyficzny układ wewnętrzny zasobu oraz praktyki personelu, które dla jednych są dziwactwem, a dla innych znakiem cenionego profesjonalizmu. Urok lub kłopotliwość wewnętrznej organizacji

zbiorów oraz funkcjonowania danego archiwum powoduje, że każdy – nawet archiwista o wieloletnim stażu pracy – musi uczyć się jakby na nowo znanego sobie rzemiosła.

Zasoby archiwalne można dzielić na 2 podstawowe grupy: zbiory dokumentacji własnej (wytworzonej przez instytucję) oraz zbiory będące sukcesją archiwalną, czyli spadkiem po innych osobach prawnych lub fizycznych. W Archiwum AP istnieją obie grupy dokumentów. Pierwsza obejmuje akta dotyczące działalności Uczelni w latach 1946–1996 (rektorat, kwestura, kadry, jednostki podległe dyrektorowi administracyjnemu), akta absolwentów i studentów skreślonych oraz prace magisterskie i dyplomowe (około 100 tysięcy). W odróżnieniu od innych archiwów uczelnianych, Archiwum AP nie gromadzi prac doktorskich powstałych w WSP/AP. Zbiorem tym, liczącym tysiąc prac, zarządza Biblioteka Główna AP.

Zdecydowanie mniejszą ilościowo grupę materiałów stanowi sukcesja złożona z akt Państwowego Pedagogium (1932–1946), Państwowych Egzaminów Uproszczonych dla nauczycieli szkół średnich (1951–1955), Bratniej Pomocy Studentów PWSP (1946–1950), Związku Młodzieży Polskiej (1947–1956), Związku Młodzieży Wiejskiej (1965), Zrzeszenia Studentów Polskich (1948–1967) oraz Centralnego Ośrodka Metodycznego Studiów Nauczycielskich (1972–2000). Okresową sukcesję stanowiły swego czasu akta byłego KU PZPR WSP (90 teczek dokumentów z lat 1950–1990), które przejęło Archiwum Państwowe w Krakowie.

Novum stanowi kolekcja 30 ozdobnych adresów laudacyjnych z okazji 70-lecia urodzin prof. Feliksa Kiryka, wręczonych Dostojnemu Jubilatowi w Sandomierzu 27 września 2003 przez burmistrzów i prezydentów miast Małopolski, których dziejom profesor poświęcił lata badań i studiów. Powyższy zbiór oraz listy gratulacyjne, telegramy i inna korespondencja zostały ofiarowane archiwum przez prof. Feliksa Kiryka, który tym samym zapoczątkował tworzenie nowego zespołu zwyczajowo określanego mianem „spuścizn i kolekcji profesorskich”.

PUBLIKACJE ŹRÓDEŁ

W oparciu o zasób dobrze sobie znany – prof. Zygmunt Ruta (pierwszy archiwariusz WSP: 1959–1966) opublikował wybór *Źródeł do dziejów WSP im. KEN*, które obejmują fragmenty lub całość dokumentów z lat 1946–1996. Trzy tomy źródeł – nakładem Wydawnictwa Naukowego WSP – sukcesywnie ukazywały się w latach 1982, 1983, 1996.

Osobną grupę wydawnictw stanowią gruntowne opracowania oraz okolicznościowe informatory przygotowywane z okazji kolejnych rocznic założenia Uczelni. Powstawały one w oparciu o dokumentację złożoną w archiwum oraz przechowywaną w jej instytutach i jednostkach administracyjnych. Tworzą jedyne i najpełniejsze źródło wiedzy o dziejach Uczelni, bank danych statystycznych i pomoc w opracowywaniu biogramów pracowników Uczelni (z którą etatowo związanych dotąd było ponad 6 tysięcy osób). Osiem różnej objętości publikacji (dostępnych w Oddziale Informacji Naukowej Biblioteki Głównej – pokój 61) dotyczyło jubileuszy Uczelni. Jeden z tomów poddawał analizie działalność WSP w latach 1961–1971 oraz dwa tomy kumulowały i wypełniały wiedzę o działalności szkoły za lata 1946–1981 oraz 1982–1996. Aktualnie, z okazji 60-lecia Uczelni – i za cały ten okres – przygotowywana jest monografia WSP/AP pióra prof. Jacka Chrobaczyńskiego.

Szczegółowy wykaz i opis publikacji dotyczących dziejów szkoły oraz historii archiwum uczelnianego znajduje się także w witrynie internetowej na stronie jednostek uczelni (<http://www.ap.krakow.pl/archiwum/>).

ARCHIWUM W PRZEDEDNIU 60-LECIA UCZELNI

Wraz z renowacją i rozbudową Uczelni następuje wzrost przydzielanej powierzchni, niezbędnej do funkcjonowania archiwum. Kadencja JM Rektora AP prof. Michała Śliwy, charakteryzująca się niebywałymi przedsięwzięciami związanymi z rozwojem infrastruktury i bazy lokalowej szkoły, wpisuje się zarażem w dzieje Archiwum AP. Okres 1: lokalizacja jednostki w latach 1959–1974 wiąże się z gmachem przy ul. Straszewskiego 22, okres 2: siedziba archiwum w latach 1974–2004 mieści się wyłącznie w gmachu przy ul. Podchorążych 2, okres 3: w czerwcu 2004 r. (w przyziemiu Domu Studenckiego ATOL przy ul. Grochowej) na cele archiwum przekazano nowoczesne i jednolicie wyposażone magazyny przygotowane na przyjęcie około tysiąca metrów akt. Jesienią 2004 r. planowane jest udostępnienie Archiwum AP kolejnego magazynu przeznaczonego na 70 tysięcy innego typu akt. Jest on przygotowywany w budynku nowego domu studenckiego przy ul. Armii Krajowej. Nadto władze Uczelni, przewidując dalekosieżne potrzeby archiwum zakładowego, przydzieliły 280 m² powierzchni, umieszczając je w projekcie zagospodarowania nowego gmachu AP, zwanego popularnie „krążownikiem”.

W ten sposób potrzeby jednostki zabezpieczone są na kolejne 10-lecie, umożliwiając jej tym samym ewolucyjne stawanie się godną „wizytówką” Uczelni XXI wieku.

Marek Glogier

Z perspektywy praktyka

Języka polskiego uczę (kiedyś w szkole podstawowej, a dziś w gimnazjum) od 13 lat. Kiedy przypominam sobie początki swojej pracy, widzę siebie często bezradną wobec tekstu i – co w związku z tym zrozumiałe – całkowicie pozbawioną jakiegokolwiek pomysłu na lekcję. Jakby tego było mało, długo towarzyszyło mi przekonanie, że jeżeli coś stało się już oczywiste dla mnie, takie jest również dla moich uczniów. Musiałam otrzymać wiele lekcji pokory (jest tak zresztą do dziś!) udzielanych mi przez teksty, które trzeba było najpierw ośwoić, przejść okres bezkrytycznego zachłyśnięcia się metodami aktywizującymi, wreszcie przyjąć do wiadomości, iż to, co zachwyca mnie, nie musi zachwycać uczniów. Pamiętam także, jak surowo egzekwowałam znajomość koniugacji, deklinacji, rozbiorów zdań. Że nie miała ta wiedza żadnego przełożenia na życie i umiejętności dzieci? Nieważne! Ważne, że umiały.

Teraz wiem, że przeniosłam do swojej pracy obraz szkoły i sposobu nauczania, jakie zapamiętałam z własnego doświadczenia: koniecznie historia literatury, omawianie tekstów, których już wtedy wielu z nas nie czytało, więc rozmowy siłą rzeczy musiały być ogólnikowe i oddalone od tekstu, poparte „złotymi myślami” z podręczników. I choć niektórzy moi nauczyciele byli wspaniałymi osobowościami, to przecież musieli uczyć z jedynego obowiązującego podręcznika i według jedynego słusznego programu.

Chociaż po studiach dość dobrze znałam różne metody nauczania i formy lekcji, była to wiedza jedynie teoretyczna. A od teorii do praktyki bardzo daleka droga. Pamiętam, z jakim mozołem przekładałam podręcznikowy opis metody na konkretną lekcję, z jakim trudem przychodziło mi wybranie sposobu rozmowy o tekście, jak często wreszcie forma lekcji przerastała jej treść.

MISTRZOWIE

Miałam ogromne szczęście, że zajęcia z metodyki prowadziła dla mojej grupy cudowna Pani prof. Maria Jędrzychowska, która wtedy (lata 80.) – gdy wizja szkoły i ucznia, dziś proponowana przez krakowski zespół „*To lubię!*”, była jedynie marzeniem – potrafiła swoim studentom pokazać, że można uczyć inaczej. Miałam również szczęście, że gdy uświadomiłam sobie, iż najważniejsze nauczycielskie pytanie brzmi: „w jakim celu to robię?”, spotkałam na swojej drodze wspaniałe osoby: dr Halinę Mrazek, dr Barbarę Dyduch, dr Izabellę Zeller. To one, obserwując ze studentami moje lekcje, chwaliły, ganiły, krytykowały, ale i podpowiadały nowe rozwiązania. To dzięki Pani dr Barbarze Dyduch dowiedziałam się, że ob-raz to także tekst i należy go z uczniami czytać.

PUBLIKACJE ŹRÓDŁO

Wiem, że tak pracuje się ze studentami w krakowskiej Akademii Pedagogicznej. Żał mi jedynie, że studenci mają tak mało czasu, aby z tych wskazówek korzystać, ćwiczyć, ćwiczyć, ćwiczyć. Wiem, że praktykę nabywa się latami, że nauczyciel wciąż uczy się, jak z uczniami rozmawiać, że kurs metodyki siłą rzeczy nie może studentom dać wszystkich niezbędnych umiejętności. Kiedy jednak patrzę na młode osoby, które często przed lekcją z przerażeniem pytają: „to co ja mam zrobić?”, rozumiem je. Nietrudno przecież pojąć ich obawy, jeżeli się wie, że w ciągu roku mogą przeprowadzić dwie, trzy lekcje. A przecież oni także mają swoje, nie zawsze dobre szkolne nawyki, od których nie potrafią się uwolnić, wobec których trudno im się zdystansować.

Studia są czasem, w którym młodzi ludzie mają szansę dojrzeć do tego, jakimi nauczycielami chcieli być i jak wyobrażają sobie własną pracę z ucznia-

mi. Jeżeli spotkają na swojej drodze nauczycieli-mistrzów, którzy pozwolą im na własne poszukiwania, jednocześnie będąc uważnymi obserwatorami i najważniejszymi przewodnikami, z pewnością odnajdą własny styl pracy. Ale takie poszukiwanie, dojrzewanie, dystansowanie się wobec własnych doświadczeń wyniesionych ze szkoły z wiedzą teoretyczną i wyobrażeniem o byciu nauczycielem, wymaga czasu. I tego właśnie czasu, jak sądzę, brakuje studentom. Może łatwiej by im było obserwować siebie, wyciągać wnioski z sukcesów i porażek, jakie zdarzają się na każdej lekcji, gdyby ciągła praktyka pedagogiczna trwała dłużej niż trzy tygodnie? Odnoszę wrażenie, że w pośpiechu, jaki narzuca obecny system praktyk, niektórzy studenci wciąż widzą siebie bardziej jako uczniów niż nauczycieli.

W STRONĘ WYCHOWANIA

Od szkoły oczekuje się, że będzie nie tylko uczyć, ale i wychowywać. Wychowywać, czyli stawiać uczniowi wymagania, konsekwentnie je egzekwować, dając mu jednocześnie prawo wyboru. To bardzo trudne zadanie, zwłaszcza w gimnazjum, które „dzięki” reformie systemu szkolnictwa stało się miejscem gromadzącym młodzież w najtrudniejszym chyba wieku. Uczniowie, którzy przychodzą tu jedynie na trzy lata, chcą wywalczyć swoje miejsce, zaistnieć w grupie, często wszelkimi możliwymi sposobami. Jak rozmawiać z takim nastolatkiem, jak kształtować jego postawę, jak reagować na agresję, a często nawet zachowania z pogranicza kodeksu karnego? Oczywiście, nie ma na te pytania jedynej, słusznej i gotowej odpowiedzi, bo każdy uczeń jest inny i inne ma pro-

blemy. Myślę jednak, że gdyby moje zajęcia z psychologii i pedagogiki na studiach nie były jedynie wykładem o historii tych dwu dziedzin, a miały raczej charakter warsztatów, popelniłabym może w swojej pracy mniej błędów.

Oczywiście, rozmowy ze starszymi i bardziej doświadczonymi koleżankami są bardzo cenne, można znaleźć różne kursy i szkolenia prowadzone przez poradnie psychologiczne, ale uczelnia pedagogiczna powinna swoim absolwentom dawać rzetelne podstawy do pracy wychowawcy. A bardzo trudna to praca w dzisiejszej sytuacji braku autorytetów i coraz luźniejszych norm w zachowaniu. Myślę więc, że studenci powinni otrzymać naprawdę fachowe przygotowanie do radzenia sobie z różnymi, często bardzo trudnymi problemami.

Myślę też, że dobrze byłoby, gdyby mieli oni możliwość poznania także zasad pracy z osobami dorosłymi. Często rozmowy z rodzicami są bardzo trudne, jednak dla dobra dziecka nauczyciel musi dążyć do nawiązania kontaktu z opiekunami. Ten wspólny „front” jest konieczny, jeżeli myślimy o uczciwym wychowywaniu naszych uczniów. Nie może więc być tak, że nauczyciel wchodzi na spotkanie z rodzicami, zupełnie nie mając wiedzy o tym, jak można i powinno się z nimi rozmawiać. Wiem, jak bardzo mnie tej wiedzy brakowało i brakuje, a coraz częściej mam wrażenie, że ważniejsza staje się we współczesnej szkole praca wychowawcza, niż wiedza, którą szkoła daje uczniom.

Bożena Barańska

*Autorka jest nauczycielką języka polskiego
w Gimnazjum nr 17 w Krakowie*

„Jestem w podróży — posłudze...”

Podróż w przeszłość są zawsze niebezpieczne, gdyż rodzą światy, których już nie ma, przeszły w krainę wyidealizowaną, bądź trudną do zrozumienia przez współczesnych. To truizm z pewnością, ale przywołują światy obrazów, które tkwią w każdym z nas, niezależnie od naszej woli. Rysowane zaś wspomnieniową kreśką — wyzwają nuty mgieł, często sentymentalnych, młodzieńczych wiar, tęsknot czy idei, które życie osadza na twardym podłożu. Szczególnie wtedy, gdy jest to oświatowy archipeląg.

W roku 2004 skończy 33 rok mej polonistycznej posługi. Tak! Posługi. Współcześnie to określenie nie brzmi fajerwerkowo, bo i słowo wyświechtane, mało zrozumiałe, nawet irytujące wszelakich reformatorów. Dziś stan nauczycielski wcale nie bogaty, i to nie finansowo, lecz ograbiony z wolności myślenia oraz z pełni twórczego działania.

A słowa me nie buntownicze i postawa nie rewolucyjna, lecz zwykła, pełna pokory oraz troski o dalsze drogi kształcenia oraz wychowania w archipelagu polskich szkół, które winny dalej zachować swe nietuzinkowe oblicze.

W roku 1966 zjawiłem się w krakowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej, gdyż... tak bardzo chciałem zostać nauczycielem polonistą. A przy ulicy Podbrzezie rozpoczynałem swą studencką edukację. Osiemnastolatek z głową pełną pomysłów, nadziei, wolnościowych ciągów i tej urokliwej, młodzieńczej, ale szlachetnej naiwności, której — na całe szczęście — nie usunięto ze mnie. Mimo studium wojskowego, higieny szkolnej czy ekonomii politycznej.

Od ukończenia studiów minęło tyle lat... Blżej mi horyzontu, lecz z ogromnym zadziwieniem obserwuję siebie i swe podróże w świat tamtych akademickich nauczycieli, z których trzech wywarło ogromny wpływ na moją osobowość polonistyczną. Byli i są moimi mistrzami profesorem Zenon Uryga, Stanisław Burkot i rozpoczynająca wtedy swą pracę naukową — Bogumiła Malek. Profesor Uryga nauczył mnie tej twórczej pokory oraz niepokory wobec zawodowej wiedzy, której będzie nam co roku przybywać;

wolności tworzenia lekcji, logiki metodycznej, wiecznego a twórczego poszukiwania, bycia nietuzinkowym, a przez to konsekwentnie skutecznym. Zaś jego analizy hospitowanych lekcji do dzisiaj są dla mnie niezwykle wzorcem merytorycznym. Była to metodyka nauczania języka polskiego. To mój pierwszy uczelniany filar.

Profesor Burkot z kolei pociągał mnie sławą „ostrego”, ale nieprzeciętnego wykładowcy. Miałem to szczęście, iż na I roku uczestniczyłem w jego konwersatorium literatury współczesnej. Mój Boże! Cóż to była za szkoła myślenia i poznawania literatury. To cudowne odkrywanie możliwości różnorodnych interpretacji tekstu... I uświadomienie studentowi polonistyki faktu, iż w przyszłości nie wolno stać w miejscu. Rozwój to poszukiwanie połączone z wiedzą ciągle aktualizowaną. To drugi filar mej uczelnianej ojczyzny.

A trzecim jest w mej pamięci pani Malek. Jak ja się przygotowywałem do jej ćwiczeń z literatury! Ile wtedy przeczytałem, ilu „odkryć” dokonałem... Dzięki jej wyrozumiałości, a mej chęci poznawania literackich obszarów zrozumiałem, iż bycie nauczycielem języka polskiego to właśnie trudna i niepowtarzalna podróż... w przyszłość.

Te trzy ważne drogi mego polonistycznego „stawania się” owocowały później zawodową posługą. Nie sposób wymienić wszystkich, którzy stworzyli nietuzinkową, krakowską nauczycielską polonistykę, dali szansę młodym na zaistnienie. W każdym calu nauczycielskiego żywota.

Gdy ruszyłem w dorosły świat polonisty byłem wszechstronnie przygotowany, otwarty, bez kompleksów, ale za to świadomy, iż tej podróży nie wolno mi zmarnować. Teraz uczę w jednej z najlepszych szkół średnich, prowadzę zajęcia z metodyki na IV roku filologii polskiej UJ, piszę, publikuję, ciągle jestem niepokorny i poszukujący. Wielka to zasługa nauczycieli mej dawnej Uczelni.

Stanisław Czesław Kurdziel

*Autor jest nauczycielem języka polskiego
w I Liceum Ogólnokształcącym
im. Bartłomieja Nowodworskiego w Krakowie*

Od licencjatu do doktoratu

Opanowanie umiejętności zawodowych w pracy nauczyciela języka polskiego wymaga — jak wszystko — cierpliwości. Droga do ich zdobycia wiedzie przez studia, własne niepowodzenia dydaktyczne, eksperymenty i obserwacje. Przedmiot przez nas nauczany jest niezwykle, złożoność procesu dydaktycznego nie ogranicza się do „przerobienia” lektury, ale wymaga diagnozowania postaw czytelnich, postaw wobec świata, szukania motywacji do poznawania dzieł sztuki, często tłumionej przez przymus lekturowy i natłok innych obowiązków szkolnych uczniów. Złożona struktura dzieła literackiego, psychologiczne uwarunkowania odbioru lektury, wymagania programu nauczania, postawy uczniów wobec przedmiotu, czas i warunki pracy — wszystko to wyznacza poziom trudności pracy polonisty.

„Praktyka szkolna zweryfikuje teorie poznane na studiach”. Tę opinię słyszałem z ust starszych kolegów i koleżanek nauczycieli, wspierały ją gorzkie niekiedy opisy niepowodzeń dydaktycznych. Kontakt z uczniami mającymi duże luki z poprzednich etapów kształcenia wymaga stosowania metod skutecznych, co nie zawsze oznacza atrakcyjnych i twórczych, choć na swój sposób „aktywizujących”. Bronilem się przed przedmiotowym traktowaniem uczniów, przezwyciężałem w sobie schematyzm szkolnego obcowania z literaturą i kulturą. Niekiedy stosowane metody aktywizujące nie znajdowały uznania w oczach samych uczniów, którzy przyzwyczajeni byli do przyswajania gotowych informacji w formie schematycznych notatek, wiadomości do zapamiętania. Do tego dochodzi presja realizacji programu nauczania i — co tu kryć — czas odbycia lekcji: godziny języka wyznaczane na późne popołudnie lub wczesne poranki (iluz znajdzie się chętnych do omawiania poezji Norwida o siódmej rano w zi-

mony poranek, z ciężką myślą o kolejnych godzinach lekcyjnych i sprawdzianach?). Przekonuję się, że szkolny odbiór literatury (praca z tekstem) uwarunkowany jest nierzadko tak niezwykle czynnikami, jak sala, w której odbywają się zajęcia, rozkład zajęć uczniów w danym dniu, pogoda.

Polonista, jak sądzę, musi walczyć przede wszystkim o motywację uczniów do pracy z tekstem, silnie skoncentrować ich uwagę na problemie, który może zainteresować. Tylko wtedy lekcja ma sens, a odpowiednio dobrane metody nauczania tę aktywność mogą podtrzymać. Potwierdziła się myśl, że uczeń nie zainteresuje się zagadnieniami, które leżą poza horyzontem jego doświadczeń i oczekiwań, a jeśli nawet zrobi to w wyniku stosowania metod aktywizujących, to głównie dlatego, że pociągająca była sama metoda pracy, a nie jej efekt. Poszukiwanie motywacji do lektury jest najważniejszym etapem pracy, choć nie jest lekarstwem na wszystko. Studia nauczycielskie większy nacisk powinny kłaść na umiejętności rozwiązywania problemów uczniów, na to, jak zapanować nad dyscypliną w klasie i zachowaniami zakłócającymi przebieg lekcji. Do programu studiów powinny być wprowadzone zajęcia uświadamiające przyszłym nauczycielom, jak funkcjonuje prawo oświatowe (choćby podstawowe wiadomości) i co oznacza „być wychowawcą”.

Czynnym nauczycielem jestem od 1999 roku. Pracę w tarnowskim III Liceum Ogólnokształcącym rozpocząłem zaraz po uzyskaniu dyplomu, a raczej dyplomów, bo zdobyłem dwa z tego samego przedmiotu. Oba uzyskałem na krakowskiej uczelni przygotowującej do pracy pedagogicznej. Moja droga do pracy w roli polonisty prowadziła przez studia licencjackie w Nauczycielskim Kolegium Języka Polskiego w Tarnowie (istniało od 1992 r., a od 1999/2000 pozostawało pod opieką naukowo-dydaktyczną WSP),

a następnie trzyletnie magisterskie studia stacjonarne w WSP w Krakowie.

W pamięci (a także w „metodycznej szufladzie”) przechowuję różne koncepcje i pomysły metodyczne pracy z tekstem w szkole: Zenona Urygi, Bożeny Chrzastowskiej, Marii Nagajowej, Stanisława Bortnowskiego, Wojciecha Pasterniaka, Alicji Baluch... Oczywiście, przygotowanie do wykorzystania „narzędzi pracy” z tekstem, a raczej z uczniem poznającym lekturę w szkole, uzyskałem podczas zajęć w Nauczycielskim Kolegium Języka Polskiego w Tarnowie, praktyk studenckich, pracy licencjackiej i dzięki własnej lekturze opracowań dydaktycznych i psychologicznych. Bardzo inspirującą do samokształcenia lekturą była praca W. Pasterniaka *Metodyczne błędy nauczycieli w prowadzeniu lekcji języka polskiego*, nieobecna, a szkoda, w zestawie opracowań obowiązujących do egzaminu z metodyki. Jako student i niedoświadczony nauczyciel poszukiwałem nie teorii dydaktycznej, ale skutecznych podpowiedzi, jakich błędów unikać w prowadzeniu lekcji. Oczywiście, tej wiedzy dostarczali mi metodycy podczas hospitacji lekcji w czasie szkolnej praktyki i własne „zepsute lekcje”.

Miałem niewątpliwie szczęście, gdyż stworzone w nauczycielskim kolegium warunki kształcenia (grupy ćwiczeniowe liczące po 6–7 osób, program studiów, baza szkolno-dydaktyczna) pozwoliły mi już po trzech latach osiągnąć umiejętności wystarczające do prowadzenia lekcji polskiego nie tylko w szkole podstawowej czy gimnazjum, ale także liceum. Z perspektywy czasu i doświadczeń pracy w szkole mogę stwierdzić, że tarnowskie kolegium przygotowało mnie znacznie lepiej do polonistycznych obowiązków niż następne trzy lata magisterskich studiów stacjonarnych w Krakowie (koleżanki i koledzy z roku mogli kontynuować studia magisterskie w trybie studiów zaocznych). Mogę zestawić i porównać ze sobą te dwa etapy moich przygotowań do zawodu w obrębie tej samej uczelni, oba trwały zresztą podobnie długo.

To poczucie nabytych kompetencji zawodowych wynikało z warunków, w jakich funkcjonowało tarnowskie kolegium. Działo pod opieką naukowo-

dydaktyczną pracowników dzisiejszej Akademii Pedagogicznej, zajęcia prowadzili metodycy m.in.: Ryszard Jedliński, Stanisław Rzęsikowski, Piotr Andrusiewicz, Maria Sienko, także Marta Mikosińska, Zofia Turlej; historycy literatury: Janusz Pluta, Jerzy Wali-góra, Andrzej Gurbiel, Roman Mazurkiewicz; językoznawcy: Edward Klisiewicz, Edward Stachurski, Władysław Zelech. Program nauczania akcentował nasze przygotowanie pedagogiczno-psychologiczne do pracy w szkole przez liczne wykłady z pedagogiki i zajęcia z psychologii, które odbywały się w szkole, w ośrodkach pomocy psychologicznej, w domach dziecka. W hospitacjach zajęć lekcyjnych uczestniczył nie tylko metodyk, ale i pedagog lub psycholog. Na I roku obserwowaliśmy dwie lekcje w tygodniu, szczegółowo omawiane przez nauczyciela prowadzącego zajęcia, metodyka i pedagoga, musieliśmy prowadzić dzienniki analizy zachowań uczniów na lekcji. Na roku II i III doszły lekcje prowadzone przez nas samodzielnie i praktyki studenckie. Grupy metodyczne były nieliczne, zatem każdy z nas mógł sprawdzić się w roli nauczyciela wielokrotnie. Obecność pedagoga, psychologa i metodyka podczas dyskusji po przeprowadzonych zajęciach z młodzieżą pomagała ocenić stan własnych predyspozycji zawodowych.

To przygotowanie metodyczno-pedagogiczne było wparte wykładami z historii literatury i ćwiczeniami z „analizy kontekstualnej dzieł literackich”, z poetyki, językoznawstwa, praktycznej stylistyki, języka obcego, filozofii, plastyki, wychowania fizycznego, informatyki. Egzamin dyplomowy składał się z obrony pracy licencjackiej i części praktycznej. Musieliśmy przeprowadzić dwie lekcje: językową i literacką; obie oceniane przez krakowskich metodyków-egzaminatorów. Program studiów licencjackich był, w mojej ocenie, przygotowany wyśmienicie. W ciągu trzech lat zdobyłem wiedzę zawodową przewidzianą programem studiów pięcioletnich w WSP. Mieliśmy w kolegium możliwości zapoznania się z warsztatem polonistycznym. To przygotowanie widoczne jest w pozytywnych ocenach pracy osób, które je ukończyły. Pracują z sukcesami w tarnowskich czy nowosądeckich szkołach, doktoryzują się.

Przejście na magisterskie studia stacjonarne do Krakowa zmieniło sposób zdobywania wiedzy, a także charakter kontaktów z prowadzącymi zajęcia. Można powiedzieć, że tak niepowtarzalne doświadczenia z czasu nauki w kolegium, jak wspólne wigilie z wykładowcami i otrzęsiny pozwalały zburzyć atmosferę anonimowości i dystansu, przywrócić relację mistrz-uczeń, nieobecną na ogół na uczelni w Krakowie. Nasz rocznik 1993–1996 liczył nie więcej niż 40 osób, to jakby szkolna klasa.

Trzy lata w Krakowie (1996–1999) były wypełnione przede wszystkim kontaktami z „mistrzami zawodu”. Uznałem, że właśnie zajęcia z wybitnymi specjalistami z poszczególnych dziedzin wiedzy polonistycznej (nie sposób wymienić wszystkich nazwisk profesorów) są najskuteczniejszą metodą zdobywania polonistycznych sprawności, nie tylko na ćwiczeniach, seminariach, ale też w rozmowach indywidualnych na dyżurach. Rozbudzały zainteresowania i przygotowywały do pracy naukowej. Dr Jerzy Waligóra stworzył mi także niepowtarzalną szansę wykorzystania umiejętności zawodowych w li-

ceum, które założył i prowadzi. Jako student mogłem podsłuchiwać jego zajęcia w szkole i uczelni. Nie zabrakło studenckich praktyk i zajęć pogłębiających rozumienie procesu odbioru dzieł literackich. Studia nad koncepcjami podmiotowego traktowania ucznia i programem podręcznika „*To lubię!*” uzupełniały zdobyte umiejętności. Jedno z pierwszych pytań postawionych przez dyrektora tarnowskiego liceum w czasie rozmowy kwalifikacyjnej dotyczyło gotowości wprowadzania zmian w sposobie przygotowania uczniów do nowej matury. Mogłem odpowiedzieć, że do takiej pracy zostałem przygotowany.

Kolejny etap rozwoju kompetencji zawodowych właśnie trwa, gdyż jestem doktorantem prof. Tadeusza Budrewicza i czynnym nauczycielem języka polskiego w tarnowskim liceum. Zatem moje losy zawodowe już od ponad 10 lat ściśle są związane z Akademią Pedagogiczną. Słowem, Uczelnia otwiera bramy do wiedzy tym, którzy chcą ją zdobyć. To myśl prosta, oczywista.

Krzysztof Małek

„Obyś cudze dzieci uczył”

Siermiężna rzeczywistość i magiczna siła wspomnień

Tak, tak... Nauczanie cudzych dzieci to dla Chińczyków (mądrygo narodu) przekleństwo przeznaczone dla najgorszych wrogów. Mnie chyba nikt aż tak źle nie życzył, a jednak to właśnie stało się moim udziałem. A może powołaniem, misją, pasjonującą przygodą...? Jedno jest oczywiste, na pewno nieopłacalną finansowo inwestycją. Co w takim razie popchnęło mnie do wykonywania zawodu nauczyciela i wyboru takiej drogi życiowej?

W tym miejscu właśnie chciałabym rozpocząć opowieść o swojej Alma Mater i moich z nią związanych wspomnieniach. Brzmi to bardzo oficjalnie i pompatycznie, ale jako skromna absolwentka chcę jedynie przywołać czar minionych lat, gdy zaliczona w poczet zaków WSP w Krakowie (nie doczekałam się bardziej patetycznej nazwy o platońskim rodowodzie), tam właśnie stawiałam pierwsze nauczycielskie kroki. Obracając w palcach indeks (całkiem nieźle zachowany), wertując strony, wzrok pada na te i inne nazwiska i budzi się ciąg luźnych, ale bardzo wyrazistych skojarzeń, myśli, odczuć...

I już jestem studentką z prowincjonalnego miasteczka, która nieźle zdała wstępne egzaminy i znalazła swoje nazwisko na liście przyjętych szczęśliwców (I roku polonistyki). I to początek przygód jednej z wielu studentek, która przez pięć lat wjeżdżała lub częściej wchodziła (winda instytutowa zwykle była przeciążona) na piąte piętro i kilka dni w tygodniu po kilka godzin, zmieniając sale rozmieszczone wzdłuż długiego, ciemnego korytarza, zdobywała kolejne stopnie wtajemniczenia.

Byłam przez kilka lat starościaną rocznika, który oprawione na bordowo dyplomy, już z orzełkiem w koronie, otrzymał w 1993. W raczej zgodnej opinii naszych pedagogów byliśmy (mówiąc skromnie) ciekawym i dobrze rokującym rocznikiem (pracowni-

kami AP z naszego werbunku są Marta Potaś, Iza Płonka-Zeller, Jakub Kozaczewski). Teraz to wiem – miałam szczęście, że los połączył mnie właśnie z takimi, a nie innymi ludźmi.

Najbardziej „traumatyczne” przeżycie dla studenta I roku to egzamin z literatury staropolskiej. My stawaliśmy twarzą w twarz z legendarnym doc. Okoniem. Ocena z tego egzaminu wcale nie wróżyła mi „polonistycznej kariery”. Inni mieli jeszcze mniej szczęścia. Trafialiśmy na fachowców, a jednocześnie pasjonatów i choć różniły ich temperamenty, poczucie humoru, wiek i stopień optymizmu, to jedno ich łączyło, powiem skromnie: sprawiali wrażenie ludzi, którzy wiedzą, co robią, robią to dobrze i zdają się lubić swoje zajęcie. Stąd ćwiczenia (bo tam kontakty interpersonalne mogły być bliższe i służyły wzajemnemu poznaniu) były owocne, ciekawe, ale pozwalające swobodnie oddychać. Podobало nam się, że wykładowcy z tytułami przed nazwiskiem nie wywyższają się, ale można z nimi pożartować (oczywiście w rozsądnych granicach), czasem zaprosić na kawę, czy przy milcząco-aprobującej zgodzie zmienić temat dyskusji na bardziej nam bliski i mniej niebezpieczny. I ta ludzka twarz (owszem, były i słabostki, które szybko nauczyliśmy się wykorzystywać) sprawiła, że ich wiedza w łatwy sposób, niemalże osmotycznie przenikała w umysły przyszłych adeptów sztuki nauczycielskiej. I chyba ta nauka nie poszła

w las, bo wiedzę wtedy zdobytą z powodzeniem wykorzystuję do dzisiaj. Ale chyba nie to cenię najbardziej. Te pięć lat nauczyło mnie czegoś więcej. Pewnej postawy wobec życia, wiary w siebie, otwartości na innych, uświadomiło mi, że każda inwestycja w siebie to opłacalny interes, że można i trzeba lubić to, co się robi. Nie stałam się po studiach „alfą i omegą”, nie przeczytałam przynajmniej połowy z zadanych lektur (przyznaję się do tego uczciwie), nie do każdych zajęć byłam przygotowana, z częstotliwością „chadzania” na wykłady było różnie.

Sentyment każe mi wspomnieć kilku tych, którzy odbili mocny ślad w mojej pamięci i są w niej obecni jako dobre duchy tamtych czasów. A byli nieodłączną częścią pięknych, studenckich lat. W moich oczach, z racji wielu kłopotów i porażek w osobistym życiu, dodatkowo przywołują wymiar świata, który wiele dawał i obiecywał.

Mój pochod otwiera dr Jerzy Waligóra, połączenie groźnego, tubalnego głosu i dobroniusznie śmiejących się oczu, stuprocentowy fachowiec; doc. Tadeusz Budrewicz, który oprócz rozległej wiedzy dysponował zdolnościami gawędziarskimi, dalej spokojny i opanowany dr Andrzej Gurbieł i jego anielska wprost cierpliwość. Jego przeciwieństwo, dr Bogusław Gryszkiewicz – intelektualnie złośliwy sceptyk (uwielbiałam jego ironiczne poczucie humoru) z trochę nieufnym podejściem do wiedzy reprezentowanej przez pleć piękną. Nie sposób pominąć dr Zofii Agnieszki Kłakówny, z którą bardzo szybko znaleźliśmy wspólny język. A mieliśmy okazję poznać też naszych Mistrzów trochę inaczej. Prof. Bolesław Faron okazał się niezrównanym miłośnikiem gór i zawstydział nas kondycją na górskich szlakach śladami młodopolskich fascynacji. Kilkudniowy wyjazd do Grodna, litewsko-białoruskie reminiscencje, proste,

a przez to piękny świat „tamtej” polskości. Najwyraźniej zaś pamiętam egzamin u prof. Stanisława Burkota. A dlaczego? Bo miał charakter rozmowy, która pozwalała ujawnić nie tylko posiadaną wiedzę, ale dzięki licznym dygresjom i uwagom, przesuwiała się płynnie od mistycznego Słowackiego do tłustości barokowych aniołków i turpizmu średnowiecznego *dance macabre*. Może to zabrzmiało nie skromnie, ale poczułam się kimś więcej niż studentem zdającym egzamin. I przyznam, że piątka z tego egzaminu napawa mnie szczególną dumą. Chciałabym oddać jeszcze należyty szacunek prof. Annie Dyduch. Nie ma jej już wśród nas, ale jako promotorka, opiekunka i dobry duch mojej pracy magisterskiej zasługuje na ciepłe słowa. Skutecznie i bezboleśnie zmusiła mnie do „spłodzenia” w terminie czegoś, co dało mi tytuł magistra. I do dziś fakt napisania tak długiego dzieła wydaje mi się cudem.

Wierna temu, czego się nauczyłam, zaczęłam dzielić się tą wiedzą z innymi, młodszymi (LO). Robię to już ponad 10 lat i wydaje mi się, że Akademia Pedagogiczna nie musi się wstydzić swoich absolwentów. Historyjki i anegdoty wybrane z tych pięciu barwnych lat żyją w opowieściach, jakimi czasem uraczam moich uczniów. Nie odesłałam tych lat, tych ludzi, tego klimatu do lamusa zramolałego belfra. Wiem, że podobnie jak ja myśli szereg moich kolegów i koleżanek, którzy pozostają wierni nauczycielskiemu posłannictwu. Jako polonista szczególnie odczuwam teraz mialkość i niedoskonałość słów, niezdolnych w pełni do wyrażenia tego, co czuję. Powiem więc najprościej – za każdą chwilę tych pięknych, owocnych i twórczych lat dziękuję tym wszystkim, którzy tworzyli i tworzą Instytut Filologii Polskiej Akademii Pedagogicznej w Krakowie.

Beata Śliwińska-Malcharek

Akta i akty

Nie ma kłopotu, gdy posługujemy się słowem „akt” w znaczeniu „jakiś czyn, czyjeś działanie, rzeźba lub fotografia przedstawiająca nagą postać, część utworu scenicznego, doniosłe wydarzenie”. „Akt” jest tu wyrazem rodzaju męskiego; w mianowniku l. mn. przyjmuje końcówkę „-y”, a w dopełniaczu „-ów”, np. „akty samowoli, agresji, dramatu”, ale też „akty malarskie, dziejowe; aktów samowoli, malarskich, dziejowych”. Adaptując to zapożyczenie do polszczyzny (z łac. *actus*), odrzuciliśmy przyrostek „-us” i zaliczyliśmy to słowo do tej samej grupy rzeczowników twar-dotematowych, co „kant, but, fant” (w dop. l.mn. „kantów, butów, fantów” itd.)¹.



Powstaje jednak pytanie: dlaczego poprawne są wyrażenia „akta stanu cywilnego”, „akta notarialne”, „akta śledcze”, a więc skąd w wyrazie rodzaju męskiego „akt” końcówka „-a” w mianowniku l.mn.? Wymaga to wyjaśnienia.

Maciej Malinowski

(Oj) czysty język

W języku łacińskim funkcjonował (poza *actus*) rzeczownik rodzaju nijakiego *actum* na oznaczenie „papieru urzędowego, dokumentu, pisma”. Rzadko posługiwano się formą singularną, o wiele częściej w użyciu była postać pluralna „acta”. Właśnie ona trafiła do polszczyzny i zaczęła się odnosić do „zbioru dokumentów w jakiejś sprawie lub zbioru ksiąg zawierających takie pisma”². Ciekawe jed-

nak, że przenosząc do języka polskiego postać „acta” (i zmieniając pisownię na „akta”), nie pozostawiono formy *actum/aktum*, lecz odrzucono zakończenie „-um”. Pozostało słowo „akt”.

Rozróżnienie to obowiązuje do dziś. Gdy chodzi o „pojedynczy dokument urzędowy lub prawny”, mamy rodzaj męski i męskoosobowy: „akt notarialny, akt urodzenia, akt kupna-sprzedaży; akty notarialne, akty urodzenia, akty kupna-sprzedaży”, a w dopełniaczu „kopie aktów notarialnych”. Kiedy mowa o „zbiorze takich dokumentów lub zbiorze ksiąg zawierających zapisy urzędowe”, pojawia się końcówka „-a” i występuje dopełniacz zerowy, np. „akta sprawy, akta sądowe” oraz (kogo? czego?) „akt sprawy, akt sądowych”.

Dawniej ochoczo używano rzeczowników „apartamenta, fundamenta, documenta” itp., będących mianownikiem l. mn. łacińskich wyrazów rodzaju nijakiego. Gdy jednak formą podstawową stał się w języku polskim „apartament, fundament, dokument”, łacińska końcówka l. mn. „-a” została wyparta przez polskie „-y”, charakterystyczne dla rzeczowników męskich. Językoznawcy przyjęli to z ulgą, ponieważ przez analogię do tych wyrazów wiele osób zaczęło stosować końcówkę „-a” także w wyrazach niełacińskiego pochodzenia: np. „bileta, koszta, guستا, grunta”. Słysz się je do dzisiaj, ale uważa za przestarzałe, błędne. Wyjątkowo możemy jeszcze powiedzieć „organy” albo „organa” w odniesieniu do urzędów i instytucji (np. „organy” lub „organa władzy, wymiaru sprawiedliwości, administracyjne”). Zawsze jednak mówimy: „organy słuchu, organy prasowe, organy kościelne”³.

Maciej Malinowski

¹ S. Reczek, *Nasz język powszedni*, Wrocław 1956, s. 272.

² Tamże, s. 273.

³ A. Markowski, *Nowy słownik poprauney polszczyzny*, PWN, Warszawa 2000, s. 612.

Dysertacje naukowe w internecie

W styczniu 2004 roku rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego podjął decyzję o obowiązku dostarczania oprócz drukowanej, także elektronicznej wersji każdej pracy doktorskiej. Prace dostarczane na CD mają być w założeniu sprawdzane przez specjalny program umożliwiający wykrycie plagiatów. W przyszłości wszystkie prace doktorskie będą dostępne w internecie. Podobne inicjatywy pojawiają się w wielu krajowych ośrodkach akademickich

W Polsce istnieje już portal *Nauka Polska* (<http://nauka-polska.pl>), w skład którego wchodzi m.in. baza danych *Rozprawy doktorskie i habilitacyjne*. Znajdują się tam głównie opisy bibliograficzne doktoratów i habilitacji po 1990 r. Baza posiada około 50 000 opisów z następującymi danymi: nazwisko i imię doktoranta, tytuł rozprawy, data otwarcia przewodu i data uzyskania stopnia naukowego, dane instytucji, w której został przeprowadzony przewód, informacje o nadanym stopniu, specjalności naukowej, informacje o promotorach i recenzentach przewodu. Dane do bazy należy przysyłać bezpośrednio do Ośrodka Przetwarzania Informacji (e-mail: doktoraty@opi.org.pl).

Na świecie jedną ze zbliżonych inicjatyw jest działalność Center for Research Libraries (CRL), będącego konsorcjum północnoamerykańskich uniwersytetów i bibliotek naukowych. Misją centrum jest wspieranie badań naukowych i nauczania, czemu służy m.in. przechowywanie i udostępnianie źródeł wiedzy. Jedną z form działalności jest *Foreign Doctoral Dissertations Database* CRL, który posiada obecnie ponad 750 tys. nieskatatalogowanych, zagranicznych prac doktorskich spoza USA i Kanady, z czego ok. 20 tys. jest dostępnych w elektronicznej bazie. Kolekcja została zbudowana dzięki depozytom członkowskich bibliotek i wymianie z ponad 100 uniwersytetami. W bazie reprezentowane są różne dziedziny naukowe. Większość dysertacji po-

chodzi z krajów Europy Zachodniej: Niemiec, Holandii, Francji, Szwajcarii, Danii, Norwegii, Szwecji i Wielkiej Brytanii, ale znajdują się w niej również prace z innych krajów europejskich, Ameryki Południowej i Afryki. Naukowcy z instytucji stowarzyszonych w konsorcjum korzystają z kolekcji bezpłatnie, poprzez wypożyczanie międzybiblioteczne. Inne osoby mogą pracę zamówić odpłatnie.

Zarówno polska baza *Rozprawy doktorskie i habilitacyjne*, jak i amerykańska *Foreign Doctoral Dissertations Database* zamieszczają w internecie tylko opisy bibliograficzne, co daje wstępną informację o wynikach badań naukowych. Z punktu widzenia użytkowników informacji, najlepsze rozwiązanie dotyczące dostępności prac doktorskich w internecie przyjęto w Niemczech.

Niemieckie przepisy dotyczące nadawania stopni naukowych wymagają publikacji rozpraw doktorskich. To zapewnia środowisku naukowemu możliwość korzystania z najnowszych wyników badań. Rozprawy doktorskie w postaci elektronicznej istnieją już w Niemczech od początku lat 90-tych ubiegłego wieku, były jednak tylko kolejnymi kopiami rozprawy. Na wydziałach nauk ścisłych i przyrodniczych już od wielu lat przechowywano elektroniczne wersje rozpraw, wychodząc z założenia, że udostępnianie informacji na papierze jest mało efektywne.

W 1997 roku Kulturministerkonferenz wprowadziła rozwiązania prawne, umożliwiające dostarcza-

nie wersji elektronicznej dysertacji jako jednego ze sposobów jej publikacji. Uniwersytety i towarzystwa naukowe wdrożyły różne projekty, mające na celu rozwiązywanie problemów związanych z konwertowaniem cyfrowych dysertacji do postaci gwarantującej jej autentyczność, łatwość publikacji, dostępność z całego świata oraz bezpieczną archiwizację. W 2000 roku wdrożono projekt ogólnokrajowy Dissertationen Online (<http://www.dissonline.de>).

W bibliotekach uniwersyteckich powołane zostały specjalne jednostki zajmujące się publikowaniem cyfrowych dysertacji. Odpowiednie oprogramowanie zostało zainstalowane na serwerach bibliotecznych, a informacja o sposobie elektronicznego opublikowania rozprawy musi być umieszczona na stronach WWW biblioteki. Wszystkie dysertacje są katalogowane, co umożliwia dostęp do pełnego tekstu także poprzez OPAC (elektroniczny katalog biblioteki). Biblioteka uniwersytecka zgłasza rozprawę opublikowaną online do Niemieckiej Biblioteki Narodowej, a ta już od 1998 roku archiwizuje tekst na specjalnym serwerze depozytowym. Od 2003 roku Biblioteka Narodowa przejęła koordynację prac związanych z programem digitalizacji i umieszczania w internecie prac doktorskich i habilitacyjnych. Na koniec 2003 roku w programie *Dissonline* znajdowało się 21 tys. prac.

W Niemczech publikowanie online ma następujące zalety: autorzy muszą dostarczyć jedynie kilka egzemplarzy swoim wydziałom, co jest oszczędnością finansową; można szybko opublikować dyserta-

cję, oszczędzając czas; autorzy otrzymują wsparcie techniczne od biblioteki uniwersyteckiej, dysertacje elektroniczne mogą być cytowane według obowiązujących norm.

Dysertacje naukowe reprezentują bieżący stan badań, zawierają nowe wyniki lub nowatorskie podejście metodologiczne. Stanowią oczywiście element procesu uzyskania stopnia naukowego – są zatem częścią dokumentacji egzaminacyjnej. Prace doktorskie i habilitacyjne stanowią również przedmiot działań bibliotekarzy na całym świecie.

Tak istotna rola dysertacji naukowych dla rozwoju nauki sprawia, że publikowanie ich w formie elektronicznej pozwala promować szeroki dostęp do badań naukowych i zwiększa proces dzielenia się wiedzą. Zamieszczanie prac naukowych w internecie pomaga badaczom zaistnieć w świecie nauki, gdyż wcześniej większość wyników badań nie była znana szerokiemu ogółowi naukowców. Publikowanie elektroniczne pomaga uniwersytetom budować infrastrukturę informacyjną oraz obniża koszty publikacji.

Dostęp do wszystkich opisanych programów i baz danych z dysertacjami online znajduje się w dziale *Ciekawe linki* na stronie domowej Biblioteki Głównej AP. Umieściliśmy tam również linki do stron publikujących pełne teksty prac magisterskich (*Networked Digital Library of Theses and Dissertations*) i innych prac na stopień naukowy (niemieckie: *diplom.de*).

Ewa Piotrowska, Renata M. Zając



O sporcie

pisze Czesław Michalski

Minęło właśnie 95 lat od trzeciego założycielskiego zebrania Akademickiego Związku Sportowego, które podjęło decyzję o utworzeniu AZS i wybrało pierwszy zarząd, na czele którego stanął student medycyny UJ Wacław Majewski. Z tej okazji w Krakowie odbyło się i będzie odbywać szereg imprez poświęconych temu jubileuszowi. „Konspekt” będzie informował o przebiegu jubileuszu, którego organizatorami są Zarząd Środowiskowy AZS Kraków, Koło Seniorów AZS Kraków oraz Kluby Uczelniane AZS poszczególnych uczelni krakowskich

O bchody zainaugurowano Wielkimi Regatami Wioślarskimi „8” na Wiśle i tradycyjnym chrztem nowej łodzi wioślarskiej. Pod Wawelem na trasie długości 2 km o niespełna pół łodzi zwyciężyli wioślarze Politechniki Szczecińskiej, wyprzedzając studentów z AGH. Wioślarze ze Szczecina okazali się również lepsi w rywalizacji weteranów, w której ich osada wyprzedziła o 2 sekundy byłych zawodników AZS Kraków. W tym numerze przedstawimy rys historyczny krakowskiego AZS, poinformujemy o sukcesach sportowców naszej uczelni w Mistrzostwach Polski Szkół Pedagogicznych i w Małopolskiej Lidze Uczelnianej, oraz przedstawimy życie sportowe polonistów.

Akademicki Związek Sportowy jest najstarszą organizacją studencką, posiadającą bogate tradycje, zrzeszającą studentów i pracowników szkół wyższych. Próby jej założenia sięgają 1908 roku, kiedy powołano tymczasowy komitet organizacyjny składający się ze studentów UJ. Projekt statutu nowej organizacji został zatwierdzony przez Senat UJ i przesłany do zatwierdzenia przez centralne władze administracyjne ówczesnej Galicji we Lwowie. Najprawdopodobniej nastąpiły trudności natury formalnoprawnej i organizacyjnej, ale wypracowano ostateczną wersję statutu, który został zatwierdzony przez władze austriacko-węgierskie w 1909. W pierwszych miesiącach działalności ograniczono się do tu-



rystyki (pierwszą wycieczkę w Pieniny urządzono 27–29 maja 1909). Wkrótce rozszerzono działalność, powołując sekcję sportów zimowych, skupiającą narciarzy i saneczkarzy, sekcję tenisową, piłki nożnej, kolarską i szermierki, wioślarską, strzelecką. W roku 1912/13 liczył AZS już ponad 300 członków, co stanowiło 10% ogółu studentów UJ. Już w 1909 r. prowadził dla członków i nie tylko własny dom turystyczny w wynajętym pomieszczeniu w Kirach u wylotu Doliny Kościeliskiej, a następnie w wynajętej willi w Zakopanem (ul. Łukaszkówki 4). W 1910 roku AZS wydzierżawił w parku krakowskim cztery zdezastrowane korty tenisowe, które po gruntownej przebudowie oddane zostały do użytku. W kolejnych latach wybudowano pawilon i następne boiska tenisowe i w ten sposób powstał jeden z najlepiej urządzonych obiektów tenisowych na ziemiach polskich w okresie zaborów. Jesienią 1911 r. AZS przystąpił do budowy własnej przystani wioślarskiej. Na wydzierżawionym od Magistratu Krakowa terenie przy ul. Tynieckiej, społecznie wybudowano hangar na 10 łodzi, szatnię dla dwudziestu wioślarzy oraz pływający pomost. 15 maja 1912 r. w obecności profesury uniwersyteckiej odbyło się uroczyste otwarcie przystani połączone z pierwszą oficjalną inauguracją sezonu wioślarskiego. W czasie pierwszej wojny sekcja wioślarska rozpoczęła popularyzację pływania wśród mieszkańców Krakowa, zaś sekcja narciarska organizowała coroczne kursy narciarskie w Zakopanem. Sekcja strzelecka została wcielona do Legionów Polskich. Większość spośród tych członków AZS, którzy podczas I wojny światowej służyli w Legionach bądź innych formacjach zbrojnych, po jej zakończeniu została w Wojsku Polskim (por. Władysław Ziętkiewicz, absolwent Wydziału Prawa UJ, dowódca Kompanii Wysokogórskiej, por. Stanisław Faecher, absolwent Wydziału Prawa UJ, zastępca dowódcy Kompanii Wysokogórskiej, Helena Bujwid, wioślarka, córka profesora UJ, uczestniczka walk w obronie Lwowa, pierwsza Polka – oficer Wojska Polskiego w niepodległej Polsce).

Wiosną 1918 rozpoczęto budowę nowej przystani wioślarskiej na terenie przyznany przez władze miasta między mostem Zwierzynieckim a Wawelem.

Dzięki wyteżonej pracy społecznej wioślarzy już 14 lipca tego roku odbyło się uroczyste otwarcie przystani, której nadano imię światowej sławy fizyka, mecenasu sportu akademickiego, prof. Mariana Smoluchowskiego. W końcu 1918 r. sekcja narciarska zwróciła się do dowódcy Brygady Strzelców Podhalańskich płk. Andrzeja Galicy z inicjatywą zorganizowania Kompanii Wysokogórskiej przy Brygadzie Strzelców Podhalańskich, który w styczniu 1919 powołał ją do życia. Celem tej formacji wojskowej było pełnienie służby granicznej w Tatrach i na Podtatrzu. W lecie 1920 r. Kompania udała się na front wojny polsko-bolszewickiej, a za rok została rozwiązana.

Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej w krakowskim AZS rozpoczęła się rytmiczna praca. Wyłoniono wydział główny, na czele którego stanął asystent UJ Jan Gadomski, powołano nowe sekcje, m.in. lekkiej atletyki, pływania, tyżwiarstwa. Później prezesem został prof. Walery Goetel, który funkcję tę sprawował nieprzerwanie do lutego 1939, będąc jednocześnie z ramienia władz krakowskich uczelni kuratorem Związku. AZS rozwijał działalność sportową w środowisku akademickim UJ, AG, ASP, WSH. Wychodząc z założenia, że potrzeby wychowania fizycznego młodzieży są ogromne, z jego inicjatywy na tych uczelniach odbywały się specjalistyczne zajęcia wychowania fizycznego, przystąpiono do modernizacji i rozbudowy urządzeń sportowych. Na przystani wioślarskiej koncentrowało się życie AZS, w jej pomieszczeniach w zimie prowadziła działalność sekcja narciarska, w późniejszym okresie także kajakowa. Korty tenisowe w wyniku działań wojennych uległy dewastacji, ale dzięki zabiegom Czesława Jentysa szybko przeprowadzono modernizację i już w 1921 r. rozegrano pierwsze mistrzostwa Polski. W 1936 r. na kortach wybudowano domek klubowy z tarasem, szatniami, pomieszczeniami administracyjnymi i natryskami, dzięki czemu stały się jednym z najlepszych obiektów tenisowych w Polsce międzywojennej.

Niestety, w marcu 1938 r. Zarząd Miejski w związku z planowaną przebudową Parku Krakowskiego wypowiedział AZS dzierżawę terenów, na

których znajdowały się korty i tym samym AZS Kraków stracił swój reprezentacyjny obiekt, a jego sekcja już nigdy nie odzyskała wysokiej, ogólnokrajowej pozycji. W 1922 r. AZS podjął uchwałę o budowie wielkiego parku sportowego na obrzeżach krakowskich Błoni. Budowa, którą rozpoczęto wiosną 1926 r., rozłożona była na kilka lat. Środki inwestycyjne uzyskiwano od instytucji państwowych, samorządowych, społecznych i osób prywatnych. Jednocześnie szkoły wyższe Krakowa zobowiązały się przeznaczać na budowę stadionu 8% zysków z czesnego. Ponadto każdy członek AZS miał obowiązek przepracowania określonej liczby godzin na stadionie. Nadzór kierowniczy i techniczny nad przebiegiem prac sprawowali nieodpłatnie członkowie klubu. W 1933 r., w ramach obchodów jubileuszu 25-lecia AZS Kraków, odbyło się uroczyste otwarcie i poświęcenie stadionu. Pomimo trwających niemal 7 lat robót inwestycyjnych, zdołano jedynie wybudować urządzenia lekkoatletyczne (bieżnia o wymiarach olimpijskich zaliczana była do najlepszych kraju), boiska do gier ruchowych oraz domek stróża z szatnią. Przyczyną był brak środków finansowych.

W 1925 r. sekcja szermiercza otrzymała od władz Uniwersytetu Jagiellońskiego na zasadzie dzierżawy pomieszczenie w gmachu dawnego arsenału. Odbywały się tam również zajęcia lektoratu wychowania fizycznego. W 1935 r. wybudowano w gmachu Akademii Górniczej przy al. Mickiewicza dużą salę do ćwiczeń szermierczych z pełnym wyposażeniem, dwoma szatniami i natryskami. Do września 1939 r. administratorem tej sali był AZS. Korzystała z niej również Komisja Międzyuczelniana Wychowania Fizycznego Szkół Wyższych w Krakowie. W latach 1933–1934 sekcja kajakowa AZS Kraków zaczęła budować pierwsze w Polsce stacje wodne. Postawiono je w Czorsztynie, Marcinkowicach i Siedliszowicach nad Dunajcem, w Baremianach nad Dniestrem i nad jeziorem Narocz. Te prymitywne, zbudowane własnym nakładem sił urzędnika spełniały ważną rolę w rozwoju turystyki wodnej.

Krakowski AZS znaczne zasługi położył przy tworzeniu struktury sportu polskie-

go, jego działacze (Mieczysław Świerż, Walery Goetel, Czesław Jentys, Adam Papée, Ludwik Leszko, Stanisław Faecher, Bolesław Macudziński, Maksymilian Sporny) byli współtwórcami, założycielami i aktywnymi działaczami Polskiego Związku Narciarskiego (1919), Polskiego Związku Towarzystw Wioślarskich (1919), Polskiego Związku Tenisowego (1921), Polskiego Związku Szermierczego (1922) i Polskiego Związku Pływackiego (1922). Zawodnicy AZS osiągnęli wiele znaczących sukcesów sportowych. Na Igrzyskach Olimpijskich w Paryżu (1924) polska ekipa szermiercza składała się wyłącznie z zawodników krakowskiego AZS, zaś na olimpiadzie w Amsterdamie (1928), szabliści (Kazimierz Laskowski, Adam Malecki, Adam Papée, Władysław Segda, Jerzy Zabielski, wzmocnieni Tadeuszem Friedrichem ze Lwowa) zdobyli brązowy medal. Dwójka wioślarska (Roger Verey i Jerzy Ustupski) zdobyła brązowy medal na mistrzostwach Europy, powtarzając ten sukces na olimpiadzie w Berlinie. Z szeregów krakowskiego AZS wywodzili się wybitni polscy sportowcy m.in. Włodzimierz Długoszewski (wioślarstwo), Bronisław Czech (narciarstwo) i Jadwiga Jędrzejowska (tenis ziemny).

Po zakończeniu II wojny światowej AZS Kraków reaktywował Centralę Polskich AZS-ów. AZS objął działalnością wszystkie wyższe uczelnie Krakowa. Upowszechnieniem sportu wśród społeczności akademickiej zajmują się kluby uczelniane: Akademii Ekonomicznej, Akademii Górniczo-Hutniczej, Akademii Pedagogicznej, Akademii Rolniczej, Collegium Medicum UJ, Politechniki Krakowskiej i Uniwersytetu Jagiellońskiego. W powojennej historii zasługi dla



Od lewej: prof. Andrzej Pelczar, prof. Jan Kusiński, Lech Pankowicz, Jan Żurek

polskiego sportu położyli wywodzący się z krakowskiego AZS trenerzy: Emil Dudziński, Władysław Stawiarski, Boguchwał Fulara (wieloletni kierownik Studium Wychowania Fizycznego naszej uczelni), Wacław Obuchowicz, Andrzej Gablankowki, Jan Żurek. Do czołowych zawodników należeli: Barbara Janiszewska-Sobotta (mistrzyni Europy na 200 m, 1966), Jarosława Józwiakowska-Bieda (srebrny medal olimpijski, Tokio 1964), Danuta Straszyńska, Maria Kusion, Mirosława Sałacińska-Sarna, Urszula Figwer, Stanisław Adamczyk, Zdzisław Bromek, Andrzej Skowroński, Adam Starostka, Bogusława Knapczyk, Mirosław Włodarczyk, Michał Staniszewski (srebrny medal olimpijski w kajakarstwie, Sydney 2000), Andrzej Wójs, Sławomir Mordarski, Marcin Urbaś, Marcin Nowak, Jagna Kolańska-Marczula. Swoistym ewenementem w skali kraju jest współpraca klubów AZS AWF Kraków i AZS Zakopane, w wyniku której utworzono wspólną sekcję narciarstwa alpejskiego i klasycznego. Reprezentanci AZS AWF Kraków – Zakopane (m.in. Kinga Różańska i Andrzej Bachleda-Curuś) zdobywają najwyższe laury w kraju i z powodzeniem reprezentują Polskę w zawodach międzynarodowych.

Z działalności KU AZS Akademii Pedagogicznej

W ostatnich tygodniach sportowcy naszej uczelni zdobyli wiele cennych trofeów. W XXII Mistrzostwach Polski Szkół Pedagogicznych i Filii Uniwersytetów w pływaniu, rozegranych 28 kwietnia br. zawodnicy Klubu Uczelnianego AZS zdobyli I miejsce, uzyskując 182 punkty, wyprzedzając zespół WSP Częstochowa, Akademii Świętokrzyskiej, Akademii Bydgoskiej i filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. Nasze pływaczki zdobyły wiele medali w konkurencjach indywidualnych: Alicja Bębenek złoty medal na 100 m stylem dowolnym, srebrny medal na 100 m klasycznym; Barbara Idzikowska dwa złote medale (50 m motylkowym i 100 m grzbietowym); Agnieszka Kielbusiewicz złoty medal (50 m klasycznym i srebrny medal 100 m zmiennym); Barbara Mikołajczyk dwa złote medale (50 m grzbietowym i 100 m zmiennym); Katarzyna Wołoch złoty medal (100 m klasycznym), (srebrny 50 m motylkowym); Karolina Gil dwa brązowe medale (50 m grzbietowym i 100 m grzbietowym). Sztafeta 4x50 stylem zmiennym (Mikołajczyk, Kielbusiewicz, Idzikowska, Wołoch) zdobyła zdecydowanie pierwsze miejsce, zaś sztafeta 4x50 stylem dowolnym (K. Gil, J. Skawiańczyk, A. Wójcik, A. Bębenek) wywalczyła drugie miejsce.

Trenerem sekcji pływackiej kobiet jest Ignacy Tokarz.

Na tych samych mistrzostwach męski zespół AP, prowadzony przez trenera Michała Malarza, uzyskał czwarte miejsce. Srebrny medal zdobył Mariusz Drozd (50 m motylkowym); brązowe medale uzyskali Artur Horecki (100 m dowolnym) i Tomasz Machinko (100 m grzbietowym). Sztafeta 4x50 stylem zmiennym w składzie T. Machinko, Ł. Smogowski, M. Drozd i A. Horecki przyплыnęła na drugie miejsce.

Świetnie spisały się na Mistrzostwach Polski w Częstochowie siatkarki. Podopieczne trenera Jerzego Szymczyka zdobyły pierwsze miejsce, występując w składzie: K. Janczy, A. Moczowska, A. Kielbu-



Reprezentacja Uczelni w piłce siatkowej kobiet
– Mistrz Polski Wyższych Szkół Pedagogicznych

siewicz, M. Piątek, J. Stach, D. Hałyniuk, M. Broda, E. Kielbus, M. Świerczyńska. W swojej grupie eliminacyjnej uległy Akademii Bydgoskiej 3:2; pokonały zespół Akademii Świętokrzyskiej 3:0; w półfinale zwyciężyły drużynę gospodarzy WSP Częstochowa 2:0, by w finale po emocjonującej walce zrewanżować się za porażkę Akademii Bydgoskiej i wygrać 3:2.

Ze złotymi medalami z Mistrzostw Polski powróciły również podopieczne trenerki Barbary Gołąb. O zespole tenisa stołowego kobiet i mężczyzn i jego trenerce szerzej napiszemy w następnym numerze, tym bardziej, że zdobyły pierwsze miejsce w Małopolskiej Lidze Akademickiej, a mężczyźni brązowy medal na mistrzostwach Polski.

W styczniu br. na Mistrzostwach Polski Uczelni Pedagogicznych drużyna piłki nożnej zdobyła brązowy medal w futsalu.

W Małopolskiej Lidze Akademickiej w sezonie 2003/04 w punktacji ogólnej sportowcy naszej uczelni uplasowali się na szóstej pozycji. Zwyciężył Klub Uczelniany AZS AGH, przed AWF i Politechniką.



28 maja br. odbyło się tradycyjne podsumowanie sezonu sportowego 2003/04, na którym uhonorowano okolicznościowymi nagrodami najlepszych sportowców Uczelni. Pożegnano też zawodników kończących studia. Najlepszą sportsmenką Uczelni została studentka filologii rosyjskiej Agnieszka Kielbusiewicz, złota medalistka Mistrzostw Polski w pływaniu i w piłce siatkowej.



AKADEMICKIE MISTRZOSTWA POLSKI - III miejsce CZĘSTOCHOWA 2004

Sport wśród polonistów

Ze sportem u polonistów zetknąłem się w grudniu 1970, kiedy funkcję prezesa Klubu Uczelnianego AZS przekazywał mi kolega Krzysztof Kizlich, wówczas student piątego roku polonistyki, zawodnik sekcji koszykówki. Znałem wielu polonistów uprawiających sport rekreacyjnie, najczęściej piłkę nożną, wielu też uprawiało sport w klubie AZS. Przypomnę w tym miejscu kilka sylwetek, które w swojej biografii mają przygodę ze sportem. O alpinistcie, byłym studencie i pracowniku Instytutu Filologii Polskiej, obecnie profesorze krakowskiej AWF, Andrzej Matuszyku, pisałem w numerze 13 „Konspektu”. W latach sześćdziesiątych na polonistycę studiowali: Barbara Stańczak, wielokrotna medalistka mistrzostw Polski w lekkoatletyce (100 m, 400 m, sztafeta 4x100 m, skok w dal) oraz piłkarz ręczny Zbigniew Świst, zawodnik drugoligowej Korony Kielce i AZS Kraków, zdobywca złotego medalu wraz z drużyną KU AZS na mistrzostwach Polski Szkół Pedagogicznych w Gdańsku. Studentem polonistyki w latach 1973–77 był Marian Wieczorek, pilot, obecnie kapitan PLL „LOT”, instruktor B-767. Specjalizował się w lataniu precyzyjnym i rajdowym. Wielokrotny reprezentant Polski na mistrzostwach Europy i świata w tych dyscyplinach. Zdobył indywidualne wice mistrzostwo świata w lataniu rajdowym. Od lat sędzia międzynarodowy w sportach samolotowych. Na II Igrzyskach Sportów Lotniczych powołany jako kierownik polskiej reprezentacji w lataniu rajdowym i precyzyjnym. Pod jego kierunkiem reprezentacja Polski zdobyła sześć medali złotych i sześć srebrnych.

W czasach studenckich na 400 m biegał dr Marek Buś, był członkiem sekcji lekkoatletycznej Klubu Uczelnianego AZS w latach 1973–79, trzykrotnie startował w mistrzostwach Polski Wyższych Szkół Pedagogicznych i Filii Uniwersytetów (Bydgoszcz, Olsztyn, Bydgoszcz) zdobywając brązowy medal w sztafecie 4x100 m i punktowane miejsca w swej koronnej konkurencji w biegu na 400 m. Trenerzy Ignacy Tokarz i w ostatnim okresie jego kariery za-

wodniczej dr Leszek Krzeszowiak wystawiali go do różnych konkurencji w mistrzostwach Polski i lidze międzyuczelnianej. Startował w skoku w dal (620 cm), trójskoku (13 m), rzucie oszczepem (49 m), a nawet w skoku o tyczce (3,20 m). Przez wiele lat reprezentował uczelnię w ulicznym biegu sztafetowym szlakiem pomników pamięci Tadeusza Kościuszki, w czasie Juwenaliów w biegu sztafetowym dookoła Rynku Krakowskiego.

Dr Marek Karwala był członkiem uczelnianego AZS od 1976 roku. Wielokrotny mistrz Uczelni w tenisie stołowym, trzykrotnie reprezentował uczelnię na mistrzostwach Polski Wyższych Szkół Pedagogicznych i Filii Uniwersytetów (Ślupsk, Częstochowa, Rzeszów) stale uczestniczył w rozgrywkach ligi międzyuczelnianej. W czasie służby wojskowej zwyciężał w silnie obsadzonych turniejach o mistrzostwo Okręgu Pomorskiego w Elblągu i w analogicznym turnieju wojskowym w Krakowie. Po zakończeniu służby wojskowej zaczął uprawiać badminton i tenis ziemny. Do dziś bierze udział w mistrzostwach Uczelni w tych dyscyplinach sportu, niemal stale plasuje się na medalowych pozycjach. W 2002 r. został mistrzem powiatu brzeskiego w grze deblowej w tenisie ziemnym, w 2003 reprezentował Uczelnię w Akademickich Mistrzostwach Polski zdobywając trzecie miejsce wśród uczelni pedagogicznych. Obok wymienionych dyscyplin sportowych uprawia jeszcze narciarstwo zjazdowe i piłkę nożną. Za swe osiągnięcia sportowe otrzymał w 1982 r. Srebrną Odznakę AZS.

Dr Andrzej Gurbiel w latach swoich studiów również uprawiał lekkoatletykę, a jego koronną konkurencją był rzut oszczepem, reprezentował KU AZS w lidze międzyuczelnianej. Rzucił oszczepem w granicach 55 m. Dr hab. Stanisław Koziara należał do sekcji tenisa ziemnego, który to sport obok piłki nożnej uprawia rekreacyjnie do dziś. Dr Izabela Zeller uprawiała wspinaczkę wysokogórską zdobywając najwyższy szczyt Europy Mont Blanc.

Brązowym medalistą w judo był studiujący w l. 1984–1989 Paweł Krzemień, aktualnie nauczyciel języka polskiego w Brzesku i trener sportów walki.

Z najmłodszego pokolenia polonistów znaczące sukcesy osiąga Łukasz Smogorowski student V roku polonistyki, członek AZS od 1999 r. uprawia lekkoatletykę i pływanie. Wielokrotny medalista mistrzostw Polski Wyższych Szkół Pedagogicznych i Filii Uniwersytetów i Małopolskiej Ligi Akademickiej. Jego wyniki przyczyniły się do zdobycia przez naszą Uczelnię brązowych medali w klasyfikacji mężczyzn w XX mistrzostwach Wyższych Szkół Pedagogicznych i Filii Uniwersytetów w pływaniu (Kraków 2000) i w lekkiej atletyce (Wrocław 2001) oraz srebrnego medalu w XXI mistrzostwach Polski (Poznań 2003). Zdobył srebrny medal drużynowo (5 osób) na mistrzostwach Polski Szkół Wyższych Uczelni Pedago-

gicznych w biegach przełajowych (Olsztyn k/ Częstochowy 2004), srebrne medale w sztafetach 4x100 m i 4x400 m na mistrzostwach Polski (Poznań 2003) oraz srebrny medal w sztafecie 4x50 m stylem zmiennym na Mistrzostwach Polski Szkół Pedagogicznych w pływaniu (Kielce 2004). W sezonie 2002/03 i 2003/04 reprezentował barwy uczelni w Małopolskiej Lidze Akademickiej w lekkiej atletyce. W obu tych sezonach drużyna lekkoatletyczna zdobyła srebrne medale. Jest również działaczem KU AZS, stawia pierwsze kroki w dziennikarstwie sportowym, redaguje biuletyn KU AZS, pisze też do naszego „Konspektu”

Czesław Michalski

Z wodą za pan brat

Już w dzieciństwie wykazywałam wyjątkowe zamiłowanie do wody. Często w trakcie wakacyjnych wiojaży potrafiłam doprowadzić do rozpaczyc rodziców nieudolnymi próbami pływackimi na głębokiej wodzie. Widząc moje zainteresowanie, rodzice zaproponowali mi, abym potraktowała pływanie jako dyscyplinę sportową i rozpoczęła treningi. Tak zaczęła się moja przygoda ze sportem wyczynowym.

Rozpoczęłam regularne treningi w klubie MKS „Jordan”, przy szkole Mistrzostwa Sportowego nr 75. Tam pod bacznym okiem trenerów i specjalistów kształtowałam i doskonaliłam swoje umiejętności pływackie. Konieczność pogodzenia nauki w szkole i codziennych wielogodzinnych treningów nauczyły mnie samodyscypliny i poczucia obowiązku. Ponieważ trening pływacki jest dość nudny i monotony, wyrobiłam w sobie umiejętność nauki w trakcie pływania: powtarzałam sobie zadane lekcje, przypominałam wiersze, śpiewałam piosenki itp. Startowałam w wielu zawodach sportowych i mistrzostwach, poznałam wiele ciekawych miejsc i wspaniałych ludzi, zdobyłam uprawnienia ratownika WOPR, a wszystko to dzięki pływaniu.

W trakcie studiów w krakowskiej Akademii Pedagogicznej w Krakowie nadal pływałam w sekcji AZS, początkowo pod okiem nieodżałowanej mgr Barbary Orłowskiej, obecnie moim trenerem jest mgr Ignacy Tokarz. Uwielbiam atmosferę zawodów, pociąga mnie zdrowa rywalizacja i współzawodnictwo, a trening pływacki nadal przynosi satysfakcję. Ponadto wieloletni trening pozwala nadal odnosić sukcesy sportowe, które dają mi wiele radości. Na Mistrzostwach Polski Uczelni Pedagogicznych w 2002 roku zdobyłam trzy złote medale, a na ostatnich w 2004 roku — dwa złote i jeden srebrny.

Pływanie będzie towarzyszyć mi już zawsze, a swoją wiedzę i umiejętności chciałabym przekazać innym, aby i dla nich woda stała się przyjazna.

Katarzyna Wołoch

Z Czartoryskimi do korzeni... (1)

Wschód fascynuje wszystkich, którzy chociażby zapragną go zrozumieć, ciekawi przypadkowych przybyszów, przyciąga też potomków dawnych mieszkańców tych ziem... Na rubieżach Pierwszej Rzeczypospolitej wyrosły przed wiekami potężne rody litewsko-ruskie, kształtujące potem przez połowę tysiąclecia ich oblicze. Jednym z nich byli wywodzący się z dynastycznego rodu litewskich Olgierdowiczów Czartoryscy, którzy największe wpływy uzyskali w XVIII wieku, a więc w końcowym okresie istnienia państwa polsko-litewskiego

Na Wschodzie pozostały ślady ich wielkości: zamki, pałace, kościoły, a przede wszystkim groby przodków. Ginąca kultura nieobecnych... Kultura absolutnie obca, a i niezrozumiała dla obecnych mieszkańców tych ziem, wyrosłych głównie w kręgu kultury ludowej. Ratowaniu pamiątek przeszłości nie sprzyjała też w ostatnim półwieczu oficjalna polityka władz państwowych na terenie ziem ukraińskich i białoruskich, szczególnie w okresie sowieckim.

Ziemia nasiąknięta krwią, ale ileż z nią wiąże się wspomnień... Wielu z nas wraca do niej myślami ilekroć pyta samego siebie: skąd nasz ród? gdzie nasze korzenie? Na chwilę wrócić postanowili też Czartoryscy... W wyprawie przygotowanej przez Związek Rodzinny udział wzięło kilkanaście osób, reprezentujących kilka pokoleń rodu. Najstarsi zdążyli jeszcze poznać i zapamiętać atmosferę panującą przed II wojną światową w rodzinnych pałacach w Żurawnie i Konarzewie, najmłodszy znają ją już tylko z opowiadań Dziadków.

W żyłach wszystkich płynie krew Czartoryskich, mimo iż padają nazwiska Golińskich, Kraińskich, Potockich, Radziwiłłów, Rostworowskich, Rybińskich...

Stare koligacje i przyjacielskie związki z innym wielkim rodem spowodowały, że Dzeduszyccy „odstąpili mnie” na kilka dni Czartoryskim. Zaproszenie prezesującej Związkowi Rodzinnemu Barbary Czartoryskiej przyjąłem z radością, mimo że na wytyczonej trasie znalazły się jedynie cztery nieznanne mi obiekty. Nie one były tu



Krzysztof Czartoryski, Wojtek Rostworowski, Maryś Radziwiłłowa

jednak najważniejsze, ale ludzie, z którymi miałem je oglądać. Bliskie powiązania dawnej arystokracji sprawiły bowiem, że spotykałem oto potomków bohaterów moich książek i artykułów, jako że współcześni Czartoryscy reprezentują w ogromnej większości wiedeńską gałąź Konstantego Adama, zawdzięczającą swoje liczne trwanie przede wszystkim Jadwisi Dzieduszyckiej, która poślubiła ks. Witolda urodziła mu aż dziewięciu męskich potomków! To właśnie sprawiło — jak sądzę — że „dzieduszyckologia” (nowa dyscyplina naukowa oficjalnie wyodrębniona przez dr Barbarę Czartoryską) przyjęto ciepło, z odrobiną „intelektualnej uszczypliwości właściwej jednostkom inteligentnym” (cyt. za Panią Prezes). Pojawiała się ona zazwyczaj podczas konfrontowania „minionych zasług” różnych rodów i nie dotyczyło to tylko relacji Czartoryskich z Dzieduszyckimi. Wkrótce miałem się przekonać, że równie ciekawe (i subtelne) są „wycieczki” w stronę Radziwiłłów czy Potockich. Dodało to bez wątpienia niezwykle kolorytu dyskusjom toczonym tak „w drodze, jak i na popasach”!

Wyruszyliśmy symbolicznie: spod warszawskiego Pałacu Kultury, daru — *nomen omen* — Związku Sowieckiego! Nasza precyzyjnie wytyczona trasa wiodła przez Wołyń i Podole, a entuzjazm obecnych wzbudziła drobna korekta, dokonana już na samym początku przez „grupę trzymającą władzę”: zaczynamy od Czartoryskich! Lepszą decyzję trudno sobie wyobrazić, to przecież kolebka rodu i nieważne, że obecnie po Czartoryskich nic tam nie pozostało. Zachował się jednak cudowny widok ze wzgórza na równinę, po której wije się wstęga rzeki, tworząc w miękkim podłożu łagodne zakola.

Na nocleg w Łucku zajechaliśmy spóźnieni. Znalazłem się w towarzystwie Wojtka Rostworowskiego (z wyglądu klasyczny wojewoda ruski z połowy XVII wieku: ładny owal pięknie wygolonej czaszki, przyozdobionej u dołu długą brodą) i Krzysztofa Czartoryskiego z Kanady (modelowy arystokrata z końca XIX wieku: niewysoki, o ładnie zarysowanym, szlachetnym profilu twarzy, z pełną siwizną głowy i pasującą do jego wyglądu, zadbaną brodą). Niektórzy

obawiają się problemów językowych (nie każdy przecież uczył się rosyjskiego), ale nasza trójka świadomie wybiera rodzinę posługującą się jedynie językiem rosyjskim: w tym składzie damy sobie radę. Krzysztof mówi wprawdzie kilkoma językami, ale jego repertuar na Wschodzie okazał się bezużyteczny. Praktyczniejszą umiejętnością wykazuje się Wojtek, którego słownictwo rosyjskie poszerza się w miarę konwersacji przy suto zastawionym stole naszej gospodyni. Wdowa po pułkowniku wojsk rakietowych, wywieziona jako dziewczynka z rodzicami do Kazachstanu, przyjmuje nas z ponadstandardową go-



Barbara Czartoryska, Maryjka Golińska, Krzysztof Czartoryski, kierowca Stec z Bielska, Maryś Radziwiłłowa

ściannością. Specjalnie przygotowane potrawy i to w ilości budzącej nasze przerażenie, okazały się nie tylko zjadliwe, ale naprawdę smaczne! Obok nich na stole pojawiła się obowiązkowo butelka wódki (na Wschodzie zastępuje ona zazwyczaj zarówno zimne, jak i gorące napoje), co mnie (bywałem w tych stronach) nie zdziwiło, ale już piwem, a zwłaszcza winem, byłem co najmniej zaskoczony. Najwyraźniej nasza sympatyczna wdowa nie była pewna upodobań swoich gości.

Już pierwszy wieczór zapowiadał niezwykle interesujące dyskusje i nie zawiodłem się. Kontakt nawiązany pierwszego wieczora okazał się trwały. Z Krzysztofem, prof. ASP z Vancouver — ku mojej radości — stanowiliśmy noclegowy duet do ostatniego dnia, a w razie potrzeby wspierał nas filozoficznie usposobiony Wojtek i tryskający życiem Piotr Goliń-

ski (z wszelkimi zadatkami na wspaniały typ jowialnego szlachcica). Trudno sobie wyobrazić lepszych kompanów i ciekawsze nocne rozmowy. Nie wiem, czy nie były one ważniejsze od wielu murów, zwłaszcza tych widzianych kolejny raz...

W Łucku śladów po Czartoryskich niewiele, jako że nawet baszta nosząca ich miano tyle ma z nimi wspólnego, że wybudowano ją kiedyś na ich gruncie. Od czego jednak koligacje rodzinne... Przy centralnej ulicy zamienionej obecnie w ciąg handlowo-spacerowy napotykałyśmy cerkiew prawosławną, na którą w XIX wieku zamieniono dawny kościół Św. Trójcy, wybudowany przez... Radziwiłła! Nikomu z nas nie udało się jednak zobaczyć wnętrza, bo na dziedzińcu soborowym trwał wiec „banderowców”, w rocznicę wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Pojawienie się tam Polaków uznano by pewnie za prowokację, a na tym nam najmniej zależało. Spotkania z „weteranami” formacji tragicznie wpisanych w stosunki ukraińsko-polskie nawet po 60-u latach nie należą do przyjemnych. W Łucku, na Woły-



Krzysztof Czartoryski i Wojtek Rostworowski

niu, wspomnienia łatwo odżywają i niestety rzadko zbliżają obie nacje.

Łuck to przede wszystkim katedra, spotkanie z jednym z legendarnych już księży na tym terenie, wikariuszem generalnym diecezji – Łotyszem Mendysem, znakomicie władającym językiem polskim. Przyjął nas w gabinecie nieobecnego tego dnia biskupa, co dla mnie – posadzonego w fotelu ordynariusza – stanowiło pamiętne przeżycie. Ks. Mendys okazał się poza tym niezwykle mądrym człowie-

kiem, a wszystkich zaskoczył zaproszeniem do swojego prywatnego królestwa w pomieszczeniach na górze katedry. Wśród tysięcy mniej lub bardziej ciekawych drobiazgów, ogromnej ilości książek w kilku językach, odkrył przed nami największą pasję swojego życia: ornaty. Nie kilka, ale dziesiątki bogato zdobionych ornatów uratowanych przed laty z zamykanych kościołów, usuwanych w ostatnich latach z czynnych już świątyń (najwięcej z katedry lwowskiej) przez „nowoczesnych” duszpasterzy preferujących lżejsze i bardziej przewiewne materiały. To zbiór zaiste imponujący, godny publicznego pokazania.

Łuck nie jest może najpiękniejszym miastem, ale po spotkaniu z księdzem Mendysem wydał się fascynujący. Raz jeszcze przekonałem się, że nie same mury tworzą atmosferę, ale ludzie w nich mieszkający. Jeden skromny, mądry człowiek znaczy często więcej, aniżeli najstarsza budowla. A mądrość księdza Mendysa bywa wyrażana słowami prostymi, wypowiedzianymi spokojnie, ze swoistą filozofią świadczącą o głębokiej równowadze wewnętrznej, o pogodzeniu się z prawami świata. Żałuję, że zawodna pamięć nie pozwoliła mi utrwalić tych „perełek”, wypowiedzianych w sposób tak naturalny, że dla nieuwważnego rozmówcy wręcz niedostrzegalny. Ilu z nas, świadomych życiowego powodzenia, potrafi sobie powiedzieć: „trzeba wiedzieć, kiedy odejść, by nie przekroczyć granicy śmieszności?” Raczej chcielibyśmy te słowa kierować do innych: do polityka (bo nie ta opcja), do pryncypała (bo zagradza nam drogę do kariery), do szacownego przodka ciągle trzymającego się steru rodzinnego interesu... Ksiądz Mendys tymi słowami skwitował pytanie o swoją przyszłość... Jakiz to kontrast z setkami „niezastąpionych”!

Łuck to pierwsze zderzenie (w następnych dniach będzie ich więcej) zachodnich standardów higienicznych ze wschodnią rzeczywistością. Dla mnie (akceptującego od lat Ukrainę taką, jaka jest) normalne, ale zdecydowana większość naszej grupy pojawiła się tu po raz pierwszy i – mimo przestróg rozsyłanych wcześniej drogą internetową przez starającego się myśleć za wszystkich Jerzego Potockiego – była zaskoczona. Cóż, w przygotowanej in-

strukcji znalazło się wprawdzie ostrzeżenie: „ukraińskie warunki sanitarne mogą odbiegać od tego, co znamy z domu, więc nie należy zapomnieć o własnym papierze toaletowym, ręczniku, mydle etc.”, ale nawet penetrujący afrykańskie bezdroża Jerzy Potocki nie przewidział, że na Ukrainie może najzwyczajniej w świecie brakować w domu wody! A już ciepłej latem to na pewno (no bo niby po co, przecież jest ciepło?! Kto trafił na zapobiegliwą gospodynię (jak my), to już o szóstej rano miał w łazience wielkie wiadro gorącej wody (kiedy i jak ona to zagrzała?), kto miał mniej szczęścia, szukał nawet tej zimnej.

Przygotowany wewnętrznie na owe uciążliwości codziennego życia Krzysztof Czartoryski („no wiesz, ja już byłem w Polsce przed dwudziestu kilku laty i pamiętam, jak tu się żyje, pamiętam smutnych, szarych ludzi...”) starał się nie okazywać emocji i zdziwienia w zetknięciu z urządzeniami z założenia mającymi służyć higienie, szybko się przystosowywał (bądź udawał, że tak jest), to jednak musiał doznać szoku, gdy zmuszony koniecznością skorzystał z toalety w malej knajpcie w centrum Łucka. Wrócił dziwnie zmieniony, z trudem zachowując spokój, w obecności swej kuzynki Radziwiłłowej powstrzymał się od komentarza, a jedynie wyszeptał: „to nieprawdopodobne!” Gwałtownie zareagował dopiero, gdy któraś z pozostałych czterech osób zapytała go po chwili o toaletę. „Tu nie można...” Po chwili siedzieliśmy w taksówce podążając do „prywatnej cywilizacji” na naszej kwaterze. Tu wprawdzie rżda sypała

się ze skorodowanych rur (jak wszędzie), ale było w miarę czysto, a i deska klozetowa dumnie stała w kącie czekając na swojego amatora...

Prawdziwie sentymtalna podróż do korzeni zaczęła się po opuszczeniu Łucka. Nie wszyscy jeszcze zdawali sobie sprawę, czym dla rodu była niewiele dziś znacząca miejscowość Klewań, położona przy trasie do Równego. Wcześniej mijamy jednak drogę na Ołykę... Kierownictwo wyprawy, emocjonalnie przygotowane już na Klewań, godzi się ostatecznie na niewielkie (i krótkie — jak zapowiada) zboczenie z kursu. Trzeba. Radziwiłłowie by nam tego nie wybaczyli, a jak niebezpiecznie z nimi zadzierać, boleśnie przekonało się w przeszłości wiele rodów. „Nasi Radziwiłłowie” są usatysfakcjonowani! Zosia wchodzi niemal pod sklepienie pięknego kiedyś, a dziś zrujnowanego kościoła, zaglądamy do pustych dziś krypt grobowych, oglądamy stojący obok, najstarszy na Wołyniu maleńki kościółek. Wszędzie życzliwie prowadzą nas miejscowe dzieci, których matka stara się, jak może, opiekować świątynią. Na szczęście zaczęto odprawiać w niej nabożeństwa (prawosławne), co być może uchroni ją od całkowitej zagłady. Na zabudowania pałacowe rzucamy już tylko okiem, ponaglani przez energicznie dyscyplinującą nas czasowo Barbarę Czartoryską. Jeszcze tylko cukierki dla dzieci (o dziwo nie chcą brać!) i do Klewania. Wśród osób lepiej znających przeszłość swojej rodziny wyraźnie rośnie napięcie...

Kazimierz Karolczak

„Nowa Polszczyzna”

„Nowa Polszczyzna”, metodyczny dwumiesięcznik dla nauczycieli języka polskiego (pięć numerów rocznie), pojawiła się na edukacyjnym rynku pod takim właśnie tytułem w 1997 roku jako pismo wydawane przez Wydawnictwo Edukacyjne

Historia „Polszczyzny” rozpoczęła się jednak siedem lat wcześniej, kiedy to Zofia Agnieszka Kłakówna (Katedra Literatury i Języka Polskiego w Instytucie Filologii Polskiej krakowskiej Akademii Pedagogicznej) objęła redakcję „Wiselki” – kwartalnika Wspólnoty Polskiej, adresowanego do nauczycieli polonijnych. Pismo od razu zyskało wyrazisty, metodyczno-praktyczny profil. Jako „Wiselka” ukazywało się jeszcze przez cały 1990 rok i odpowiadało charakterem „Językowi Polskiemu za Granicą”. W roku 1991 kwartalnik funkcjonował pod nazwą „Ojczyzna Polszczyzna. Dawniej Wiselka”, później zaś (lata 1992–1995 i trzy numery w 1996) – jako „Ojczyzna-Polszczyzna”. Od początku 1992 roku aż do pierwszego numeru z 1995 włącznie ukazywały się dwie wersje „Ojczyzny-Polszczyzny”: dla nauczycieli pracujących w Polsce (wydawca: firma Borgis) oraz dla nauczycieli pracujących za granicą (wydawca: Wspólnota Polska). W 1997 pismo wystartowało jako dwumiesięcznik „Polszczyzna”, by w drugim numerze (z przyczyn formalno-prawnych) po raz ostatni zmodyfikować swój tytuł.

Kolejne zmiany nazwy nie oznaczały odchodzenia od określonych jeszcze w pierwszej „Wiselce” z 1990 roku podstawowych celów czasopisma, czyli od „współbudowania nauczycielskiej świadomości w konstruowaniu programów nauczania”, od projektowania pracy nauczycieli polskiego, od prezentowania „różnorodnych form zajęć” oraz „możliwości wielu rozwiązań dydaktycznych”, do refleksji na temat „problemu wyboru tekstów do nauczania i sposobów korzystania z tych tekstów”... Do dziś nie

zmienił się również główny adresat pisma: nauczyciele języka polskiego w kraju i za granicą.

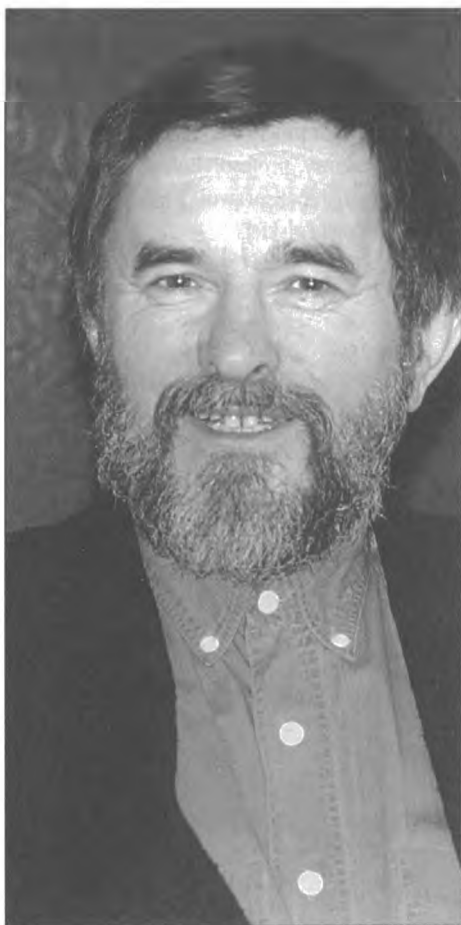
Wszystkie materiały publikowane na łamach „Nowej Polszczyzny” porządkowane są w trzech głównych działach. W centrum uwagi sytuują się oczywiście kwestie szeroko pojmowanego warsztatu nauczyciela i polonistycznego rzemiosła (dział „w stronę praktyki” i w jego obrębie takie hasła, jak: „w zależności od celów”, „dylematy szkolnego polonisty”, „lekcje czytania”, „wychowanie językowe”, „formy i organizacja pracy”, „lektura dla szkoły podstawowej”, „lektura dla gimnazjum”, „lektura dla liceum”...). Kontekstem dla nauczycielskiego warsztatu są materiały z drugiego działu, czyli fachowa wiedza z zakresu różnych dziedzin humanistyki („warsztatowe konteksty”, a w nim stałe „okienka”: „psycholog patrzy tak”, „porady językoznawcy”, „garderoba słów i znaczeń”, „nie dajmy się zwariować”, „pręgierz”...). Na trzeci dział składają się recenzje, omówienia, sprawozdania, listy do redakcji...

Z „Nową Polszczyzną” od zawsze współpracowało szerokie grono autorów, wywodzących się zwłaszcza z Instytutu Filologii Polskiej krakowskiej Akademii Pedagogicznej, a przede wszystkim – co zrozumiałe – z Katedry Dydaktyki Literatury i Języka Polskiego. Swoje forum znaleźli tu także liczni naukowcy z innych polskich uczelni oraz wielu nauczycieli-praktyków z kraju i zagranicy. Z czasem wokół „Polszczyzny” ukształtował się silny nurt polskiej dydaktyki, określane niekiedy mianem „szkoły krakowskiej”. Tu właśnie, pod kierunkiem Zofii Agnieszki Kłakówny – autorki *Sztuki pisanie* dla

szkoły podstawowej, współautorki i redaktorki serii podręczników „*To lubię!*” (szkoła podstawowa, gimnazjum, liceum), *Sztuki pisanie* dla gimnazjalistów oraz redaktorki *Metodycznej Biblioteki „To lubię!”* – wyrastała nowoczesna metodyka i nowy sposób mówienia o niej. Tu również, z inspiracji Pani Marianny Łacek, nauczycielki z Australii, zaczęto organizować metodyczne warsztaty dla nauczycieli. W ten sposób „Nowa Polszczyzna” stała się całą instytucją, o jasno sprecyzowanym profilu, „zatrudniającą” wielu ludzi, zwłaszcza nauczycieli, silnie kształtującą obraz nowoczesnej polskiej szkoły. Tę reformatorską działalność uhonorowano między innymi Pucharem Ministra Edukacji Narodowej na 5. Targach Książki Szkolnej „Edukacja '98”.

Cała wspomniana twórczość „szkoły krakowskiej”, podobnie jak „Nowa Polszczyzna”, publikowana jest nakładem Wydawnictwa Edukacyjnego, którego dyrektor naukowy, profesor Bolesław Faron, w Akademii Pedagogicznej sprawuje funkcję dyrektora Instytutu Filologii Polskiej.





Józef Baran

światy

można być w kropli wody
światów odkrywcą

można
wędrując dookoła świata
przeoczyć wszystko

nigdy się nie dowiesz

nigdy się nie dowiesz
co o tobie
naprawdę myślałem
nigdy nie odgadnę
jak się odbilem
w twoich oczach

patrzysz na moją twarz
słucham tego co mówisz
czujemy się jak przebudzeni
z głębokiej nocy
co nie umiejemy sobie snu przypomnieć

w mgłę w półmroku w odległościach
rozniecamy coraz skąpsze iskry rozmów
przemijamy odlegli jak dwie gwiazdy
jak dwie gwiazdy – z daleka – przytuleni

bajka o małżeństwie

tak długo płyną już tą łodzią
a wokół
wciąż ten sam krajobraz morski
i słowa jak mewy
przysiadają na rufie łodzi
na włosach rękach ramionach

budzą się o świcie
on zajmuje
miejsce z przodu
ona tuż za nim
siedzą tak blisko siebie że
co chwilę zapominają o swym istnieniu

wyrwani jak ze snu
znów siebie widzą słyszą
by po chwili zgubić z oczu
tak mija im dziesięć... dwadzieścia
trzydzieści lat

słyszać tylko rytmiczny plusk wiosel
poruszanych ich rękami

1974/2003

Bolesław Faron

Józefa Barana i Anny Dymnej

wyprawa po złote runo

Józefa Barana poznałem przed laty w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. Jako nauczyciel studiował zaocznie filologię polską. Trafił na moje seminarium dyplomowe. Napisał pracę, o ile dobrze pamiętam, na temat erotyki w twórczości poetyckiej Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Był to sympatyczny esej, bez przypisów, prezentujący jego indywidualne odczucie liryki, a więc bardzo osobiste odczytanie

Jako młody pracownik nauki chyba zbyt rygorystycznie oceniłem ten tekst, wystawiając mu ocenę dobrą. Nie zdawałem sobie sprawy, że brak aparatu naukowego rekompensuje pasja pisarska, co – zwłaszcza na studiach zaocznych – było rzadkością. Ta ocena w późniejszych naszych relacjach stała się przysłowiową „kością niezgody”. Często w rozmowach towarzyskich z poetą do niej wracaliśmy, dworując z siebie nawzajem.

Nawiązana wówczas znajomość ożyła w latach dziewięćdziesiątych, kiedy po powrocie z Wiednia, gdzie przez cztery i pół roku kierowałem Instytutem Polskim, spotkałem go na wieczorze autorskim Jerzego Harasymowicza w klubie Związku Literatów Polskich. Ten odnowiony kontakt trwa do dzisiaj. Od czasu do czasu spotykamy się, by wymienić poglądy na poezję, na sytuację w środowisku, by pogwarzyć po prostu o życiu. Józef Baran to dobry rozmówca, dialog z nim jest gęsty jak jego poezja.

Jest Baran autorem ponad dwudziestu książek, a tomiki jego ukazały się w przekładach na język angielski, rosyjski i niemiecki. Dojrzały dzisiaj poeta należy nie tylko do uznawanych, ale również chętnie czytanych ludzi pióra, a jego wiersze trafiły do gimnazjalnych i licealnych podręczników (są m.in. w „*To lubię!*”, podręczniku do pierwszej klasy liceum), ballady do repertuaru Starego Dobrego Małżeństwa i Eli Adamiak, a kolejne tomiki szybko znikają z pół-

ek księgarskich. Poetycki talent Józefa Barana odkrył przed laty Artur Sandauer, nieskory – jak wiadomo – do łatwych zachwytów nad najmłodszą liryką. Zaciekały go wiersze młodego autora, uznał ich wartość, życzliwie towarzyszył poecie do końca swojego życia. Napisał, że poezja ta „umie trafić bezpośrednio do serc ludzkich”.

Rekomendując tomik Józefa Barana *Pod zielonym drzewem życia*, napisałem: „Z pozoru proste wiersze z wyszukaną, bardzo świeżą metaforą przyciągają uwagę, stawiają przed czytelnikiem lustro, w którym znajdzie on swoje oblicze, może skonfrontować własne przeżycia z doznaniem poety. Twórczość Józefa Barana jest bardzo przyjazna człowiekowi, nie przestrzega go przed zagrożeniami współczesnej cywilizacji, katastrofą ekologiczną czy innymi niebezpieczeństwami. To raczej pogodna pieśń o życiu, o życiu oswojonym. Ma ona w sobie coś ze stoickich wierszy Jana Kochanowskiego”.

Diagnozy tej nie zmienił zasadniczo następny tom Barana *Najdłuższa podróż* (2002). Trochę ją jednak wzbogacił. Jest to bowiem tom prozy inkrurowany tu i ówdzie poezjami. Otrzymaliśmy zatem *Dziennik 1998–1999*, *Dziennik 2000–2001*, reportaże z podróży oraz rozdział *Najdłuższa podróż życia*, zawierający cykl wierszy oraz fragment dziennika (*Spowiedź szpitalna*). Znaliśmy wprawdzie Józefa Barana jako dziennikarza, reportera, nie-

mniej w formie książkowej wymienione tutaj formy wypowiedzi znalazły się po raz pierwszy. W dziennikach poety pojawiają się ciekawi ludzie, jak Maryla Tatarczuch ze Szwecji, niegdyś heroina lat 60., a dzisiaj schorowana emigrantka; są tutaj teksty bardzo osobiste, autobiograficzne, są też aforyzmy, jak choćby ten: „Stary człowiek jak wysoka piramida ułożona z klocków, której co chwila grozi rozpadnięcie się...”, jest sporo przemyśleń na poły filozoficznych o życiu, relacji między ludźmi, śmierci. Są również fragmenty listów – od Erny Rosenstein (wdowy po Arturze Sandauerze), czy wypowiedzi o innych poetach, np. o Marcinie Świetlickim oraz żartobliwe dywagacje na temat swego nazwiska i szkolnych cierpień z tego powodu. Raz po raz wraca Borzęcin, miejsce urodzenia, raz po raz pisarz tam ucieka do swojego domu, by zachłysnąć się ci-

rodziną. Poeta nam zaufał. Toteż my, czytelnicy, tego zaufania nie możemy zmarnować.

We wspomnianych tekstach prozatorskich Józef Baran objawił – jak wspomniałem – nowe oblicze jako: po pierwsze – wrażliwy obserwator krain i ludzi; po wtóre – pisarz wyrażający głębokie myśli o życiu. Zarówno na swoim, jak i na innych przykładach, buduje koncepcję „człowieka myślącego”, obcy mu są ludzie z „kartonu”, szablonowi, jeżeli nawet bardzo zasobni; po trzecie – udowodnił, że jest dobrym stylistą. Potrafi w krótkim zdaniu, w aforyzmie zamknąć głęboką refleksję; po czwarte – kiedyś autor *Doliny ludzi spokojnych* napisał o tym, jak prozaik Julian Kawalec przeobraził się w poetę, dzisiaj twórca *Tańczącego jastrzębia* mógłby napisać esej o tym, jak poeta Józef Baran przeobraził się w prozaika.



szą, spokojem. Niezwykle osobistym wyznaniem jest szpitalna spowiedź poety. Potraktował nas, czytelników, bardzo serio, poważnie, wyznając najbardziej intymne, najbardziej gorzkie doświadczenia, które ukrywa się najczęściej nawet przed najbliższą

W 2003 ukazał się wybór wierszy z lat 1968–2002 *Wyprawa po złote runo*, zaopatrzony w kolorową banderolę z napisem: „Ulubione wiersze Anny Dymnej”. Nie jest to, jakby się na pierwszy rzut oka mogło wydawać, jedynie chwyt marketingowy; na-

zwisko świetnej, popularnej aktorki na okładce poezji dobrego poety. Mamy tu bowiem do czynienia z wyborem szczególnym. Nie dokonał go ani autor, ani wydawca, lecz czytelniczka, miłośniczka tej poezji, Anna Dymna. Jest to wybór szczególny. Nie organizują go ani chronologia, kolejność wydania poszczególnych tomików, ani ich zawartość. Układa się je według określonych osi tematycznych, nie bacząc na czas powstania poszczególnych tekstów, chociaż w większości nadaje się poszczególnym partiom tytuły drukowanych już tomów, a więc: *Dolina ludzi spokojnych*, *Zielnik miłosny*, *Pacierz Szwejka*, *Dom z otwartymi ścianami*, *Najdłuższa podróż życia* oraz *A wody płyną i płyną...* Tak zestawione teksty mają swoją dramaturgię, jeśli tak można rzec, swoją „fabułę”. I tak np. *Dolina ludzi spokojnych* to powrót do korzeni, do borzęcińskiej atmosfery, to zespół wierszy, który ongiś powodował, że uważano Barana za poetę nurtu wiejskiego, sytuując go w kręgu Tadeusza Nowaka, Juliana Kawalca czy Wiesława Myślińskiego. Świadczą o tym tytuły wierszy: *Ziemia*, *Dom*, *Rodzinne żniwa*, *Saga o krainie moich*

ojców, *Litania do chleba*, *Apokalipsa domowa*, *Śni mi się mama*. Wprowadza poeta w świat Arkadii swego dzieciństwa, Arkadii, w której jest miejsce na urodziny (wnuka), śmierć (matki, dziadka), Arkadii, w której pojawiają się istotne kwestie egzystencjalne obecne stale w poezji Barana. Nie wyrzeka się swego rodowodu. Jego przodkowie i miejsce urodzenia – jak widać – raz po raz goszczą w jego poezji.

Z kolei liryki miłosne Józefa Barana (*Zielnik miłosny*) mocno są zespolone z realiami przyrody. Nie ma w nich jednak nic z sentymentalnych uniesień, natura nie stanowi tutaj sztafażu dla erotycznych doznań, nie jest też wyłącznie tłem rozgrywających się zdarzeń. Przyroda i uczucia zespala się w jedno, tworzą nierozdzielalną całość, a *Dom z otwartymi ścianami* to cykl wierszy podróżniczych, które są nie tyle reportażami z podróży, co refleksjami na temat przyrody, dzieł sztuki, a przede wszystkim ludzi. Bo człowiek, jego doznania, specyfika, odmienność są w poezji Barana najważniejsze.

Bolesław Faron

Wojciech Kawiński

Krótkie streszczenie kilku wątków

Zima;
zimna nasza
matka

słowo;
słowik w gnieździe
ust

oczy;
oczywistość dla
widzącego

jawa;
jawne struktury, odkry-
te-zakryte

lato;
latające zagrożenie, jego prze-
lot

konkret;
koń i kret, dwa po-
równania

liczba;
licz — a wejdiesz w nie-
skończoność

lud;
lodowato się
uśmiechnąć



Zapomniane z nie-zapomnianego pokolenia

*Wszystko jest inne
niż jest J.H.*

Kiedyś, z końcem dzie-
ciństwa, na początku śmieszno-po-
ważnej młodości
zаслуchałem się w jego kolorowy
wróble-śnieżny głos; w jego ujrzany
pośród głógów cień –

dziś, gdy nie ma
nawet jasno-późnych lat-lichtarzy,
ani budowniczego wieży
melancholii, gospodarza
całej góry barwinków, gościa
baru na stawach, tego który (*władca Łagodności*)
z nogami na stole
wyznawał
surrealne cuda dzieciństwa (*pamiętam,
mój dziadek: żubr w uprzęży z różańców...*)
wielkanoc wawel dzikie słoneczniki
pastorałki barokowe czasy miłość
do igrzysk genealogię stołu – dziś;
późne, osiwałe lato
poety
czyta się jak elegię
rozmnożoną na nieme głosy, żywe
metafory
ponumerowane w strony; w strofy
których nie sposób pomylić
z pisanyimi inną ręką –

z chmur
ołowianych znad dachów bez-sennych
patrzy na nas, zaplątanych głęboko
w błędy, w skutki i przyczyny –
proch jego popiołu,
gorzycz jego znaczeń;
stare-wieczne-dziecko jego świata
porzucone przez czas, pod-rzucone
na peryferiach górskich krajobrazów –

Jacek Rozmus

Metafory i przyjaciele

O twórczości Wojciecha Kawińskiego należy pisać z pasją albo w ogóle nie podejmować się lektury jego wierszy. W monografie „Pisarze z Krupniczej” wykaz tekstów omawiających kolejne tomiki poety obejmuje bez mała pół setki tytułów, a są to zaledwie rzeczy wybrane. Na liście autorów szkiców krytycznych, esejów, obszernych monografi, bo i tam Kawiński już trafił, trudno znaleźć kogokolwiek, kto nie liczyłby się w środowisku literackim, nie tylko zresztą Krakowa

W tym mieście rozpoczął studia, najpierw na Uniwersytecie Jagiellońskim, by potem sfinalizować je w tutejszej Wyższej Szkole Pedagogicznej, tu również debiutował w 1961 na łamach „Życia Literackiego”. Z piszącymi o nim łączą go artystyczne i redakcyjne działania w ramach grupy „Wielopole” i „Orientacji Poetyckiej Hybrydy”, gdzie w początkach lat sześćdziesiątych rodziły się przyjaźnie odporne na czas i historię literatury najnowszej, nierzadko aranżowanej przez polityków rozmaitych orientacji. Wśród utworów nowych i wybranych, jakie przyniósł ostatni tomik Kawińskiego *Ciało i duch*, jest wiersz *Do przyjaciół*:

O, drzewo rzeczywiste z szarego kamienia i liter,
Bądź nadzieją konieczną, dowodem niezbitym.

O, poranione lustro wody niezagasłej, zawsze czystej,
Odślaniaj gorzkie prawdy, które muszą istnieć.

Kim są powiernicy poety? Wymienił ich w dedykacji, bardzo istotnej, jeżeli pragnie się poznać literacki Kraków, klimaty i nastroje ostatnich dekad minionego wieku, a przede wszystkim ludzi uprawiających wtedy sztukę słowa. Czy był to czas prawd wyłącznie gorzkich? Jeżeli tak, tym bardziej intryguje. Debiutanci mogli liczyć na przychyłość Tadeusza Śliwiaka, uwikłanego w swoje własne liryczne światy autora znanego ze szkolnych podręczników, odpowiedzialnego za dział poezji w nieistniejącym dziś „Życiu Literackim”. Dzięki niemu i ja na chwilę zostałem poetą, od niego zaczyna się dedykacja. Pamię-

tam też, jak w latach osiemdziesiątych cierpiącym na manię debiutu osobom szansę kuracji dawało „Pismo Literacko-Artystyczne”, „Literatura” i „Magazyn Kulturalny”. Wojciech Kawiński pracował w tych redakcjach i tu sprawy się komplikują, bo to, co jest bardzo intymne i ludzkie, nie wytrzymuje konfrontacji z tym, co uchodzi za powszechnie przyjęte do wiadomości. Czym powinna być historia literatury, a czym w Polsce nie jest, resekowana, penetrowana w poszukiwaniu implantów po to, by ukryć lub zdemontować ujmujące, albo budzące odrazę ideologiczne wizerunki pisarzy? Powinna przede wszystkim zerwać z oportunistem. Artysta bowiem z reguły bywa niepoprawny, jego życie pulsuje na granicy między refleksją i pasją, zanika w rejonach politycznego zgiełku, nie sprzyja mu sytuacja, w której istnienie sztuki gwarantować mają oficjalnie powołane instytucje:

zjazd pisarzy – w jego
ciasnych ramach
wieczór autorski
starych, nieżywych poetów;
czytają tradycyjne, także
hermetyczne, wiersze
(Iwaskiewicz, Ślonimski,
Wirpsza, Śpiewak, Jastrun)

zapamiętałem nie metafory,
nie tkankę wiersza
lecz barwę głosu, twarz;
ruch ręki,
zakończony podpisem

na karcie książki,
którą mam przed sobą –
szarą, pobrudzoną,
ze śladami palców;

dzisiaj,
świadków mojej młodości
wspomina się milczeniem;
wiem o tym,
bo sam nie jestem bez winy –

Wiersz pod tytułem *35 lat temu* przyniósł tomik *Widok z okna* z roku 2002 i nie znam bardziej przekonującej, celniejszej analizy zjawisk, w których przedstawia się prawda o tamtej epoce. Liryczna retrospekcja, za sprawą której możliwe stało się powtórne niejako przeżywanie czasu młodości, budzi zaufanie. W tonacji wyciszzonej, bardzo po Różewiczowsku, odzywa się tu wszystko, co w poezji Kawińskiego jest arcyludzkie, paradoksalnie dlatego, że w literaturze i sztuce zostało potwierdzone.

W dedykacji wiersza *Do przyjaciół* zaraz po Śliwiaku wymieniony został Krzysztof Gąsiorowski, związany z „Hybrydami” poeta, krytyk. Na okładce *Widoku z okna* umieszczono obraz Andrzeja Kołpanowicza. Te fakty, pozornie pozbawione związku, składają się na i tak stale wymagający uzupełnień wizerunek epoki, której nie da się zamknąć w ramach historii zjazdów pisarzy. Powiem więc o faktach.

Kołpanowicza pod pseudonimem Paganini sportretował w swoich opowiadaniach Stanisław Czycz. Autorem jednego z najciekawszych studiów o poezji Czycza jest właśnie Gąsiorowski. Studium dotyczy wydanej pod koniec lat siedemdziesiątych zmodyfikowanej wersji poematu *Słowa do napisu na zegarze słonecznym*, w której czas wymyka się słowom, one z kolei pozostają, jako „dowód niezbity”, świadectwem trwania w obszarach orientowanych rytmem serca artysty. Kawiński, kiedy wyodrębnia takie obszary, oferuje lirykę najwyższej próby. Wtedy „głos i milczenie/ łączą się”, z tego związku rodzą się znaczenia, jak w wierszu *Dom, dym, deszcz* z tomiku *Kręgi zdarzeń*:

kurczą się
jak nici
odległości;

gwałtowniejsze czas
i jego
geometryczne prawidła;

plamy wielobarwne
do krwi podobne
tworzą mapy

fragmenty kontynentów
lustra
w których przegląda się wiek;

Synonimem grozy współczesnego świata, bezradności wobec najnowszej historii, łatwo skazującej na niebyt okazuje się tu *terra incognita*. Odkrywanie jej przy pomocy narzędzi, jakimi dysponuje poeta, jest daremne:

śmiecie i metafory
jak złom nasz codzienny
leżą w kacie

Podobnie diagnozowali zjawiska, w których przedstawia się XX wiek, krakowscy poeci, debiutanci z lat pięćdziesiątych: wspomniany już Czycz i Bursa.

Czycz był poetą drzew i panoram o szerokiej perspektywie z powietrza i światła, całkiem jak ta, którą namalował Kołpanowicz. Ale czas Kawińskiego zestrzaja się również z czasem Herberta, poety kamieni i krajobrazów białych, jak ślady na splekanym tynku. W najciekawszym chyba tomiku *Kręgi zdarzeń* rozgrywają się dialogi z mistrzami pędzla, z Vermeerem, Chagallem. Wiersz o Janie Lebensteinie układa się w liryczną rozmowę z przyjacielem malarza, z Herbertem:

Spopielone litery Księgi
Ciągłe żyją
W każdym ruchu
Naszych warg i dłoni

Aranżowana sytuacja rozmowy sprzyja więc wyartykułowaniu przesłania własnej twórczości, jedynej w swoim rodzaju, intymnej kroniki wątplenia, ale i wiary w poezję.

Jacek Rozmus



Własnoręczny podpis

*Błogosławieństwo oddech
4 - egzemplarz dyplomu
28/06. 65. Lily*

Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Krakowie

Nr GB.8/4/65 Kopia

DYPLOM

Ob. Arkadiusz Antoni Pilarz

urodzon Y dnia 2 maja 1940 r.

w Zamlinie

po odbyciu studiów wyższych
w latach 1961 - 1965
specjalizując się w zakresie

geografii

i złożeniu egzaminu dyplomowego
z wynikiem bardzo dobrym

otrzymał w dniu 25 czerwca 1965 r.

DYPLOM UKOŃCZENIA STUDIÓW WYŻSZYCH

stopnia -

na Wydziale Geograficzno-Biologicznym
Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie
i uzyskał stopień magistra geografii

REKTOR *[Signature]* DZIEKAN *[Signature]*

Kraków, dnia 26 czerwca 1965 r.

Arkadiusz Pilarz

Hagith

Jedna z tysięcy
bez skazy
czysta jak jagnię —
na ofiarę królowi szła.
Tłumy ją wiodły
dumną i czystą.
Sto nałożnic —
jeńców żydowskich stu
szło na śmierć za istnienie swoje
szło na ofiarę.
Umierali za swojego króla
nosili wspólne imię —
Hagith.
Ciała dymiły w krematoriach
a wszyscy odwracali głowy.

Bolesław Faron

W sadzie owoc dojrzewa

Mam nadzieję, że nie będzie mi to poczytane za złe, że moją opowieść o poecie i jego wierszach rozpocznę od wyznania osobistego. Były lata sześćdziesiąte. Roku dokładnie nie pamiętam. Jako adiunkt lub docent zostałem zaproszony przez młodzież ze Zrzeszenia Studentów Polskich, działaczy związanych z Klubem „Bakałarz” do jury konkursu poetyckiego pod nazwą „O Złoty Kałamarz i Złamane Pióro”

Konkurs został po dwudziestu kilku latach reaktywowany i od 1994 roku jestem „jednogłośnie” wybierany na przewodniczącego jury. Zgodziłem się wtedy wejść w skład zespołu oceniającego prace, gdyż jako młody pracownik naukowy utrzymywałem bliskie kontakty ze studentami, interesowała mnie także ich aktywność artystyczna. Otrzymałem więc pakiet rękopisów (nie było wtedy jeszcze komputerów), a wśród dość miernego plonu poetyckiego tego konkursu zwrócił moją uwagę wiersz *Hagith*. Tekst utworu odnalazłem po latach w moim archiwum domowym. To ten sam wiersz, który został wydrukowany w tomiku Arkadiusza Pilarza *W sadzie owoc dojrzewa*.

Byłem zazartym orędownikiem tego tekstu. Zdobył uznanie jury, być może otrzymał pierwszą nagrodę. Po otwarciu kopert z nazwiskami autorów okazało się, że autorem jest Arkadiusz Pilarz, student geografii krakowskiej WSP. Arka spotkałem już wcześniej. Był działaczem ZSP, szczególnie aktywnym w dziedzinie kultury i dziennikarstwa. Ucieszyłem się, że mój jurorski typ dotyczył młodego kolegi, którego znałem i ceniłem za aktywność w środowisku, a o którym nie wiedziałem, że jest poetą.

Nie było dla nas zaskoczeniem, że nie wybrał zawodu nauczycielskiego, do którego przygotowały go studia. Nie upłynęło wiele czasu, kiedy spotkaliśmy się znowu – na Krzemionkach w 1968 r. Raczkował tam jako początkujący dziennikarz, a ja zostałem zaangażowany jako stały recenzent nowości z dziedziny humanistyki w ówczesnej Kronice Krakowskiej. Był to emit-

wany na żywo felieton literacki. Kiedy w latach 90. wróciłem do Krakowa, nasze kontakty były bardziej luźne. Nagle, jak grom z jasnego nieba, dotarła do mnie wiadomość: Arkadiusz Pilarz nie żyje. Byłem wraz z przyjaciółmi na jego pogrzebie. Odszedł przedwcześnie. Pozostało nam jedynie zachować o nim pamięć.

Zacytuję fragment ze wstępu do tomiku *W sadzie owoc dojrzewa*, napisanego przez Bogusława Gryszkiewicza: „Znamiennym dla wierszy Pilarza jest właśnie ton prywatności, zamknięcie w tonie własnych przeżyć, myśli, wspomnień i wyobrażeń. Utwory, które krótko przed śmiercią skomponował w rodzaj poetyckiego wynurzenia...” Dla autora liczy się przede wszystkim prawda własnego, wewnętrznego świata.

Pozostał po nim debiutancki tomik i ten zbiór wierszy. Jakim był poeta? Jakim byłby poeta? Trudno rzec. Nieubłagana śmierć nie pozwoliła mu pomnożyć dorobku, a pozostawione próbki wskazują, że miał talent, aczkolwiek jego pasją był przede wszystkim żywy reporterski dokument, mocowanie się z rzeczywistością. W poezji zaś ujawnił swoje wewnętrzne przeżycia i bogactwo intymnego świata. Myślę, że reprodukcje obrazów Krystyny Niemirskiej-Wabik umieszczone w tomiku *W sadzie owoc dojrzewa* stanowią doskonałe tło do tej dyskretniej poezji, będącej jakby zaprzeczeniem szorstkiego na zewnątrz Arkadiusza Pilarza.

Fragment wystąpienia w czasie wieczoru poświęconego Arkadiuszowi Pilarzowi i promocji tomu jego poezji pt. *W sadzie owoc dojrzewa*, jaki odbył się w dniu 10 listopada 1998 r. w Sali Fontany Klubu Dziennikarzy w Krakowie. Wiersze czytały: Bożena Adamek, Nina Repetowska, Jerzy Treła.

Marian Pankowski

Tożsamość pisarza polskiego na obczyźnie po II wojnie światowej

Przypadek życzliwego zaproszenia pozwoli mi spojrzeć wstecz i podzielić się z czytelnikami „Konspektu” refleksją nad sytuacją pisarza polskiego na emigracji. Prawie sześćdziesięcioletni pobyt poza krajem daje mi okazję do naszkicowania obrazu mej własnej ewolucji ideowej i estetycznej. Będzie to subiektywne spojrzenie na formowanie się tożsamości pisarza, który, trochę jak strach na wróble w momencie pierwszych przymrozków, próbuje sobie przypomnieć dawne pola kwitnące rzepakiem i czereśniowe sady...



Fot. Z. Dądos

W latach pięćdziesiątych istniał podział pisarzy polskich na „krajowych” i „emigracyjnych”. Na Zachodzie sens drugiej przydawki był pozytywny; odniesieniem była Wielka Emigracja. Natomiast w Polsce Ludowej „emigracyjny” znaczyło „wrogi”. Określenie odnosiło się również do pisarzy, którzy nie wrócili do wyzwolonej ojczyzny i drukowali swe utwory w polskiej prasie na Zachodzie. Był to czas ideologii uproszczonych często do obelgi i kalumnii. Zarówno w Polsce, jak i w Londynie liczyła się tylko postawa manichejska. W Warszawie pisarz zmuszony był prędzej czy później zadeklarować się przeciw i opowiedzieć za... według obowiązujących dyrektyw Partii. W Londynie, Paryżu czy Brukseli wystarczyłoby mi jakie takie „PanTadeuszowanie”, wierszem lub prozą, czyli byt na uboczu dziejącej się Historii...

Pozwoliłem sobie przypomnieć skrótowo, niemalże karykaturalnie, podwójny w latach pięćdziesiątych profil polityczny literatury polskiej po to, żeby móc w nią wpisać siebie ówczesnego, zwolennika sytuacji

trzeciej, w której pisarz polski świadomie czy też skłoniony okolicznościami, opiera się w miarę możliwości siłom dialektyki binarnej, wybierając na emigracji status twórcy niezależnego. Nielatwo jest wyjaśnić decyzję pozostania polskiego pisarza na emigracji. Wybór jednego z obozów politycznych mógł zależeć od różnych czynników, również pozaideologicznych, od sytuacji rodziny w Polsce, od stanu zdrowia, od urazu spowodowanego latami obozu sowieckiego czy niemieckiego. W moim przypadku chyba główną przyczyną pozostania w Belgii była nieoczekiwana szansa studiowania na Zachodzie. Być może, iż na decyzję podjęcia mej zachodnioeuropejskiej przygody wpłynęła również legenda Paryża, w którym niegdyś koncertował Szopen, a nowogródzki nauczyciel i krzemieniecki marzyciel wstępował na Parnas...

Tuż po wyzwoleniu naszego obozu w Bergen-Belsen zaradni współwięźniowie ruszyli na rozpoznanie do krajów ościennych. Według ich opinii Belgowie odnosili się życzliwie do Polaków. Okazało się, że w Brukseli działa już Instytut Studiów Pol-

Marian Pankowski — poeta, historyk literatury, prozaik, dramatopisarz, krytyk literacki, tłumacz, urodzony w 1919 roku w Sanoku. W 1938 rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Debiutował jeszcze przed wojną fragmentem poematu *Las*. Wziął udział w kampanii wrześniowej, dostał się do niewoli, skąd zbiegł i pracował jako robotnik w fabryce wagonów. Za przynależność do konspiracji (Związek Walki Zbrojnej, AK) został aresztowany przez gestapo w 1942 roku. Był więźniem Oświęcimia, Gross-Rosen, Nordhausen, Bergen-Belsen. Po wyzwoleniu zamieszkał w Belgii, gdzie skończył Université Libre de Bruxelles, następnie pracował tam jako lektor języka polskiego. Wrócił do twórczości literackiej, publikował w londyńskich „Wiadomościach” i „Orle Białym”, w krajowej „Odrze”, „Odrodzeniu”, „Twórczości”. W latach 1951–58 był członkiem komitetu organizacyjnego międzynarodowego Biennale Poezji w Knokke. Publikował wiersze w języku francuskim, na który tłumaczył też utwory polskich poetów. W latach 1953–57 prowadził dział recenzji poetyckich w paryskiej „Kulturze”. Na początku lat sześćdziesiątych zaczął publikować w londyńskich pismach: „Kontynenty-Nowy Merkuriusz”, „Tydzień Polski”, „Oficyna Poetów”, współpracował też z *Moderne Encyclopedie Der Wereld Literatuur*. Od 1958 roku wielokrotnie przyjeżdżał do Polski. Nagrodzony przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie w 1963 roku. W tym samym roku uzyskał stopień doktora na podstawie rozprawy *Leimian — La revolte d'un poete contre les limites*. W 1976 został profesorem nadzwyczajnym, a cztery lata później profesorem zwyczajnym i kierownikiem Wydziału Sławistyki na Uniwersytecie Brukselskim, gdzie wykładał literaturę polską. W 1994 roku otrzymał nagrodę literacką m. Sanoka. Belgia, w uznaniu jego zasług dydaktycznych i literackich, przyznała mu najwyższe odznaczenia, m. in. *La Croix Civique de la 1-ere Classe*. W 2003 roku został uhonorowany nagrodą Stowarzyszenia Kultury Europejskiej za zasługi dla kultury polskiej na obczyźnie. Nadal mieszka w Brukseli i jako emerytowany profesor może całkowicie poświęcić się literaturze. W ostatnich latach wydał tomy prozy: *Fara na Pomorzu* (Kraków 1997), *W stronę miłości* (Warszawa 2001), *Złoto żałobne* (Koszalin 2002); tomy dramatów: *Teatrowanie nad świętym barszczem* (Kraków 1995), *Ksiądz Helena* (Kraków 1996), *Pięć dramatów* (Lublin 2001).

skich, który udziela stypendiów uratowanym z niemieckich obozów. Na moje szczęście sławistyka Uniwersytetu w Brukseli potrzebowała lektora języka polskiego. W kilka miesięcy potem zacząłem uczyć polskiego, sam przy okazji ucząc się francuskiego. W krainie sytości, jaką była wówczas Belgia, korzystając ze stypendium Instytutu i z opieki Polskiego Czerwonego Krzyża, przeżywałem tymczasem „emigracyjność” jako odkrywanie świata ludzi szczęśliwych. Mogłem żyć pozaideowo, dopóki rządzący Polską Ludową nie upolitycznili kwestii pozostania na emigracji, czyniąc ten fakt jednoznaczny z wrogim stanowiskiem wobec nowej Władzy, dopóki stypendium finansowane przez ośrodek londyński nie zostało uzależnione od zdeklarowania lojalności wobec rządu emigracyjnego.

Podziałowi politycznemu odpowiadały dwie sytuacje kulturalne, dwa rynki wydawnicze, dwa nurty prasy literackiej. Pisma przysyłane z Warszawy na Uniwersytet Brukselski pozwalały mi orientować się w dyskusjach ideologicznych i literackich, przynosiły wiersze i prozę, które początkowo cechował swoisty pluralizm estetyczny, zanim nie zlikwidowali go urzędnicy partyjni. Natomiast w Londynie „Wiadomości” drukowały nasze wspomnienia i westchnienia, żołnierskie, gułagowe, kacetowe. Kolejka poetów była długa, zaś tomiki wydawane w nakładzie stu egzemplarzy, subskrybowane przez znajomych, były jeszcze jednym dowodem społecznego osamotnienia poetów emigracyjnych.

I byłbym pewnie jęczal intelektualnie, gdyby nie Uniwersytet. W pierwszych miesiącach zaopiekował się mną gorący przyjaciel kultury polskiej i wielbiciel Słowackiego, sławista Claude Backvis. Był rok 1946, 47..., kiedy zaskakująco, a nieraz irytująco odczytywał nasz romantyzm. Podważał moje przywiązanie do patriotycznej poezji fabularnej, do lirycznej dialektyki cierpienia, wiary i nadziei... Proponował odwrót od opisowości linearnej, choćby niosła uroki prowincji kresowej, malowanej „zbożem rozmaitem”..., choćby w wierszu pobrzmiwały pogródki pod adresem samego Pana Boga. Opowiadał się natomiast Backvis za tekstem skomponowanym w imię majsterstwa literackiego. Cenił kunszt,

ale też i strefę kulturalnego podglebia, z której wyra-
sta słowo polskie, dziczka słowiańska naszczepiona
IIoracym czy Szekspiern.

Podobnie analizował polską poezję barokową.
Chociaż byłem wówczas przejęty codziennym wysił-
kiem pojmowania inności Zachodu, choć jeszcze
„uchodźczy”, z rosnącym zainteresowaniem słu-
chałem pochwały utworów napisanych szyfrem mitolo-
gicznym, słuchołem pochwały wierszy, w których
pod groteskowym nieraz obrazem kryły się *ars vi-
vendi* i *ars moriendi*. Przyglądałem się odchodze-
niu naszych poetów barokowych od estetyki czarno-
leskiej. Dzięki obrazoburczej polonistce Backvisa
mniej już wierzyłem w „natchnienie”, w „czucie
i wiarę”, coraz mniej przekonany do wizji emigracyj-
no-kronikarskiej świata, coraz bardziej zaintereso-
wany inną estetyką, której jeszcze nie umiałem okre-
ślić.

Dopomógł mi traf szczęśliwy! Wprowadzony
przez życzliwą osobę do redakcji „Le Journal des Po-
etes”, miesięcznika francuskojęzycznych poetów bel-
gijskich, znalazłem się w środowisku, które miało
z czasem zaważyć na moim podejściu do faktu po-
etyckiego. Było to jakby następne seminarium po
Backvisowym... Dla poetów belgijskich byłem
uchodźcą. Uwierzyli na słowo osobie, która przeczy-
tała moje *Pieśni pompejańskie* i *Wiersze alpejskie*,
wydane własnym nakładem w 1946 i 47 roku. W tak
sprzyjającej atmosferze zacząłem wkrótce układać
wiersze francuskie i tłumaczyć naszą poezję z myślą
o antologii, która mogłaby w przyszłości ilustrować
przykładami pochlebne oceny profesora Backvisa.
W tymże „Le Journal des Poetes”, tuż po pierwszych
wierszach francuskich (1951), ukazał się mój wybór
przekładów *À travers la poesie polonaise* (1952).
Złożyły się nań *Skarga Matki Boskiej*, *Na lipę*,
Wstęp do bajek, *Ślepy Akermanśkie* i Leśmianowy
Koń... Potem przyszła kolej na utwory Staffa i Tuwi-
ma, Miłosza i Przybosia. Weszły one do kolejnych to-
mów antologii poetów żyjących *Un demi-siècle de
poesie*, wydawanych z okazji Biennale *Poezji
w Knokke*. Podjąłem się tym chętniej roli pośredni-
ka, czy jak to nazywają Francuzi, roli „przewoźnika”
(passeur) polskiej liryki, znad Wisły nad Sekwanę,

gdyż nie marzyłem wtenczas o wejściu moich książek
do obiegu czytelniczego na Zachodzie. Zaistniałem ja-
ko pisarz dwujęzyczny. Znakiem tego było niemal rów-
noczesne ukazanie się dwóch tomików wierszy, fran-
cuskiego i polskiego: *Couleur de jeune melez* (*Kolo-
ru młodego modrzewia*) i *Podpłomyków* (1951).

W roku 1956 redaktor paryskiej „Kultury” za-
chęcił mnie do przełożenia wybitnego utworu litera-
tury belgijskiej. Mój wybór padł na dramat Michela
de Ghelderode, *Hop Signor*. Moja wersja dotarła do
Polski w listopadowym numerze miesięcznika. Tym
razem moje „przewoźnictwo” zaowocowało nieocze-
kiwanie. Częste i coraz ufniejsze rozmowy z bruksel-
skim dramaturgiem dotyczyły początkowo strony ję-
zykowej i obyczajowej tłumaczonej przeze mnie
sztuki. Było to już swoistą rekompensatą za moją li-
teracką nieobecność w Polsce. Z czasem teatr Miche-
la de Ghelderode, pełen okrucieństwa, pełen ludz-
kich małości i miłości, stworzył mi oczy na nowe,
wywrotowe widzenie rzeczywistości. A do tego ję-
zyk... Przeżywałem wówczas coś w rodzaju olśnienia
urodą tych tekstów. Jakbym słyszał psalmodijące
frazy Wyspiańskiego, któremu bezczelny i cyniczny
Przybyszewski podszeptuje istny katalog zmysło-
wych wykroczeń. W sumie była to dla mnie lekcja
poszerzenia obszaru tematycznego i językowego
ówczesnej literatury polskiej.

Trzecią z kolei ławą szkolną była redakcja „Le
Journal des Poetes”. Słowem-hasłem był tu termin
langage, wyrażający, jak i dziś, indywidualną eks-
presję artystyczną. Estetyce tej ojcował wówczas Re-
né Char. Ceniliśmy rozprawę jego słowa ujawniające-
go z godnością zaledwie profil domyślnego uczu-
cia... Wszystko to było tak inne od wierszy emigra-
cyjnych, pełnych patriotycznego bezwstydu, inne od
„krajowych”, prowokująco prostackich i pochleb-
nych. Pomimo że w tamtych latach nieźle naślado-
wałem lapidarny styl René Chara, pomimo życzli-
wych recenzji moich dwu tomików francuskich, nie
stałem się pisarzem europejskim. Byłem wtedy, jak
i dziś, „Polakiem z Brukseli”. I chociaż uczestniczyłem
w brukselskim życiu literackim, czułem się przede
wszystkim poza Polską, poza krajem, gdzie poezja
była tak obecna, w szkole i na łamach pism, w wyda-

wanych, tanich zbiorach. Chyba nigdy przedtem nie panował w Polsce taki kult słowa drukowanego.

Jednak najsilniej związał mnie z Polską lektorat. Zaczynając tę pracę w 1946 roku, nie przeczuwałem, że może ona być czymś innym niż niskim progiem polonistyki, w najlepszym razie filologiczną podbudową seminariów profesora Backvisa. Nie przeczuwałem, że obcując przez osiem godzin tygodniowo z polszczyzną, przeżyję istną kąpiel Achillesową i że starając się bogactwem naszej mowy uwieść młodych Belgów, sam zanurzę się w elementarnej fonetyce Mariana Falskiego, że z radością odnajdę w pamięci sanockie wyliczanki. Z tego zachłyśnięcia się słowem klechdy rodowej, od Reja przez Żeromskiego do Leśmiana, wyrosła moja pierwsza proza-nie-proza, *Sma-gła swoboda*. A kiedy do tego przyswoilem sobie nonkonformizm teatru Michela de Ghelderode, mogłem napisać moją powieść *Matugu idzie* (1959). Otrzymawszy odpowiedź odmowną od wydawców w Paryżu i Krakowie, wydałem tekst własnym nakładem w Brukseli. Książka stała się wy-

razem mej odrębności literackiej. Od tej chwili znalazłem się w sytuacji trzeciej, tym razem jednak świadomie, szczęśliwy z odkrycia zakazanych dotychczas obszarów wyobraźni i języka.

Drugim, niemalże symetrycznym aktem intelektualnego i estetycznego samookreślenia, była rozprawa doktorska zatytułowana *Bolesław Leśmian, bunt poety przeciw granicom*, praca powstała z fascynacji kreacjonizmem autora *Łąki*. Dla informacji dodam, że

wzbudziła sprzeciw promotora... Bo co innego poeta barokowy, niemal ludyczny w wyszukiwaniu zestawień o ryzykownym pokrewieństwie semantycznym, ale odnoszący się z szacunkiem do słowa odziedziczonego..., a co innego autor *Napoju cienistego*, który niczym Hieronimus Bosch odnaturał tradycyjne słownictwo, żeby tym lepiej wyrazić nasz byt instynktowny i absurdalny, w zderzeniu z Bożym Ładem.

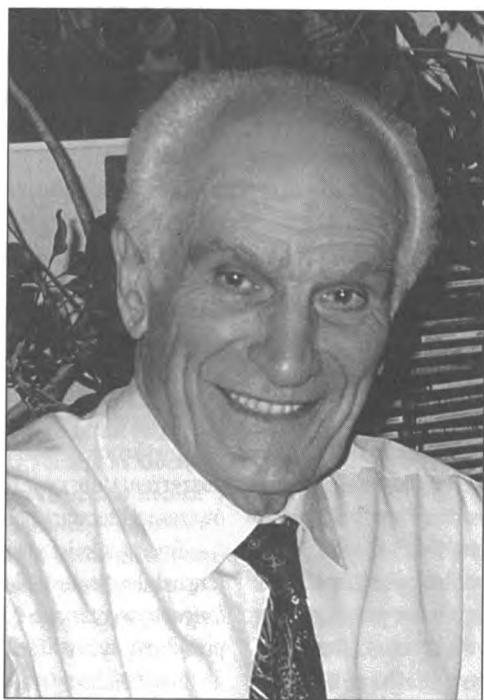
Podobnie ostre reakcje na *Matugę* czy na erotyzm buntowniczy Leśmiana mogą wywołać uśmiech, dziś,

w epoce publicznej transgresji intymności miłosnej, w epoce desakralizacji religii, tradycji, słowem wszystkiego, co by przypominało umiar, wzór czy hierarchię... Ale wtenczas... Istniała, na szczęście, w emigracyjnym Londynie „Oficina Poetów”. Jej redaktorzy, Krystyna i Czesław Bednarczykowie, bronili z uporem swej apolityczności, nie uznawali podziału na Polaków „dobrych” i „zdrajców”. Drukowali zarówno pisarzy emigracyjnych jak i „krajowych”. Niezależnej „Oficynie Poetów” zawdzięczałem druk moich książek nieprzylegających do ka-

nonu ówczesnych polskich wydawców. Tam ukazały się moje sztuki i moja proza kontrowersyjna *Rudolf*.

I na tym skończę przyglądanie się sobie w prawie sześćdziesięcioletnim lustrze. I myślę na głos: Czy tak było naprawdę, jak mówisz?... Czy niczego nie upiększyłeś? I taki wątpiący, a równocześnie ufny, zamykam tę wypowiedź na temat kondycji polskiego pisarza na obczyźnie.

Marian Pankowski



Krystyna Latawiec

Marian Pankowski — pomiędzy Karpatami a europejską Civitas

Sytuacja polskiego pisarza na obczyźnie nie jest łatwa, zwłaszcza jeśli nie ukrywa on swego dystansu wobec wzorów poezji patriotycznej, jeśli ceni niezależność ideową i wybiera, zamiast gotowych formuł literackiego opisu, poszukiwanie własnej ekspresji

Tak było z Marianem Pankowskim, który zaczął jako autor postromantycznych wierszy, ale szybko porzucił ich emocjonalną retorykę, aby odkryć wartość staropolszczyzny, czemu dał wyraz w stylizowanej na dawne traktaty *Smagłej swobodzie* (1955). Jednak ten zwrot ku mowie staropolskiej okazał się jednorazowy, gdyż *Matuga idzie. Przygody* (1959) zaskoczyła anarchizmem ideowym, dekonstrukcją bohatera i śmiałą erotyką przeciwstawioną dość infantylnemu obrazowi dzieciństwa i młodości rodem z idealnej krainy *Pana Tadeusza*.

Odtąd proza i utwory dramatyczne autora *Matugi* budzić będą skrajne reakcje; jedni zobaczą w nich bunt, ożywczy dla skostniałych form polskiego myślenia, inni stwierdzą, że demaskatorska pasja Pankowskiego idzie za daleko, gdy sięga po tematy ze sfery mitu narodowego i religijnego. W Polsce recepcja tego pisarstwa skupia się na odsłanianiu tychże mitów, przeważa więc ujęcie w kategoriach ideowych, co sprawia, że twórczość ta może się wydać wtórna wobec myśli Gombrowicza. Tymczasem Pankowski nie ma takich ambicji jak autor *Trans-Allantyku*, choć pewne powinowactwa między tym dziełem a *Matugą* niewątpliwie istnieją. Jednak w dalszych latach artystycznej działalności opowiada się raczej za pracą w słowie, któremu przypisuje magiczną zdolność kreowania świata wyobrazonego ponad tym realnie doświadczanym.

Jeśli polscy krytycy skłonni są uznać racjonalizm za podstawę dążenia Pankowskiego do kom-

promitowania naszego tradycjonalizmu, zwłaszcza jeśli idzie o zdominowanie myśli przez emocje, to cudzoziemcy (Belgowie, Francuzi) widzą w nim anarchistę wymykającego się kartezjańskiemu porządkom intelektualnym. Do stabilnej europejskiej Civitas wnosi on element egzotyczny, wywiedziony z małowniczych, choć na peryferiach cywilizacji położonych Karpat Wschodnich. W świat racjonalnie urządzony, ale i wyjałowiony z uczuć, wdzierają się strumień nieprzewidywalnych doznań zmysłowych, zwłaszcza erotyka zdaje się wywracać ustalony ład. Jednak nie ta skomercjalizowana przez kulturę masową i dobrze przyswojona przez mieszczańskiego odbiorcę, lecz obsesyjna, często ocierająca się o granice perwersji, zatem niepokojąca, gdyż wytrąca z przyjemnego aktu konsumpcji.

Zderzenie dwu typów wrażliwości — polskiej, ułożonej przez skłonność do idealizowania literaturę, z europejską, hołdującą mieszczańskim wartościom — okazało się ważne dla budowania pisarskiej tożsamości. Z jednej strony anachronizm polskiej tradycji, z drugiej mity nowoczesnego społeczeństwa, które zmienia jedynie przedmioty celebracji i ich nazwy, ale nie istotę rzeczy. Pankowski z humorem przygląda się projektom politycznym (integracja imigrantów), aktualnie obowiązującym obyczajom (odrzućcie kolejnych tabu erotycznych) czy lękom współczesnego Europejczyka („inwazja” migracyjna Afryki na Europę). Wybiera tematy wykluczone z dyskursu publicznego, czy to wskutek działania reguł politycznej poprawności, czy też tak ukryte pod powierzchnią

hipokryzji, że aż niedostrzegalne na pierwszy rzut oka (problem pedofilii w prozie *Putto*). Aby jednak nie popaść w dywagacje natury socjologicznej, ucieka w językową kreację. Szuka w mowie poetyckich sposobów wyrażania, by nie osunąć się w wyjaśnianie zjawisk, ale by sprowokować reakcję emocjonalną czytelnika, jego oburzenie, zdziwienie, współczucie. Istotne jest samo wytrącenie z rutyny emocjonalnej, z nawyków myślowych i stereotypów.

Pankowski jest twórcą ważnym zarówno dla francuskojęzycznej krytyki, jak i dla polskiej publiczności literackiej. Wydaje się, że od cudzoziemców możemy uczyć się czytania jego utworów bez tak charakterystycznego dla naszego odbioru ideowego zaciętrzewienia, wszak literatury nie pisze się wzniosłymi ideami, ale słowami. Pisarz zdaje się uwodzić zmysłowym językiem, dzięki któremu zbliża się do materii świata, aby odsłonić momenty zdziwienia jego naturą, fenomenem istnienia w najbardziej zwyczajnych przejawach. Skupia uwagę czytelnika na szczegółach, na tematach peryferyjnych, jednak pod piórem sztukmistrza słowa nabierających cech czegoś wyjątkowego, tak że zaczynamy wątpić w pozorną oczywistość otaczających nas rzeczy, skoro z każdej da się wydobyć w poetyckim opisie jej niepowtarzalną osobliwość. Dajemy się zatem wciągnąć w grę uwodzenia, tym bardziej, że wabi nas wytrawny kolekcjoner zmysłowych smaków życia. Podążając jego tropem odkrywamy, że „literatura jest kunsztem nowego nazywania”, odsłaniania w codzienności jej małych tajemnic, sięgania po nie do czasów minionych, kiedy jak narrator *Putta* znajdujemy na placach ze starzyzną lichtarze i kadzielnice pokryte patyną. Przedmioty mają bowiem swoje historie, można z nich wydobyć ludzkie wzruszenia, obsesje, nawet perwersje, jeśli tylko uruchomić wyobraźnię i pozwolić słowom zbudować wokół nich swoisty kokon znaczeń, jeśli kazać „słowom nieszpory śpiewać” na chwałę rzeczy z tego świata, na chwałę ciała przypisanego ziemi.

Z dzieciństwa i młodości zachowuje pisarz pewną spontaniczność emocjonalną, skłonność do ekspresywizmu, czyli uzewnętrzniania uczuć w języku wybuchającym, z trudem poddającym się panowaniu reguł gramatycznych. Autorskie „ja” konfrontuje się z otoczeniem ludzkim i przyrodniczym, nie znajdując w żadnym z nich oparcia. Natura podszyta jest energią instynktów, które na planie społecznym przybierają wysublimowane formy religijnych obrzędów bądź miłosnych celebracji, natomiast kultura to tylko krucha powierzchnia utkanego ze znaków i symboli gobelinu. W spotkaniu z cywilizacją Zachodu Pankowski poznawał złożoną strukturę tej tkaniny, ale zachował dystans wobec jej racjonalistycznego podłoża. Być może dlatego dla Belgów i Francuzów jest magiem z egzotycznych Karpát, tym bardziej że temat pogranicza polsko-żydowsko-ukraińskiego wprowadza w powieści *Pourót białych nietoperzy*, a właściwie dla naszej ludowej pobożności pielgrzymowanie, zupełnie obce mentalności zachodniego Europejczyka, czyni kanwą *Pątników z Macierzyzny*. Wydaje się, że to właśnie spór, konfrontacja postaw i wrażliwości szczególnie interesują Pankowskiego, który dla Polaków jest racjonalistą ukazującym pustkę rytuałów ich życia religijnego i społecznego, a z kolei dla czytelnika na Zachodzie jest „anarchistą” porzucającym symetryczne ogrody kartezjańskiej Europy. Konflikt jest udziałem bohaterów jego utworów, a dla niego jako pisarza okazał się inspirujący jako punkt wyjścia do kształtowania osobowości artystycznej, stał się drogą poznania siebie jako Polaka i człowieka. Na tej drodze Pankowski przebył wiele etapów — od sanockich wzgórz po stolicę Belgii, włączając wszystkie doświadczenia we własną tożsamość egzystencjalną i twórczą, nie wykluczając niczego, aby mieć z czego czerpać w piśarskim akcie „narzucania własnych rysów zastanej Naturze”.

Krystyna Latawiec

Marta Widurska

Niezniennie w kręgu stereotypów...

Bieńczyk, Filipiak, Stasiuk o kobiecie

Współczesną polską prozę można podzielić na męską i kobiecą, lecz podział ten nie sygnalizuje wyłącznie autorstwa, ale także sposób kreowania świata, seksualizmu i międzyludzkich relacji. Chciałabym rozważyć aspekt kobiecy, biorąc pod uwagę stereotypowe role, w jakie kobieta zwykle wpisuje się (matki, kochanki, prostytutki) oraz mechanizmy deszyfracji owych stereotypów

Interesująca na tej płaszczyźnie analizy może być powieść *Terminal* Marka Bieńczyka, eksponująca symboliczny i sakralny wymiar kobiecej seksualności. Bohaterka jego prozy nie szuka bowiem przegód cielesnych, lecz prawdziwej miłości. Odczuwa silną potrzebę kochania i bycia kochaną, lecz świat powieści nie sprzyja bliskości między ludźmi czy stworzeniu prawdziwej więzi. Autor niejednokrotnie podkreśla piękno kobiecego ciała, ale nie skupia się na sferach uznawanych powszechnie za najbardziej erotyczne. Często zaś opisuje twarz, sylwetkę, oczy i dłonie, idealizując i ujednolicając obraz kobiety. Odsuwa na bok biologiczną stronę zmysłowości i cielesności ludzkiej, zwracając się raczej ku ujęciom delikatniejszym, stereotypowym, potwierdzonym wielowiekową tradycją (ideał słowiańskiej urody). Piękno ciała łączy się w prozie Bieńczyka z dobrem, stąd wyposażenie kobiet w cechy łagodności czy romantyczności.

Izabela Filipiak z kolei próbuje odciąć swe pisarstwo od stereotypizacji ról czysto kobiecych (macierzyństwo, heteroseksualizm), dążąc do uwolnienia bohaterek od norm obyczajowych i samych siebie. I choć udaje się to na ogół prostytutkom, homoseksualistkom i artystkom, w prozie Filipiak nie przynosi prawdziwego spełnienia. Wcielenie w nowe role również okazuje się niewłaściwe – destrukcyjne i ograniczające. Kobieca nieprzystawalność do narzuconych jej ról spotyka się z ostrzejszym niż

w przypadku mężczyzn sprzeciwem lub pogardą. W większości utworów: *Śmierci i spirali*, *Masce*, *Nic się nie stało...* nie odnajdzie czytelnik udanych związków między kobietą a mężczyzną, gdyż leżą jakby na płaszczyźnie „niemożliwości”. Facet znęca się psychicznie i fizycznie nad żoną, występuje w roli opiekuna prostytutek, przyjmuje rolę gwałciiciela mordującego swe ofiary. Wzajemne relacje obu płci opierają się na wykorzystywaniu i zdominowaniu kobiety przez pierwiastek męski.

Twórczość Filipiak określa się mianem feministycznej, gdyż przedstawia opresyjną sytuację kobiet w społeczeństwie patriarchalnym, przyjmując też żeński punkt widzenia. Nie wystrzega się autorka opisów kobiecej seksualności (doznania erotyczne, menstruacja, ciąża i poród) i problemów patologii (molestowanie seksualne, niechciane ciążę, aborcja). Kobieta nie odnajduje własnej, osobnej przestrzeni do życia, zostaje jakby wtłoczona w system spraw męskich.

„MITOLOGIA MĘSKOŚCI” A POZYCJA KOBIETY W PROZIE STASIUKA

Spojrzenie na świat, filozofia życia, mentalność i typ emocjonalności są tu charakterystyczne dla mężczyzn, zaś zajęcia i sposób traktowania kobiet – raczej stereotypowe. Kobieta w prozie Stasiuka stoi zawsze na uboczu (*Dukla*, *Opowieści galicyjskie*), stanowiąc jedynie dopełnienie postaci męskich. Jej

przeżycia i myśli nie są eksponowane czy analizowane. Płeć piękna jest określana głównie przez seksualną rolę – jako partnerka w kontaktach seksualnych jest zmuszana do uległości i zaspokajania męskiego pożądania, natomiast jej doznania schodzą na plan dalszy. Zdarzają się także kobiety nienasycone seksem, ale te nie są doceniane. Wzbudzają dziwny niepokój, a nawet strach. Rzadko ocenia się kobietę według obiegowych kryteriów: charakteru, sposobu bycia lub temperamentu. Cieleśność to jedyny aspekt kobiecości, o którym mężczyźni mówią. Ciągłe wymieniają spostrzeżenia dotyczące piersi, ud, pośladków, natomiast to, co nazywamy urodą: rysy twarzy, kształt ust czy wyraz oczu nie podlega ocenie i jest pomijane. Młodzieńcze zainteresowania chłopców z *Białego kruka* ograniczały się do zwabiania dziewcząt, chwytania je za pośladki oraz weryfikowania doznanych wrażeń. Była w tym, jak sami mówią, i ciekawość, i pogarda, i agresja.

Kobiety w prozie Stasiuka często bywają wspólne (*Przez rzekę*) – wielu bohaterów może je zdobyć i pościć, gdyż wyłączności nikt tu nie żąda. Chęć dominacji nad kobietami podkreśla sposób mówienia o nich oraz brutalność w ich traktowaniu. Zwierzę, krówka, dupa to nieliczne określenia używane w stosunku do płci pięknej. Mężczyźni dzielą kobiety na zwykłe i niezwykle. Obcując z tymi ostatnimi dają się dobrowolnie sprowadzić do roli poddanego, przekonanego o ich wyjątkowości i niedostępności. Faza zdobywania wiąże się z silną ekscytacją i energią, natomiast w chwili zdobycia (seksualnego) wygasa tajemnica i pożądanie. Mężczyźni postrzegają kobiety nie tylko jako źródło zaspokojenia seksualnego, ale i przeżyć metafizycznych czy mistycznych. Poszukują w akcie miłosnym głębokich, wzniosłych doznań, za każdym razem rozczarowując się, że ciało potrafi jedynie zaspokoić zmysły.

Twórczość Stasiuka obfituje w ciekawe kreacje kobiet wyjątkowych, niemal mitycznych, będących ucieleśnieniem męskich wyobrażeń – taka jest Nadia ze zbioru *Przez rzekę*. Mówi o sobie niewiele, lecz można łatwo zaobserwować jej swobodę obyczajową i prowokacyjne zachowanie. Hojnie i sprawiedliwie obdziela swym ciałem. Bohaterowie z na-

maszczeniem przyglądają się jej gestom – zakładaniu nogi na nogę czy palcom gładzącym filizankę, dostrzegając w tym niemożliwą do spełnienia tajemnicę. Ponętność i perwersja Nadii wzbudzają w mężczyznach zarówno podziw, jak i odrazę. Tak naprawdę jest niezależna, gdyż nie należy do żadnego z licznych kochanków. W obcowaniu z nią doznają mężczyźni ambiwalentnych uczuć – od uwielbienia do nienawiści, postrzegając Nadię poniekąd jako *femme fatale*. Niewiele wiedzą o niej bohaterowie i czytelnicy, funkcjonuje bowiem bardziej jako symbol niż postać realna.

Jeszcze bardziej magiczna wydaje się być Zula Egipt (*Przez rzekę*), także należąca do wielu mężczyzn. Stanowi odzwierciedlenie marzeń o zjawiskowej urodzie i niepokoju, lecz nie odpowiada jej narzucona rola obiektu seksualnego. W końcu kobieta ucieka, przepada bez śladu, a narrator i doktor zastanawiają się, czy istniała naprawdę. Wykreowali ją prawdopodobnie we własnych myślach – coraz to inną, zależnie od pragnień: „...Zula anioł, Zula wysłanniczka eonu miłości, Zula mistyfikatorka, Zula nieistniejąca (...), Zula harpia, Zula halucynacja”.

Odmiennością od reszty kobiet we wsi ekscytuje Maryśka – młoda dziewczyna z *Opowieści galicyjskich*. Jej postać została ukazana w niezwykle cieleśnym tańcu z Edkiem oraz w czasie wiejskiej zabawy. Ludzie przyglądają się śmiałym ruchom i ciału dziewczyny, plotkując o jej prowokacyjnym zachowaniu. Dostrzegają, że nie stwarza pozorów niewinności, a jej swoboda jest w tym środowisku czymś nowym i zaskakującym. Dziewczyna uwolniła się od stereotypowych ról (żony, matki) i osiągnęła niezależność.

Niezwykle kobiety często prezentuje pisarz w tańcu. Dzieje się tak w *Dukli*, gdzie ze wspomnień mężczyzny wyłania się obraz jego młodzieńczej miłości. Niemalże mityczna postać tańczy bez butów, lubieżnie, jakby zupełnie się w tym zapomniała. Wzrok przyciąga jej zmysłowe ciało, które aż elektryzuje gapiów. „Reszta tańczących kobiet wyglądała jak przypudrowane trupy (...) czułem jak wchodzę w jej ciało, nie w banalnym, kopulacyjnym sensie, ale dosłownie wślizguję się w jej napiętą brązową skórę (...)”.

Prozę autora *Białego kruka* zamieszkują też kobiety typowe, które nie wyróżniają się szczególnym wyglądem i zachowaniem. Jeśli posiadają charakterystyczne cechy, to takie, które dyskwalifikują je w oczach mężczyzn jako obiekty seksualnego zainteresowania. Opisuć dukielską rzeczywistość, dokonuje pisarz oceny młodych dziewcząt: „...były szpetne. Siedemnasto-, osiemnastoletki połyskiwały złotymi zębami. Krótkonogie, pękate, piersiaste i dupiaste, stanowiły wierne obrazy swoich przeznaczeń (...)”.

Stereotypowe wzory żon i matek uwikłane są w zwykłą codzienność i własną biologię. Stanowią opokę domu, fundament stabilności i bezpieczeństwa rodziny. Do ich obowiązków należy zajmowanie się dziećmi, czynności porządkowe oraz karmienie zwierząt. Poruszają się po znanym sobie terenie – dom, podwórze, kościół. Ograniczony do kilku stałych miejsc i zajęć świat kobiety zostaje odarty z tajemnicy, a przez to odrzucany przez mężczyzn jako nudny, nieatrakcyjny. Stasiuk dostrzega, że czas kobiet jest kulisty, o czym świadczy najlepiej cykliczność i powtarzalność zajęć powszednich i tych związanych z biologią (jak rodzenie dzieci). Poczucie osamotnienia w borykaniu się z problemami codzienności kobiety odczuwają dotkliwie. Kłótnie z mężami, narzekanie na własny los – karę bożą i niezadowolienie z życia są także wyrazem niezgody na niezależność męskiego świata. Tworzą go sezonowe prace wiążące się z wyjazdem i opuszczeniem rodziny oraz

knajpiane libacje suto zakrapiane wódką. Przestrzeń mężczyzn jest szersza, ciekawsza i niedostępna dla kobiet. Ale i ona wpisuje się w pewien ustalony rytm monotonii i przewidywalności. Mężczyźni utrzymują rodziny, nie doceniając jednak pracy swych żon i matek, nie wynagradzając częściej nieobecności dobrym słowem czy miłym gestem. Męska ocena kobiet i ich zaangażowania jest niska, a stosunek do nich obojętny lub krytyczny.

Całkowitą rozdzielność światów obu płci sygnalizuje Babka, przypisując Bogu tożsamość oraz zespół cech charakterystycznych dla mężczyzn. Wyraźnie brzmią słowa, jakie padają z jej ust w czasie pożaru domostwa: „Pan Bóg jest chłopem, Pan Bóg jest chłopem”. Są jak wyrzut pod adresem Stwórcy za brak litości i miłosierdzia w stosunku do ludzi.

Stasiuk nie wykreował dotychczas pierwszoplanowej postaci kobiecej, powielając wzory pisarzy poruszających się w literackim kręgu wartości typowo męskich. Przeżycia, refleksje kobiet, a także meandry ich psychiki nie leżą w sferze zainteresowania autora. Intelktualizm oraz dylematy egzystencjalne przypisuje jedynie mężczyznom, tworząc pewnego rodzaju „mitologię męskości”. Baba to ciało, czasem praca, a jeśli okazuje się, że jest w niej coś więcej, to aż przejmie niepokoje! Proza Stasiuka, posługując się słowami samego autora „...to państwo mężczyzn (...) kobiety wstępu nie mają (...)”.

Marta Widurska

Konteksty roku 1944

Są w historii daty ważne i mniej ważne. O tych ważnych powiadamy niekiedy, że to cezury zwrotne. Czy rok 1944 był taką właśnie cezurą? Okrągła rocznica skłania do refleksji i zadumy, już to z perspektywy historycznej, już pamięci/niepamięci, ale też i „przyspieszenia” roku 1989. Czasem relatywizujemy proces historyczny i historyczną prawdę, czasem ją instrumentalizujemy, często też bywa historia wykorzystywana w politycznych afektach, sejmowych czy publicystycznych połajankach, pouczeniach, zawstydzających nie tylko nas, swarach. Zazwyczaj bowiem to zwycięzcy w Polsce „piszą” historię, a później inni zwycięzcy o nią się spierają, poprawiają, powiadając, że teraz już jest jedynie słuszna i prawdziwa

A historia bywa też fetyszem, szczególnie ta nieodległa, postrzegana jeszcze pamięcią i ideologiczno-politycznym reflekssem. Jej konteksty bywają złudne, bywają niekiedy nadzieją, ale też i głośną tromtadracją, polityczno-patriotycznym, a nawet religijnym zaciętrzewieniem, „naszym” zwycięstwem a „ich” klęską, ułudą.

Czy w tej przestrzeni mieści się polski – i nie tylko – rok 1944? Nie sposób oczywiście zapomnieć, iż już raz mieliśmy owo słynne i do dziś różnie postrzegane „a imię jego czterdzieści i cztery”. Symbolika, obrzęd, a może właśnie fetysz? Jak dziś, z dość odległej perspektywy, ale też i po niełatwych PRL-owskich doświadczeniach, także z kłamiwą historiografią, po kilkunastu latach III RP, w społeczeństwie które w ponad 3/4 urodziło się w PRL-u, jawi się ta data – zderzenie dwu jakby porządków – symboli: powstania warszawskiego i Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego? Nie chciałbym postrzegać tu procesu historycznego tylko w tak zarysowanej dychotomii, czarno-białym kontekście, choć jawi się on wyraziście. Może warto zastanowić się nieco szerzej nad tym „skąd i dokąd”, a przede wszystkim „dlaczego”, tak a nie inaczej, prowadził dramatyczny rok 1944? To egzystencjalne pytanie: „skąd i dokąd”, zdaje się być fundamentem naszej drogi tu i teraz, a z kolei: „dlaczego”, to najważniejsze pytanie jakie procesowi historycznemu i źródłom stawia historyk. Może zatem warto rozważyć ten problem tak właśnie, jak go za tytułowałem: konteksty roku 1944?

*

W liście do jednej z „towarzyszek” datowanym: Jerozolima 2 I 1944, Władysław Broniewski napisał: „Szczona Towar-

zysko. List Wasz sprawił mi dużą przyjemność, nie obyło się jednak i bez przykrości. Miło mi słyszeć, że moja poezja była dla Was niejako wstępem do światopoglądu socjalistycznego. Wyrażacie jednak obawę, czy wyparłem się lub zapomniałem o dawnych ideałach. Ta Wasza wątpliwość mnie boli. Otóż stwierdzam: nie wyparłem się i nie mam zamiaru wypierać żadnego z moich wierszy. To, co teraz piśzę, jest pod znakiem walki o byt polityczny i po prostu biologiczny mojego narodu. To, o co walczę, jest warunkiem wstępnym do wszystkiego co będzie potem. Oczywiście będzie walka klasowa i, być może, moje wiersze znów mnie zaprowadzą do kryminału. Jak widzicie, chcę, żeby między mną, autorem, a tak wdzięczną jak Wy czytelniczką nie było nieporozumień. Dodam więc jeszcze coś, czego nie wyrażiliście jasno w liście, a czego się domyślałam. Stosunek do Rosji. Otóż spędziłem w tym kraju blisko dwa lata w więzieniu i doszedłem do pewnych politycznych wniosków, dość niepopularnych w Palestynie. Mianowicie sądzę, że ten kraj przestał być nosicielem idei socrealizmu. Jest to państwo rządzone terrorem i despotyzmem, zaprzeczające wszelkiej wolności, a w pierwszym rzędzie wolności sumienia. Pomyślcie nad znaczeniem kilku kolejnych posunięć politycznych Moskwy; wprowadzenie hierarchii militarnej wraz ze znienawidzonymi niegdyś złotymi epoletami; orde-ry im. Suworowa (rzeź Pragi!) i Kutuzowa; wprowadzenie synodu prawosławnego; rozwiązanie Kominternu; wreszcie wycofanie z obiegu pieśni Komuny Paryskiej *Międzynarodówki*. Przewiduję, że obecna Rosja pójdzie po drodze imperializmu rosyjskiego, jakiegoś nowego bonapartyzmu z aneksjami i błagą tak zręcznie dziś w świecie lansowaną.

Nie chcę, żeby polskie miasta Lwów i Wilno należały do Rosji. I mówię Wam to wszystko właśnie dlatego, że ani na chwilę nie zapomniałem, że jestem socjalistą. Ja się nie zmieniłem, to tam się dużo zmieniło”.

Zdaje się, że mimowolnie, wybitny, choć błędzący poeta, zawarł to, co było niezwykle doświadczeniem sporego pokolenia Polaków, doświadczeniem wojenno-okupacyjnym, tułaczym i emigracyjnym, obozowo-lagrowym, ale też i dorobkiewiczowskim, szmalcowniczym, zdrazieckim i haniebnym, choć zawsze trzeba pamiętać o proporcjach, typowości zjawisk społecznych itd. Te słowa z początku 1944 roku doskonale też obrazują zjawisko szersze — dotychczasowe doświadczenie społeczeństwa, jego postawy i zachowania, wreszcie oczekiwania. Polacy bowiem zaczęli kolejny już rok wojenny i okupacyjny z coraz bardziej rysującą się nadzieją, że może wojenny koszmar już się skończy, że przyjdzie czas budowania, spokoju i bezpieczeństwa. Sporo już krwi stracili, sporo terytorium, ale też i wiedzieli już nieco więcej niż w, zdawałoby się strasznie odległym wrześniu 1939, kiedy to ciągle słyszeli, że „nie oddamy nawet guzika, a zwycięstwo będzie, bo musi być, nasze”. Geografia pobytu „wojennych” Polaków sięga niemal każdego zakątka ziemi. Tułaczy los, wojenny dramat, ale też i nadzieja, że może teraz już będzie inaczej, lepiej, sprawiedliwiej. Gdzieś, właśnie w tych odniesieniach chciałbym doszukiwać się całego skomplikowanego spłotu tego, co w literaturze przedmiotu zwykło się nazywać polskim finałem II wojny światowej. Rok 1944 był jednym z ważnych ogniw tego finału.

Alte zanim do tego doszło, po koszmarze wrześniowej klęski i klęski wiosennej 1940 roku (tzw. moment *Compiègne*), kiedy to w haniebnym sposób padła Francja, a Anglia ledwo, ledwo trzymała się, przyszły okresy mniejszej lub większej nadziei. W roku 1941 do wojny przystąpiły Ameryka oraz Związek Sowiecki. Rok 1941 zmienił też zasadniczo optykę wojenną — wojna stała się już rzeczywiście światową, często ponad przedwojennymi animozjami, ale przecież z niezapomnianymi doświadczeniami, dla społeczeństwa polskiego szczególnie. Oto po agresji 17 września, współwinie w rozpętaniu II wojny światowej przez Stalina, dwuletniej krwawej okupacji, z gulagiem jako osią okupacyjnego znamienia, Związek Sowiecki jawił się już nie jako agresor i współwinny, ale jako ofiara napaści. Już nie pakt Stalin — Hitler był ważny, choć jego ofiary nadal rąbały taję, ale trójporozumienie: amerykańsko — angielsko — sowieckie. Na równych prawach! I z zapomnieniem tego jak to dotychczas było, a bardziej z nadzieją, że wspólnie pokonamy Hitlera. Ta data, nietatwa w polskich dziejach, wymagała spolaryzowania dotychczasowych po-

staw i zachowań, zmiany hierarchii wartości i hierarchii wrogów, a także postawienia pytania: czy przyjaciele naszych przyjaciół też są i naszymi przyjaciółmi? Nie było to łatwe po doświadczeniach 1939–1941. Ale to właśnie gdzieś tutaj tkwiła przesłanka tego, co obok innych scenariuszy mogły wschodnie wydarzenia wojenne przynieść. Niektórzy upajali się klęskami bosej Armii Czerwonej, inni próbowali „dowodzić”, że obaj „bandyci” zniszczą się wzajemnie, a wtedy my i sojusznicy... Pamiętano jeszcze nie najgorzej pierwszowojenne doświadczenia, rozstrzygnięcia i układy.

Nie doceniano Związku Sowieckiego, determinacji jego sojuszników, pomocy gospodarczej. Nie doceniano w Polsce Stalina! Co prawda sporo się zaczęło zmieniać — armia gen. Andersa, nowy wymiar wzajemnych stosunków, próba naprawy krzywd wyrządzonych po 17 września itd. Ale najważniejsze było jeszcze przed tym społeczeństwem. Tym najważniejszym był Stalingrad — strategiczna klęska Wehrmachtu, jak mówią wojskowi historycy. Poza wojskowym wymiarem tego krwawego zwycięstwa czerwonoarmistów najistotniejszym był jego wymiar polityczno-ideologiczny. Bo okazało się, że ta bosonoga Armia, już jest inna, lepiej dowodzona, choć nadal szafująca bez opamiętania ludzkim życiem („jednostka niczym, masy wszystkim”), a przede wszystkim zwycięża. A jak zwycięża, to stawia warunki, wspiera rewolucję i bolszewizm i zaczyna myśleć o tym, jak będzie już po wojnie. Stalingrad to najważniejsza cezura na tym teatrze wojennym. Nietrudno dostrzec w kalendarium jego „polskie” następstwa — wzmógł się, przyspieszający ruch w szeregach PPR-u (mała, marcową 1943 roku, deklaracja *O co walczymy*), nowa jakość polska w Związku Sowieckim po wyjściu (ucieczce jak mawiała sowiecka propaganda) armii gen. Andersa — armia zdrajcy Berlinga, inna, choć jej główny ludzki potencjał stanowili „spóźnieni do Andersa”, dramat katyński, dramat AK-owski (aresztowanie gen. Grotta) i dramat polski (katastrofa gibraltarska).

Druga połowa dramatycznego roku 1943 też nie była łatwiejsza — rząd Mikołajczyka już nie posiadał takich atutów jak rząd Sikorskiego, w kraju komuniści domagali się współudziału w Delegaturze Rządu RP na Kraj, a gdy się to nie udało, ogłosili dużą deklarację *O co walczymy*. Oznaczało to, że już myślą o realnej władzy i legitymizacji swych poczyną, pomimo zdradzieckiej działalności, także w swoich szeregach, niesuwerenności i pomimo dramatu z KPP. Trzeci garnitur polskich zawodowych rewolucjonistów (Gomułka, Bierut, Józwiak i in.) wraz ze Związkiem Patriotów Polskich, ale też i partyjnym wojskiem (Gwardia/Armia Ludowa), to były etapy budowania przyszłości

w sprawowaniu władzy. A po Stalingradzie było też wiadomo, że wyzwolenie przyjdzie ze Wschodu.

I nadchodziło, na początku stycznia 1944 roku Armia Czerwona przekroczyła przedwojenną granicę polsko- sowiecką. Wraz z nią „szła” dramatycznym i krwawym (prze-grane Lenino) szlakiem od Oki, wraz z politycznymi komisarzami sowieckimi i w większości takimiż dowódcami, armia Berlinga. To również oznaczało „nowe” dla państwa podziemnego, rządu na wychodźstwie, wreszcie społeczeństwa. Tym bardziej, że w międzyczasie zaszły znamienne wydarzenia, o których wiedzano dość pobieżnie i bez szczegółów, a te okazały się ważne. Konferencja Wielkiej Trójki w Teheranie (XI-XII 1943), jak się okazało, podjęła strategiczne, powojenne (obok wojennych) decyzje. Z perspektywy Polski i nie tylko, oznaczało to w języku dyplomatycznym: za powojenne bezpieczeństwo w Europie Środkowej i Wschodniej już po wojnie będzie odpowiadał Związek Sowiecki. Dziś wiemy, że także i jego armia oraz tajna policja polityczna i partia komunistyczna (partia – państwo).

Co prawda tajna prasa, ale też i tak zwana „gadzinowa” donosiły, że gdzieś w Europie i na teatrze dalekowschodnim sporo się dzieje, że zbliżają się sojusznicy, że niektóre regiony już zostały wyzwolone, że Monte Cassino i drugi front, gen. Maczek, spadochroniarze gen. Sosabowskiego. Ale pierwsza połowa 1944 roku w okupowanym kraju dzieliła go na dwie wyraziste i różne części, stale zresztą się zmieniające – tę okupowaną krwawo przez Niemców, po Holocauście, ale nadal z Auschwitz, Pawlakami, Montelupich i setkami innych miejsc kaźni, łapankami, wysyłaniem na roboty, publicznymi egzekucjami, ale i z państwem podziemnym niemal codziennie zaznaczającym swą wojskową i polityczno-ideową obecność. I część drugą, gdzie wprawdzie nie było już Niemców, ale pojawiło się „nowe”, sowieckie władze, sowieccy komisarze, administracja. Odbierano to jako powtórkę z okupacji pierwszej i często nazywano okupacją drugą, dość zasadnie, jeżeli chodzi o emocje i powszechne postawy, ale raczej nie-trafnie, gdy chodzi o rzetelną analizę procesu historycznego (Teheran). Teren okupacji/nieokupacji sowieckiej z każdym dniem się powiększał, tak jak i ponowne aresztowania, rozbrajanie polskich oddziałów partyzanckich tam operujących. A w tle pozostawał krwawy konflikt narodowościowy na kresach – Wołyń i Małopolska Wschodnia. Nie wróżyło to niczego dobrego.

To w takich właśnie uwarunkowaniach zbliżały się rozstrzygnięcia letnie 1944 roku. Miały dwa wymiary: „Burza” (powstanie) i PKWN. Warto się im przyjrzeć nieco dokładniej, bo dziś wiemy, że klęska jednego była siłą napędową drugiego. Zaś czynnik zewnętrzny odegrał tu rolę rozstrzygającą.

Spróbujmy wczuć się w sytuację. Do Warszawy zbliżają się (na odległość 20–30 km) wojska sowieckie. Trwa „Burza”, która ma wkomponowane dwa zasadnicze cele realizacyjne – powstanie oraz wystąpienie wobec wkraczających Sowieców w roli prawowitego gospodarza kraju. Oba oznaczają konfrontację i krwawy konflikt, a dla społeczeństwa polaryzację postaw i politycznych zachowań, także wyborów. Żołnierze AK – bardziej nawet szeregownicy niż generałowie – rwą się do boju. Także, pomimo dramatycznego przebiegu akcji scalającej, żołnierze BCH i LSB, NOW/NSZ, również i innych formacji zbrojnego podziemia. W Lublinie tymczasem zainstalował się rząd/komitet komunistyczny – co z tego, że w świetle prawa nielegalny, niereprezentatywny, bez społecznego zaplecza. Ale korzysta skwapliwie z poparcia Sowieców, rzecz jasna „w imię Polski i Polaków”, co traci hańbą narodowej zdrady. Ale organizuje (fakty dokonane) „swoją” administrację na terenach wyzwolanych, organizuje też pobór do „swojego” wojska, wydaje dekrety i podpisuje umowy, w tym i tę najbardziej haniebną, w świetle której za niecały rok w Moskwie będzie sądzonych 16-tu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Wydaje się zatem, że krótkotrwała demonstracja zbrojna połączona z wyzwoleniem stolicy kraju (pomimo dramatycznych doświadczeń z Armią Czerwoną, a przede wszystkim z NKWD na kresach oraz w dopiero co zakończonej wileńskiej operacji „Ostra Brama”) może być ważnym atutem w dalszym rozwoju sprawy polskiej. Warunkiem była skuteczność tej akcji zbrojnej: zdobycie Warszawy i utrzymanie jej do nadejścia wojsk sowieckich, a przede wszystkim solidne wsparcie sojuszników. Ci jednak związani byli ustaleniami konferencji teherańskiej, mieli też swój krwawy drugi front. I to dlatego założenia planowanej w Warszawie akcji powstańczej od początku nie miały raczej szans na powodzenie, tak militarne, jak i polityczne. Niestety.

1 sierpnia 1944 roku w Warszawie o godzinie 17.00 wybuchło powstanie (nazywane początkowo powstaniem sierpniowym lub bitwą warszawską, a nieco później powstaniem warszawskim). Do walki przystąpiło 23 tys. żołnierzy AK (do pozostałych rozkaz o wybuchu powstania nie dotarł). Pierwsze potyczki z Niemcami rozpoczęły się jeszcze przed godziną „W”. Całością sił powstańczych dowodził komendant Okręgu Warszawa AK, płk. dypl. Antoni Chruściel ps. Monter. Walki toczyły się w ośmiu obwodach: Śródmieście, Żoliborz, Wola, Ochota, Mokotów, Praga, Powiat Warszawski, Okęcie.

Skoncentrowane oddziały AK zaatakowały ważniejsze punkty strategiczne miasta. Chodziło o ich opanowanie i utrzymanie do momentu nadejścia oddziałów sowiec-

kich. W tym samym czasie nacierająca na stolicę sowiecka 1 Armia Gwardii otrzymała rozkaz przejścia do działań obronnych. W dwu następnych dniach Stalin zatrzymał też działania Armii Czerwonej praktycznie na całym froncie warszawskim, zaś interwencje polskie u zachodnich aliantów, wcześniej — prawda — niepowiadamianych o zamiarze wywołania powstania w Warszawie, zakończyły się fiaskiem, co już w pierwszych jego dniach przesądziło o klęsce, dramacie walczących żołnierzy, dramacie mieszkańców i miasta.

To były zasadnicze powody klęski. Jej wynikiem militarnym był akt kapitulacji powstańców, podpisany o godz. 2.00 nad ranem 2/3 października w kwaterze gen. von den Bacha w Ożarowie (*Układ o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie*). Powstańcy, którzy złożyli broń, mieli korzystać z praw kombatanckich jeńców wojennych (prawami kombatanckimi objęto też „osoby niewalczące, ale towarzyszące AK”). Kobiетom—jeńcom przysługiwały te same prawa, ale mogły zdecydować o ewakuacji wraz z ludnością cywilną stolicy. Straty niemieckie w powstaniu warszawskim: ok. 10 tys. zabitych, ponad 20 tys. zaginionych i 9 tys. rannych. Straty polskie w powstaniu warszawskim: ok. 18 tys. zabitych, ponad 20 tys. rannych, 15 tys. (w tym dowództwo wraz z Komendantem Głównym Armii Krajowej gen. Tadeuszem Komorowskim „Borem”) dostało się do niewoli. Szacunkowe straty wśród ludności cywilnej Warszawy: ponad 150 tys. zabitych, ponad 50 tys. wywiezionych do obozów koncentracyjnych, ok. 150 tys. skierowanych na roboty przymusowe w Rzeszy. Pozostała część ludności cywilnej stolicy wypędzono na tereny Kielecczyny i w Krakowskie. Na rozkaz dowódcy SS Heinricha Himmlera Warszawę zrównano z ziemią — rozkaz ten był konsekwentnie realizowany aż do stycznia 1945 roku, tj. do wkroczenia do Warszawy oddziałów sowieckich.

Oceny i dyskusje wokół kwestii wybuchu, przebiegu i klęski powstania warszawskiego, rozpoczęły się jeszcze w jego trakcie. Ten dyskurs trwa nieprzerwanie do dnia dzisiejszego. Powstanie, to nadal jedna z największych traum nowoczesnego społeczeństwa polskiego. Powstanie było jedną z największych bitew miejskich w II wojnie światowej, wzbudzało i wzbudza szereg kontrowersji natury militarnej, moralnej, politycznej i społecznej. Jego tragiczny finał był też poglądową lekcją polityki, realnej polityki. Powstanie ma swych bezkrytycznych apologetów, ma też zdecydowanych krytyków, coraz częściej jednak jest przyjmowane obojętnie, bo zmieniające się pokolenia coraz mniej oglądają się na historię, szczególnie tę przegraną, a coraz bardziej spoglądają na dzień dzisiejszy i jutrzej-

szy. Historia powstania przeżywała różne powojenne okresy: komunistycznej nagonki ideologicznej, represji jego żołnierzy, wyzisk wobec dowódców, politykierstwa domorosłych historyków partyjnych, a później nieco więcej szacunku od demokratycznej już Polski. Jeszcze w 1945 roku, gdy świeża powstańcza rana krwawiła Wiesław Wóhnout napisał: „Powstanie warszawskie było błędem politycznym, nonsensem militarnym i koniecznością psychologiczną”, a Wojciech Kętrzyński określił je jako „zbiorowy uraz psychiczny”. Po tylu latach można powiedzieć: nic dodać nic ująć.

Każde pokolenie ma prawo do własnego kwestionariusza pytań historycznych, własnej postawy, własnej świadomości historycznej i własnego spojrzenia na proces historyczny. Powstanie warszawskie będzie przedmiotem jeszcze wielu polemik, sporów i namietności. Tegoroczna rocznica też zapewne nie będzie wolna od nich.

Kontrtezą powstania pozostawał zawsze, szczególnie w okresie PRL-owskim, ale także i w III RP, choć w nieco innej perspektywie, PKWN i jego *Manifest* z 22 lipca 1944 roku. Był nie tylko faktem dokonany i znamienitym znaczeniu i konsekwencji, dziś to wiemy, na długie lata. Polska Ludowa to kilka pokoleń Polaków, dziś w różnym wieku, z różnym dorobkiem i biografią — losem. Ale wtedy, w 1944/45 roku te dwa wydarzenia/zderzenia miały niezwykle wpływ na społeczeństwo polskie i jego postawy, zachowania, nastroje wobec nieuchronnie zbliżającego się końca wojny. To również, obok powstańczej klęski, znamienity kontekst roku 1944. Jego istotą było niewątpliwie rozdroże politycznych, ideowych i życiowych wyborów, na jakim znalazła się znacząca część społeczeństwa polskiego przełomu okupacji i wyzwolenia, czy jak mówili niektórzy, jednak niezbyt zasadnie, drugiej okupacji sowieckiej. Tam bowiem, gdzie rozsypują się stare formy i jednocześnie tworzone są nowe, musiało zaistnieć stadium wahań i niepewności.

Zawirowania polityczno-ideologiczne — powstanie Polskiej Partii Robotniczej, Krajowej Rady Narodowej, Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego jako naturalnej konsekwencji tej sekwencji faktów dokonanych, ale też, wspomniane już decyzje teherańsko-jałtańskie, dramat powstania, spowodowały w wielu środowiskach zauważalny proces polaryzacji postaw politycznych i społeczno-ustrojowych. Nie stanowiło to dużego zaskoczenia, jednakże w przypadku Polski ostrość podziałów społecznych objęła też kwestie ideologiczne, takie jak stosunek do komunizmu (bolszewizmu/stalinizmu) i komunistów (władze PPR, Armia Czerwona, *Manifest PKWN*, itp.). To ostro dzieliło, podziały zaś przebiegały dość różnorodnie — nie-

kiedy w rodzinie, w grupach zawodowych i społecznych, nie mówiąc już o lokalnych czy regionalnych społecznościach czy narodowościach. Gdzieś w tle dostrzec też można pogłębiające się w społeczeństwie polskim procesy radykalizacyjne i demokratyzacyjne.

Zrozumiałe jest, że każde pokolenie dąży do zmian. Podobnie było w okresie okupacji. Wzrosło znaczenie programów politycznych, gdyż „specyficzne warunki państwa pod okupacją” (także i specyficznego tworu jakim było państwo w konspiracji, tj. Polskie Państwo Podziemne) „sprzyjają iluzjom, ograniczają zaś możliwości dostarczenia masowej informacji dla konkurencji partyjnej i zmniejszają zasięg konstruktywnej agitacji”. W konspiracji uformowane zostały zręby politycznej orientacji wobec wyzwolonej Polski. To również ważny kontekst. Rozpoczęła się bowiem tym samym polityczna walka o władzę, która już od połowy 1944 roku została przez komunistów przekształcona w walkę o monopol władzy, na wzór sowiecki. Sprzyjały jej dwa zasadnicze elementy. Powszechne raczej zrozumienie przez społeczeństwo istoty ustroju politycznego i roli, jaką on odgrywa, spowodowało dość znaczny wzrost zainteresowania samą przebudową ustroju i jej kierunkami. I płaszczyzna druga, to wspomniane już procesy radykalizacyjne i demokratyzacyjne zachodzące w okupowanym społeczeństwie. Stanowiły one ważne tło polityczne programów, umożliwiały ich prezentację i po części, na miarę wojennych warunków, agitację na rzecz ich poparcia.

Ale wpływ na społeczne postawy w końcowej fazie okupacji miały również i czynniki psycho-społeczne: wycieńczenie okupacją, stres psychiczny, stan anomii itp. To one właśnie rodziły postawę, którą pamiętnikarze odnotowują często jako: „niech będzie gorzej, byle było inaczej”. Jej główną przesłanką była bez wątpienia myśl: najważniejsze jest wyjście z okupacji niemieckiej. Jeżeli dopomogą w tym Sowiety (a rzeczywista sytuacja na froncie, nawet najbardziej zaangażowanych idealistów, którzy wierzyli niezmiennie, że wejdą do Polski alianci zachodni, racjonalizowała w postawach i zachowaniach) – to również będzie to wyzwolenie. Właśnie wyzwolenie, a nie jakaś ponowna okupacja. To była pierwsza myśl, powszechna i nadrzędna, wynikająca z oceny emocjonalnej, z potrzeby obrony życia przed niemiecką brutalną praktyką okupacyjną.

Typową postawą Polaka w tym czasie nie było ani myślenie rewolucyjne (komunizm ponad wszystko, nawet socjalizm, choć i wyznawcy tych idei w polskich środowiskach się znajdowali), ani myślenie ideologiczne czy magiczne. Postawą typową było myślenie dość zrationalizowane, rzec można życiowe; przeżyć te ostatnie miesiące i tygodnie niemieckiej okupacji, doczekać jej końca i wy-

zwolenia. W praktyce to oczekiwanie oznaczało swobodną już po wojnie możliwość wyjścia na ulicę, bez lęku i strachu, że łapanka, egzekucje, tajna policja, aresztowania, obóz. Oznaczało, że dzieci pójda na normalną lekcję, z lasu powrócą najbliżsi, a także ci, których losy wojny rzuciły we wszystkie niemal strony świata. Oznaczało też, że można będzie uporządkować groby i cmentarze, a przede wszystkim odbudować domostwa, mieszkanie, wieś i miasto, kraj. To była postawa i oczekiwanie powszechne, najbardziej typowe, i powtórzone, po ludzku zrozumiałe.

Jeszcze bowiem nie docierały powszechnie do świadomości aresztowania NKWD i rodzimego PKWN-owskiego (komunistycznego) aparatu terroru. Jeszcze nie w sposób powszechny, choć tu i ówdzie wspominała o tym prasa, potwierdzały radiowe nasłuchy, „szep tanka”. Ale chęć życia i przeżycia, doczekania końca wojennego koszmaru była silniejsza, i była ponad tym nowym, zbliżającym się strachem, zideologizowanym, innym niż niemiecki, ale też będącym skutkiem przemocy, gwałtu i konfliktu. Zaczęto też poszeptować o nowej, trzeciej wojnie, cywilizowanego demokratycznego świata przeciw „azjatyckiej hordzie nadciągającej ze Wschodu”. Ale w odczuciu większości to było jeszcze gdzieś daleko, jawiło się jako nierealne, a to co było widoczne tu i teraz, to fakt, że ta „horda” ze Wschodu gromiła Niemców i parla szybko na Zachód, w konsekwencji przynosząc wolność.

*

Mamy dziś inny czas, inne refleksy i doświadczenia historyczne. Mamy też inne społeczeństwo. Ale nie mamy za sobą innej historii, tylko tę samą, choć postrzeganą i interpretowaną dziś zgodnie z wymogami tej dyscypliny naukowej. Ale też niewolną od sporów, zaognionych historycznych i quasi historycznych dyskursów, wręcz waśni. Mocujemy i prawujemy się z tą naszą historią, nie zawsze wyciągając z niej właściwe wnioski. Zdawać by się mogło, że tak zawsze było, że to nic nowego, że historia jest przecież nadal „nauczycielką życia”. Osobiście mam co do tego poważne wątpliwości. Ale procesu historycznego nie możemy zmienić, tak jak i historycznego doświadczenia i historycznej świadomości. Także i tej płynącej z kontekstów roku 1944. Może „okrągła”, choć jeszcze nieodległa, sześćdziesiąta rocznica polskiej traumy 1944, traumy przegranych zwycięzców, stanie się impulsem do spokojnego dyskursu, bez politycznego zacierzawienia, niekiedy wręcz głupoty i politykierstwa przemieszanego z najgorszym modelem partyjniactwa. Wtedy może będziemy mogli powiedzieć, my, także przeciw uczestnicy procesu historycznego, że *historia magistra vitae est*.

Jacek Chrobaczynski

Marek Antosz



Poeta

mam w domu kosę
kwitnącą na sztorc
wśród pajęczych dróg
na strychu

a starzec mi rzekł
tyś bracie nie chłop
nic nie zostało w tobie
poza pustką

mam w domu księgę
pisaną żdźbłem trawy
i przez nią z dnia na dzień
tracę wzrok

lecz wóz zaskrzypiał
ciągnięty przez siwkę
a furman przykleił mi twarz
do rzemienia bata

Marek Antosz — ur. w 1967 r. w Szczurowej k. Tarnowa. Ukończył filologię polską w krakowskiej WSP. Współpracował z „Zielonym Sztandarem” i „Zarzewiem”. Wiersze drukował m.in. w „Suplemencie”, „Wiciach”, „Końcu Wieku”, „Konspekcie”. Autor rozprawy o twórczości J. Kawałca *Prozalk w poetę przemieniony* (1996) i tomików wierszy *Nie mogę sięgnąć* (1995) oraz *Na skraju duszy* (2003).

Wielki Piątek w Wilczyskach

rzeka Biała
białym ciałem
zanurzona w wodzie
chłodem wspomina zimę
z grudniowym narodzeniem
dziecięcia w aureoli

chłód kwitnie
ponad zapłodniony wiklinami
wyniosły brzuch brzegu
ponad Boży szczyt
zdrewniałego ze starości
kościółka
rosnącego wśród krzewów
na wzgórzu ukamienowanym
stuletnimi pocałunkami chrześcijan

kościółek
śpi całą mocą duszy
wiosennego popołudnia
pod talerzem słońca
wspartym
o szczyty gór Beskidu
kościółkowa pamięć
stara jak drewno ścian
milczy
w obdarowanych ciemnością czasu
rzeźbach Męki Pańskiej
we wzroku drewnianej Maryi
cierpiącej
tuż przy korzeniach
usynowionego krzyża

a wilków
ani śladu

Emil Biela



* * *

nie dla mnie
niebo
nie
bo

Portret w okiennych ramach

okno stawalo się
coraz większe
a kobieta w nim stojąca
coraz mniejsza

okno powiększało się
od codziennego czekania
kobieta malała
z tęsknoty

Emil Biela urodził się w 1939 r. w Myślenicach. Emerytowany nauczyciel, dr nauk hum., członek ZLP (od 1971). Poeta, prozaik, krytyk literacki. Opublikował 20 książek. Laureat wielu konkursów literackich, ostatnio na powieść z okazji Roku Żeromskiego. Niedawno wydał zbiór opowiadań *Uczeń żebraka*, a na Węgrzech wiersze w tomie pt. *Haiku*. Zajmuje się również malarstwem.



Jagoda Cieszyńska

Starość

Długie pobyty w łóżku
dają możliwość oglądania rzeczy
z właściwej perspektywy
powtarzanie działań
uwalnia zmysły od konieczności
ciągłego analizowania
myśl nie znajduje przeszkód
w poszukiwaniu prawdy
warunki zewnętrzne są tylko
elementem eksperymentu
podlegającym kontroli
gdyby się chciało ją sprawować
ale nie muszę
trwam w zachwycie
nad niezmiennym układem chmur
za oknem

Jagoda Cieszyńska ukończyła psychologię na Uniwersytecie Jagiellońskim i logopedię w Wyższej Szkole Pedagogicznej, gdzie pracuje na stanowisku profesora w Zakładzie Logopedii i Lingwistyki Edukacyjnej. Autorka tomików: *Przez ciebie jestem* (1993), *Fotografie w kolorze sepii* (1996), *Peregrynacje do miasta Ur* (2002).

Paweł Dziadkowiec



* * *

dziękuję ci że cię nie ma
że jestem przez ciebie szczęśliwy
że mogę samotnieć do syta
nie dzielić się z tobą niebytem
nie patrzeć nie słuchać nie boleć

**Autor jest studentem filologii
polskiej w AP, wydał tomik wierszy *bez tytułu* (2004).**



Eryk Ostrowski

* * *

I kobieta zapytała jaskini: Kim jesteś.
Tobą jestem, odpowiedziała jaskinia.
Zgubiłam się w tobie, powiedziała kobieta.
Teraz jesteśmy jednością.

I została, nie mogła wrócić do mężczyzny i dziecka, bo tylko oni mogli wejść w nią, lecz nie wiedzieli i stali wciąż przed ciemnością nie widząc, że wejście do jaskini to usta; oczu przebijających przez szpary w skale, strumienie słońca. A gdy po wielu miesiącach wyszła kobieta na ziemię z ulgą była witana.

Zgubiłam się w tobie.

Słowa trafiały w od wieków niezmaconą ciszę i powracały echem, jak pierścienie ciasno oplatające pustkę ziemi. Kobieta otwierała usta — chłód. Znalezione ciało, nie przyczynę.

Jest jeszcze to spojrzenie

Pan Huk się zestarzał
Jeszcze niedawno gotów walczyć o każde ziarno pszenicy
teraz podnosi skrzydło lecz zaraz je opuszcza
uderza dziobem nieprzyjaciela
jest to jednak chyba nawyk przyzwyczajenie i trwa sekundę
po chwili jakby przypomina sobie że jego czas minął i pora ustąpić młodszemu pokoleniom
skrzydlaci synowie córki wnuczeta przejmują terytorium
on jednak wie że to ich prawo i nie protestuje pozwalając strącić się z parapetu
I tylko tak znać po ptakach upływ czasu
pokora głębsze zanurzenie w nastroszonych szarych piórach
które stwarzają pozory dawnej siły
Ale jest jeszcze to spojrzenie gdy stoi tyłem zwrócony na framudze kuchennego okna
nie z lotu lecz ze swego gołębiego miejsca obserwuje podwórko
a potem nagle odwraca głowę i czuje jak pomarańczowieją jego piwne oczy
wtedy wiem już że złudzeniem jest dzieląca nas przestrzeń

Wiersze pochodzą z tomu *Ludzie których obecność wystarczy*, Klub Artystyczno-Literacki Teatr Stygmat, Kraków 2003

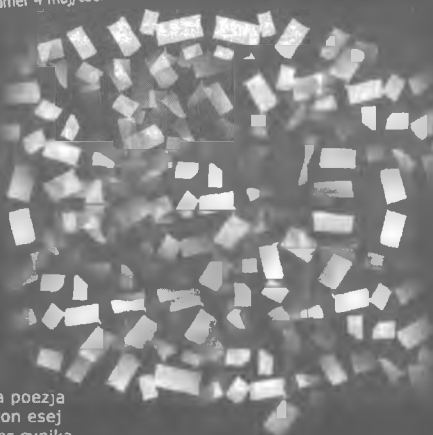
Eryk Ostrowski — ur. w 1977 r. w Krakowie, poeta i eseista, student filologii polskiej AP (IV r.). Debiutował zbiorom poetyckim *Śnieżne Góry* (1996). Publikował m.in. w czasopiśmie „Więź”, „Tygłel Kultury”, „Przekrój”, „Zeszyty Literackie”. Ostatnio wydał tomy wierszy: *Ludzie których obecność wystarczy* (2003) i *Mięta* (2004). Jest autorem książki *Wędrowniki o świecie. Opowieść o Annie Kajtochowej* (1997) oraz szkiców poświęconych literaturze dla dzieci ogłaszanych w „Guliwerze”. Wspólnie z Marianną Boclan wydał *Ostatnią rozmowę z Joanną Salamon* (2003). Opracował m.in. ostatnie wybory wierszy Joanny Salamon, Anny Kajtochowej i wybór eseistyki Marianny Boclan *Caritas discreta*. W 2002 roku otrzymał Stypendium Twórcze Miasta Krakowa.

FURiOSO

projekt.furioso@wp.pl

PROJEKT FURiOSO

pismo studentów filologii polskiej akademii pedagogicznej
numer 4 maj/czerwiec 2004



proza poezja
felieton esej
spacer cynika
ciemna strona wiary

wydrukowany dzięki uprzejmości

koła naukowego instytutu filologii polskiej akademii pedagogicznej w Krakowie

Furioso — numer czwarty
maj-czerwiec 2004

Znajdziecie w nim

- cykl artykułów poświęconych ciemnej stronie naszej wiary
w kontekście dwóch obrazów: *Pasji* i *Ostatniego kuszenia Chrystusa*
- rozważania o związku słynnego obrazu Goi z powieścią Gaardera *Maja*
- szkic o Orwellu i twórcach antyutopijnych w kontekście książki *Zamiatina* My
- co do powiedzenia o japońskim filmie *Lalki* mają kobiety
czyli *Babski wieczór* inaczej
- wywiad z Wojciechem Cejrowskim
- ciekawe grafiki Katy Małek

Polecamy pismo studentów filologii polskiej AP!

Grzegorz Fabin

Gram Attyka

Człowiek to rzeczobnik. Czyli osobnik gromadzący rzeczy. Białą guzik, chusteczka do nosa, telefon jednokomórkowy, notatniczek. Lista zakupów w supermegahipermarkecie, szklany słonik otrzymany na osiemnaste urodziny od cici z Australii, analogowa płyta zapomnianego gwiazdora. Wizytówka agenta ubezpieczeniowego, fotografie z balu maturalnego, opaska na rękę z imieniem i datą urodzenia jedynego syna. Pordzewiały tandetny medalik z wizerunkiem Matki Boskiej, wycinek z gazety sprzed lat, bilet kolejowy do Warszawy.

Bo człowiek to także miejscownik. Pragnie mieć na świecie swoje miejsce, do którego mógłby często i z utęsknieniem wracać. Skalki pod Tyńcem, kawiarnia w centrum Pragi, ławka w Nowym Jorku. Wiosenna łąka, mały hotel w górach, wiejska samotnia. Podium ważnych zawodów sportowych, dom spokojnej starości, półka w księgarni. Miejsce w konfesjonale, za ladą w sklepie z używaną odzieżą, za sterami samolotu.

Człowiek to niepewnik. Nigdy nie jest niczego pewny. Zwłaszcza swego następnego dnia. Nie wie, czego za moment się dowie i kto go za chwilę spotka lub zaczepi. Nie ma pojęcia, jak długo będzie żyć albo czy na coś zachoruje. Nie podejrzewa, co myśli o nim jego najbliższy przyjaciel, czego nie mówi mu żona, co opowiadają o nim ci, z którymi pracuje. Ludzie, których co dzień mija na ulicy to nieznajomi. O większości z nich nigdy nic się nie dowie, nie pozna nawet ich imion. Jakby ich nie było. Bo przecież coś, co nie ma imienia, nie istnieje.

Dlatego człowiek to mianownik. Musi być mianowany, bo jeśli nie jest nazwany, nie istnieje. Nie ma go na liście obecności w zakładzie pracy, nie ma

go w rejestrze osób karanych, a w książce telefonicznej nie ma jego nazwiska. Próżno go więc szukać na nagrobkowej tabliczce, napisach końcowych filmu czy fiołce z próbką krwi. Człowiek nienazwany nie jest określany nawet literami NN, bo są one znakiem jego istnienia, jakąś formą imienia. A przecież jego nie ma. Jak po użyciu klawisza delete.

Człowiek to zmyślnik. Zmyśla z wielu powodów różne rzeczy. Że zrobił to czy tamto, był tam i tu, kupił to i to. Opowiada o rzeczach, które nigdy nie miały miejsca. Czyni to z pełną świadomością fałszu, jakim karmi swych słuchaczy. Doskonale wie o tym, że ludzie lubią, gdy opowiada się im niezwykle historie. Pełne pięknych barw, obrazów i dźwięków. Takich, których nie ma w codzienności. To zadziwiające, ale człowiek dysponuje ogromną ilością takich opowieści...

Trzeba więc zaznaczyć, że człowiek to cudzoust. Nieustannie powtarza gdzieś zasłyszane, a wypowiedziane cudzymi ustami frazy, frazesy i frazeologie (nie należy ich mylić z frazeologiami, bo te są wyłącznie powiedzeniami z zakresu flory i fauny, by wspomnieć chociażby słówko „zbaranieć”). Skutkiem tego staje się szafa grającą najnowsze wiadomości, skandale, afery korupcyjne i plotki. Oczywiście przerywa je reklamami. Mówi to, co usłyszał, a że czasami nie słyszy wszystkiego, sam wymyśla resztę. Dlatego człowiek to również dopowiednik (lub wykrzywnik). Kiedy dopowiada, świadomie wykrzywia rzeczywistość. Plotki stają się wówczas bardziej splotkowane, afery zaaferowane, skandale jeszcze mocniej skandalizują, a wszystkie wiadomości to złe wiadomości. Bez wyjątków.

Bo człowiek to wydawka. Oprócz – co oczywiste – pieniędzy, wydaje osądy i opinie. Zazwyczaj

uprzednio, bez analizy faktów. Są to zdania wielokrotnie złożone z czerstwych oszczerstw, obelg i zarzutów. Pomówienia i niedomówienia także mają w nich swoje miejsce, tuż obok podmiotu. Dlatego więc tak zwane formułki grzecznościowe coraz częściej znajdują swoje miejsce wyłącznie w słownikach języków i wyrazów obcych oraz w literaturze specjalistycznej, dostępnej tylko wybranym jednostkom. Ale za to jaka radość nas ogarnia, gdy ktoś, z sobie tylko wiadomych powodów, powie nam „dzień dobry” albo „dziękuję”. Wtedy otwiera się niebo.

Człowiek to biornik. Bierze wszystko, co się da i ile się da. Bierze narkotyki, łapówki, udział w teleturniejach, tokszołach i protestach (wtedy ujawnia się inna cecha człowieka — wojacz, wojuje on bowiem wszystkim i ze wszystkimi). Zwyródniała forma biornika to odbiornik. Odbiornik to taki człowiek, który wszystko odbiera innym. Pieniądze, miłość, nadzieję, jedzenie, życie. Zwyczajnie im to kradnie, dlatego można nazwać go kradnikiem, a co tym związane, oko-licznikiem. Wszystko musi okiem swym policzyć, zliczyć i wyliczyć, czy coś się opłaca. Czy opłaca mu się kogoś kochać, czy opłaca mu się z kimś przyjaźnić, czy opłaca mu się czegoś nauczyć.

U takiego osobnika wszystko jest „na oko”, którym musi widzieć dla siebie korzyści. Ale jego wzrok wcale nie sięga tak daleko, jakby się wydawało. Koncentruje się wyłącznie na czubku własnego nosa, a cały świat mógłby nie istnieć. Byleby tylko się to opłacało. Taki to czasem z człowieka jest półprzeglówek.

Bardzo ważnym jest stwierdzenie faktu, że człowiek to utyskuła, narzeknik i zrzednik. Bez tych trzech cech nie mógłby on przecież normalnie funkcjonować. Dzień musi być wypełniony utyskiwaniem, narzekaniem i zrzedzeniem. Że pada deszcz, że jest upał, że nic nie ma do roboty, że ludzie są egoistyczni, że skończył się weekend, że kolejki w banku, że biurokracja... Co ciekawe, największymi narzeknikami są urzędnicy. Urzędnik to osoba, która nawet jeśli stara się być uprzejma, programowo jej

to nie wychodzi. Tego uczono jej na urzędniczych kursach. Po zachowaniu niektórych urzędasów można wywnioskować, że ukończyli oni owe kursy z wyróżnieniem. I nie mieli dostępu do specjalistycznych słowników dobrego wychowania, a mile słowa znają tylko ze słyszenia. Z jakiegoś powodu boją się je powtarzać. Widocznie na kursie nie mieli zajęć z cudzoustwa.

Wyrzeczenie i popelnienie to również istotne cechy człowieka, leżą one w jego naturze. Na każdym kroku człowiek się czegoś wyrzeka. Miłości na rzecz przyjaźni, prawdomówności na rzecz obłudy, wiary na rzecz realności sytuacji. Doradcy na rzecz pochlebcy, mistrza na rzecz fanatyka, wolności na rzecz świętego spokoju. Wszystkiego można się wyrzec, wszystko się deklinuje, wszystko można odmienić, odpowiednio nagiąć — a wszelkie normy w pierwszej kolejności. Zresztą nie trzeba, już ktoś to zrobił. Dziś wszystko ma sztyk przestawny...

Człowiek nieustannie coś popelnia. Najczęściej są to gafy, błędy (nie tylko ortograficzne) i zbrodnie. Mniejsze lub większe niewybaczalne i niewytłumaczalne czyny, których nie da się odwrócić. Zdrada, obraza, zabójstwo, gwałt, kłamstwo, pycha. Wszystkie one niszczą człowieka, dlatego należy unikać popelnień, wypatrywać za to spełnień. Spełnień w życiu. Żyć tak, by nigdy niczego nie żałować...

Człowiek to wielokropek. Niepoznany, wieloznaczny, nieokreślony, złożony. Otwarty i jednocześnie zamknięty. Mówi wszystko i nie mówi nic. Jest potrzebny i niepotrzebny. Jest jakością, ale i tej jakości nie posiada. I przez to wszystko sprawia kłopoty.

Można go wtedy zmienić na inny, mniej skomplikowany znak przestankowy.

Kropka.

Utwór zdobył III miejsce w konkursie prozy i poezji „O Złoty Kałamarz i Złamane Pióro” w roku 2004.

Wrong-or-Well

Wystarczyło ledwie kilka słów mojego ojca w codziennej rozmowie o książkach — Orwell napisał „Rok 1984” wzorując się na książce Zamiatina — bym z miejsca kazał sobie znaleźć ją na półce i ustalić reguły gry na nadchodzącą noc...

Sięgając po nią oczekuję... odsłony granej od wieków sztuki o tytule *Człowiecza bezwolność?* Wejścia w krąg literatury zapomnianej, zaginionej? A może tylko kolejnej ilustracji prozy antyutopijnej, którą będę mógł się pochwalić, wymieniając na równi z bardziej znanymi Orwellami czy Burgessami? Czynię jednak w tym miejscu spostrzeżenie, że póki co, książka Zamiatina będzie pierwszą tego typu pozycją powstałą w bloku wschodnim, co z kolei wyzwała we mnie — nie mniej, nie więcej — świadomość środowiska kulturowego Rosji Radzieckiej tamtego czasu. W pamięci staje mi obraz bliskich represji stalinowskich — jeszcze na długo przed wojną, od 1924 — zesłań i egzekucji; przypominam sobie dramat Mandelsztama, poezje Jesienina... Mógłbym wyliczać długo — lecz zainteresowanych odeślę zwyczajnie do podręcznika historii.

Czytam zatem notę od tłumacza (Adama Pomorskiego), po której staję się średnio mądrzejszy... Z reguły bowiem podobne wydawnictwa posługują się jakimś szablonowym omówieniem utworu i jego quasiinterpretacją, ale — nie chcąc krytykować — dowiaduję się, że książka ta, napisana w 1920 roku, spotkała się z tak rażącym przyjęciem przez cenzurę, że światło dzienne ujrzała dopiero w 1988; aż nazbyt czytelne jest tutaj podobieństwo do *Mistrza i Małgorzaty* Bułhakowa. Cytując za Pomorskim mogę dodać jedynie: „Publikacja ta zbiegła się z rosyjskim krajowym pierwszym wydaniem powieści Orwella *1984*, dla której była niewątpliwie pierwowzorem, i *Nowego wspaniałego świata* Huxleya, który inspirację czerpał zapewne także z powieści Zamiatina”. Nic więc dziwnego, że przyćmiona ich blaskiem odeszła w zapomnienie — trzeba się więc przekonać, czy słusznie?

Słusznie, niesłusznie... Z dużą satysfakcją dla siebie samego mogę stwierdzić: Orwell nie był pierwszy! Ciekawe jest, że na co dzień jakoś wcale sobie tego nie uświadamiałem — sądziłem (a zapewne pogląd ten pokrywa się z wyobrażeniami moich rówieśników także i dzisiaj), że świat Erica Blaira był projekcją czystego geniuszu tego „zniewolonego umysłu”; że ze zdumiewającą precyzją potrafił określić kierunek zmian politycznych państw socjalistycznych i wyczuwał stale obecne w świadomości tamtych pokoleń napięcia reżimowe. Z jego przemyśleń wyklarował się bowiem zdumiewający obraz człowieka inwigilowanego aż do granic możliwości — człowieka, któremu nieobca jest samotność; żyjącego w ciągłym strachu przed donosem — człowieka, którego nic nie jest jego własnym, „oprócz tych kilku centymetrów sześciennych zamkniętych pod czaszką”. Obraz porażający, lecz — wtórny. Zacznijmy więc po kolei.

W ogólnym ujęciu książki może się wydawać, że Orwell znakomicie dystansuje rosyjskiego pisarza — idzie tu konkretnie o łatwo przyswajalny sposób narracji, prosty i uporządkowany (czyżby echo robotniczych zainteresowań autora?), nienarzucający się czytelnikowi, skoro głównym elementem ofensywnym ma być sam przekaz utworu.

U Zamiatina inaczej — notatki głównego bohatera, Δ-503, są często rwane, brak w nich pewnej linearnej ciągłości i często zapis przeżyć rozsada — tak potrzebny miejscami — ład; niech zilustruje to poniższy fragment: „Jestem jak błona fotograficzna: utrwalam wszystko z jakąś obcą, nie moją, bezsensowną dokładnością: złoty sierp — odbłask światła na głośniku; pod nim — dziecko, żywa ilustracja —

trafia do serca; w ustach rąbek mikroskopijnej junifi [uniformu – B.O.]; mocno zaciśnięta piąstka, wielki (raczej – bardzo mały) palec schowany do środka – lekki, pulchny cień – fałdka na nadgarstku”. Ujawnia się tutaj pewna schematyczność przekazu: Δ-503, jako Pierwszy Konstruktor Integralu (promu kosmicznego umożliwiającego komunikację międzyplanetarną), kieruje się w życiu zasadami tylko matematycznymi, lecz daje już o sobie znać pewien rozłam, który ujawni się dopiero później, gdy on sam stwierdzi w swym ciele obecność duszy.

Za zaletę książki Orwella można uznać wyśmienity sposób budowania nazw własnych i tworzenia języka całkowicie innego od przyjętych. Nowomowa dąży bowiem do jego nieustannej skrótowności, schodzenia na coraz to niższe progi leksykalne – Orwell znakomicie wyzyskuje możliwości tego języka, tworząc takie terminy jak dwójmyślnie, prol czy myślozbrodnia. Mało tego – w przewrotny sposób fałszuje nazwy ministerstw, „stosownie do wymagań ideologicznych przesuwając sens wyrazów” – o czym w posłowie do książki wspomina Artur Sandauer: „Ministerstwo Wojny przemianowuje się na Ministerstwo Pokoju, Propagandy na – Prawdy, Sprawiedliwości na – Miłości, Ministerstwo Morzenia Ludności Głodem – na Ministerstwo Aprowizacji”. Nazwy te stanowią ciekawe odbicie zamiatiniowskiego Ministerstwa Opieki, skąd tylko krok dzieli nas do znanego skądinąd Urzędu Bezpieczeństwa.

Lecz obok tych pozytywnych momentów nadbudowania własnych przemyśleń do dzieła wcześniejszego autora – dalej nie ma już nic nowego. Zawdzięczamy Orwellowi upostaciowienie wszelkich powodów do strachu w osobie Wielkiego Brata – ale u Zamiatiny jest on również obecny jako Dobroczyńca. Lektura *Roku 1984* przynosi nam pewną łatwość w mówieniu o notorycznej obserwacji przez kamery przemysłowe – lecz to książka *My* na kilkanaście lat wcześniej wprowadza świat przeskłonionych mieszkań! Podobnych przykładów jest więcej – lecz motywem świadczącym o uderzającym podobieństwie książki Orwella do oryginału jest końcowa scena rozmowy z Wielkim Bratem, która w efekcie prowadzi do pełnego zautomatyzowania bohatera. W ostatecznej próbie walki o własne życie nie liczy się nikt – nawet ukochana Julia

(1-330) – którą Smith woli poświęcić, byleby tylko oddalić od siebie widmo tortur.

Mimo tych podobieństw, zdarzają się i subtelne różnice. Δ-503 pochodzi z wyższego, inteligenckiego środowiska, innego aniżeli Smith-robotnik, inne jest także jego podejście wobec Państwa Jedyne. Przemawia przez niego duma, świadomość siły Integralu i Dobroczyńcy. Podziw budzi w nim umiejętne dostosowanie się do wymogów kontroli urodzeń. Oto jak krytycznie patrzy na dokonania potomnych: „Czy to nie śmieszne: opanować umiejętność hodowli roślin, kur, ryb (...), ale nie dojść do ostatniego szczebla tej drabiny logicznej: hodowli dzieci. Nie sięgnąć myślą naszej Normy Macierzyńskiej i Ojcowskiej”. Dominujące jest *lex sexualis*: „Każdy numer ma prawo do każdego numeru jako produktu seksualnego”. Aby z kimś spółkować (pojęcie aktu miłosnego ulega całkowitej negacji), potrzebny jest „talon na numer” – trawestacja dawnych biletów wizytowych – i przydział na zasłony do pokoju. Seks jest dozwolony tylko o wyznaczonej porze, ustalonej podług Dekalogu Godzinkowego. Czas w antyutopii Zamiatiny dąży do ścisłego podporządkowania władzy Dobroczyńcy – każda sekunda ma być starannie zaplanowana. Za uchybienia w pracy, w wykonaniu dziennej normy, grożą surowe konsekwencje. W przypadku numerów zarażonych wyobraźnią, u których uaktywnia się dusza, ten ostatni bastion wolnej woli i człowieczeństwa, wystarczy przypalić promieniami X zwoik mózgu w pobliżu mostu Varola – „I już jesteście wyleczeni z wyobraźni”. Konsekwencje tej Wielkiej Operacji, która dokona się w wyniku buntu przeciwników Państwa Jedyne, będą niewyobrażalne – nawet dla samego Δ-503. Wyzuty z emocji, stwierdzi w swej ostatniej notce: „Charakter pisma – mój (...). Żadnych bredni, żadnych idiotycznych metafor, żadnych uczuć: tylko fakty”. Beznamiętnie patrzy, jak ginie jego była kochanka – i mimo, że ta coś mu przypomina (grymas bólu na jej twarzy jest powidokiem orgazmu) – nie jest w stanie zdobyć się na najmniejszy gest współczucia. Apokalipsa jest totalna.

Książka Zamiatiny wydaje się poniekąd dużo ciekawsza od tekstu Orwella i nie bez znaczenia pozostaje chyba fakt jej dramatycznej historii. Czytając ją, wielokrotnie zastanawiałem się, w jakim kontek-

ście można o niej mówić? A nawet nie tylko o niej, ale o całej serii literatury antytotalitarnej... Ile bowiem prawdy zawiera w sobie *Mechaniczna pomarańcza* Burgesa? Czyż nie jesteśmy nieustannie napiętnowani przez przemoc? A czyż nieprawdą jest wizja Bradburego w *451° Fahrenheita*, gdzie książka traktowana jest tylko jako niepotrzebny nośnik informacji podlegający spaleniu?

W przypadku powieści antyutopijnej znaczące wydają mi się dwie kwestie: jej pozytywny wpływ na czytelnika oraz mimowolny wpływ jej absurdalnych pomysłów na codzienne życie. Obcując z taką literaturą, nie od dziś mogę stwierdzić z całą pewnością, że dla mnie jej najgłębsza wartość wiąże się z dydaktyczno-moralizatorskim przekazem, tym bardziej, że prozę tę wypada umieścić w kręgu literatury satyrycznej. Nie dość, że miejscami przeraża, nie dość, że miejscami wyolbrzymia znane mi z czarno-białych obrazków scenki, to wreszcie podtrzymuje we mnie naturalną skłonność do szukania prawdy, czczenia wolności, albowiem to właśnie przez jej przerysowanie zaczyna się zupełnie innym okiem patrzeć na to, co pozostało mnie i mojemu pokoleniu — dziś. Człowiek, jakkolwiek brzmi to dziwnie, kończy lekturę podbudowany, bo podbudowana jest jego wiara w potrzebę konstruowania świata czystych wartości. Czytelnik tworzy swój ulepszony świat we własnej głowie, a dzieje się to poprzez świadomą negację fałszywych wzorów. Poprzez umiejętny wgląd w wydarzenia swojego kraju winien on wyraźnie oddzielać rzeczy dobre od złych. W inwigilowanym świecie każdego dnia na nowo zaczyna poszukiwania człowieka w sobie; uciekając przed tłumem, siecią, telefonem komórkowym, ma krótkotrwałą szansę wyzwolenia się. A, jak pisze Orwell, „to nie przez fakt, że ktoś cię słyszy, ale dlatego, że nie dajesz się ogłupić, trwa kulturowe dziedzictwo”.

Druga kwestia: czy społeczeństwo potrafi wytworzyć sobie osłonę przez niepotrzebnymi wtętami? Ile jest w tym środowisku niepotrzebnego zainteresowania przemocą? Czemu każda dziedzina sztuki nastawiona być musi na szok estetyczny, na krew, na spermę, na ślinę? Ile jest w nas społecznej znieczulicy? nie potrafię sobie na to odpowiedzieć...

Pozostaje jeszcze ostatnie kwestia: czy Orwell był plagiatorem? A jeśli tak — czy był jedynym? Pomijając już wątek odrzucenia *My* Zamiatina przez wydawnictwa zachodnie, chciałbym powiedzieć, że tak — nie z racji, jakobym nie lubił Orwella — wszak jego twórczość mocno sobie cenię — ale z chęci odkrycia pisarza dziś zapomnianego, o którym niesłusznie zapomina się przy okazji rozmowy o prozie antyutopijnej. Poszukując odpowiedzi na postawione pytanie, a chcąc odwołać się do źródeł, nie musiałem sięgać daleko — wystarczył mi znaleziony w domu przegląd *100 Najważniejszych książek świata* autorstwa Martina Seymour-Smitha. Oto, co pisze ów badacz o *Nowym, wspaniałym świecie* (1933r.): „Książka Huxleya była pomyślana jako prorocstwo i swój sukces odniosła bardziej jako prorocstwo niż dzieło wyobraźni. Podobnie jak Orwell, wiele — niemal wszystko — zawdzięczał powieści *My* wielkiego rosyjskiego pisarza dysydenta Jewgienija Zamiatina. (...) Jednak Huxley z jakichś sobie tylko znanych powodów, zapewne pod wpływem próżności — grzechu większości autorów, niepotrzebnie wypierał się zależności od książki Zamiatina i utrzymywał, że nigdy jej nie czytał”. Faktycznie — jego wina była trudna do udowodnienia — nie było i nie ma nadal dobrego tłumaczenia książki Zamiatina na język angielski, a wydania z roku 1924 i 1970 nie zadowolają krytyków. Laur przypadł w udziale Huxleyowi, pozostawiając Zamiatina samemu sobie. Boska ingerencja? Radzieckie fatum?

A Orwell? Orwell powiedział Glebovi Struvemu, amerykańskiemu krytykowi, który w 1944 roku zwrócił jego uwagę na *My*: „Interesuje mnie ten rodzaj literatury i nawet sam robię notatki z myślą o tym, by coś podobnego napisać. (...) O ile jednak Orwell na pewno nie spłagiatował *My*, o tyle trudno powiedzieć, by ją „przekroczył” czy dał ulepszoną wersję”. Odpowiedź jest zatem jasna i pełna — plagiatu nie było. Lecz nie ulega wątpliwości, że *Rok 1984* nie może zostać uznany za dzieło pełnoprawne, skoro nie powstałby bez pośredniego chociaż udziału Zamiatina. Cóż — teraz nic nie ożywi zmarłego pisarza — ale czyż pamięć o nim nie jest dla niego największą nagrodą?

Bartosz Ochoński

Arthur Schopenhauer: „Dzięki temu, co czynimy, dowiadujemy się tylko tyle, czym jesteśmy”

Człowiek jest jednością tego, co przeżywane, widziane i myślane przez wcielającą się duszę. Według Homera, dusza spełnia trzy podstawowe funkcje: myślenie, uczucie i wolę. Człowiek wyraża w czynach swoją duszę, a więc — samego siebie. Henryk Mann powiedział kiedyś: „W myślach idzie się znacznie dalej niż można nadążyć czynem, a jednak czyn dogania myśl”. Czyny są ważne dlatego, że rzadko kiedy robi się coś wbrew własnym przekonaniom, zasadom, ideologii, sercu. Ale dopiero sytuacje, w których możemy zastosować określone zasady, są prawdziwym egzaminem. To wtedy nasze czyny lub podejmowane decyzje pokazują, czy kierujemy się zasadami, czy nie. Dzięki czynom poznajemy siebie i innych. To one pokazują, kim jesteśmy

Arthur Schopenhauer uważał, że jedyne, co do końca poznajemy, to nasze ciało. Natomiast tym, co w związku z ciałem przeżywamy, jest wola. Według niego wola to najgłębsza istota nie tylko nas samych, ale również świata zewnętrznego. W doświadczeniu wewnętrznym, w formie przeżycia, odślaniają się takie cechy naszego organizmu, jak instynkt, pożądanie i wola, które składają się na wolę życia. Analizując poglądy Schopenhauera, można spostrzec pewną analogię między jego filozofią a powiedzeniem: „Dzięki temu, co czynimy, dowiadujemy się, czym jesteśmy”. Wynikać z niej może, że mówiąc „dowiadujemy się”, filozof miał na myśli „doświadczamy”, natomiast owo „czym jesteśmy” oznacza nasz instynkt, pożądanie i wolę, czyli nasze przeżycia i najgłębszą istotę nas samych, a także świata zewnętrznego.

Powiedzenie, o którym mowa, można rozpatrywać, biorąc pod uwagę trzy rzeczywistości: ogół społeczeństwa (lub grupy), życie codzienne jednostki i sytuacje ekstremalne. Podział ten wynika z ogromnego wpływu rzeczywistości na nasze zachowanie i czyny. Mimo że niekiedy właśnie rzeczywistość dyktuje bądź też skłania do podjęcia takiej, a nie innej decyzji, to my jesteśmy za nią odpowiedzialni.

Każdy z nas należy do społeczeństwa bądź też do grupy, która posiada charakterystyczne dla siebie cechy. Łączą one ludzi mówiących w tym samym języku, należących do tej samej kultury, mających te same poglądy polityczne, podobne idee itd. Właśnie dzięki nim identyfikujemy ich z grupą, do jakiej należą, gdyż to przez nie — czynnie a zarazem automatycznie — ludzie dają wyraz swemu z nią związkowi. Tak więc to, co ludzie czynią, pokazuje innym, kim są.

Erich Fromm poruszył w książce *Mieć czy być?* istotną kwestię dotyczącą jednostki i społeczeństwa. To ostatnie podzielił na dwie części zdążające do dwóch różnych biegunów, lecz ostatecznie nigdy ich nieosiągające. Chodziło mu o sposoby egzystencji, nakierowane na „mieć” lub na „być”. Ich źródła wykrył w ogromnym rozwoju techniki. Od zarania dziejów ludzie dążyli do szczęścia, do materialnego dostatku, wygod i wolności osobistej. Kiedy zdali sobie sprawę z tego, jak wielkie są ich możliwości, jaką mają władzę nad przyrodą, wzrosło poczucie wszechwiedzy i wszechmocy, a wraz z nim narodziło się przekonanie, że od stania się istotami nadnaturalnymi, wręcz bogami, dzieli ich już niewiele. Fromm zaczerpnął tę tezę z *Kultury jako źródła cierpienia* Zygmunta Freuda, który mówił o człowieku jako o nad-

naturalnej istocie, którą stał się dzięki wymyślonej przez siebie technice. Władza nad naturą przyniosła człowiekowi życie w bogactwie i komforcie, co z kolei miało zagwarantować „nieskrępowane szczęście”. Efektem tego, jak pisze Fromm, było stworzenie „jądra nowej religii – postępu”, która dominuje w świecie współczesnym. Aktualne warunki życia w znacznej mierze kształtują typ osobowości hamującej rozwój najważniejszych umiejętności ludzkich: samokrytycznego myślenia, zdolności do miłości i do samourzeczywistnienia. Mowa tu o jednym z dwóch sposobów egzystencji, zorientowanym nie na „być”, lecz na „mieć”. Większość dzisiejszych społeczeństw nakierowanych jest właśnie na modus „mieć”.

Poruszona tu została kwestia społeczeństwa, ponieważ to, czym jesteśmy (indywidualnie), zależy od środowiska, w którym egzystujemy. Wraz ze zmianami tego, co jest wokół, zmieniamy się i my. To, co się dzieje dookoła, kształtuje nas. Podświadomie dostosowujemy się do otoczenia, rezygnując po drodze z naszego „być”. Wynika to przede wszystkim z potrzeby akceptacji. Nikt przecież nie chce stać się indywiduum, kimś obcym, ponieważ każdy szuka akceptacji zapewniającej bezpieczeństwo. Tak więc, jeżeli społeczeństwo istnieje na zasadzie „mieć”, automatycznie uczy swoich obywateli, jak żyć według tej samej zasady. Tak naprawdę każdy z nas złożony jest z siebie oraz otoczenia. Jednak nie oznacza to, że będąc w jakimś otoczeniu, nie jesteśmy świadomi naszych czynów (nie tylko istotnych, od których wiele zależy, ale także zwykłych, codziennych).

Często nam się wydaje, że jesteśmy wspaniali. Jakimiż to niezastąpionymi bywamy przyjaciółmi, jak wielkimi pisarzami, genialnymi politykami, niezapomnianymi władcami tego świata. Warto się jednak zastanowić, co o tym świadczy? Nasze słowa czy raczej nasze czyny? Ile razy zdarza nam się wypowiadać na jakieś tematy, wypowiadać swoje zdanie...? Ile razy zdarza nam się wysłuchiwać opinii innych ludzi...? Niezliczoną ilość, ale to tylko słowa. Wszyscy znamy ogólne zasady życia, których każdy człowiek powinien przestrzegać. Mam na myśli uczciwość, prawdę, sprawiedliwość, humanitaryzm, dobroć, miłość, moralność itp. Lecz to, że je znamy i wiemy,

co znaczą odpowiadające im pojęcia, nie czyni nas uczciwymi, prawymi czy dobrymi. Prawda jest taka, że to nie słowa czynią człowieka człowiekiem, ale jego czyny. Myślę, że teoria nabiera znaczenia tylko wtedy, gdy używa się jej w praktyce. Znakomitym potwierdzeniem słuszności tego poglądu są osiągnięcia naukowców. Czy Aleksander Fleming otrzymałby nagrodę Nobla, gdyby nie odkrył penicyliny ratującej człowiekowi życie? Czy Izaak Newton byłby uważany za geniusza, gdyby jego zasady dynamiki nie były tak istotne w codziennym życiu, w nauce, technice, w praktyce...? Nie. Dlatego — jak inaczej oceniać człowieka, jeśli nie po czynach? Nasze myśli, przekonania są w nich widoczne. Dusza, osobowość jest widoczna w naszym zachowaniu. A zatem — NAS ukazuje wszystko, co robimy, lub czego nie robimy.

To, co zostało do tej pory rozważone, dotyczy rzeczywistości codziennej, znanej większości ludzi. Są jednak inne jeszcze rzeczywistości. Rzeczywistości, w których rządzą zupełnie inne prawa. Ktoś mógłby powiedzieć, że dopiero nietypowe sytuacje naprawdę pokazują, czym jesteśmy. Że dopiero zaskakujące, nieoczekiwane, niechciane i często przykre w skutkach zdarzenia wymuszają odkrycie naszego prawdziwego „ja”, ponieważ dokonany wybór może doprowadzić do utraty czegoś, co bardzo cenimy. Jako przykład posłuży sytuacja: młody, szczęśliwy mąż, a jednocześnie ojciec dwojga dzieci, dostaje awans i propozycję bardzo dobrze płatnej pracy za granicą. Musi dokonać wyboru: „Zostaję z żoną i dziećmi, czy jadę, ponieważ nadarzyła się niepowtarzalna okazja zrobienia dużych pieniędzy?”. Podjęcie takiej decyzji związane jest z utratą czegoś, co ma niebagatelne znaczenie. Z jednej strony rodzina, z drugiej pieniądze. Z dokonanego wyboru dowiedzieć się można, co jest ważne dla tego mężczyzny, czym się kieruje, jaki ma system wartości itd. To, co uczyni, będzie świadczyło o tym, jaki jest.

Nieco inny typ sytuacji ekstremalnych stanowi rzeczywistość obozów koncentracyjnych bądź tych zakątków dzisiejszego świata, o których w ogóle się nie mówi, bądź mówi się bardzo niewiele, a gdzie panują nieludzkie wręcz warunki egzystencji. Wyróżnia je jest brak możliwości pozytywnego wyboru.

W naszkicowanych realiach człowiek staje przed wyborem większego lub mniejszego, ale zawsze zła. By przetrwać, ludzie potrafią zrobić wszystko. Dla przetrwania popełnia się czyny niegodne, których żałuje się całe życie, których skutkiem są... wyrzuty sumienia? Za mało powiedziane. Może lepszym określeniem byłoby – męczarnia psychiczna. W sytuacjach ekstremalnych można doświadczyć różnych uczuć. Wielu z nas (żyjących we współczesnych cywilizacjach, demokratycznych państwach, gdzie każdego chroni prawo), nie wie, jak to jest, kiedy człowiekiem kieruje TYLKO I WYŁĄCZNIE przeszywające zimno, głód, przerażenie, rozpaczliwa samotność czy fizyczne i psychiczne cierpienie o sile, której nigdy nie doświadczyliśmy. W tej rzeczywistości człowiek nie ma zasad i nie ma ideałów.

I w tym momencie warto zadać pytanie, czy istnieje analogia pomiędzy powiedzeniem Arthura Schopenhauera a opisaną rzeczywistością? Czy faktycznie czyny, które popełnia człowiek kierujący się nie rozumem i moralnością, ale instynktem, również mówią o tym, czym jest? Jeśli sami czegoś nie doświadczyliśmy, nie wszystko jesteśmy w stanie zrozumieć. Jedyne, co możemy zrobić, to domyślać się, spekulować czy polemizować na temat psychiki człowieka, ale go nie oceniać. I nawet jeżeli powiedzenie Schopenhauera możemy odnosić do tego typu rzeczywistości, nie na miejscu byłoby używanie określeń mówiących o tym, czym są jej mieszkańcy. Gustaw Herling-Grudziński, jeden z tych, którzy przetrwali obóz koncentracyjny, powiedział: „Jest upiornym nonsensem naszych czasów próba sądenia człowieka według uczynków, jakich dopuścił się w warunkach nieludzkich”. Człowiek jest bardzo kruchą istotą. Jest tylko człowiekiem i aż czo-

wiekiem, ale czy może być czymś, będąc sprowadzonym do poziomu niczego?

Nie można się nie zgodzić z powiedzeniem Arthura Schopenhauera, a jednak, mimo wszystko, człowiek to coś więcej, niż tylko to, co czyni. Myślę, że Schopenhauer zbyt krytycznie określił człowieka, nazywając go czymś, a nie kimś. Choć z drugiej strony mógł mieć na myśli jego kruchość, wrażliwość, czy też to, jak bardzo działanie podporządkowane jest warunkom zewnętrznym, instynktom, potrzebom. Może miał na myśli to, że społeczeństwo przez proces wychowania łatwo wpływa na człowieka, a ten równie łatwo wtapia się w otaczający go świat. Mimo wszystko człowiek to istota rozumna, która myśli, czuje, przeżywa, ma swoje sumienie, obawy, ma marzenia, intencje i cele. Jest istotą skomplikowaną, którą kieruje zarówno jego świadome, jak i nieświadome „ja”. Wszystko to przejawia się oczywiście w jego czynach, ale nie zawsze dana mu jest szansa sprawdzenia się. Nie zawsze potrafi wyrazić w czynach swoje uczucia i myśli. Czasem wydaje mu się, że pewne czyny są proste, są naturalnymi odruchami, do których jest zdolny. I jakież wielkie jest jego rozczarowanie, gdy uświadamia sobie, że nie potrafi, że jednak nie wszystko jest proste. Czasem czyny wymagają minimalnego, a czasem wręcz heroicznego wysiłku. Naturą człowieka jest popełniać błędy; z jednej strony – czyniąc coś, czego nie powinien, z drugiej – nie czyniąc tego, co powinien. Tak więc człowiek dowiadyuje się tego, czym jest, po swoich czynach, po sumieniu, uczuciach, myślach, duszy, czyli po tym, co pokazuje na zewnątrz i po tym, co kryje wewnątrz siebie.

Małgorzata Musiałik

Maja

Kto mógł się cieszyć z kosmicznych fajerwerków wówczas, gdy rzędy ławek w przestrzeni niebieskiej wypełniały wyłącznie lód i ogień? Kto mógł odgadnąć, że pierwszy odważny płaz wypłynie z przybrzeżnych wód i zrobi nie tylko mały kroczek, lecz wielki krok na długiej drodze wiodącej do naczelnych, dumnie ogarniających wzrokiem początek tej drogi? Oklaski dla Wielkiego Wybuchu rozległy się dopiero w piętnaście miliardów lat po tym, jak nastąpił

Francisco Goya (1746–1828) jest jednym z najbardziej zagadkowych twórców przełomu XVIII i XIX wieku i jednym z moich ulubionych artystów malarzy. Jego obrazy pełne są tajemnic, a światłości i barwa stwarzająca aurę intymności i zakazanej niemal ciekawości rzeczy niezwykłych, zdają się wytyczać granicę między rozumową drogą poznania racjonalistów oświeceniowych, a nieograniczoną fantazją – uprzywilejowanym źródłem romantycznej wiedzy o świecie. Jedną z najbardziej charakterystycznych rycin artysty – *Rozum śpi* – znana nam z licealnych podręczników języka polskiego, wraz z komentarzem samego autora powinna być na to najlepszym dowodem. Goya powiedział bowiem: „Wyobraźnia opuszczona przez rozum płodzi potwory, połączona z rozumem jest macierzą wszystkich sztuk i źródłem ich wspaniałości” (*Sztuka Świata*, tom VIII). Obrazy Goi, zwłaszcza te powstałe w ostatnich latach życia artysty, świadczą jednak dobitnie o tym, jak często właśnie skrywane namiętności i całkiem nieznane obszary ludzkiej wyobraźni, których prezentacji nie powstydziliby się surrealiści pokroju Salvadore Dalego czy André Massona, potrafią odcisnąć swe groźne piętno na malarskim płótnie. Sam Witkacy, z narkotyczną pewnością twierdził: Goya musiał znać peyotl” (narkotyk, odurzająca substancja halucynogenna, otrzymywana z niektórych odmian meksykańskich kaktusów), a krytyk i historyk sztuki Maria Rzepińska uważa sztukę Goi za tę, która „penetruje obszary

psychiki, uznawane dotychczas za tabu” (Maria Rzepińska, *Siedem wieków malarstwa europejskiego*). Środowisko artystyczne ówczesnej Hiszpanii skupione było bowiem w drugiej połowie XVIII w. na kopiowaniu na swój teren eklektycznego neoklasycyzmu francusko-włoskiego.

Omawiając pokrótce dorobek twórcy Francisco Goi, nie mogę jednak zapominać, że jest to przede wszystkim portrecista królewskiego dworu i twórca zaangażowany politycznie, a także piewca osobistych uczuć i emocji (jeśli przychylić się do zdania wyrażonego przez Goyę przy okazji interpretowania wyżej wymienionej ryciny z cyklu *Kaprysy*, o podobnych zadaniach, jakie pełnić powinna literatura i sztuka). Tak osobistym, niemal intymnym dziełem jest *Maja naga*. Z obrazu patrzy na nas piękna, nieco zawstydzona narzuconą jej pozą, niewinna w swojej otwartości kobieta. Mimo swych ciepłych i krągłych kształtów, to filigranowa, dość krucha postać. W połączeniu z miękkością i przejrzystością pościeli, na której układa się jej ciało, tworzy obraz nie-



zwykle zaangażowany emocjonalnie. Ten odważny akt nie jest jednak w pełni harmonijny, zawiera niewykrywalną na pierwszy rzut oka dozę sztuczności i z tym właśnie wiąże się jego tajemnica. Głowa Mai nie pasuje do reszty jej ciała. Biografowie malarza nie poddają pod wątpliwość faktu, jakoby do obrazu pozowały dwie różne kobiety. I o ile nie interesuje ich tożsamość tej, która obdarzyła Maję plastycznym, jędrnym ciałem, o tyle dyskusja o właścicielce twarzy trwa do dzisiaj. Ciekawość niektórych badaczy zaspokoili podania o rzekomym romansie Francisco Goi z arystokratką, księżną Alba (to przekonanie przyswoił sobie również Henry Koster, nakręcając w 1959 roku film pt. *The Naked Maya*), niepewność pozostałych wykorzystał bardzo umiejętnie Jostein Gaarder w cudownej powieści pt. *Maja*, w niezwykły sposób łącząc przedmiot zagadki z problemem przemijania, zagadnieniami z zakresu ewolucji, odpowiedziami na pytania egzystencjalne, zaczerpniętymi z dawnych hinduskich wierzeń, a także legendami zakorzenionymi w obyczajach hiszpańskich *gypsies*.

Z Gaarderem zetknęłam się po raz pierwszy czytając *Świat Zofii*, książkę stanowiącą dla mnie swoiste kompendium wiedzy dla opornych, przy okazji egzaminu z historii filozofii. *Świat Zofii* nie tylko okazał się doskonałym akademickim podręcznikiem, ale i fascynującą powieścią traktującą o radości pisania, w której, w przeciwieństwie do sarny zniewolonej przez pióro Szymborskiej, postaci fikcyjne robią wszystko, by wydostać się spod jurysdykcji krępującego je pisarza.

Maja jest całkiem inna i właściwie trudno uwierzyć, że obie książki wyszły spod ręki teologa i nauczyciela filozofii z liceum w Bergen. Bohaterem powieści jest norweski naukowiec, Frank Andersen, specjalista w zakresie ewolucjonizmu. Tu Gaarder zdaje się posługiwać rzetelną wiedzą na ten temat, ale do spraw, o których posiadamy ogólne pojęcie, dodaje swoje dość radykalne i niekiedy zbyt daleko idące spojrzenie, któremu, zafascynowani, mimowolnie dajemy wiarę, choć niejeden prawdziwy znawca tematu z szyderczym uśmiechem dorzuciłby swoje trzy grosze. To, że pewne cechy otrzymaliśmy w spad-

ku po przystosowanych do poruszania się między gałęziami drzew *presbytis entellus* (gatunek małp, zwanych hulmanami, przystosowawczo adaptatywnych, których pomysłowość i przedsiębiorczość umożliwiła im zdobywanie coraz trudniej dostępnego pokarmu, a autorka posłużyła się wybranym gatunkiem jako małpą w ogóle, chcąc wywołać proste ewolucyjne skojarzenie) przyjmijmy za pewnik, ale jak na przykład zgodzić się z postulatem dziedzicznej świadomości? W pewnym momencie bowiem, nasz bohater, przechadzając się po złocistych plażach Tavenui (wyspa archipelagu Fidzi), jednego z miejsc akcji powieści, widzi piękną kobietę. Natychmiast odnosi nieodparte wrażenie, iż spotkał ją już wcześniej. Nie mogąc sobie jednak przypomnieć w jakich okolicznościach mieliby przyjemność się poznać, wysuwa wniosek, że ich spojrzenia mogły skrzyżować się nawet do kilku milionów lat wstecz, kiedy należeli jeszcze do stworzeń niższego rzędu, a pamięć o tym wydarzeniu przetrwała w świadomości istot, których ewolucyjne zmiany doprowadziły do narodzin człowieka, od tych konkretnych przodków się wywodzącego. Posunięty do granic abstrakcji ewolucjonizm Gaarder'a jest nadzwyczaj drobiazgowy. Zakłada, że skoro każdy człowiek stanowi konkretne „ja”, tu i teraz, to pochodzić musi również od „ja”, być może konkretnej jaszczurki, która w zamierzczłym karbonie zdołała osiągnąć dojrzałość płciową i złożyć jaja w cieniu trzydziestometrowego lepidodendronu, zanim, prozaicznie rzecz ujmując, zjadło ją większe straszdyło. W ten niekonwencjonalny sposób podkreśla pisarz niebywałe znaczenie jednostki w historii rozwoju życia na Ziemi i właśnie ów postulat spowija oś fabuły magicznej powieści „o miłości i przemijaniu”. By to docenić, wystarczy uprzytomnić sobie położenie współczesnego człowieka (a więc i nas samych) w świecie pełnym sprzeczności, gdzie wielokrotnie bardzo trudno jest nam odnaleźć swoje własne miejsce. Z jednej strony mamy przed sobą nieskończoną liczbę możliwości, a jednocześnie to bolesne przecucie, że nasze pomysły i decyzje w żaden sposób nie mogą wpłynąć na poprawę sytuacji politycznej kraju, stanu naszego środowiska, a nawet standardu własnego życia.

„Zebrani pod potężnym, rozgwieżdżonym niebem wspólnie stanowimy coś w rodzaju przekroju ludzkości. Wszyscy, choć na różne sposoby żywimy szczególne zainteresowanie czymś, co nazwać można dylematem współczesnego człowieka”. Tak towarzystwo zebrane w Maravu Resort na Tavenui podsumowuje organizator ich „tropikalnych spotkań na szczycie”, angielski pisarz John Spooke, jeden z głównych bohaterów powieści. I między innymi właśnie on zostaje wyrazicielem poglądu potęgującego przekonanie o niezwykłej roli człowieka w historii życia naszej planety. Ta i inne teorie stanowią swoiste pocieszenie dla Franka Andersena, opętanego myślami o krótkości i kruchości ziemskiego życia. Choć ewolucjonizm jest jego życiową pasją, utrzymuje go jednocześnie w przekonaniu, iż stanowi mały, jeden z nieskończenie wielu punkcików na ewolucyjnej linii. Alternatywnym rozwiązaniem staje się dla naukowca pogląd ciemnowłosej Australijki o imieniu Laura, która zachęca Andersena do uwierzenia w „duszę świata” z filozofii hinduskiej, wg której istnieje tylko jedna rzeczywistość, wieczna, niepodzielna i niematerialna (*brahman*). „Gdy na co dzień doświadczamy, że świat jest wieloraki, to jest to pozór, albo też to, co Hindusi od tysięcy lat nazywają *maja*”. *Maja* to senna iluzja widzialnego świata. Iluzja, która nakazuje nam uważać ludzi, z którymi się spotykamy, za coś innego niż my sami, podczas gdy wszyscy stanowimy integralną część tej samej „duszy świata”. Gdy umieramy, nasza dusza zdaje sobie po prostu sprawę z tego, czym była od samego początku, integruje się z *brahmanem*.

Teoria Anglika wydaje się nam bliższa. John Spooke uświadamia nam, że tak naprawdę my sami jesteśmy przyczyną tego, co na świecie miało miejsce od czasu Wielkiego Wybuchu. Bo tylko my potrafimy dostrzec, że to, co działo się przez miliardy lat, miało swój sens, że działo się nie z konkretnej przyczyny, ale dla niej. Przyczyna nie poprzedza tutaj konkretnych działań, jak to się zwykle przyjmuje, ale jest równoznaczna z rezultatem. Wszystkie te zmiany na przestrzeni wieków są niczym czerwony dywan rozwijany pod stopy wyjątkowych osobistości srebrnego ekranu. A tą wielką osobistością jest

człowiek. Dowodząc tego, Spooke niespodziewanie dotyka czoła hiszpańskiej tancerki flamenco o imieniu Ana, kobiety spotkanej na plaży, której twarz jest wierną kopią modelki pozującej do obrazu Francisco Goi. A może twarz z obrazu to kopia samej Any? Czy możliwe jest, by piękna kobieta, którą mamy przed sobą pozowała do dzieła, które powstało niemal dwieście lat wcześniej? Byłaby to doskonała ilustracja teorii pisarza, rozwiązanie tej zagadki, w które nikomu bynajmniej nie każe z razu uwierzyć, stanowi już jednak fantastyczną część fabuły *Mai*, która owiewa książkę dodatkowo tym niezwykłym czarem baśniowej opowieści, budzącym ciepłe, dziecięce odczucia. Motyw karzelka z dzwoneczkami przypiętymi do śmiesznej czapki, który pewnego dnia po prostu zjawia się w jednym z hiszpańskich portów, w czasach, kiedy tworzy Goya, z dziwnie błyszczącym i gładkim obrazkiem przedstawiającym kobietę niezwykłej urody, mam nadzieję, jeszcze bardziej zachęci do sięgnięcia po tę lekturę.

Maja jest w tej książce niemal wszystkim. Jest całą tą książką, wypełnia jej karty i wypływa na zewnątrz, kiedy ją otwieramy. Ma mnóstwo definicji, a zarazem nie jest niczym konkretnym. Wątki, w które autor wplata to imię wydają się być niezliczone. Nie dotykamy *Mai* i nie możemy zmierzyć, a ona jakby nas zna, wypełnia, napawa spokojem, nieoczekiwaną radością. *Maja* to magia tej cudownej powieści, podczas gdy jej fabuła to tylko kształt; jest jak pigułka, okrągła i określona, która jednak – rozpuszczona w organizmie – dociera w jakiś sposób do wszystkich zmęczonych, nekanych chorobą członków i pobudza je do życia. Czytając tę powieść stajemy się świadomi własnego istnienia, zdajemy sobie sprawę, że sam już nasz pobyt tutaj jest swoistym horacjańskim pomnikiem spizowym.

Udajmy się więc pod trzydziestometrowy lepidodendron i złożmy tam owoce naszego życia, mając nadzieję, że przyczyną–rezultatem naszego rozwoju i działań będą przyszłe, jeszcze wspanialsze, doskonalsze pokolenia.

Oklaski dla Wielkiego Wybuchu rozległy się dopiero w piętnaście miliardów lat po tym, jak nastąpił...

Joanna Młynek

Marcin Kania

Monique

Padający deszcz uderzał nierówną kaskadą kropli w niewielkie zadaszenie unoszące się nad wnęką korytarza. Dalej leżał gruz, rozrzucony nieregularnymi stertami po całej powierzchni placu. Mężczyzna zrobił krok, grzęznąc w rozmięklej ziemi, w której załamywały się płytki dawnego chodnika. Śmietnik wypływał z siebie plastikową lalkę o pustych oczodołach i domalowanym czerwienią uśmiechu.

Pustka.

Postąpił jeszcze kilka kroków, po czym zatrzymał się, wspierając dłońią o w połowie złamany trzepak.

Pustka...

Ponad nim szare, brudne molochy budynków o oblażących z tynku ścianach, krawędziami swoich sylwetek wykrajały fragment matowego nieba, wytyczając granicę światłu. W pustostanie po przeciwnej stronie wszystkie okna zabito deskami, w kamienicy po prawej okien z tej strony w ogóle nie było, podobnie zresztą jak w sąsiedniej, dopinającej powierzchnię podwórka w chyłący się lekko na jeden bok prostokąt.

Pustka...

Deszcz uderzył ponownie, szarpiąc zawieszony nad śmietnikiem fragment nieprzeźroczystej folii. Zaszepotała szeleszczącym głosem, odpowiadając spontanicznie rytmicznemu bębnieniu deszczu. Upadające na twarz mężczyzny krople zdawały się wtapiać w pokrytą kilkunastu zarostem skórę. Przetarł oczy. Obraz świata stał się mniej rozmyty, mniej odkształcony...

Choć wciąż trwał w swej dziwacznej deformacji.

Wydrążone pnie klonów poruszyły korą, kiedy poprzez rozpadliny zwapniałej, zakrzepłej materii przemykały wąskie strumyki wody.

Wszystko ożyło. Na moment. Nie więcej niż na sekundę. Jakby nigdy nie umierało, jakby nigdy nie przestawało istnieć.

— Może to jest właśnie ten świat? — przemknęło mu przez głowę. — Tamten świat. Jakiś świat?

O rozmokły grunt coraz silniej, coraz intensywniej zaczynały uderzać ciężkie krople wody.

Jakikolwiek...

Tego nie wiedział. Wcisnął głowę w ramiona, otulając się mocniej nieprzemakalną kurtką. Wilgoć czuł prawie pod skórą, jak przecieka przez szczupły, pociągły owal twarzy, wlewając się do oczu, ust, nosa, piekąc i szczypiąc niczym rozrzedzony kwas. Kwaśne deszcze nie były niczym niezwykłym w tej strefie klimatycznej. Nie różniły się też niczym od tych sprzed wojen. Wywoływały szybszą erozję wapieni i wyjaławiały przejściowo grunt, który z czasem i tak się odradzał.

Jak wszystko co musiało żyć, musiało istnieć.

Bum bum bum

Zamarł i spojrzał w górę. W wąskim, wypełnionym gruzem zawalonego budynku szybie oddzielającym jedną kamienicę od następnej uniósł się szary, łopoczący kształt. Mężczyzna zmrużył oczy. Kształt przeminął. Spojrzał jeszcze raz, żeby się upewnić, ale nie dostrzegł już niczego.

Po prostu niczego tam nie było

Ptak, bez dzioba, ze skrzydłami wielkości ramion nastolatka uniósł się jeszcze raz w jego umyśle. Dzieło wyobraźni czy przypadku? Nieistotne. Ruszył w stronę klatki schodowej. Zabarykadował drzwi, zrzucając na nie stertę starych, drewnianych opakowań.

Pocałuj mnie...

Odwrócił się i spojrzał na posąg kobiety. Stała w tym samym miejscu, wciąż i nieprzerwanie wpatrując się w przeciwległą ścianę. Kształtnych ust dotykał kurz, oblepiając twarz zielonkawym brudem.

Chyba już się nie spotkamy...

Chyba.

(fragment z *Idąc w cieniu*, Warszawa 2003)

Marcin Kania — urodzony w Krakowie w roku 1980, absolwent IV roku filologii polskiej AP, laureat Stypendium Twórczego Miasta Krakowa za rok 2004. Związany z Śródmiejskim Ośrodkiem Kultury, gdzie współredaguje miesięcznik literacko-kulturalny „Lamelli”, Stowarzyszeniem Twórczym Artystyczno-Literackim i Związkiem Literatów Polskich. Autor tomiku opowiadań: *„Kryształowy pająk”* (1999) oraz wyboru prób poetyckich i prozatorskich: *Idąc w cieniu* (2003).

Czy liberatura to literatura?

Do dzieł określanych mianem „liberatury”¹ zaliczane są utwory stanowiące kanon światowej literatury, jak „Finnegans Wake” Jamesa Joyce’a: „Książka ta zawsze zawiera identycznie wydrukowany tekst i składa się z 628 stron liczących w większości po 36 linijek (...) Wiadomo przecież, że pragnąc stworzyć dzieło w kształcie koła czy kuli, Joyce zakończył je na urwanym w połowie zdaniu, którego kontynuacja znajduje się na pierwszej stronie. W ten graficzny sposób zasygnalizował, że książkę należy czytać „na okrągło”. (...) wspomniane tu elementy odegrały istotną rolę w zrozumieniu (...) tekstu a aspekt graficzny okazał się nośnikiem treści w stopniu nie mniejszym niż słowa”². Kolejnym „liberackim” klasykiem jest William Blake, ze względu na charakterystyczne ilustracje, którymi ozdabiał swe dzieła, stanowiące nieodłączną częśćią jego utworów

Liberatura narodziła się na pograniczu literatury, sztuki edytorskiej i plastyki. Termin ten został użyty po raz pierwszy podczas Wystawy Książki Niekonwencjonalnej, zorganizowanej w Bibliotece Jagiellońskiej w ramach obchodów Bloomsday w czerwcu 1999 roku.

Według Zenona Fajfera, jej twórcy i propagatora, liberatura to nie tyle nowy prąd czy moda, lecz sposób myślenia o słowie, literaturze i książce, z uwzględnieniem jej cech fizycznych. Uważa on, że początki liberatury sięgają narodzin pisma i pierwszych, najprymitywniejszych form książki. Już napisy na ścianach egipskich grobowców i sarkofagów mają typowo „liberacki” charakter, ponieważ przy ich sporządzaniu uwzględniono szereg czynników, jak np. architekturę wnętrza i ułożenie mumii, w wyniku czego inskrypcje biegly w różnych kierunkach, tworząc kompozycyjną całość z towarzyszącymi im malowidłami i przestrzenią wnętrza komory grobowej³. Wiele cech liberatury wykazują hinduskie Wedy, czy żydowska Tora, w których każdy znak nasycony jest dodatkowym znaczeniem. Także w obszarze literatury świeckiej odnaleźć można jej ślady. Sprzyjał temu rozkwit poezji kunsztownej: anagramów, akrostychów, wierszy

permutacyjnych figuralnych i emblematycznych oraz poezji wizualnej.

W centrum zainteresowania twórców liberatury znajduje się materialność książki, przestrzeń dzieła literackiego i integralność formy zapisu z przekazywaną treścią⁴. Liberatura obejmuje utwory gatunkowo i czasowo odległe od siebie.

Według Zenona Fajfera istnieją różne odmiany liberatury. Pierwsza to ta, w której dominuje czynnik „architektoniczny”, gdzie tekst niejako wymusza określoną budowę książki czy jej fragmentu, nawet stosunku do tradycyjnego woluminu. Inną odmianę reprezentują dzieła o wizualnym charakterze, w których warstwa graficzna (rysunki czy zdjęcia), zintegrowana jest z tekstem lub też sam tekst układa się w jakiś obraz.

Kolejny rodzaj liberatury reprezentują te dzieła, w których na plan pierwszy wysuwa się sfera materialna: papier czy inny materiał, czasami też przedmioty tworzące z książką rodzaj instalacji⁵.

Substancją liberatury jest słowo. Propagatorzy tego kierunku, mówiąc „słowo”, mają na myśli jego brzmienie i sens, pisząc (niekiedy) także wygląd⁶. Twierdzą również, że o przestrzeni dzieła literackiego myśli się rzadko lub wcale, a jest ona niezwykle ważna. Przynależy do słowa na równi z jego kształ-

tem, dźwiękiem i znaczeniem. Tak pojęte słowo jest substancją liberatury, w której tekst i przestrzeń książki stanowią nierozdzielalną całość.

Sztandarowym utworem „liberackim” jest stworzone przez Zenona Fajfera i Katarzynę Bazarnik *Oka-leczenie*. „W książce tej istnieją dwa rodzaje tekstu: widzialny i niewidzialny. Widzialny przejawia się na kilka sposobów, (...) lektura większości z nich nie wymaga interwencji żadnego przyrządu optycznego. Po odczytaniu pierwszych liter słów tekstu widzialnego (...) ukaże się tekst niewidzialny. Z niego w analogiczny sposób wyłoni się kolejna warstwa, a potem następne, aż do poziomu najniższego/najwyższego, tworzonego przez jedno słowo. Słowo to emanuje z siebie nowy tekst”⁷.

Bardzo „liberacka”, zarazem pięknie i subtelnie zaprojektowana plastycznie jest książka Andrzeja Bednarczyka *Świątynia kamienia / The Temple of Stone*, wydana w Krakowskim Oddziale Związku Literatów Polskich. To poezja zamknięta w skalnych okładkach, z prawdziwym tatrzańskim kamieniem, będącym integralną częścią tekstu.

Twórcy liberatury to pisarze i poeci, których łączy kreatywne podejście do własnej twórczości, wyobraźnia i wrażliwość plastyczna. W ich twórczości wszystko zostaje podporządkowane temu, by powstała książka–dzieło sztuki, w której treść utworu, jego struktura i wygląd tworzą harmonijną całość.

Czy liberatura to literatura? Liberatura nazywana jest przez jej twórców również architekturą słowa. Według Zenona Fajfera jest ona: „Architekturą, czyli sztuką najbardziej przestrzenną z przestrzennych. Oczywiście, przyrównanie do architektury też jest tylko pewnym uproszczeniem, bowiem w liberaturze aspekt czasowy nadal odgrywa ogromnie ważną rolę. Należałoby więc raczej mówić o czasoprzestrzeni: liberatura to literatura czasoprzestrzenna. Ale wciąż literatura”⁸.

Dzieła literackie, wydane i pomyślane przez ich twórców jako „liberackie”, nic nie tracą na swej „literackości”, wręcz przeciwnie. Wiersze Andrzeja Bednarczyka wydrukowane tradycyjnie nie miałyby takiej siły wyrazu. *Oka-leczenie* Katarzyny Bazarnik i Zenona Fajfera wydane w innej formie traci sens. Twórcy liberatury starają się, by ich dzieła były pełniejszą literaturą.

Anna Poślusznna

¹ Z. Fajfer, *Liberatura, Aneks do słownika terminów literackich*, w: „Dekada Literacka” nr 5-6 (153/4).

² K. Bazarnik, *Dlaczego od Joyce’a do liberatury (zamiast wstępu)*, w: *Od Joyce’a do liberatury*.

³ Z. Fajfer, <http://www.mik.krakow.pl/liberatura/historia.html>

⁴ Z. Fajfer, *Nie(o)pisanie liberatury*, w: „Ha!art” 2003 2 (15).

⁵ Z. Fajfer, *Nie(o)pisanie liberatury*, w: „Ha!art” 2003 2 (15)

⁶ Z. Fajfer, *Wstęp do katalogu Czytelni Liberatury*. Czytelnia Liberatury utworzona jest przy Małopolskim Instytucie Kultury w Krakowie.

⁷ Z. Fajfer, *Nie(o)pisanie Liberatury*, w: „Ha!art” 2003 2 (15).

⁸ Z. Fajfer, *Nie(o)pisanie Liberatury*, w: „Ha!art” 2003 2 (15).



Leszek Wrona

Archiwum X

Jak się uczyć? To tytuł popularnych poradników dla uczniów i studentów podejmujących zadanie przygotowania się do egzaminu czy sprawdzianu. Gdy otwieramy książkę uświadamia nam się bardzo prosta zasada cytowana przez Ewę Czerniawską i Marię Ledzińską: „przede wszystkim trzeba chcieć”

Znana powszechnie wypowiedź sławnego polityka „nie chcę, ale muszę” nieoczekiwanie odnosi się do operowania własną pamięcią. Ileż to razy jako uczniowie byliśmy zmuszani do czytania nudnych książek, których treść bezskutecznie usiłowaliśmy sobie przyswoić. Jak trudno było oprzeć się pokusie rzucenia książką o ścianę, albo po prostu znalezienia bardziej interesującego zajęcia. Jeśli nadludzkim wysiłkiem nakazaliśmy sobie skupienie uwagi na lekturze to i tak efekty naszych studiów były co najmniej wątpliwe. Przychodziliśmy na lekcję nieprzygotowani i pozostawało nam liczyć tylko na to, że nie będziemy wywołani do odpowiedzi, albo w razie czego uczynny prymas przyjdzie w sukurs swą podpowiedzią.

Trudno zakładać, że dobry uczeń, czy student jest w każdej chwili gotów na czytanie i sprawne zapamiętywanie czegokolwiek, co zada mu nauczyciel. Każdy z nas ma swoje zainteresowania i preferencje, a to co nie jest z nimi zgodne nie chce „wejść do głowy”. Ze zrozumiałych względów nie możemy poprzestawać na studiowaniu jedynie tego, co nas interesuje. Sprawdzian, egzamin, test kompetencji wymuszają konieczność podjęcia trudu zapoznawania się z treściami, które nasz umysł odrzuca. Jak można sobie z tym radzić i bez ryzyka „urazu postresowego” (z racji działania wbrew sobie) pozostać nadal dobrym uczniem czy studentem?

Znanych jest sporo wypróbowanych strategii, ale ich skuteczność nie jest stuprocentowa, co oznacza, że nudy lub irytacji nie zastąpimy zapalem do pracy. A oto niektóre z nich.

Złośliwa recenzja. Zakładamy, że autor tekstu jest osobą niekompetentną, popełnia błędy merytoryczne i językowe a my mamy zadanie wszelkie usterki zauważyć, skrytykować i skomentować.

W trakcie czytania skupiamy się na ewentualnych niedostatkach wywodów autora, co siłą rzeczy zmusza nas do uważnego czytania. Jeśli nie stwierdzamy błędów merytorycznych, bo autor jest wybitnym specjalistą, to staramy się skontrastować główne tezy kontrprzykładami podważającymi ich zasadność. Zastosowanie takiej strategii nie nastrecza większych trudności, gdy czytany tekst ma charakter publicystyczny, ewentualnie dotyczy problematyki naukowej z tych dziedzin, których dorobek wyraża się w postaci tez niezbyt wiarygodnych, statystycznych albo wręcz opartych na domysłach. Na przykład psychologiczne stwierdzenia o pozytywnym wpływie inteligencji na postępy w nauce szkolnej okazują się fałszywe, jeśli jego autor nie uwzględnił wpływu innych zmiennych. Ile jest tych zmiennych? Na to pytanie brak jest jednoznacznej odpowiedzi. Recenzent naprawdę złośliwy ma możliwość argumentacji, że niektóre z nich zostały pominięte albo wręcz przeciwnie, że jest ich nadmiar. W naukach empirycznych niczego nie wiemy na pewno, dlatego możemy pozwolić sobie na własne interpretacje. Uwaga ta dotyczy nie tylko psychologii, ale między innymi biologii, socjologii, fizyki eksperymentalnej etc. Najłatwiej chyba formułować zarzuty wobec tekstu historycznego, nie tylko dotyczące interpretacji zdarzeń albo samych faktów. Wystarczy na przykład podważyć wiarygodność źródeł i wymyślić jakieś, niekoniecznie sensowne uzasadnienie wątpliwości. Jeśli komuś wydaje się to głupią zabawą to spieszę wyjaśnić, że celem tej zabawy jest zapamiętanie tekstu a nie napisanie złośliwej recenzji. Im bardziej złośliwy jest recenzent, tym uważniej czyta tekst, a do tego właśnie ta zabawa zmierza. Większe problemy pojawiają się w obliczu tekstu matematycznego czy rozprawy z zakresu fizyki teoretycznej. Na to, by

krytyczne uwagi miały tu pozory sensowności potrzebna jest odpowiednia wiedza. Gdy jej brak pozostaje tylko „czepianie się” strony językowej. Na szczęście to zadanie jest już na ogół proste. Teksty zawierające dedukcyjne wywody rzadko kiedy przypominają utwory poetyckie. Ich twórcy nie mogą bowiem pozwolić sobie na dbałość o styl kosztem logiki wywodu. A jednak można wprawdzie kosztem wielkiego wysiłku, próbować pogodzić styl z logiką, a to jest właśnie zadanie dla czytelnika tekstu.

W konkluzji trzeba ostrzec „złośliwego recenzenta” szukającego dziury w całym, aby analizując tekst odróżnił swoje uwagi od tez autora. W przeciwnym wypadku może zapamiętać więcej własnych uwag niż treści zawartych w tekście.

Życzliwa promocja. Wytwarzamy u siebie stawienie na doprowadzenie tekstu do idealnej postaci. Wyszukujemy niedopowiedzenia, skróty myślowe i uzupełniamy je własnymi uwagami i przykładami. Jeżeli drobne poprawki uznamy za niezadowalające, staramy się przeformułować większe fragmenty tekstu, tak aby stał się bardziej spójny i zrozumiały. Takie poprawki mogą jednak doprowadzić do naruszenia struktury materiału. Jeśli w rażący sposób odbiegają one od całości, najlepiej dokonać przeorganizowania całości przez zmianę kolejności omawianych zagadnień, uzupełnienia własnym tekstem, sporządzanie przypisów, a nawet notek bibliograficznych. Technicznym ułatwieniem jest posługiwanie się kserokopią tekstu, którą można rozciąć nożyczkami i składać na nowo według własnych pomysłów. Czytelnicy posiadający odpowiedni sprzęt elektroniczny mogą wykonać to samo wykonując opisane czynności za pomocą komputera na uprzednio zeskanowanym tekście.

Literacka parafraza. Jest to strategia stosowana niekiedy w trakcie wykładów lub lekcji w sytuacji, gdy prowadzący zajęcia obawia się, że słuchacze zdrzemną się z nudów, ewentualnie będą wpatrywać się w mówiącego, potakując kiwaniem baranich głów, do których nic nie trafia. Polega ona na wprowadzeniu do wypowiedzi przykładów zawierających fabułę. Inaczej mówiąc, przekształcamy prezentowane treści na historyjki opisujące zdarzenia. Im bardziej zabawna historyjka, tym większe szanse

rozbudzenia zainteresowania. Ślęczący nad książką może próbować tego samego postępowania. Wyodrębnione całości zamienia na historyjkę i zapisuje ją na osobnej kartce, ewentualnie posługuje się komputerem. Korzyść, którą osiąga, to wzbudzenie motywacji do pracy z tekstem i poczucie sukcesu, gdy historyjki są zgrabnie napisane i zabawne.

Nieco bardziej złożoną odmianą tej strategii jest **skonstrastowana parafraza**. Uczący się zaprzecza teoriiom autora tekstu i próbuje napisać historyjkę na temat: „jak wyglądałby świat gdyby teza A była fałszywa”. Do dzisiaj pamiętam lekcje fizyki, na których doświadczony profesor liceum opowiadał, co mogłoby się stać gdybyśmy nagle ulokowali się w przestrzeni dwuwymiarowej, zamiast czterowymiarowej. Oczywiście stalibyśmy się „płaszczakami” a wynikłoby z tego bardzo poważne kłopoty.

Gorąco zachęcam czytelników do prób zastosowania przynajmniej jednej z prezentowanych strategii. Odradzam natomiast motywowanie się „na siłę”. Trudno zachęcić się do uczenia powtarzając sobie „ucz się, bo to się przyda”. Jeżeli przyda się, to przy egzaminie może się ujawnić popularna zasada „czterech z”: zakuć, zdać, zapisać, zapomnieć. Ta studencka zasada ma potwierdzenie w klasycznych badaniach nad pamięcią. Nastawienie na określony czas wykorzystania zdobytej wiedzy wywołuje szybkie zapomnianie jej po upływie tego czasu. Nauczyłem się do egzaminu, zdałem, więc po co mam dalej nosić w pamięci niepotrzebny balast. Oczywiście proces ten odbywa się poza naszą świadomą kontrolą, więc nie potrafimy mu skutecznie przeciwdziałać.

Niektóre niepowodzenia dydaktyczne wynikają stąd, że nauczyciel usiłuje zmotywować ucznia argumentem — „to się przyda”. Drodzy nauczyciele, uczeń ma własne przekonania co do przydatności swojej wiedzy a perswazja niewiele tu zmieni. Proponuję zatem zastosowanie bardziej finezyjnych zabiegów, niż „mowa trawa”, choćby któregoś z przedstawionych w felietonie.

Pierwszy warunek podjęcia pracy z tekstem został spełniony. Wzbudziliśmy motywację i co dalej. Dalej jest żmudna praca z tekstem i kolejne strategie, które przedstawię następnym razem.

Leszek Wrona

Prośba o... (nie)szybkie czytanie

Czytanie szybkie można porównać do swoistego bombardowania sensorycznego, w którym następujące po sobie sekwencje bodźców powodują swoisty tłok informacyjny, uniemożliwiając zarazem wygenerowanie „echa”, stanowiącego neurofizjologiczną podstawę uruchamianych jednocześnie procesów pamięciowych

Zjawisko to jest w zasadzie uniwersalne i odnosi się do wszystkich rodzajów percepcji. W obszarze percepcji wzrokowej pojawia się towarzyszące czytaniu, znane powszechnie i prawidłowe fizjologicznie, zjawisko powidoku, stanowiące – w zależności od siły, rodzaju czy też czasu działania bodźca pierwotnego – efekt zalegania, subiektywnie postrzegany jako jego odwrotność (negatyw).

Analogiczne zjawisko, choć słabiej funkcjonujące w naszej świadomości, odnosi się do sfery percepcji słuchowej, objawiając się (subiektywnie i obiektywnie) swojego rodzaju brzmieniem wewnętrznym – fizycznym, ale i mentalno-emocjonalnym „echem”. Jego siła i wyrazistość pozostaje w ścisłej zależności od intensywności i czasu trwania bodźca, wreszcie od charakteru i rodzaju „tła” – jawi się ono w sposób równie naturalny, co i nieunikniony. Jest to jednak jeden z podstawowych mechanizmów neurofizjologicznych, warunkujących ludzką percepcję i stanowiący bazę dla procesów pamięciowych, odnoszących się do bardziej wyrafinowanego, przetwarzanego, złożonego materiału.

W realiach życia codziennego nie reagujemy na jeden wyizolowany bodziec, taka sytuacja jest bowiem możliwa wyłącznie na poziomie badań laboratoryjnych. W rzeczywistej percepcji zwykle mamy do czynienia ze złożonym, wielopoziomowym kompleksem: wyobrażeniowo-przypomnieniowym materiałem, w którym zakres, ilość czy intensywność poszczególnych warstw składowych stanowi wypadkową reaktywności neurofizjologicznej, modalności percepcyjnej (NLP) oraz zmiennych osobowościowych.

CO JEST KONIECZNE W PROCESIE CZYTANIA? OBRAZY MENTALNE

Do opisu procesu czytania potrzebne jest pojęcie wizualizacji – dobrze znane, choć rozumiane odmiennie w rozmaitych konotacjach. Określa tu ono funkcję (czynność) tworzenia wizualnego obrazu, który posiada cechy i charakterystyki obrazu pierwotnego-realnego, którego nie da się jednak „obiektywnie” zobaczyć – jest dostępny wyłącznie intrapersonalnie, a więc pozostaje niedostępny innym osobom, nie podlega ich oglądowi. Pojęcie audializacji, przez analogię – mogłoby oznaczać przypomnienie-wyobrażeniowe odtworzenie pierwotnego bodźca słuchowego, dającego efekt *as if*, czyli złudzenie, mentalne echo lub wyobrażenie oddziaływania bodźca, przeżywane przez osobę dokładnie tak samo, jak gdyby bodziec działał. Odnosi się to do pozostałych kanałów percepcyjnych – dotyku, węchu, smaku, a nawet poczucia ruchu, zmysłu równowagi – które zwykle funkcjonują równolegle i równocześnie, choć z różną intensywnością i skutecznością, tworząc niepowtarzalną mozaikową, polisensoryczną konfigurację.

W kontekście naszych rozważań istotny jest jednak fakt, że dla układu nerwowego – ściślej, mózgu – zarówno sytuacja przeżycia rzeczywistego, jak i intensywnie wyobrażonego – jest w zasadzie równie realna, w obu przypadkach uruchamia reakcję łańcuchową niezwyklej biochemicznej gry neurohormonalno-enzymatycznej. Tak więc – pół żartem – mózgowi „wszystko jedno”, czy dany bodziec działa

realnie, w czasie rzeczywistym, czy też mamy do czynienia z dowolnym tworem ludzkiej pamięci lub/i fantazji. Dowodzi tego wprost zadziwiająca skuteczność pracy mentalnej w treningu sportowym, terapii (także w stanach terminalnych) w ramach niekonwencjonalnych procedur. Praktyka wskazuje, że techniki ideomotoryczne stosowane w edukacji, terapii czy rehabilitacji – mają niezwykłą moc oddziaływania. Psychosomatyka uzasadnia możliwość generowania realnych reakcji fizjologicznych w oparciu o wyobrażenia (zwane tu, zresztą błędnie – wizualizacją).

„SZYSZKA W GŁOWIE”

Od prostej „wizualizacji” do wyobrażenia polisensorycznego droga jednak daleka.

Aby wyjaśnić działanie owego mechanizmu, pozwólmy sobie na pewien mentalny eksperyment. Wyobraźmy sobie grupę ludzi zebranych w jednym miejscu i w ujednoliconych warunkach (czas i miejsce, temperatura, poziom luminacji, a nawet odległość czasowa od ostatniego posiłku i jego rodzaju), których prosimy o dokonanie „pracy mentalnej”, polegającej na wygenerowaniu „wyobrażenia trzymanej w dłoni szyszki”. Podane polecenie uruchomienia wyobraźni nie daje jednak, jak naiwnie mogliśmy oczekiwać, jednolitych wyników – wyobrażeń zunifikowanych dla całej badanej grupy. Wytworzone przez grupę wyobrażenia szyszki – zapewne brązowej, wysuszonej, trzeszczącej, martwej, kruszącej się, kłującej, lepkiej, aromatycznej, gorzkiej – jest polisensorycznym obrazem mentalnym, którego cechy charakterystyczne dostępne są albo za pośrednictwem przekazu językowego (mówionego lub pisanego) albo też przy zastosowaniu technik projekcyjnych – ekspresji graficznej, obrazu, rysunku.

Pojedyncze „odbicia mentalne” szyszki różnią się jednak od siebie znacząco u osób biorących udział w eksperymencie – zarówno ilością uruchomionych stref percepcyjnych, jak też ich kolejnością, wreszcie intensywnością wywołanego echa. Uzyskujemy audio-foto-czucio-gramy o rozmaitym charakterze, nasileniu cech i ich wzajemnych proporcji.

Sprawa komplikuje się niepomniernie, gdy miast owej szyszki weźmiemy znane powszechnie, Mickiewiczowskie „był sad, drzewa owocne usadzone w rzędy, ocieniały szerokie pole...”, lub dowolny inny obraz – opis miejsca lub sytuacji, zwłaszcza zagęszczony nasyceniami emocjonalnie relacjami interpersonalnymi. W tym bowiem wypadku możliwość uzyskania niepowtarzalnych wzorców-reakcji polipercepcyjnych rośnie wykładniczo. Z różnych zresztą powodów. Głównym czynnikiem różnicującym będzie tu charakterystyka indywidualnych preferencji percepcyjnych typowych dla poszczególnych osób, ale także, co równie ważne, zróżnicowanie w dziedzinie doświadczenia osobistego uczestników eksperymentu. Nie możemy także wykluczyć, że dla kogoś ów „sad” stanowił kiedyś (w bliskiej czy odległej przeszłości) źródło traumatycznych wspomnień lub też euforycznych, wyidealizowanych wizji własnego dzieciństwa, a w konsekwencji uruchomi lawinę emocjonalnych wspomnień.

CZAS – KREATYWNOSĆ – „EDUKACYJNA KRZYWDA”

Trzecim wreszcie i najistotniejszym bodaj czynnikiem warunkującym generowanie „wzorów mentalnych” jest indywidualna, podlegająca zmianie, a także treningowi, zdolność i gotowość do ich tworzenia. W rezultacie w odzewie na hasło „był sad” uzyskujemy całkowicie różniące się od siebie reakcje.

Warto jednak zaznaczyć, że do tego, by układ nerwowy wygenerował wspomniany „produkt”, potrzebny jest czas. Jeśli zatem przyjmiemy standardowy – statystyczny wzorec osoby czytającej tekst literacki, musimy uwzględnić fakt, że do wytworzenia się kompleksowo jawiącego się wyobrażenia wizualno-audialno-kinestetyczno-węchowo-smakowego potrzebny jest specyficzny dla danej osoby okres czasu – od przyjęcia bodźca-informacji do uzyskania owego kompleksu-echa. Jeżeli jednak nie pozwolimy mu „wybrzmieć”, nakładając na to zbyt wcześnie nowe informacje (elementy, bodźce) także przetwarzane na kolejne obrazy mentalne, to w sposób oczywisty nie dopuszczamy do powstania śladów pamięciowych, mogących przeprowadzić owe treści z pamięci świeżej, bezpośredniej, do pamięci długotrwałej.

Jeśli zatem proces czytania miałby polegać jedynie na automatycznym wdrukowywaniu treści, nawet przy pewnym poczuciu ich zrozumienia – ale bez wspomnianego wyżej echa mentalnego – byłby on zubożony o wycięte tym samym pasmo reaktywności emocjonalnej, co z kolei zadecydować może o braku możliwości uruchomienia pełnej, prawidłowej, wielowymiarowej percepcji tekstu. Tym samym osoba „uwięziona w czasie” przymusem szybkiego czytania tekstu, zmuszona czy skłoniąca do intensyfikacji procesu i swoistej kompresji percepcyjnej, nie może wykorzystać bogactwa i różnorodności swych naturalnych potencjałów innowacyjnych, a zwłaszcza tendencji i potrzeby kreatywności. Brak miejsca i czasu na inspirację i uruchomienie specyficznego sprzężenia zwrotnego między intelektualno-emocjonalną reakcją, a nakładającym się, nowym – „właśnie przeczytanym” – materiałem. W konsekwencji może to prowadzić do zablokowania czy okaleczenia wczesnego, kształtującego się u dziecka nawyku aktywnego, kreatywnego odbioru, estetycznej wrażliwości, kosztem „ilościowo-czasowych” osiągnięć, traktowanych jako percepcyjny sukces. Mierzy się go jednak łatwo uchwytymi, prostymi metodami, przekładając subtelności ludzkiej percepcji na punkty i „noty”, które zebrane w odpowiedniej ilości pozwalają na wygranie konkursu czy czytelniczej olimpiady.

PAMIĘĆ – EMOCJE – DZIAŁANIE OD WERTERA DO POPIDOLI

Literatura piękna – wraz z jej ciągami narracji, zwolnieniami, przyspieszeniami, opisami, pełna emocji, obrazów i przypomnień, zarówno monosensorycznych, jak i o charakterze polisensorycznym – bywa źródłem fascynujących fenomenów. Bodaj najbardziej „medialne” Proustowskie magdalenki, ozywają w pamięci autobiograficznej czytelnika jako „wspomnienie zawłaszczone” – zinternalizowane jednak na tyle silnie, że wpisuje się wtórnie we własny repertuar pamięciowy czytelnika jako personal record. Zjawisko współcześnie pojawiające się jako „Efekt magdalenki” czy też „Fenomen Prousta”, wyjaśniany na gruncie psychologii poznawczej – wiąże

się z „zasadą specyficzności kodowania adresowanego” (D. Thomson), zgodnie z którą proces ten dotyczy nie tylko podstawowego materiału, ale także towarzyszących mu skojarzeń z elementami szeroko rozumianej sytuacji (okoliczności, miejsce, czas).

Podobnie problem ten widzi E.L. Rossi (1995). Przywiązuje on szczególną wagę do jakości i rodzaju bodźców towarzyszących zapamiętywaniu – realnemu, ale także wyobrażonemu, odtworzonemu bodźcowi, czyli charakterystyce całości zapisu (rekordu). Dotyczy to w równym stopniu zdarzenia przywołanego przy pomocy medialnego nośnika (kronika, newsy, film fabularny), oglądanego-wysłuchanego, ale wreszcie – „przeczytanego”, stanowiącego źródło właśnie utworzonego czy też odświeżonego śladu pamięciowego. W ten sposób modyfikować można nie tylko informacyjną sferę, ale także wywierać wpływ na postawy, zachowania, hierarchię potrzeb czy światopogląd odbiorcy.

Nie zdajemy sobie jednak zwykle w pełni sprawy z siły ich oddziaływania – zarówno w skali jednostkowej, jak i społecznej/masowej, a nawet w wymiarze globalnym. Mają one zaskakującą skuteczność i zdolność uruchamiania – naturalnych lub sztucznie inwokowanych – lawinowych zjawisk czy fenomenów społecznych, spowodowanych m.in. gotowością odbiorcy „literackiego komunikatu” do zachowań naśladowczych. Przybierają one niekiedy postać swoistych memetycznych epidemii, w których informacja – komunikat stanowi swoiste wezwanie, uruchamiające realne indywidualne czy grupowe działania.

Zadziwiający fenomen społeczny, „gorączka werteryzna”, współcześnie zwany „Efektem Wertera”, uruchomił lawinę masowych samobójstw młodzieżowych na terytorium całej Europy. Masowość i negatywny potencjał zjawiska – repertuar myśli, postaw i zachowań autodestrukcyjnych, w konsekwencji zmusiły władze do wydania zakazu upowszechniania niebezpiecznego dzieła. Siła oddziaływania dzieła – wzorca literackiego – oraz zdolność czytelnika do patologicznie silnej identyfikacji z obiektem nie wygasła jednak do dziś, specjaliści bowiem nadal odnotowują pojedyncze przypadki

klasycznego „werteryzmu”. Podobną funkcję współcześnie przypisuje się twórczości popidoli, które poprzez szerzenie wzorców i standardów zachowań uruchamiają wzorce naśladowcze – także wiodące do samozniszczenia w obliczu trudnej czy niemożliwej do rozwiązania, kryzysowej sytuacji albo jej zinternalizowanego wyobrażenia.

Zdarzenia emocjonalne, stanowiące punkt wyjścia a zarazem ich przyczynę, są przecież fragmentem realnie przeżytej lub/i wyobrażonej historii życia człowieka. Wszystko to pozwala uświadomić sobie jak istotnym czynnikiem w akcie czy ciągu percepcyjnym jest czas, a więc indywidualne tempo, uwzględniające pauzę, zawieszenie, zamarcie, jakby przyczajenie się, wyciszenie, czy nawet swoiste fugi myślowo-emocjonalne, których obecność umożliwia nasycenie aktywności umysłowo-mentalnej czynnikiem kreatywności i warunkuje jej personalizację.

MENTALNE „KARAOKE”

Osobisty, niepowtarzalny rytm, tempo, czas mentalnej reakcji – odnosi się do wszystkich form ludzkiej aktywności i nie wolno go łamać, nagiąć do zewnętrznych, zwykle nieuzasadnionych czy wręcz przypadkowych, norm, które powstają nierzadko w wyniku źle zaprojektowanych, słabych i nieuzasadnionych metodologicznie, laboratoryjnych badań, a dane statystyczne tak uzyskane niewiele mają wspólnego z rzeczywistością. Znalezienie, a w konsekwencji narzucenie komuś zewnętrznego, obcego rytmu: marszu, biegu, tańca, nieskomplikowanych ćwiczeń czy choćby tylko oddechu, spowodować może trudne do przewidzenia konsekwencje. Zwłaszcza w aktywności sterowanej, wymuszonej normą cudzych oczekiwań czy wymagań, zakładane „osiągi” muszą się liczyć z realiami, naturalnymi ograniczeniami, wydolnością organizmu (wiek, płeć, stan zdrowia, itd.). Dobranie optymalnego tempa aktywności fizycznej, intelektualnej czy mentalnej – nie tylko dla jednej osoby, ale dla całej grupy i to jeszcze „ustalonego raz na zawsze” – jest niezwykle trudnym czy wręcz karkołomnym przedsięwzięciem, tym trudniejszym, im bardziej złożony jest proces który chcemy „normalizować”.

Gdyby przywołać tu wizję – raczej dramatyczną – osoby czytającej w zadanym, równomiernym, odmierzanym tempie, na dodatek odległym od jej naturalnych preferencji – ale i sprzecznym z charakterem tekstu – uzyskalibyśmy horrendum w postaci „czytelniczego karaoko”.

Przywoływanie „polisensorów mentalnych”, wytworów naszej wyobraźni, podporządkowane tu zostało inwazyjnemu dyktatowi człowieka, ale i maszyny, komputera, nakazującego generowanie „produktów” w tempie na przykład 120 „wizji” na minutę, albo też, co gorsza, całkowite zawieszenie wyobraźni, wykluczając tym samym odczucie stanu radości, przyjemności, satysfakcji czy przepływu. Czytanie stanowi więc tu raczej mechaniczny, bezosobowy akt wczytywania informacji, co w sytuacji pominięcia pozostałych aspektów może też dać równie zubożone, żeby nie rzec – okaleczone – efekty w zakresie pamięciowego przyswojenia czytanego tekstu. Badania wskazują, że tak przyswojony materiał funkcjonuje w pamięci operacyjnej czytającego jako zorganizowany i zamknięty i zetykietowany „plik komputerowy”. Jest on ponadto trudno dostępny procesom przeszukiwania, w zasadzie nie poddaje się korektom i jest całkowicie niedostępny w innej, niż pierwotnie wczytana, formie. Informacje tak zapamiętywane nie „przechodzą” więc do innych, nawet zbyt odległych, kontekstów, w konsekwencji więc pozostają – z punktu widzenia szeroko rozumianej wiedzy jednostki – całkowicie bezużyteczne.

Często obserwujemy zjawisko zalegania w pamięci „jakiegoś zlepką sensorycznego”, który ma tendencje do spontanicznego, samoczynnego odtwarzania się, bez woli i udziału podmiotu. Zjawisko to znane jest zapewne wszystkim, choć nie zawsze i nie w każdym przypadku jest ono dostępne świadomości. W sferze wizualnej ma charakter natrętnych obrazów, relacjonowanych najczęściej przez podmiot jako: „wciąż mam przed oczami...” (pamięć „kombatancka”). W odniesieniu do sfery audialnej mogą to być banalne, uciążliwe zalegające fragmenty piosenek, reklam, hasel, które zapadły w pamięć albo ze względu na dużą częstotliwość ich powtórzeń lub/i siłę bodźca (negatywną lub pozytywną

w swej wymowie lub w relacji do wiodących preferencji podmiotu). Owo przypomnienie-echo, pojawić się może zniechcąca, bez widocznego powodu, w zupełnie przypadkowy sposób, niekontrolowany i niczym nieuzasadniony, lecz niekiedy nader irytujący. Oczywiście nie ma tu mowy o pełnym przypadku, bowiem odwołując się do koncepcji „zlepków pamięciowych” i pamięci sytuacyjnej (Rossi, 1988) nie mamy podstaw wątpić w takie właśnie funkcjonowanie mechanizmów procesów pamięciowych.

PO PIERWSZE – NIE SZKODZIĆ

Wydaje się, że w świetle współczesnych badań neurofizjologicznych szybkie czytanie – podobnie jak inne również „szybkie” psychoprocemy: pracy z pamięcią, uwagą oraz emocjami – wydaje się być procesem sztucznym: nie uwzględnia indywidualnych funkcji układu nerwowego i specyfiki percepcyjnej poszczególnych osób. Często nosi więc znamiona manipulacji, prowadzi bowiem do standaryzacji, upodobnienia i homogenizacji funkcji psychomentalnych jednostek poddanych procesowi edukacji. Niewątpliwie sprawdza się jako skuteczne narzędzie w pracy eksperymentalnej, w superintensywnych treningach (np. *superlearning*) czy rozmaitego rodzaju i „autorumamentu” „crash” kursach, np. w pracy z poborowymi w jednostkach specjalnego przeznaczenia. Nie sądzę jednak, żeby tego rodzaju eksperymentowanie na żywych organizmach zarówno jednostki jak i społecznie rozumianej klasy szkolnej lub grupy, było wskazane lub choćby tylko dopuszczalne.

Pomijając doraźne efekty treningu w zakresie „szybkiego” czytania (zapamiętywania i innych psychoedukacyjnych nowinek), którymi chwala się autorzy czy realizatorzy międzynarodowych projektów, niewiele wiemy o odroczonej w czasie skutkach tych oddziaływań oraz o ich swoistej interferencji-radiacji na inne sfery percepcyjno-pamięciowe, a nawet na – pozornie tylko odległe – poziomy funkcjonowania psychologicznego, sferę emocji.

Niezwykle łatwo w ich efekcie o banalne już nerwice czy depresje. Gorzej, gdy w wyniku owych in-

nowacji pojawią się inne, złożone i niejasne w obrazie klinicznym, być może jeszcze nieznane lub/i nierozpoznane dysfunkcje – jednostki chorobowe umykające istniejącym klasyfikacjom i kategoriom. Mamy także prawo oczekiwać negatywnych efektów w postaci zaburzeń funkcjonowania neurofizjologicznego, z wielością i niejasnością ewentualnych negatywnych skutków – począwszy od zaburzeń uwagi i koncentracji, anomalii percepcyjnych oraz rozmaitych dysfunkcji w procesie uczenia i przetwarzania informacji, do zaburzeń sprawności wykonawczych, kształtowania rozmaitych zdolności i umiejętności „z pogranicza”, włącznie z okresowym lub przewlekłym załamaniem się systemu obrony immunologicznej.

Wiadomo jednak, do czego niezbyt chętnie przystają się entuzjaści „psychotechnik”, że owe drastycznie negatywne skutki mogą się pojawić rujnując na wiele lat zdrowie psychiczne i fizyczne osób poddawanych takim rodzajom treningów, a być może uszkadzając je w sposób nieodwracalny. Tym więcej ostrożności wymaga zakwalifikowanie „superintensywnych procedur – także szybkiego czytania – do grupy pożytecznych narzędzi, technik – w gruncie rzeczy – „nieświadomego przeznaczenia”, a stosowanych do oddziaływania na tak wrażliwy na zmiany i bodźce materiał jak układ nerwowy i mózg rozwijającego się organizmu dziecka. Warto także pytanie, czy poddawać dzieci tego rodzaju oddziaływaniom – uzupełnić o kolejną wątpliwość: „kto”, „jak” i „w jakim celu” to robi...

Dorota Zarebska-Piotrowska

Literatura

- Cialdini R.B., *Wymieranie wpływu na ludzi. Teoria i praktyka*, Gdańsk 2001.
 Csikszentmihalyi M., *Przeptyw. Psychologia optymalnego doświadczenia*, Warszawa 1996.
 Pratkanis A., Aronson E., *Wiek propagandy. Używanie i nadużywanie perswazji na co dzień*, Warszawa 2003.
 Postman N., *Zabawić się na śmierć*, Warszawa 2002.
 Rossi E.I., *Hipnoterapia – psychobiologiczne mechanizmy uzdrawiania*, Warszawa 1995.
 Winn D., *Manipulowanie umysłem*, Wrocław 2003.

Świadczenie o życiu

Z Julianem Kawalcem rozmawia Krystyna Latawiec

Starość pociąga za sobą obowiązek świadczenia o życiu, ponieważ człowiek stary widzi lepiej, bardziej wyraziście... Literaturę traktuję jak powinność, boleść psychiczną, a nie kapliczkę — mówi Julian Kawalec

Krystyna Latawiec:

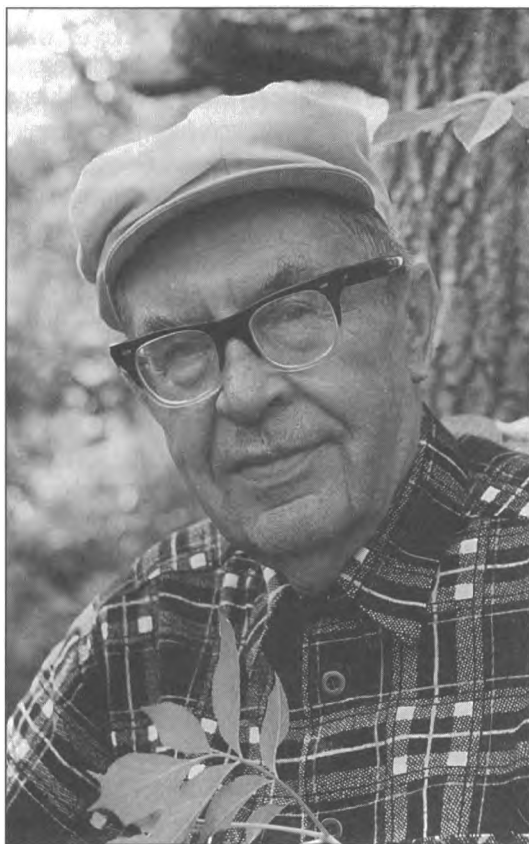
Dla bohaterów Pana prozy rok 1945 to moment przełomowy, od którego zaczęło się ich lepsze życie. Jak Pan dziś ocenia zmiany zachodzące na polskiej wsi po drugiej wojnie światowej?

Julian Kawalec:

— Potępienie wszystkiego bez wyjątku, co wydarzyło się w Polsce po II wojnie światowej za sprawą nowego ustroju, świadczy o bezmyślności albo o kalkulacji politycznej. Niewątpliwie korzystną dla wsi była reforma rolna, także upowszechnienie oświaty za sprawą kursów dla analfabetów. Książka rzeczywiście trafiła pod strzechy. Wspomnieć należy o rozwoju kultury w skali masowej — powstawały domy kultury, amatorskie zespoły artystyczne. Uznanie budzi ludzki wysiłek odbudowy kraju zniszczonego wojną.

W powieści „Ukraść brata” z 1980 roku ukazuje Pan negatywne strony zmian po 1945 — ograbienie pałacu, demoralizację chłopów niezbyt chętnych do pracy na wspólnym polu, obrastanie w pańskie pióra nowej kasty urzędniczej. Szyderczy chichot byłego dziedzica stale prześladowuje poczciwego Miękusę, który wierzył w ideały społeczne, a z czasem obserwuje ich degradację. Jakie były zatem negatywne skutki przemian ustrojowych?

— Na uzasadnioną krytykę, a nawet potępienie zasługują brutalne metody sprawowania władzy, szczególnie w okresie stalinowskim, także łamanie praworządności, ograniczanie niezależnych ocen



Julian Kawalec urodził się 11 października 1916 roku we wsi Wrzawy w powiecie tarnobrzskim, w widłach Sanu i Wisły. Dzieciństwo i wczesną młodość spędził w środowisku małorolnych chłopów, które miało decydujący wpływ na tematykę jego utworów. Przedstawia w nich dramaty ludzi wsi, szczególnie tych, którzy za pracą i chlebem wywędrowali do miast i ośrodków przemysłowych. Napisał ponad dwadzieścia powieści, zbiorów opowiadań i tomików poetyckich, tłumaczonych na dwadzieścia języków.

Pożegnanie z psem

i postaw. Jeśli chodzi o zachowania indywidualne, to odchodzenie od podstawowych zasad moralnych, od współczucia, zubożenie sfery przeżyć, sprowadzenie emocji społecznych do pustej frazeologii o likwidacji biedy i do urzędowej propagandy równości. Idee szybko zostały zastąpione przez kult martwej materii. Na fali uprzemysłowienia kraju zapomniano o ziemi, a nawet ją lekceważono.

Pana chłopci to ludzie twardzi, surowi, konsekwentni w osiągnięciu celów. Co z chłopskiego dziedzictwa obyczajowego i mentalnego przeniknęło do świadomości współczesnego Polaka?

— Zapracowany chłop cenil przede wszystkim czyn pożyteczny, dopiero po nim szły słowa. To czyn uzasadniał jakość życia, stąd niechęć do gry pozorów, do częstej gadaniny. Słowa są po to, by nazywać prawdę, a nie by używać ich instrumentalnie dla osiągnięcia własnych korzyści. Niestety dziś obserwujemy odchodzenie od tej prostej zasady, podobnie jak wyzbywamy się przeświadczenia, że od naszych osobistych wysiłków zależy najwięcej, a nie od znajomości czy układów.

Bohater Pana prozy – inteligent o chłopskim rodowodzie – pozostaje dziedzicem swoich przodków. Mimo wykształcenia i pozycji społecznej jest nadal „ziemi przypisany”. Nawet w małżeństwie widzi akt zemsty w imieniu rodu poniżanych na starzej inteligencji, z której wywodzi się jego żona. Jak Pana zdaniem ułożyły się relacje między „nową” a „starą” inteligencją?

— „Stara” inteligencja darzyła kultem przeszłość, „nowa” zwrócona była ku przyszłości. Ten, kto awansował w hierarchii społecznej, musiał się przedzierać przez bariery mentalne, które były o wiele trwalsze niż edukacyjne czy socjalne. Trzeba było pokonać zahamowania psychiczne, nauczyć się żyć w innym środowisku. Poród „nowej” inteligencji był trudny. Niejeden musiał znieść ironiczny uśmiech, gdy nie umiał jeść widelcem, gdy był inaczej ubrany, gdy przyplątało mu się wiejskie słowo.

O jakże trudno pożegnać się z psem
Przecież nie możesz mu powiedzieć –
Wróć za godzinę, za dzień, za miesiąc
Nie jesteś w stanie wymierzyć mu żalu
Gdyż on przy pożegnaniu z tobą
Wszedł w swój żal bezgraniczny
Nawet minuta bez twojej ręki
Przygniata go żalem wiecznym

O jakże cię przerasta w smutku
Mając poczucie wieczności
W każdym ułamku sekundy

Michał Toporny z powieści „Tańczący jastrząb” poleca żonie spalić wiejski ubiór, gdy wstępuje w życie miejskie. Jak wytłumaczyć fakt, że tak wielu Polaków wstydzi się swego chłopskiego rodowodu?

— Wychodzenie z malorolnej wsi, gdzie ziemia chleborodna, do miasta – ziemi ukamienowanej – wymagało wielkiego wysiłku. Zachować przy tym własną tożsamość, nie wstydzić się matki i ojca, którzy przyjeżdżali odwiedzić syna, to wymaganie często ponad siły młodego człowieka. Znam przypadek dziewczyny, która na widok ojca z furmanką powiedziała koleżance, że to służący w ich wiejskim domu. Polacy powinni szczyć się swoim chłopskim pochodzeniem, bo to mieszkaniowiec wsi tworzy to, co daje życie – chleb, za nim idzie wszystko inne. Kto tego nie widzi, jest ślepy i okrutny.

Jak patrzy Pan dziś na „szczerniałą dolinę swojego dzieciństwa i młodości”?

— Matka w ciągu dnia pracowała w polu i w obejściu, wieczorami zapalała lampę naftową i czytała książki, klasykę powieści – Orzeszkową, Prusa, Żeromskiego. Wtedy z izby dochodził głos babki: „Stacha, idź spać, nafty szkoda”. Ojciec zakochany był w grudzie ziemi, mówił, że można wszystko stracić, a ziemia zostanie jako źródło życia. Pracował w Ameryce, żeby zarobić na własny kawałek pola.

Szanował ziemię, która wtedy jeszcze rodziła, a nie „produkowała”, jak dziś. W niedzielę chodził patrzeć, jak zboże rośnie. Miał w sobie dumę człowieka, który sam kształtuje swój los.

Obok dzieciństwa ważna jest dla Pana starość. Z biegiem czasu znaczenia nabierają wątki egzystencjalne, a słabną tematy społeczne. Czy Pana myślenie o kondycji ludzkiej uległo zmianie?

— Starość pociąga za sobą obowiązek świadczenia o życiu, ponieważ człowiek stary widzi lepiej, bardziej wyraziście. Dzieciństwo i wczesna młodość otrzymują wtedy „reflektor psychiczny”, który oświetla rzeczy piękne, wydobywa z minionego czasu mocne przeżycia, sprawia, że widzimy je w całej ostrości, bez potrzeby koloryzowania i udawania czegokolwiek. Jeśli chodzi o powinności społeczne, to nie ustępują one przed egzystencjalnymi, choć te drugie, jak doświadczenie utraty, samotności, zapewne uzupełniają wiedzę o społecznych powiązaniach człowieka. Uczą, jak wytrwać w pożytecznym trudzie, jak nie dać się ograbić z uczuć.

Jak wyglądało Pana życie jako pisarza?

— Wstawałem o piątej rano i zasiadałem do pisania. W chłopskich rodzinach wcześniej budzono dzieci

W parku

Na wygodnej ławce w parku
Usiadł stary człowiek z laską w ręce
Za chwilę obok niego
Usiadł młodzieniec w obcisłych spodniach
Spojrzeli na siebie
I uśmiechnęli się życzliwie
A potem zadumali
Może ten stary ujrzał siebie młodzieńcem
A młodzieniec siebie starcem...
Jeśli tak, to powstały dwie prawdy
Ta z wierzchu dostępna dla oka
Że siedzi ich dwóch
I ta z głębi, dla oka niedostępna
Że siedzi ich czterech

Ja i ty

My, to jestem ja i ty
I nie ma na to sposobu
Abym mógł tak być z tobą
Jak z samym sobą

Jak się wzajemnie przeniknąć
Jak objąć i uścisnąć
Jakiej potrzeba miłości
Żeby nie było samotności

Czy w ogień wejść razem ogromny
I spalić się pospół
Czy rzucić się w ocean
Trzymając się za ręce
Czy upaść twarzami na słońce
Czy w nocy się wielkiej zanurzyć
I iść tak po niej bez końca

Szukam szukam sposobu
Żebym mógł tak być z tobą
Jak z samym sobą

do zbierania kłosów, stąd ten zwyczaj wczesnego wstawania. Pracując codziennie po dwie, trzy godziny, po roku, dwu, miałem powieść. Jednak gdy czytałem to po pewnym czasie, wydawało mi się nie-dobre, więc dużo skreślałem i pisałem od nowa. Szczyt pozostawał nieosiągalny, zawsze można przecież zrobić to lepiej. Ten zawód uczy skromności. Uwrażliwia też na losy ludzkie, bo to z nich pisarz czerpie inspirację, rozwijając ją później według własnego zamysłu, wzbogacając o wywiedzione z wyobraźni obrazy.

Gdyby mógł Pan coś zmienić w swojej biografii, to skorzystałby Pan z tej szansy?

— Chciałbym się więcej nauczyć, mniej stracić czasu. Pozostałbym jednak przy literaturze, choć mam świadomość tkwiących w niej pułapek. Literaturę traktuję jak powinność, boleść psychiczną, a nie kapliczkę. Piękno nie może być puchem, nie może unosić w „dziedzinę uludy”, musi być obciążone

trudem życia, mierzyć się z ludzkimi lękami, zwłaszcza z tym przed śmiercią.

Dużo Pan podróżował, zetknął się z różnymi ludźmi i kulturami. Czy miało to znaczenie dla Pana jako pisarza?

– Podróże to muzea, wystawy sztuki, nowe krajobrazy. Dla zrozumienia kondycji ludzkiej nie ma jednak większego pożytku z podróży. Trzeba się uczyć samej, poznawać przez docieranie do istoty naszego losu.

W utworach z lat sześćdziesiątych jest Pan dość surowy w ocenie swoich bohaterów. Czy dziś również krytycznie patrzy Pan na etyczną stronę awansu społecznego?

– Popieram młodych, zdolnych ludzi, którzy dzięki własnej pracy dochodzą do czegoś, osiągają swoje cele zawodowe i znaczenie społeczne. Natomiast karierowiczów strojących się w cudze piórka, uprawiających grę pozorów, pozbawionych szczerości w kontaktach z ludźmi, oceniam krytycznie. To oni sprawiają, że kryteria uczciwości i hipokryzji ulegają rozmyciu w potoku pustej gadaniny.

Dbął Pan zawsze o stronę artystyczną swojej prozy. Korzystał Pan z monologów, stylizował język, choć nie na gwarę. Retoryka uroczystej mowy, napomnienia, kazania brała górę nad naturalnym tokiem narracji. Skąd czerpał Pan tego rodzaju inspiracje?

– Jednym źródłem była Biblia z jej obrazami ludzkiego losu i opartym na rytmie wersetu podniosłym stylem, z moralistyką jej przypowieści i uniwersalnym przesłaniem egzystencjalnym. Drugim były opowieści wiejskie – z chłopską zwolnioną, pełną powtórzeń, nawrotów myślowych i stylistycznych; wręcz ich natręctwo w ukazywaniu jakiejś rzeczy z różnych stron, jakby się chciało ją przeświecić, wypowiedzieć w słowach całą jej złożoność.

Czy mógłby Pan powiedzieć coś o swoim najnowszym utworze?

– Jest to refleksja poetycka o nienawiści doskonałej, bo wiekustej, zatytułowana *Niech cię pochłonie życie...* Nienawiść zaczyna się od niewinnych

powiedzeń w rodzaju „kopać pod kimś dołki”, przechodzi w przekleństwa wyrażane szeptem, gestami, mimiką, jak choćby pomarszczone czoło. Po śmierci kłóć się nawet dwa prochy umarłych – jeden chęłpi się, że na nim rośnie lilia, drugi przekonuje, że jego mlecz to odpryski słońca. W końcu jedno Nic nienawidzi drugie Nic i rzuca przekleństwo – „żeby cię pochłonęło życie”. I tak nienawiść zatoczyła krąg, od życia przez śmierć, z powrotem w życie.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Krystyna Łatawiec
maj 2004

Powrót z Ameryki

Stara, bardzo stara, sama
Zupełnie sama
Mówią o niej – taka jakaś
Jedyny syn za granicą
Właśnie umarł
Jakaś żyłka pękła i koniec
Spalili go w krematorium
Tak chciała
Miała swój plan
Prochy wyspali do amfory z pleksiglasu
I przysłali specjalną pocztą

Witaj synu w domowych progach –
Rzekła do białego naczynia
Gdy je wyjęła z opakowania
Nie bój się, nie pójdziesz na żaden cmentarz
Nie oddam cię za żadne skarby
Zamieszkamy razem
Przez tyle lat byliśmy rozłączeni
I wreszcie z sobą
Dobrze nam będzie – jak myślisz...

Wiesz co Wacuś – rzekła znów do amfory –
Postawię cię na parapecie okna
Będziesz miał widok i na świat i na mieszkanie
A teraz wytrę cię białą ściereczką
I zaśpiewam coś z dawnych lat



Marek Karwala

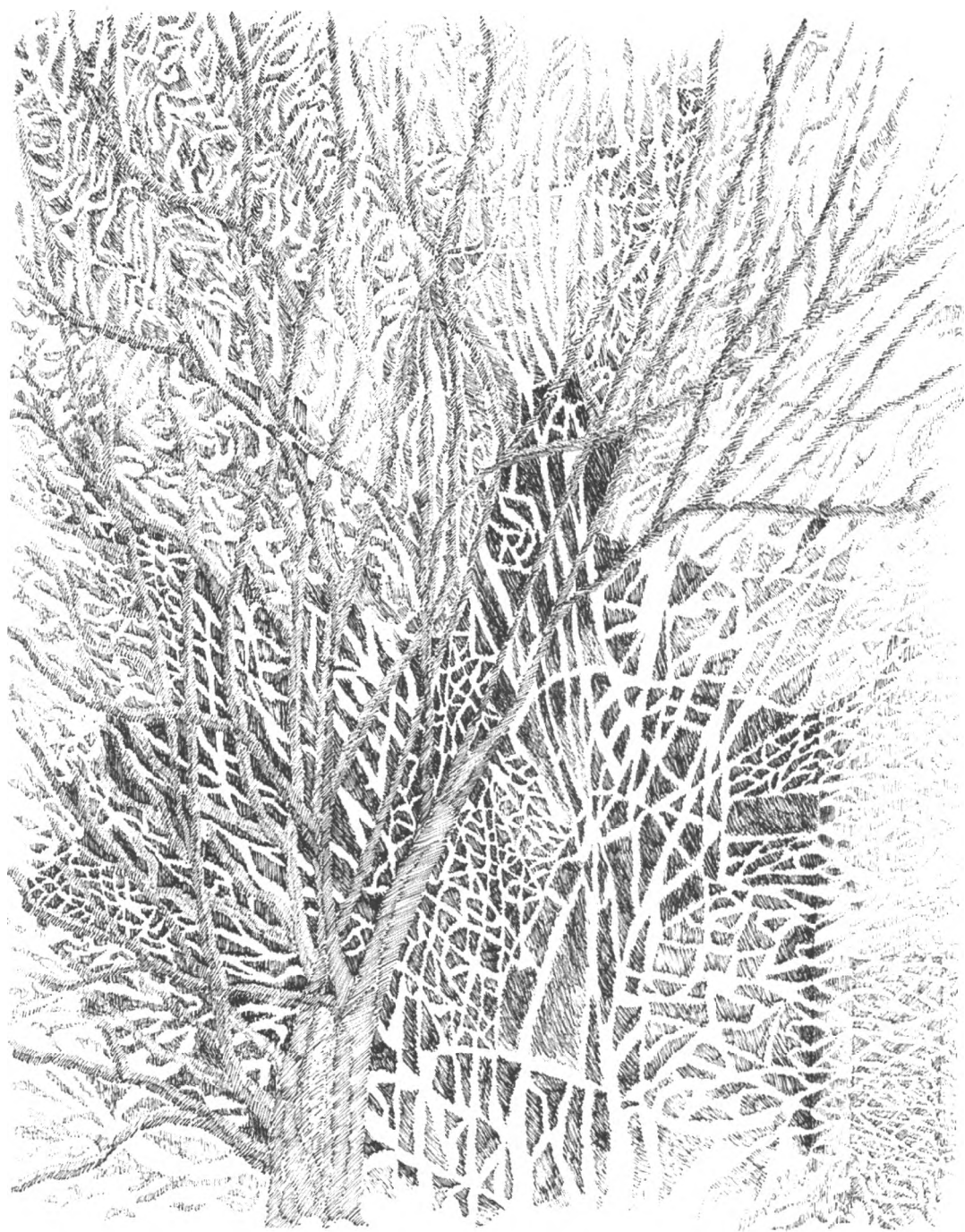
Galeria
konspektu

Małgorzata Wyka — zobaczyć niezwykłość w zwykłości

Małgorzata Wyka urodziła się w Krzeszowicach. Studiowała w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych na Wydziale Malarstwa i Grafiki. Dyplom uzyskała w Pracowni Miedziorytu (pod kierunkiem prof. Mieczysława Wejmana, 1965) i w Pracowni Grafiki Książki (promotorem był prof. Witold Chomicz).

Jest zatrudniona na stanowisku adiunkta w Instytucie Sztuki AP, gdzie prowadzi zajęcia z zakresu projektowania graficznego oraz rysunku. Uprawia działalność artystyczną w takich dziedzinach jak grafika, malarstwo, rysunek i fotografia. Posiada w dorobku około dziesięciu wystaw indywidualnych; uczestniczyła w kilkudziesięciu ekspozycjach zbiorowych w kraju (m.in. w Krakowie, Warszawie, Zakopanem, Lubaczowie, Gliwicach, Częstochowie) i poza granicami (we Francji, Niemczech oraz w Holandii). Za swoją twórczość otrzymała kilka prestiżowych nagród i wyróżnień.





Z cyklu: Pochylenie światła 1999 r.

Zaloty — mł. Helena Roj
 Muzeum Historyi i Sztuki Łodzi
 Fot. kol. — Łódź Bilinski

B
 K
 A
 W
 I
 A



87

Wm
 Joltingo
 Wykawa
 1. M. Siarkopol

38-6 brak nadawcy
 pok. 223

Wszystkie prawa zastrzeżone

Krośnice
 Młodziejów
 Płanice
 Młodziejów
 Rybno

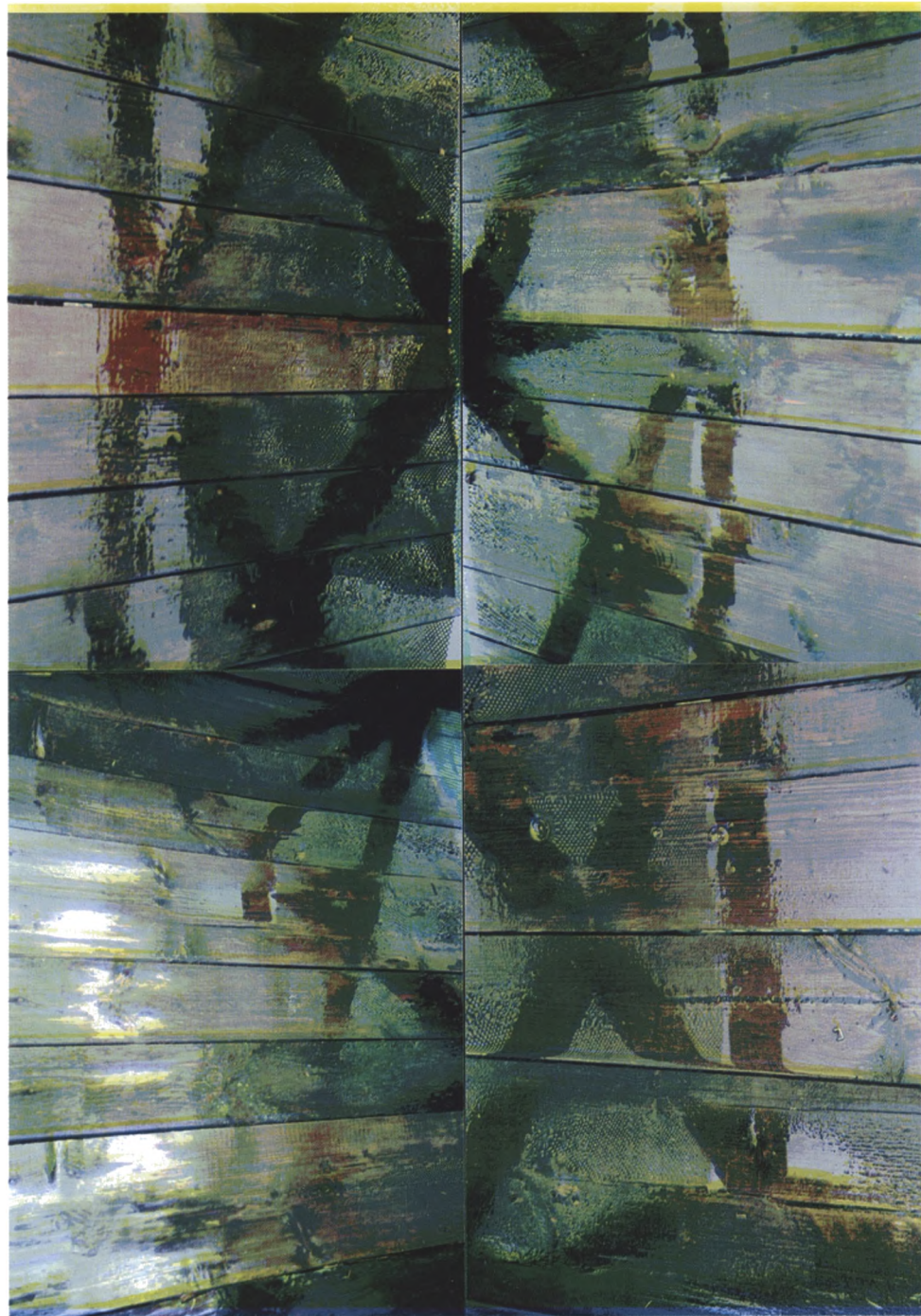
POZDROWIENIA Z WAKACJI

OD

10 07 087



fot. A. Wierzb. i. Schult



Z cyklu: Rojenia 1999

Fotografia, 40×50 cm

W połowie lat 60., kiedy Małgorzata Wyka kończyła studia, grafika była jeszcze formalnie zespolona z malarstwem poprzez wspólnotę Wydziału. Owa dwutorowość ujawniła się w jej pierwszych pracach. Co prawda, zawsze widziała siebie bliżej grafiki i jej pochodnych, ale cztery lata spędzone w Pracowni Malarstwa – prowadzonej przez wybitnego kolorystę Czesława Rzepińskiego – nie mogły pozostać bez echa. Młoda absolwentka Akademii często wówczas malowała, brała udział w wystawach związkowych, ale z biegiem czasu sięgała po pędzel i płótno coraz rzadziej, a dzisiaj czyni to jedynie sporadycznie.

Chociaż dyplom zrealizowała w technikach wklęsłodrukowych (akwaforta, akwatinta) i były jej one bliskie, to przecież także i z nimi rozstała się po kilku latach, a zdecydowały o tym przyczyny zgoła prozaiczne – trudność dostępu do pracowni graficznej i zarazem niemożność uruchomienia jej w prywatnym mieszkaniu ze względu na szkodliwe działanie kwasów w procesie trawienia metalu...

Coraz chętniej sięgała zatem po drzeworyt i linoryt, w których to technikach realizowała głównie pejzaże. Stopniowo zbliżała się także do rysunku. Szczególnie zafascynował ją rysunek piórkiem na odpowiedniej jakości papierze. Z dużą troską stara się dobierać narzędzia, aby były adekwatne do podjętego tematu. Z tej przyczyny testowała różnorakie nowinki techniczne, tzw. peny, potem cienkopisy, ale – jak twierdzi – najbardziej przydatne w jej warsztacie okazały się... tradycyjne, nieco już używane piórko oraz chiński tusz w kałamarzu. Wczesne rysunki utrzymywały pejzaże miejskie (widoki z okna, symbole okien), później artystka wyszła poza obszar miasta i uczyniła tematem perspektywę gorczańską, widzianą np. z balkonu domu w Porębie Wielkiej, dokąd chętnie wyjeżdża. Są to prace, które trudno byłoby nazwać realistycznymi, jakkolwiek właśnie realizm jest dla nich punktem odniesienia. Małgorzata Wyka stara się zagęszczać obraz tak dalece, aby w konsekwencji uzyskać asocjacje płam, spod których wyłaniają się realne kształty. Zastosowany gęszcz kresek zbliża finalny efekt równocześnie ku abstrakcji. Ulubione formaty artystki to A3, A4 i A5, zatem raczej niezbyt duże, wy-

magające jednak sporej precyzji w trakcie realizacji i troski o najmniejszy nawet szczegół. Zainteresowanie małym formatem zaowocowało udziałem w przeglądach i konkursach tego rodzaju, a także – jak można sądzić – wykonaniem bogatego zestawu ekslibrisów (osób prywatnych i instytucji państwowych).

*

Rysunkowi jest artystka wierna do chwili obecnej, ale przed kilkoma laty odkryła dla siebie także fotografię i fakt ten stał się dla jej sztuki niezwykle cenny. To, czego zwykle na co dzień nie jesteśmy w stanie dostrzec, dla niej staje się inspirujące. Wykonywane przez nią ujęcia stanowią doskonałą szkołę patrzenia. Bliska perspektywa, nieodległy punkt widzenia sprawiają, że np. rozłożenie sęków na zwykłej desce koncentruje na sobie uwagę, zdaje się powoływać do istnienia układy nieomal meliczne. Światło może współgrać z cieniem drzew i krzewów na powierzchni trawy; fragmenty murów czy chodnika wydobywają z pamięci patrzącego, a zarazem kreują w jego wyobraźni abstrakcyjne obrazy; analogicznie oddziałuje na widza rozlana w kałuży plama benzyny lub dywany jesiennych liści na łące w parku. Małgorzata Wyka uczy, jak zatrzymać się przy obiekcie, zwykłej rzeczy, z pozoru nieistotnym przedmiocie, które wykadrowane – zaczynają funkcjonować wedle własnych, autonomicznych praw.

*

Równie niedawno jak fotografię, artystka wprowadziła do swojego warsztatu komputer i z tym narzędziem wiąże spore nadzieje. Jednym z jej ulubionych działań są tzw. montaże pocztówkowe. Zachowując treść życzeń, można równocześnie umieszczać na przykład w miejscu, gdzie zwykle nakleja się znaczek pocztowy... rodzinne zdjęcie. Inne fotografie – jak chociażby samej autorki z czasów dzieciństwa lub jej ojca – przeplatają się z pozdrowieniami, jakie od niego onegdaj otrzymała. Właśnie rodzinne wspomnienia, nostalgiczny klimat minionych lat dominują w tych pracach. Warto przypomnieć, że ojcem artystki był znakomity historyk literatury – Kazimierz Wyka. Atmosfera domu, wizyty malarzy (m.in. Jerzego Bandury czy Andrzeja Stopki), rozmowy o sztuce, ostatecznie zdecydowały o dokonaniach.

nym przez nią wyborze kierunku studiów. Małgorzata Wyka wspomina: „W szkole średniej interesowałam się biologią i związanym z nią kręgiem tematycznym, ale nie były to zainteresowania w pełni skonkretyzowane. Mądre i życzliwe rady ojca, który zachęcał mnie, abym studiowała nie to, co aktualnie było warto, lecz to, co naprawdę lubiłam, a także wpływ odwiedzających nasz dom artystów – przyjaciół naszych rodziców – pozwoliły mi podjąć ostateczną decyzję. (...) Od Jurka Bandury dostałam profesjonalną kasętę malarską, z paletą, naczynkiem na olej... Z góry było wiadomo, że Marta [prof. Marta Wyka – przyp. M.K.] pójdzie drogą ojca, problem był tylko z tym, co ta druga wymyśli (...)”.

*

Istotnym działem dorobku Małgorzaty Wyki jest grafika książkowa. Zaprojektowała w sumie kilkadziesiąt okładek, m.in. dla edycji dzieł ojca w Wydawnictwie Literackim, ale też dla innych oficyn. Jej okładki nawiązują charakterem i tematyką do prac malarskich, rysunkowych i bodaj najpełniej fotograficznych. Warto również przypomnieć, że szata graficzna kilku poprzednich numerów kwartalnika AP „Konspekt” oraz trzeciego zeszytu *Galerii „Konspektu”* została przez nią zaprojektowana.

Marek Karwala



Mowa obrazów

W latach 60. XVII w. francuscy akademicy ustalili hierarchię tematów, wśród których najbardziej cenione było malarstwo historyczne, w dalszej kolejności motywy pejzażowe i rodzajowe. Ponieważ cele malarstwa widziano w ukazywaniu opowieści — historii, do grona przedstawień historycznych zaliczano sceny mitologiczne i religijne (M. Poprzeczka, „Akademizm”, Warszawa 1977, s.55). W dalszej kolejności portret zbiorowy był bardziej ceniony niż indywidualny, a martwa natura — najniżej lokowana — mogła być co najwyżej sztafajem przedstawień. Taka hierarchia utrzymywała się do impresjonistycznego przelotu

Obrazy były określonymi komunikatami, niezależnie od tego, jakie drogi do nich prowadziły. Sztuka nie mogła być tylko rzemiosłem, choć stanowiło kunszt. Nie mogła być też wyłącznie zabawą, choć elementy ludyczne były tam (i są nadal) obecne. Nie mogła być grą — forma obrazów była wyrazem głębszych intencji i refleksji artystów.

Przemiany artystyczne XX w. skupiły się na formie. Zasada: „nie co, ale jak” odnowiła malarstwo. Hierarchia tematów runęła. Mniej cenione motywy: martwa natura i pejzaż stały się wiodącymi obszarami malarskich poszukiwań o charakterze strukturalnym, prowadzącymi ku rewolucyjnym eksperymentom. Odważny kolor, uwolniona od perspektywy zbieżnej przestrzeń, tworzywa i gotowe produkty włączane w obszar obrazów, formalne eksperymenty, ślady ekspresji artysty, stawały się nową treścią obrazów. Zamiast mityczno-religijnych opowieści czy prób odwzorowań rzeczywistości, dotarli-

śmy do momentu, w którym sama struktura i malarska materia stawały się treścią, przekazem indywidualnej wrażliwości.

Gdy wracamy do źródeł europejskiej abstrakcji, do wypowiedzi i realizacji

Wasila Kandinsky'ego, Kazimierza Malewicza, Pieta Mondriana, widzimy, jak wiele znaczeń ma ich wydestylowana, oczyszczona z imitacji sztuka. Emocjonalność, uczuciowość, mistyka i uniwersalizacja zawarte w wyabstrahowanej, bezkształtnej lub geo-



Stanisław Sobolewski, Seria Mity, Ogród Mnemosyne

metrycznej formie, prowadzi twórców do zapisów umownych, symbolicznych, piktogramowych. Zatem wątpliwości mogą budzić obowiązujące obecnie przekonania o dominacji formy nad treścią i wynikających z tego kryteriach wartościowania sztuki.

Powstaje paradoksalna sytuacja. Sztuka lapidarnych zapisów, umownych gier wizualnych staje się obszarem fascynującym pod względem treści, natomiast mimetyczna sztuka zdaje się być za dosłowna. Posługiwanie się konkretem rzeczywistości, narracją, podobieństwem wyglądu i wydarzeń przywołane jest bardziej w filmie, teatrze i fotografii, niż w obszarze sztuk pięknych. Treści literackie obrazów, opowieści tematyczne, są przez krytykę zdecydowanie mniej akceptowane. Poważnymi i „świadomymi” artystami zdają się być admiratorzy geometrii i ekspresji gestu, działań interdyscyplinarnych, zderzeń i kontekstów. Artyści lakonicznych zapisów i umownych znaków, obiektów.

Wyjątki od tej aktualnej reguły jakby ją potwierdzały. Znani w Polsce artyści: Zdzisław Beksiński, Jerzy Duda-Gracz, Edward Dwurnik, Stasys Eidrigievičius, posługujący się wyrazistymi przedmiotowo-figuralnymi i opisowymi konwencjami, przez krytykę i galerników zostali ułokowani na liście stanowczo przecenionych artystów (ostatni ranking przygotowany przez redakcję Art&Buisiness, Warszawa, nr 1-2, 2004). Ich artystyczna pozycja w ujęciu oceniających zdaje się bardziej wynikać z komercyjności naszego kulawego rynku sztuki lub lokalnych układow, niż z cenionych teraz postaw artystycznych.

Wymownym wyjątkiem jest też znacząca pozycja w tym rankingu członków nieistniejącej już grupy „Ładnie” (m.in. Rafał Bujnowski, Marcin Maciejowski, Wilhelm Sasnal) w kategorii młodych twórców. Obrazy tych artystów to operujące ironiczną popartowską konwencją „przeszczepy” na teren sztuki w postaci trawestacji oraz cytatów prasowo-reklamowych i komiksowych – potocznie lokowanych niżej niż ambitne, spekulatywne, „czyste” działania sztuki wysokiej.

W momencie, gdy z dystansem traktuje się literackość obrazów, sztuka nowych mediów i formalnych eksperymentów otoczona jest swoistą literaturą wyjaśniającą. Paradoksem jest aktualna moda na wartościowanie malarstwa wg klucza: dobre malarstwo to malarstwo bez narracji i opisowych treści. Pozytywnym wzorcem zdaje się być malarstwo myślowego skrótu, dopełnione rozbudowanym, teoretycznym kodem, wsparte wzorcową dla artystycznej formacji literaturą przedmiotu. Najpierw ważny jest teoretyczny kontekst obrazów, a dopiero potem sprawy percepcji wzrokowej, jakości oraz pojemności formy i jej rzeczywistych sensów.

Dywagacje o czystości formy są w istocie jałowe. Każda przemyślana, intrygująca forma, każdy odpowiedzialny gest malarski coś znaczy. Treści znaczeniowych doszukujemy się na równi w geometrii i figuracji. Esencjonalność przekazu geometrycznych struktur, dalece uproszczonych, uwolniona jest od sentymentalizmu, ilustracyjności, dosłowności, prowadzących do banału. Wtedy prostota kształtów, krystaliczność malarskich przestrzeni kompozycji prowadzić może oko w obszary niedopowiedziane, podatne na bogactwo interpretacji, wykorzystujące wyobraźnię odbiorcy. Natomiast przedstawienia narracyjne zawsze obciążone są konkretnymi umiejętnościami odwzorowań rzeczywistości, złożonością ukazania postaci i przedmiotów. Intrygująca kompozycja, prosta zasada rytmów, ogólna barwna harmonia obrazu mogą nie przeszkadzać w jego pozytywnym odbiorze. Natomiast nieudolności w kształtowaniu proporcji postaci, czy w figuralno-przedmiotowych transformacjach, wady modulowania bryły, stosowania koloru, światła, kontrastów, pla-



Stanisław Sobolewski, Seria Mity, Źródło Aretuzy

ol. pl. 150x150

nów przestrzennych są podstawą dyskredytacji obrazów. Nieudolność w kształtowaniu tzw. zjawisk przedstawiających utrudnia obrazom drogę ku najwyższym wartościom artystycznym. Natomiast nieudolna geometria, tzw. „szczerza ekspresja” nie zamyka drogi do teoretycznej apologii.

*

„Mowa obrazów” wynika także z konkretnych literackich inspiracji. Literatura teorii sztuki, krytyki artystycznej, związki malarstwa z literaturą piękną, poezją – to głębsze podłoże twórczości. Choć osobiste przeżycia, przemiany w sztuce oraz rzeczywistość wokół są ogromnym polem inspiracji, to jednak artyści sięgali i sięgają po szczególne piśmiennicze źródła kultury, po wielkie księgi wierzeń i mądrości. Stary i Nowy Testament stanowił tematyczne podłoże całej tradycji średniowiecznego i nowożytnego malarstwa. Także współcześnie napotykamy częste do niego odniesienia (Stefan Gierowski, Stanisław Rodziński). Inspirowała *Boska Komedia* Dantego (Salvador Dali, Jerzy Panek) i *Raj utracony* Johna Milтона (William Blake, Z. Bajek), *Don Kichot* Cervantesa (Gustave Doré, Henri Daumier), mity greckie i ich współczesne trawestacje (Stanisław Sobolewski, Jerzy Waltoś), rodzima romantyczna literatura (Artur Grottger, Jacek Malczewski, malarstwo lat 80. ubiegłego wieku).

Spójrzmy bliżej na cztery wybrane przykłady malarstwa z lat ostatnich. Stefan Gierowski stawia nas wobec zasadniczych pytań dotyczących malarstwa, początku ikonicznych skojarzeń, kiedy prosto ta znaku i malarskiego gestu, energia koloru, wewnętrzna konstrukcja obrazu pozwalają nam przeżywać sprawy trudne do werbalnego uchwycenia. Forma dotyka tu istotnych kategorii: pojęcia prawdy i fałszu, dobra i zła, piękna i brzydoty. W podstawowych ujęciach porządku obrazu, artysta w umowny, symboliczny sposób roztrząsa kwestię podstawowych ludzkich przykazań, prawideł, praw. Choć w niektórych wypowiedziach dystansuje się od nadmiaru metafizycznych czy sakralnych podtekstów kierowanych pod adresem jego malarstwa, w cyklu obrazów *Malowanie Dziesięciorga Przykazań* (1986–87) dowiódł, że najbardziej umowna forma sięgać może prawd fundamentalnych. W serii tej



Stanisław Sobolewski, Seria Mity, Labirynt

przemierzamy drogę pomiędzy światłem i mrokiem, duchem i pramaterią. Choć dzieła artysty wpisują się w nurt abstrakcji geometrycznej, nie są oderwaniem od rzeczywistości i przykładem autonomicznej malarskiej realności. Konstruowane geometrią – wyważonym porządkiem układów kompozycji, wyrafinowaną, często dysharmoniczną kolorystyką, wyzwalają w nas całą skalę emocji, podtekstów, treści nadających im ostateczny sens. Artysta przyzwala na takie skojarzenia, traktując obrazy jak tajemnice, „zagadki”, wychodzące z jego pracowni i napelniające się indywidualną treścią widza. Malarska tkanka: gęste bruzdy farby, ślady pędzla i szpachli mogą wiele mówić, kiedy pigment i masa farby zamieniają się w światło. Odbijają je lub pochłaniają, gdy silne kontrasty kolorystyczne współgrają z monochromatycznymi zestawieniami. Te i wspomagające je walory, laserunki, podmalówki tworzą wiele sposobów określania iluzji obrazów, służących nie tylko „uciesze oka”, ale i sprawom „zasadniczym”. Ta zasadniczość spraw ostatecznych obecna jest od wielu lat w obrazach Stanisława Rodzińskiego. Jego *Ukrzyżowania*, *Piety*, ekspresywne pejzaże z uproszczoną formą domów, a także martwe natury, ukazujące jakby wewnętrzne życie „przedmiotu ubogiego”, oddają ślad dramatyzmu sytuacji egzystencjalnej. Rodziński potwierdza, że malarstwo poza poszukiwaniami formalnymi może być nośnikiem przekazów uczuciowych, emocjonalnych, treści dotyczących życia i religii. W tej ostatniej sferze – tak ważnej

dla artysty — doświadczenie sacrum odbywa się właśnie poprzez formę niosącą treść. Formę zdecydowaną, syntetyczną, klarowną.

Gdy porównujemy „mowę” struktury malarskiej Gierowskiego i Rodzińskiego zauważamy istnienie w obrazach „realności uświęconej”, która jest ponad figuracją i przedmiotowością. Tylko płamy koloru, określone kształty form abstrakcyjnych bądź przedstawiających wyłącznie światło i scalający je wewnętrzny porządek — to daje nam poczucie obcowania ze sprawami niewidzialnymi i niewyraźnymi.

Wpływy mitów greckich odnajdujemy w ostatnich obrazach Stanisława Sobolewskiego, malowanych od 1995 r. Rzeczywistość zdegradowana, świat zaśmieconych parków, przestrzeni „osaczonych” zardzewiałym żelastwem: odpadami, starymi ramami i sprężynami łóżek, unieruchomionymi częściami maszyn i przyrządów, wprowadzają nas w świat, gdzie ledwie jeszcze tli się nadzieja. Gdyby nie rozświetlenie błękitnego nieba, promienie słońca, wyostrające kształty natury, iskrzenie zieleni traw i drzew, przebywalibyśmy wyłącznie w krainie cieni i bezgranicznego ludzkiego cierpienia. Jednak odniesienia do mitów pozwalają Sobolewskiemu w tych, zdawałoby się, ponurych przedstawieniach odkrywać metaforę ludzkiego losu, gdzie tragizm i piętno przeznaczenia idzie w parze z pięknem stworzenia natury — jeszcze ostatecznie nie zdegradowanej. W obrazach tych, gdzie prawie nie występuje postać człowieka, spotykamy się z kulturowymi kliszami, wpisanymi w naszą popeerelewską rzeczywistość. *Diogenes* jest żebrakiem, walczącym o przetrwanie, *Argos* stoi na straży jakiegoś skansenu bezużytecznej, zdezelowanej kosiarki, *Demeter II* ukazuje rozkopany i niechłujnie pozostawiony dół lub niebezpieczne zapadlisko ziemi, *Narcyz* — kwiat niespodziewanie wyrastający w zaśmieconym zakątku parku, pięknowłosa *Kalipso* jest ledwie odbiciem w śródziemnomorskiej przestrzeni, której estetyka zbliżona jest do folderów biur podróży. Snując obrazami swe opowieści, Sobolewski wprowadza nas w codzienność, także obciążoną postromantycznym doświadczeniem. Dosadność, przerysowania, werystyczny warsztat, nie pozwalają nam na ucieczkę. Raz dotknięci przekazem tych obrazów pozostajemy skażeni. Cię-

żarem losu, indywidualnie określoną determinantą naszych poczynań, jakimś zawieszeniem w świecie obcym i okrutnym. Ale jesteśmy zarazem skazani na ludzki aspekt naszego bytowania. Zawsze bowiem w malarstwie Sobolewskiego człowiek jest podstawowym odniesieniem rozważań dotyczących jego kondycji, przeznaczenia, uwikłania w sprawy czasu.

Etyczny wymiar dokonywanych wyborów, a zarazem ich deterministyczne i fatalistyczne obciążenie jest ważnym przesłaniem obrazów Jacka Waltośia. W przeciwieństwie do Sobolewskiego, Waltoś konstruuje rzeczywistość swych obrazów w oparciu o figurę ludzką. Człowiek jest rozdarty, od środka „pęknięty”, zawsze na rozdrożu, zawieszony w nieokreślonych przestrzeniach — czasem we wnętrzu pracowni lub pokoju. W blasku ostrego światła dotyka tajemnicy, doświadcza jakiegoś wyznania, przyrzeczenia osób towarzyszących. W obrazach Waltośia pojedyncze, czasem dwie, trzy, cztery postaci znajdują się w sytuacjach granicznych, transgresyjnych. Artysta wykorzystuje starotestamentowe, religijne motywy (*Samuel i głos*, 1985, *Pieta w trójnasób i czwarty* 1979–80, *Płaszcz miłosiernego Samarytanina*, lata 80.) oraz wątki mitologiczne (cykle: *Fedra wg Racina*, lata 70., *Centaury* 1993–2003), by poprzez literackie i kulturowe konteksty nadać im współczesny, uniwersalny wymiar. Poprzez symbole dostrzegamy tajemnice zbliżenia pomiędzy ludźmi (*Pieta w trójnasób*), dramat samotności (*W przytulku*, *Przed szpitalem*, 2000, *Wolanie*, 1997–98), zdrady i fałszu (*Fedra*), widzimy malarzski spektakl zmagania się podwójnej natury człowieka: pomiędzy światłem i mrokiem, duchową naturą i jej zwierzęcymi instynktami (*Centaury*).

Wszystko tu tętni, wibruje, niespokojnie się przemieszcza. Kolor uwodzi, ale i symbolizuje. Kształty sprowadzone zostają do znaku, czasem do ledwie rysunkowo zaznaczonego przedstawienia, innym razem bryła traci swą trójwymiarowość na rzecz smug światła, samoistnej materii, faktury. Kiedy indziej dzieła wymykają się ustalonej płaszczyźnie. Stają się rzeźbą, przestrzenną aranżacją. Narracja przedstawień ustępuje, literackie odniesienia nie są już najważniejsze. Pozostaje forma, niesiona literaturą i nadaną treścią.

Romuald Oramus

Marek Karwala

Nadrealne wędrówki Stanisława Tabisza

Stanisław Tabisz (ur. 1956) studiował w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych (1977–82) malarstwo w pracowniach prof. Tadeusza Brzozowskiego i prof. Juliusza Joniaka oraz rysunek w pracowni prof. Zbysłuta Grzywacza. Obecnie, jako profesor ASP w Krakowie, prowadzi Pracownię Malarstwa przy Wydziale Grafiki, a zarazem pełni funkcję dziekana tegoż Wydziału. Jest aktywny także poza środowiskiem akademickim, jako że w latach 1995–1999 był członkiem Zarządu Głównego Związku Polskich Artystów Plastyków (sekretarzem), a obecnie piastuje funkcję prezesa Okręgu Krakowskiego ZPAP. Warto przypomnieć, że to z jego inicjatywy dorobek artystów Instytutu Sztuki Akademii Pedagogicznej — omawiany na łamach kwartalnika „Konspekt” — jest później prezentowany w galerii związkowej „Pryzmat” przy ul. Łobzowskiej.

Stanisław Tabisz uprawia malarstwo, rysunek, projektowanie graficzne i scenografię. Publikuje recenzje, artykuły i eseje o sztuce w prasie codziennej oraz czasopismach specjalistycznych. Jest autorem

kilkudziesięciu wystaw indywidualnych w kraju, jak również poza granicami; uczestniczył w kilkuset ekspozycjach zbiorowych. Za swoją twórczość otrzymał kilka prestiżowych nagród, a jego prace znajdują się w zbiorach muzealnych a także w kolekcjach prywatnych: Polski, Niemiec, Szwajcarii, Austrii, Szwecji, Francji, Hiszpanii oraz USA.

W latach 1983–88 występował jako pieśniarz w kabarecie „Piwnica pod Baranami”, para się także poezją — wiele spośród jego wierszy to ekfrazy. Zrealizował scenografię do koncertów Zbigniewa Preisnera, m.in. „Moje kolędy na koniec wieku” (Stary Teatr w Krakowie — 1999 r., Teatr Narodowy w Warszawie — 2001 r.)



Twórczość jednych artystów zwykło się określać mianem stabilistycznej, bowiem koncentrują się oni na wybranym motywie lub temacie i przez wiele lat poddają go filiacjom w wymiarze wyłącznie immanentnym. Inni zaś drążą wiele obszarów, są nieustannie dynamiczni, pragną nie uronić niczego spośród bogactwa, jakie podpowiada im nieuznająca stagnacji kreatywna natura, którą zostali obdarzeni. Ich dorobek nazywany jest transmutacyjnym.

Stanisław Tabisz należy bez wątpienia do tej drugiej grupy twórców. Co więcej, jako jeden z niewielu potrafi – przy zachowaniu pełnej autonomiczności swych działań ikonicznych nasycać je pierwiastkami melicznej harmonii, osiąganą zarówno w planie kompozycji, jak i poprzez graficzny „gest”, wpływający niejednokrotnie na kontrapunktowe falowanie „klimatów”. W jego pracach widoczna jest także niezwykła troska o słowo, ujawniająca się nie tylko w starannie dobieranych tytułach, ale też w sięganiu po „poetyckie” środki ekspresji: groteskę, metaforę, aluzję...

*

Plótna i gwasze Stanisława Tabisza przeniknięte są atmosferą niezwykłości, która ujawnia się i w abstrakcjach, i w baśniowych roślinach widzianych jakby przez mgiełkę wody na morskim dnie, i wśród „kosmicznych” konstelacji, i w przedmiotach symbolicznych (totemy, znaki, maski), i poprzez obecność fantastycznych zwierząt. Można odnieść wrażenie, iż ten dziwny świat uczestniczy w jakiejś formie kultowej, w specyficznej „mszy istnienia”, w której kapłan-artysta zaklina wszystko, co stanowi zagrożenie, starając się przedzierzgnąć je w dobro i harmonię. Chociaż staje się demiurgiem Arkadii realizującej się jedynie w wymiarze onirycznym, chociaż porusza się w przestrzeni jedynie intencjonalnej, to przecież ta wyśniona kraina może przynieść schronienie... W ten sposób malarstwo, nie przestając być sztuką, staje się zarazem magią i obrzędem.

Malarstwo Tabisza jest pełne światła i cienia, artysta potrafi raz operować stonowaną gamą „delikatnych” barw, aby potem pozwolić wybuchnąć na swoich obrazach kolorom zdecydowanym i zestawionym kontrastowo. Operowanie zróżnicowaną materią sprawia, że chciałoby się mierzyć brzmienie



Natchniona, cienkopis tusz, 20,8x14,7, 2002

tych płócien w... decybelach. Co charakterystyczne, twórca nie przywiązuje się do wybranych formatów – potrafi z jednakową precyzją osiągnąć pożądany efekt zarówno w miniaturach, jak i w pracy, która onegdaj zawisła na fasadzie Teatru Stu (*Twardowski na kogucie* – 1994 r.), a liczyła 600 x 800 cm.

*

Artysta czuje się przede wszystkim malarzem, ale rysunek towarzyszył mu praktycznie od początku jego twórczej drogi. Dopiero jednak od około dekady stał się wypowiedzią w pełni autonomiczną, co zaowocowało kilkoma tomikami „etiud” tego rodzaju. Rozwija się on w kilku głównych cyklach tematycznych, niekiedy nawiązujących do prac malarskich. Tak jest chociażby w przypadku „zwierząt fantastycznych”, „totemów” i „magicznych znaków”. Twórca wiele miejsca poświęca postaci kobiecej, eksponując jej vitalność, seksualizm, a niekiedy aluzyjnie sugerując także obecność ciemnej strony jej skomplikowanej psychiki. Aktualnie przygotowuje piąty już zestaw rysunków, tym razem w całości poświęcony kobiecemu aktowi.

W całym dorobku Stanisława Tabisza uwidacznia się harmonia pomiędzy jego niezwykłą, niekiedy skłoną do fantazji wyobraźnią a finezyjną formą i precyzją realizacji.

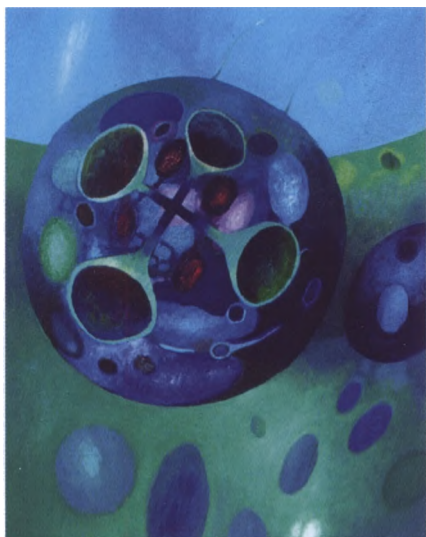
Marek Karwala

akryl na papierze, 40×50 cm



Pejzaż z fantastycznym owadem, 2001

Stanisław Tabisz



akryl na płótnie, 50×40

Satelitarna słuchawka, 2000



akryl na płótnie

Wiosenna trąbka, 2001

Czas ciała

Stosunek współczesnej kultury do ciała jest złożony, a nawet niejasny. Nasze myślenie o ciele jest rozpięte pomiędzy dążeniem do jego unicestwienia z niezgody na to, że jesteśmy organizmami — jak meduzy czy pszczoły — a skłonnością do ubóstwienia biologicznej powłoki jako naszej jedynej, niepodważalnej własności



Zdziwienie człowieka własną cielesnością to nie nowość. Zaskoczony niezwykle planem Bożym święty Augustyn pisał: *inter urinam et faecis nascimur*. Bardzo dosłowna interpretacja chrześcijańskiej pogardy dla ciała prowadziła do daleko idących dzia-

Stanisław Jasionowicz

Miejsca wspólne

łań, sprzecznych z podstawowymi zasadami higieny (*vide*: włosienica i rezygnacja ze środków czystości). Podczas gdy asceza, jako sublimacja cielesności, służyć miała oderwaniu umysłu od ziemskich przywiązań, współczesne przejawy abnegacji służą raczej „ukaraniu” ciała za to, że jest i że przemija. Właśnie przemijanie ciała było kiedyś „oswajane”, choćby tańcami śmierci, pocieszającymi przez ukazanie równości wszystkich ludzi w ich cielesnej poniewierce.

Współczesna kultura oswaja nas z cielesnością bez dania nadziei na wyzwolenie się z jej mocy. Niezgoda na cielesność i fascynacja ciałem to istotne tematy współczesnej sztuki, to także jedna z głównych manii cywilizacji zachodniej i zasadnicza treść kultury masowej w ostatnich dziesięcioleciach. „Wszyst-

ko, co ludzkie, jest nam obce” — tak próbowali zakli-
nać swoją cielesność liczni artyści i myśliciele XX
wieku. Inni zaś mierzyli się ze swym ciałem, próbując traktować je jak obiekt sztuki. Trudno zliczyć tego rodzaju próby. Na przełomie lat 80. i 90. minione-
go stulecia francuska artystka Orlane rzeźbiła swoje
ciało za pomocą rejestrowanych na wideo operacji
plastycznych. Kreowała historyczne postaci, pokazy-
wała też fizyczne cierpienie, prowadzące ją do za-
mierzonych efektów. Pewna Amerykanka, również
dzięki serii operacji, upodobniła się do lalki Barbie,
jednej z ikon kultury masowej. To interesujące dzia-
łanie zostało jednak potraktowane jako przejaw
zwyrodnienia amerykańskiego społeczeństwa i nie
trafiło, o dziwo, do annałów współczesnej sztuki.
U wielu ludzi tego rodzaju działania wywołują od-
ruch obrzydzenia, ale jednocześnie sztukę tę upra-
wiają miliony innych, którzy dopasowują obraz swo-
jego ciała do obrazów stworzonych medialnie w ra-
mach budowy Nowego, Wspaniałego Świata z re-
klam i programów o życiu gwiazd szolbiznesu. Ale
czemu się dziwić? Cóż naprawdę własnego nam po-
zostało? Nasze ciało. Wolność dysponowania swoim
ciałem oraz iluzja, że każdy może (a nawet powi-
nien) stać się kimś innym, żeby być sobą, zawładnę-
ła wyobraźnią całych społeczeństw. Za pomocą kar-
ty kredytowej każdy może osiągnąć to, na co kom-
pletnie go nie stać, a co wydaje się być jego cywiliza-
cyjnym obowiązkiem. W dzisiejszych czasach czło-
wieka można zrobić ze wszystkiego. Niedawno wi-
działem wystawę dwojga współczesnych artystów,
którzy pokazali kupę śmieci i szpargałów, ułożoną
tak kunsztownie, że po odpowiednim jej oświetle-
niu, na ścianie ukazywały się cienie, będące zdumie-
wajaco wiernymi autoportretami twórców.

Czy nasz stosunek do ciała zmienia się jakości-
owo, czy też jedynie media bardziej bezwzględnie
eksploatują antropologicznie uwarunkowaną zasa-
dę utożsamiania wartości człowieka z jego fizycz-

nym wyglądem? Zwierzątko z bujniejszą grzywą, czy bardziej lśniącem futerkiem ma większe szanse na przeżycie, lepsze kąski, czy większy sukces rozrodczy. Siła fizyczna i uroda oraz ich protezy – pieniądz i władza tworzą mieszaninę wybuchową, która jest siłą napędową także ludzkiego świata. Dziś, w kręgu cywilizacji euroatlantyckiej, każdy może być piękny i bogaty i uzyskać, choćby na kredyt, wygląd gwiazdy, lub tym podobne fizyczne atrybuty prestiżu. Marzenie o innym, lepszym ciele, to marzenie o lepszym świecie, to obecnie jakby zastępcza forma metafizyki.

Dziś nie mówi się już, jak mawiały nasze babcie i mamy: „dobrze sobie wygląda” o kimś, kto z dzisiejszego punktu widzenia jest po prostu otyły. Minęły też czasy, kiedy bogacz-kapalista charakteryzował się opasłym brzuchem, a atrybutem powodzenia było zgromadzenie solidnego zapasu tłuszczu. Obecnie wysokość konta jest odwrotnie proporcjonalna do wymiarów ciała. Tak więc przeciętny zjadacz chleba (a raczej: hamburgera) jest otyły, bo wmawia mu się, że zwiększona konsumpcja dóbr jest dowodem jego wzrastającego dobrobytu. A tymczasem bogaci chudną do granic fizycznej wytrzymałości. Biedni biedacy będąc otyli hamburgerowym złudzeniem

powodzenia, widzą w telewizji i w brukowcach pięknych bogaczy, którzy... są chudzi. Bogaci znów wydrą im pieniądze na „cudowne kuracje”, które pozwolą stracić „zbędne kilogramy”.

Ubóstwienie cudzego lub własnego ciała prowadzi nieraz do niezwyklej wzlotów ducha, można więc sądzić, że droga do ducha wiedzie przez doświadczenie ciała. Ubóstwienie ciała może oznaczać na poziomie wyobraźni dążenie do ideału, do pełni. Jednak na przeszkodzie zwykle staje doświadczenie czasu, które powoduje, że na nic zdają się próby utożsamienia fizyczności z nieprzemijalnym. Doświadczenie cielesności nie może być więc jedynie walką z czasem, niezgodą na jego niszczącą potęgę. Uszanować czas ciała – to jedyny sposób przeżywania cielesności, który jest w stanie ją transcendować. Dlatego, być może, to właśnie w doświadczeniu przemijalności, w pojmowaniu życia jako unikalnego, wartościowego procesu przemijania kultura zachodnia mogłaby odnaleźć sens bycia w ciele, bycia ciałem.

Przeżywanie swojej cielesności w zdziwieniu, szacunku i pokorze... Chyba nic lepszego nie da się na razie wymyślić.

Stanisław Jasionowicz

Warsztaty plastyczne

Kolo Artystyczno-Naukowe Studentów Instytutu Sztuki Akademii Pedagogicznej w Krakowie już po raz trzeci było organizatorem warsztatów plastycznych dla dzieci w ramach Festiwalu Nauki – Kraków 2004. Naszym podstawowym celem było rozwinięcie aktywności plastycznej dzieci poprzez zapoznanie ich z nietypowymi materiałami oraz nowymi technikami plastycznymi w atmosferze sprzyjającej radosnej twórczości. Tegoroczny projekt nosił tytuł *Dywan marzeń* i adresowany był do dzieci w wieku od 5 do 15 lat. Zaproponowane zostały trzy akcje plastyczne: *Plaki w przestworzach*, *Wehikuł czasu*, *Dywan marzeń*, a więc każdy z uczestników mógł znaleźć coś dla siebie.

Dla najmłodszych dzieci przygotowany został warsztat *Plaki w przestworzach*. Dzieci wykonywały rajskie ptaki z różnych materiałów (bibuły, sznureczków, wstążek). Największym zainteresowaniem cieszyły się wielobarwne piórka i rafia. Wiele serca dzieci włożyły w wykonywanie ptaków. Lekkie i delikatne konstrukcje przymocowane zostały do balonów wypełnionych helem i wypuszczone w powietrze. Miło było zobaczyć jak ożywia się niebo i uśmiechają się dzieci zadowolone ze swojej pracy.

Wehikuł czasu przygotowano z myślą o dzieciach starszych. Do skonstruowania maszyny zachęcał sam tytuł i przygotowane materiały. Do dyspozycji uczestników oddano kartonowe pudła, rury, tuby, koła. Całości dopełniły kolorowe spraye i farby. Inżyniersko-projektowe upodobania dzieci uwidoczniły się w ciekawych pomysłach i intensywnej pracy. Efektem były dwa wehikuły czasu, które mogły powstać tylko dzięki wyobraźni i fantazji dziecięcej.

Wehikuły odbyły swą podróż w czasie, przemierzając przestrzeń Plant, która w oczach dzieci zmieniła się nagle w tajemniczą planetę.



Tkaniem tytułowego *Dywanu marzeń* zajęły się gimnazjalistki. Na rozciągniętej siatce ogrodzeniowej wyplatały swoje marzenia i sny, używając różnorodnych materiałów: tkanin, sznurków, rafii, wstążek i folii. Możliwa praca trwała ponad dwie godziny, lecz końcowy efekt zaskoczył nawet „tkaczki”. Wielobarwne materiały o różnicowanej fakturze, indywidualne pomysły uczennic i duże zaangażowanie przyczyniły się do powstania niezwyklej kompozycji.

Warsztaty te pozwoliły dzieciom na działania plastyczne i związane z tym przeżycia, możliwość realizacji swych pomysłów i pokonywanie technicznych trudności. Istotne było obserwowanie efektów tych działań w zupełnie nowej przestrzeni. Obszar Starego Miasta stał się dla nich nie tylko zabytkowym miejscem, ale także ich zakątkiem, gdzie można bawić się, śmiać i pracować.

Joanna Nalepa-Sanek



Wspomnienia Adama Tabora

Pamiętniki mają wiele odmian gatunkowych, z różnych też przyczyn bywały i są spisywane. Obok ciekawego obrazu życia minionej obyczajowości niosą istotny, choć nieraz trudny do wykorzystania, zasób wiadomości poszerzających i uzupełniających aktualną wiedzę historyczną. W przypadku pamiętnika autorstwa Adama Tabora mamy do czynienia ze swoistym podsumowaniem jego pełnego wydarzeń i podróży życia.

Autor urodzony w Rzeszowie, w rodzinie o tradycjach patriotycznych, dzieciństwo spędził we Lwowie, gdzie ukończył gimnazjum i związał się na całe życie z ruchem harcerskim. Ten wątek nie jest zbyt mocno uwidatniony w tekście pamiętnika, jednak wyczuwa się go wyraźnie w całej osobowości autora i jego poczynaniach. Jako 14-letni ochotnik brał udział w służbie pomocniczej w czasie wojny polsko-bolszewickiej. W roku 1924 zdał maturę i rozpoczął studia na Uniwersytecie Jana Kazimierza.

Już w latach gimnazjalnych wykazywał zamiłowanie do nauk przyrodniczych, które rozwijał pod opieką prof. B. Dybowskiego. Należał do Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Dalekiego Wschodu, udzielającego wsparcia działalności Polonii na Dalekim Wschodzie. W czasie studiów miał kontakt m.in. z prof. E. Romerem i prof. H. Arctowskim, którego był asystentem. Prowadził badania atmosfery i z zakresu geologii. Brał udział w zjazdach i konferencjach. Należał do studenckich kół zainteresowań i organizacji.

Po ukończeniu studiów odbył służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy, po czym w 1929 r. podjął pracę jako nauczyciel w Dolinie, a po sześciu latach przeniósł się do Jarosławia, z którym związał się już na zawsze. Prowadził tam szeroką działalność w zakresie metodyki geografii i w harcerstwie. Od

czasów studenckich dużo podróżował, odwiedzając liczne kraje Europy, był nawet na Saharze.

Z końcem sierpnia 1939 r. został zmobilizowany jako oficer pułku artylerii ciężkiej. Odbił cały szlak bojowy pułku, który wchodził w skład Armii „Łódź”. Po złożeniu broni znalazł się w zbiorowym obozie jeńckim pod Warszawą. Następnie przebywał w oflagach Braunscheig, Hadamar i Hadamar-Berglager oraz Murnau. Zorganizował tam bibliotekę i uczestniczył w tajnej pracy harcerskiej.

Wyzwolony przez wojska amerykańskie pozostał w Murnau w Obozie Polskich Oficerów. Po zakończeniu wojny został oddelegowany do Wydziału Oświaty II Korpusu gen. W. Andersa we Włoszech, gdzie pracował do maja 1946 r., zaopatrując polskie obozy cywilne i wojskowe w książki polskie pozyski-

*Adam Tabor Myśli i wspomnienia
do druku przygotował Janusz Wojtyca
Komisja Historyczna Krakowskiej Chorągwi ZHP
Kraków 2004, 264 s.*

wane w różnych państwach Europy. Później wrócił do Jarosławia i oddał się pracy nauczycielskiej oraz harcerskiej.

Był organizatorem i kierownikiem Ośrodka Metodycznego, członkiem Komisji Programów i Podręczników Ministerstwa Oświaty, wykładał również w Studium Nauczycielskim. Brał udział w kongresach Międzynarodowej Unii Geograficznej. Po reaktywowaniu harcerstwa w 1956 r. powrócił do czynnej pracy w tej organizacji.

Przez wiele lat prowadził wycieczki szkolne i obozy wędrownie po całym kraju. Był czynnym członkiem Polskiego Towarzystwa Geograficznego, w którym pełnił funkcję członka Zarządu Głównego,

długoletnim prelegentem Towarzystwa Wiedzy Pow-szechniej oraz członkiem—założycielem PTSM, przewodnikiem beskidzkim i terenowym. Pracował w Towarzystwie Miłośników Jarosławia.

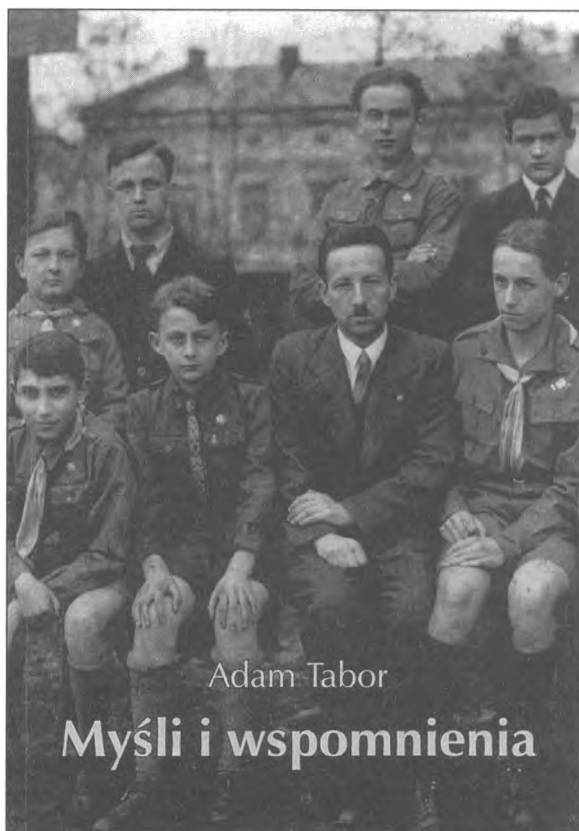
Opublikował szereg opracowań, w tym poradników metodycznych, prac naukowych oraz artykułów głównie z zakresu metodyki geografii i krajoznawstwa. Został odznaczony m.in. Krzyżem Oficerskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Już samo powyższe wyliczenie kolei życia autora wywołać może zainteresowanie jego pamiętnikiem. Młodość spędzona we Lwowie, kontakty i praca badawcza pod kierunkiem wybitnych naukowców. Doświadczenia podchorążego i młodego nauczyciela

w małej miejscowości. Liczne podróże. Udział w kampanii wrześniowej i pobyt w oflagach. Później trudności odbudowy państwa i szkolnictwa. Wreszcie dorosłe życie — działalność społeczna i dalsze podróże.

Dodać przy tym należy, że autor jest wnikliwym i inteligentnym obserwatorem oraz obiektywnym sprawozdawcą wydarzeń, w których uczestniczy. Powstrzymuje się od pochopnych ocen i nie narzuca czytelnikowi swoich poglądów na opisywane fakty. Pamiętnik przygotowany do druku za życia autora został odrzucony przez KAW z uwagi na liczne fragmenty, ocenione przez recenzenta jako nienadające się do druku. Dopiero dziś, po 20 latach, istnieje możliwość opublikowania go bez sugerowanych wówczas poprawek.

Ryszard Terlecki



Adam Tabor

Myśli i wspomnienia

Maciej Kawka

Studia językoznawcze

Nakładem Uniwersytetu Jagiellońskiego ukazały się *Studia linguistica* poświęcone pamięci Profesor Danuty Wesołowskiej, znakomitej badaczki i popularyzatorki polszczyzny. Jak piszą w *Słowie wstępnym* redaktorki tomu – Halina Kurek i Janina Labocha, przygotowana księga jest wyrazem uznania i hołdu składanego znakomitej Uczonej, wspa- niałemu Pedagogowi oraz mądrymu i dobremu Człowiekowi.

Studia linguistica Danuta Wesołowska obłata pod red. Haliny Kurek, Janiny Labochy, Kraków 2004

W księdze pomieszczono 30 artykułów, nie licząc biograficznego tekstu Leszka Bednarczuka o pasjach i obowiązkach naukowych Profesor Danuty Wesołowskiej i bibliografii Jej prac przygotowanej przez Marię Madejową. W zasadniczej części tomu znalazły się teksty o różnym charakterze związane jednak zawsze z problematyką językoznawczą, ułożone w porządku alfabetycznym. Tom otwiera praca Jochena Augusta pt. *Wyrazy «lagersprache» w twórczości Vasilija Grossmana*. Jest to tekst bezpośrednio nawiązujący do zainteresowań badawczych Danuty Wesołowskiej, zwłaszcza w ostatnim okresie Jej życia. Pozostałe należą do różnych grup, a tylko niektóre można zaklasyfikować do określonej dziedziny lingwistyki.

Z pewnością do lingwistyki kognitywnej należą dwa wybitne teksty – jeden autorstwa Elżbiety Tabakowskiej pod intrygującym tytułem *Gole fakty i naga prawda o synonimii*, w którym autorka stara się odpowiedzieć na pytanie: jak kontekst kulturowy wpływa na dystrybucję analogicznych (synonimicznych) elementów w języku polskim i w innych

językach na przykładzie przymiotników: goły i nagi. I drugi tekst, Renaty Przybylskiej, na temat przydatności w analizie semantycznej schematu wyobrażeniowego (pojęciowego) – najważniejszego w językoznawstwie kognitywnym narzędzia badawczego. Zbliżony tematycznie do kognitywizmu jest artykuł Moniki Barwińskiej o poczuciu przynależności i określaniu tożsamości do danej grupy za pomocą językowego obrazu świata.

Jedyny tekst poświęcony dziejom ortografii – autorstwa Ireny Bajero- wej – zawiera przegląd najnowszych przemian w latach 1939–2000 w tym zakresie. W ważnym metodologicznie tekście Andrzej Bogusławski zajmuje się problemem zaimków i ich rzekomej roli substytutów. Maria Brzezina pisze o *Ludycznych miniaturach językowych w stylizowanych na żydowsko utworach Stefana Wiecheckiego*. Tworzyłem językowym w utworze artystycznym zajął się także Feliks Pluta (*Gwara miejska Lwowa w «Preclarce z Pohulanki» Wiktora Budzyńskiego*), a Władysław Śliwiński omówił rzeczowniki z semem „roślina” jako trzonami poetyckimi w konstrukcjach nominalnych w tekstach literackich

Kilka artykułów dotyczy zagadnień funkcjonowania elementów językowych w gwarach, m.in. Józefy Kobylińskiej *Sposoby wyrażania relacji czasowych w gwarze*, Haliny Kurek *Językowo-kulturowy obraz wsi podkarpackiej wpisany w nazwy roślin*, Moniki Szpiczakowskiej *Dialekt północnokresowy wobec polskiego języka ogólnego i polskich gwar etnicznych*.

Morfologii dotyczy artykuł Krystyny Kleszczowej, która opisała kategorię stopnia przymiotników staropolskich, frazeologii tekst Kazimierza Sikory o frapującym tytule *Dokąd zajechał Zabłocki ma*

mydle?, o modalności jako zjawisku językowym pisała Kinga Tutak, a niewyraźnością w języku zajęła się Urszula Wieczorek.

Kilka tekstów traktuje o zagadnieniach słownictwa i nazewnictwa – wymienić tu należy artykuł Janusza Strutyńskiego o przezwiskach szkolnych, lekcyce specjalnej w cechu piekarzy przemyskich Haliny Wiśniewskiej, Aleksandra Zajdy o rzadkich wyrazach w protokołach sądów ziemskich i grodzkich województwa krakowskiego z 1543 roku, oraz Mirosławy Sagan-Bielawy o obrazie miasta w toponimii Przemysła.

Ważną część tomu stanowią artykuły dotyczące tekstu i dyskursu. Janina Labocha wyróżniła nowy typ tekstu pisanego przeznaczonego do wygłoszenia, a Teodozja Rittel opisała mechanizmy semantyczne i kulturowe dyskursu kołędowego o Tajemnicy Wcielenia. Na pograniczu badań tekstologicznych i retoryki sytuują się dwa teksty: Krystyny Pisarkowej *Wzobrażenia Chrystusa w «Rozmyślaniu prze-*

myskim» a wzorzec retoryki i Agnieszki Sieradzkiej-Mruk *Połączenia wyrazowe o charakterze tranzycji w kazaniach dla dorosłych i dzieci*. Artykuł Elżbiety Mańczak-Wohlfeld dotyczy języka angielskiego na przełomie stuleci, a opracowanie Urszuli Dąbskiej-Prokop przekładu jednego zdania Chateaubrianda. W części z zakresu metodyki nauczania języka znajdujemy artykuły: Jadwigi Kowalkowej *O warsztacie pisarskim nauczyciela polonisty*, Jerzego Podrackiego *Interpretacja spójnika «bo» w gramatykach języka polskiego*, a tom zamykają spostrzeżenia Marii Zarębiny, która przedstawiła *Obraz nauczyciela akademickiego w wypowiedziach studenckich*.

Przedstawiony tom studiów jest rzetelnym i wyczerpującym przeglądem metodologii, poglądów i stanowisk językoznawczych reprezentowanych przez grono najwybitniejszych polskich lingwistów. Dobrze się stało, że Uniwersytet Jagielloński wydał tak ważną księgę poświęconą tak wybitnej Uczzonej.

O tekście filmowym

Monografia Agnieszki Ogonowskiej została napisana w sposób nowoczesny, wpisujący się w kontekst refleksji charakterystycznej dla współczesnych tendencji w badaniach kulturowych. Autorka podjęła zadanie opisanego ram, w których funkcjonują dziś teksty filmowe, scharakteryzowała ich pozycję i funkcje we współczesnej kulturze audiowizualnej, przesłodziła związki z innymi tekstami kultury, określiła charakter przemian kina i tekstów filmowych, a przy tym konsekwencje, jakie dlań wynikają z przeobrażeń technologicznych, oraz zajęła się wybranymi przypadkami funkcjonowania tekstów filmowych poza granicami kina. I powiem natychmiast, że z tego ambitnego zadania wywiązała się bardzo dobrze.

Książka została skonstruowana w logiczny sposób. We wprowadzeniu autorka nakreśliła ogólną panoramę zjawisk charakteryzujących współczesną kulturę, wydobyła kontrowersje filozoficzne towarzyszące jej badaniom, uwydatniła rolę nowych technologii komunikacyjno-informacyjnych w procesie kształtowania się ponowoczesnego ładu kulturowego oraz scharakteryzowała hybrydyczną strukturę powstających współcześnie tekstów kultury. Pozwoliło jej to w kolejnych rozdziałach zajmować się dzisiejszymi losami tekstów filmowych w założonej i konsekwentnie utrzymanej perspektywie kulturoznawczej. Metoda ta wydaje mi się nader właściwa; wydobywanie i opisywanie relacji wiążących różne (także odmienne) teksty kulturowe jest dziś o wiele bardziej owocne i pożyteczne, niż próby poszukiwania właściwości swoistych dla poszczególnych domen praktyk kulturowych. Szczególnie cenny i wart podkreślenia w perspektywie badawczej przyjętej przez autorkę jest zamysł wydobywania w analizowanych tekstach filmowych wzajemnych odniesień trzech porządków kultury: artystycznego, materialno-technologicznego i społecznego.

Jak już wspomniałem, monografia Ogonowskiej uzyskała logiczny, przemyślany układ. Jest także bogata w warstwie problemowej. Powiem wręcz, że tak wiele szczegółowych zagadnień zostało w niej podjętych, że próba przywołania ich wszystkich czy nawet większości z nich zajęłaby zbyt wiele miejsca. Określę więc jedynie zasadniczą problematykę poszczególnych rozdziałów, aby w ten sposób wydobyć logikę rozwoju i części składowe dyskursu.

W rozdziale pierwszym autorka opisała film jako tekst kultury, zwracając uwagę zarówno na cechy badanego obiektu, jak i na strategię badawczego odnoszenia się do tak pojmowanego przedmiotu. W rozdziale drugim z kolei poddała refleksji intertekstualne wymiary współczesnego kina. Problematyka ta uzyskała swoiste przedłużenie w rozdziale następnym, gdzie przedmiotem uwagi autorka uczyniła zagadnienia filmowych adaptacji dzieł literackich. W rozdziale czwartym znalazły się rozważania dotyczące filmowej genologii, kina gatunków oraz kina autorskiego. W rozdziale piątym, na przykładzie reklamy i wideoklipu, zostały opisane przypadki funkcjonowania tekstów filmowych poza instytucjonalnymi granicami kina, tak częste dzisiaj a przede wszystkim ważne zarówno dla obrazu współczesnej kultury wizualnej, jak i dla obecnego stanu samego filmu.

W zakończeniu monografii powraca perspektywa uogólniająca. Rozdział szósty poświęcony jest kinu i filmowi jako składnikom kultury ruchomego obrazu, oraz problematyce medialnej. W rozdziale ostatnim, pomyślanym jako podsumowanie, pojawia się próba diagnozy współczesnego stanu kultury audiowizualnej.

Monografia jest opatrzona bibliografią oraz listą zalecanych lektur. Warto zauważyć, że wskazówki lekturowe wraz z wyodrębnionymi (poprzez

wskazanie pojęć kluczowych) głównymi rozważanymi problemami pojawiają się w zakończeniu każdego rozdziału — cecha to bardzo przydatna w perspektywie dydaktyki.

Z przeglądu układu i problematyki monografii wynika jasno, że autorce udało się zgrabnie połączyć

gadnienia, które ujmują kino i teksty filmowe w perspektywie związków, w jakie wchodzi one zarówno między sobą, jak i z instytucjami oraz tekstami kultury innego rodzaju.

Monografię Agnieszki Ogonowskiej uważam za dzieło udane, napisane rzetelnie i w nowoczesny spo-

Agnieszka Ogonowska, Tekst filmowy we współczesnym pejzażu kulturowym
Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej, Kraków 2004, 160 s.

tradycyjną problematykę badań filmoznawczych z wymogami współczesnych, kompleksowych badań kulturoznawczych. Z tradycyjnej refleksji filmoznawczej znalazły się w monografii te zwłaszcza za-

sób, bogate zarówno w informacje jak i — co ważniejsze — w propozycje metodologiczne mówiące o tym, jak odnosić się do współczesnej kultury audiowizualnej. Wysoko oceniam dydaktyczne walory monografii.



Nowości Wydawnictwa Naukowego Akademii Pedagogicznej

przedstawia Jolanta Grzegorzek

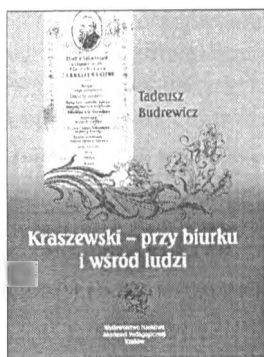
ul. Studencka 5
31-116 Kraków
tel./fax (012) 430-09-83
tel. (012) 662-67-56
<http://www.wydawnictwoap.pl>
e-mail: redakcja@wydawnictwoap.pl

TADEUSZ BUDREWICZ
Instytut Filologii Polskiej

Kraszewski – przy biurku i wśród ludzi

Książka nosi wszelkie znamiona piarstwa naukowego Tadeusza Budrewicza – jest rzetelna (respekt dla faktu, aulopsja, krytyczny namysł, refleksja metodologiczna), elegancka (takłowne polemiki, szacunek dla poprzedników) i erudycyjna (świetna znajomość materiałów źródłowych, kontekstów historycznych i biograficznych oraz literatury przedmiotu). Czyta się ją z pożytkiem i przyjemnością.

Ewa Owczarz, Uniwersytet Mikołaja Kopernika



Zbiór szkiców i artykułów pisanych w różnych latach i na różne tematy. Za sprawą przemyślanego rozplanowania treści i kolejności jest jednak spójny i zwarty. Rozważania warsztatowe i konteksty genetyczne nakładają się na podstawową oś konstrukcyjną opartą na biograficznej chronologii.

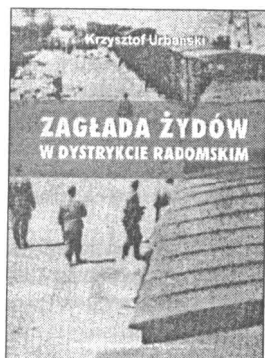
ZAWARTOŚĆ: O Janie Kraszewskim (ojcu pisarza). Przyczynke do wizerunku: Bracia rywale? Józef i Kajetan Kraszewscy; Obraz Świsłoczy w piśmiennictwie polskim XIX wieku; Kraszewski w Druskiennikach; „Zdrowie” i „choroba” w języku Kraszewskiego (w okresie wołyńskim); Poglądy Kraszewskiego na styl; Nad autografami Kraszewskiego. Praca nad stylem; Jak Kraszewskiemu styl poprawiano (powieść *Cześnikówny*); „Przed burzą” i „Po burzy” (Kraszewski – Bałucki); Jak się *W mętnej wodzie* rodziły *Dziwne kariery*; Spółka dramatopisarska: Zalewski – Kraszewski; Dr Antoni J. (Rolle) i Kraszewski; Intytułacje submisje w listach pisanych do Józefa Ignacego Kraszewskiego; Włodzimierz Spasowicz o jubileuszu Kraszewskiego; „Kraszewski wolny!” Prasa polska o urlopie więźnia stanu.

ZAKRES TEMATYCZNY: historia literatury polskiej, teoria literatury, krytyka literacka, biografistyka

Prace Monograficzne nr 374, format A5, s. 294

KRZYSZTOF URBĄŃSKI
Instytut Politologii

Zagłada Żydów w dystrykcie radomskim



Autor jest ze wszelkich miar kompetentnym i odpowiedzialnym historykiem, który po penetracji wielu źródeł zdeponowanych w kraju i za granicą, zebraniu relacji i wspomnień osób żyjących w Polsce, Izraelu i Stanach Zjednoczonych podjął się napisania książki o problemie budzącym wiele emocji wśród osób posiadających zbyt małą wiedzę o realiach okupacji hitlerowskiej w Polsce.

Mieczysław Markowski, Akademia Świętokrzyska

K. Urbanski podjął próbę przezwyciężenia dotychczasowych stereotypów narosłych wokół kwestii stosunków polsko-żydowskich w czasie okupacji hitlerowskiej. Jego celem było całościowe ukazanie różnych aspektów życia i martylogii narodu żydowskiego na ziemiach polskich pod okupacją hitlerowską. Skupił się na obszarze dystryktu radomskiego, który objął ziemie centralnej Kielecczyny oraz włączone do dystryktu powiaty (piotrkowski, brzeziński, rawski).

ZAWARTOŚĆ: I. Polityczne porządki domowe; II. „Frankreich” — „Państwo Franka”; III. W rękach braci; IV. W kręgu gett; V. Czas zagłady; VI. Sąsiedztwo zobowiązywało.

ZAKRES TEMATYCZNY: historia Polski, judaica

Prace Monograficzne nr 379, format B5, s. 254 + 36 il.

BARBARA OBTUŁOWICZ
Instytut Historii

Kobieta hiszpańska w dobie kształtowania się społeczeństwa liberalnego

Praca ta będzie niewątpliwą inspiracją dla polskich badaczy sprawy kobiecej. Niezależnie od walorów naukowych jest też interesującym wprowadzeniem w kulturę Hiszpanii pierwszej połowy XIX wieku. Do tej pory nie mieliśmy w Polsce równie sumienne-go i wielostronnego ujęcia tego tematu.

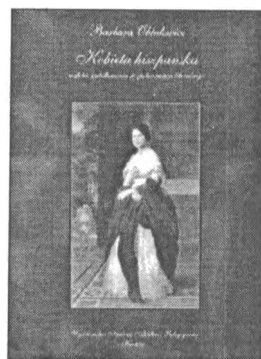
Jan Kieniewicz, Uniwersytet Warszawski

Autorka, wykorzystując wielki zasób źródeł z archiwów w Madrycie, Barcelonie i Toledo, przedstawiła problem trzech generacji hiszpańskich kobiet w okresie przekształceń starego ładu w porządek liberalny. Włączyła w krąg swoich rozważań reprezentatywne dla problematyki dyskursy, a także dzieła literatury pięknej, utwory sceniczne, diariusze i relacje z podróży obcokrajowców, artykuły prasowe, dzieła Goi i in.

ZAWARTOŚĆ: I. Kobieta w rodzinie; II. Życie codzienne, kulturalne i towarzyskie; III. Edukacja, aktywność intelektualna i artystyczna; IV. Religijność kobiet; V. Kobieta i ekonomia; VI. Kobieta — polityka i patriotyzm.

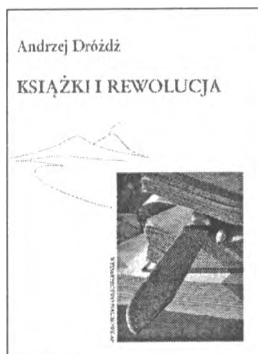
ZAKRES TEMATYCZNY: historia powszechna, historia kultury

Prace Monograficzne nr 378, format B5, twarda oprawa, s. 302 + 80 il.



ANDRZEJ DRÓŻDŹ

Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa

Książki i rewolucja**Ks. Antonio Marini – neapolitański jakobin i jego biblioteka**

Monografia Andrzeja Dróżdża będąc bodaj pierwszym tego rodzaju i takich rozmiarów studium w polskiej literaturze specjalistycznej, stanowi istotny wkład do dokonanych już badań, a jednocześnie jest też swoistym wyzwaniem dla dalszych poszukiwań w swej dziedzinie.

Stanisław Widlak, Uniwersytet Jagielloński

Zamiarem Autora pracy było nie tylko zwrócenie uwagi na postać zapomnianego bibliofila i patrioty, ks. Antonia Mariniego, przybliżenie wiedzy o Królestwie Neapolu z końca XVIII wieku, ale również sprawdzenie przyjętej metody badawczej, czyniącej z księgoznawstwa jedną z dziedzin nauki o człowieku.

ZAWARTOŚĆ: Klimat polityczny i myślowy w Neapolu końca VIII wieku; Wątki antykurialne i rewolucyjne w biografii ks. Antonia Mariniego; Spójność ideowa księgozbioru Antonia Mariniego; Bibliofilski charakter księgozbioru; Aneks: księgozbiór ks. Antonia Mariniego w opracowaniu bibliograficznym.

ZAKRES TEMATYCZNY: bibliotekoznawstwo, księgoznawstwo, biografie, historia powszechna

Prace Monograficzne nr 385, format A5, s. 160 + 40 il.

AGNIESZKA OGONOWSKA

Instytut Filologii Polskiej

Przemoc ikoniczna. Zarys wykładu

Praca jest ambilną i równocześnie klarowną rozprawą na temat przemocy medialnej – przede wszystkim przemocy obrazów telewizyjnych. Jestem przekonany, iż spotka się z dużym zainteresowaniem w środowisku akademickim i będzie ważną pomocą dydaktyczną dla studentów wielu kierunków humanistycznych.

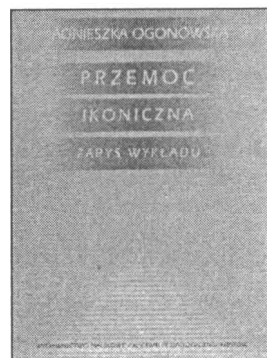
Eugeniusz Wilk, Uniwersytet Jagielloński

Autorka przedstawia zjawisko przemocy ikonicznej, odsłania mechanizmy jej skutecznego działania, a jednocześnie metody przeciwdziałania jej wpływowi poprzez projektowanie strategii edukacyjnych i podejmowanie określonych działań badawczych

ZAWARTOŚĆ: 1. Przemoc ikoniczna: opis zjawiska; 2. Przemoc ikoniczna a przemoc symboliczna; 3. Ideologia i film. O sposobach instalacji i istnienia ideologii w tekstach filmowych; 4. Estetyka w służbie ideologii; 5. Technika w służbie ideologii; 6. Przeciw przemocy ikonicznej. Wybrane zagadnienia edukacji medialnej.

ZAKRES TEMATYCZNY: kulturoznawstwo, nauki o komunikowaniu, edukacja medialna

format A5, s. 120



MAŁGORZATA NOWAKOWSKA
Instytut Neofilologii

Les adjectifs employés attributivement

Praca Małgorzaty Nowakowskiej podejmuje ważne wyzwanie, jakim jest złożone zachowanie przymiotników relacyjnych w pozycji atrybutu, świetnie prezentuje wszystkie meandry ich funkcjonowania, proponuje oryginalne, eleganckie i proste wyjaśnienia będące funkcją zastosowanego aparatu składni semantycznej i czyni to, mimo tej olbrzymiej złożoności, także i opisowej, w sposób stosunkowo prosty. Moje chapeau bas dla Autorki za tak niezwykle skrupulatną, wręcz modelową analizę zagadnienia.

Wiesław Baniś, Uniwersytet Śląski

Praca poświęcona jest przymiotnikom relacyjnym w języku francuskim. Autorka zwraca uwagę na jeden szczególny aspekt funkcjonowania tej grupy przymiotników, a mianowicie ich występowanie w funkcji orzecznika. Wszystkie swoje analizy opiera na ponad 1200 autentycznych zdaniach wziętych z prasy, literatury pięknej i fachowej, a także z języka mówionego (radio, telewizja, rozmowy frankofonów).

ZAKRES TEMATYCZNY: językoznawstwo, filologie obce

Prace Monograficzne nr 387, format B5, s. 298

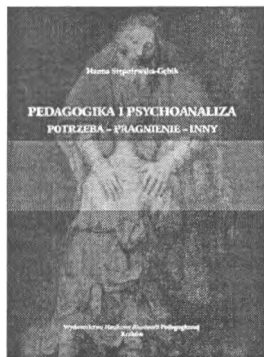


HANNA STĘPNIEWSKA-GĘBIK
Instytut Nauk o Wychowaniu

Pedagogika i psychoanaliza. Potrzeba — pragnienie — Inny. Konteksty epistemologiczne dla pedagogiki w świetle psychoanalitycznej koncepcji Jacques'a Lacana

Książka przynosi szereg nowych i ważnych dla pedagogiki impulsów teoretycznych, nadrabiających zaległości całego środowiska akademickiego pedagogów polskich, wynikające z (nie)wykorzystania dyskursu psychoanalitycznego i z jego przestarzałego odczytania oraz posługiwania się powierzchniowymi stereotypami psychoanalizy przejętymi z psychologii.

Lech Witkowski, Uniwersytet Jagielloński



Autorka podjęła temat powiązań pomiędzy psychoanalizą a pedagogiką. Analizuje różne kwestie, m.in.: poglądy czołowych przedstawicieli pedagogiki polskiej (Hessen, Mysłakowski, Suchodolski i in.) na temat psychoanalizy; teorię Jacques'a Lacana w kontekście procesu wychowawczego; powiązania między psychoanalizą a filozofią.

ZAWARTOŚĆ: Dyskurs psychoanalityczny w pedagogice (z uwypukleniem recepcji w Polsce); Hermeneutyka wobec pedagogiki i psychologii; Elementy psychoanalitycznej koncepcji Jacques'a Lacana; Psychoanaliza Lacanowska i pedagogika; Psychoanaliza w perspektywie filozoficznej (wybrane zagadnienia).

ZAKRES TEMATYCZNY: psychologia, psychoanaliza, pedagogika, filozofia

Prace Monograficzne nr 387, format B5, s. 160

JOLANTA ZIELIŃSKA
Instytut Techniki

Diagnoza i terapia sprawności ortofonicznej dzieci z uszkodzeniem słuchu wspomagane techniką komputerową

Książka odpowiada na aktualne zapotrzebowanie teoretyków i praktyków związanych z rewalidacją dzieci z wadą słuchu. W związku z powszechnymi badaniami słuchu u noworodków, które wdrożono w ubiegłym roku, upowszechnienie narzędzia opracowanego przez dr J. Zielińską jest jak najbardziej na czasie. Jest zadaniem pilnym i pożądanym społecznie i naukowo.

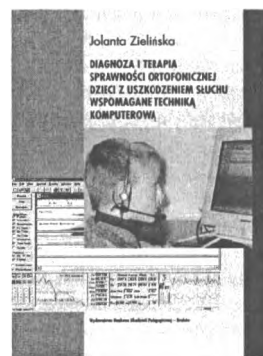
Urszula Eckert, Wyższa Szkoła Pedagogiki Specjalnej

Autorka przedstawia oryginalny program terapii mowy wykorzystujący technikę komputerową. Program ten ułatwia właściwą fonację, artykulację, procesy oddechowe wspomagające proces mówienia. Autorka proponuje nie tylko różne ćwiczenia usprawniające, ale równocześnie dostarcza narzędzi do kontroli terapii i jej postępów.

ZAKRES TEMATYCZNY: I. Kształtowanie sprawności ortofonicznej dzieci z uszkodzeniem słuchu; II. Badania nad właściwościami zapisu i przetwarzania informacji przez dzieci z uszkodzeniem słuchu; III. Komputerowe stanowisko do badania sygnału mowy; IV. Komputerowa diagnoza sprawności oralnej dzieci z uszkodzeniem słuchu; V. Badania empiryczne nad wykorzystaniem przystawek komputerowych Laryngograph PCLX i Nasality Processor w terapii sprawności ortofonicznej dzieci z uszkodzeniem słuchu; VI. Metoda terapii głosu i mowy dźwiękowej dzieci z uszkodzeniem słuchu wspomagana techniką komputerową, przykłady ćwiczeń praktycznych.

ZAKRES TEMATYCZNY: surdopedagogika, logopedia, foniatria

Prace Monograficzne nr 382, format A5, s. 194



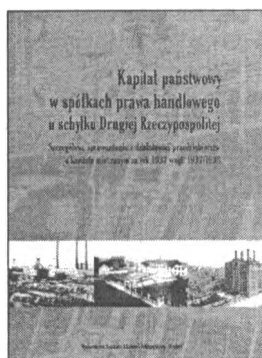
JERZY GOŁĘBIEWSKI (OPRAC.)
Instytut Historii

Kapitał państwowy w spółkach prawa handlowego u schyłku Drugiej Rzeczypospolitej

Autor postawił sobie za cel opublikowanie źródła archiwalnego, cennego dla historii gospodarczej okresu Drugiej Rzeczypospolitej. Źródłem tym jest obszerny maszynopis przechowywany w Centralnym Archiwum Wojskowym pt. „Szczegółowe sprawozdanie z działalności przedsiębiorstw o kapitale mieszanym za rok 1937 wzgl. 1937/38”. Sprawozdanie to wraz z załącznikami jest doskonałym materiałem do badań nad rozmiarami sektora państwowego w Drugiej Rzeczypospolitej, jego skomplikowaną strukturą organizacyjną, rentownością poszczególnych przedsiębiorstw oraz udziałem elity rządzącej we władzach spółek akcyjnych i z ograniczoną odpowiedzialnością.

ZAKRES TEMATYCZNY: historia Polski, ekonomia, polityka

format B5, s. 348



- 21 Jerzy S. Ossowski PLEJADY POLONISTÓW
- 29 O PRACACH SENATU pisze Iwona Tomasik
- 47 Stanisław Burkot MOJE KONTAKTY Z WINCENTYM DANKIEM
- 50 Zenon Uryga POSZUKIWACZ METOD
- 53 Jerzy Jarowiecki BIBLIOTEKARZ, BIBLIOGRAF, HISTORYK LITERATURY I KULTURY LITERACKIEJ
- 55 Janusz Wojtycza HARCERZ, LITERAT, DIALEKTOLOG
- 58 Janina Koza ZMIANA POKOLEŃ
- 60 Otylia Pulit-Parszewska, Wiesław Polmiński SADECKA ROCZNICA
- 62 Agnieszka Ogonowska O KRYTYKACH I KRYTYKANTACH W ZAJĘDZIE CZORSZTYŃSKM
- 65 Joanna Kossewska JAKOŚĆ ŻYCIA W AUTYZMIE — PROBLEMY ETYCZNE, PRAWNE I PSYCHOLOGICZNE
- 67 Renata Ciesielska-Kruczek POLSKIE BIBLIOTeki AKADEMICKIE W UNII EUROPEJSKIEJ
- 73 Jagoda Cieszyńska LOGOPEDIA I LOGOTERAPIA
- 76 Stanisław Koziara MIĘDZY FILOLOGIĄ A TEOLOGIĄ
- 80 Zbigniew Bauer, Andrzej Wojnach KSZTAŁCENIE DZIENNIKARZY CZY EDUKACJA MEDIALNA?
- 88 Hubert Schneider CENTRUM PRZECIW WYPĘDZENIOM A STOSUNKI POLSKO-NIEMIECKIE
- 91 Zdzisław Noga ZBLIŻANIE DO SIEBIE NARODÓW...
- 93 Janusz Morbitzer FESTIWAL NAUKI 2004
- 98 HELENA PLES НИ ПУХА, НИ ПЕПА! ZNACZY POWODZENIA! A CO ZNACZY TRKI?
- 101 Marta Widurska PROFESOR WŁADYSŁAW MIODUNKA O DWUJĘZYCZNOŚCI
- 102 Gabriela Chmielewska DBAJMY O INTEGRACJĘ
- 104 Jan Pieszczachowicz KSIĄŻKA, KTÓRĄ CZYTAM
- 115 Maciej Kawka Dyskurs Akademicki
- 117 Marek Glogier Z DZIEJÓW ARCHIWUM AP W KRAKOWIE (2)
- 120 Bożena Barańska Z PERSPEKTYWY PRAKTYKA
- 122 Stanisław Czesław Kurdziel „JESTEM W PODRÓŻY — POSŁUDZE...”
- 123 Krzysztof Małek OD LICENCJATU DO DOKTORATU
- 126 Beata Śliwińska-Malcharek „OBYŚ CUDZE DZIECI UCZYŁ”. SIERNIEŻNA RZECZYWISTOŚĆ I MAGICZNA SIŁA WSPOMNIENI
- 128 Maciej Malinowski (O)CZYSTY JĘZYK
- 129 Ewa Piotrowska, Renata M. Zając DYSSERTACJE NAUKOWE W INTERNECIE
- 131 O SPORCIE pisze Czesław Michalski
- 137 Katarzyna Wołoch Z WODĄ ZA PAN BRAT
- 138 Kazimierza Karolczaka PODRÓŻE NIE TYLKO NAUKOWE...
- 142 Piotr Kołodziej „NOWA POLSZCZYNA”
- 146 Bolesław Faron JÓZEFA BARANA I ANNY DYMNEJ WYPRAWA PO ZŁOTE RUNO
- 151 Jacek Rozmus METAFORY I PRZYJACIELE
- 154 Bolesław Faron W SADZIE OWOC DOJRZEWA
- 159 Krystyna Latawiec MARIAN PANKOWSKI — POMIĘDZY KARPATAMI A EUROPEJSKĄ CIVITAS
- 161 Marta Widurska NIEZMIENNE W KRĘGU STEREOTYPÓW... BIENIĄCZYK, FILIPIAK, STASIUK O KOBIECIE
- 164 Jacek Chrobaczyński KONTEKSTY ROKU 1944
- 177 Grzegorz Fabin GRAM ATTYKA
- 179 Bartosz Ochoński WRONG-OR-WELL
- 182 Małgorzata Musialik ARTHUR SCHOPENHAUER: „DZIĘKI TEMU, CO CZYNIAMY, DOWIADUJEMY SIĘ TYLKO TYLE, CZYM JESTEŚMY”
- 185 Joanna Młynek MAJA
- 188 Marcin Kania MONIQUE

- 189** Anna Połuszną Czy LIBERATURA TO LITERATURA?
191 Leszek Wrona ARCHIWUM X
193 Dorota Zarębska-Piotrowska PROŚBA O... (NIE)SZYBKIE CZYTANIE
202 Marek Karwala MAŁGORZATA WYKA — ZOBACZYĆ NIEZWYKŁOŚĆ W ZWYKŁOŚCI
205 Romuald Oramus MOWA OBRAZÓW
211 Stanisław Jasionowicz MIEJSCA WSPÓLNE
213 Joanna Nalepa-Stanek WARSZTATY PLASTYCZNE
214 Ryszard Terlecki WSPOMNIENIA ADAMA TABORA
216 Maciej Kawka STUDIA JĘZYKOZNAWCZE
218 Ryszard Kluszczyński O TEKŚCIE FILMOWYM
220 NOWOŚCI WYDAWNICTWA NAUKOWEGO AP przedstawia Jolanta Grzegorzek



Małgorzata Wyka, Z serii *Rojenia*

Fotografie 40 x 50 cm



Małgorzata Wyka, Z serii *Rojenia*

Fotografia 40 x 50 cm

O twórczości artystycznej Małgorzaty Wyki pisze Marek Karwala